



P

rzestań grać tę diabelską muzykę, tylko przyjdź tu i pomóż mi - krzyknęła gniewnie Alice Bol-ton z kuchni.

Piętnastoletnia Beth uśmiechnęła się złośliwie, słysząc, co mówi matka o jej grze na skrzypkach. Przez chwilę kusilo ją, żeby grać głośniejsze i bardziej dziko. Ale Alice była ostatnio bardzo drażliwa; prawdopodobnie przyszlaby i zabrała jej skrzypce, więc Beth odłożyła instrument do poobijanego futerału i wyszła z saloniku, żeby pomóc matce.

Doszła do kuchni, kiedy ze sklepu pod ich mieszkaniem rozległ się łomot, a zaraz potem hałas spowodowany spadaniem ciężkich przedmiotów.

- Co to do diaska było? - zawołała Alice, odwracając się od kuchenki z czajnikiem w dłoni.

- Pewnie tatko coś przewrócił - odpowiedziała Beth.

- To nie stój tak, tylko idź i zobacz - kazała matka.

Beth przystanęła na półpiętrze, patrząc ponad poręczą na schody prowadzące do sklepu. Słyszała, jak na dole coś się toczy, ale nie dochodziły jej przekleństwa towarzyszące zazwyczaj wszelkim wypadkom.

- Tato, czy wszystko w porządku? - zawołała.

Zmierzchało już i choć nie zapalili jeszcze gazowych lamp na górze, Beth była zaskoczona, że nie widzi u dołu schodów blasku świateł ze sklepu. Jej ojciec był szewcem i potrzebował dobrego światła do pracy, zawsze więc zapalał lampy długo przed zapadnięciem zmroku.

- Co tym razem zbroił ten niezdarny dureń? - wrzasnęła jej matka. - Powiedz mu, żeby skończył na dzisiaj pracę. Kolacja prawie gotowa.

Na Church Street, jednej z głównych handlowych ulic Liverpoolu, o godzinie siódmej wieczorem znajdowało się niewiele furmanek i powozów, więc jej ojciec powinien bez trudu usłyszeć obraźliwą uwagę swojej żony. Gdy na nią nie zareagował, Beth pomyślała, że pewnie udał się do wygodki na podwórku i być może do sklepu dostał się bezpański kot, który coś przewrócił. Ostatnim razem, kiedy zdarzyło się coś takiego, zawartość garnka z klejem zalala całą podłogę i uprzątnięcie bałaganu trwało kilka godzin, więc szybko zbiegła na dół, żeby zobaczyć, co się stało.

Drzwi prowadzące na podwórko były zaryglowane od wewnątrz, więc Beth stwierdziła, że ojciec nie zamknął się w wygodce, zaś znalazłszy się w sklepie pograżonym w półmroku, zobaczyła, że zasłony zostały już opuszczone.

- Tatku, gdzie jesteś? - zawołała. - Co to był za hałas? Nie było śladu kota i zdawało się, że wszystko jest

w najlepszym porządku. Drzwi wychodzące na ulicę były zaryglowane, ponadto ojciec zamiótł podłogę, zrobił porządek na stole warsztatowym i powiesił swój skórzany fartuch na kolku, jak robił to każdego wieczora.

Zaniepokojona Beth obróciła się i spojrzała w kierunku składziku, gdzie ojciec trzymał swoje zapasy

2

skóry, narzędzia i pozostały sprzęt. Musiał tam być, ale nie mogła sobie wyobrazić, jak cokolwiek widzi przy zamkniętych drzwiach, gdyż nawet w jasnym świetle dnia w pomieszczeniu było mroczno.

Złe przecucie sprawiło, że ciarki przebiegły jej po grzbiecie i zapragnęła, żeby w domu był jej brat Sam. On jednak poszedł zanieść buty klientowi mieszkającemu kilka mil stąd, więc szybko nie wróci. Dziewczynka wołała nie wołać matki z obawy przed kuksańcem za „wyglupy”, jak zawsze matka mówiła, kiedy jej zdaniem córka przesadzała. Inna sprawa, że Alice uważała, iż piętnastolatka powinna interesować się wyłącznie doskonaleniem umiejętności szycia, gotowania i innych prac domowych.

- Tatku! - zawołała Beth, naciskając klamkę drzwi składziku. - Jesteś tam? - Drzwi uchyliły się tylko na centymetr, tak jakby coś się za nimi znajdowało, więc napała i pchnęła ramieniem. Coś zazgrzytało na kamiennej podłodze, jakieś krzesła bądź pudło, które stało na drodze, więc parła mocniej, dopóki drzwi nie otworzyły się na tyle, żeby mogła zajrzeć do środka. Wewnątrz było stanowczo za ciemno, żeby cokolwiek zobaczyć, ale wiedziała, że jej ojciec jest w środku, gdyż czuła znajomy zapach: mieszaninę kleju, skóry i tytoniu do fajki.

- Tatku! Co ty tam robisz? Jest ciemno, że oko wykol - rzekła podniesionym głosem, ale w tym samym momencie dotarło do niej, że ojciec mógł stracić przytomność uderzony jakimś spadającym przedmiotem. Ogarnięta strachem cofnęła się do sklepu i pobiegła zapalić lampę. Zanim płomień zabłysł wystarczająco, żeby oświetlić szklaną osłonę i skapać sklep w złotym świetle, była już z powrotem w składziku.

7

Przez sekundę albo dwie myślała, że przy oknie widzi duży worek ze skórami, ale kiedy światło zapłonęło jaśniej, zobaczyła, że to nie worek, lecz jej ojciec.

Wisiał pod sufitem na jednym z haków z liną dookoła szyi.

Mimowolnie krzyknęła i cofnęła się przerażona. Głowa zwisała mu na jedną stronę, z wytrzeszczonymi oczami i ustami szeroko otwartymi w bezgłośnym krzyku wyglądał niczym wielka, potworna kukielka.

Hałas, który obie z matką słyszały wcześniej, stał się teraz aż nadto zrozumiały. Kiedy kopnął krzesło, na którym stał, uderzyło ono w pudelko z drobiazgami i puszki z pastą do butów oraz butelki z barwnikami do skóry rozsypały się po podłodze.

Był wczesny maj i zaledwie kilka godzin temu Beth sarkala pod nosem w drodze do biblioteki, ponieważ ojciec nie pozwalał jej pójść do pracy. Skończyła szkołę w zeszłym roku, ale on się upierał, że córki „z wyższych sfer” powinny do czasu zamążpójścia zostawać w domu, żeby pomagać matkom. Jej starszy o rok brat również narzekał. Nie podobało mu się, że musi uczyć się fachu u ojca, a chciał być marynarzem, dokerem, spawaczem albo pracować w jakimś innym zawodzie, który wiązałby się z pobytem na świeżym powietrzu w towarzystwie innych chłopaków. Ale tato wskazywał na szyld nad drzwiami głoszący „Bolton i Syn, Wytwórcy Półbutów i Trzewików” i oczekiwał, że Sam będzie tak samo dumny z faktu, że jest owym synem, jak on, kiedy jego ojciec kazał zrobić ten napis.

Jednak pomimo frustracji wynikającej z tego, że z góry zaplanowano im życie, Beth i Sam rozumieli motywy, którymi kierował się ich ojciec. Jego rodzice uciekli

8

do Liverpoolu z Irlandii w 1847, żeby uniknąć powolnej śmierci w czasie wielkiego głodu^{***}. Przez cztery lata mieszkali w zawilgoconej piwnicy na Maiden's Green, jednym z wielu cieszących się złą sławą nędznym skupisk ruder, jakich miasto było pełne. Frank, ojciec Sama i Beth, urodził się rok później i jego najwcześniejsze wspomnienia dotyczyły ojca, który ze swoim małym wózkiem krążył od drzwi do drzwi w lepszych dzielnicach Liverpoolu w poszukiwaniu butów i trzewików do naprawy, oraz matki, która każdego dnia wychodziła z domu, aby praniem zarobić parę groszy.

Kiedy Frank skończył siedem lat, zaczął pomagać swoim rodzicom, przynosząc ojcu buty od klientów, bądź też kręcąc rączką magła matki. Nawet kiedy był głodny, zmarznięty i zmęczony, wpajano mu, że jedynym sposobem uniknięcia ubóstwa jest ciężka praca do czasu, aż nie zaoszczędzą wystarczająco dużo pieniędzy, żeby kupić własny mały sklepik szewski.

Matka Sama i Beth, Alice, miała równie ciężkie dzieciństwo, gdyż jako dziecko została porzucona i wychowywała się w sierocińcu. Jako dwunastoletnią dziewczynkę wysłano ją do pracy. Została pomywaczką. Jej historie o wyczerpującej pracy oraz okrucieństwie kucharza i gosposi były dla Beth niczym żywcem wzięte z koszmaru.

Kiedy Frank poznał szesnastoletnią Alice, miał dwadzieścia trzy lata. Do tego czasu jemu i jego rodzicom udało się zrealizować swój cel: mieli już mały sklepik z dwoma pokojami na górze. Alice często ze śmiechem

* Wielki głód - klęska głodu, która dotknęła Irlandię w latach 1845-1849, spowodowana przez zarazę ziemniaczaną pustoszącą uprawy ziemniaków, będących podstawą wyżywienia Irlandczyków w tym okresie [przyp. red.].

powtarzała, że dzień ślubu był najszcześniejszym dniem jej życia, gdyż Frank zabrał ją, żeby zamieszkała z jego rodzicami. Ciagle musiała tak samo ciężko pracować, ale jej to nie przeszkadzało, gdyż celem było zdobycie lepszego lokalu, w którym teść i jej mąż mogliby robić buty, miast tylko reperować stare.

Ciężka praca w końcu się opłaciła i dzięki niej trafili na Church Street, do domku z dwoma piętrami nad sklepem, gdzie urodzili się zarówno Sam, jak i Beth. Dziewczynka nie pamiętała babci, bo była zaledwie dzieckiem, kiedy ona zmarła, ale uwielbiała dziadka, który nauczył ją grać na skrzypkach. Po śmierci dziadka przed pięciu laty, zdolności tatki w robieniu butów stały się powszechnie znane i teraz szły półbuty i trzewiki dla najbogatszych ludzi w Liverpoolu. Dalej wyciskał z siebie siódme poty od świtu aż po zmierzch i przez większość dni zasypiał zaraz po zjedzeniu kolacji, ale do dzisiejszego wieczora Beth była święcie przekonana, że jest bardzo szczęśliwy

- Co tu się do diaska dzieje? Słyszałam twój wrzask-z góry schodów zawołała rozszoszczona matka. - Znowu jakiś szczur?

Beth szybko się opanowała. Choć była przerażona i wstrząśnięta, instynktownie chciała chronić matkę.

- Nie sch odź na dół - odrzyknęła. - Sprowadź pana Cravena.

- Nie możesz przeszkadzać sąsiadom, kiedy jedzą kolację. Przecież ojciec może się tym zająć?

Beth nie wiedziała, co jej odpowiedzieć, więc podeszła do schodów i spojrzała w górę na matkę, mając nadzieję, że coś przyjdzie jej do głowy.

10

Alice Bolton miała trzydzieści osiem lat, ale wyglądała na o wiele młodszą ze względu na drobną budowę, złote włosy, duże jasnoniebieskie oczy i ten typ rysów i karnacji, które sugerują kruchość i delikatność.

Sam odziedziczył po niej jasne włosy i niebieskie oczy, ale miał prawie sześć stóp wzrostu, krzepę ojca i jego wyraziste rysy twarzy. Mówiono, że Beth jest kopia swojej irlandzkiej prababci; miała czarne kędziory, oczy jak dwa bławatki i hardy charakter, który pewnego dnia niewątpliwie wpędzi ją w tarapaty.

- Na litość boską, nie stój tam jak głupia - huknęła Alice. - Powiedz swojemu ojcu, żeby natychmiast przyszedł albo kolacja się zmarnuje.

Beth przelknęła ślinę, zdając sobie doskonale sprawę, że kłamstwa i uniki nie pomogą w takiej sytuacji.

- Mamo, on nie może przyjść - wyrzuciła z siebie. - Nie żyje.

Jej matka nigdy nie była zbyt bystra. Teraz też patrzyła na Beth, nic nie rozumiejąc.

- Mamo, tata się powiesił - powiedziała Beth, starając się opanować lzy i narastającą histerię. - Dlatego chciałam sprowadzić pana Cravena. Ty wracaj do kuchni.

- On nie może być martwy Kiedy przyszedł na górę na herbatę, nic mu nie było.

Beth z trudem tłumila ochotę do wyładowania się w dzikim wrzasku i niedowierzenie matki niemal wyprowadziło ją z równowagi. Tak, matka powiedziała prawdę, przy podwieczorku jej ojciec wydawał się całkowicie normalny. Chwalił ciasto z kminkiem i cieszył się, że skończył buty, które robił dla pana Greville'a.

Wydawało się mało prawdopodobne, że wrócił na dół, skończył pracę na dany dzień, uprzątnął stół

11

warsztatowy, a potem spokojnie odebrał sobie życie, wiedząc, że żona i córka znajdują się opodal na górze.

- Mamo, on jest martwy. Powiesił się w składziku - powiedziała Beth.

Matka potrząsnęła głową i ruszyła w dół po schodach.

- Jesteś paskudną dziewczyną, żeby mówić coś takiego - powiedziała zgorszona, odtrącając Beth, kiedy dotarła na dół. - Potem się tobą zajmę.

Beth złapała ją za ramiona i starala się odciągnąć od wejścia do sklepu. - Mamo, nie powinnaś tam iść - błagała. - To okropne.

Ale matka nie dała się powstrzymać; odepchnęła Beth na bok, podbiegła do składziku i szarpnięciem otworzyła drzwi na oścież. Kiedy zobaczyła męża, wydała okrzyk, który odbił się echem w całym budynku i urwał się nagle, gdy zemdlona padła na podłogę.

Sam przybył do domu godzinę później i ze zdziwieniem odkrył, że sklep nie jest pogrążony w ciemnościach, jak się tego spodziewał. Przez okno zobaczył pękatego doktora Gillespie i krzepkiego pana Cravena, ich sąsiada, i zanim otworzyli mu drzwi, wiedział, że stało się coś poważnego.

Doktor wyjaśnił mu, że kiedy jego matka zemdlła, Beth pobiegła do pana Cravena, który wysłał swojego syna po doktora i poszedł razem z Beth, żeby odciąć ciało jej ojca. Gdy przybył doktor Gillespie, kazał Beth zabrać matkę na górę, podać jej odrobinę brandy i położyć ją do łóżka.

Sam był wysokim, chudym i kościstym chłopcem liczącym sobie szesnaście lat. Gdy usłyszał nowiny, **12.**

zachwiał się, zbladł i niewiele brakło, żeby zemdlł. Ciało jego ojca leżało na podłodze przykryte kocem, spod którego wystawała jedna dłoń poplamiona na brązowo barwnikiem do skóry. Gdyby nie ten szczegół, Sam mógłby nie uwierzyć w to, co powiedzieli mu mężczyźni, ale znalazł dłonie ojca równie dobrze, jak własne.

Zapytał, dlaczego ojciec to zrobił, ale nikt nie potrafił mu odpowiedzieć. Pan Craven podrapał się w głowę i powiedział, że jest to dla niego zagadka, gdyż rankiem zajrzał do sklepu na pogawędkę i Frank był w dobrym humorze. Doktor Gillespie był równie zmieszany i opowiadał, jak poważany przez mieszkańców był Frank. Obydwaj byli równie przerażeni i wstrząśnięci jak Sam.

Doktor złapał Sama za ramiona i spojrzał mu prosto w oczy.

- Niedługo będzie tu wóz pogrzebowy - powiedział delikatnie. - W takich sprawach przeprowadzane jest dochodzenie. Sam, jesteś teraz panem domu i musisz zadbać o swoją matkę i siostrę.

Sam miał wrażenie, jakby pod jego nogami otworzyła się zapadnia i wylądował w miejscu, którego nie poznawał. Odkąd sięgał pamięcią, w jego życiu zawsze panował porządek i absolutna stabilność.

Często sarkał na codzienną rutynę, kiedy to jego ojciec pracował w sklepie od siódmej rano do późnego wieczoru, zaś matka gotowała i sprzątała na górze. A mimo to zawsze czuł się bezpiecznie, wiedząc, że nawet jeżeli w trakcie poszukiwań bardziej obfitującego w przygody życia powinie mu się noga, tutaj zawsze wszystko pozostanie takie samo i będzie mógł do tego wrócić.

13

Ale oto cała ta cenna pewność wyparowała w mgnieniu oka.

Jak taki łagodny, rozważny i dobry człowiek mógł kryć w sobie takie demony? I dlaczego nikt z bliskich nigdy ich nie dostrzegł? Jeszcze tego ranka Sam patrzył, jak ojciec staje u podnóża schodów i nasłuchuje gry Beth na skrzypkach. Nic nie powiedział, ale twarz promieniała mu dumą z jej talentu. Później, kiedy Sam skończył naprawiać parę butów, Frank poklepał go po ramieniu i pochwalil jego pracę.

Raz po raz wraz z Beth byli świadkami pełnych miłości spojrzeń, jakimi ojciec darzył ich matkę; widzieli, jak trzyma ją w ramionach i całuje. Jeżeli wszyscy tyle dla niego znaczyli, to dlaczego zechciał ich zostawić?

I co stanie się teraz z rodziną, bez mężczyzny, który był ich żywicielem, oparciem i pocieszycielem?

Rozdział drugi



Dziadkowy zegar stojący na półpietrze wybił północ, ale Sam i Beth ciągle siedzieli w kuchni, zbyt oszołomieni i zdenerwowani, żeby choćby myśleć o położeniu się do łóżka. Ciało ich ojca zabrano kilka godzin temu; Sam mocno trzymał rękę Beth, kiedy jeszcze raz opowiadała, jak znalazła tatę. Od czasu do czasu ocierał jej łzy swoją chusteczką i pocieszająco gładził po włosach. Zaś kiedy Sama ogarniało wzburzenie i jego głos wznosił się w gniewie, Beth wyciągała do niego rękę, żeby pogłodzić go po policzku.

Doktor Gillespie dał ich matce piwa, żeby ułożyć ją do snu, gdyż była rozhisteryzowana: wrywając sobie włosy z głowy, krzyczała, że Franka musiał powiesić ktoś inny, jako że mąż nigdy by jej dobrowolnie nie zostawił. Dzieci wiedziały, że to niemożliwe, żeby ktokolwiek inny brał udział w wydarzeniach tej nocy, ale rozumiały jej odczucia. Ich rodzice kochali się i byli szczęśliwi.

- Doktor pytał mnie, czy ojciec miał jakieś kłopoty w interesie - powiedział Sam z napięciem w głosie.

- Ale nie miał. Nie mogę sobie nawet przypomnieć żadnego nietypowego wydarzenia w minionych tygodniach, które tłumaczyłoby coś takiego.

- Może zdenerwował go jakiś klient? - zapytała Beth.

Czasem zdarzali się trudni i niemili klienci. Narzekali, gdy ojciec nie mógł zrobić ich półbutów lub trzewików tak szybko, jak chcieli, a kiedy przychodzili, żeby je odebrać, próbowali znaleźć w jego robociznie wady, żeby wyklócać się o opust w zapłacie.

- Z pewnością by nam powiedział. Poza tym wiesz, że zawsze podchodził do tego ze spokojem.

- Chyba nie myślisz, że to przez nas, prawda? - zapytała z niepokojem Beth. - Narzekałam, że nudzi mi się w domu, a ty zawsze wymykałeś się do doków.

Sam potrząsnął głową.

- Nie wydaje mi się. Raz słyszałem, jak śmiał się ze mnie przy kliencie. Powiedział, że jestem dobrym chłopcem, mimo że mam głowę w obłokach. A ty z pewnością go nie zdenerwowałaś, był z ciebie dumny.

- Ale jak będziemy teraz żyli? - zapytała Beth. - Nie masz wystarczającego doświadczenia, żeby prowadzić sklep!

Często zwracano uwagę, jak bardzo Beth i Sam różnią się od siebie. Nie chodziło tylko o fakt, że jedno było wysokie i miało blond włosy, a drugie drobne i ciemnowłose - ich charaktery również znacznie odbiegały od siebie.

Sam zawsze chodził z głową w obłokach, żyjąc w krainie marzeń pełnej fantastycznych przygód, bogactw i egzotycznych miejsc. Jednego dnia marnował czas w dokach, tęsknie patrząc na statki wypływające w ocean, zaś następnego zaglądał przez bramy wielkich domów, zachwycając się sposobem życia bogaczy Beth wiedziała, mimo iż nigdy nie przyznał się do tego przed nią, że prawdziwym powodem, dla którego nie chciał zostać szewcem bądź producentem butów, był fakt, że w ten sposób nikt nie stawał się bogaty ani nie prowadził ciekawego życia.

16

Dziewczyna była o wiele bardziej praktyczna i racjonalna od swojego brata, zaś swoje obowiązki wykonywała starannie i skrupulatnie. Była inteligentniejsza i czytała książki, raczej żeby zdobyć wiedzę niż uciekać od rzeczywistości. Ale potrafiła zrozumieć, dlaczego Sam żył w świecie fantazji, gdyż miała własne marzenie - grać na skrzypcach przed liczną, oklaskującą ją entuzjastycznie publicznością.

Rzecz jasna, było to nieosiągalne. Nawet gdyby nauczono ją grać na klasycznych skrzypcach, nigdy nie widziała w orkiestrze kobiety skrzypka. Grała jiga i skoczne tańce, melodie, z którymi zapoznał ją dziadek, zaś większość ludzi uważała, że to muzyka cygańska, odpowiednia jedynie do rozrywki w hałaśliwych piwiarniach.

Jednak mimo wszystkich różnic między Beth i Samem, byli sobie bardzo bliscy. Różnica wieku wynosiła zaledwie jeden rok, a że nigdy nie pozwolono im bawić się na podwórku, jak dzieci z sąsiedztwa, zawsze chętnie przebywali w swoim towarzystwie.

Sam wstał ze swojego krzesła i klęknął przed Beth, obejmując ją ramionami.

- Znajdę sposób, żeby się o was zatroszczyć - powiedział łamiącym się głosem.

W kolejnych dniach emocje Beth oscylowały pomiędzy przytłaczającym smutkiem a wściekłością. Nie potrafiła sobie przypomnieć dnia bez ojca - był zawsze obecny, jak zegar po dziadku wybijający kolejne godziny Czterdziestopięcioletni żyłasty mężczyzna z rzednącymi siwymi włosami, starannie przystrzyżoną bródką i dość wydatnym nosem był zawsze radosny i, jak się jej wydawało, szczerzy.

17

Być może nie okazywał przesadnie swoich uczuć - jego sposobem okazywania miłości i pochwały było poklepanie po ramieniu - ale nigdy nie dystansował się od dzieci, jak to robiło wielu innych ojców. Lubił, kiedy podczas pracy przychodziła do sklepu na pogawędkę, zawsze interesował się tym, co czytała i jej muzyką.

Ale teraz miała wrażenie, że nigdy go nie знаła. Jak mógł przyjść do kuchni na herbatę i siedzieć z żoną i córką, kiedy cały czas zamierzał wrócić na dół, dokończyć pracę, a potem się powiesić?

Opowiadał o parze butów zapinanych na guziki, które jakaś dama zamówiła wcześniej tego ranka, śmiejąc się, że zamówiła jasnoniebieski kolor, który będzie pasował do jej nowej sukni. Pokpiwał, że na brudnych ulicach Liverpoolu szybko tracą swój wygląd. Dlaczego o tym mówił, skoro wiedział, że nigdy ich nie zrobi?

Gdyby zmarł na atak serca albo podczas przechodzenia przez ulicę przejechałby go powóz, byłoby to straszne i czułoby teraz równie dotkliwy ból, ale przynajmniej żadne nie czułoby się zdradzone.

Ich matka nie przestawała płakać. Po prostu leżała w łóżku, rezygnując z posiłków i nie pozwalając im nawet odsłonić zasłon. Sam, święcie przekonany, że do tragedii przyczynił się jego brak entuzjazmu do zostania szewcem, był uosobieniem zagubionej duszy

Z kondolencjami przybyło jedynie kilku sąsiadów i Beth podejrzewała, że prawdziwym powodem ich wizyty była nie sympatia, lecz chęć zdobycia kolejnych informacji mogących stać się źródłem plotek.

W odwiedzinie przybył też ojciec Reilly, ale na wstępie wizyty uprzejmie stwierdził, że Frank Bolton nie może być

18

pochowany w poświęconej ziemi, jako że odebranie sobie życia było ciężkim grzechem.

Wyniki dochodzenia miały pojawić się w gazetach i wszyscy przyjaciele i sąsiedzi przeczytają o nich, a potem odetną się od rodziny Beth pomyślała, że robiąc to, co im zrobił, ojciec postąpił okrutnie i tchórzliwie. Nie sądziła też, żeby jej matka kiedykolwiek chciała ruszyć się z domu.

Piątego dnia po śmierci ojca Beth siedziała w saloniku, szyjąc czarne sukienki dla siebie i matki. Na zewnątrz świeciło słońce, ale zgodnie ze zwyczajem musiała trzymać opuszczone zasłony i światło było tak nikle, że trudno było jej nawlec igłę.

Dziewczyna zawsze lubiła szycie, ponieważ jednak matka nie była w stanie jej pomóc, Beth musiała odnaleźć szablon, pociąć materiał na stole w saloniku i sama uszyć suknie, gdyż brak odpowiednich strojów żałobnych przyczyniłby się do pogłębienia ich hańby

Oddałyby wszystko, żeby móc wyjąć swoje skrzypki i zagrać, gdyż wiedziała, że w muzyce może się zatracić i zapewne odnalazłaby w niej odrobinę pocieszenia. Ale gra na instrumencie tak szybko po bolesnej stracie wydawała się absolutnie nie na miejscu.

Zirytowana rzuciła szycie, podeszła do okna i odsunęła zasłonę, ledwie na kilka cali, żeby wyrzucić i zobaczyć ruch na Church Street.

Jak zawsze ulica była ludna. Za omnibusami, dorożkami, furmankami i powozami zostawały kupki końskich odchodów, których zapach, z powodu ciepłych promieni słońca, był dziś wyjątkowo ostry.

Dystygowane damy w eleganckich sukniach i ozdobnych

19

kapeluszkach przechadzały się ramię w ramię z dżentelmenami w surdutach ze sztywnymi kołnierzykami i cylindrach. Skłonne do matkowania wszystkim gospodynie domowe w poważnych ciemnych ubraniach niosły kosze z owocami i warzywami, zaś tu i ówdzie młode dziewczęta, być może służki mające wolne popołudnie, z tęsknotą wpatrywały się w witryny sklepów.

Ale była też tu całkiem pokaźna grupa ludzi biednych. Jednonogi mężczyzna o kulach żebrał przed Bunney's, sklepem na skrzyżowaniu powszechnie znanym jako Holy Corner, gdyż spotykały się tu ulice Lord Street, Paradise Street, Chapel Avenue i Church Alley. Umęczone kobiety niosły na rękach niemowleta, a trochę starsze dzieci trzymały się ich spódnic, zaś dookoła kręcili się bosonodzy ulicznicy o rozczochranych czuprynach nad umorusanymi twarzami, być może wypatrując czegoś, co mogliby ukraść.

Naprzeciwko przed sklepem rzeźnika utworzyła się kolejka i dzięki ciepłym promieniom słońca kobiety, które stały w niej i plotkowały, wyglądały na spokojne i odprężone. Beth jednak zobaczyła, że dwie z nich odwróciły się i spojrzały wprost na okna znajdujące się nad sklepem; dziewczyna zdała sobie sprawę, że właśnie powiedziano im o samobójstwie szewca.

W oczach wezbrały jej łzy, gdyż wiedziała, że po pogrzebie plotki nabiorą jeszcze większego impetu. Ludzie potrafili być tacy okrutni i zawsze czerpali przyjemność z nieszczęść innych. Mogła sobie wyobrazić, jak mówią, że choć Boltonowie zawsze uważali się za ciut lepszych od innych, Frank niewątpliwie powiesił się, ponieważ tkwił w długach. Beth niemal chciała, żeby tak było w istocie - przynajmniej wtedy dałoby się to zrozumieć.

20

Odwracając się od okna, rozejrzała się po saloniku. Był radością i dumą jej matki; wszystko, poczynając od wzorzystego kwadratowego dywanu i piesków z chińskiej porcelany stojących po obu stronach kominka aż po ciężkie, niewygodne krzesła z obiciami i grube zasłony było kopią rzeczy, które Alice widziała w dużym domu, gdzie pracowała jako pomywaczka.

Wiązała się z tym też chęć posiadania pianina; do wciągnięcia go przez okno potrzeba było sześciu mężczyzn. Żadne z rodziców nie potrafiło grać na instrumencie, ale dla matki była to oznaka wytworności, więc zmuszała Beth do nauki. Nie miała wątpliwości, że matka liczyła, iż osłabi to jej zamilowanie to skrzypek, instrumentu, który Alice uważała za pospolity.

Mimo iż Beth irytował stosunek matki do jej umiłowanych skrzypek, bardzo ucieszyła się na wieść o tym, iż lekcji gry na pianinie będzie udzielać jej pani Clarkson. Może i była trzydziestoletnią starą panną z siwymi włosami i jednym zezującym okiem, ale potrafiła też obudzić w człowieku inspirację. Nie tylko nauczyła Beth, jak czytać nuty i grać na pianinie, ale wprowadziła ją też w całkiem nowy świat książek, muzyki i pomysłów.

Przez pięć lat pani Clarkson była jej sprzymierzeńcem, przyjaciółką, powierniczką i nauczycielką. Uwielbiała słuchać gry Beth na skrzypkach i pianinie, przynosiła ze sobą książki, które jej zdaniem dziewczyna powinna przeczytać, uczyła ją o różnych rodzajach muzyki i czasami zabierała na koncerty. Ale Beth lubiła w niej najbardziej to, że nie miała tak ciasnego światopoglądu jak matka. Pani Clarkson żywiła przekonanie, iż kobiety powinny mieć takie same prawa jak mężczyźni, czy to w kwestii głosowania, odpowiedniego

9

wykształcenia, czy też pracy w jakimkolwiek zawodzie, na jaki miały ochotę.

Beth zapragnęła, żeby pani Clarkson została w Liverpoolu, ponieważ była jedyną osobą, która mogłaby pomóc jej i Samowi zrozumieć, dlaczego ich ojciec popełnił tak straszną rzecz. Ale wyemigrowała do Ameryki, ponieważ twierdziła, iż tłamsi ją hipokryzja, system klasowy i brak perspektyw dla kobiet w Anglii.

- Będę za tobą tęsknić - powiedziała do Beth, uśmiechając się z rezygnacją, kiedy ostatni raz się zegnały

- Nie tylko dlatego, że jesteś moją najzdolniejszą uczennicą, ale masz też lotny umysł, jesteś dzielna i tryskasz entuzjazmem. Obiecuj mi, że nie wyjdiesz za pierwszego mężczyznę, który cię o to poprosi, tylko po to, żeby mieć własny dom. Małżeństwo może być uważane przez większość za święty stan, ale nie w przypadku, kiedy wybierzesz niewłaściwego mężczyznę. I nie porzucaj muzyki, gdyż podnosi ona na duchu i pozwala ci na swobodę ekspresji, której taka jak ty dziewczyna potrzebuje.

Beth odkryła, że w kwestii muzyki pani Clarkson miała rację. Przenosiła ją w miejsca, gdzie powtarzające się polecenia jej matki odnośnie przyziemnych spraw codziennych nie mogły jej dosięgnąć, do świata, gdzie zabawa, wolność i ekscytacja nie były postrzegane z dezaprobatą.

Niestety, wiedziała, że mama nigdy tego nie zrozumie. Zawsze lubiła chęłpić się talentem córki przed sąsiadkami, ale nigdy nie przysłuchiwała się jej grze na pianinie i gardziła skrzypkami. Tatko słuchał i nie było dlań nic miłszego niż siedzenie i przysłuchiwanie się jej grze na pianinie w niedzielny wieczór. Upodobał sobie Chopina, ale lubił też, gdy grała i śpiewała popularne utwory z filharmonii. Jednakże nawet on nie był

10

zadowolony z upodobania Beth do skrzypiec, być może dlatego, iż przypominały mu o dzieciństwie i bał się, że dzikie irlandzkie jiggi, których nauczył grać Beth jego ojciec, wciągną ją w szemrane towarzystwo.

Słyszac Sama wchodzącego po schodach, Beth wróciła do szycia. Chłopak zajrzał do mamy leżącej w pokoju obok kuchni i parę minut później wszedł do saloniku.

Był błady i wynędzniały, zaś jego brwi marszczyły się w grymasie.

- Koroner wyda jutro ciało taty - powiedział znużonym głosem. - Nie znalazł niczego, co mogłoby wyjaśnić, dlaczego tak postąpił; ojciec nie był chory. Ale teraz przynajmniej możemy go pochować.

- Powiedziałaś mamie? - zapytała Beth. Sam pokiwał głową z przygnębieniem.

- Ciągle płacze. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek zamierzała przestać.

-Może przejdzie jej po pogrzebie - powiedziała Beth z większą dozą optymizmu, niż w istocie czuła.

-Niedługo będzie musiała przymierzyć tę suknię. Mam nadzieję, że nie zrobi kolejnej sceny

- Widziałem się z panią Craven. Powiedziała, że później wstąpi i postara się z nią porozmawiać. Może lepiej będzie, jak spróbujesz przymiarki wtedy. Jakkolwiek źle mama się czuje, nie będzie chciała pokazać przed sąsiadką, że troskę o wszystko zostawiła nam.

Beth uchwyciła w jego głosie gorycz, więc wstała i objęła go ramionami. Spędzał większość dni od brzasku do zmierzchu w sklepie, kończąc wszystkie naprawy i wiedziała, że jest bardzo zmartwiony i przestraszony.

-W noc, kiedy to się stało, powiedziałaś, że damy sobie radę i tak będzie - powiedziała.

23

- Mam wrażenie, że mama wie, dlaczego on to zrobił - powiedział Sam cichym głosem, opierając podbródek na jej głowie. - Sprawdziłem rachunki i choć nie ma zbyt dużo pieniędzy, nie jesteśmy w tarapatkach. Ojciec nigdzie nie wychodził, więc nie pił ani nie uprawiał hazardu i z pewnością nie miał innej kobiety. To może być tylko coś związanego z nią.

- Sam, nie myśl tak - błagała go Beth. - Obwinianie mamci nic nie zmieni.

Sam złapał ją mocno za ramiona i spojrzał prosto w oczy

- Czy nie rozumiesz, że teraz wszystko się zmieni? - zapytał gwałtownie. - Będziemy biedni. Chciałbym móc ci obiecać, że będę w stanie utrzymać sklep, ale mogę jedynie dokonywać napraw. Nie mam wystarczających umiejętności, żeby robić buty, a właśnie na tym zarabiał ojciec. Będę musiał zdobyć inną pracę, ale nie da się z niej utrzymać całej naszej trójki.

- Ja też mogę zdobyć pracę - powiedziała obojętnie Beth. - Poradzimy sobie, Sam.

Spojrzał na nią z powątpiewaniem.

- Być może dojdzie do tego, że będziemy musieli znaleźć tańsze mieszkanie albo przyjąć lokatora. Nie będziemy mogli żyć na takim poziomie, do jakiego przywykliśmy

W Beth znowu wzbudził gniew. Przez całe życie ojciec mówił jej, że chce dla niej i Sama życia, którego sam nigdy nie doświadczył. Dzięki niemu uwierzyła, że należą do wyższych sfer i wznoszą się ponad większość ich sąsiadów. A potem zhańbił ich i zrujnował bez jednego słowa wytłumaczenia.

Rozdział trzeci



Beth nakrywała stół do wieczornego posiłku i obserwowała matkę mieszającą zupę w garnku na kuchence. Jak zwykle przebywała w swoim własnym świecie, ledwie zdając sobie sprawę z faktu, że jej córka znajduje się w tym samym pomieszczeniu co ona.

Od czasu, kiedy została wdową, minęły trzy miesiące, ale jej stan nie uległ polepszeniu. Mimo że prała, gotowała i sprzątała mniej więcej tak samo jak zawsze, odzywała się tylko w odpowiedzi na bezpośrednie pytanie i nie interesowała się nikim ani niczym.

Pani Craven, ich miła sąsiadka, która okazała się tak pomocna w okresie po śmierci ich ojca, powiedziała Beth i Samowi, że powinni okazywać matce cierpliwość, gdyż żal ma przeróżny wpływ na ludzi i ich matka przerwie milczenie, kiedy będzie na to gotowa. Ale miesiąc temu nawet pani Craven straciła cierpliwość, kiedy przyszła z wizytą, a mama kazała jej odejść.

- Jej twarz była chłodna niczym marmurowy nagrobek! Dostałam gęsiej skórki, bo zachowywała się tak, jakby mnie nie znała — wzburzona zdała relację Beth.

Dziewczynie wydało się nieprawdopodobne, żeby jej mama odprawiła jedyną osobę, która była ich praw

dziwym przyjacielem. Z drugiej strony, nie okazała też żadnego uznania dla tego, co zrobił dla niej Sam.

Bardzo starał się utrzymać sklep, ale ludzie, którzy kiedyś przynosili buty do naprawy, przestali się pojawiać. Nie było jasne, czy działo się tak z powodu samobójstwa, czy też ich niewiary w umiejętności Sama. Był więc zmuszony wynająć sklep komu innemu. Kiedy powiedział o tym matce, ta ledwie wzruszyła ramionami.

Beth doszła do wniosku, że choć wcześniej Sam był beztroskim i bardzo leniwym chłopcem, okazał się teraz prawdziwym mężczyzną, który po mistrzowsku radzi sobie ze wszystkimi problemami rodziny. Jako że najemca z dołu płacił prawie cały czynsz, musieli znaleźć tylko niewielką sumę, żeby móc dalej przebywać w mieszkaniu. Sam załatwił sobie stanowisko młodszego księgowego w towarzystwie żeglugowym i wszystko, co zarobił, przynosił do domu do ostatniego pensa, żeby ich utrzymać. Mama powinna wychwalać go pod niebiosa, a nie tylko ignorować.

Inna sprawa, że nie pochwaliła też Beth, kiedy ta znalazła pracę jako asystentka w pasmanterii. Nigdy nie zapytała o godziny pracy ani płacę.

Jakiś czas temu Sam poczynił uwagę, że jest tak, jakby ich matkę zastąpiła jakaś ponura służka.

Powiedział to w żartach, ale tak właśnie to wyglądało, gdyż matka przyrządzała i podawała im posiłki bez jednego słowa. Nigdy nie była dobrym rozmówcą i drobne plotki o sąsiadach były szczytem jej możliwości, ale zawsze potrafiła słuchać i zauważała najmniejsze zmiany w dzieciach, okazując troskę, gdy któreś czuło się źle albo było mu smutno. Teraz nie zwracała uwagi, gdy byli zmęczeni bądź przeziębieni, nie czyniła nawet żadnych uwag na temat pogody.

12

Gdy pytali ją, co robiła w ciągu dnia, odpowiadała jednym prostym zdaniem: „Zrobiłam pranie” albo „Zmieniłam pościel”. W głębi duszy Beth kipiała z gniewu, chcąc wykrzyknąć jej w twarz, że dalej ma ich i dom, który kochała, podczas gdy świat jej dzieci wywinął kozła. Sam był uwiązany do biurka przez dziesięć godzin dziennie, gotowy na każde skinienie bądź zawołanie ludzi, którzy traktowali go niczym brud na podeszwach butów. Nie mógł oddalić się do doków na godzinę lub dwie, tak jak czynił to kiedyś - potrzebowali każdego pensa, który zarobił.

Być może Beth chciała pracować w sklepie, ale wkrótce odkryła, że praca w pasmanterii Hooleya nie przypominała niczego, co sobie wyobrażała. Wraz z innymi asystentkami musiała każdego ranka ustawić się w linii w celu sprawdzenia czystości paznokci i wypolerowania butów, i nawet kilka luźno zwisających kosmyków włosów było poważnym występkiem. Klienci często byli niegrzeczni, ale ona musiała uśmiechać się słodko, jakby należeli do szlachty. Bez pozwolenia nie mogła nawet udać się do wygodki, zaś rozmowa z inną asystentką groziła zwolnieniem. Cały czas ją obserwowano, oplatała ją sieć niezliczonych drobiazgowych reguł i odkryła, że po całym dniu na nogach jest wykończona. Ich matka rzadko wychodziła z domu, więc nie widziała szyderczych uśmiezków na twarzach ludzi ani nie docierały do niej ich kąśliwe uwagi. Sam i Beth musieli stawiać temu czoła każdego dnia.

Ale wszystkie uczucia niepokoju, oburzenia i irytacji, które Beth odczuwała na przestrzeni ostatnich miesięcy, zostały dziś przyćmione przez coś o wiele poważniejszego.

Tego dnia wcześniej zamykano sklepy, więc Beth dotarła do domu krótko po godzinie pierwszej.

Zamierzała

coś zjeść, a potem spróbować przekonać matkę, żeby wyszła z nią na słońce, na spacer. Ludzie, którzy przejęli sklep, zamierzali sprzedawać buty i w czasie ostatniego tygodnia cieśla budował półki i ladę. Kiedy Beth weszła tylnymi drzwiami, w sklepie przy otwartych drzwiach pracował malarz. Przepraszył za opary farby unoszące się w powietrzu i miał nadzieję, że nie było to przyczyną choroby jej matki, gdyż słyszał, jak wymiotowała w wychodku.

W naturalnym odruchu Beth zaniepokoiła się i pobiegła na górę zobaczyć się z matką. Ona jednak zaprzeczyła, że źle się czuje i powiedziała, że malarz się pomylił.

Mimo iż opary farby gęsto kłębiły się w ich mieszkaniu, matka odmówiła wyjścia na spacer z Beth. Tak więc dziewczyna wzięła trochę chleba z serem i wyszła sama.

Obecnie korzystali jedynie z tylnych drzwi, ale kiedy zbliżała się do Church Street drzwi do sklepu były szeroko otwarte, więc postanowiła się nimi wślizgnąć, żeby zaoszczędzić sobie chodzenia przez zaplecze. Było w pół do czwartej i zatrzymała się w małym holu koło schodów prowadzących do ich mieszkania, ponieważ przez otwarte tylne drzwi widziała na podwórku swoją matkę rozwieszającą pranie na sznurku.

Alice wyprostowała się, żeby dosięgnąć jednej z koszul Sama i Beth doznała wstrząsu, kiedy zobaczyła, jak bardzo urósł brzuch jej matki.

Jej mama była niska i zawsze bardzo szczupła, do tego stopnia, iż ojciec mógł objąć jej kibić złączonymi rękoma. Trzy miesiące temu, kiedy Beth robiła jej przymiarke sukni żałobnej, dalej miała taką samą figurę. Ale teraz się zmieniła. Na czarną suknię miała nałożony

28

lniany fartuch, lecz jego pasek znajdował się znacznie powyżej zwyczajowego miejsca i jej wydęty brzuch był dobrze widoczny

Beth była tak wzburzona, że niemal krzyknęła, żeby uprzedzić matkę, iż ją obserwuje. Nie chodziło o ogólną tuszę, gdyż odkąd została wdową, twarz Alice znacznie wyszczuplała. Beth doskonale wiedziała, co oznacza wydęty brzuch, nawet jeśli dobrze wychowane młode damy nie powinny wiedzieć o takich rzeczach.

Była to jeszcze jedna rzecz, którą wytłumaczyła Beth pani Clarkson. Powiedziała, iż absurdem jest trzymać młode dziewczyny w niewiedzy na temat czegoś tak naturalnego, zaś ignorancja była niebezpieczna, gdyż mężczyźni mogli ją wykorzystać. Tak więc Beth wiedziała, jak robi się dzieci. Odkrycie, iż rodzice po jej narodzinach nadal oddawali się owemu zajęciu, było dla niej krępujące, ale teraz głównym zmartwieniem Beth stał się sposób poruszenia tego tak delikatnego tematu z matką. Wiedziała jednak, że musi to zrobić, gdyż jeżeli miało się narodzić dziecko, musieli poczynić stosowne plany.

Kiedy jej matka wróciła do mieszkania i składała suche pranie, Beth bacznie ją obserwowała, mając nadzieję, iż się pomyliła. Fartuch znalazł się na właściwym miejscu, brzuch Alice nie był widoczny i matka wydawała się po prostu trochę grubsza w pasie.

Beth popijała herbatę z kubka i starała się zebrać odrobinę odwagi, spodziewając się wrogości ze strony matki. Czas nagle, niedługo wróci Sam, a nie mogła rozmawiać o ciąży w obecności mężczyzny, nawet własnego brata.

Wzięła głęboki oddech i zapytała wprost.

- Będziesz miała dziecko, prawda, mamo?

29

Beth nie była pewna, jak czułaby się z wiedzą, że będzie mieć małego braciszka albo siostrzyczkę. Ale reakcja matki na jej pytanie jasno pokazała, że rodzicielka uważa to za katastrofę. Jej twarz zmarszczyła się, objęła rękoma swój brzuch, jakby chciała go ukryć i wydała z siebie udręczony jęk.

Beth liczyła się z tym, że usłyszy w odpowiedzi polecenie pilnowania własnego nosa, ale z pewnością nie przewidywała tak dramatycznej reakcji.

- Wiem, że teraz, kiedy nie ma z nami tatki, może ci się to wydawać straszne, ale Sam i ja pomożemy - powiedziała szybko, podchodząc do matki. Nie starała się jej objąć, bo kiedy próbowała to robić w ostatnich trzech miesiącach, matka cofała się jak oparzona.

Ale tym razem niespodziewanie objęła Beth, płacząc niczym dziecko.

- Nie wiedziałam, jak wam o tym powiedzieć - szlochała. - Tak bardzo bałam się tego, co się z nami stanie.

Beth po prostu ją trzymała, czując wielką ulgę. Matka w końcu z nią rozmawia i wszystkie inne troski zdawały się nieistotne.

- Nie ma się czym martwić - powiedziała uspokajająco. - Daliśmy radę do tej pory to poradzimy sobie i z dzieckiem. Może to jest właśnie to, czego potrzebujemy, żeby znowu być szczęśliwymi. Wiesz, kiedy dziecko się urodzi?

- Myślę, że w grudniu - powiedziała Alice, osuszając oczy fartuchem. - Ale jestem za stara, żeby mieć kolejne dziecko. Jest wystarczająco źle żyć ze wstydem uczynku twojego ojca, a teraz ludzie zaczną mówić o nas od nowa.

30

- Nie jesteś za stara - stanowczo powiedziała Beth. - I co to ma za znaczenie, co powiedzą inni? To nie ich sprawa.

Zrobiła kolejny kubek herbaty, zaś matka wydmuchała nos i przyznała, że ujawnienie prawdy ulżyło jej.

- Zachowałam się bardzo źle w stosunku do waszej dwójki - przyznała. - Ale byłam tak zmartwiona i przerażona, że nie mogłam myśleć o niczym innym. Co sobie pomyśli Sam?

- To samo co ja, że będziemy mieli małego braciszka albo siostrzyczkę - powiedziała spokojnie Beth. Czowała ulgę, że dziwne zachowanie jej matki w końcu znalazło wyjaśnienie. - Mamo, wiem, że teraz wszystko wygląda dość nieciekawie, ale będzie lepiej. I dobrze by było, żebyś znowu zaprzyjaźniła się z panią Craven, bo będziesz potrzebować jej pomocy, kiedy przyjdzie czas porodu.

Pani Craven miała reputację świetnej akuszerki.

- Dlatego właśnie kazałam jej odejść, bałam się, że zgadnie - przyznała Alice. - Po tym, co zrobił Frank, przerastało mnie to.

Później tego wieczora, jak już ich matka położyła się do łóżka, Beth i Sam siedzieli w kuchni pogrążeni w rozmowie. Kiedy Beth wzięła go wcześniej na bok i z dużym zażenowaniem podzieliła się nowymi informacjami, Sam zrobił przerażoną minę. Wyszeptał, że to ostatnia rzecz, jakiej potrzebują, ale był na tyle taktowny, że nie okazał swoich uczuć matce.

Teraz gdy siedzieli sami i miał trochę czasu, żeby to przemyśleć, zlagodził nieco swoje nastawienie.

31

-Nie mogę powiedzieć, że perspektywa wrzaskliwego, biegającego wszędzie berbecia napawa mnie radością - przyznał. - Ale to przynajmniej wyjaśnia, co dolegało mamie. Myślałem, że skończy w zakładzie dla umysłowo chorych.

- To musiało być dla niej wyjątkowo straszne - powiedziała Beth. - Zwłaszcza że jej własna matka zapewne urodziła ją, nie mając męża, gdyż inaczej by jej nie opuściła. Miejsce, w którym mama dorastała, sąsiadowało z przytulkiem. Podejrzewam, iż bała się, że tam skończy.

- Nigdy bym do tego nie dopuścił - zdecydowanie powiedział Sam. - Ale to nas ograniczy

- Co masz na myśli? - zapytała Beth. Ściągnął usta i zmarszczył brwi.

- Tato nie zostawił po sobie wiele i większość z tego pochłonęły wydatki na pogrzeb i nasze utrzymanie, dopóki się nie zatrudniłem. Nasze obie pensje ledwie starczą nam na przeżycie. Ale miałem nadzieję, że mama z czasem ponownie wyjdzie za mąż i obydwójce będziemy wolni.

Beth nigdy nie wyobrażała sobie mamy ponownie wychodzącej za mąż i tak też mu powiedziała.

- Cóż, lepiej zacznij się z tym liczyć - powiedział z nutką sarkazmu. - Jeżeli spotkasz jakiegoś chłopca, który będzie chciał się z tobą ożenić, nie będzie mu w smak branie cię razem z twoją matką i jej dzieckiem. A ja też nie zamierzam tkwić tutaj wiecznie. Chcę zobaczyć świat.

Beth chciała zganić go za samolubstwo, ale nie mogła się na to zdobyć, gdyż wiedziała, że tak naprawdę nigdy by ich nie opuścił.

32

- Na razie nie martwmy się o przyszłość - zasugerowała. - Zobaczysz, jakoś z tego wybrniemy.

Było długie, gorące lato; mleko kwaśniało przed południem, smród z wychodków i ścieków bił pod niebiosa, zaś pokryte warstwą kurzu liście na drzewach zwisały w bezruchu. Miasto nie uciszało się nawet po zapadnięciu zmroku, ponieważ było zbyt gorąco, żeby spokojnie móc zasnąć. Niemowlaki płakały, psy szczekały, dzieci godzinami bawiły się na ulicach, zaś przed knajpami wybuchało więcej pijackich burd niż zazwyczaj.

Dla Beth każdy dzień spędzony w pasmanterii Hoo-leya był ciężką próbą wytrzymałości. Od południa okna sklepu były całkowicie skąpane w słońcu i temperatura w środku przekraczała dziewięćdziesiąt stopni. Klienci byli drażliwi i często bardzo niemili; kazali jej otwierać jedną szafę ze skarpetami i pończochami za drugą. Często Beth musiała ugryźć się w język, żeby powstrzymać się od kąśliwej riposty. W czarnej sukience z wysokim kołnierzykiem i halką pod spodem zlewała się potem, jej stopy były spuchnięte i obolałe, więc nieraz zachodziła w głowę, dlaczego kiedyś perspektywa pracy wydawała się jej cudowna.

Samowi w pracy powodziło się lepiej, gdyż okna księgowości wychodziły na morze i gdy były szeroko otwarte, do pomieszczeń wpadała chłodna bryza. Ale w sztywnym kołnierzyku i marynarce dość często zapadał w drzemkę bądź też tęsknie spoglądał na statki kołyszące się na morzu i pragnął znaleźć się na jednym z nich.

Ale ich matka cierpiała jeszcze bardziej. Nie miała apetytu, w słońcu robiło się jej słabo i już wczesnym popołudniem jej kostki i nogi tak nabrzmiwały, że nie

33

mogła chodzić. Beth przestraszyła się, widząc, jak bardzo schudła i jak zmizerniała jej twarz, ale brzuch matki zdawał się rosnać z każdym dniem.

Upały zelzały wreszcie pod koniec września i nadeszły deszcze trwające niemal bez przerwy przez dwa tygodnie. W końcu mogli znowu spać w nocy, opady oczyściły ulice, zaś ich matka zaczęła jeść trochę więcej.

Alice przeprosiła panią Craven za swoje niegrzeczne zachowanie, sąsiadka zaś okazała się na tyle miła, że każdego dnia zaglądała na chwilkę i pomagała przy cięższych pracach. Razem odnalazły pudełko z dziecięcymi ubrankami, które należały do Sama i Beth, a inna sąsiadka pożyczyła im kołyskę.

Zima nie zagościła na dobre przed końcem listopada, ale kiedy się pojawiła, towarzyszyły jej mocny wiatr i gryzące zimno. W drugim tygodniu grudnia, kiedy padał śnieg, Beth wróciła do domu piątkowego wieczoru i znalazła w kuchni panią Craven, która napełniała duży garnek wodą, żeby zagotować ją na kuchence.

- Zaczęła rodzić około południa - wyjaśniła kobieta. - Na szczęście zajrzałam z wizytą, wracając z targu. Chcę, żebyś poszła i poprosiła doktora Gillespie, by rzucił na nią okiem.

Beth poczuła dreszcz niepokoju, ale pani Craven objęła ją kojącym uściskiem.

- To tylko środek ostrożności - nalegała.

Beth widziała doktora po raz pierwszy od nocy, gdy ojciec się powiesił, i czuła dojmujące zażenowanie, że musi powiedzieć mu, dlaczego potrzebuje go teraz.

- Rodzi dziecko! - zawołał i na jego okrągłej czerwonej twarzy wykwitł szeroki uśmiech. - Cóż za nie

34

spodzianka! Jak się z bratem macie? Te kilka ostatnich miesięcy musiało być dla was ciężkie.

-Jakoś sobie radzimy, doktorze - powiedziała Beth. Radosny uśmiech lekarza sprawił, że poczuła się odrobinę mniej niespokojna, a jego zainteresowanie nią i Samem dodawało otuchy. - Rzecz jasna, dziecko było dla nas wszystkich niemalym zaskoczeniem. Ale pani Craven powiedziała, że chciała, by pan zajrzał tylko w ramach ostrożności.

Ale kiedy Beth słuchała przy drzwiach do sypialni tego, co doktor mówił pani Craven, zrozumiała, że nie chodziło tylko o ostrożność.

- Jest bardzo drobną kobietą, a dziecko jest duże. Pani Bolton nie jest też młoda ani bardzo silna. Pani Craven, zostawię ją teraz w pani zdolnych rękach, ale proszę nie wahać się wezwać mnie ponownie, jeżeli zajdzie taka potrzeba.

Serce Beth zaczęło walić ze strachu i kiedy wraz z upływem wieczoru słyszała, jak matka krzyczy z bólu, ogarnęło ją przerażenie. Sytuacji nie polepszał fakt, że Sam nie wrócił do domu. Była tylko pani Craven, a ona nie wpuszczała Beth do sypialni.

- Sama cię zawołam, jeżeli będę potrzebowała pomocy albo jeszcze raz trzeba będzie wezwać doktora - powiedziała stanowczo. - Czasami poród zajmuje całe wieki, ale nie przejmuj się krzykami, większość kobiet krzyczy i o niczym to nie świadczy.

Sam wrócił niedługo po dziesiątej, w samą porę, żeby pani Craven mogła wysłać go po doktora, i choć nie zdradziła, dlaczego znowu potrzebuje lekarza, Beth widziała rysujący się na jej twarzy wielki niepokój.

16

Sam wrócił z doktorem Gillespie, który ponownie zniknął na pewien czas w sypialni.

Okolo północy Gillespie wrócił do kuchni i poprosił o miskę z gorącą wodą, żeby umyć ręce. Zdjął już marynarkę, zakasał rękawy i szorując ręce i przedramiona, obejrzał się przez ramię na Sama i Beth.

- Muszę szybko wyjąć dziecko - powiedział. - Proszę dostarczyć mi więcej czystych prześcieradeł i ręczników. Widzę, że obydwójce jesteście przestraszeni, ale nie martwcie się, waszej mamie nic nie będzie.

Beth skoczyła, żeby przynieść prześcieradła i doktor zabrał je do sypialni, zamykając za sobą drzwi.

Wkrótce potem jęki matki się urwały i Sam stwierdził, że doktor musiał podać jej eter.

Zrobiło się bardzo cicho. Na zewnątrz wciąż padał śnieg, głuszac odgłos toczących się po pogrążonej w mroku ulicy powozów. Jedynymi dźwiękami dochodzącymi z sypialni były sporadyczne kasznięcia bądź stłumione instrukcje doktora dla pani Craven, jak również trzaski pryskających iskrami i przesuwających się węgli w piecyku.

Sam i Beth nie odzywali się do siebie. Po prostu siedzieli po obu stronach kuchennego stołu, bladzi i podenerwowani, obydwójce ogarnięci własnymi lękami.

Nagle dało się słyszeć krzątanie, a potem odgłos kroków i cichy głos lekarza.

-No, no, ale duża dziewczynka - usłyszeli podekscytowany głos pani Craven i kilka chwil później rozległ się płacz dziecka.

- Dzięki ci, Panie - krzyknął Sam, ocierając spocone czoło rękawem.

17

Niedługo potem z sypialni wyszła pani Craven, trzymając w ramionach dziecko owinięte w koc.

Wyglądała na wyczerpaną, ale jej twarz rozjaśniał uśmiech.

- Oto wasza mała siostrzyczka. Całkiem przy kości - powiedziała z nutką dumy.

Jeżeli chodziło o Beth, widok splamionego krwią fartucha pani Craven rozwiał wszelką radość i zachwyty, jakie mogła odczuwać na widok małej siostrzyczki.

- Czy z mamą wszystko w porządku? - zapytała.

-Już niedługo, doktor właśnie teraz ją zszywa - odpowiedziała pani Craven. - Ale możecie zająć się tym maleństwem - powiedziała, podając zawiniątko Beth. - Włóżcie ją do kołyski blisko piecyka, żeby było jej ciepło. Muszę wrócić i pomóc doktorowi.

Podczas gdy Sam poszedł wziąć zostawioną w saloniku kołyskę, Beth stała, patrząc na trzymane w ramionach dziecko. Nigdy nie widziała noworodka i pomimo iż pani Craven powiedziała, że jest duży, jej wydawał się drobny, czerwony i pomarszczony. Miał czarne włosy i mimo iż nie mogła zobaczyć oczu zasłoniętych przez grzywkę, podobały się jej małe usteczka, które otwierały się i zamykały niczym u rybki.

Sam przyniósł kołyskę.

- Myślę, że powinniśmy najpierw ogrzać materacyk i kolderkę - zasugerowała Beth, gdyż mimo że zrobiło się naprawdę chłodno, nie rozpalali ognia w saloniku. -Co o niej myślisz?

Sam spojrział na dziecko i niepewnie pogłaskał je palcem po policzku.

-Jest trochę brzydka - powiedział, marszcząc nos z niesmakiem.

37

- Wcale nie jest - sprzeciwiła się Beth. - Jest urocza; to tak jak z patrzeniem na nowo narodzonego szczeniaka albo kocię. W pierwszej chwili wszystkie wyglądają jak małe szczury, ale wkrótce robią się bardzo ładne i z nią też tak będzie.

W trakcie zamieszania z przygotowaniem kołyski dla dziecka i zaparzeniem herbaty dla pani Craven i doktora, na chwilę zapomnieli o swojej matce. Dopiero kiedy sąsiadka wróciła do kuchni z dużym zawiniątkiem zakrwawionych prześcieradel i poprosiła Sama o przyniesienie z podwórka cynowej wanienki, żeby je namoczyć, od razu wrócili do rzeczywistości.

- Będzie się kiepsko czuła przez pewien czas - powiedziała pani Craven poważnym głosem. - Musi odzyskać siły dzięki odrobinie dobrego bulionu, jajek i mleka. Kiedy skończy z nią doktor, możecie do niej zajrzeć na minutę albo dwie. Ale nie oczekujcie zbyt wiele, bo przeszła ciężkie chwile.

Wydawało się, że minęło parę godzin, zanim doktor Gillespie w końcu wyszedł z sypialni, choć w istocie nie było to więcej niż dwa kwadransy. Kiedy zdejmował swój poplamiony krwią fartuch, wyglądał na zmęczonego. Podszedł do zlewu, żeby przemyć ręce.

- Czy macie w domu jakąś brandy? - zapytał.

- Myślę, że tak, sir - powiedział Sam, kierując się po nią do spiżarni.

- Dobry z ciebie chłopak, dodaj jej mamie do gorącego mleka. - Podszedł do kołyski i spojrzal z góry na śpiące dziecko. - Przynajmniej ona wydaje się zdrowa, pani Craven wytłumaczy wam, co będzie jej potrzebne. Wróć jutro rano, żeby sprawdzić, co u waszej matki.

38

Wziął ze swojej torby małą ciemnobrązową buteleczkę i postawił ją na stole.

- Gdyby wasza matka cierpiała w nocy, dajcie jej tego dwie albo trzy krople w ciepłej wodzie.

Postarajcie się też, żeby wypila trochę wody.

- Idźcie! Teraz możecie ją zobaczyć - ponagliła ich pani Craven, kiedy doktor wyszedł. - Potem też muszę udać się na spoczynek.

Sam i Beth na paluszkach wślizgnęli się do pokoju matki, nie bardzo wiedząc, czego się spodziewać. Biorąc pod uwagę, co miało tu miejsce, wszystko wyglądało zaskakująco normalnie, choć z płonącego paleniska biło gorąco i w powietrzu unosił się osobliwy zapach. Ale Alice wyglądała, jakby się skurczyła; na dużym mosiężnym łóżku zajmowała nie więcej miejsca niż dziecko, a w świetle gazowej lampy na jej twarzy ukazały się dziwne plamy

- Mamo, jak się czujesz? - zapytał Sam. - Wszystko mnie boli - wycharczała Alice. - Co z dzieckiem?

- Nic jej nie jest, śpi opatulona w swojej kołysce - łagodnie powiedziała Beth. - Musisz to wypić - dodała, podchodząc bliżej, żeby podtrzymać matkę, kiedy ta piła mleko z brandy - Dzisiaj będę spała z nią w kuchni, żeby było jej ciepło i żebym miała na nią oko. Na zewnątrz sypie śnieg.

Kiedy matka skończyła pić i Beth ułożyła ją z powrotem na łóżku, kobieta złapała przedramię córki.

- Proszę, nie chciałabym, żebyście mnie za to znienawidzili - powiedziała błagającym tonem.

- Za co mielibyśmy cię znienawidzić? - Beth zmarszczyła brwi i ze zdziwieniem spojrziała na Sama.

39

- Za zostawienie was z takim ciężarem - odpowiedziała, zamykając oczy.

Beth ciałniej owinęła mamę pościelą i skrzyła lampę gazową do poziomu delikatnej poświaty. Sam dorzucił kilka węgli do ognia i cicho wyslizgnęli się z pokoju.

- Czy ona myśli, że umrze? - zapytała Sama Beth, kiedy pani Craven udała się do domu.

- To pewnie efekt lekarstwa, które dał jej doktor - odpowiedział z namysłem. - Nie zwracaj sobie tym głowy

- Jeżeli mam opiekować się dzieckiem, nie mogę jutro pójść do sklepu - powiedziała Beth. - Pan Hooley nie będzie zadowolony, bo niedługo Boże Narodzenie. Co zrobimy, jeżeli nie zatrzyma dla mnie stanowiska, dopóki mama nie wydobrzeje?

- Nie zwracaj sobie tym teraz głowy - ze znużeniem powiedział Sam. - Napisz dla niego wiadomość, a ja wsunę ją pod drzwi pasmanterii w drodze do pracy A teraz dołóż lepiej trochę węgla do piecyka, żeby naszej małej siostrzyczce było ciepło. Zastanawiam się, jakie imię zechce jej nadać mama.

- Myślę, że wygląda jak Molly - powiedziała Beth, jeszcze raz zaglądając do kołyski. - Mam tylko nadzieję, że nie obudzi się do następnej wizyty pani Craven. Nie mam zielonego pojęcia o dzieciach. Beth spała niespokojnie w starym fotelu obok piecyka, owinięta w koce i z nogami opartymi na krzeselku. Budziła się na odgłos najłżejszego dźwięku, ale za każdym razem był to jedynie trzask iskier w piecyku bądź też ciche pomrukiwanie dziecka. Ale kiedy starała się ponownie zasnąć, jej umysł pograżał się w rozmyślaniach na temat osobliwej prośby ich matki.

40

O szóstej rano Beth tuliła do siebie dziecko, starając się uciszyć jego płacz, kiedy ku jej uldze przez tylne drzwi wmaszerowała pani Craven, tupiąc nogami, żeby pozbyć się śniegu, który przyłgnał do jej butów.

- Dziecko trzeba przewinąć i nakarmić - powiedziała władczo i, zrzuciwszy swój płaszcz, wzięła niemowlę z rąk Beth i zaczęła odwijać przemoczony koc, każąc dziewczynie przynieść pudełko z dziecięcymi ubrankami i chusteczki.

Zafascynowana Beth obserwowała, jak starsza kobieta delikatnie obmywa drobne ciało; z uwagą wysłuchiwała też instrukcji na temat zmieniania kawałka prześcieradła dookoła węzła pępowiny i posypywania go specjalnym proszkiem, dopóki nie odpadnie. Następnie zwinęła chusteczkę w trójkąt i owinęła ją dookoła dziecięcego tyłeczka.

- Kiedy później otworzą sklepy, musisz pójść i zobaczyć, czy uda ci się kupić dla niej parę wodoodpornych majteczek z indyjskiej gumy - powiedziała pani Craven. - Nie było ich, kiedy rodziły się moje dzieci, ale uważam, że są darem niebios, gdyż dzięki nim ich ubranka i pieluchy pozostają suche.

Pieluszkę musisz zmieniać co dwie, trzy godziny. Jeżeli mała będzie miała mokro, dostanie odparzeń. Ubierając dziewczynkę w małą koszulkę nocną, podzieliła się dalszym pokaznym zbiorem informacji na temat opieki nad dzieckiem, ale większość z nich przemknęła przez umysł Beth, nie zagrzewając tam miejsca.

- Teraz zabierzemy ją do twojej mamy na karmienie - powiedziała, oddając dziecko Beth. - Matka może protestować, gdyż nie najlepiej się czuje, ale kobieta po

19

porodzie zawsze szybciej zdrowieje, kiedy trzyma swoje dziecko w ramionach.

Alice wyglądała odrobinę lepiej, gdyż plamy na jej twarzy rozmyły się i otworzyła oczy, starając się uśmiechnąć. Kiedy pani Craven delikatnie pomogła jej usiąść na łóżku, żeby ułożyć za jej plecami więcej poduszek, krzywiła się z bólu i wyglądała na bardzo wymizerowaną.

Beth wiedziała, że operacja, którą przeprowadził doktor Gillespie, nazywała się cesarskim cięciem i powinna zostać zrobiona w szpitalu. Ale nie miał wyboru: mamy nie można było ruszać, zaś dziecko trzeba było szybko wydobyć; w przeciwnym wypadku umarłyby obie.

- Cóż, pozwólmy dziecku na małe co nieco - powiedziała pani Craven, rozpinając przód nocnej koszuli mamy. - Potem damy ci coś do picia, coś do zjedzenia i wygodniej cię ułożymy.

Na widok piersi matki Beth oblala się rumieńcem, ale kiedy pani Craven przysunęła dziecko, które szybko do niej przylgnęło i zaczęło z zapalem ssać, na widok takiej zachłanności zakłopotanie dziewczyny obróciło się w zachwyt i nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

- Jest z niej mała wojowniczką - powiedziała pani Craven czule. - A teraz, jakie imię zamierzacie jej dać?

- Myślę, że to Molly - powiedziała Beth, siadając na skraju łóżka.

- A więc będzie Molly - powiedziała z cieniem uśmiechu jej matka.

Rozdział czwarty

Po dniach, które nastąpiły po narodzinach Molly, Beth nie miała dla siebie ani jednej chwili, gdyż był to niekończący się ciąg przewijania i tulenia Molly, dogładania matki, w tym pomagania jej załatwić się do nocnika, gdyż nie była w stanie zejść na dół do wychodka, a potem prania i wykonywania innych prac domowych. Śnieg ciągle zalegał ziemię grubą warstwą i przez większość dni okolicę nawiedzały kolejne śnieżycy. Było tak ciemno, że Beth często musiała palić gazowe lampy w środku dnia. Kiedy wybiegała po warzywa, gdy z wizytą zawitała pani Craven, nie zwlekała, gdyż jakkolwiek Church Street wyglądała zapraszająco z witrynami sklepów ustrojonymi na Boże Narodzenie, sprzedawcami gorących kasztanów i kataryniarzami, było zbyt zimno, żeby długo pozostawać na zewnątrz.

Mała siostrzyczka podbiła jej serce. Dogładanie Molly nie było obowiązkiem a przyjemnością, nie czuła się też zmęczona innymi czynnościami, które się z tym wiązały. Ale po tygodniu jej radość zastąpiła trwoga o matkę.

Na początku mogłoby się wydawać, że Alice systematycznie wraca do zdrowia. Trzeciego dnia po porodzie poprosiła Beth o omlet, który zjadła do ostatniego

kawaleczka, i odrobinę budyniu ryżowego. Po karmieniu trzymała Molly przez dłuższy czas i chętnie rozmawiała z Beth, wyjaśniając jej tajniki postępowania z dziećmi i kulinarne upodobania maluszków. Czwartego dnia czuła się mniej więcej tak samo aż do wieczora, kiedy to nagle stwierdziła, że jest jej bardzo gorąco. Następnego ranka Beth musiała pobiec po doktora Gillespie, ponieważ matka była cała rozpalona.

Doktor powiedział, że taka reakcja nie jest niczym niezwykłym u kobiety czwartego albo piątego dnia po porodzie i zalecił Beth, żeby podawała matce dużo płynów i trzymała ją w ciepłe. Ale z Alice było coraz gorzej i gorączka trawiła ją do tego stopnia, że traciła świadomość, kim jest. Wokół matki zaczął się unosić brzydki zapach, wstrząsały nią też okropne bóle żołądka, których nie mogło uśmierzyć nawet lekarstwo podane przez doktora.

Pani Craven nazywała to gorączką płożową, ale doktor Gillespie miał na to o wiele wymyślniejszą nazwę. Przychodził dwa razy dziennie, przepłukiwał łono matki jakimś antyseptykiem, a potem wypełniał je gazą.

Dalej przystawiali Molly do jej piersi, choć Alice nie była w stanie utrzymać malej, ale w końcu pani Craven przyniosła szklaną butelkę z gumowym smoczkiem. Nie musiała wyjaśniać, dlaczego; było widać, że Alice jest w tak kiepskim stanie, iż nie będzie mogła wytworzyć wystarczającej ilości mleka. Molly zabrała się do butelki z entuzjazmem, zaś Beth czerpała frajdę z karmienia jej, siedząc w wygodnym krześle przy piecyku. Urzekał ją sposób, w jaki Molly szeroko otwierała oczy, kiedy zaczynała pić; wyglądały niczym dwie ciemnoniebieskie kule. Mała machała też swoimi malutkimi rączkami, tak jakby miało to jej

21

pomóc szybciej pochłonąć mleko. Ale kiedy zawartość butelki kończyła się, jej oczy przygasaly, zaś rączki z rezygnacją opadały na boki.

Często Beth siedziała godzinę albo dłużej, trzymając Molly na ramieniu i masując jej plecki w celu pobudzenia krążenia, tak jak zalecała to pani Craven. Uwielbiała zapach malej i dotyk, ciche westchnienia zadowolenia i ogólnie wszystko, co było z nią związane. Nawet po przewinięciu pieluch i opatuleniu maleństwa kocem tak szczelnie, że widać było tylko jej maleńką główkę, kiedy ułożyła ją z powrotem w kolysce, przystawała i patrzyła, jak mała śpi, zachwycając się cudem nowego życia. Jednakże jej radość mącił zły stan zdrowia matki. Zarówno doktor Gillespie, jak i pani Craven absolutnie nie sugerowali, że Alice nie dojdzie do siebie, ale choć Beth starała się być optymistką, w pokoju obok wyczuwało się zbliżający cień śmierci.

Ich życzliwa, kompetentna sąsiadka zaglądała teraz co dwie, trzy godziny i z coraz większej liczby zakrwawionych prześcieradeł, cuchnącego zapachu oraz sposobu, w jaki pani Craven z niepokojem dokładała coraz więcej węgla do ognia w kuchni, Beth wnioskowała, że jest to tylko kwestia czasu. Beth nie podzieliła się swoimi obawami z Samem, gdyż wiedziała, że brat martwi się o pieniądze. Pan Hooley z pasmanterii nie potraktował przychylnie prośby Beth o wolne w najbardziej ruchliwym okresie i nie było mowy o tym, żeby zatrzymał posadę do momentu jej powrotu. Jakby tego było mało, Sam zamarał w księgowości i mówił, że ciężko jest ładnie pisać, kiedy palce grabieją z zimna. Perspektywa spędzenia kolejnych dwóch czy trzech miesięcy zimy w tak mroźnym

45

miejscu pracy przepelniała go lękiem. Beth tłumaczyła sobie, że jeżeli wspomni mu o fakcie, iż ich matka najprawdopodobniej umrze i będzie musiał w pojedynkę utrzymywać ją i Molly, może ulec pokusie i wziąć nogi za pas.

Jednakże niedzielnego wieczoru, kiedy Sam przez cały dzień obserwował gorączkową krzątaninę toczącą się dokoła, z zatroskanego wyrazu jego twarzy Beth wynioskowała, że w końcu i do niego dotarło, jak kiepsko mają się sprawy

- Dlaczego nic mi nie powiedziałaś? - zapytał z wyrzutem Beth, która siedziała, tuląc Molly.

- Miałaś wystarczająco dużo na głowie - odrzekła zgodnie z prawdą. - Poza tym miałam nadzieję, że się jej poprawi.

Zadzwoił mały dzwoneczek, który Beth umieściła przy łóżku matki, w razie gdyby Alice czegoś potrzebowała. Beth wstała i, ciągle trzymając Molly w ramionach, udała się do sypialni.

W środku było gorąco i duszno, zaś nieprzyjemny zapach wzmógł się.

- Chcesz coś do picia, mamó? - zapytała Beth, omijając wzrokiem twarz matki. Patrzenie na nią sprawiało jej ból, policzki Alice zapadły się, odsłaniając rysunek kości, a oczy miała wytrzeszczone jak ryby leżące na desce krawalni sprzedawcy ryb.

- Nie. Zawołaj Sama, muszę porozmawiać z wami obojgiem - odpowiedziała głosem ledwie wzbijającym się nad ochryply szept.

Sam przyszedł natychmiast i skrzywił nos, czując niemiły zapach.

46

- Podejdźcie bliżej - wyszeptala matka. - Mówienie sprawia mi ból.

Brat i siostra nachylili się nad jej łóżkiem; Beth mocno przyciskała Molly do swej piersi.

- O co chodzi, mamó? - zapytał drżącym głosem Sam.

- Muszę powiedzieć wam coś złego - powiedziała Alice. - Wiem, że umieram, ale nie potrafię odejść, mając to na sumieniu.

Sam zaczął zaprzeczać, że wcale nie umrze, a poza tym jest dobra i niewinna, ale Alice powstrzymała go słabym ruchem ręki.

- Nie jestem dobrą kobietą - powiedziała łamiącym się i chrapliwym głosem. - Wasz ojciec zabił się z mojego powodu.

Sam pytająco spojrzal z ukosa na Beth. Siostra wzruszyła ramionami, zakładając, że jej matka po prostu bredzi w gorączce.

- Miałam innego mężczyznę. Wasz ojciec odkrył to na kilka tygodni przed tym, jak odebrał sobie życie. Powiedział, że mi wybaczy, jeżeli przysięgnę mu, iż nigdy więcej nie zobaczę się z tym mężczyzną. - Urwała, słabo pokasłując. Ani Beth, ani Sam nie ruszyli się, żeby podać jej szklankę wody.

- Złożyłam tę przysięgę - kontynuowała, kiedy napad kaszlu minął. - Ale nie potrafiłam jej dotrzymać i kiedy tylko udało mi się wyrwać, dalej spotykałam się z tym mężczyzną. Ostatni raz widziałam go rankiem tego dnia, kiedy Frank się powiesił.

Beth była oszołomiona.

- Jak mogłaś? - krzyknęła.

47

- Ty, ty... - wykrzyknął Sam, którego wykrzywiona odrazą twarz poczerwieniała z gniewu. - Ty dziwko!
- Nie ma słów, które sprawią, że będę się czuła gorzej niż obecnie - wychrypiała Alice. - Zdradziłam waszego ojca i jestem odpowiedzialna za jego śmierć. Był dobrym człowiekiem, zbyt dobrym dla mnie.
- A Molly? Kto jest jej ojcem? - krzyknęła Beth.
- Ten drugi mężczyzna - powiedziała matka, zamykając oczy, jakby nie mogła znieść widoku rozgniewanych twarzy swoich dzieci. - Zajrzyjcie do szuflady, gdzie trzymam swoje pończochy - rzekła. - Jest tam list, który znalazłam tamtej nocy, Frank wsadził mi go pod poduszkę. Sam otworzył małą szufladę u góry toaletki i przez chwilę w niej szperał, po czym wyciągnął kartkę papieru listowego. Przyniósł ją do lampy gazowej i zaczął czytać.
- Co tam jest napisane? - zapytała Beth.

Droga Alice - czytał Sam.

Od pewnego czasu wiem, że ciągle spotykasz się ze swoim kochankiem. Kiedy znajdziesz ten list, odejdę i będziesz mogła żyć z mężczyzną, na którym zależy ci bardziej ode mnie. Proszę tylko, żebyś ze względu na nasze dzieci odczekała przyzwoity czas po mojej śmierci, zanim się z nim zejdziesz.

Kochałem cię. Przykro mi, że to nie wystarczyło.

Frank

Kiedy Sam czytał list, Beth zaczęła płakać. Oczami wyobraźni zobaczyła swojego cichego, łagodnego ojca piszącego ową wiadomość w sklepie i przychodzącego tu w porze podwieczorku, żeby wsunąć ją pod poduszkę. Nawet ze złamanym sercem nie uciekł się do gniewu

48

bańdź złości, lecz do samego końca pozostał kochającym mężem i ojcem.

Sam przysunął się do Beth i objął ją ramieniem, patrząc na śpiącą w jej ramionach Molly. Po policzkach spływały mu łzy

- Kochałam waszego ojca, ale była to słodka miłość przyjaźni - odpowiedziała łamiącym się głosem. - Namiętność to coś zupełnie innego. Może pewnego dnia sami to odkryjecie i zrozumiecie.

- Ale dlaczego ten drugi mężczyzna nie przyszedł po ciebie? - gniewnie krzyknął Sam. - Skoro to była prawdziwa miłość, to dlaczego nie ma go teraz przy tobie?

- Moim największym błędem było pomylenie miłości z pasją, żądzą i namiętnością - odpowiedziała, wpatrując się w syna płonącymi oczami. - Kiedy tylko usłyszał, że Frank umarł, rozpląnął się w mroku nocy. To była moja największa kara, świadomość, iż oddałam się kobieciarzowi, który nic do mnie nie czuł, podczas gdy Frank umarł, myśląc, że znalazł sposób, żeby być szczęśliwym.

- Czy ten drugi mężczyzna wiedział, że nosisz jego dziecko? - łkając, zapytała Beth.

- Nie, Beth. Zdałam sobie z tego sprawę dopiero po naszym ostatnim spotkaniu.

Zaczęła rzeźnić i kaszleć i było jasne, że jest zbyt słaba, żeby powiedzieć cokolwiek więcej.

- Idź spać - szorstko powiedziała Beth. - Porozmawiamy rano.

Jakiś czas później Sam maszerował w tę i z powrotem po kuchni, błądzący z gniewu.

- Jak ona mogła? - powtarzał w kółko. - A jeżeli nie dojdzie do siebie, to mamy opiekować się tym bachorem?

49

Beth płakała, tuląc Molly w ramionach.

- Sam, nie mów tak. To tylko dziecko, to nie jej wina, a poza tym, to nasza siostra.

- Ona nie jest moją siostrą - pienił się. - Nasz ojciec mógł być wystarczająco słaby, żeby zaakceptować, iż jego żona ma kochankę, ale ja nie zamierzam pójść w jego ślady. Mała może się wynosić.

- Dokąd? - przez łzy zapytała Beth. - Mam ją zabrać do przytulku? Zostawić na czyimś progu?

- Nie potrafię i nie będę utrzymywał dziecka mężczyzny, który uwiódł moją matkę i spowodował, że mój ojciec odebrał sobie życie - stanowczo oznajmił Sam z zaciętym wyrazem twarzy. - Pozbądź się jej! Beth została na nogach długo po tym, jak Sam udał się do łóżka. Przewinęła i nakarmiła Molly, po czym ułożyła ją w kolysce i usiadła na krześle, starając się ogarnąć całą sytuację.

Ale niczego nie rozumiała. Do dzisiejszej nocy nie przypuszczała, że kobieta mająca dobrego męża, dzieci i wygodny dom kiedykolwiek mogłaby chcieć czegoś więcej. Oczywiście słyszała szeptane historie o rozwiązłych kobietach, które spędzały czas ze swoimi mężami, jak również innymi mężczyznami, ale zawsze wyobrażała je sobie jako dziwki malujące twarze i chodzące do piwiarni. Z pewnością nie widziała w tej roli zwyczajnych kobiet, takich jak jej własna matka.

Nie rozumiała słowa „pasja” w znaczeniu, o jaki chodziło jej matce. Pani Clarkson lubiła to określenie, ale przeważnie używała je w kontekście muzyki. Ale raz, kiedy opowiadała, jak robi się dzieci, wspomniała, że „pasja” przejmuje kontrolę nad niektórymi kobietami

50

i pozbawia je ich własnej woli. Beth musiała założyć, że właśnie to spotkało jej matkę.

Beth, pochlipując ciągle, siedziała na krześle, kiedy z sypialni matki dobiegł ją jakiś dźwięk. Coś upadło na podłogę, być może szklanka. Tej nocy nie miała już ochoty na oglądanie Alice, ale wiedziała, że musi tam wejść i sprawdzić, co się stało.

Jej matka leżała na boku z jednej strony łóżka, starając się dosięgnąć rodzinnego zdjęcia stojącego na nocnym stoliku. Zrobiono je rok temu w koszu plażowym na plaży New Brighton, kiedy udali się tam na August Bank Holiday*. Sięgając po nie, przewróciła buteleczkę z tabletkami, które przepisał jej doktor.

- To chciałaś? - zapytała Beth, podnosząc zdjęcie i wyciągając je w kierunku chorej, żeby na nie spojrziała.

Matka z wielkim trudem podniosła rękę i położyła na zdjęciu jeden palec.

- Nikomu nie mów o Molly - wyszeptala. - Niech wszyscy myślą, że jest dzieckiem Franka. Zrób to nie dla mnie, a dla niej; daj jej też to zdjęcie, kiedy dorośnie, żeby wiedziała, jak wyglądaliśmy

Jej ręka przesunęła się ze zdjęcia, żeby chwycić nadgarstek córki. Była sucha niczym jesienny liść, drobna i koścista, ale pochwyciła dłoń Beth w żelaznym uścisku.

- Tak bardzo przepraszam - powiedziała. - Powiedz, że mi wybaczasz.

* Dzień wolny od pracy, pod koniec XIX w. był to pierwszy poniedziałek sierpnia, dziś przypada w ostatni poniedziałek sierpnia [przyp. red.].

51

Beth wyczuła instynktownie, że to już koniec albo jest on bardzo bliski. Cokolwiek zrobiła jej matka i kogokolwiek skrzywdziła, nie mogła pozwolić jej umrzeć bez jednego życzliwego słowa.

- Tak, mamó, wybaczam ci - powiedziała.

- Więc mogę już odejść? - zapytała szeptem Alice. Uścisk na ręce Beth zelżał i ręka matki opadła na koc.

Beth stała i patrzyła na nią przez pewien czas, zanim zorientowała się, że Alice przestała oddychać.

Rozdział piąty

Będziemy mieli najtańszy pogrzeb - upierał się Sam. - To przez nią nie można było pochować ojca w poświęconej ziemi i nikt nie przybył na pogrzeb, żeby powiedzieć, jak dobrym był człowiekiem. Więc dlaczego mielibyśmy urządzić coś lepszego dla niej?

- Nie możemy pozwolić, żeby miała pogrzeb jak nędzarka - powiedziała zmęczonym głosem Beth, gdyż walcowali to już kilka razy, od momentu kiedy wrócił na kolację, a teraz dochodziła prawie jedenasta godzina. - Co ludzie o nas pomyślą?

- A czemu mielibyśmy się tym przejmować! - wybuchnął. - Poza Cravenami, od czasu śmierci ojca i tak wszyscy rozsiewają o nas złośliwe plotki. Niech robią to dalej.

Beth zaczęła płakać; nie mogła poznać tej osoby o kamiennym sercu, która zajęła miejsce brata. Od śmierci matki nie minęła nawet doba i jej ciało wciąż leżało w łóżku, a mimo to rankiem Sam wyruszył do pracy, tak jakby nic się nie stało. Rzecz jasna rozumiała, że bał się stracić pracę, gdyby postąpił inaczej, ale po prostu mógł jej to wytłumaczyć, powiedzieć kilka łagodnych słów, którymi dałby znać, że nie gniewa się również na nią.

- Nie płacz, Beth - powiedział i jego oczy złagodniały. - Nie chcę być okrutny, ale jesteśmy pod ścianą. Nie

możemy wydawać na jej pogrzeb pieniędzy, których nie mamy. I musimy pozbyć się tego dziecka!
Beth opiekuńczo przesunęła się w stronę kołyski Molly

- Sam, nie mów tak. Jest naszą siostrą i nie opuszczę jej. Możesz sprzedać pianino albo cokolwiek innego, żeby zdobyć pieniądze, przyjmiemy współlokatora albo przeprowadzimy się do tańszego miejsca, ale Molly zostaje z nami.

- Nie mogę na nią patrzeć - powiedział. Jego oczy wypełniły się łzami. - Zawsze będzie mi przypomnieniem tego, do czego matka doprowadziła naszego ojca.

- Gdyby mama nie była taka szczerą i gdyby odważnie nie przyznała się do prawdy, o niczym byśmy nie wiedzieli - nie dawała za wygraną Beth. - Poza tym, ojciec byłby się przewrócił w grobie, gdybyśmy odwrócili się plecami od bezbronnego dziecka, nawet jeżeli nie byłoby jego. Znajdź więc w sobie odrobinę człowieczeństwa i pogódź się z tym, że z Molly musimy postąpić uczciwie.

Sam tylko patrzył na nią zamyślony

Zanim odezwał się ponownie, minęło trochę czasu.

- Jeżeli ujmiesz to w ten sposób, to chyba muszę się z tobą zgodzić. - Westchnął. - Ale nie spodziewaj się, żebym kiedykolwiek przejawiał w stosunku do niej jakieś uczucia. I nie miej do mnie pretensji, kiedy odkryjesz, co naprawdę znaczy być biednym.

Beth wystarczyło, że Sam spuścił z tonu.

- Więc ja pójdę na kompromis i zorganizuję najtańszy pogrzeb. Ale nie miej do mnie później pretensji, jeżeli będziesz się czuł źle z tego powodu.

26

Święta były ponure - nie mieli ani pieniędzy, ani ochoty na świętowanie. W rano Bożego Narodzenia zostawili Molly u pani Craven i udali się do kościoła, ale nie dało im to żadnej otuchy, gdyż przypomniało radość świąt w poprzednich latach. Kilka osób podeszło, żeby złożyć im wyrazy współczucia, ale nie było w tym szczerości, a jedynie ciekawość.

Dwa dni później odbył się pogrzeb, w czasie którego Molly pilnowała najstarsza córka pani Craven. Intensywne opady deszczu stopiły śnieg, ale teren wokół cmentarza owiewał mroźny wiatr, który przenikał ich do szpiku kości, kiedy tania trumna była opuszczana do grobu. Poza Samem i Beth pojawiło się tylko troje żałobników: państwo Cravenowie i doktor Gillespie. Kiedy ojciec Re-illy zaintonował słowa ostatniej modlitwy za umarłych, Beth zerknęła na miejsce, gdzie w niepoświęconej ziemi leżał jej ojciec. Pomyślała też, jak niesprawiedliwe jest, że mężczyzna, który nikogo nie skrzywdził, znajduje się tam, podczas gdy jego cudzołożna żona spoczywa na cmentarzu.

Pierwszy tydzień stycznia, kiedy Sam skończył siedemnaście lat, a jego siostra szesnaście, zmusił ich do sprzedaży pianina. Beth przesadnie na nim nie zależało, gdyż ciągle miała swoje cenne skrzypki, ale widok pianina opuszczanego przez okno na ulicę uświadomił jej straszliwą ironię losu.

Dla jej rodziców pianino było symbolem sukcesu w podźwignięciu swoich dzieci do klasy średniej; jako takie miały nigdy nie zaznać trudów, które sami musieli cierpieć. Lecz oszczędzenie im nędzy i ochrona przed

55

twardą rzeczywistością życia codziennego sprawiły, że zarówno jej, jak i Samowi brakło teraz wiedzy, jak radzić sobie z ubóstwem.

Beth potrafiła upiec ciasto, prawidłowo nakryć do stołu, wykrochmalic i wyprasować koszule, jak również nabyła tuzin innych wytwornych talentów, ale nigdy nie nauczono jej zaplanować tygodniowego wyżywienia z drobnego budżetu. Sam potrafił przytargać węgiel do piecyka, odśnieżyć podwórze i być w pracy o czasie każdego dnia, ale nie miał zielonego pojęcia, jak odetkać zlew albo naprawić zerwany sznur do podnoszenia i spuszczenia okiennych rolet.

Przez całe ich dzieciństwo w saloniku zawsze płonął ogień, rozpalano też w piecyku w kuchni i nawet w sypialniach, kiedy robiło się naprawdę zimno. Przed zapadnięciem zmroku we wszystkich pokojach zapalano gazowe lampy i każdego dnia czekały na nich owoce w misce, ciasto w brytfannie i posiłek z mięsem.

Wkrótce po świętach Bożego Narodzenia skończył się węgiel i kiedy składali zamówienie na kolejną dostawę, cena, jaką usłyszeli, przyprawiła ich o wstrząs, mogli więc pozwolić sobie tylko na palenie w piecyku w kuchni. Gaz pożerał pensy w takim tempie, że bali się z niego korzystać. Z ich diety zniknęły owoce i ciasta.

Zarobki Sama wydali na jedzenie na długo przed piątkiem i po tym, jak wyjedli wszystkie konserwy oraz zapasy cukru i mąki, które ich matka przezornie upchnęła w spiżarni, do następnej wypłaty żyli o samym chlebie.

Być może Sam powinien wstrzymać się ze sprzedażą okrągłego mahoniowego stołu, będącego oczkiem w głowie ich matki, do czasu uzyskania lepszej oferty, ale potrzebowali pieniędzy, żeby zapłacić za węgiel

56

i uregulować rachunek doktora Gillespie. Bez wątpienia zostali oszukani przy sprzedaży stojącego zegara. Ale żadne z nich nie znalazło realnej wartości owych przedmiotów, zaś sprzedawcy używanych mebli wyczuwali desperację klientów.

Mimo że Beth uwielbiała zajmować się Molly, nie brała pod uwagę samotności wiążącej się z przesiadywaniem w domu z dzieckiem. Wydawało się, że nie ma dla siebie nawet minuty, żeby poczytać, pograć na skrzypkach czy też wziąć kąpiel. Kiedy Sam wracał z pracy, nie miał ochoty słuchać opowieści o zachowaniu Molly i poza panią Craven nie miała z kim porozmawiać; nieustannie też martwiła się o pieniądze.

W połowie marca Sam nie widział innej możliwości, żeby związać koniec z końcem, jak znalezienie wspóllo-katorów.

Jeden ze starszych księgowych z jego biura wspomniał o swoim kuzynie Thomasie Wiley i jego żonie Jane, którzy pomieszkiwali wraz z jego rodziną od momentu, kiedy Thomas sprowadził się z Manchesteru w celu podjęcia pracy na poczcie w Liverpoolu. Para była w średnim wieku i Beth z miejsca zapalała niechęcią do Jane. W tej kobiecie wszystko było odpychające - począwszy od oczu, które biegały po całym pomieszczeniu, kiedy mówiła, poprzez wyraz twarzy, a na głosie z pobrzmiwającą w nim piskliwą nutą kończąc.

Nie okazała żadnego zainteresowania Molly i zmierzyla Beth takim wzrokiem jakby oceniała wartość jej ubrań. Gdy Beth zasugerowała, żeby ustaliły, kiedy która z nich przygotowałyby wieczorny posiłek, Jane odprawiła ją słowami, że nie potrafi gotować.

57

Thomas, jej mąż, jowialny mężczyzna o rumianej twarzy, był miłszy w obejściu i zdawał się być bardzo wdzięczny za ofiarowanie saloniku i starej sypialni Beth na najwyższym piętrze nad kuchnią, jako że teraz ona i Molly mieszkają w pokoju należącym kiedyś do rodziców. Thomas powiedział, że zaczął już tracić nadzieję na znalezienie jakiegoś przyzwoitego lub choćby czystego miejsca, gdyż zdarzyło mu się już oglądać pokoje, w których nie trzymałby nawet psa.

Niestety, wkrótce wyszło na jaw, że Thomas nad swoją żoną i dom przedkładał picie. Przez większość wieczorów pojawiał się grubo po dziesiątej.

Beth bardzo starała się żyć w zgodzie z Jane, ale od samego początku było jasne, że nowo przybyła jest zdania, iż współlokatorowi należy usługiwać. Drugiego dnia pobytu nakazała Beth wypełnić cynową wannę w sypialni. Kiedy Beth wytłumaczyła jej, że ona i Sam zawsze biorą kąpiel w kuchni, jako że jest to o wiele wygodniejsze i jest tam cieplej, nie wspominając już o tym, że Jane sama musi sobie napełnić i opróżnić wannę, kobieta zachnęła się wzburzona, stwierdzając, że nigdy o czymś takim nie słyszała. Kobieta rozlewała wodę po całej podłodze w kuchni i nie podejmowała żadnych prób posprzątania po sobie. Narzekała, że płacz Molly budzi ją w nocy i że materac na łóżku jest zbity. Gdy Molly obudziła się w nocy, Beth popędziła, żeby ją nakarmić, a potem spędziła dobrą godzinę, trzepiąc puchowy materac na zewnątrz, żeby stał się bardziej puszysty, ale Jane nie odwdzieczyła się za to w żaden sposób. Potrafiła narobić balaganu nawet przy parzeniu kubka herbaty i nigdy po sobie nie sprzątała. Namaczała pranie w zlewie, po czym znikala, więc Beth

58

musiała zrobić je za nią, bo inaczej nie mogła korzystać ze zlewu.

Dzień po dniu Beth obserwowała, jak spokojne i uporządkowane życie, do którego była przyzwyczajona i jakie starała się utrzymać, ulega stopniowej degradacji. Kiedy kąpała Molly w zlewie, Jane przychodziła i zaczynała smażyć bekon, strącając na podłogę czystą nocną koszulkę, kocyk i pieluchę z miejsc, gdzie schły przy piecyku. Jeżeli Beth chciała usiąść na krześle, żeby nakarmić Molly, okazywało się, że siedzi już tam Jane. Wyjadała ich jedzenie i nie myła po sobie talerzy ani garnków. Wkrótce Beth straciła nadzieję, że kiedykolwiek zaproponuje posprzątanie kuchni, schodów czy wychodka, choć Thomas wracał w zabloconych butach i następnego ranka Beth widziała brudne ślady na całym półpiętrze i schodach prowadzących na górę.

Nie mogła się nikomu poskarżyć. Nie tylko dlatego, że trochę bała się Jane, ale zdawała sobie sprawę, jak rozpaczliwie ona i Sam potrzebują pieniędzy z czynszu. Lecz bardzo trudno było przyglądać się, że zawsze tak czysty i schludny dom przekształca się w melinę, wysłuchiwać pijackich bredni Tomasa późno w nocy i nie mieć ani krzty prawdziwej prywatności. Granie na pianinie bądź skrzypkach zawsze było skutecznym i sprawdzonym sposobem na ucieczkę od problemów, ale nie miała już pianina, zaś z nieodstępującą jej na krok Jane nie miała nastroju do grania na skrzypkach. Czula się niczym sprężyna w zegarku dokręcana w nieskończoność i bała się momentu, kiedy ta sprężyna w końcu pęknie.

Zdarzyło się to pewnego lipcowego poranka. Sam i Thomas wyszli do pracy godzinę wcześniej.

Trzymając w ramionach Molly, Beth weszła do kuchni, aby ją

59

nakarmić, gdy dostrzegła Jane nalewającą część mleka z dziecięcej butelki do swojej herbaty

- Co ty robisz? - krzyknęła Beth. - To mleko Molly!

- Innego mleka nie ma - odpowiedziała Jane.

- No to wyjdź i kup sobie - wściekle odparowała Beth. - Jaki człowiek zabiera mleko dziecku?

- Nie mów do mnie w ten sposób. - Oczy Jane zwięzły się i groźnie przysunęła swoje chude oblicze tuż do twarzy Beth. -1 tak ją przekarmiasz, dlatego jest taka gruba.

W wieku siedmiu miesięcy Molly była pulchna, ale Beth czerpała dumę z tego, że mała jest tak zdrowa i silna. Miała kędziory czarnych włosów, cztery zęby i potrafiła samodzielnie siedzieć prosto. Była szczęśliwym, zadowolonym dzieckiem, które potrafiło śmiać się i gaworzyć przez cały dzień.

- Nie jest gruba, tylko piękna, a ty powinnaś się wstydzić - odgryzła się Beth. - Wystarczy, że kradniesz nasze jedzenie. Czy teraz muszę chować też mleko Molly?

- Nazywasz mnie złodziejką? - wrzasnęła Jane, łapiąc Beth za włosy i gwałtownie szarpiąc do tyłu, sprawiła, że dziewczyna krzyknęła z bólu. - No właśnie, mazgaj się. Myślisz, że jesteś taka można i wyniosła? Ale co jest w tobie takiego możnego i wyniosłego? Twój stary się wykończył i wszyscy wiedzą, dlaczego.

Puściła włosy Beth i spojrzała na nią z pogardą.

-Nie wiesz, że wszyscy gadają o twojej starej? Ja i Tom usłyszeliśmy o tym, zanim w ogóle się tu wprowadziliśmy Twój stary musiał być niespełna rozumu, żeby powiesić się, zamiast wyrzucić ją na ulicę. Nic dziwnego, że twój brat nie chce mieć nic wspólnego z tą smarkułą.

Beth cofnęła się z Molly na ramionach. Była przerażona faktem, że prawda o jej matce wyszła na jaw i bała

29

się też Jane, ale miała już dość i nie zamierzała dopuścić, żeby kobieta zdobyła nad nią przewagę.

- To, co mówisz, jest wierutną bzdurą - odrzyknęła jej. - Nie pozwolę, żeby ktoś szargał dobre imię mojej matki, więc możesz zabierać manatki i wynosić się z domu.

- A niby jak mnie do tego zmusisz? - Jane wyzywająco oparła ręce o biodra. - Może twój duży braciszek mnie wyrzuci? - Zaniosła się rechotem. - Gówniany mięczak z niego.

Beth w mgnieniu oka zdała sobie sprawę, że musi być silna i walczyć o swoje prawa. Obróciła się, skoczyła do sypialni i bezpiecznie ułożyła Molly w jej kołysce. Mała zawyla w proteście, ale Beth zignorowała ją i wróciła do kuchni, żeby stawić czoła Jane.

- Nie potrzebuję swojego brata - powiedziała buntowniczo. - Sama poradzę sobie z ludźmi twojego pokroju. Wynocha, a ja spakuję twoje rzeczy i wystawię na podwórze, żeby Thomas odebrał je później. Jane skoczyła na nią z jedną ręką wzniesioną do wymierzenia jej policzka, ale Beth była szybsza i złapałszy przeciwniczkę za nadgarstek, wykręciła go, przez co kobieta pisnęła z bólu.

-Won! - krzyknęła, ciągle wykręcając jej nadgarstek i popychając w stronę schodów. - A jeżeli jeszcze kiedyś spróbujesz się tu pokazać, to pożałujesz.

Poza drobnymi przepychankami z Samem, kiedy byli młodszy, Beth nigdy z nikim nie walczyła, ale gniew dodał jej siły i determinacji.

Jane starała odegrać się, drapiąc wolną ręką, ale młodość i święte oburzenie były po stronie Beth, więc udało się jej zwlec starszą kobietę po schodach w kierunku

tylnych drzwi. Wyciągnęła ją na podwórze i popchnęła tak silnie, że Jane przewróciła się.

- Zapłacisz mi za to - krzyknęła Jane, leżąc na ziemi z podwiniętą spódnicą, odsłoniętą halką i reformami. - Nie ujdzie ci to na sucho. Chcę swoje rzeczy

- Możesz je sobie wziąć - powiedziała Beth. - Rzucę ci je z okna.

Z tymi słowy odwróciła się, minęła tylne drzwi, zamykając je za sobą i pobiegła schodami na górę.

Zebranie z sypialni płaszcza, kapelusza, torebki i pary butów kobiety zajęło jej zaledwie kilka minut, po czym otworzyła okno w kuchni i cisnęła wszystko na dół na podwórze.

- Ciesz się, że dostałaś nawet to - krzyknęła. - Reszta będzie czekała na odbiór w wychodku wieczorem.

Pan Craven wyszedł na alejkę biegnącą za podwórzem i z zaciekawieniem spoglądał na Beth stojącą w oknie.

- Po prostu wyrzucam ją za szkalowanie moich rodziców - krzyknęła do niego. - Mógłby pan ją wyprowadzić?

Została w oknie na tyle długo, żeby zobaczyć, jak jej sąsiad wyprowadza Jane przez tylną furtkę i usłyszeć potok jej jadowitych przekleństw.

Mimo iż ze zdenerwowania drżała niczym liść, Beth udało się w jakiś sposób dać Molly jej butelkę.

Usłyszała, jak pani Craven woła z podwórka i zeszła na dół, żeby ją wpuścić.

- Mój Boże! - rzekła z przejęciem, widząc jak błada i wzburzona jest Beth. - Usłyszeliśmy krzyki i dlatego mój Alfie wyszedł zobaczyć, co się dzieje.

62

Współczucie w jej głosie sprawiło, że Beth rozplakała się i pani Craven objęła ją, a potem zabrała od niej Molly

- Zrobię ci kubek ciepłej herbaty, a potem możesz mi

o wszystkim opowiedzieć.

- Nie ma żadnego mleka. Od tego się zaczęło - wyjaśniła Beth.

- Więc po prostu pójde i przyniosę trochę - powiedziała pani Craven. - A kiedy mnie nie będzie, lepiej zmień pieluchy Molly. Strasznie śmierdzą!

Pół godziny później Beth opowiedziała wszystko sąsiadce. Herbata i jej troska sprawiły, że poczuła się lepiej.

- Wiedziałam, że to lafirynda, od pierwszego momentu, kiedy rzuciłam na nią okiem. A przy tym harda

! pospolita niczym błoto - powiedziała pani Craven, podrzucając Molly na kolanie. - Tak jakbyś nie miała dość problemów. Ale nie przywiązuj żadnej wagi do tego, co powiedziała o twojej matce.

- Ale czy tak właśnie ludzie myślą? Pani Craven zmarszczyła brwi.

- Mnie nikt o tym nie mówił. Gdyby tak było, od razu bym im wszystko wyjaśniła. Ale mój Alfie twierdzi, że w Fiddlers krążą rozmaite plotki.

Fiddlers Inn było za rogiem na Lord Street. Tatko nie lubił popijać, ale zachodziła tam większość mężczyzn będących ich sąsiadami - tak samo jak Thomas Wiley.

Beth nigdy wcześniej nie przyszło do głowy, że ktokolwiek mógłby podejrzewać, iż Molly nie jest dzieckiem Franka i przeraziła ją myśl, że ktoś dopuszcza taką możliwość, ale nie zamierzała przyznawać, że pogłoski są prawdziwe, nawet życzliwej pani Craven.

63

- Dlaczego ludzie są tak okrutni? - zapytała oszołomiona.
- Czasami to przez zazdrość. Wasza rodzina wyglądała tak przykładnie; twoja matka była śliczną kobietą, twojemu ojcu powodziło się w interesach i miał dwójkę dzieci, z których mógł być dumny. Nikt nie potrafił zrozumieć, dlaczego odebrał sobie życie, więc zaczęli zgadywać powody.
- Co teraz z nami będzie? - smutno zapytała Beth. - Potrzebowaliśmy współlokatorów, żeby związać koniec z końcem. - Sam będzie na mnie wściekły.
- Nie wydaje mi się, Beth. - Pani Craven sięgnęła nad stołem i ujęła rękę dziewczyny. - Okazałaś wiele odwagi i on to doceni. A teraz pozwól, że pomogę ci spakować rzeczy Wilejów. Mój Alfie będzie wyglądał, kiedy się po nie zjawią i pomoże, jeżeli będą czynili jakieś kłopoty.

Rozdział szósty



chciałbym, żebyśmy mogli wyemigrować do Ameryki - powiedział z przygnębieniem Sam, jedząc kolację. - To miejsce jest pełne złych wspomnień. Nienawidzę go.
Rozmawiali nazajutrz po tym, jak Beth wyrzuciła Jane Wilej. Sam nie złościł się z tego powodu, ale był zniechęcony. Zauważył, że setki ludzi potrzebowały jakiegoś miejsca zamieszkania, ale nie było sposobu, żeby ocenić, którzy z nich okradną swoich gospodarzy bądź też uprzykrzą im życie.
Cała sprawa mocno wstrząsnęła Beth. Kiedy poszła posprzątać pokój Wilejów, odkryła, że nocnik nie był opróżniany od paru dni i po całym pokoju wałały się okruchy czerstwego chleba i brudna bielizna. Nawet prześcieradła na łóżku były zakrwawione, zaś toaletkę szpeciła duża rysa najprawdopodobniej pochodząca od noża.
Kiedy Thomas przybył, żeby odebrać swoje rzeczy, Sam zszedł na dół; pan Craven również stał w zaułku na wszelki wypadek. Jednakże Thomas wydawał się bardziej zrezygnowany niż wojowniczy. Po prostu odebrał torby i odszedł.
- Żeby wyjechać, potrzebowalibyśmy pieniędzy - smutno stwierdziła Beth.

- Zresztą, i tak nie moglibyśmy wyruszyć z Molly -dodał Sam.

Beth poczuła ukłucie w sercu, gdyż wiedziała, że tak naprawdę chodziło mu o to, iż nie chce Molly w ich towarzystwie. Miała nadzieję, że z czasem jego uczucia w stosunku do niej zmiękną, ale przeliczyła się; nigdy jej nie brał na ręce ani nie bawił. Nawet kiedy miała uśmiechała się, nie odwzajemniał jej uśmiechu.

— Gdyby nie ona, moglibyśmy sprzedać wszystko i zdobyć pieniądze na opłatę za przejazd - powiedział gorzko. - A tak, jutro będę musiał wziąć te dwie srebrne ramki na fotografie i sprzedać je tylko po to, żebyśmy pociągnęli trochę dłużej.

Chwilę potem Beth poszła do sypialni, żeby wyjąć fotografie z ramek. Jedno przedstawiało ją i Sama, kiedy mieli około dziewięciu i dziesięciu lat, zrobione u fotografa zaraz obok na Church Street. Miała na sobie białą sukienkę, niewielki słomkowy czepek i włosy zakręcone w loczki. Sam stał obok jej krzesła w poważnej pozie ubrany w czarną marynarkę i pumpy. Ich matka uwielbiała to zdjęcie i tata kupił ramkę specjalnie do niego.

Drugie zdjęcie było tym, o które poproszono ją, żeby przekazała je Molly. Jej rodzice uśmiechali się i Beth przypominała sobie, że kilka sekund po zrobieniu fotografii oboje wybuchli niepowstrzymanym atakiem śmiechu, gdyż schylający się pod czarną osłonę fotograf puścił potężnego bąka.

Gdyby tylko wszyscy mogli pozostać tak weseli, jak tego dnia! Mama w najlepszej sukni wyglądała prześlicznie, zaś ojciec w blezerze w paski i słomkowym kapeluszu emanował wytwornością. Było bardzo gorąco, więc

32

wszyscy pozdejmowali buty i pończochy, żeby razem brodzić w morskiej wodzie.

Beth rozumiała gorycz Sama. Były chwile, kiedy sama miała ochotę przekląć matkę za sprowadzenie na nich tego wszystkiego. Dlaczego nie mogła się zadowolić dobrym, życzliwym, kochającym mężem? Następnego ranka Beth obudziła się w lepszym nastroju i zdecydowała się napisać ogłoszenie zapraszające na współlokatorów dwóch mężczyzn. Później, trzymając Molly w ramionach, zabrała je do cukierni położonej dalej na Church Street. Po przekazaniu go do wystawienia, zatrzymała się, żeby przeczytać ogłoszenia znajdujące się już na tablicy i zauważyła jedno, którego autor poszukiwał kobiety do prania i szycia na kilka godzin w tygodniu.

Ogłoszenie dotyczyło Falkner Square, jednej z najlepszych dzielnic Liverpoolu. Beth często przechadzała się po jej szerokich ulicach i zielonych skwerach, żeby dostarczyć buty i trzewiki dla swojego ojca.

Stwierdziwszy, że taka praca byłaby dla niej idealna, Beth pobiegła, żeby zapytać panią Craven, czy mogłaby zająć się Molly w czasie, kiedy pójdzie wywiedzieć się o szczegóły ogłoszenia.

- Z przyjemnością, moja droga - uśmiechnęła się pani Craven, wyciągając ręce po dziecko. - I jeżeli chodziłoby jedynie o kilka godzin w tygodniu, to również chętnie ci pomogę.

Beth wypastowała swoje buty, a potem założyła najlepszą ciemnoniebieską suknię z koronkowym kołnierzykiem i mankietami oraz prosty ciemnoniebieski czepek należący do mamy. Był to pierwszy raz od śmierci ojca,

67

kiedy założyła cokolwiek innego niż czerń i czuła lekkie poczucie winy, że nie wyjdzie w stroju żałobnym, ale obydwie czarne suknie były już trochę sfatygowane, zaś ciemnoniebieski kolor trudno było uznać za frywolny

Po wyjściu z domu poprawiło jej się samopoczucie; był piękny ciepły dzień i dobrze było choć raz wyjść bez Molly; miało to posmak przygody.

Ogrody w centrum Falkner Square wyglądały ładnie, ciesząc wzrok widokiem wielu ukwieconych krzewów. Zatrzymała się przed numerem czterdzieści dwa, taksując wzrokiem schody do piwnicy za czarnym żelaznym plotem i marmurowe prowadzące do frontowych drzwi, z gankiem podpieranym przez kolumny.

Matka opowiedziała Beth o życiu pod schodami w dużych domach, więc wiedziała, że powinna zapukać do drzwi piwnicznych. Ale przez całe dzieciństwo dobitnie jej tłumaczono, że nigdy nie będzie niczyją służącą, więc nie była skłonna postrzegać się w ten sposób teraz.

Biorąc głęboki oddech, wmaszerowała po schodach prowadzących do frontowych drzwi i nacisnęła dzwonek. Zabrział donośnie, niosąc się echem po całym domu i nagle poczuła, że jest zdenerwowana i zaschło jej w ustach.

Drzwi otworzyła starsza kobieta w szarej sukni z białym fartuchem i w czepku z falbankami.

- Przyszłam w sprawie ogłoszenia odnośnie kogoś do pomocy przy szyciu i praniu - powiedziała trochę zbyt głośno Beth. - Jestem panną Bolton.

Kobieta obejrzała ją od stóp do głów.

- Skąd pochodzisz? - zapytała.

- Z Church Street - odpowiedziała Beth.

68

- Wejdz lepiej do środka - powiedziała kobieta, marszcząc brwi jakby w zamyśleniu. - Pani obecnie nie ma w domu, ale spiszę twoje dane i przekażę je, kiedy wróci.

Kobieta zaprowadziła ją na tyły domu do małego, prosto umeblowanego pokoju. Beth podejrzewała, że pokój należy do gospodyni, gdyż idąc korytarzem uchwyciła wzrokiem salon i był on bardzo imponujący, z luksusowymi dywanami oraz ślicznymi kanapami i krzesłami.

- Usiądź, proszę - powiedziała kobieta. - Jestem pani Bruce, gospodyni pani Langworthy. Ile masz lat?

- Szesnaście, proszę pani - odpowiedziała Beth.

- Masz jakieś referencje?

Beth nie miała pojęcia, co kobieta ma na myśli.

- List od ostatniego pracodawcy? - zapytała pani Bruce, pragnąc dowiedzieć się czegoś więcej o kandydatce.

- Musiałam szybko opuścić pasmanterię, gdzie pracowałam wcześniej - powiedziała Beth, po czym jednym tchem wyjaśniła, że jej niedawno owdowiała matka zmarła w czasie porodu. - Nie mogłam wrócić na swoje stanowisko w sklepie, gdyż musiałam zostać w domu i zająć się swoją siostrzyczką. Beth obierała ziemniaki na kolację, a Molly oparta o poduszki obgryzała skórkę chleba w drewnianym pudełku stojącym obok zlewu, kiedy zawołał pan Filbert, mężczyzna prowadzący sklep z butami na dole.

- Panno Bolton, jakiś młodzieniec właśnie przyniósł list do pani!

- Zaraz zejdę - odskrzyknęła, oplukując ręce i osuszając je o fartuch. Była pewna, że list zawiera odmowę, ale przynajmniej pani Langworthy lub jej gosposia były na tyle uprzejme, żeby dać odpowiedź.

69

- Mam nadzieję, że wieści nie są złe? - zapytał pan Filbert, kiedy Beth stała w drzwiach prowadzących do sklepu i z zapartym tchem wpatrywała się w list, który właśnie otworzyła.

- Nie - odpowiedziała Beth, podnosząc na niego wzrok z szerokim uśmiechem na twarzy - Wręcz przeciwnie.

Nie mogła się doczekać, kiedy Sam wróci do domu i będzie mogła przekazać mu dobre wieści. Pani Langworthy chciała, żeby zaczęła pracę od następnego dnia. Sugerowała, żeby Beth pracowała dwa dni w tygodniu po pięć godzin, gdyż wydawało się jej, że tym sposobem dziewczynie będzie łatwiej znaleźć jakąś opiekę do dziecka. I zamierzała płacić jej całe dziesięć szylingów! Za pracę przez cały tydzień w pasmanterii Beth otrzymywała jedynie siedem szylingów i sześć pensów.

- Sam, nasz los w końcu się odmienił - krzyknęła z entuzjazmem, kiedy tylko wrócił jej brat. Jego twarz rozjaśnił promienny uśmiech i objął ją.

- Musiałś oczarować panią Bruce swoim urokiem - odparł, kiedy zwierzyła się, że może za dużo opowiedziała jej o sobie. - Mam tylko nadzieję, że pani Craven nie zbrzydnie opiekowanie się Molly

- Powiedziała, że chętnie się nią zajmie - powiedziała Beth. - Mała i tak nie sprawia żadnego kłopotu, a poza tym, będę jej płaciła szylinga każdego dnia.

Wszystko, co wiedziała na temat życia wyższych sfer, Beth usłyszała od matki, która opowiadała o swych doświadczeniach ze służby, ale od pierwszego dnia

70

dziewczyna była prawie pewna, że dom państwa Langworthy jest co najmniej wyjątkowy.

Zgodnie z ustaleniem przybyła o ósmej i pani Bruce zaoferowała jej kubek kawy i trochę grzanek, które zjadła w położonej w piwnicy kuchni.

- Nie możesz pracować o pustym żołądku - powiedziała pani Bruce - a ja gotowa jestem się złożyć, że przybiegłaś tu bez jednego kęsa. Teraz poczekamy, aż pan Edward, to jest młody pan Langworthy, wyruszy do pracy, a ja zabiorę cię na spotkanie z panią domu.

Dwadzieścia minut później Beth znalazła się w jadalni na parterze, gdzie pani Langworthy jadła śniadanie. Pomieszczenie znajdowało się z tyłu domu i jego okna wychodziły na podwórze, obok pokoju dziennego pani Bruce, w którym Beth była dzień wcześniej.

Widok pani Langworthy zaskoczył Beth. Spodziewała się zobaczyć kogoś w średnim wieku o siwych włosach, a nie stosunkowo młodą kobietę z płomiennie rudymi włosami, iskrzącymi się zielonymi oczami i z bardzo ciepłym uśmiechem.

- Witaj, Beth - powiedziała kobieta, wstając od stołu i podając jej dłoń. - Przepraszam, że nie mogłam powitać cię tu wczoraj, ale pani Bruce opowiedziała mi wszystko o tobie i twojej sytuacji. Przyjmij wyrazy współczucia z powodu twojej niedawnej straty i mam nadzieję, że twoja siostrzyczka nie będzie miała nic przeciwko, że będzie musiała dzielić się tobą ze mną.

Beth była tak zdumiona tym niespodziewanie ciepłym powitaniem, że - co naprawdę rzadko jej się zdarzało - nie wiedziała, co odpowiedzieć. Potrząsnęła ręką swojej nowej pracodawczyni i zerknęła na panią Bruce w poszukiwaniu wskazówek, jak postępować dalej.

71

- Molly zajęła się sąsiadką, do której dziewczynka jest przyzwyczajona - wyjaśniła pani Bruce.
-Więc jestem pewna, że będzie w dobrym nastroju - powiedziała pani Langworthy. - Pozwolę pani Bruce oprowadzić cię i powiedzieć, czego dzisiaj będziemy potrzebować. Muszę teraz zająć się swoim teściem, ale zobaczymy się później w ciągu dnia.

Okna sypialni pani Langworthy wychodziły na plac. Pani Bruce i Beth zastały tam drobną i smukłą, może dwudziestoletnią Irlandkę. Pani Bruce przedstawiła ją jako Kathleen i, kiedy opuściły pomieszczenie, wyjaśniła, że mieszka ona tutaj i ma pokój na najwyższym piętrze.

-Jest pokojówką, sprząta w całym domu i rozpała ogień. Później poznasz dochodzącą codziennie kucharkę, no i jestem jeszcze ja. W tym domu nie ma za wiele służby, ale i też państwo Langworthy nie potrzebują zbyt wielu usług, no i rzecz jasna pani Langworthy opiekuje się swoim teściem. - Pani Bruce wskazała drugi pokój od frontu i wyjaśniła, że właśnie on należy do seniora.

- To pokój pana Edwarda - powiedziała, otwierając drzwi z tyłu. Było to pomieszczenie urządzone zdecydowanie po męsku, z obszerną wypolerowaną na połysk szafą z mahoniem, własną umywalką z mosiężnymi kurkami oraz dużym łóżkiem, już zasłanym i przykrytym ciężką ciemnoniebieską narzutą.
- Łazienka - powiedziała gospoia, otwierając drzwi obok. - Jednym z uroków tego domu jest fakt, że został wybudowany z wszelkimi nowoczesnymi utensyliami.

Beth nigdy wcześniej nie widziała ustępu wewnątrz domu, co najwyżej ich zdjęcia w czasopiśmie i nie mogąc się powstrzymać, przyznała to na głos.

72

- Ja również nie, do czasu, kiedy zaczęłam pracować dla państwa Langworthy. - Na twarzy pani Bruce pojawił się uśmiech. - Kolejny ustęp znajduje się na parterze i jest jeszcze ten na podwórzu. Na końcu trafiły do salonu. Pani Bruce powiedziała, że jej własna sypialnia znajduje się obok tej należącej do Kathleen.

Ubrania pani Langworthy, których dogładanie miało należeć do obowiązków Beth, znajdowały się w garderobie przylegającej do jej sypialni, ale gospoia stwierdziła, że dziś wystarczy, gdy Beth zrobi pranie.

Dopiero kiedy wróciły do piwnicy, obejrzawszy wielki salon, który zajmował pół domu od jednego końca do drugiego i gabinet pana Edwarda, mały pokój również z widokiem na plac, Beth zdała sobie sprawę, że nie będą płacić jej tak dobrze za robienie niczego.

Pomieszczenie pralni, z dwoma białymi dużymi zlewami, i następnym położonym niżej nazwanym płuczką, magłem i dużym kotłem na gaz, który rozpałało się od dołu, miało swoje własne wejście od podwórza.

W pralni znajdował się duży kosz silnie pachnącej uryną pościeli, którą trzeba było wygotować, a potem pani Bruce podniosła klapę emaliowanego kubła, odkrywając stos brudnych pieluch.

- Spróbuj myśleć o tym tak samo jak w przypadku twojej Molly - powiedziała, choć sama odwróciła nos, żeby uniknąć okropnego smrodu. - Wypłucz je dokładnie, a potem trzeba wygotować je razem z prześcieradłami. Do prania będą szły jeszcze inne rzeczy, choć dzisiaj nic nie ma, ale chcę, żebyś pamiętała, iż pościel seniora Langworthy ma łądować w kotle osobno, po tym, jak wypierzesz wszystko inne.

73

- Jak długo mam je gotować? - zapytała Beth, starając się nie udusić na samą myśl o zawartości kubła.
- Od dwudziestu minut do pół godziny - odpowiedziała gospoia. - W czasie gotowania możesz wyprać wszelkie delikatne rzeczy ręcznie w zlewie.
- Pani Langworthy musi zmieniać mu bieliznę? - Beth po prostu nie mogła o to nie zapytać. Nie potrafiła wyobrazić sobie kogoś tak kochanego i wysoko urodzonego jak pani domu, robiącego coś takiego.
- Tak, Beth, musi. Zawsze był człowiekiem trudnym w obejściu, nawet przed wylewem. Ale od tego czasu zmienił się na gorsze, jako że część jego ciała jest sparaliżowana; upośledziło mu też mowę i wzrok. Na przestrzeni lat przez dom przewinęły się tuziny pielęgniarek, ale wszystkie odstraszył. Pani Langworthy jest jedyną osobą, której pozwala się dotykać, a ona ma cierpliwość świętego. Powinna mieć dzieci, spotykać się z przyjaciółmi i mieć własne życie... - pani Bruce przerwała nagle i zaczerwieniła się. - Nie powinnam była tego mówić - westchnęła. - Po prostu...
- Jej sytuacja panią denerwuje? - zasugerowała Beth.
- Tak. - Pani Bruce kiwnęła głową. - Ale zagalopowałam się.
- Nie powtórzę, co pani powiedziała - odrzekła Beth, przekręcając kran nad bojlerem, żeby go napelnić. - Była dla mnie wystarczająco dobra, żeby dać mi pracę, kiedy jej potrzebowałam. Za ten czyn obydwie zyskujecie moje oddanie.
- Więc jak tam jest? - zapytała pani Craven z zaciekawieniem, kiedy Beth wróciła wczesnym popołudniem.

74

Beth podniosła Molly z dywanu, na którym dziewczynka siedziała i zaczęła ją laskotać, aż mała wybuchła śmiechem.
- Wręcz cudownie - powiedziała. - To piękny dom, mają w domu nawet ustęp. Ale chciałabym, żeby stary pan Langworthy był w stanie z niego korzystać.
Nie było słów, żeby opisać, jak obrzydliwe było przepłukiwanie tych pieluch. Śmierdziały tak okropnie, że dusiła się, miała nudności i musiała zbierać się na odwagę, żeby zaczerpnąć krótki oddech. Zastanawiała się, jak radzą sobie z takimi sprawami dzień po dniu pielęgniarki i czy sama będzie w stanie kiedykolwiek przyzwyczać się i nie zwracać na to uwagi.
Ale kiedy wracała do domu, powiedziała sobie, że ta okropna praca trwała góra dwadzieścia minut i zostawały jej cztery godziny i czterdzieści minut miłych obowiązków. Nie miała nic przeciwko płukaniu i przepuszczaniu czystych prześcieradeł przez magiel. Wywieszanie ich do wyschnięcia na podwórzu było przemile. A ostatnią godzinę spędziła, cerując skarpetki pana Edwarda, siedząc w kuchni i plotkując z panią Cray, kucharką, i Kathleen, irlandzką służącą o łagodnym głosie. Co więcej, na obiad dostała wielki kawałek pysznego mięsa zapiekanego w cieście i pani Cray dała jej kilka pasztecików do domu.
- Z czasem do wszystkiego można się przyzwyczać - filozoficznie stwierdziła pani Craven. - A ja spędziłam przemiły czas z Molly, więc korzyść jest obopólna.
Pani Craven miała rację. Beth odkryła, że można się przyzwyczać do prania tych pieluch. A może po prostu dobre strony tej pracy przeważały nad złymi. Miło było

75

wyrwać się z domu dwa razy w tygodniu, mieć okazję porozmawiania z innymi ludźmi i mieć świadomość, że pomaga Samowi w ich utrzymaniu.

Pana Edwarda widywała rzadko. Zazwyczaj wychodził do swojego biura, zanim przychodziła, ale od czasu do czasu wpadała na niego i wydawał się jej dość miły. Był to człowiek szczupły i wysoki, o rzędnących jas-norudych włosach i wąsach przyciętych na wojskową modłę; starszy od swojej żony o co najmniej dziesięć lat. Robił na Beth wrażenie człowieka cichego i pracowitego, który traktował życie bardzo poważnie.

Pani Langworthy była jego kompletnym przeciwieństwem. Była bardzo miła i wesola i zawsze znalazła czas, żeby odszukać Beth i uciąć sobie z nią krótką pogawędkę. Uwielbiała słuchać o Molly i było jasne, że sama chciałaby mieć dziecko. Wspaniale łączyła w sobie umiejętność podkreślenia swojej pozycji pani domu z utrzymywaniem dobrych stosunków ze swoimi pracownikami. Beth rozumiała, dlaczego pani Bruce jest jej tak oddana i zdecydowała, że jeżeli kiedykolwiek sama będzie mieć służących, będzie wzorowała się na tej godnej podziwu kobiecie.

Wyglądało na to, że los w końcu uśmiechnął się do Sama i Beth, gdyż niecały tydzień później znaleźli współlokatorów, Ernesta i Petera, obydwu godnych szacunku młodych ludzi, którzy byli przyjaciółmi i pracowali dla firmy ubezpieczeniowej.

Sam doszedł do wniosku, że dla Beth lepiej będzie, gdy współlokatorzy zamieszkają w dwu pokojach na górze, więc sam przeprowadził się do saloniku. Już pierwszej nocy młodzi ludzie okazali się wzorowymi

76

współlokatorami, grzecznymi, schludnymi i miłymi w stosunku do Beth i Molly

Obydwaj byli zapalonymi cyklistami i każdej niedzieli udawali się do klubu na podmiejskie wypady. Zjadali wszystko, co Beth im przygotowała, byli wdzięczni, kiedy robiła im pranie i żaden z nich nie pił. Sam dobrze czuł się w ich towarzystwie i wieczorami często grali we czwórkę w karty. Czasami błagali Beth, żeby zagrała na skrzypkach i klaskali, jednocześnie przytupując, żeby jej akompaniować. Te noce były najlepsze ze wszystkich, gdyż na kilka godzin wszystkie jej troski rozplywały się w muzyce i czuła się wolna i beztroska niczym ptak.

Beth wydawało się też, że Sam w końcu zaczął żywić jakieś cieplejsze uczucia do Molly. Czasami, gdy wracał z pracy, a dziewczynka akurat siedziała na podłodze, schylał się, żeby pogłaskać ją po główce, tak jak często robili to Ernest i Peter. Beth o tym nie wspominała - wiedziała, że jeżeli powie coś na ten temat, Sam już nigdy tego nie zrobi - ale obserwowała go kątem oka i widziała, jak bawi się z małą bądź ją laskocze, żeby się roześmiała.

Pewnego sierpniowego wieczora Beth położyła Molly do łóżka i udała się na kilka minut do pani Craven, a wróciwszy, znalazła Sama trzymającego dziewczynkę w ramionach.

- Obudziła się z płaczem - powiedział, jakby chciał się usprawiedliwić. - Pomyślałem, że może boli ją brzusek.

Następnego dnia, kiedy musiała udać się na Falkner Square, Beth była tak szczęśliwa, że przez całą drogę miała ochotę radośnie podskakiwać. Później tego ranka, gdy znajdowała się w małym pokoiku obok kuchni,

77

gdzie trzymano maszynę do szycia, i śpiewała, wywracając zniszczone poszwy na drugą stronę i zszywając je ponownie, pojawiła się pani Langworthy

- A cóż takiego przemieniło cię w małego słowika? -zapytała z szerokim uśmiechem.

- Po prostu cieszę się, że mój brat zaczyna w końcu lubić Molly - przyznała Beth. - Widzi pani, po śmierci mamy mieliśmy tyle problemów. Było mu ciężko zaakceptować małą.

- Nie wydaje mi się, żeby mężczyźni mieli ten typowy dla kobiet instynkt natychmiastowej miłości do dzieci - powiedziała pani Langworthy w zamyśleniu. - Wiele przyjaciółek mówiło mi, że na początku ich mężowie nie wykazywali żadnego zaangażowania. Dla twojego brata musiało to być jeszcze trudniejsze, skoro oboje jesteście tacy młodzi.

Beth wspomniała jeszcze o ich dwóch wspólnokata-rach i fakcie, iż Sam wydawał się ostatnio o wiele radoś-niejszy

- Nawet nie pamiętam, kiedy ostatni raz wspominał o emigracji do Ameryki - powiedziała.

- Chciałabyś tam pojechać? - zapytała pani Langworthy

- Cóż, tak - odpowiedziała Beth. - Byłaby to nie lada przygoda! Ale z Molly to niemożliwe, prawda? Gdybyśmy chcieli spróbować, tam na miejscu też musiałabym podjąć pracę. A bez żadnych przyjaciół ani rodziny nie miałby się nią kto opiekować.

- To smutne, że wspólnie z bratem musicie poświęcić wasze marzenia i ambicje - skomentowała pani Langworthy i przyjaźnie poklepała Beth po ramieniu.

78

Pewnej gorącej soboty zaraz pod koniec sierpnia Sam przyszedł z pracy do domu i zasugerował, że mogliby następnego dnia popłynąć promem do New Brighton. Ernest i Peter planowali wybrać się do swojego klubu i ponieważ wcześniej zastrzegli, że nie będą chcieli żadnej kolacji, gdyż zjedzą poza domem, oznaczało to, że Sam i Beth nie będą musieli spieszyć się z powrotem.

Beth była bardzo podekscytowana propozycją Sama, nie tylko dlatego, że miała tak wiele dobrych wspomnień z wycieczek do New Brighton z rodzicami, ale również dlatego, że chciał też wziąć Molly.

- Załóż coś ładnego - zasugerował. - Wystarczająco długo nosiłaś żałobę. Czas, żebyśmy mieli trochę frajdy.

Tydzień lub dwa tygodnie wcześniej Beth przeglądała ubrania swojej matki, żeby zobaczyć, co można byłoby sprzedać bądź przerobić tak, by pasowało na nią. W dolnej szufladzie szafki znalazła upchniętą jasnoniebieską suknię w białe paski, którą mama miała na zdjęciu. Beth pragnęła ją założyć, gdyż była to suknia bardzo ładna, z głębszym dekoltem niż dziewczyna nosiła zazwyczaj, bufiastymi rękawami i wcięciem w tali. Musiała ją nieco zwęzić w pasie i skrócić o cal lub dwa, ale poza tym, pasowała idealnie.

- Wyglądasz ślicznie - powiedział z uznaniem Sam, kiedy w niedzielny poranek przyszła do kuchni gotowa do wyjścia.

Beth była wielce podekscytowana, gdyż z rozpuszczonymi włosami i w małym przechylonym figlarnie słomkowym kapeluszu czuła się ubrana bardzo modnie. Wydawało się, że Molly podziela jej entuzjazm, gdyż

79

zaczęła się śmiać i klaskać swoimi tłusciutkimi rączkami, kiedy Beth zniosła ją po schodach na dół i umieściła w wózek.

Kiedy skręcali w Lord Street, żeby przejść do doków i promu, Sam był równie podekscytowany, gdyż zaczął bawić się z Molly i rozśmieszał ją, idąc obok wózka.

W tym samym kierunku zmierzały setki ludzi. Ze swoją piaszczystą plażą, karuzelami, przejażdżkami na kucykach i promenadą New Brighton było popularnym miejscem odpoczynku rodzin robotników. To był wspaniały dzień. Jedli lody, watę cukrową, krewetki i mięso zapiekane w cieście oraz głośno się śmiali, kiedy Molly chciała spróbować wszystkiego, co oni. Tak bardzo chciała dostać się do lodów, że niemal wstała, żeby ich sięgnąć, a potem upackała sobie nimi całą twarz.

Zdjęli buty i brodzili w wodzie, potem jeżdżąc na karuzeli, Sam trzymał przed sobą Molly, zaś Beth wygrała słoik cukierków miętowych w rzucie obręczą. Sam sprawdził swoją siłę i wskaźnik dotarł ledwie do dolnej miarki, podczas gdy inni o wiele mniejsi od niego chłopcy sprawiali, że dzwon rozbrzmiewał donośnie. Ale wygrał orzech w rzucie do kokosa. Zrobili sobie też zdjęcie w budce na plaży, choć długo musieli czekać w kolejce, podczas gdy matki stojące przed nimi ogarniały swoje brudne dzieci, wycierając im twarze poślinionymi chusteczkami, i szczotkowały ich niesforne kędziory. Kiedy w końcu udało się jej dostać do budki i usiąść na krześle z Molly na kolanach, Beth trudno było powstrzymać się od śmiechu. Sam stanął z tyłu z jedną ręką opartą na jej ramieniu. Tło przedstawiało zamek i jezioro. Zastanawiała się, czy za parę lat Molly spojrzy

80

na zdjęcie i zapyta, gdzie można znaleźć zamek w Liverpoolu.

Kiedy przybyli do domu, była prawie ósma i spalona promieniami słonecznymi twarz Sama miała kolor homara.

- Zrobię herbatę, a ty połóż Molly do łóżka - powiedział, nachylając się, żeby pocałować małą dziewczynkę przysypiającą w ramionach Beth.

Dla dziewczyny było to ukoronowanie dnia. Być może zajęło to osiem miesięcy, ale tym milej było wiedzieć, że ów gest nie wynikał z obowiązku, a z prawdziwego uczucia.

- W końcu go do siebie przekonałaś, śliczności ty moje! - wyszeptala Beth do Molly, kiedy zdjęła jej ubranko i pieluszkę, żeby ją umyć.

Beth została w kuchni długo po tym, jak Sam, Ernest i Peter udali się do łóżek. Rozmyślała o tym, jak dobrze było znowu widzieć uśmiech goszczący na twarzy Sama, czuć w sercu nadzieję na bezpieczne jutro i swego rodzaju dumę, że tak dobrze szła jej rola zastępczej mamy Molly. Czarne włoski malutkiej układały się teraz w kędziory, miała policzki niczym jabłuszka i wielu ludzi zatrzymało się dziś, żeby popatrzeć na nią z zachwytem. Niedługo zacznie też chodzić i mówić. Beth uśmiechnęła się na wspomnienie, jak przerażona była tej nocy, kiedy mała się urodziła i pani Craven powiedziała, że musi się nią zająć. Ale spisala się całkiem nieźle, tak jak i Sam.

Obudziła się nagle i, odkrywszy, że jest jej bardzo gorąco, usiadła i zepchnęła koce do nóg łóżka. Nie wydawało się jej, żeby spała długo, gdyż ciągle słyszała

81

pijackie wrzaski na Church Street. Ale kiedy odwróciła poduszkę na drugą stronę, żeby znowu się położyć, usłyszała dźwięk z tylnej uliczki.

Zesztywniała. Była przyzwyczajona do chodzących tamtędy ludzi - prawie każdy, kto mieszkał nad sklepami, wchodził i wychodził tylnymi drzwiami. Dostęp do uliczki mieli też tacy ludzie jak Cravenowie mieszkający w domach za Church Street. Ale dźwięk, który usłyszała, nie przypominał hałasu, jaki robi ktoś, kto zwyczajnie idzie do domu, ani nawet pijackiego zataczania się, lecz sprawiał wrażenie, że ktoś się skrada i nie chce być usłyszany.

Beth upewniła się, że zamknęła tylne drzwi, kiedy przed snem udała się do wychodka, więc wiedziała, że nikt nie mógł wejść do środka. Ale przypomniawszy sobie, że na podwórzu są bicykle Ernesta i Petera, pomyślała, że może ktoś chce je ukraść.

Wyszła z łóżka i podeszła do okna, lecz mimo iż w świetle księżycy udało się jej dostrzec tylną furtkę, nie widziała bicykli, gdyż chłopcy najprawdopodobniej oparli je o ścianę wychodka i dach przybudówki zasłaniał jej widok.

Nie usłyszała niczego więcej, doszła więc do wniosku, że prawdopodobnie był to tylko kot, i wróciła do łóżka. Ale kiedy usłyszała cichy szmer kilka chwil później, wyskoczyła z posłania i podkrađła się do kuchni, gdzie z okna miała widok na większą część podwórza.

Odsunęła koronkową zasłonę, a mimo że oświetlenie nie pozwalało zobaczyć więcej niż mroczny kształt koło ściany wychodka, widziała błysk chromu, co utwierdziło ją w przekonaniu, że bicykle ciągle znajdują się na miejscu. Ale gdy opuściła zasłonę, usłyszała kolejny dźwięk,

82

więc ponownie ją podniosła i tym razem zobaczyła kogoś biegnącego przez podwórze, otwierającego furtkę i znikającego w ciemnościach.

Sylwetka uciekającej osoby była widoczna nie dłużej niż przez sekundę, ale Beth była pewna, że dostrzegła kobietę. Choć wiedziała, że profesja złodzieja nie jest przypisana do konkretnej płci, nie mogła sobie wyobrazić kobiety włóczącej się o tak późnej porze. Przez chwilę stała w zamyśleniu, zastanawiając się, czy powinna pójść i obudzić Sama. Zdecydowawszy, że nie ma to sensu, gdyż intruz zdążył już czmychnąć, a Sam musiał stawić się w pracy wczesnym rankiem, odwróciła się, żeby wrócić do sypialni.

Ale kiedy dotarła do drzwi, poczuła zapach nafty, a potem syk.

To mógł być tylko ogień.

Przerażona wbiegła po schodach i dostrzegła błysk płomieni. Intruz nie był złodziejem, ale kimś, kto chciał spalić ich żywcem.

- Pożar! - krzyknęła, ile sił w płucach. - Sam! Ernest! Peter! Pożar! Wstawajcie natychmiast!

Rozdział siódmy

Beth w mgnieniu oka zabrała Molly z kołyski, capnęła koc i pobiegła korytarzem do saloniku, gdzie spał Sam.

- Sam, obudź się! - krzyczała, potrząsając nim. - Pożar!

Brat przed udaniem się na spoczynek nie zaciągnął zasłon i z lamp na ulicy wpadało do saloniku wystarczająco dużo światła, żeby mogła wyraźnie go widzieć. Otworzył oczy i przez chwilę patrzył na nią bezmyślnie, ale kiedy powtórzyła ostrzeżenie, wyskoczył z łóżka i szybko wdział spodnie.

- Idź po Ernesta i Petera! - krzyknęła, a Sam śmignął korytarzem niczym strzała. Od strony schodów zaczęły walić kłęby dymu i Beth wiedziała, że musi obmyślić inną drogę ucieczki.

Zatrzasnęła drzwi saloniku i położyła Molly do łóżka Sama, po czym jednym szarpnięciem otworzyła okno tak szeroko, jak się dało i zaczęła krzyczeć, mając nadzieję, że usłyszy ją policjant albo ktoś znajdujący się w pobliżu. Ale ulica była opustoszała i nie było na niej nawet wałęsającego się kota.

Po schodach z hałasem zbiegli chłopcy i wpadli do saloniku. - Skąd wziął się ogień? - zapytał cieniem z przerażenia głosem Peter.

- Teraz to nieistotne - powiedział Ernest, wychylając się przez okno. - Za wysoko, żeby stąd skakać. Może będziemy mieli więcej szczęścia z oknami na tyłach?

- Pójdę sprawdzić - powiedział Sam, przejmując dowodzenie. - Zostańcie tutaj i wykorzystajcie prześcieradła oraz wszystko inne, co znajdziecie, żeby sporządzić linę. Beth, krzycz, ile sił w płucach. Pomknął jak błyskawica i kilka sekund później już był z powrotem, kaszląc od dymu i niosąc stertę poszew.

- Pożar ogarnął całe schody i wydostanie się przez okno w sypialni jest zbyt niebezpieczne, gdyż ogień szaleje tuż pod nim - wykrztusił. - Będziemy musieli wydostać się tędy. Beth, zatkaj szczelinę pod drzwiami dywanem. Ernie, pomóż mi wyrzucić materac, żeby złagodził nasze lądowanie, a potem cie opuścimy na dół. Następna będzie Beth i Molly.

Beth zrobiła, co jej kazano, wpychając dywan pod drzwi tak ciasno, jak tylko się dało. Ernest i Peter zwiążali już dwa prześcieradła i szarpiać, upewnili się, że wytrzymają. Cały czas wołali o pomoc najgłośniej jak mogli. Beth wzięła Molly na ręce, a chłopcy wypchnęli materac przez okno. Potem Ernest stanął na parapecie, trzymając za jeden koniec prześcieradła, podczas gdy Sam i Peter złapali drugi koniec i powoli opuścili go na dół.

Kiedy chłopcy byli zajęci, Beth wypatrywała czegoś solidnego, w czym mogłaby ułożyć Molly. Spozobregła wiadro na węgiel, złapała je i wysypała zawartość do pustego kominka. Mała zaczęła głośno płakać, przerażona

42

hałasem i paniczną krzątaniną wokół. Beth umieściła dziecko w wiadrze i otuliła je poduszką.

- Mądra dziewczynka - pochwalił ją Sam. Ernest krzyczał, żeby zjeżdżali na ulicę, równie głośno wtórował mu Peter stojący przy oknie. Sam szybko przywiązał linę z prześcieradeł do uchwytu wiadra i sprawdził jej wytrzymałość.

Beth z duszą na ramieniu obserwowała opuszczanie Molly na ulicę. Sam i Peter robili to bardzo ostrożnie, ale wiadro niebezpiecznie się chwiało. Gdyby Molly zaczęła się szarpać, wiadro przechyliłoby się. Na szczęście nie ruszała się i bezpiecznie wylądowała w ramionach Ernesta.

- Beth, teraz ty - powiedział Sam, wciągając prowizoryczną linę z powrotem. - Trzymaj prześcieradło niczym diabeł duszę. Opuśćcie cie.

Beth z przerażeniem tyłem wczolgała się na parapet. Była boso i nie miała na sobie nic poza koszulą nocną. Nawet w tak drastycznej sytuacji nie mogła znieść myśli, że ktoś zobaczy ją prawie nagą.

- Owiń się w pasie i trzymaj mocno - kazał jej Sam. - Oprzyj się stopami o ścianę. Będziemy powoli popuszczali linę, nie upuścimy cie.

Nic, co przeżyła wcześniej, nie było tak przerażające. Bała się, że spadnie w dół i złamie sobie kark, była też bardziej niż świadoma faktu, że wiatr podwiewa jej koszulę i Ernest z zadartą w górę głową patrzy wprost na nią. Ale musiała się pospieszyć, żeby Sam i Peter również zdążyli zejść na dół.

- Zuch dziewczyna, jeszcze tylko kilka stóp i możesz zeskoczyć! - krzyknął Ernest. - Materac znajduje się dokładnie pod tobą i jestem tu, żeby cie złapać.

87

Na moment zatrzymała się, zaczepiwszy o szyld znajdujący się nad sklepem, ale udało się jej go minąć i wtedy Ernest kazał jej skakać.

Z domów na całej długości ulicy zaczęli wybiegać zaspani ludzie, żeby zobaczyć, co się dzieje, i ten widok odrobinę ją uspokoił. Puściła prześcieradło i wylądowała stopami na materacu.

Odebrawszy Molly z rąk Ernesta, spojrziała w okno sklepu i ku jeszcze większemu swemu przerażeniu zobaczyła ogień trawiący tylne drzwi prowadzące do ich mieszkania. Dym bił pod niebo i na ulicę wychodziło coraz więcej osób. Miała nadzieję, że straż pożarna dotrze na miejsce, zanim spłonie cały rząd sklepów.

- Mam drabinę! - krzyknął jakiś mężczyzna. - Będę z nią za dwie minuty.

W tym czasie Sam pomagał Peterowi wyjść przez okno.

-Jak zejdziesz na dół Sam? - zapytała Ernesta Beth. -Tam nie ma do czego przywiązać prześcieradła.

- Być może do tego czasu będzie tu drabina - powiedział Ernest. - Chodź, Pete - krzyknął. - Uważaj, kiedy będziesz mijal szyld sklepu.

Z ostatnich dziesięciu stóp Peter zeskoczył i obrócił się do Ernesta.

- Na górze ogień dotarł już do drzwi - powiedział. -Jak zejdziesz Sam?

Beth widziała, jak płomienie tańczą po podłodze sklepu. Niedługo ogień rozprzestrzeni się na front budynku i uwięzi jej brata.

- Sam! - krzyknęła Beth. - Przyciągnij łóżko do okna. Wezglowie jest za duże, żeby się przez nie zmieścić, więc możesz do niego przywiązać linę.

88

Mdląła ze strachu i wiele dałaby za to, żeby zobaczyć, czy Sam jej posłuchał - znając go, obawiała się, że przed ucieczką będzie próbował zabrać kilka cennych przedmiotów. Na ulicy panował teraz zamęt; niektórzy ludzie nawoływali do ustanowienia korowodu podającego wiadra z wodą, inni biadali, że ich domostwa również mogą znaleźć się w niebezpieczeństwie, zaś bosonogie dzieci w piżamach zanosili się płaczem, gdyż nie mogły dostrzec swoich rodziców. Kilku ludzi dmuchało w gwizdki, podczas gdy inni walili w kolejne drzwi, nakłaniając mieszkańców do wyjścia na zewnątrz.

Ale w momencie, kiedy Beth straciła już nadzieję zobaczenia brata żywym, z okna wyleciało prześcieradło i zobaczyła, że stoi na parapecie do połowy nagi; światło lamp ulicznych odbijało się w jego blond włosach, a w jednej ręce trzymał jej skrzypki.

- Łap! - krzyknął, ciskając je w ręce Petera. Właśnie kiedy płomienie za oknem sklepu zaczęły topić szkło, Sam zsunął się po prześcieradle.

Beth podbiegła, żeby go objąć.

- Co ci strzeliło do głowy, żeby ratować skrzypki? -zapytała.

- Po prostu coś mi kazało. - Wzruszył ramionami. -Wiem, ile dla ciebie znaczą.

Jakieś piętnaście minut później pojawił się pierwszy wóz strażacki; załoga zeskoczyła z niego i zaczęła podłączać wąż do zbiornika wodnego, ale do tego czasu front budynku stał już w ogniu. Konie wyprzęgnięto z wozu i odprowadzono z dala od wściekłego gorąca, a Beth i chłopcy skulili się po drugiej stronie ulicy, obserwując pożar z przerażeniem.

89

Właśnie w tej chwili Beth zdała sobie sprawę, że stracili wszystko. Dom, ubrania, pieniądze. Wszystko przepadło.

Byli bezdomnymi nędzarcami.

Ich gospodarz i pan Filbert, najemca sklepu, mieli ubezpieczenie, a oni nie. Sam nie miał nawet ubrania, żeby udać się rano do pracy. Co do Molly, została jej tylko piżamka, pielucha i kocyk.

Beth drżała nie z zimna, a ze strachu. Ktoś zarzucił jej koc na ramiona i ktoś pytał, czy mają się dokąd udać. Do oczu napłynęły jej łzy, gorące krople spływały po policzkach, kapiąc na Molly, która zasnęła w jej ramionach.

Pojawiły się dwa kolejne wozy strażackie; jeden zajechał na tyły budynku, ale ogień wciąż szalał i wyglądało na to, że sklep z wyrobami żelaznymi po jednej stronie i galanteria po drugiej również stana w płomieniach. Policjanci starali się odsunąć z drogi olbrzymi tłum.

- Jak zaczął się pożar? - ktoś wykrzyknął pytanie.

- Ktoś celowo podłożył ogień - odkrzyknęła Beth. - Widziałam, jak podpalacze wybiegali tylną furką. Wlali naftę przez skrzynkę na listy, chcieli zabić nas wszystkich.

Jeden z policjantów podszedł do niej i poprosił, żeby powtórzyła to, co powiedziała przed chwilą.

- Czy wiesz, kto to mógł być? - zapytał.

- Spróbujcie poszukać niejakiej Jane Wiley - wypaliła. - Kiedyś była naszą współlokatorką.

Nagle z tłumu wyłoniła się pani Craven z mężem u boku.

- Tu jestem, skarbie - zawołała. - Nie pozwolimy na to, żebyście zostali z Samem bezdomnymi po tym wszystkim, co przeszliście. - Utorowała sobie drogę do

90

Beth i rozwarła swoje szerokie ramiona, żeby objąć ją i Molly. - Chodźcie z nami.

Boso, mając na sobie tylko wełnianą koszulę nocną, tuląc w ramionach Molly i skrzypki, Beth poszła z Cravenami do ich domu, zostawiając Sama, który miał do nich dołączyć, kiedy tylko znajdzie kogoś, kto mógłby przygarnąć Ernesta i Petera. Dwa małe pokoje Cravenów były azylem, do którego w ostatnich miesiącach Beth często się udawała, gdy miała kłopot albo po prostu odczuwała potrzebę porozmawiania z kimś starszym i mądrzejszym. Ale doskonale zdawała sobie sprawę, że teraz może być to jedynie tymczasowe schronienie, gdyż jej sąsiedzi byli zbyt starzy, żeby znosić zamęt tworzony przez nieoczekiwanych gości, i zbyt biedni, by ich wykarmić.

Nie mogła zasnąć. Nie chodziło tylko o syk strumieni wody uderzających w płomienie, czy też nawoływania strażaków w tylnej, odległej o mniej niż czterdzieści jardów uliczce. Nie była to nawet kwestia twardej podłogi w pokoju gościnnym państwa Craven ani przesyconego dymem powietrza.

Nie pozwalała jej zasnąć świadomość, że Jane Wiley podłożyła ogień złośliwie i z premedytacją.

Nie potrafiła zrozumieć, jak ktoś może być tak nikczemny, gdyż nawet jeżeli sprawczyni nie zamierzała ich zabić, z pewnością chciała zniszczyć ich dom.

Wszystko przepadło - ubrania, meble i pieniądze. Ale dla Beth jeszcze gorsza była utrata wszystkich drobnych rzeczy osobistych, rodzinnych fotografii, pamiątek po rodzicach i dziadkach, których nic nie mogło zastąpić. Wzruszało ją to, że Sam pomyślał o uratowaniu skrzypek, ale w porównaniu z resztą utraconych przedmiotów one akurat były niewiele znaczące.

91

Jak zawsze praktyczna pani Craven znalazła dla Molly kilka pieluch i dziecięcy strój, zrobiła też dla niej prowizoryczną kołyskę z szuflady Powiedziała, że Armia Zbawienia pomaga ludziom w ich położeniu, rozdając odzież i obuwie, nie wątpiła też, że sąsiedzi także zrobią dla nich zbiórkę. Ale Beth była zbyt rozgoryczona, żeby znaleźć w tym jakiegokolwiek pocieszenie.

- To wszystko, co udało nam się na razie zdobyć - powiedziała pani Craven następnego ranka, podając Samowi koszulę, marynarkę i buty należące do sąsiada.

Sam z wdzięcznością wdział ubranie, ale było jasne, że jego poprzedni właściciel jest znacznie bardziej odeń rosły i brat Beth wyglądał komicznie.

- Przynajmniej wciąż mam swoje spodnie - zauważył Sam. - Nie będę musiał się martwić, że spadną mi do kostek.

- W pracy z pewnością okażą ci zrozumienie - powiedziała Beth, wyczuwając, że brata niepokoi myśl o tym, co o jego wyglądzie powie kierownik biura. Podeszła do brata i poprawiła mu kołnierzyk koszuli.

- Nie martw się, Beth - powiedział. - Dziś wieczór w drodze do domu wstąpię do Armii Zbawienia i zobaczę, czy nie znajdę u nich czegoś odpowiedniego dla siebie.

Beth ciągle była ubrana w poplamioną sadzą koszulę nocną, ale pani Craven wyruszyła już do swojej córki, żeby dowiedzieć się, czy ta nie będzie mogła pożyczyć jakichś sukni. Beth ze zdziwieniem odkryła, że większość ludzi miała tylko dwa komplety ubrań, jeden na co dzień i jeden na specjalne okazje. Okazało się, że posiadając pięć czy sześć sukienek, należała do szczęśliwców, ale do tej pory nie widziała w tym nic nadzwyczajnego.

92

Ogień zdążył całkowicie wygasnąć. Pani Craven udała się na zwiad i zameldowała, że cała klatka schodowa zawałiła się, okna powylały na zewnątrz, zaś ramy i wszystkie wewnętrzne drzwi spłonęły wraz z meblami. Sklep poniżej również był ruiną. Pan Filbert jeszcze go nie widział, ale czekała go bardzo nieprzyjemna niespodzianka.

Pani Craven wróciła od córki wkrótce po tym, jak Sam udał się do pracy.

- Są naprawdę sfatygowane - powiedziała, wyciągając bardzo wytartą i wyblakłą zieloną suknię z torby.

- To jedyna rzecz, jaką mogła podzielić się moja Cathy, ale powinna na ciebie pasować. Są też buty Beth spojrzała na nie i zobaczyła, że góra prawego prawie oderwała się od podeszwy, były też na nią za duże o dwa numery Ale przynajmniej miała co na siebie włożyć.

- Miałam dzisiaj iść na Falkner Square - powiedziała. - Myśli pani, że powinnam?

- Oczywiście że tak, nie możesz sobie teraz pozwolić na utratę pracy - powiedziała lekko ostrym tonem pani Craven, tak jakby już zaczynała żałować, że przyjęła Beth i Sama pod swój dach. - A teraz weź miskę wody z drugiego pokoju i porządnie się umyj. Ciągłe masz smugi sadzy na twarzy.

Zanim Beth dotarła do Falkner Square, z powodu za dużych butów dorobiła się już pęcherza na stopie.

- Beth! - zawołała pani Bruce, kiedy dziewczyna, utykając, weszła do kuchni. - Na Boga, co ci się stało? Opowiadając wydarzenia ostatniej nocy, Beth rozplakała się. Pani Bruce kazała jej usiąść, dała jej kubek herbaty i uważnie wszystkiego wysłuchała.

93

- I właśnie dlatego wyglądam tak jak wyglądam -zakończyła Beth, ocierając lzy wierzchem dłoni. - Nie wiem, gdzie będziemy teraz mieszkać ani jak sobie poradzimy Wczoraj w New Brighton spędziliśmy takie miłe chwile, naprawdę myślałam, że nasz los odmienił się i teraz wszystko będzie lepiej.

Pani Bruce poklepała ją po ramieniu.

- Moja droga, tak mi przykro, to musiał być ogromny wstrząs dla ciebie. Ale na razie radzę ci, żebyś zdjęła te okropne buty, bo zrobisz sobie więcej pęcherzy Zabierz się do prania, a porozmawiamy później.

Zabrzmiało to tak, jakby gospodyni była zdania, że Beth wystarczająco długo litowała się nad sobą i jakkolwiek dziewczyna czuła się zdruzgotana, wiedziała jak ważne jest utrzymanie tej pracy. Zdjęła buty i wzięła się do roboty, prawie ciesząc się na widok olbrzymiego stosu, gdyż pozwalał jej na oderwanie myśli od problemów.

Po godzinie dwunastej, kiedy Beth wieszala ostatnie wyprane sztuki, na podwórzu wyszła pani Langworthy W jasnozielono-białej sukni wyglądała ślicznie, zaś jej czerwone włosy spięte były na czubku głowy kilkoma grzebykami z długimi ząbkami.

- Pani Bruce powiedziała mi o pożarze, Beth - rzekła zatroskanym tonem. - Tak bardzo mi przykro.

- Śmiem twierdzić, że jakoś to przeboleję - odpowiedziała Beth. Nie domagała się współczucia, wystarczyło jej, że pani przyszła z nią porozmawiać.

- Ale gdzie będziecie mieszkać? - zapytała pani Langworthy. -Jeżeli weźmie się pod uwagę dziecko, możecie mieć z tym duże kłopoty

94

- Sąsiedzi udzielili nam dachu nad głową na kilka najbliższych nocy. Znajdziemy coś, kiedy Sam dostanie wypłatę pod koniec tygodnia.

- Wolę sobie nie wyobrażać miejsc, na jakie musi się decydować ktoś zdesperowany - Pani Langworthy ściągnęła usta z dezaprobatą. - Nie mogę się na to zgodzić, więc chcę, żebyście zajęli pokoje nad stajnią. Są puste od czasu, kiedy mój teść miał wylew i zwolniliśmy naszego stangreta.

Beth patrzyła na panią oczami pełnymi bezbrzeżnego zdumienia.

- Nie uważałam cię za osobę nieumiejącą się wysławić - pani Langworthy roześmiała się cicho.

- Przepraszam, proszę pani - szybko powiedziała Beth. - Po prostu ogromnie mnie pani zaskoczyła. Nie wyobrażałam sobie, że może być pani tak wspaniałomyślna.

- Może przestaniesz tak myśleć, kiedy zobaczysz, jak zakurzone jest to miejsce!

Na twarzy Beth rozlał się szeroki uśmiech.

- Może wyglądać nawet jak Czarna Dziura Kalkuty Z chęcią będę pracowała dla pani codziennie za darmo w zamian za dach nad głową.

- To nie będzie konieczne - stwierdziła pani Langworthy - Po prostu idź i posprzątaj tam, zanim sprowadzisz Molly i swojego brata. Poproszę panią Bruce, żeby znalazła ci jakąś pościel i prześcieradła.

Beth stała na górze drewnianych schodów w środku nieużywanej stajni, patrząc na pierwszą z dwóch izb z uśmiechem w sercu. Była mała i bardzo brudna, ale dziewczyna wiedziała, że kiedy umyje okna, będzie tu

95

słonecznie i przewiewnie, gdyż okna znajdowały się po obu stronach pomieszczenia; wychodziły na podwórkę Langworthych i stajnię. Był tu zlew, piecyk, stół i krzesła. Z przejęciem wbiegła do drugiej izby i znalazła tam starą żelazną ramę łóżka i drugie łóżko - polowe na kółkach - które mogła wstawić do kuchni dla Sama.

Nie miała zielonego pojęcia, jakie kwatery znaleźliby z bratem za czynsz, na który byłoby ich stać. Ale była absolutnie pewna, że nie wyglądałyby w ten sposób i prawdopodobnie byłby to jeden pokój w slumsach.

Beth mocno się uwijała, sprząając pokoje przez dwie godziny Wystawiła na słońce do wietrzenia dwa materace, wyszorowała podłogi i wymyła okna. Kiedy skończyła, nigdzie nie było nawet skrawka pajęczyny, za to ona wyglądała niczym kominiarz, a jej bosa stopy były czarne.

Zaraz potem od strony podwórza nadeszły pani Bruce i Kathleen, każda obładowana stosem koców, poduszek i czystych prześcieradeł. Pomogły Beth zaścielić łóżka, zaś pani Bruce położyła na stole obrus w biało--czerwoną kratę.

- Czyż nie jest tu pięknie? - powiedziała Beth. - Nie wyobrażam sobie, żeby ktoś był równie miły jak pani Langworthy

- Doświadczyła więcej pecha i krzywd niż inni -stwierdziła pani Bruce. - Powiedziała też, że masz iść na górę, wykapać się i umyć włosy, zanim pójdziesz po Molly, i znalazła dla ciebie kilka ubrań.

Leżąc w ciepłej wodzie i pozwalając włosom unosić się na powierzchni, Beth nie mogła się nadziwić, jak w ciągu kilku godzin przeszła od stanu czystej desperacji do idealnej niemal błogości.

96

Wcześniej raz tylko dane jej było wyciągnąć się w cynowej wannie na całą długość, miała wtedy pięć albo sześć lat. Teraz żywiła tylko nadzieję, że dla Sama ludzie byli dziś równie mili, co dla niej.

Ubrania, które dała jej pani Langworthy, leżały złożone na stoliku obok wanny. Ciemnoniebieska spódnica, niebieska bluzka w białe grochy, koszulka, reformy i halka. Zastanawiała się, czy pani Langworthy wiedziała, że pod tą straszną zieloną suknią nic na sobie dzisiaj nie miała. Pani Bruce dała jej parę butów i trochę pończoch, gdyż te należące do pani Langworthy okazały się za duże. Mimo iż kąpiel była niezwykle przyjemna, dziewczyna wiedziała, że musi pospieszyć się, by pójść do pani Craven i Molly.

- A niech mnie! - zakrzyknęła pani Craven, kiedy Beth pojawiła się na jej podwórku w nowym ubraniu i z włosami lśniącymi niczym wypolerowany heban. -Ktoś się tobą zajął i jestem pewna, że nie była to Armij-ka Zbawienia.

Beth uśmiechnęła się, po części dlatego, że czysta i schludna znowu czuła się sobą, ale i też ucieszył ją widok pani Craven siedzącej w słońcu z Molly.

Podniosła siostrzyczkę z koca, na którym mała siedziała, i przytuliła ją.

- Beth ma dla ciebie miłą niespodziankę - powiedziała.

- Cóż, bez wątplenia stanęłaś na nogi - stwierdziła podekscytowana pani Craven, gdy Beth opowiedziała jej o porannych wydarzeniach. - To się nazywa szczęście!

W tym momencie Beth poczuła zakłopotanie, gdyż zabrzmiało to tak, jakby jej sąsiadka była niemal zawiedziona, że jej los tak szybko się odmienił.

97

- Bez pani po drugiej stronie uliczki nie będzie już tak samo - rzuciła szybko. - Pani Craven, okazała nam pani tyle dobra od czasu, kiedy odszedł tato. Nie wiem, jak ja i Sam poradzilibyśmy sobie bez pani.

Twarz sąsiadki rozjaśnił uśmiech.

- Po prostu pamiętajcie, żeby zajrzeć do mnie od czasu do czasu. Będę tęsknić za wami wszystkimi, ale zwłaszcza za moją małą Molly - Wyciągnęła palec do dziecka, które ochoczo go złapało. - A teraz, ja też mam dla ciebie pewne wieści. Policja aresztowała Jane Wiley. Ten gliniarz, który gadał wczoraj z Samem, pojawił się dziś rano po twoim wyjściu i mi to powiedział. Oczywiście wszystkiemu zaprzecza, ale od jej ubrania biło naftą. Poza tym powiedział, że ktoś w wynajętym przez nią lokum widział ją tej nocy, jak wychodziła po powrocie Thomasa z knajpy

- Co się z nią stanie?

- Rzecz jasna, pójdzie do więzienia - stwierdziła pani Craven z zadowoleniem. - I jak sądzę, będzie to długa odsiadka. Mam nadzieję, że tam zgnije.

Beth skinieniem głowy przytaknęła jej.

- Czy słyszała pani coś o panu Filbercie i dwóch pozostałych sklepikarzach? - zapytała. - Strata musiała być dla nich straszna.

- Podobno są wściekli z tego powodu. Zanim zabito okna deskami, do sklepu z artykułami żelaznymi zakradło się kilku szabrowników.

Beth z odrazą potrząsnęła głową. - Jakież wieści o Erneście i Peterze?

- Dziś rano przyszli i zabrali swoje bicykle, pytali o ciebie. Ostatniej nocy przygarnął ich ktoś z Lord Street i dał im trochę ubrań. Poradzą sobie, mają niebiedne rodziny, które im pomogą.

48

W tym momencie Beth przypomniała sobie, że przyniosła z powrotem pożyczoną sukienkę i buty. Oddała je, a potem wyciągnęła z torby duży kawałek mięsa zapiekanego w cieście otrzymany od pani Cray, kucharki.

- Chciałabym mieć pieniądze, żeby coś pani kupić i pokazać, jak wdzięczna jestem za pani dobroć - powiedziała - ale może zjemy to wspólnie, a w następne odwiedziny z pewnością nie przyjdę z pustymi rękoma.

- Niech cię Bóg błogosławi. - Na widok mięsa oczy pani Craven roziskrzyły się. - Jesteś dobrą dziewczyną, Beth. Twoja matka byłaby z ciebie dumna.

O wpół do siódmej pojawił się Sam niosący owiniętą w brązowy papier paczkę. Ciągle miał na sobie za dużą marynarkę i koszulę, poskarżył się też, że inni księgowi przez cały dzień nabijali się z niego. Ale kierownik dał mu pięć funtów z firmowego funduszu zapomogi, ustanowionego na rzecz pomocy pracownikom w potrzebie.

- Kupiłem sobie trochę ubrań w sklepie z używaną odzieżą - powiedział. - Miałem zamiar powiedzieć, że możesz wziąć część pieniędzy i kupić sobie jakieś rzeczy jutro, ale wygląda na to, że sama sobie poradziłaś. To pozwoli nam przeznaczyć więcej na wynajęcie nowego lokum.

Wtedy Beth przekazała mu nowiny; Sam wyglądał na oszołomionego.

- Dlaczego twoja pani miałaby to zrobić? - zapytał.

- Bo jest szczodra i miła, więc lepiej upewnijmy się, że nie zawiedziemy jej oczekiwań. - Beth uśmiechnęła się.

Okazało się, że wózek dziecięcy pozostawiony w szopie z tyłu był pokryty sadzą, ale nienaruszony przez

ogień. Po kolacji Beth i Sam wsadzili do niego Molly wraz z małą torbą przyniesionych przez ludzi dziecięcych ubranek i skrzypkami, pożegnali się z Cravenami i ruszyli w kierunku Falkner Square.

- Ciągle nie mogę uwierzyć, że wszystko straciliśmy - westchnął Sam, kiedy skracali sobie drogę boczną uliczką, która miała wyprowadzić ich na Steel Street. - Powiedziałaś, że Jane Wiley nie spodobała ci się przy pierwszym spotkaniu. Szkoda, że nie zaufałem twojemu osądowi.

- Sama też nie jestem bez winy - odpowiedziała ponuro Beth. - Może nie zrobiłaby tego, gdybym jej tak pochopnie nie wyrzuciła. Ale zostawmy to. Na szczęście nikt nie zginął w ogniu i może nowy początek dobrze nam zrobi.

- Ale musimy być twardsi - zamyślił się Sam. - Trzeba wziąć sprawy w swoje ręce. Powinniśmy wyznaczyć sobie jakiś cel i konsekwentnie do niego dążyć.

- A czego ty tak naprawę chcesz? - zapytała Beth. Był piękny, ciepły wieczór i mimo iż była okropnie zmęczona, czuła, że już teraz ma wszystko, czego pragnie: Molly śpiącą w wózek, Sama u swego boku i czekający na nich nowy dom.

- Pragnę wyjechać do Ameryki - powiedział. - Nie chcę być popychadłem siedzącym na taborecie, bazgrającym w rejestrach i wdzięcznym za psi grosz, który dostaje co tydzień. Nie chcę też, żebyś przedwcześnie się postarzała, piorąc cudze ubrania. Ameryka to młody, rozległy kraj, pełen możliwości. Moglibyśmy tam znaleźć szczęście.

- Jestem pewna, że tak by było. - Beth bała się zapytać, czy w marzeniach brata jest miejsce dla Molly. - Ale najpierw musimy stanąć na nogi.

Rozdział ósmy



Sprawdzając miesięczny rachunek od rzeźnika, Edna Bruce usłyszała westchnienie Beth. Podnosząc wzrok, zauważyła, że dziewczyna, przyszywająca guziki do jednej z koszul pana Edwarda, pogrążona jest w melancholii.

Siedziały w mieszczącym się w suterenie dawnym saloniku lokaja. Lokaja państwo Langworthy nie mieli, więc pokój wykorzystywano do szycia i prasowania, a kiedy na zewnątrz padało, Beth zabierała doń Molly w wózek i dziewczynka odbywała tu popołudniową drzemkę.

Od czasu kiedy Beth i jej mała rodzina zamieszkali na Falkner Square, minęło sześć tygodni i pani Bruce z zachwytem konstatowała, jak korzystnie funkcjonuje ten układ.

Widywała Sama tylko w niedziele, gdyż wychodził do pracy wcześniej rano, ale uważała, że jest bardzo miłym młodym mężczyzną.

Beth przychodziła teraz codziennie na trzy godziny, co wszystkich zadowalało; pranie nie piętrzyło się w niemożliwych do ogarnięcia ilościach. Przeprowadzała ze sobą Molly, a przy dobrej pogodzie zostawiała ją w wózek na podwórzu.

Molly jednak nie pozostawała w nim zbyt długo! Pani Bruce, kucharka i Kathleen wyciągały dziewczynkę z wó-zeczka, przytulały ją i zabawiały tej samej słabości ulegała pani domu. Od czasu do czasu pan Edward zostawał z rana w domu, zachodził wtedy do suterenu i również padł ofiarą uroku dziewczynki, więc także ją zabawiał.

Prawdę rzekłszy, Molly stała się ulubienicą wszystkich. Kręcone włosy, orzechowe oczy i częste uśmiechy zdobywały jej wszystkie serca. Była wyjątkowo wesołym dzieckiem, rzadko kiedy płakała i na każdego spoglądała ufnie i radośnie.

Najbardziej zaskakującą konsekwencją zamieszkania Beth na Falkner Square było to, iż polubił ją stary pan Langworthy. Było to wydarzenie bez precedensu. Stało się to pewnego popołudnia, kiedy Beth zaproponowała, że z nim posiedzi, gdy pani musiała wyjść na godzinę. Wróciwszy, zastała swojego teścia zasluchanego w głos Beth czytającej powieść zeszytową. Dziewczyna najwyraźniej miała ją w kieszeni na wypadek, gdyby staruszek drzemał, ale przekonawszy się, że pan Langworthy nie śpi, postanowiła sprawdzić, czy zainteresuje go historyjka z broszurki.

Przed wylewem stary pan Langworthy miał spore ambicje intelektualnego snoba i nie pozwalał na czytanie w domu literatury tak niskich lotów, więc ta sytuacja mocno zdumiała jego syna i synową. Teraz Beth często mu czytała albo po prostu przychodziła i prowadziła z nim pogawędkę. Jego kalectwo jej nie zrażało, nie przeszkadzało jej też to, że staruszek wysławiał się za pomocą chrząknięć i dziwnych dźwięków; po prostu rozmawiała z nim jak z każdym innym, przekazywała wiadomości ze świata, opowiadała

50

o książkach, które czytała w przeszłości, i o swoich zmarłych rodzicach.

Ale jakkolwiek dobrze miały się sprawy, zarówno pani Bruce, jak i pani Langworthy były lekko zaniepokojone, że żywa młoda dziewczyna prowadzi tak monotonne życie. Nie to, żeby było ono trudne - większość służących pracowała od szóstej rano do momentu, kiedy pan lub pani udawali się na spoczynek. W rzeczy samej, gdyby Beth była mężatką, a Molly jej dzieckiem, można by rzec, że życie wspaniale się jej ułożyło. Ale Sam nie był jej mężem i gdy dostał drugą pracę jako barman w hotelu Adelphi, wychodził każdego wieczora, zostawiając Beth całkiem samą.

Sama pani Langworthy stwierdziła, że nie jest to życie dla tak młodej dziewczyny; życiowa przestrzeń Beth ograniczała się do kilku pokoiów, towarzystwa dziecka -żadnych wizyt rodziny czy przyjaciół.

Pani Bruce pomyślała, że być może właśnie to trapi teraz Beth.

- Beth, czy wszystko w porządku? - zapytała. - Jesteś dziś nad wyraz cicha.

- Po prostu myślałam o tym, jak ciężko pracuje Sam -odpowiedziała dziewczyna, lekko wzruszając ramionami. - Widzi pani, on chce jechać do Ameryki, dlatego wziął pracę barmana. Pomyślał, że przyda mu się doświadczenie w tej profesji.

Pani Bruce usłyszała o tym pomysle po raz pierwszy.

- Chce jechać bez ciebie? - zapytała.

- Nie, chce wziąć mnie ze sobą. Ale nie widzę takiej możliwości, muszę myśleć o Molly.

- Ludzie od dawna emigrują z dziećmi - stwierdziła pani Bruce. - I jakoś sobie radzą. Słyszałam, że niektórzy biorą ze sobą piątkę albo szóstkę dzieci.

103

- Tak, ale nasza sytuacja jest inna; Sam to mój brat - westchnęła Beth i nagle jej niebieskie oczy przyćmił smutek. - Nie chciałabym umniejszyć jego szans, a nielato byłoby mu utrzymać naszą dwójkę.

Pani Bruce zastanawiała się nad tym przez kilka chwil.

- Tak, myślę, że masz rację; nie mógłby się przenieść z miejsca na miejsce w poszukiwaniu najlepszych możliwości, a gdyby zechciał się ożenić, pojawiłby się problem. Ale to niesprawiedliwe, żeby cała odpowiedzialność za Molly, czy tu, czy tam spadała na ciebie. To również jego siostra.

- I tu dochodzimy do sedna sprawy - odpowiedziała bezbarwnym i przygnębionym głosem Beth. - Jest zbyt obowiązkowy, żeby nas zostawić, ale przygnębia mnie myśl, że obie go ograniczamy

- Rozumiem. - Pani Bruce skinęła głową. - A powiedz mi, gdyby nie Molly, chciałabyś wyjechać do Ameryki? - zapytała.

- O tak - odparła podekscytowana Beth z błyskiem w oczach. - Wydaje się, że to wspaniałe miejsce. Często marzy mi się gra na pianinie w dużym hotelu.

- Umiesz grać na pianinie?

Widząc jej zaskoczenie, Beth uśmiechnęła się.

- Tak, choć teraz pewnie trochę zardzewiałam, bo po śmierci mamy musieliśmy je sprzedać. Gram też na skrzypkach. Samowi udało się ocalić je z płomieni. Właśnie ten instrument lubię najbardziej, ale mama mówiła, że to diabelska muzyka, bo grają na nich we wszystkich podrzędnych knajpach.

Na twarzy pani Bruce pojawił się uśmiech. Wielokrotnie już słyszała, że ktoś gra jiga, ale nigdy by się nie

51

domyśliła, że muzyka dobiega z wozowni. Nie uważała też, żeby dźwięki miały cokolwiek wspólnego z diabłem: były wesole i pogodne.

- Dlaczego nigdy wcześniej mi o tym nie powiedziałaś? - zapytała. - To wspaniały talent.

- Bałam się, że zabrzmi to, jakbym się przechwalała. Służący nie powinni zachowywać się w ten sposób.

- Nie pomyślałabym, że się przechwalasz i byłabym bardzo wdzięczna, gdybyś przyniosła tu kiedyś skrzypki i zagrała dla mnie.

Sposób, w jaki zaiskrzyły się oczy Beth, sprawił, że pani Bruce parsknęła śmiechem.

- I nie przestawaj marzyć ani planować swojej przyszłości - kontynuowała. - Popelniłam błąd wiecznego przedkładania obowiązków nad własne pragnienia i ambicje, z tego powodu ominęło mnie zamążpójście i dzieci. Nie chciałabym, żeby ten sam los spotkał ciebie.

- A jakiegoż to losu nie życzysz Beth?

Słyszając pytanie pani Langworthy, pani Bruce i Beth zaskoczone odwróciły głowy. Nie usłyszały, jak schodzi po schodach do piwnicy. W jedwabnej, ciemnozielonej sukni z bufiastymi rękawami i włosach ułożonych w lśniące, grube pukle wyglądała olśniewająco.

- Beth właśnie mówiła mi, że Sam jest zdecydowany udać się do Ameryki i podejrzewam, iż tak naprawdę ona chce mu towarzyszyć - powiedziała pani Bruce.

- Potrafię to zrozumieć. - Pani Langworthy skinęła głową. - Mam wrażenie, że to wspaniałe, ekscytujące miejsce. Ale na razie nie uciekaj, Beth, gdyż dopiero co przyzwyczaiłam się do twojej pomocy. I oglądania tej małej każdego dnia! - Stała przy wózeku i spojrzała na Molly z uwielbieniem w oczach. - To wspaniałe

105

dziecko. Chciałabym, żeby się obudziła i abym mogła ją porzytulać.

Kiedy pani Langworthy pochylała się nad wózkiem, pani Bruce poczuła, że jej pani bardzo chciałaby mieć własne dzieci. Na początku małżeństwa powtarzała panu Edwardowi, że chce przynajmniej sześcioro; była zdrowa, silna i pani Bruce przypuszczała, iż z czasem jej marzenia się spełnią. Ale tak się nie stało i z każdym rokiem wydawało się to coraz mniej prawdopodobne.

Molly obudziła się i przeciągnęła. Gdy zobaczyła twarz pochylonej nad sobą pani Langworthy, uśmiechnęła się radośnie i wyciągnęła rączki, prosząc, żeby ją podnieść.

- Będzie miała mokro i pobrudzi pani sukienkę - powiedziała wystraszona Beth.

- A co mi tam! - Pani Langworthy roześmiała się i ochoczo podniosła dziecko w górę. - Małeńka, jak mniemam, zbliża się czas twojego obiadu - powiedziała. - Co mamy na dzisiaj?

Molly gmerała paluszkami przy naszyjniku pani Langworthy, jakby się zastanawiała, czy nie włożyć go do buzi.

- Kucharka zostawiła dla niej trochę jagnięcego gulaszu z poprzedniego wieczoru - powiedziała pani Bruce. - Dziewczynka je wszystko, nigdy nie widziałam, żeby grymasiła.

- Mogę ją nakarmić? - zapytała pani Langworthy. Beth nie potrafiła zrozumieć, dlaczego jej pani chciałaby zrobić coś takiego, ale ochoczo się zgodziła.

- Ale niech lepiej założy pani fartuch, niekiedy Molly bywa odrobinę niechlujna - dodała.

106

Pani Bruce zajęła się swoimi obowiązkami, ale zdecydowała, że zajrzy kilkakrotnie do kuchni, by mieć baczność na to, jak pani Langworthy karmi dziecko. Ku jej zdziwieniu, pani trzymała małą na kolanach z pełną swobodą, wsuwając dziecku łyżeczką jedzenie wprost w łakomie otwieraną buźkę. Ale jeszcze ciekawiej wyglądała Beth, która siedziała przy stole naprzeciwko swojej pani i otwierała oraz zamykała usta w tym samym czasie co Molly; od czasu do czasu jej ręka ruszała się mimowolnie, tak jakby nie mogła uwierzyć swoim oczom, że pani Langworthy potrafi zebrać zgromadzone wokół buźki dziecka resztki gulaszu i nakarmić małą również tym.

Pani doskonale zrozumiała niepokój Beth.

- Mam pewne doświadczenie - powiedziała, śmiejąc się radośnie. - Kiedyś regularnie karmiłam swoich braci i siostry. Po prostu od czasu zamążpójścia nie miałam okazji obcować z niemowlakami i małymi dziećmi.

- Robi to pani naprawdę dobrze - stwierdziła Beth z podziwem. - Ja z początku bardzo się bałam o Molly i niepokój prawie mnie paraliżował. Nigdy nawet nie trzymałam niemowlaka, a cóż mówić o karmieniu i przewijaniu.

- Przewijania jej też muszę spróbować - powiedziała pani Langworthy z wyraźną radością malującą się na twarzy. - W tej kwestii dzieci są o wiele sympatyczniejsze od zrzędliwych starców.

Pani Bruce odwróciła się tak, żeby Beth ani pani nie zobaczyły gromadzących się w jej w oczach łez. Wyczuwała, że to wszystko nie może się dobrze skończyć, gdyż niedługo Beth ruszy swoją drogą i zabierze Molly ze sobą.

Przez całą jesień, święta Bożego Narodzenia aż do Nowego Roku 1895 pani Bruce obserwowała, jak Beth i Molly powoli zdobywają serca wszystkich na Falkner Square. Wiedziała, że to nie tylko kwestia jej wyobraźni, gdyż sama uległa ich urokowi.

Trudno jest nie kochać kogoś, kto potrafi śpiewać nawet podczas płukania brudnych pieluch. Wesoly śmiech praczki ożywiał piwnicę, zaś jej ochota do pomagania każdemu w jego obowiązkach był źródłem panującej w domu radosnej atmosfery. Chętnie spędzała popołudnia, polerując srebra, prasując ubrania pana Edwarda albo czytając staremu panu Langworthy'emu, mimo iż nie placono jej za żaden z tych dodatkowych obowiązków. Być może wynikało to z faktu, że wolala pracować niż siedzieć samotnie z Molly w swoich pokojach, ale niezależnie od powodu, pani Bruce lubiła mieć ją przy sobie.

Pierwsze urodziny Molly uczcili w kuchni przed świętami Bożego Narodzenia. Kucharka zrobiła specjalny lodowy tort i deser, służąca Kathleen nadmuchała balony i nawet Sam i pan Edward wcześniej wrócili do domu, żeby przy wszystkich asystować. Beth uszyła Molly nową różową sukienkę, którą mała natychmiast upaćkała deserem. Już wcześniej potrafiła przejść kilka kroków, trzymając kogoś za rękę, ale tego popołudnia bez niczyjej pomocy zrobiła cztery czy pięć kroczków, żeby dojść do pani Langworthy

Nie ulegało wątpliwości, że to z powodu obecności dziecka pan Edward kupił choinkę, gdyż wcześniej nikt takowej w tym domu nie widział. Sam dokładnie zamocował ją w dużym cebrzyku i umieścił przy oknie

108

w salonie, zaś Beth i pani Langworthy przystroili ją świeczkami i bombkami.

Jak zawsze, na bożonarodzeniową kolację przyszło wielu krewnych i Sam zniósł starego pana Langworthy'ego do jadalni. Ale choć uroczystości na górze przypominały te z poprzednich lat, na dole było o wiele weselej.

Kiedy kolacja na górze się skończyła, stary pan Langworthy został zabrany do swojego pokoju, zaś pan i pani zabawiali gości w salonie, służba rozpoczęła kolację w kuchni.

Jako że Sam był jedynym obecnym mężczyzną, pani Bruce poprosiła go, żeby usiadł u szczytu stołu i pokroił gęś. Sama usiadła naprzeciwko niego, z kucharką po jednej stronie i Molly na pudle umieszczonym na krześle po drugiej. Kathleen i Beth, obydwie ubrane w papierowe kapelusiki, usiadły po bokach Sama. Nie wiadomo, czy była to zasługa wina, które wypili, czy po prostu trojga nowych ludzi przy stole, ale w momencie, kiedy Sam zaczął wyglupiać się, udając chirurga i zaatakował gęś nożem do krojenia, rozległy się śmiechy, które już nie ucichły do końca świątecznej kolacji.

Kucharka nie miała kwatery na terenie posiadłości, ale mieszkała tuż obok. Pracowała, odkąd była małą dziewczynką, zawsze w domostwach z dużą ilością służby. Opowiadała przezabawne historie o popelnianych przez kucharzy gafach i o tym, jak reszta służby starała się je ukryć.

Sam również opowiadał im historie o ludziach, którzy przychodzili do hotelu Adelphi. Tak dobrze parodiował ich głosy i maniery, że miało się wrażenie, iż ci w istocie przybyli na kolację.

109

Pani Bruce obserwowała rozmawiającego Sama i zauważyła, jak zmężniał od czasu, kiedy został barmanem. Był też teraz znacznie bardziej pewien siebie i śmiało patrzył w oczy każdemu, z kim rozmawiał, zamiast spuszczać wzrok, tak jak miał w zwyczaju kiedyś. Jasne włosy, gładka skóra i iskrzące się niebieskie oczy czyniły zeń urodziwego mężczyznę, zaś jego swoboda w kontaktach z kobietami była bardzo pociągająca. Gosposia pomyślała, że kiedy na jego chudej sylwetce przybędzie trochę ciała, kobiety nie będą w stanie się mu oprzeć.

Jednakże zauważyła też, jak mało uwagi poświęcał Molly. Po kolacji, kiedy chwiejnym krokiem krążyła po pomieszczeniu od jednej osoby do drugiej, nie zwracał na nią tyle uwagi, co pozostali zebrani. Gdy upadła obok niego, podniósł ją i zaoferował jej małe kawałki pomarańczy, którą jadł, ale nie wziął jej na kolana ani nie krzątał się obok niej. Pani Bruce doszła do wniosku, że choć z pewnością nie był niemily w stosunku do małej, unikał jakiegokolwiek zaangażowania.

Zastanawiała się, dlaczego tak jest i jedynym logicznym powodem, jaki przyszedł jej do głowy, była myśl, że zamierza zostawić Beth i Molly. Pewnie wydawało mu się, że będzie mu łatwiej, jeżeli nie pozwoli sobie na przywiązanie się do małej siostrzyczki.

Wraz z nadejściem Nowego Roku pani Bruce zorientowała się, iż jest tym wielce zaaferowana.

Powtarzała sobie, że dziewczyna sobie poradzi, gdyż niezależnie od jej brata państwo Langworthy dalej będą ją zatrudniać. Ale za każdym razem, kiedy słyszała radość i nadzieję, gdy Beth grała na skrzypkach w swoich pokojach, czuła smutek na myśl o tym, że dziewczyna nigdy nie wytknie nosa poza Falkner Square. Pani Bruce oczami wyobraźni

54

widziała już łańcuchy, które ją tu zatrzymają. Obecny powodem była opieka nad Molly, ale im dłużej tu pozostanie, tym większy dług wdzięczności będzie odczuwać w stosunku do państwa Langworthy. Kiedy Molly podrośnie wystarczająco, żeby podjąć jakąś pracę, pani Bruce będzie stara i Beth przejmie jej obowiązki. Nigdy nie będzie miała okazji zagrać dla większej publiczności i zobaczyć szerokiego świata. I najprawdopodobniej nigdy nie wyjdzie za mąż.



Proszę pani, proszę pani - zapiszczała Kathleen o szóstej rano. Był wczesny luty, przejmująco zimny, i ciągle zalegał mrok; pan i pani jeszcze spali. Pani Bruce właśnie udała się do kuchni, żeby postawić czajnik na piecyku i przygotować herbatę.

Pobiegła z powrotem na górę i znalazła Kathleen w drzwiach pokoju starego pana Langworthy.

Pierwszą powinnością Kathleen każdego ranka jako służącej było rozpalenie ognia w jego pokoju, a ujrzawszy przerażony wyraz twarzy dziewczyny, pani Bruce domyśliła się, że starzec umarł.

- Miał otwarte oczy i usta - wyszlochala Kathleen. - Zapytałam go, czy chce filiżankę herbaty. Ale myślę, że on nie żyje.

- Opanuj się - ostro powiedziała pani Bruce. Miała właśnie dodać, że Kathleen powinna była zejść i powiedzieć jej o tym cicho bez budzenia pana i pani, ale było już za późno: drzwi do obu ich sypialni jednocześnie się otworzyły Pan Edward ubrany był w długą nocną koszulę, zaś pani okryła ramiona szalem.

- Czy chodzi o mojego ojca? - zapytał pan Edward. Pani Bruce skinęła głową i weszła do pokoju seniora. Kathleen zapaliła lampę olejną stojącą na gzymsie

kominka, żeby światło dokładnie ukazało to, co zobaczyła wcześniej. Leżał z głową zwisającą z krawędzi materaca, tak jakby starał się wstać z łóżka.

Pani Bruce podeszła do niego i stwierdziła, że w istocie nie żyje. Podniosła go z powrotem na poduszkę i zamknęła mu oczy oraz usta.

- A więc odszedł? - zapytał od drzwi pan Edward z żoną stojącą u boku, tak jakby obydwójce obawiali się wejść do pokoju.

- Obawiam się, że tak - powiedziała pani Bruce, wyglądając pościel. - Bardzo mi przykro. Ale musicie państwo wracać do łóżek albo sami zembrzecie z przeziębienia. Powiem Kathleen, żeby wysłała liścik do lekarza.

Kiedy tego dnia o dziewiątej Beth z Molly przybyła do domu państwa Langworthy, znalazła panią Bruce, kucharkę i Kathleen siedzące przy kuchennym stole w bardzo minorowych nastrojach.

Pani Bruce wyjaśniła, co się stało i powiedziała, że doktor właśnie jest z państwem Langworthy, podpisując świadectwo zgonu staruszka.

- Tak będzie najlepiej - westchnęła. - Nie miał już prawdziwego życia, a pani zostanie oszczędzona cała ta ciężka praca. Ale nie zmienia to faktu, że trudno będzie go pożegnać.

-Jego oczy wyglądały niczym u ryby, tak właśnie było - wyrzuciła z siebie Kathleen. - A kiedy dotknęłam jego ręki, była zimna niczym lód.

- Dość, Kathleen - powiedziała ostro pani Bruce. -Wiem, że znalezienie go było dla ciebie szokiem, ale wszyscy musimy okazać mu szacunek i poparcie dla pana i pani.

56

Beth poczuła lzy w oczach. Kiedy po raz pierwszy poproszono ją, żeby z nim posiedziała, była przerażona. Z powodu paraliżu całej strony ciała jego twarz była wykrzywiona, zaś jego waga przywodziła na myśl szkielet. Kiedy próbował mówić, pluł na wszystkie strony, a dźwięki, które wydawał, były niezrozumiałe i niepokojące. Ale szybko do tego przywykła i po przeczytaniu mu kilku rzeczy zaczęła rozumieć, co próbuje powiedzieć. Potrafił spojrzeniem wyrazić aprobatę, irytację sygnalizował machnięciem zdrowej ręki i czasami z jego chrząknięć udawało się jej wychwycić kilka pełnych słów; kiedy mu je powtarzała, kiwał głową.

Wyczuwała jego radość podczas jej odwiedzin, wiedziała, gdy jakaś powieść mu się podobała i im więcej czasu z nim spędzała, tym bardziej mu współczuła. Wydawało jej się straszną rzeczą, że tak bystry umysł uwięziony jest w ciele, którego nie może kontrolować i musi cierpieć poniżające karmienie i zmienianie pieluch niczym dziecko, nie mając żadnego sposobu okazania, iż jest w pełni świadom tego, co się dookoła niego dzieje.

- Nie płacz, Beth - powiedziała pani Bruce, podnosząc Molly spoglądającą z niepokojem na siostrę.

-Odszedł do lepszego miejsca, jego cierpienie dobiegło końca i znów może być razem ze swoją żoną. Dom przykrył całun przygnębienia, z dnia na dzień coraz cięższy, w miarę jak pan i pani czynili przygotowania do pogrzebu.

Beth aż nazbyt dobrze знаła ową atmosferę; poza niepokojącym przypomnieniem śmierci i pogrzebów jej własnych rodziców, zrodziła się w niej małostkowa, lecz realna obawa o swój dalszy los.

Bez prania rzeczy

115

starszego pana nie będzie miała zbyt wiele roboty. Pani Bruce, Kathleen i kucharka doskonale radziły sobie z prowadzeniem funkcjonującego niczym dobrze naoliwiona maszyna domu. Czy pan Edward będzie chciał wypłacać pieniądze komuś, kogo już nie potrzebuje?

Siedemnaste urodziny Beth i osiemnaste urodziny Sama minęły bez żadnych uroczystości. Beth była zajęta pomaganiem pani Cray przy przygotowaniu ciast i pasztecików na stypę i drobnymi krawieckimi poprawkami przy stroju żałobnym, który jej pani miała na sobie, kiedy zmarła teściowa.

W dniu pogrzebu Beth obudziła się przed świtem, ale na zewnątrz było wystarczająco dużo światła lamp na końcu stajni, aby widać było, iż w nocy spadł śnieg. Siedziała w łóżku minutę lub dwie, patrząc przez okno. Wszystko wyglądało pięknie; brud, śmieci i wszystko co brzydkie przykryła gruba warstwa nieskazitelnej, iskrzącej się bieli. Przypomniała sobie śnieg spadły nieco ponad rok temu, kiedy urodziła się Molly. Wspomniała, jak stała przy oknie w kuchni z dzieckiem na rękach, zachwycając się alejką na tyłach i dachami domów, które białe puch w niezwykle sposób przekształcił w coś magicznego.

Zaledwie kilka dni później jej mama umarła, a śniegi zmył deszcz. Patrzyła przez to samo okno i znów wszystko stało się szare, splowiałe i brzydkie. Wtedy wydało jej się, że to ważne ostrzeżenie losu; przypomnienie, że szczęście i piękno zawsze są ulotne.

Od tamtej pory wiele się wydarzyło. Poznała rozpacz, ból, strapienia i straciła dom w pożarze. Ale to ostatnie obróciło się na dobre; zamieszkali tutaj i znów znaleźli namiastkę szczęścia i bezpieczeństwa.

57

Zarówno ona, jak i Sam musieli szybko dorosnąć, ale być może najważniejszą rzeczą, jakiej się nauczyła, była prawda, że na niczym nie można polegać i nic nie trwa wiecznie. Nie mogli liczyć na to, że dobroć Langworthych będzie trwała w nieskończoność, ani na to, że stale będą mieli pracę i mieszkanie. Ona sama zaś nie mogła nawet być pewna, że zawsze przy niej będzie Sam.

Musi polegać tylko na sobie. Ale była to smutna, przesywająca chłodem myśl.

Nikt nie oczekiwał, że Sam pojawi się na pogrzebie, gdyż spotkał nieboszczyka tylko raz w czasie świąt Bożego Narodzenia, kiedy zniósł go do jadalni. Ale musiał iść do pracy, więc Beth okryła ramiona szalem i zakradła się do salonu, żeby zapalić lampę olejną, rozpać w piecyku i nastawić kociołek. Sam spokojnie i beztrąsko leżał skulony na wąskim łóżku na kółkach. Nie w pełni jeszcze pojął konsekwencje śmierci pana Langworthy'ego, nie dotarło do niego, że śmierć seniora może przysporzyć im więcej kłopotów, ona zaś nie miała ochoty na ubieranie swoich obaw w słowa; nie chciała zburzyć szczęścia, jakie go ogarnęło od czasu rozpoczęcia pracy w Adelphi.

- Sam, czas wstawać - powiedziała delikatnie i potrząsnęła jego ramię.

Otworzył oczy i ziewnął.

-Już? Wydaje mi się, że dopiero co się położyłem.

-Jest szósta rano i pada śnieg - powiedziała Beth, którą uderzyło, jak przystojny staje się jej brat. Wypelniła mu się twarz, na której wyrósł niewielki wąsik, zaś jego długie rzęsy przyciągały uwagę wszystkich do

117

pięknych niebieskich oczu. Poczula ukłucie w sercu; zanim się obejrzy, Sam znajdzie sobie ukochaną i będzie musiała zająć drugie miejsce.

Uśmiechnął się i wyskoczył z łóżka, rzucając się do okna niczym dziecko. W wełnianej nocnej koszuli wyglądał dość komicznie.

- Uwielbiam śnieg - powiedział, obracając się do niej i szczerząc zęby. - W niektórych częściach Ameryki zaczyna padać w listopadzie i biel utrzymuje się aż do wiosny

- Nie mogę wyobrazić sobie niczego gorszego - odpowiedziała przekornie, kłękając, żeby wyciągnąć pudelko z popiołem spod piecyka. Nie było to prawdą, lubiła śnieg tak samo jak on i część jej najcieplejszych wspomnień z dzieciństwa wiązała się z jeżdżeniem z Samem na sankach, ale zmęczyły już ją ciągle aluzje wiążące się z Ameryką. - Woda w kociołku powinna być wystarczająco ciepła, żebyś mógł się umyć i ogolić. Czysta koszula wisi na drzwiach sypialni.

- Zaczynasz się zachowywać jak stara panna - odciął się.

Beth, Kathleen i pani Cray mogły przystanąć dopiero na końcu w głębi nawy St. Brides, gdyż szły ostatnie w pochodzie żałobników kroczących za sześcioro powozami wiozącymi członków rodziny do kościoła i teraz wszystkie ławki były pełne. Był to imponujący widok; gruba warstwa śnieżnej bieli była pięknym tłem dla czar-nogrzywych koni i trumny, na której wysoko piętrzyły się kwiaty. Beth spodziewała się, że pogoda odstraszy wielu ludzi, ale wyglądało tak, jakby na miejsce przybyła polowa Liverpoolu.

118

Po tym, jak zaśpiewano pierwszy żałobny hymn i rozpoczęły się modlitwy, myśli Beth podryfowały do porannej uwagi Sama. Chyba miał rację, w istocie zaczęła się zachowywać jak stara panna. Wszystko, co robiła albo o czym myślała, koncentrowało się wokół Molly lub Langworthych. Przestała przywiązywać wagę do swojego wyglądu, nosiła zużyte już nieco ubrania po kimś i nawet nie wychodziła, żeby popatrzeć na wystawy sklepowe, nie z powodu braku pieniędzy, ale dlatego, że nie chadzała w miejsca, gdzie potrzebowałyby bardziej eleganckich sukien.

Zanim zmarł jej ojciec, spędzała wiele czasu, oddając się romantycznym fantazjom, ale teraz już tego nie robiła. Nie miało to sensu: nigdy nie będzie chodziła na bale lub przyjęcia, nigdzie też nie pojedzie dwukonnym powozem ubrana w futro i ozdobiona diamentami. Nawet skromniejsze marzenia, które obudziła w niej pani Clarkson: zostanie nauczycielką, pielęgniarką albo praca w sklepie były wykluczone - musiała opiekować się Molly.

W sumie jedynymi chwilami ucieczki w świat fantazji były momenty, gdy grała na skrzypkach. Siedząc samotnie w wozowni, wyobrażała sobie, że ma na sobie piękną jedwabną suknię o żywych kolorach, we włosy wpięła skrzące się szpilki, a na stopki wzuła piękne buty. Na godzinę czy dwie pozwalała się porwać brzmieniu muzyki i wszystkie troski zdawały się ją opuszczać.

Beth porzuciła swoje rozmyślenia, kiedy wielebny Bloom zaczął mówić o panu Langworthym.

- Theodore Arthur Langworthy nie urodził się bogaczem - powiedział. - Jego ojciec był biednym farmerem z Yorkshire i spodziewał się, że najstarszy syn podąży jego śladami. Ale młody Theodore miał inne plany.

119

Beth nie wiedziała nic na temat przeszłości pana Langworthy'ego, nawet tego, że miał na imię Theodore i trudno było jej wyobrazić sobie przykutego do łóżka starca inaczej jak chorego i kruchego. -Juz wtedy zafascynowany maszynami, uciekł do Liverpoolu, gdzie został terminatorem inżyniera - kontynuował wielebny Bloom. - Miał zaledwie dwadzieścia dwa lata, kiedy zaprojektował i zbudował pompę wodną w szopie za swoim lokum. Dziesięć lat później zatrudniał pięćdziesięciu ludzi i eksportował swoje pompy na cały świat. Potem wzbogacił swoją ofertę o budowę silników parowych do okrętów i „Langworthy Engineering” stała się jedną z firm dających zatrudnienie największej liczbie mieszkańców Liverpoolu.

Oczy wielebnego Blooma przebiegły po żalobnikach.

-Wielu ze zgromadzonych tutaj zawdzięcza mu swój obecny dobrobyt, gdyż przyjął was, kiedy byliście młodymi chłopcami, okazał ojcowskie zainteresowanie i dobrze wyszkolił. Związani z instytucjami charytatywnymi będą pamiętać go jako orędownika waszych spraw i hojnego darczyńcę.

Może dlatego, że pan Langworthy spełnił swoje marzenia, myśli Beth znowu wróciły do Sama. Miała nadzieję, że straci zainteresowanie Ameryką, kiedy pozna nowych przyjaciół w Adelphi. Ale tak się nie stało. Słęczał nad mapami, czytał książki i artykuły w magazynach i oszczędzał każdego pensa na podróż.

Do tej pory Beth skłaniała się ku myśli, że pasja Sama była jedynie chwilową mrzonką, ale teraz przyszło jej do głowy, że nie różni się tak bardzo od marzenia pana

120

Langworthy'ego, który pragnął zostać inżynierem. Gdyby nie był wystarczająco śmiały, żeby sprzeciwić się swojemu ojcu i zająć się tym, co naprawdę chciał robić w życiu, wielu ludzi tutaj nie miałoby pracy, instytucje charytatywne byłyby uboższe i któż robiłby te pompy i silniki parowe, które rozsiał po całym świecie?

Być może chęć Sama udania się do Ameryki nie przyniesie korzyści nikomu innemu, ale z drugiej strony, jeśli tego nie zrobi, może zgorzknieć i ostatecznie zacznie obwiniać o to ją. Beth bała się pozostać sama z Molly, zwłaszcza teraz, kiedy przyszłość była tak niepewna, ale jeszcze bardziej bała się stracić uczucie brata, ograniczając go w jakikolwiek sposób.

O piątej po południu Beth zmywała w kuchni, podczas gdy pani Cray chowała resztki jedzenia w kredensie, kiedy usłyszała, jak pani Langworthy żegna się z ostatnimi gośćmi przy frontowych drzwiach. Nawet z tej odległości słyszała w głosie pani zmęczenie i wyczuwała napięcie całego dnia, kiedy zmuszona była trzymać w karchach emocje.

Wreszcie drzwi wejściowe zamknęły się po raz ostatni. Beth usłyszała, jak pani Langworthy prosi pani Bruce i Kathleen, żeby zabrały ostatnie szkła i jedzenie z jadalni, a po kilku minutach zeszła po schodach do piwnicy

W czarnej sukni wyglądała blado i mizernie, ale uśmiechnęła się do Beth i pani Cray.

- Chciałam wam podziękować za to, że tak dużo dzisiaj zrobiliście - powiedziała.

Pani Cray oderwała wzrok od chowanych resztek ciasta.

- Cieszymy się, że mogliśmy pomóc - powiedziała. - Ale wygląda pani na bardzo zmęczoną. Podać coś?

Pani westchnęła i przyłożyła rękę do czoła, jakby bolała ją głowa.

- Dziękuję, dość się już pani dzisiaj napracowała, może pani iść do domu. Gdybyśmy potem chcieli zjeść kolację, sami sobie coś znajdziemy. - Odwróciła się, żeby spojrzeć na Molly, która siedziała na kocu w rogu pomieszczenia i bawiła się parą drewnianych łyżek. - Byłaś dzisiaj bardzo grzeczną dziewczynką - powiedziała, schylając się, żeby podnieść małą. - Nie słyszałam od ciebie jednego pisku. - Jest małym aniołkiem - powiedziała z uczuciem kucharka. - Myślę, że przeczuwała, iż jesteśmy zbyt zajęci, żeby się z nią pobawić.

Trzymając Molly w ramionach, pani Langworthy opadła na krzesło i przytuliła ją. Milczała, pochyłając swoją twarz w kierunku włosów dziecka.

Beth nagle zdała sobie sprawę, że jej pani płacze i ze strachem postąpiła krok do przodu.

- Proszę pani, co się stało? - zapytała.

- Utrata teścia uświadomiła mi, jak puste jest moje życie - powiedziała pani Langworthy, podnosząc lekko głowę i starając się otrzeć łzy.

- To naturalne, że przez pewien okres będzie pani trochę przybita - powiedziała kojąco Beth. - Ale teraz będzie pani mogła robić wszystkie te rzeczy, na które wcześniej nie miała pani czasu. Zrobić pani filiżankę dobrej herbaty?

- Tego właśnie potrzebuję - powiedziała pani Langworthy, tuląc Molly do piersi. - Dziecka, które bym kochała. Nie mając dzieci, kobieta nie ma nic.

122

Pani Cray posłała Beth ostrzegawcze spojrzenie i wykonała drobny gest imitujący popijanie, tak jakby chciała wyjaśnić, że pani wypila o jedną sherry za dużo.

Beth pocieszająco położyła rękę na ramieniu kobiety.

- Wszyscy możemy się nią dzielić - powiedziała.

- Nie chcę się nią dzielić, chcę ją tylko dla siebie - odpowiedziała pani Langworthy i błagalnie spojrzała na Beth.

W tym momencie po schodach zeszła pani Bruce, niosąc na tacy kilka brudnych szklanek.

- To już ostatnie - powiedziała radośnie, nie zdając sobie sprawy, że w czymś przeszkodziła.

- Niewątpliwie najedli się i napili po same uszy - powiedziała kucharka głośno, usiłując wyraźnie rozluźnić napiętą atmosferę. - Beth, czy już nie czas, żebyś zabrała Molly do domu?

Pani Langworthy wstała gwałtownie i oddała Molly

Beth.

- Lepiej wróć do męża - powiedziała drżącym głosem. - On też czuje się przygnębiony. Jestem pewna, że jutro wszystko wróci do normy

Następnego dnia pani nie wstała. Kathleen jak zwykle zaniósła jej poranną herbatę i wróciła, meldując, że pani źle się czuje.

- Za dużo sherry - powiedziała do Beth kucharka, mrużąc oko, ale ściszyła głos na tyle, żeby nie usłyszała jej pani Bruce.

Pan Edward również był nieswój. Rzucił Kathleen kwaśną uwagę, że jego śniadaniowa grzanka jest zimna, a potem poszedł do swojego gabinetu i został tam, zamiast udać się do biura.

123

- Nie wypada, żeby szedł dzisiaj do pracy - powiedziała pani Bruce, jakby starała się usprawiedliwić jego zachowanie. - Będzie musiał uporządkować sprawy swojego ojca i ma zapewne tuziny listów do napisania. Ale muszę przyznać, że znosi to gorzej, niż przypuszczałam.

Beth rozumiała lekkie zakłopotanie pani Bruce, gdyż pan Edward udał się do swojego biura nawet w dzień śmierci ojca i wczoraj na pogrzebie zdawał się być wyjątkowo opanowany. To, że pani Langworthy odpoczywała w łóżku, było zrozumiałe - w końcu przez cały tydzień była zabiegana, doglądając wszystkich przygotowań do pogrzebu. Ale zestawivszy dzisiejsze nietypowe zachowanie pana Edwarda i wczorajsze emocje jego żony, Beth była pewna, że zeszłej nocy się pokłócili.

Czy oskarżała go o brak własnych dzieci?

W trzy dni po pogrzebie pani Langworthy ciągle nie opuszczała łóżka. Pani Bruce nosiła jej posiłki na tacy, ale pani domu ledwo je ruszała.

- Doktor powiedział, że nie wie, co jej dolega - usłyszała, jak gosposia mówi do kucharki. - Podejrzewa, że to po prostu melancholia i pan Edward powinien gdzieś z nią wyjechać. Ale kto miałby na to ochotę przy takiej pogodzie?

Od dnia pogrzebu nie padało, ale temperatura była tak niska, że wszędzie nadal zalegał śnieg, dał też lodowaty wiatr. W wozowni było tak zimno, że Beth zostawała w domu tak długo, jak się dało i na noc zabierała ze sobą do łóżka Molly, żeby ją ogrzać. Sam również dłużej zostawał w hotelu, być może z tych samych powodów, więc Beth nie miała nawet okazji, żeby porozmawiać z nim o Ameryce.

124

- Beth, dlaczego nie pójdziesz na górę i się z panią nie zobaczysz? - zasugerowała pani Bruce. - Weź ze sobą Molly, jestem pewna, że to poprawi jej humor.

Było późne popołudnie; Beth nie miała żadnej pracy, którą mogłaby wykorzystać jako wymówkę do dalszego pobytu w domu i zbyt było zimno, żeby dokądkolwiek się wybierać, dziewczyna z chęcią więc przychyliła się do propozycji.

Pani Langworthy leżała po prostu obojętnie na poduszkach, nawet nie czytając, ale kiedy zobaczyła Beth i Molly, jej twarz rozjaśnił uśmiech.

- Cóż za miła niespodzianka. Właśnie myślałam o twojej siostrzyczce. Pozwól jej wejść ze mną do łóżka - powiedziała, zachęcająco poklepując narzutę.

Beth podsadziła małą, a dla siebie przysunęła do łóżka krzesło. Molly skakała dookoła, a potem doprowadziła panią do śmiechu, bawiąc się z nią na kocu.

- Proszę pani, co się stało? - zapytała Beth po pogawędce na temat Molly - Boli panią coś? Jest pani chora?

- Nie, nic z tych rzeczy - odpowiedziała pani Langworthy, z uczuciem patrząc na Molly, która przytuliła się teraz do niej, jakby miała ochotę zapaść w drzemkę. - Zmęczył mnie po prostu brak celu i pustka mojego życia.

- Moja matka też mi tak kiedyś powiedziała - rzekła w zamyśleniu Beth. - Wtedy mnie to zabolalo, ale podejrzewam, że chodziło jej o trudy całodniowego gotowania i sprzątanania.

- Kobiety potrafią się wypalić - westchnęła pani Langworthy. - Wiem, że powinnam dziękować Bogu, w końcu mam wspaniały dom i dobrego męża. Ale widzisz, zawsze chciałam mieć dzieci, a teraz nic nie wskazuje na to, żeby moje pragnienie kiedykolwiek się

125

spełniło. Gdy żył mój teść, nie zwracałam na to uwagi, gdyż miałam zbyt wiele na głowie. Ale teraz nie potrafię przestać o tym myśleć. Czuję się taka smutna.

Słyszac to, Beth poczuła się nieswojo. Osobiście uważała, że pani Langworthy ma idealne życie i pomyślała sobie, że powinna wybrać się do jednej z zapuszczonych dzielnic Liverpoolu w szkockiej części i zobaczyć, jakie życie wiodą tam kobiety.

Być może pani Langworthy odgadła jej myśli, bo wyciągnęła rękę i położyła ją na dłoni Beth.

- Przepraszam, kochana, zapominam, ile krzywd spotkało cię w twoim młodym życiu. Co musisz sobie o mnie myśleć?

- Myślę o pani jako o najmilszej i najbardziej łagodnej osobie na świecie - odpowiedziała zgodnie z prawdą Beth. - Przyjęła nas pani, kiedy nie mieliśmy do kogo się zwrócić. Zawsze będę za to wdzięczna.

- Odplaciłaś mi z nawiązką - powiedziała pani Langworthy - Ale Beth, powiedz mi, czy nigdy nie smucił cię fakt, że musisz opiekować się Molly?

Beth spojrziała na swoją siostrę i uśmiechnęła się, gdyż ta zasnęła z kciukiem w buźce.

- Nigdy nie postrzegałam jej jako brzemię - powiedziała. - Być może mnie ogranicza, bo muszę troszczyć się o jej przyszłość, zamiast swoją, ale wcale mnie to nie smuci.

- To bardzo altruistyczne podejście - powiedziała pani Langworthy. - Ale czy ty i Sam rozmawialiście jeszcze o podróży do Ameryki?

Serce Beth ścisnęła rozpacz, gdyż była pewna, iż w ten sposób pani Langworthy chce rozpocząć temat zwolnienia jej ze służby.

62

- Sam zawsze o tym myśli - powiedziała ostrożnie. - Ale odkąd umarł pan Langworthy, bardziej martwi mnie nasza sytuacja tutaj. Teraz, gdy ilość rzeczy do prania diametralnie się zmniejszyła, nie będzie mnie pani więcej potrzebować.

- Nie będę cię więcej potrzebować? - Jej pani wyglądała na wstrząśniętą. - Oczywiście, że będę cię potrzebować. Chyba nie myślałaś, że cię zwolnię?

- Więc mówi pani, że mogę zostać z Molly?

- Jak najbardziej, moja droga. Nigdy nie przyszło mi do głowy, żeby się ciebie pozbyć. Jesteś niezastąpiona. Wiem, że zawsze wykonywałaś prace, które tak naprawdę nie należały do ciebie.

- Jestem pani ogromnie wdzięczna, bałam się, co z nami będzie - przyznała Beth. - Teraz będzie mi o wiele łatwiej pozwolić Samowi na samotny wyjazd do Ameryki. Widzi pani, doszłam do wniosku, że tak właśnie powinnam zrobić. Może za kilka lat, kiedy już się ustakuje, Molly i ja będziemy mogły do niego dołączyć.

- Ale mogłabyś towarzyszyć mu już teraz, gdybyś zostawiła Molly z nami.

Beth długo patrzyła na swoją panią, zaskoczona tym, co usłyszała.

- Nie mogłabym tego zrobić - powiedziała. - Przecież to nie jest wyjazd na kilka tygodni.

- Nie miałam na myśli zajmowania się nią przez kilka tygodni - powiedziała pani Langworthy, patrząc uważnie na Beth. - Chodziło mi o pozostawienie jej na stałe.

Beth była tak wstrząśnięta, że otworzyła usta.

- Na stałe?

- Beth, nie mów mi, że to cię zaskoczyło! Z pewnością zdajesz sobie sprawę, że byłoby to najlepsze rozwiązanie

127

dla ciebie i Sama? Mój mąż i ja będziemy kochali ją jak własne dziecko, Molly zamieszka w tym pięknym domu, pójdzie do najlepszych szkół i nigdy nie będzie jej niczego brakować.

Beth była zgorzozona.

- Ale to moja siostrzyczka!

- To jeszcze jeden powód, żeby pozwolić nam zapewnić jej dostatnie życie - powiedziała pani Langworthy i na jej policzkach wykwitły czerwone plamy, jak w gorączce. - Kiedy byłam małą dziewczynką, znalazłam kilka dużych rodzin, które pozwalały, by jedno albo dwoje z ich dzieci zabierał bogatszy krewny. Była to całkiem powszechna praktyka.

Beth również знаła ludzi, którzy tak zrobili.

- Ale pani nie jest krewną - wytknęła. - Nie mogę pozwolić, żeby Molly dorastała z myślą, że ją oddalam!

- Ani przez chwilę nie sugerowałam, żebyś zerwała z nią wszelkie kontakty - pani Langworthy wyglądała na urażoną. - Mogłabyś do niej pisać, a po powrocie z pewnością byś ją odwiedzała. Powiedziałabym Molly że jestem jej opiekunką, nigdy nie rościłabym sobie prawa do zostania jej matką. Mogłaby mnie nazywać cicią Ruth.

Beth miała wrażenie, jakby pod jej nogami otworzyła się zapadnia studni i runęła w przepaść.

Wiedziała, że państwo Langworthy mogą dać jej małej siostrzyczce wszystko, czego tylko mogła zapragnąć bądź potrzebować dziewczynka, ale podczas ostatnich niemal czternastu miesięcy Molly stała się w każdym aspekcie jej córeczką i instynkt kazał jej walczyć o dziecko niczym lwica.

Wyciągnęła rękę i przejechała palcem po małej twarzyczce Molly w obawie, że pani Langworthy ma

128

możliwość odebrania jej, nawet gdyby ona i Sam nie wyrazili na to zgody

- Beth, dobrze się nad tym zastanów - powiedziała delikatnie pani Langworthy, dotykając ramienia dziewczyny - Wiem, że tobą wstrząsnęłam i być może myślisz nawet, że taka propozycja jest obraźliwa. Ale możesz mi wierzyć, że wykonałaś kawał dobrej roboty, wychowując Molly do tej pory, zwłaszcza biorąc pod uwagę twój wiek.

- Nie mogłabym pozwolić pani ją zabrać - powiedziała zawzięcie Beth. - Za bardzo ją kocham.

- Wiem, że ją kochasz, ale nie odrzucaj mojej oferty zbyt pochopnie - powiedziała kobieta. - Pomyśl, co to by oznaczało dla ciebie. Byłabyś wolna niczym ptak i mogłabyś towarzyszyć Samowi. Twój los znów znalazłby się tylko w twoich rękach i robiłabyś tylko to, na co masz ochotę. I ciągle byłabyś siostrą Molly; nikt i nic ci tego nie odbierze.

Beth nie mogła dłużej słuchać. Wzięła śpiące dziecko na ramiona i wycofała się w kierunku drzwi, przepaszając przy każdym kroku.

Sam pojawił się w domu o wpół do dziewiątej. Zazwyczaj wracał przed północą, ale w hotelu Adelphi było tak cicho, że kierownik baru kazał mu wcześniej wracać do domu. Kiedy zobaczył blask lampy w oknach, ucieszył się, gdyż oznaczało to, że on i Beth będą mieli czas na rozmowę. Zwykle było tak, że gdy wracał, siostra dawno już spała.

Ale kiedy tylko otworzył drzwi i zobaczył ją siedzącą przy ogniu z zarzuconym na ramiona kocem, wiedział, że coś jest nie tak.

- Co się stało? - zapytał. Jego ręce i stopy były zimne niczym sople lodu i podszedł do piecyka, żeby je rozgrzać. - Chyba nie powiedzieli ci, że już więcej nie potrzebują twoich usług?

Beth wspomniała mu o swoich obawach w ostatnią niedzielę, ale Sam nie wierzył, że ją zwolnią, gdyż w ostatnie święta wyczuł, jak bardzo polubili ją państwo Langworthy.

- Pani Langworthy chce, żebyśmy oddali jej Molly - wyrzuciła z siebie Beth i zaraz potem zalała się łzami.

Sam ukląkł przed nią na podłodze i wyciągał z niej informacje kawałek po kawałku, dopóki nie dowiedział się dokładnie, co zostało powiedziane.

- I co w tym złego? - zapytał, kiedy skończyła. - Ona ma rację, to byłoby dobre dla Molly

- Nigdy jej nie pokochałeś! - gorzko oskarżyła go Beth. - Gdyby to od ciebie zależało, już dawno wyładowałaby w przytulku.

- Może w momencie jej narodzin nie byłem dla niej zbyt miły - potwierdził Sam, oblewając się rumieńcem wstydu. - Teraz tego żałuję. Ale z nimi miałaby o wiele lepsze życie, niż z nami.

Moglibyśmy udać się do Ameryki i przeżyć najwspanialsze chwile swojego życia. Pomyśl, jakie to byłoby cudowne!

- Nie chcę najwspanialszych chwil swojego życia, chcę Molly. - Beth zaczęła płakać i zakryła twarz rękoma. - Już miałam ci powiedzieć, żebyś jechał sam. Wiem, że to nie w porządku z mojej strony, że cię ograniczam. Więc jedź, a ja ją zatrzymam.

Sam przez chwilę nic nie mówił, tylko klęczał u stóp Beth, kiedy łzy padały na jej ręce. Często wspominał niewierność matki i na myśl o tym, że był to powód, dla

64

którego ojciec odebrał sobie życie, czuł gorycz, ale nie żywił już żadnej urazy w stosunku do Molly. Jak mógłby zresztą? Była przemiała; w gruncie rzeczy był pewien, że gdyby spędzał z nią tyle czasu co Beth, propozycja tego typu wzburzyłaby go i przeraziła równie mocno jak siostrę.

Ale sprawy miały się tak, że mógł spojrzeć na ową sytuację z większym dystansem. Nie ulegało wątpliwości, że państwo Langworthy mogą zapewnić Molly najlepsze możliwe wychowanie. Byli bogatymi, wpływowymi ludźmi, mieli też dobre serca. A gdyby nie ich wspaniałomyślność w zaoferowaniu im dachu nad głową po pożarze, mogliby teraz z Beth mieszkać w slumsach i Molly nie wyrosłaby na zdrowe, szczęśliwe dziecko, jakim była.

Być może do pewnego stopnia myślał o sobie. Wspaniale byłoby móc wypłynąć do Ameryki z Beth bez małego dziecka na karku. Mogliby wyruszyć, dokądkolwiek by zechcieli, robiliby, cokolwiek by zechcieli i pracując oboje, dorobiliby się szybciej i zebraliby o wiele większy kapitał.

Poza tym, ponad wszystko inne chciał dla Beth dostatniego życia, kochającego męża i własnych dzieci, gdyż ludzie zawsze zakładaliby, że Molly jest jej dzieckiem z nieprawego łoża. W takiej sytuacji jego siostra nie mogłaby liczyć na nic lepszego niż życie służącej, a zasługiwała na coś więcej.

Ale jak mógł ją przekonać, że nie myśli tylko o sobie?

- Mógłbym udać się do Ameryki, a potem posłać po ciebie wtedy, kiedy bym się tam urządził - powiedział. - Ale nie chcę jechać bez ciebie, Beth. A teraz, kiedy państwo Langworthy podnieśli tę kwestię, jak myślisz, co

131

się z nami stanie, jeżeli im odmówimy? Jeżeli każą nam odejść? Co wtedy?

- Nie zrobią tego - szybko odpowiedziała Beth, ale spojrzała na Sama pytająco. - Prawda?

- Nie wiem — przyznał. — Pan Edward może dojść do wniosku, że obecność Molly denerwuje jego żonę. Kiedy ludzie nie dostają tego, co chcą, potrafią być wredni.

Sam zdecydował, że więcej nie będzie drażył tematu. Beth doskonale zdawała sobie sprawę, że nie znajdą drugiego takiego mieszkania. Ona sama nie znajdzie też innej pracy, w której Molly będzie mile widziana. Była wystarczająco inteligentna, żeby wziąć to pod uwagę podczas podejmowania decyzji.

Tej nocy Sam nie mógł spać, gdyż wiedział, że Beth leży w pokoju obok, także nie śpiąc, i nieustannie się martwi. Długo walczyli ten temat i wyczuwał, że w głębi serca Beth zdaje sobie sprawę, iż najlepszą rzeczą, jaką mogą zrobić dla Molly, to oddać ją państwu Langworthy Wydarzenia i zmagania poprzedniego roku nauczyły ich oboje, jak przewrotne bywa życie. Nie musieli daleko odchodzić od Falkner Square, żeby zobaczyć, jak łatwo jest popaść w otchłań nędzy.

Ale Sam zdawał sobie też sprawę, że Beth nie może postępować całkowicie racjonalnie, gdyż bardzo kochała Molly. Nie potrafiła myśleć o sobie, cieszyć się tak jak on perspektywą wolności i przygody. Ani nawet wierzyć, że może, gdy Molly podrośnie, mogłaby wyjechać i dołączyć do nich w Ameryce. I mimo wszystkiego, co powiedział, zarówno dziś, jak i w przeszłości, zanim położył się do łóżka, popatrzył na Molly śpiącą w pokoju obok i uczucie do niej ścisnęło mu gardło. Nie potrafił sobie wyobrazić dnia bez

132

ogłędania tych dużych brązowych oczu, słuchania jej wesołego chichotania i obserwowania, jak drepta po pokoju. Zrobił, co było w jego mocy, żeby się nie zaangażować, ale zawiódł i nie tylko Beth będzie czuła ból rozstania.

Beth, tak jak zawsze, obudziła go następnego ranka. Oczy miała zaczerwienione i była bardzo blada. Podawszy mu filiżankę herbaty, usiadła w nogach łóżka.

- Wrócisz dzisiaj po południu do domu? - zapytała.

Była sobota i Sam kończył pracę w towarzystwie żeglugowym w południe. Zazwyczaj po południu odwiedzał znajomych i wczesnym wieczorem od razu udawał się do Adelphi.

- Jeżeli zechcesz - odpowiedział.

- Chcę. Przyjdź do domu i porozmawiaj z panem Langworthym na temat Molly - powiedziała głosem łamiącym się z emocji. - Jeżeli będzie tego chciał tak bardzo jak jego żona, uważam, że najlepszym rozwiązaniem będzie przystanie na ich propozycję.

Gardło Sama ścisnęło współczucie, gdyż wiedział, jak bardzo cierpi jego siostra. Nie przychodziły mu do głowy żadne banały, którymi mógłby załagodzić sytuację.

- Wrócę prosto do domu - powiedział. - Beth, jesteś taka dzielna i odważna.

- To nie odwaga. Odwagą byłoby zabrać ją z nami do Ameryki albo opuścić to miejsce z wysoko podniesioną głową. Ale zaczęłam zastanawiać się, co zrobiliby tato. Wydaje mi się, że powiedziałby, iż powinniśmy zapewnić Molly jak najlepszą przyszłość.

W duchu Sam pomyślał, że ojciec, popelniając samobójstwo, nie pomyślał o dzieciach, nie można byłoby więc polegać na jego zdaniu, ale zatrzymał to dla siebie.

133

- Owszem, też mi się tak wydaje. - Skinął głową. - Ale zanim się zgodzimy, musimy zmusić ich, żeby obiecali nam, iż powiedzą o nas Molly i upewnią się, że kiedy podrośnie, będzie do nas pisać.

Oczy Beth ponownie wypełniły się łzami.

- Powinniśmy też dodać, że trzeba załatwić to szybko. Nie zniosę długiego czekania ze świadomością tego, co ma się wydarzyć.

- Mam już teraz dość pieniędzy na przejazd nas obojga - odpowiedział Sam. - Ale bardzo niewiele ponad to.

- Damy sobie radę - powiedziała zawzięcie dziewczyna.

Wbrew wszelkiej logice Beth miała nadzieję, że kiedy będą rozmawiali z panem Edwardem, ten powie im, iż z powodu kiepskiego samopoczucia jego żona postradała zmysły. Ale kiedy o trzeciej, na którą to godzinę poprosiła panią Bruce, żeby umówiła spotkanie jej i Sama z panem domu, weszli po schodach na górę, otworzył drzwi do salonu, twarz rozświetlała mu radość.

Nie miał uroku swojej żony, w stosunku do wszystkich bywał najczęściej sztywny i chłodny Beth wiedziała, że wynika to głównie z jego wychowania i obowiązków w biurze, ale kiedy rozmawiał z Molly, widać było, że się rozluźnia.

- Chcecie omówić propozycję, którą złożyła wam moja żona?

- Tak, proszę pana - powiedziała Beth, czując, że miękną jej nogi.

- Wejdźcie i usiądźcie - powiedział.

Jako że dzień był szary i bezsłoneczny zapalono lampę, zaś w kominku buzował ogień. W środku czekała na

134

nich pani Langworthy ubrana w tę samą czarną sukienkę, którą miała na pogrzebie, ale wyglądała o wiele lepiej niż poprzedniego dnia. Siedziała przy kominku i pan Edward dał znak Beth i Samowi, żeby usiedli przed nim na kanapie. Sam nie usiadł, stojąc, oparł łokieć o gryms kominka.

- Żona się bała, że przedłożyła swoją propozycję zbyt pochopnie, bez porozumienia ze mną. Ale w gruncie rzeczy poruszyła ten temat jeszcze w czasie świąt.

- I co pan wtedy pomyślał? - zapytał butnie Sam.

- Że Molly jest cudownym dzieckiem, o które z pewnością dbałbym jak o własne. Ale wtedy sytuacja nie pozwalała na omawianie z wami tej możliwości, nie wtedy, gdy mój ojciec wymagał tyle opieki.

- Ale nie widzieli państwo niczego złego w tym, żeby poruszyć tę kwestię zaledwie kilka dni po jego śmierci? - zapytał Sam sarkastycznie.

Pan Edward zaczerwienił się.

- Kiedy żona powiadomiła mnie, że tak bezpośrednio zwróciła się do Beth, mocno się zaniepokoiłem. Do takiej sprawy powinno być się podejść taktownie i przy dużo bardziej odpowiedniej okazji.

- Proszę, zechciejcie mi to wybaczyć - odezwała się, załamując ze zdenerwowania ręce, pani Langworthy. - Obawiam się, że moje przywiązanie zarówno do Molly, jak i Beth sprawiły, że stałam się zbyt impulsywna i jeżeli obraziłam kogoś lub przestraszyłam, jest mi ogromnie przykro.

- Rozumiemy, że pani Langworthy chce dla Molly jak najlepiej - zgodził się Sam, nie odrywając wzroku od oczu pana Edwarda. - Ale musimy dzisiaj stanowczo ustalić, czy oboje państwo się na to godzą?

135

Beth była zaskoczona tym, iż Sam może być tak śmiały i bezpośredni. Trochę się obawiała, że będzie potulny i zgodzi się ze wszystkim, co powiedzą państwo Langworthy

- W rzeczy samej - stanowczo powiedział pan Edward. - Mogę was zapewnić, że dzielę wolę mojej żony, która pragnie jedynie chronić i kochać Molly, oraz zapewnić jej wszystko, co otrzymałoby od nas nasze dziecko, gdyby los nas nim pobłogosławił. Przyznaję, że mam bardzo niewiele doświadczenia z małymi dziećmi, ale Molly jest cudownym dzieckiem i wspinała dziewczynką.

Zdumiona bezbrzeżnie Beth patrzyła na pana Edwarda, nie wiedząc, co powiedzieć; nie spodziewała się, że pryncypał okaże tak wiele uczucia i zaangażowania.

- Beth! - Sam spojrział na nią ostro. - Masz coś do dodania?

- Jeżeli pozwolimy, żeby została z wami, obiecujecie, że będziecie pisać i informować nas, co u niej, do czasu, aż będzie w stanie robić to sama? - zapytała drżącym głosem.

- Macie na to nasze słowo - powiedział uroczyście pan Edward. - Jeżeli wrócicie, będziecie też mile widziani i w każdej chwili będziecie mogli ją odwiedzać. Proszę tylko, żebyście pozwolili nam zostać jej prawnymi opiekunami, żeby przyjęła nasze nazwisko. To byłoby dla nas bezpieczniejsze.

Beth i Sam wymienili spojrzenia, zdając sobie sprawę, że wedle litery prawa oznaczałoby to zrzeczenie się praw do siostry

- Nigdzie nie znajdziecie bardziej upragnionego dziecka - stwierdziła błagalnie pani Langworthy -
Będzie

136

miała nas, panią Bruce, Kathleen i panią Cray Trwały, radosny dom pełen miłości. Wiemy, jaki to dla was dramat, ale pozostawiając ją naszej opiece, zapewnicie jej przyszłość.

Sam spojrział na Beth, która kiwnęła głową.

- Kiedy dorośnie, musicie jej powiedzieć, że nie zrobiliśmy tego dla wygody, lecz dlatego, iż uważaliśmy, że tak będzie dla niej najlepiej - powiedział drżącym głosem Sam.

- Z pewnością tak zrobimy, moi drodzy - pani Langworthy wstała, ujęła dłonie Beth i podniosła dziewczynę do góry, żeby ją objąć. - Nie pozwolimy, żeby o was zapomniano. I obiecujemy, że nigdy nie damy wam powodu do żalowania tej decyzji.

Pan Edward przysunął się bliżej i odchrząknął, zanim się odezwał.

- Beth, czy wolno mi powiedzieć, jak bardzo będzie nam cię brakować? Wniosłaś do tego domu blask i radość. - Przerwał na chwilę i spojrział na Sama, a potem wrócił wzrokiem do Beth. - Wierzę, że obojgu wam powie się w Ameryce, ale jeżeli nie przypadnie wam do gustu, wróćcie i przyjdźcie do nas. Na zawsze pozostaniecie w naszych sercach i w każdej chwili znajdziecie tu dom.

Beth usłyszała szczerość w jego głosie i głęboko się wzruszyła.

- Dziękuję panu - wyszeptala ze łzami w oczach. - Myślę, że najlepiej będzie, jeżeli odejdziemy jak najszybciej. Tak będzie łatwiej dla wszystkich.

Silny północno-wschodni wiatr zmusił pozdrawiających bliskich i znajomych pasażerów na pokładach „Majestica” do przytrzymywania kapeluszy. Wzburzone lekko morze i niebo miały przygnębiający ciemnoszary kolor, ale grająca z wigorem na nabrzeżu orkiestra, ubrana w czerwone kurtki, i serpentyny ciskane w kierunku okrętu, mimo ponurego marcowego dnia tworzyły niemal karnawałową atmosferę.

Pani Bruce, Kathleen i pan Edward wycofali się z napierającego tłumu pod osłonę wiaty, ale ciągle energicznie machali dłońmi; zielone piórko kapelusza Kathleen podskakiwało w podmuchach wiatru. - Powinni już iść. Jeszcze się przeziębą - krzyknęła Beth do Sama. Świst wiatru, radosny ryk orkiestry i krzyczący wokół niej ludzie sprawiali, że ledwo słyszała własne myśli.

Ale tak naprawdę chodziło jej o to, że nie może znieść ich widoku ani chwili dłużej, gdyż prezentowali sobą wszystko to, czego nie chciała opuścić. Rzecz jasna, zmuszała się do szerokiego uśmiechu, ale teraz, kiedy przemarzła do szpiku kości, coraz trudniej przychodziło jej udawanie radości i podekscytowania. Chciałaby wrócić do ciepłej kuchni na Falkner Square i siedzieć

tam z Molly na kolanach. Nie miała ochoty opuszczać Liverpoolu.

Niestety, nie mogła podzielić się swoimi myślami z Samem, gdyż ten był autentycznie podekscytowany za nich oboje. Policzki i nos poczerwieniały mu z zimna, ale szeroki uśmiech oznajmiał, że oto wreszcie zaczęły się spełniać jego marzenia.

- Tam jest Sally! - wykrzyknął uradowany, wskazując na machający rękami tłum. - Przy dźwigu! To ta w czerwonym płaszczu. Nie sądziłem, że zależy jej na tyle, żeby mnie pożegnać.

Widok dziewczyny, o której jej brat wspominał tyle razy w ciągu ostatnich tygodni, odciągnął uwagę Beth od jej cierpienia. Jeden z przyjaciół w Adelphi przedstawił Sama tancerce rewiowej. Nawet z odległości około dwustu kroków Beth widziała, że dziewczyna wygląda dokładnie tak, jak sobie ją wyobrażała - kruczowłosa lafirynda o zaokrąglonych kształtach z grubą warstwą makijażu na twarzy. Odkąd ją poznał, Sam wracał do domu o trzeciej nad ranem, przesiąknięty zapachem tanich perfum i z ustami spuchniętymi od pocałunków. Beth czasami po cichu miała nadzieję, że atuty Sally przeważają nad argumentami przemawiającymi za Ameryką i brat zrezygnuje ze swoich planów.

- Kochasz ją? - zapytała Beth, ponownie zmuszona do krzyku.

Obrócił się i rzucił jej szelmowski uśmiech.

- Kochałem, gdy z nią byłem, ale w Nowym Jorku znajdę tuziny takich jak ona.

Widząc iskierki w jego oczach, Beth zdała sobie sprawę, że posunął się z dziewczyną daleko poza etap

140

pocałunków i miała nadzieję, że nie zostawił jej z dzieckiem. Pomyślała, że powinna go zganić, ale sama była odrobinę zazdrosna, iż dane mu było poznać to tajemnicze uczucie, które ich matka określiła jako pożądanie, więc nie wiedziała, co powiedzieć.

Brzęk dzwonów i zagłuszający wszystko rozkaz, iż niebiorący udziału w rejsie mają natychmiast opuścić pokład, położył kres dalszym komentarzom, ale kiedy Beth obserwowała brata machającego i przesyłającego całusy, zauważyła kilka elegancko ubranych młodych dam stojących dalej przy relingu, które również spoglądały na niego. Przyszło jej do głowy, że istnieje duże prawdopodobieństwo, iż podczas tej podróży jej urodziwego brata wezmą na cel rozmaite kobiety.

Cały statek był teraz udekorowany papierowymi serpentynami i kiedy załoga zaczęła wciągać trapy i przygotowywać się do odpłynięcia, podekscytowanie wiszące w powietrzu było niemal namacalne. Ludzie płakali zarówno na pokładzie, jak i na brzegu. Beth oglądała tę scenę już tuziny razy, ale nigdy nie zdawała sobie sprawy ze smutku tych, którzy pozostawali. Nigdy nie przyszło jej do głowy, że komukolwiek odpływającemu na pokładzie może towarzyszyć uczucie inne od szczęścia. Teraz zmieniła zdanie, gdyż rozpacz z powodu rozstania z Molly rozrywała jej serce i zrozumiała, że wielu ze współpasażerów musi opuszczać całe rodziny, a nie tylko jedno małe dziecko, i być może tak samo jak ona obawiają się, że już nigdy ich nie zobaczą.

Tego ranka wstała wyjątkowo wcześniej i zakradła się do domu, żeby popatrzeć na śpiącą Molly. Kiedy tylko Beth zgodziła się na oddanie Molly, pani Langworthy kazała uprzątnąć pokój swojego teścia i ponownie go

141

umeblować. Roboty zakończono tydzień temu i pomieszczenie było godne księżniczki, z tapetami w różowe kwiatki, piękną kołyską i nowym soczyście zielonym dywanem o białych frędzlach.

Od tego czasu pan Edward często wychodził i przynosił małej wiele zabawek, między innymi klocki, jeżdżącego na kółkach puszystego psa i konika na biegunach. Beth wiedziała, że powinna się cieszyć okazywanym przez niego zachwytem z zostania prawnym opiekunem jej siostrzyczki, ale w jakiś sposób każdy kolejny nabytek sprawiał, że czuła się coraz bardziej przygnębiona i bezradna.

Rankiem tego dnia Beth siedziała w pokoju i patrzyła na swoją siostrzyczkę w najbledszych promieniach słońca. Podziwiała ją w milczeniu, zachwycając się jej długimi rzęsami spoczywającymi na pulchnych rumianych policzkach, czarnymi kędziorami włosów i sposobem, w jaki jej paluszek okręcał się dookoła noska, kiedy ssła kciuk. Rozum podpowiadał jej, że podjęta niedawno decyzja będzie dla Molly najlepsza - jej przyszłość z wujkiem Edwardem i ciotką Ruth będzie nieporównanie jaśniejsza, ale ciągle czuła się jak skazaniec oczekujący na wykonanie wyroku.

Ostatnie pożegnanie było jeszcze gorsze. Kiedy wsiadali do powozu z panem Edwardem, panią Bruce i Kathleen, pani Langworthy trzymała Molly w ramionach, stojąc w drzwiach frontowych. Kiedy pojazd, dudniąc, zaczął oddalać się ulicą, Beth musiała siłą woli zmusić się, żeby nie wyskoczyć na zewnątrz i wyrwać Molly z ramion nowej matki.

Trochę dalej na nabrzeżu głośno zawodziła jakaś kobieta. Była stara, być może zbyt posunięta w latach,

142

żeby towarzyszyć swojej rodzinie. Rozpostarła ramiona, a po jej pomarszczonych policzkach spływały łzy, jakby błagała, żeby jej nie zostawiać; Beth musiała odwrócić wzrok, gdyż widok tragedii był nie do zniesienia.

Wciągnięto trapy, marynarze odwiązali, a potem zwinęli liny i nagle odstęp pomiędzy statkiem i brzegiem zaczął się zwiększać. Orkiestra zaczęła grać skoczną pieśń marynarską, rzucono resztki serpentyn, zaś Beth, pragnąc ostatecznie ukazać panu Edwardowi swoje szczęście, zdjęła nowy słomkowy kapelusz i zaczęła nim machać, choć po policzkach płynęły jej łzy.

- Niedługo poczujesz się lepiej - powiedział Sam, obejmując ją w pasie. - Z Langworthymi Molly będzie szczęśliwa. Ciągle masz mnie i czeka cię jeszcze wiele przygód. Czas, żebyś i ty miała trochę zabawy.

Beth oparła jedynie głowę o jego ramię. Pocieszało ją nieco, że brat nie dał się zwieść jej udawanemu zachwytowi i rozumiał jej ból. Ale od tak dawna nie miała żadnych uciech, że nie była pewna, czy rozpozna owo uczucie, gdy nadejdzie czas.

Jeszcze tego ranka pani Bruce powiedziała jej, że wierzy, iż prawdziwe szczęście przychodzi do tych, którzy delikatnie i szlachetnie starają się obdarzyć nim innych. Poradziła dziewczynie, żeby postrzegala ludzi na statku nie jako obcych, ale potencjalnych przyjaciół i żeby również brała pod uwagę możliwość, że tak samo jak ona i Sam wszyscy inni będą pełni obaw o to, co czeka ich w Ameryce.

Statek przyspieszał i twarze zgromadzonych w dokach zaczęły się rozmywać. Teraz nie było już odwrotu, musiała być więc dzielna i myśleć, jakimi są szczęśliwcami; dano im szansę na otrząśnięcie się ze smutków

143

przeszłości i budowę nowej przyszłości. I jak słusznie powiedział Sam, czekało ich tyle przygód. - Zejdźmy pod pokład i spotkajmy się z ludźmi, z którymi mamy płynąć - zasugerowała bardziej pogodnie, niż czuła się w istocie. - I nawet nie waż oddalić się z kolejną Sally i zostawić mnie samej! Sam zachichotał i przytulił ją mocniej.

- Tak już lepiej, siostrzyczko - powiedział. - I nie martw się, nie zamierzam cię zostawić. Za dużo facetów obrzuca cię ukradkowymi spojrzeciami. Nie spuszcze z ciebie oka.

Pasażerowie sterowni byli zakwaterowani głęboko w trzewiach okrętu i jakby ten fakt w wystarczającym stopniu nie podkreślał ich mizernej pozycji, prześlizgnięcie się do obszaru pierwszej i drugiej klasy uniemożliwiały im metalowe kraty.

Schodząc schodami, Sam i Beth przelotnie spoglądali na pełen przepychu świat za kratami. Były tam miękkie dywany i lśniące polerowanym drewnem z mosiężnymi klamkami drzwi, wiodące do wytwornie urządzonej kajuty. Odziani w białe marynarki stewardzi kręcili się wśród pasażerskiej elity, roznosząc tace z drinkami, zaś lśniące czystością dzieci w pięknych ubrankach starały się wymknąć ze szponów swoich opiekunek.

Na niższych poziomach drzwi i podłogi wykonane były z metalu, zaś farba odchodziła płatami i była brudna. W wąskich korytarzach ludzie torowali sobie drogę łokciami, a ich niespokojne i nieraz gniewne twarze wyraźnie potwierdzały świadomość faktu, że nie pojawi się tu żaden steward z filiżanką kawy, kocem dla dziecka ani nawet kilkoma słowami otuchy Dudnienie silników

144

prawie zagłuszało płacz dzieci oraz rozgorączkowane matki starające się okiełznać swoje pociechy i Beth jeszcze bardziej podupadła na duchu.

Samotni mężczyźni byli zakwaterowani na rufie, samotne kobiety na dziobie, a rodziny w środkowej części statku. Sam od wielu dni dywagował, co tak naprawdę oznacza bycie pasażerem sterowym. Niektórzy twierdzili, że ma to związek z tym, iż kwateruje się ich w pobliżu sterowni, choć Sam był zdania, że odnosiło się to do faktu, iż steruje się nimi niczym bydłem w boksach. Ale Beth widziała ilustracje przedstawiające warunki, w jakich podróżowali pasażerowie sterowi w czasach statków żaglowych, z czterema lub pięcioma ludźmi dzielącymi jedną koję i sanitariatami ograniczonymi do wiadra, ulżyło jej więc, kiedy zobaczyła, że koje wykonane są z płótna i w ciągu dnia można je złożyć, żeby uzyskać więcej miejsca, dodawała jej też otuchy obecność ubikacji i łaźni w każdej części. Całość jednak połączona z brakiem światła budziła klaustrofobię. Rozglądając się dookoła po współpasażerach i zewsząd widząc ściągnięte twarze i wytarte ubrania, Beth ucieszyła się, iż posłuchała rady pani Bruce i zaszła ich pieniądze w ubraniach, gdyż instynkt podpowiadał, że zaufanie komukolwiek tutaj nie byłoby mądrym posunięciem.

Wczoraj pan Edward dał im trzydzieści funtów; powiedział, iż mają traktować je jako fundusz awaryjny na wypadek, gdyby nie mogli natychmiast znaleźć pracy. Była to tylko jedna z rzeczy, jakie wręczył im wraz z żoną; oprócz tego dostali walizki, dwie ciepłe kołdry, ręczniki i ubrania. Oboje ze łzami w oczach podziękowali dobroczyńcom.

145

Kiedy Sam stawiał walizkę Beth w sekcji dla kobiet, w ich kierunku ruszyła starsza kobieta o surowej twarzy, ubrana w szarą suknię.

-Wynocha stąd, młody człowieku - powiedziała ostro.

- Chciałem tylko pomóc siostrze w zakwaterowaniu - odparował.

- Będzie jej dobrze pod moją opieką - odpowiedziała kobieta. - Jestem pani Giles, przyzwoitka. - Nie pozwalam samotnym kobietom na kontakty z płcią przeciwną. Jeżeli chcesz zobaczyć się ze swoją siostrą podczas podróży, musicie umówić się na spotkanie na pokładzie.

Sam patrzył na kobietę z takim niedowierzaniem, że kilka ładnych młodych irlandzkich dziewczyn zaczęło chichotać.

- Zobaczymy się za godzinę - powiedziała Beth w obawie, że brat narazi się pani Giles. - Nie martw się, nic mi nie będzie.

Świadomość, że prawie wszyscy są tak samo pełni obaw i przestraszeni, sprawiła, że Beth poczuła się trochę lepiej. W jej części znajdowało się dwadzieścia sześć innych dziewczyn i większość z nich podobnie jak ona miała mniej niż dwadzieścia lat. Wiele z nich podróżowało ze swoimi rodzicami i młodszym rodzeństwem, więc rozłąka z nimi doprowadzała je do szału, ale cztery znajdowały się w podobnej sytuacji - miały tylko starszych braci. Pozostałe były z siostrami bądź przyjaciółmi i tylko jedna starsza kobieta podróżowała całkowicie samotnie, chcąc dołączyć do swojego narzeczonego w Nowym Jorku.

72

Jednym z wielu darów, jakimi obdarzyła Beth pani Langworthy, był jej nowy brązowy płaszcz z futrzanym kołnierzem. Miała też prawie nowe, lśniące, zapinane na guziki buty oraz podróżną suknię z szarej wełny i w porównaniu z innymi kobietami, wyglądała na zamożną. Towarzyszki podróży ścisnęły podniszczone szale oplecione wokół chudych ramion, miały dziurawe buty i łatane sukienki. Większość z nich była Irlandkami, bladymi i niedożywionymi, ale wszystkim biło z oczu gorliwe oczekiwanie i opowiadały o miejscu przeznaczenia z taką nadzieją i zapalem, że Beth, myśląc o swoim nastawieniu, poczuła wstyd.

Bridie i Maria, dwie irlandzkie dziewczyny, które tak rozbawił Sam, zasugerowały, żeby zajęła łóżko obok ich posłań. Pełne ciepła, życzliwe głosy dziewczyn przypominały Beth Kathleen i były niczym balsam dla jej poranionego serca.

- Możemy spotykać się z samotnymi mężczyznami w przedziale dla rodzin - powiedziała Maria z psotnym błyskiem w oku. - Mój wuj wyemigrował w zeszłym roku i pisał do domu, że wieczorami odbywają się tu tańce i śpiewy. Zadaniem pani Giles jest tylko upewnianie się, że żaden mężczyzna nie wejdzie do tego pomieszczenia, więc tak właśnie robi, ale nie może zabronić nam zabawy na zewnątrz.

- Zostawiłaś w kraju ukochanego? - zapytała Bridie. - Masz oczy zaczerwienione jak dziewczyna, która od wielu dni płacze.

Zanim się obejrzała, Beth opowiedziała im o Molly, ze łzami w oczach mówiąc, jak trudno było jej zostawić siostrzyczkę. Maria objęła ją i oparła głowę dziewczyny na swoim chudym ramieniu.

147

- Oczywiście, każda z nas wie, jakie to trudne! Kiedy żegnałam się z mamą i maluchami, myślałam, że pięknie mi serce. Ale jesteśmy w drodze do lepszego miejsca, Beth. Powiedzie się nam tam i pošlemy po nich, zanim się obejrzymy. Możesz tak samo zrobić z Molly.

Następnego ranka wypłynęli na Atlantyk i kiedy morze bardziej się wzburzyło, wiele osób zapadło na chorobę morską. Beth czuła się dobrze, ale jako że w ciasnych kwaterach odgłosy nudności i zapach wymiotów również mogły przyprawić ją o mdłości, wyszła na pokład.

Było bardzo zimno i wietrznie, ale po nieustającym hałasie okrętowych motorów i pokrzykujących na siebie na niżej położonych pokładach ludzi, odrobina ciszy i samotności była orzeźwiająca. Za barierkami oddzielającymi małą część pokładu do użytku pasażerów sterowych kilku stewardów oprowadzało psy, oprócz tego jeden samotny mężczyzna w ciężkim płaszczu zimowym i futrzanej czapce z nausznikami żwawo krążył w górę i w dół pokładu. Beth stanęła przy relingu, patrząc na ogromny bezmiar szarego pustego morza rozciągającego się przed nią w nieskończoność i uśmiechnęła się do wspomnień poprzedniego wieczoru.

Udała się z Bridie i Marią do przedziału dla rodzin, żeby zostać przedstawioną niektórym ludziom, z którymi wyruszyły z Irlandii. Z początku poczuła się nieswojo, gdyż prawie wszyscy byli bardzo nędznie ubrani, dość brudni i niemal każdy zdawał się mieć kupę dzieciaków. Przypominali jej najbiedniejszych Irlandczyków mieszkających w slumsach Liverpoolu. Za młodu rodzice wbili jej do głowy, że ci mężczyźni są nic niewarci,

148

zawsze pijani, wszczynają burdy, zaś ich kobiety mnożą się jak królice i zaniedbują swoje potomstwo. Ale szybko zdała sobie sprawę, że choć ludzie ci byli biedni, niezależnie od tego, w jak fatalnych warunkach żyli w Irlandii czy Liverpoolu, kochali swoje dzieci i chcieli dla nich lepszego życia. Nie potrafiła zachować rezerwy, gdy powitano ją tak ciepło i z zainteresowaniem, zaś wszyscy dookoła niej byli weseli i tryskali optymizmem. Jeden z mężczyzn o pięknym tenorowym głosie zaczął śpiewać i niedługo wszyscy się do niego przyłączyli. Pewien starszy pan wyciągnął swoje skrzypki i zachęcono dwie małe dziewczynki, żeby zaprezentowały swoje umiejętności w irlandzkim tańcu.

Kiedy z kilkoma innymi samotnymi mężczyznami przybył Sam, impreza zdażyła rozkręcić się już na całego. Dookoła rozdawano alkohol, ale większość upijała się samą świadomością, że oto płyną do Ameryki. Skrzypek przeszedł na jiga i ku zdumieniu Beth, Sam ruszył w tan, chwytając dłoń Marii i podrywając dziewczynę na nogi. Beth zadowolilaby się obserwowaniem widowiska z boku, ale kiedy inni zaczęli wstawać i tańczyć, tempo jiga przyspieszyło i wkrótce sama zaczęła wybijać rytm stopami. Gdy mężczyzna o czerwonych włosach i jeszcze czerwieńszej twarzy wyciągnął do niej swoją rękę, z radością przystała na zaproszenie.

Nie był to stateczny taniec, którego uczyła się w szkole, tańczący Irlandczycy wyladowywali nadmiar energii i entuzjazmu. Po skończeniu jednej melodii, do tańca zapraszał ją kolejny mężczyzna. Wszyscy partnerzy mieli szorstkie, pokryte odciskami dłonie; ich podkute buty stukwały o podłogę, zaś z twarzy spływały im strugi potu,

149

ale choć nie byli mężczyznami z jej marzeń o pierwszym tańcu, poczuła się szczęśliwa. Potem, leżąc na swojej koi w przedziale dla kobiet i słuchając, jak inne podekscytowane dziewczyny szeptem wymieniają uwagi o młodych mężczyznach, których dziś poznały, czuła dumę, iż jej brat był tym, którego podziwiała najbardziej. Dźwięk skrzypek starego człowieka wciąż pozostawał w jej uszach; była to radosna, dzika muzyka, w którą wykonawca wlał wszystkie doświadczenia swojego życia. Nigdy nie słyszała takiego sposobu gry na instrumencie i poczuła, że chciałaby go naśladować. Wyciągnęła rękę i pomacała pod łóżkiem, dopóki jej palce nie natrafiły na wytarty czarny futerał z odchodzącą odeń skórą. Wystarczyło go dotknąć. Wiedziała, że to jej talizman na szczęście.

- Wielki, prawda?

Męski głos za plecami zaskoczył Beth na pokładzie; dziewczyna odwróciła się i stwierdziła, że ma do czynienia z jednym z chłopaków, z którymi skocznie wczoraj tańczyła - rozpoznała go po bliźnie na prawym policzku. Właśnie ta rana, wyglądająca na ślad po cięciu nożem, sprawiła, że poczuła pewną nieufność do rozmówcy. Był wysoki i chudy niczym szczapa, i miał ukrytą teraz pod czapką czuprynę czarnych włosów, którym, jak wczoraj przelotnie pomyślała, przydałoby się mycie i strzyżenie. Był prawdopodobnie kilka lat starszy od niej, a jego obdarta, zbyt obszerna marynarka i sztruksowe spodnie nadawały mu wygląd młodego ulicznego urwisa.

- Tak wielki, że może przestraszyć - odparła. - Sprawia, że czuję się bardzo mała.

150

- Mówią, iż jest tak zimny, że jeżeli wypadniesz za burtę, umierasz od wstrząsu w przeciągu dwóch minut.

- Pociuszająca myśl! - powiedziała z nutą sarkazmu. - Może spróbujesz? Przekonam się, czy mieli rację. Roześmiał się.

- Masz cięty język. Dokładnie jak moja mama.

- Czy to dlatego udajesz się do Ameryki? Chcesz od niej uciec?

- W pewnym sensie tak - powiedział, szczerząc zęby. - Żeby już nie wspomnieć o tacie z całym jego pi-ciem. A ty?

- Jak większość z nas, tak sędzę... - Wzruszyła ramionami. - Niemal wszyscy szukamy szczęścia albo przygody

- Jesteś siostrą Sama Boltona, prawda? - powiedział. Beth skinęła głową.

- Beth Bolton. A ty?

- Jack Child - rzekł, ostrożnie wyciągając swoją dłoń. - Miło mi cię poznać. Krótco potrząsnęła jego ręką.

- Skąd jesteś? Twój akcent nie jest z Irlandii ani z Liverpoolu.

- Pochodzę z południa, mieszkałem w londyńskim East Endzie. Przed rokiem przyjechałem do Liverpoolu, żeby dostać się na statek do Ameryki, ale skradziono mi pieniądze i musiałem znaleźć pracę do czasu, aż nie uzbierałem na następny bilet.

- Miałeś pecha - powiedziała z mniejszą już rezerwą, gdyż miał jasnobrzowe oczy i ujmujący, krzywy uśmiech.

- Dzięki temu nauczyłem się ostrożności - powiedział w zamyśleniu, opierając się na barierce obok

151

niej. - Ale to dobrze. Mówią, że Nowy Jork pełen jest oszustów żerujących na imigrantach.

- Naprawdę?

Skinął głową z powagą.

- Mój kompan udał się tam sześć miesięcy temu. Napisał, że niektórzy czają się zaraz przed halą imigracyjną; szukają naiwnych, których można oskubać. Proponują ci pracę i miejsce do spania, ale kiedy tylko oddasz im część pieniędzy, dają drapaka.

Sam opowiadał Beth, że jeszcze w dokach Liverpoolu zdarzali się ludzie, którzy sprzedawali podrobione bilety na rejsy nieistniejącymi okrętami, obiecywali też zabrać cudzoziemców do hoteli, po czym kradli ich bagaż. Podejrzewała, że takie rzeczy zdarzają się na całym świecie.

- Więc po prostu będziemy musieli uważać. - Wzruszyła ramionami.

- Ty i Sam poradzicie sobie - powiedział Jack. - Obydwoje macie coś w sobie.

- I cóż to takiego? - zapytała Beth, rozbawiona sposobem, w jaki ją obserwował. Żadną miarą nie można było nazwać go przystojnym: miał bladą, szorstką cerę, a niektóre elementy jego twarzy Stwórcy zaplanował jakby dla kogoś większego. Jego londyński akcent mieszał się z liverpoolskim, miał osobliwe brzmienie, ale mimo to było w nim coś bardzo sympatycznego.

Wyglądało, jakby się zmieszał.

- Cóż, Sam jest przystojny i z jego postawy bije pewność siebie. A ty masz klasę i jesteś piękna.

- Ależ dziękuję, Jack. - Uśmiechnęła się. - Mam tylko nadzieję, że kiedy zacznę szukać pracy, ludzie podzielą twój punkt widzenia.

152

Przez pewien czas stali i rozmawiali przy barierce. Jack opowiedział jej, że kiedy był w Liverpoolu, pracował dla woźnicy i pomieszkiwał z pewną rodziną na Leeds Street. - Byli gorsi od mojej własnej - roześmiał się. - Nieokrzesani co się zowie, zawsze tylko bijatyki i pijatyki. Ucieszyłem się, gdy udało mi się stamtąd wydostać. Ale przygarnęli mnie, kiedy nie miałem przy sobie ani pensa, czego nie dałoby się rzec o innych ludziach.

Beth z kolei opowiedziała mu o śmierci rodziców i o tym, że musiała zostawić Molly.

- Zrobiłaś dla niej dobrą rzecz - powiedział z wypisanym na twarzy prawdziwym zrozumieniem. - Wczoraj wieczorem patrzyłem na ludzi, którzy zabrali swoje szkraby i zastanawiałem się, jak oni u diabła zamierzają ustawić się w Nowym Jorku. Ciężko będzie tam znaleźć jakiś kąt do mieszkania, a jeżeli mężczyźni nie znajdą od razu pracy, to jak je wykarmią?

Beth przysła do głowy dokładnie ta sama myśl. Była bardziej pocieszająca, niż bolesne wyobrażenie sobie Molly drepczącej po domu na Falkner Square, gdzie wszyscy ją ubóstwiali. Życie siostrzyczki będzie stabilne i bezpieczne; nie zabraknie jej ciepłego, czystego łóżka, dobrego jedzenia i dowodów miłości. Pomyślała, że jeżeli będzie sobie o tym przypominać każdego dnia, być może kiedyś przestanie żalować, że oddała małą Lan-gworthym.

Późnym popołudniem morze wzburzyło się jeszcze bardziej; statkiem rzucalo i kołysalo, a coraz liczniejsi pasażerowie chorowali i wracali do swoich łóżek. Przez większą część dnia Beth starała się pomóc

153

wymizerowanym ludziom, obmywając im twarze, przynosząc wodę i opróżniając ich miski na wymiociny, ale wraz z nastaniem wieczoru, kiedy zapach pod pokładem również i ją zaczął przyprawiać o mdłości, założyła płaszcz i ponownie wyszła na zewnątrz, żeby zaczerpnąć świeżego powietrza.

Na górze panował przejmujący chód i nie było żywej duszy, ale nawet ponad wyciem wiatru i chlupotem fal słyszała dźwięki orkiestry dochodzące z salonu pierwszej klasy.

Zeby lepiej słyszeć muzykę, przeszła w dół pokładu do barierki mającej utrzymać pasażerów sterowych na ich terenie; szukając osłony przed wiatrem przyłgnęła do szafki na kamizelki ratunkowe i słuchała walca. Wyobrażała sobie, że ma na sobie jasnoniebieską suknię z satynową przepaską, a jeden z oficerów statku wiruje z nią na parkiecie.

Tak zatraciła się w swojej małej radosnej fantazji, że opuściła liche schronienie i zaczęła tańczyć sama. W pewnej chwili nagle eksplozja głośniejszej muzyki i rozlewająca się po pokładzie kaluża złotawego światła ostrzegły ją, że ktoś wyszedł z salonu. Zobaczywszy mężczyznę w wieczorowym stroju zapalającego papierosa, ponownie dała nura za szafkę, ale nie mogła się powstrzymać i ostrożnie wyjrzała z kryjówki, żeby mu się przyjrzeć.

Był wysoki, szczupły i czarnowłosy; mimo iż stał od niej w odległości jakiś czterdziestu jardów, a oświetlenie było kiepskie, wydało się jej, że mężczyzna jest spięty, bo co chwilę rozglądał się nerwowo dookoła.

Kilka minut później drzwi znowu się otworzyły i na zewnątrz wyszła kobieta.

154

Szal z białego futra owinięty wokół ramion, złociste włosy i lśniąca suknia jasnego koloru sprawiały, że nieznamoma była jak latarnia pośród mroku. Kiedy podniosła dłoń, żeby pozdrowić mężczyznę, jej bransoletka zamigotała jasnym światłem jakby była z diamentów.

Para objęła się, a Beth zaczęła się zastanawiać, dlaczego mieliby wychodzić na przejmujący chłód pokładu, kiedy mogli razem tańczyć w ciepłym salonie.

Powód stał się jasny, oboje zaczęli namiennie się całować; a nie mogli przecież robić tego na oczach innych ludzi. Beth stwierdziła, że to dość romantyczne i zastanawiała się, czy są narzeczonymi, którym na chwilę udało się zniknąć z oczu przyzwoitce.

Ale wyraźnie było widać, że mężczyzna troszczy się o dyskrecję, gdyż nawet całując kobietę, przesuwiał ją w dół pokładu w kierunku Beth i kryjówki w zawieszonej tam łodzi ratunkowej.

- Nie odważę się zostać dłużej niż minutę lub dwie - wyrzuciła z siebie kobieta jednym tchem; jej słowa wyraźnie poniosły się na wietrze. - Obserwuje mnie niczym jastrząb.

- Musisz go porzucić - zapalczywie powiedział mężczyzna. - Mam ochotę zabić go za każdym razem, kiedy cię obejmuje.

Beth poczuła się nagle bardzo niezręcznie w roli świadka tej potajemnej schadzki. Chciała się odsunąć albo przynajmniej kaszlnąć, sygnalizując parze, że me są sami, ale było za późno, gdyż teraz znaleźli się zaledwie kilka stóp od niej, zaraz po drugiej stronie barierki, tak blisko, że czuła zapach perfum kobiety. Cisza, która nastąpiła, zachęciła ją do zaryzykowania kolejnego ukradkowego spojrzenia. Całowali się tak

155

namiętnie, że poczuła, iż na jej twarz wypelza rumieniec. Kobieta stała zwrócona do niej tyłem i etola zsunęła się z jej ramion, odsłaniając alabastrową i gładką skórę ramion i szyi.

Ciężko oddychali, slychać też było szelest ubrań i choć Beth nie mogła mieć pewności, podejrzewała, że mężczyzna dotyka kobiety w nieprzyzwoity sposób.

- Clarisso, trzeba mi czegoś więcej niż pieszczot - westchnął. - Chcę się z tobą kochać na łóżku, zobaczyć pod sobą twoją nagość. Przyjdź dziś wieczorem do mojej kajuty

Beth płonęła teraz z zażenowania, ale gdyby się poruszyła, uslyszeliby ją i z pewnością posądziliby o podglądanie.

- Spróbuję - odpowiedziała kobieta. - Dosypię Aggie jeden z moich proszków.

Po wymianie zdań nastąpiły dalsze gorączkowe pocałunki i pieszczoty, a potem Beth uslysziała, jak Clarissa stwierdza, że naprawdę musi już iść i w sekundę albo dwie potem po pokładzie poniósł się stukot jej obcasów.

Mężczyzna pozostał na miejscu i Beth zobaczyła, jak zapala kolejnego papierosa. Do tej pory zdążyła przemarnąć do kości, zaczęła więc dyskretnie przesuwac się w kierunku drzwi prowadzących do zejścia. Ale w ciemnościach nie zobaczyła przed sobą małego stopnia i potknęła się o niego, upadając na pokład.

- Kto tam jest? - warknął mężczyzna.

Beth nie musiała obracać głowy, żeby zorientować się, iż jest zaledwie cztery lub pięć stóp z tyłu i patrzy prosto na nią; leżała plackiem na pokładzie i przed zbliżeniem się do niej powstrzymywała go tylko barierka.

156

- Wstań i odezwij się - rozkazał jej.

Nawyk posłuszeństwa miała już we krwi, więc nawet nie pomyślała o ucieczce i natychmiast go posłuchała.

- Od jak dawna tu jesteś? - zapytał.

- Od pewnego czasu, owszem... Wysłałam na pokład, bo na dole jest strasznie duszno.

Nie mogła oderwać od niego wzroku; był bardzo urodziwy, nieskazitelnie ubrany i wyrażał się dystyngowanie. Podejrzewała, że ma więcej niż dwadzieścia, a mniej niż trzydzieści lat życia.

Do tego momentu miarką, wedle jakiej oceniała wygląd mężczyzny, był Sam i widziała zaledwie paru tak przystojnych jak jej brat. Ale przy tym mężczyźnie wyglądał on niemal dziewczęco, gdyż ten miał włosy czarne niczym węgiel, głęboko osadzone oczy, prosty nos i wysokie kości policzkowe.

- Zawsze ma pani zwyczaj podglądania innych? - zapytał drwiąco.

- Zawsze ma pan zwyczaj niegrzecznie zwracać się do ludzi? - odparowała z pewną dozą oburzenia. - Byłam tu pierwsza. Skoro zamierzał pan utrzymać schadzke w tajemnicy, powinien był się pan upewnić, że nikogo tu nie ma.

- Pyskata z ciebie panna - powiedział, mierząc ją uważnym spojrzeniem. - Czy floren* wystarczy, żeby kupić twoje milczenie?

Beth nie zrozumiała tego pytania i po prostu patrzyła na niego.

- Pięć szylingów?

* Dawna brytyjska moneta wartości dwóch szylingów [przyp. tłum.].

157

Nagle zrozumiała, co miał na myśli. Zostanie świadkiem zdrady było dla niej wystarczającym wstrząsem, ale propozycja zapłaty za milczenie już ją obrażała.

-Jak pan śmie zakładać, że moje milczenie można tylko kupić? - powiedziała wzburzona. — Nie interesuje mnie ani pan, ani pańska przyjaciółka. Mógł pan po prostu poprosić, żebym nikomu nie mówiła o tym, co tutaj zaszło.

To oświadczenie trochę go utemperowało.

- Przepraszam - powiedział. - Chodzi o to, że... -urwał niezdarnie.

Beth poczuła się pewniej. Miniony dzień uświadomił jej, że załoga okrętu ani myśli zadbać o warunki, w jakich podróżują ubożsi pasażerowie, i posiadanie przewagi nad kimś z pierwszej klasy dało jej poczucie wyrównywania rachunków. Zbliżyła się do niego i stanęła tuż przy poręczy.

- Ze ona jest żoną innego mężczyzny?

Nie odpowiedział gniewnym warknięciem, ogarnął go smutek.

-Jesteś zbyt młoda, żeby zrozumieć - powiedział, wzdychając.

- Zdziwilby się pan, wiedząc, co potrafię zrozumieć - odpowiedziała, myśląc o wyznaniu jej matki na łożu śmierci. - Wiem, że żądza sprawia, iż ludzie zachowują się nierozważnie.

Roześmiał się sztywno.

- A cóż, o Mądra, powinienem zrobić, skoro kocham kobietę będącą żoną mężczyzny, który ją unieszczęśli-wia?

Beth była zaskoczona; ujęła ją jego szczerość.

- Więc dlaczego za niego wyszła?

158

- Zmusiła ją do tego rodzina - odpowiedział. Beth rozmyślała nad tym przez chwilę.

- Więc dlaczego po prostu od niego nie odejdziesz?

- Zdumiewasz mnie, panienko - powiedział z nutką sarkazmu. - Zawsze myślałem, że dziewczyny z twojej klasy społecznej wierzą w świętość związku małżeńskiego.

Na wzmiankę o swoim pochodzeniu Beth zjeżyła się; uwłaczające było również założenie, że dziewczyna jej pokroju nie może mieć świątłych, nowoczesnych poglądów.

- Jak dla mnie nie ma świętości w małżeństwie z rozsądku.

- Słyszę w twoim głosie rozgoryczenie - powiedział, uważnie się jej przyglądając. - Gdybyś nie była tak młoda, pomyślałbym, iż przemawia przez ciebie doświadczenie. Ale to, co sugerujesz i tak jest niemożliwe, mąż każe bacznie ją obserwować.

- Zlecił to służącej? - zapytała Beth, przypominając sobie, że kobieta wspomniała kogoś o imieniu Aggie.

Skinął głową.

Z niezrozumiałych dla niej samej powodów, Beth wczuła się w jego problemy i chciała mu pomóc.

- Kiedy dotrzemy do Nowego Jorku, łatwo będzie odwrócić jej uwagę. Może twoja ukochana powinna się do tego czasu przygotować?

- A jakiż to plan powstał w głowie tak przebiegłej dziewczyny jak ty? - zapytał z nikłym uśmiechem.

Beth doskonale rozumiała, dlaczego nieznana jej Clarissa podejmowała dla tego mężczyzny takie ryzyko. Nie chodziło tylko o atrakcyjną twarz, był też miły w obejściu.

159

- Myślę, że będzie potrzebowała pomocy innej kobiety - powiedziała w zamyśleniu. - Służąca nie przywiązywałaby takiej wagi do swoich obowiązków, gdyby jej uwagę odciągała przyjaciółka.

- Będę o tym pamiętał - powiedział, tym razem obdarzając ją szerokim uśmiechem. - Szkoda, że nie podróżujesz pierwszą klasą, to mogłoby być zadanie dla ciebie!

Beth zaśmiała się cicho.

- Chciałabym być w pierwszej klasie. Nie sądzę, żeby chorowało tam aż tyle osób. Właśnie dlatego tu przyszedłam, żeby na chwilę uciec od zaduchu panującego na dole. Ale teraz muszę wracać, bo zamarzam.

-1 mogę liczyć, że nikomu nie zdradzisz tematu naszej rozmowy? - zapytał, pytająco podnosząc jedną brew.

- Dyskrecja to moje drugie imię - zachichotała.

- Cóż, panno Dyskrecjo, mam nadzieję, że jeszcze się spotkamy - powiedział, lekko pochylając głowę w pożegnalnym ukłonie. - A teraz zmykaj, zanim zamienisz się w sople lodu.

Ostatnia część podróży mocno się wszystkim dłużyła i nie towarzyszyły jej żadne przygody; Beth nie zobaczyła już więcej pary kochanków. Choroba dopadła większość pasażerów sterowych i nie było już więcej nocy pełnych tańców, muzyki i biesiad, więc Beth wypełniła sobie dni zajmowaniem się dziećmi rodziców zbyt osłabionych, żeby mogli robić to sami.

Wielu, którym pomagała, twierdziło, że jest aniołem, ale dla Beth w pomaganiu innym nie było nic nadzwyczajnego, przyzwyczaiła się do tego. Poza tym światło

160

było zbyt słabe, żeby czytać, temperatura na pokładzie pozwalała na co najwyżej dziesięciminutowe spacerki, a osoby, które polubiła najbardziej, czyli Maria i Bridie, z powodu choroby nie miały ochoty na zabawę czy rozmowę.

Sam zapraszał ją na pokład kilka razy dziennie i za każdym razem niezmiennie towarzyszył mu Jack Child. Początkowo Beth przypuszczała, iż czynił tak z przyjaźni do Sama, ale brat szybko wyjaśnił jej, że to ona była powodem zainteresowania młodzieńca.

Beth trudno było w to uwierzyć, gdyż zdawała sobie sprawę z faktu, iż niezależnie od płci wszyscy lubią Sama. Był śmiały, zabawny, uczynny i bezpośredni.

Jednakże jakiegokolwiek motywy skłaniały Jacka do spędzania z nimi czasu, Beth zawsze widywała go z przyjemnością. Potrafił poprawić człowiekowi humor, miał bystry umysł i był obyty. Do pewnego stopnia ją podniecał i zawsze rozumiał jej drobne dowcipy, odpowiadając na nie błyskotliwymi, doprowadzającymi ją do serdecznego śmiechu ripostami. Często żalowała, że na pokładzie jest tak zimno, gdyż z chęcią spędzałaby z nim więcej czasu; w obecnych warunkach nieraz przedłużała spotkania do momentu, kiedy niemal zamarzała na kamień. Wracając na dół, dalej rozmawiali, dopóki ktoś z załogi bądź steward nie przepędził ich za blokowanie przejścia.

Aktywności Sama nie dało się poskromić blahymi zasadami. Zdołał ominąć je wszystkie, wykorzystując wrodzony urok, inteligentny wygląd i dobre maniery. W jakiś sposób poznał podróżującą w drugiej klasie młodą damę o imieniu Annabel i część każdego dnia spędzał z nią i jej rodziną w różnych miejscach na statku; wkradł

161

się w ich łaski do tego stopnia, że zapraszali go na posiłki i tym samym jej brat nie musiał zjadać codziennej porcji obrzydliwego jedzenia podawanego pasażerom sterowym.

Beth byłaby zazdrosna, gdyby nie fakt, że przemycał dla niej ciasta i owoce. Jack był wstrząśnięty wyrachowaniem Sama i jego postawą, która sprawiała, że wszystko uchodziło mu płazem.

- Gdybym przedostał się za jedną z tych krat, od razu zorientowano by się, skąd jestem - powiedział z krzywym uśmiechem. - Lepiej już by mi poszło, gdybym podwędził marynarkę stewarda i dostał się do środka z tacą w ręce. Ale gdybym tylko cokolwiek powiedział, byłbym ugotowany

- Mówią, że w Ameryce nie ma podziału klasowego - zauważyła Beth. - Ciężka praca jest wszystkim, czego potrzebujesz do poprawienia pozycji życiowej.

Beth nie zdawała sobie sprawy z podziału klasowego do momentu, kiedy umarła jej matka. Przedtem prawie wszyscy, z którymi miała kontakt, znajdowali się na środku drabiny społecznej, byli przedsiębiorczy, jak jej rodzina, i cieszyli się szacunkiem innych. Oczywiście wiedziała, że na świecie istnieją bardzo biedni ludzie - codziennie widziała ich na ulicach, żebrzących o jałmużnę. Ale wyższe sfery ze swoimi wielkimi posiadłościami, służbą i ozdobnymi powozami były tak odległe, że wcześniej nigdy się z nimi nie zetknęła.

Całkowicie zmieniła to praca i późniejsze życie na Falkner Square. Będąc służącą, obserwowała ludzi zamożnych z bliska i zdała sobie sprawę z wielkiej, niemożliwej do przebycia przepaści pomiędzy nimi. Państwo Lang-worthy nigdy nie dali jej odczuć, że jest kimś gorszym, ale

162

podczas tej podróży doświadczała rozmaitych poniżeń tylko dlatego, że nie stać jej było na droższy bilet.

Nocami leżała w łóżku i, starając się nie zwracać uwagi na jęki chorych i wszechogarniający zapach wymiocin, rozmyślała o przedstawianym jako bezklasowe społeczeństwie w Ameryce. Z pewnością również tam musiała istnieć jakaś hierarchia, ale jej podwaliny stanowiła zamożność, zamiast urodzenia i wykształcenia, być może więc ona i Sam dzięki ciężkiej pracy zdołają osiągnąć status podobny do tego, jakim w Anglii cieszyli się państwo Langworthy.

Rozdział jedenasty

Łąd na horyzoncie!

Słyszac pełen podniecenia okrzyk jednego z pasażerów sterowych, Beth złapała swój płaszcz i dołączyła do reszty ludzi cisnących się i rozpychających łokciami, żeby wydostać się na pokład. Było wczesne popołudnie, osiem dni po opuszczeniu Liverpoolu i wydawało się dziwne, że nawet ci, którzy spędzili całą podróż powaleni chorobą morską, nagle znaleźli siły żeby zerwać się na nogi.

Widoczność znacznie ograniczał silny deszcz i jedyne, co Beth mogła dostrzec, to nieznacznie ciemniejsza linia na horyzoncie, ale mimo to nikt nie zdecydował się na powrót na ciepłe pokłady poniżej. Wszędzie dookoła słyszała ludzi wypytujących się nawzajem, ile zajmie im zawinięcie do portu, i o pierwszą rzecz, którą zrobią, kiedy opuszczą biura Urzędu Imigracyjnego.

Beth przez większość podróży miała cały pokład dla siebie i znalezienie się teraz w takim tłumie było dla niej dziwnym uczuciem. Sam gdzieś przepadł - założyła, że jest z Annabel; Jacka też nigdzie nie było widać. Próbując uniknąć zgniecenia i znaleźć miejsce, skąd mogłaby choć przelotnie zerknąć na łąd, przepchnęła się przez strumień ludzi do bariery oddzielającej ich od pierwszej klasy.

Ku jej zaskoczeniu, zaraz po drugiej stronie barierki, pod trzymanym przez jakiegoś dżentelmena parasolem zobaczyła skuloną Clarissę.

Wprawdzie Beth widziała ją tylko przez chwilę w ciemnościach, ale nie miała wątpliwości, że to Clarissa, nawet zanim kobieta zaczęła mówić. Miała na sobie długi, lekki brązowy futrzany płaszcz i pasujący do niego kapelusz; kilka pukli blond włosów okalających jej twarz powiewało na wietrze.

Beth starała się dalej patrzeć na wprost, ale jej oczy co chwila śmigały w bok, żeby przyjrzeć się kobiecie. Jakby to określiła większość ludzi, Clarissa była klasyczną piękną: miała owalną twarz, porcelanową cerę, idealny prosty nos i wysoko osadzone kości policzkowe. Dziewczyna nie widziała dokładnie oczu Clarissy, ale podejrzewała, że są niebieskie. Najciekawszy był nie jej wygląd, a sposób zachowania się wobec towarzysza. Jedną ręką trzymał parasol nad ich głowami, a drugie jego ramię niemal zaborczo ścisnęła Clarissa, patrząc mu w oczy za każdym razem, kiedy przemawiał.

Beth przyjęła, że musi on być kolejnym adoratorem, gdyż nie pasował do wizerunku starego, otyłego mężczyzny, jak wyobrażała sobie męża kobiety. Miał około czterdziestu lat i był wysoki; z małą kozią bródką i przystrzyżonymi wąsikami, wyprostowany i szczupły wyglądał niczym gwardzista. Miał na sobie elegancki ciemnoniebieski płaszcz z karakułowym kołnierzem. Co ciekawe, nie nosił kapelusza i na głowie piętrzyły mu się bujnie faliste brązowe włosy. Choć nie był tak zabójczo przystojny jak ten mężczyzna, którego Beth poprzednio widziała z Clarissą, miał miłą twarz sugerującą łagodne

82

usposobienie. Teraz śmiał się z czegoś, co mówiła mu Clarissa.

- Boję się, że niedługo stracę swój parasol - usłyszała Beth, kiedy podmuch wiatru prawie wyrócił ich małe schronienie na drugą stronę i nieznamy z niemalym trudem je opanował.

- Kochanie, przecież mówiłam, że przyniesienie go tutaj było błędem - powiedziała Clarissa, uśmiechając się czule. - Parasole nie przydają się na statkach, tylko w miastach.

- Miałem pozwolić, żeby moja śliczna żona zmokła? - zapytał jowialnie.

Kiedy Beth odkryła, iż to właśnie jest ów zdradzany mąż, chciała gwałtownie odwrócić twarz w kierunku pary, ale w samą porę opanowała się i nadal stała z oczami twardo wbitymi w linię horyzontu.

- Mówiłam, że mądrzej będzie wypatrywać łądu w salonie - usłyszała odpowiedź Clarissy.

- Być może mądrzej, ale tu panuje żywsza atmosfera - odpowiedział jej mąż, machając ręką pasażerom sterowym. - Spójrz na tych wszystkich ludzi, którzy wiwatują na widok Ameryki.

Beth wiedziała, iż powinna czuć obrzydzenie, że ta kobieta tak niewiele robi sobie z małżeńskiej wierności. Zrozumiała natychmiast, iż mąż Clarissy nie jest potworem, dama po prostu igrała z uczuciami młodszego adoratora. Ale Beth czuła rozczarowanie i smutek na myśl o głębokiej ranie, jaką odniesie młodzieniec.

Kilka minut później mgła podniosła się, a deszcz zelżał do tego stopnia, że dało się już trochę dostrzec

167

ład i to odwróciło uwagę Beth od myśli o Clarissie i jej kochanku.

Ku swemu rozczarowaniu pasażerowie dowiedzieli się, że tego wieczora nie postawią nogi w Nowym Jorku, gdyż statek musiał rzucić kotwicę na rzece Hudson i poczekać, aż na pokład przybędzie urzędnik imigracyjny. Mówiono, że ma sprawdzić, czy na pokładzie nie panuje żadna zaraza i jeżeli wszystko pójdzie bez problemów, następnego ranka zostaną przemieszczeni do jednego ze stanowisk w portowych dokach.

Spokojniejsze wody i radość z bycia tak blisko celu podróży w mgnieniu oka wyleczyły chorobę morską i wszyscy zapragnęli, żeby ich ostatnia noc na statku była wyjątkowa. Nawet pani Giles, do tej pory obserwująca powierzone jej opiece kobiety niczym jastrzęb, poniechała znacznie swej czujności. Kiedy na wieczorny posiłek przyniesiono zwyczajowy kociołek z gulaszem, pośpiech przy odbieraniu porcji niemal wywołał zamieszki. Niektórzy pasażerowie od momentu opuszczenia Liverpoolu nie zjedli niczego poza kilkoma łyżkami kleiku i suchego chleba, w związku z czym byli wygłodniali niczym wilki.

Beth mogła ledwie uwierzyć oczom, kiedy rzucili się na szarobrazową tłustą substancję, w której pływało więcej kawalków warzyw i chrząstek niż mięsa. Z braku czegokolwiek innego, każdego wieczoru zmuszała się do zjedzenia niewielkiej ilości mdłej brei, ale teraz wszyscy wyglądali tak, jakby jedzenie szczerze im smakowało.

Po posiłku wyciągnięto skrzypki, organki, a nawet łyżki, i tańce oraz popijawa rozgorzały na całego. Jack miał butelkę whisky i poczęstował Beth. Dziewczyna skrzywiła się, kiedy plyn rozgorzał jej płomieniem

168

w gardle, ale chcąc okazać śmiałość, z determinacją pociągnęła kolejny łyk i odkryła, że za drugim razem o wiele łatwiej jest przelknąć alkohol.

Może było to tylko działanie whisky, ale tego wieczora Beth poczuła się niczym motyl wychodzący z kokonu. Ilość młodych mężczyzn upierających się, żeby zaprosić ją do tańca dowodziła, iż jest atrakcyjna; z optymizmem i podekscytowaniem spoglądała więc na początek przygody, który czekał ją rankiem. Wprawdzie zdawała sobie sprawę, że w nadchodzących tygodniach będzie okropnie tęsknić za Molly, ale z nagłym zdumieniem odkryła, iż nie żałuje opuszczenia Anglii.

- Beth, bierz swoje skrzypki i graj - zachęcił ją Sam.

Chciała odmówić, gdyż nigdy nie dawała publicznych występów i bała się, że wypadnie znacznie gorzej od starego grajka. Ale brat nie rezygnował z nalegań i wkrótce wszyscy dookoła również zaczęli domagać się chórem, żeby zagrała.

Choć Beth potrafiła czytać nuty do pianina, na skrzypkach zawsze grała intuicyjnie, więc wróciwszy z instrumentem, posłuchała kilku taktów melodii, którą grał starszy mężczyzna, i kiedy stwierdziła, że ją podła-pała, dołączyła do gry.

Muzyka była o wiele szybsza od tej, do której była przyzwyczajona, ale w jakiś sposób brzmiała czysto, zgodnie z prawdziwym przeznaczeniem instrumentu. Jej palce lekko poruszały się po strunach, z których smyczek wydobywał śpiewne tony. Ciało Beth poruszało się zgodnie z rytmem i zamknawszy oczy, kompletnie zatraciła się w dźwiękach.

Raczej wyczula niż zobaczyła uznanie swojej publiczności: tupot nóg wzmógł się, zaś tańczący zaczęli

169

wesoło pokrzykiwać. W jednej chwili zrozumiała, że do tego właśnie została stworzona - do grania skocznej, wesołej muzyki, która przenosiła ją i wszystkich dookoła w lepsze miejsce. Zapomniała, że znajduje się na pokładzie statku otoczona brudnymi ludźmi o bladych twarzach; miała wrażenie, że bosobosko tańczy w promieniach słońca na obsypanej jaskrami polanie.

Kiedy melodia dobiegła końca i znowu potoczyła wzrokiem po pomieszczeniu, zobaczyła, że zabrała ze sobą do tego miejsca wszystkich innych. Ich oczy lśniły, uśmiechali się szeroko i po ich twarzach spływał pot.

- Eh, mała cyganeczka z ciebie! - krzyknął mężczyzna z tłumu. - To jasne jak słońce i zdecydowanie była to najlepsza gra na skrzypkach poza Dublinem!

Beth zagrała jeszcze kilka razy, a potem odłożyła skrzypki i przyłączyła się do tańców. Były jeszcze bardziej żywe od tych, które miały miejsce pierwszej nocy i muzyka była głośniejsza; kiedy obracano nią w szaleńczej polce, śmiała się z niepohamowanej radości.

Sam mijal ją raz po raz z coraz to nową dziewczyną w ramionach i kiedy zobaczyła jego szeroki, pełen uznania uśmiech wynikający z faktu, że jego siostra dobrze się bawi, ogarnęła ją jeszcze większa euforia. Przyszło jej do głowy, że brat wątpił, czy ona kiedykolwiek pozbędzie się swojej powściągliwości i może nawet bał się, że dziewczyna stanie się dlań ciężarem.

Przysięgła sobie, że udowodni mu, iż potrafi znosić wzloty i upadki równie dzielnie jak mężczyźni oraz że całym sercem rzuci się w wir wielkiej przygody.

Kilka godzin później dym z fajek i papierosów oraz sama ilość rozgrzanych, spoconych ciał zamkniętych

170

w tak kiepsko wietrzonym pomieszczeniu sprawiły, że Beth udała się na pokład.

Kiedy wchodziła po schodach, z konsternacją zdała sobie sprawę, że jest odrobinę podpita, gdyż trudno było jej zapanować nad ruchami. Właśnie miała runąć w tył, gdy poczuła chwytające ją w pasie dłonie, które pomogły jej utrzymać się na nogach.

To był Jack.

- Spokojnie, dziewczyno - powiedział. - Jeżeli jesteś pewna, że to właśnie pokład jest miejscem, gdzie chcesz pójść, będę ci towarzyszył.

Gdy w końcu dotarli na górę, orzeźwił ich powiew zimnego świeżego powietrza. Przestało padać, niebo było czyste i usiane gwiazdami, zaś morze skrzyło się srebrem.

- O wiele mi lepiej - westchnęła, oddychając głęboko. - Jak to wszystko pięknie wygląda.

- W istocie - zgodził się Jack. - Morze wygląda niczym czarny atlas, no i spójrz tylko na ten księżyc! Złoty sierp wydawał się o wiele bliższy i jaśniejszy niż widziany kiedykolwiek w Liverpoolu. Znaleźli szafkę, na której usiedli i przez pewien czas po prostu przyjaźnie milczeli. W salonie pierwszej klasy grała kapela i teraz, kiedy płynęli w górę rzeki Hudson, zrobiło się znacznie cieplej niż na morzu, więc kilka innych par wyszło na górę, przystając na pokładzie.

- Jesteś pełna niespodzianek - powiedział Jack, błyskając w uśmiechu zębami. - Nigdy nie mówiłaś, że potrafisz w ten sposób grać. Kiedy zobaczyłem twój futerał na skrzypce, pomyślałem, że grywasz tylko te płaczliwe kawalki wykonywane w wielkich salach.

171

-To irlandzkie skrzypki - powiedziała z uśmiechem. - Nie sądzę, żeby znalazły cokolwiek innego poza jigiem. Moja mama nigdy tego nie pochwalala; zawsze twierdziła, że to muzyka z piwiarni.

-Jeśli będziesz tak grała, nigdy nie zabraknie ci pracy - powiedział Jack. - Ale gdzie udasz się jutro? Masz jakieś plany?

- Myślę, że Sam ma - powiedziała. - A ty?

- Udam się do znajomego - odpowiedział. - Pewnie nie będzie to dużo, jakiś pensjonat, ale wystarczy do czasu, aż znajdę pracę.

- A gdzie będziesz pracować?

- Gdziekolwiek, gdzie dobrze zapłacą - odpowiedział. - Chciałbym mieć taki talent jak ty. Ludzie będą się cisnęli, żeby cię zatrudnić.

- Zatrudnić mnie? - zachłysnęła się. - Żebym grała na skrzypkach?

- Czy nie to właśnie zamierzałaś robić? - zapytał lekko zdziwiony Jack.

- Myślałam, że będę musiała wykonywać prace domowe albo zostanę sprzedawczynią w sklepie, tak samo jak w domu - powiedziała.

Jack parsknął śmiechem.

- Cóż, musiałabyś być niespełna rozumu, żeby podjąć podobną pracę z takim asem w rękawie jak twój talent.

- Ale przecież nie zatrudnią dziewczyny, prawda?

- To jeszcze bardziej przyciągnie ludzi - powiedział Jack. - Zwłaszcza jeżeli mówimy o kimś tak ładnym jak

ty- Ależ dziękuję, Jack - powiedziała, lekko się rumieniając.

172

- Chętnie przyjdę i posłucham, ale nie sądzę, żebyś chciała mnie znać po tym, jak zaczniesz obracać się w wyższych kręgach!

- Oczywiście, że będę - odpowiedziała oburzona Beth.

- A tam! - Potrząsnął głową. - Jestem dla ciebie zbyt pospolity. Twoi przyjaciele będą patrzeć na moją bliźnię na twarzy i myśleć, że łobuz ze mnie.

- Skąd ją masz? - zapytała, wyciągając rękę, żeby delikatnie dotknąć znamienia.

- Tata mi ją zrobił. Bil mamę i chciałem go powstrzymać, a on złapał za nóż i mnie ciachnął. Dlatego opuściłem Londyn. Nie mogłem dłużej tego znieść.

-Jeżeli doznałeś jej, broniąc swojej matki, to nie masz powodów do wstydu - powiedziała Beth, po czym złożyła na bliźnie pocałunek.

Nagle objął ją ramionami i zaczął całować.

Beth była zaskoczona, ale mile. Jack miał miękkie i ciepłe usta; podobał się jej sposób, w jaki jedna z jego dłoni gładziła ją po twarzy, i mrowienie przenikające kręgosłup. Nawet nie zdając sobie sprawy z tego, co robi, wtuliła się w jego ramiona i objęła go swoimi.

Kiedy wcisnął jej język w usta, pomyślała, że za wiele sobie pozwala, ale było to mile uczucie i nie chciała się odsunąć. Oddychał ciężko, obejmując ją coraz mocniej i dopiero wtedy dotarło do niej, że powinna przerwać.

- Powinniśmy już wracać - powiedziała, odsuwając się i wstając. - Jutro czeka nas długi i pracowity dzień.

- Nie chcę, żebyś kiedykolwiek odeszła - wyszeptał. - Jesteś taka cudowna.

173

Beth uśmiechnęła się do niego i poklepała go po twarzy.

- To urocze, ale zobaczysz mnie jutro.

- Zrobię dla ciebie wszystko - powiedział, łapiąc ją gwałtownie za ramiona. - Wszystko!

Kiedy Beth wróciła pod pokład, impreza już zamierała. Kilku pijanych mężczyzn ciągle zataczało się dookoła, ale kobiety i dzieci udały się do łóżek. W sypialni dla pojedynczych kobiet czekały na dziewczynę Maria i Bridie; wyglądało na to, iż ktoś widział ją z Jackiem.

- Czy ty go kochasz? - zapytała szeptem Bridie; z jej piegowatej twarzyczki emanowała niepokromiona ciekawość.

- Nie, a przynajmniej tak mi się wydaje - powiedziała Beth, szybko ściągając sukienkę oraz buty i gramoląc się na koje. Nie miała pojęcia, czy kilka pocałunków wiąże dwoje ludzi do tego stopnia, że zaczynają się uważać za kochanków. Lubiła Jacka, ale z drugiej strony był jedynym mężczyzną, którego poznała na pokładzie. I podejrzewała, że po zejściu na ląd może znaleźć sobie kogoś o wiele bardziej odpowiedniego.

- Pocałował cię? - wyszeptała Maria. - Tak.

- I jak było? - zapytała Maria.

- Fajnie - odszepnęła Beth. - Ale nie mam porównania, bo to dopiero pierwszy raz.

- Nikt cię wcześniej nigdy nie całował? - zapytała z niedowierzaniem Bridie.

W tym momencie pojawiła się pani Giles, żeby sprawdzić, czy wszystkie są w łózkach, i to oszczędziło Beth dalszych indagacji.

174

Udała, że śpi, aż pani Giles wyszła, zatraskując za sobą drzwi. Zamknąwszy oczy, mogła przypomnieć sobie pocałunki Jacka i ponownie delektować się tym rozkosznym doznaniem.

- Co się dzieje? - zapytała Sama Beth. Dochodziła dziesiąta rano, dzień był bezchmurny i słoneczny. O świcie obudził ich odgłos uruchamianych silników i ktoś krzyknął, że czas zejść na ląd.

W pomieszczeniach sterowych wybuchł nagle nieopisany chaos, gdy wszyscy rzucili się, żeby spakować resztę swojego dobytku. Masowej paniki nie zmieniły nawet okrzyki członków załogi, którzy perswadowali, że minie kilka godzin, zanim pasażerowie będą mogli opuścić statek.

Gorączkowa atmosfera udzieliła się Beth i dziewczyna pobiegła na pokład, żeby przekonać się, jak stoją sprawy.

Rozciągający się przed nią Nowy Jork wyglądał dokładnie tak samo, jak na fotografii, którą widziała w pewnym czasopiśmie. Mogła nawet zobaczyć iglicę Trinity Church; wiedziała, że dzięki jej wysokości była sporą pomocą w żegludze.

Była oczarowana. Kościół ze swoją iglicą mógł być najwyższym budynkiem, ale wszystkie inne również wyglądały na niewiarygodnie wysokie. Ilość statków wprawiała ją w osłupienie. Niezliczone pirsy sięgały głęboko w wody East River; o nazwie rzeki poinformował ją jeden z marynarzy. Najwyraźniej rzeka Hudson, którą płynęli poprzedniego wieczora, znajdowała się po drugiej stronie wyspy i nie było pirsu, przy którym nie stał jakiś zacumowany statek. Pomimo wczesnej pory na

nabrzeżu tłoczyły się wszelkiego rodzaju wózki, wozy i lawety, na które setki mężczyzn ładowały i wyladowywały rozmaite towary

Kiedy się zbliżyli, usłyszeli ogłuszający hałas, na który składał się loskot toczonych po kostce brukowej beczek, końskich podków, kół wozów, silników statków oraz ludzkie okrzyki i gdy Beth odwróciła wzrok od nabrzeża, zobaczyła kołyszące się na falach tysiące wszelkiego rodzaju jednostek pływających, od holowników po stare statki żaglowe. Patrząc ku morzu, dostrzegła Statuę Wolności, którą tak często widziała na fotografiach w domu. Ale nic nie przygotowało jej na ogrom owej budowli górującej nad portem ani na emocje, które w niej obudziła.

Przypomniała sobie, jak jej nauczyciel recytował wiersz. Beth nie pamiętała, czy miał on jakiś związek ze statką, czy odnosił się do Ameryki jako takiej, ale fragment, który ostał się w jej pamięci, pasował do obu: „Dajcież mi waszych zmęczonych, waszych biedaków, wasze zgromadzone tłumy tęskniące, by odetchnąć wolnością. Dajcie nędzne odpady waszych przeludnionych brzegów”*

Beth nie uważała siebie, Sama ani kogokolwiek innego na tym okręcie za „nędzne odpady”, ale podejrzewała, że kobieta, która napisała te słowa, widziała wędrujących przez hale imigracyjne tysiące ludzi z całej Europy. Podniszczone walizki, wychudzone twarze i wytarta odzież najprawdopodobniej nadawały wszystkim wygląd odpadów, choć dziewczyna pomyślała, że poetka mogłaby użyć łagodniejszych słów.

" Fragment wiersza „The New Colossus” amerykańskiej poetki Emmy Lazarus, wyryty na tablicy u podstawy Statuy Wolności [przyp. tłum.].

176

Most Brooklyński był o wiele większy i dłuższy niż się spodziewała. Nie mogła sobie wyobrazić, jak ktokolwiek mógł wpaść na pomysł przerzucenia czegoś tak ogromnego nad rzeką.

Tuż przed powrotem pod pokład, gdzie z Samem mieli oczekiwać polecenia opuszczenia statku, naszła ją ostatnia myśl - skoro port Nowego Jorku oferował tak cudowne widoki, to jakież dalsze niebywale dziwne czekały na nich w samym mieście.

- Zdaje się, że pasażerowie pierwszej i drugiej klasy są zbyt dostojni, żeby przechodzić przez urząd imigracyjny - z przygnębieniem powiedział później Sam, kiedy patrzyli na opuszczanie trapów i schodzących po nich lekkim krokiem ludzi z wyższych sfer; większości z nich towarzyszyli bagażowi, którzy dźwigali ich rzeczy. - Nas zabiorą na prom płynący na Ellis Island w celu sprawdzenia. Jeżeli nie spodoba im się nasz wygląd, odeślą nas do Anglii.

- Nie sędzę, żeby nas odesłali - zwróciła uwagę Beth. - Jesteśmy zdrowi i silni.

- Nie o to się boję. Nie wiem, ile czasu zajmie nam załatwienie spraw w urzędzie. Spójrz, ile tu jest statków, a wszystkie wypełnione są imigrantami. Kiedy zapadnie zmierzch, trudno będzie znaleźć jakiś nocleg.

O czwartej po południu Beth była już bardzo niespokojna, wydawało jej się, że kolejki do przesłuchań przez urzędników imigracyjnych stoją w miejscu. Była prawie dwunasta, kiedy prom przeniósł ich na wyspę do ogromnego, zbudowanego z sosny budynku, gdzie mieli zostać „odprawieni”. Od marynarza na promie dowiedziała się,

że postawiono go niedawno, w 1892, ale wypełniały go tysiące dawno niemytych ludzi; kiepska wentylacja, żołądek skrecony z głodu i obolale nogi sprawiały, że czuła się jak w średniowiecznej sali tortur.

Było też okropnie głośno - tysiące osób mówiło jednocześnie, wiele z nich w obcych językach. Wyczuwało się też niemal namacalną aurę strachu i być może dlatego wszędzie było slychać płacz małych dzieci. W kolejkach rozeszła się plotka, że przesłuchaniom towarzyszy badanie lekarskie i choć Beth i Sama to nie martwiło, było jasne, że dla wielu jest to powód do lęku.

Fraza, którą powtarzali ludzie dookoła Beth, to „obciążenie socjalne”. Wywnioskowała, że urzędnicy odmawiają wstępu każdemu, kogo podejrzewali o to, że stanie się ciężarem dla państwa. Zobaczyła parę pomarszczonych staruszków, którzy ledwie trzymali się na nogach i miała nadzieję, że potrafią udowodnić, iż mają rodzinę, która się nimi zajmie. Były całe rodziny, pozornie tak straszliwie ubogie, że bez wątpienia zostaną potraktowane podejrzliwie. A co z tymi, którzy byli chudzi, bladzi i często kaszleli? Czy cierpieli na gruźlicę?

Kiedy Beth została wezwana przez doktora, z braku jedzenia i wody było jej słabo, ale ten tylko obejrzał ją od stóp do głów i machnął ręką, że może iść dalej. Pytania były stosunkowo proste: ile pieniędzy ma przy sobie, jaką pracę zamierza wykonywać i kilka innych, zapewne mających na celu określenie, czy jest zdrowa na umyśle.

Po tak długim oczekiwaniu na przesłuchanie, wydawało się ono absurdalnie krótkie i niemal rozczarowujące. Kazano jej przejść dalej, z Samem tuż za jej plecami, i nagle dotarło do nich, że to już koniec. Zostali zaak

178

ceptowani i mogli wsiąść na pokład promu, który miał zawieźć ich do miasta.

Godziny spędzone na Ellis Island były okropne, frustrujące i męczące i oczekiwali, że kiedy wreszcie dobiegną końca, wszystko już pójdzie gładko. Ale kiedy zeszli z promu po trapie na nabrzeże Nowego Jorku, Beth ogarnął przestach.

Było już po ósmej wieczorem, ciemno, zimno i mieli wrażenie, że trafili w oko cyklonu: tysiące zdezorientowanych, obładowanych bagażami ludzi i żerujących na nich szakali, którzy byli zdecydowani odebrać im część pieniędzy.

Budzący strach krzepcy mężczyźni w kraciastych marynarkach i kapeluszach typu homburg¹ łokciami torowali sobie drogę wśród tłumu, oferując wymianę pieniędzy na dolary, załatwienie pokoju w hotelu bądź biletu oraz bilety na autobus lub tramwaj. Bosonodzy ulicznicy w obdartych ubraniach żebrali o pieniądze albo oferowali się jako tragarze, zaś ogromna Murzynka z turbanem na głowie namawiała ich, żeby wpadli do jej restauracji na przekąskę. Na drodze stanął im tęgi mężczyzna ubrany w surdut i cylinder; nalegał, że może zabrać ich na krótki przerywnik w podróży do „ekskluzywnego apartamentu”.

Beth kusilo, żeby komuś zaufać, gdyż była głodna, zmarznięta i ponad wszystko inne na świecie chciała napić się filiżanki herbaty przy stole, ale niosący ich bagaż Sam popychał ją dalej; odsuwając na boki wszystkich

* Miękki kapelusz przepasany taśmą nad niedużym rondem, z charakterystycznym zagłębieniem na środku [przyp. tłum.].

natrętów, ostrzegając dziewczynę, żeby mocno trzymała swoje skrzypki.

- Ojciec Annabel powiedział mi o hotelu, do którego powinniśmy się kierować - powiedział. -

Wydostaniemy się stąd i znajdziemy coś do zjedzenia, a potem pojedziemy tam dorożką.

- A co z Jackiem? - zapytała, gdyż obróciwszy się, zobaczyła, że ten próbuje ich dogonić.

- Sam może zadbać o siebie - odparł ostro brat.

Rozdział dwunasty

Nigdy bym nie pomyślał, że tak trudno będzie znaleźć jakieś mieszkanie - Sam westchnął z rozpaczą.

- Ani że będzie tu aż tylu ludzi, którzy zechcą nas oszukać. Naprawdę skończyły mi się pomysły, do kogo się zwrócić.

Przy świetle świecy Beth rozpruwała podszewkę swojego żakietu, żeby wyciągnąć ostatnie z pieniędzy, które zabrali ze sobą z Anglii. Kiedy Sam odezwał się, spojrzała na drugi koniec pomieszczenia, gdzie siedział zgarbiony przy małym ogniu, stanowiąc ucieleśnienie niedoli.

Byli w Nowym Jorku od miesiąca, ale nie brali pod uwagę, że staną się obiektem zainteresowania aż tylu krętaczy. To było prawie tak, jakby nosili plakietki z napisem „żółtodziób”.

Przy dokach znajdowała się budka, w której zapraszano imigrantów, żeby rejestrowali się do pracy. Formularz, który musieli wypełnić, wyglądał oficjalnie; mężczyzna pomagający im w wypełnieniu go był elegancko ubrany i wydawał się zatroskany ich losem. Opłata w wysokości dwudziestu dolarów nie wydawała się zbyt wysoka, zwłaszcza jeżeli oznaczało to, że zostaną skierowani do dogodnej, dobrze płatnej pracy. Ale po trzech dniach, kiedy do hotelu, w którym się zatrzymali, nie przysła

żadna wiadomość o załatwieniu sprawy, zadzwonili do budki tylko po to, żeby przekonać się, iż zniknęła wraz z ich dwudziestoma dolarami.

Następnym razem odpowiedzieli na ogłoszenie z gazety o kwaterze do wynajęcia. Przed pensjonatem spotkali się z gospodarzem; pokazał im dwa mile pokoje, które obecny lokator miał opuścić do końca tygodnia. Zapłacili mężczyźni dwadzieścia pięć dolarów czynszu z góry i dostali klucz. Ale kiedy pojawili się o wyznaczonym terminie ze swoim dobytkiem, klucz nie pasował do frontowych drzwi budynku, a kiedy udało im się obudzić jednego z innych lokatorów, dowiedzieli się, że mężczyzna, z którym się spotkali, wcale nie był gospodarzem. W pensjonacie nie było żadnych wolnych miejsc. Odkrycie, że tuziny innych ludzi nabrało się na te same sztuczki, wcale nie poprawiło im samopoczucia. Oboje stracili pieniądze, które wydawały się im fortuną i rozgoryczył ich fakt, że choć takie oszustwa są tu na porządku dziennym, nikt ich przed nimi nie ostrzegł.

Zdarzały się też różne inne nieprzyjemne incydenty, oferty pracy okazujące się być oszustwami, bądź kwatery, do których udawali się w te pędy tylko po to, żeby przekonać się, iż w grę wchodziło dzielenie jednego pokoju z tuzinem innych ludzi. Rozmaici ludzie karmili Sama i Beth bardzo wiarygodnymi historiami o prześladowającym pechu i namawiali na „absolutnie pewne” gry hazardowe mające uczynić ich bogatymi. W przypadku tych drugich byli zazwyczaj realistami i stawiali co najwyżej dolara, ale dali się nabrać na część łzawych opowieści i, oddawszy pieniądze, dochodzili do wniosku, że nabito ich w butelkę.

Ten hotel był czwartym, w którym się zatrzymali, za każdym razem przenosząc się do tańszego, aż w końcu

182

trafili do tej zapchlonej dziury na Division Street. Mimo że pokój był mały, brudny, ponury i zimny, wiedzieli, iż w porównaniu z innymi kwaterami proponowanymi imigrantom za niewielkie pieniądze, trafili do pałacu.

Nie zmieniało to ich położenia; jeżeli szybko znajdą pracy, nie będzie ich stać na pobyt nawet w tej dziurze. Sam być może nie wiedział, do kogo trzeba się z tym zwrócić, ale Beth wiedziała. Wiedziała jednak i to, że jej bratu nie spodoba się ten pomysł.

- Moglibyśmy poprosić o pomoc Jacka - powiedziała cicho, przygotowując się na wybuch gniewu. - Widziałam go dzisiaj.

- Co? - krzyknął Sam, a twarz natychmiast mu spochmurniała.

Beth wzruszyła ramionami.

-Wiem, że tego nie pochwalasz, bo robi do mnie słodkie oczy, ale on może nam pomóc. Ma już pracę, zna tutejszych ludzi i z jego poparciem nie będziemy się musieli obawiać, że ktoś nas znów nabierze.

- Nie potrzebujemy pomocy kogoś takiego jak on -powiedział Sam głosem pozbawionym emocji.

- Pewnie czekasz, aż uratuje nas ktoś z Fifth Avenue? - zapytała z przekąsem Beth. - Albo szefowie Wal-dorfa przyślą posłańca, który będzie błagać cię, żebyś został ich nowym barmanem?

- Nie bądź śmieszna - warknął. - Wiesz, ile razy starałem się o pracę.

- Tak, ale wszystkie były niedostępne, bo nie miałeś odpowiednich kwalifikacji - odparowała bez ogródek.

Sam miał tak wielkie ambicje, że starał się o prace, które znacznie przekraczały jego doświadczenie. Miał tylko osiemnaście lat i jak dotąd zajmował się jedynie

183

naprawą obuwia, prowadzeniem rachunkowości i podawaniem drinków. Ale wbił sobie do głowy, że może od razu wskoczyć na wysokie stanowisko tylko dlatego, że jest Anglikiem.

- Nie traktuj Jacka z góry - powiedziała z przygumą. - Może być trochę szorstki i zapalczywy, ale ma dobre serce i jest inteligentny. A my nie jesteśmy, biorą nas za frajerów, bo nie wiemy, co i jak. Jedynym sposobem poradzenia sobie w tym kraju jest dogadanie się ze zwykłymi ludźmi i poznanie tajników przetrwania; na wspinaczkę po drabinie sukcesu przyjdzie czas później.

- Nie wychowano nas do życia w slumsach - powiedział pośpiesznie. - Chyba nie zapomniałaś, jak wygląda tamto miejsce?

Nie zapomniała. Myśli o miejscu, na które natknęli się przypadkiem pierwszej spędzonej w mieście nocy, nadal budziły w niej drżenie.

Sam dostał wskazówki, jak dotrzeć na Broadway do hotelu o rozsądnych cenach, ale zwiedzeni słabym światłem ulicznych lamp, musieli gdzieś źle skręcić, gdyż znaleźli się w obrzydliwych slumsach; jak się potem dowiedzieli, było to niesławne Five Points, nazwane tak z powodu pięciu ulic, między innymi Park i Worth, które się tam krzyżowały

Okolica była tysiąc razy gorsza niż jakiegokolwiek slumsy w Liverpoolu, kiepsko oświetlona, istny labirynt pełen wąskich uliczek, wzdłuż których stały rozpadające się domy. W drzwiach tłoczyły się brudne, bose dzieci w obdartych ubraniach, zgarbieni starcy tulili się do ognisk rozpalonych na śmietniskach, a kiedy przechodzili obok, uświnione kobiety wykrzykiwały pod ich adresem obelgi. Sądząc po okropnej kakofonii dochodzących ze

184

środką dźwięków, czteropiętrowe kamienice czynszowe górujące nad starszymi domami niczym ponure fortece, wypełniały chyba tysiące ludzi.

Dochodziła dziesiąta wieczór, smród był taki, jakby szli przez ścieki, a gapiący się na nich ludzie wyglądali na pijanych lub szalonych. Kilka razy nagabywano ich

O pieniądze lub próbowano zastraszyć; warczały na nich również dziko wyglądające psy. Oboje naprawdę zaczęli się bać o życie.

Następnego dnia, gdy znaleźli tymczasowe bezpieczne schronienie w schludnym, czystym hotelu, dowiedzieli się, że dwadzieścia lat temu Five Points miało sławę najgorszych slumsów na całym świecie. Nawet teraz, mimo że domy były już tam w lepszym stanie, stały się ostatnią szansą zdesperowanych, zarówno nędzarzy, jak

I kryminalistów. Jeden pokój dzieliło niekiedy do szesnastu osób, na ulicach szalały dziecięce gangi i rzadko która noc mijała bez jakiegoś zabójstwa.

Od tego czasu wędrowali po Nowym Jorku i choć znaleźli dużo więcej dzielnic, w których emigranci żyli dość kiepsko, nieraz w paskudnie przeludnionych kamienicach czynszowych, nigdzie nie widzieli takich okropności, jak w Five Points.

Na Fifth Avenue znajdowały się posiadłości, piękne, ciche place z eleganckimi domami i sklepami pełnymi towarów, jakich nigdy wcześniej nie widzieli. Central Park był rozległy i wystawny, a niektóre budynki były tak duże i wspaniałe, że mogli tylko przystanąć i patrzeć na nie w milczącym zachwycie. Zdumiewały ich estakady, po których sunęły pociągi, i długo wpatrywali się w zadziwiająco wysokie budynki zwane drapaczami chmur.

185

Oszalałoby ich też natężenie ruchu - wozów, dorożek, powozów i omnibusów, tak samo jak liczba restauracji, knajpek, w których podawano ostrygi, i kawiarenek. Było to bardzo ekscytujące, hałaśliwe, rozwijające się dynamicznie miasto, zaś ogromna mieszanina jego mieszkańców pochodzących z różnych krajów, mówiących w różnych językach, z ich różnymi zwyczajami, muzyką i kuchnią, tworzyła pociągającą i fascynującą arenę uciech.

Beth czuła, że gdyby tylko udało im się znaleźć pracę i przyzwoite mieszkanie, na pewno byłaby tu bardzo szczęśliwa.

- Nie proponowałam, żebyśmy zamieszkali w Five Points - powiedziała oburzona, gdyż zaczynała ją denerwować, że jej brat widzi wszystko w czarnych barwach. - Sam, musisz przestać porównywać wszystko z tym, co było w Anglii. Naprawdę mieliśmy szczęście, że państwo Langworthy po pożarze dali nam dach nad głową. Ale szczęście nie trwa wiecznie. Czasami myślę, że lepiej by nam zrobiło, gdybyśmy zostali wtedy zmuszeni do życia takiego, jakim żyje większość ludzi. Mielibyśmy teraz większe doświadczenie. A gdybyś każdego dnia nie uciekał z sekcji dla pasażerów sterowych, być może dowiedziałbyś się paru rzeczy o zwykłych ludziach.

Zadrzał i Beth w duchu westchnęła. Dopiero na przestrzeni ostatnich kilku tygodni odkryła, że jej brat ma wady i nie była pewna, czy będzie potrafił je przewyciężyć.

Nie chodziło o to, że był snobem - nie patrzył otwarcie z góry na ludzi. Po prostu wierzył, że w życiu należą mu się lepsze rzeczy i odmawiał nawet rozważenia podjęcia się jakiegokolwiek pracy fizycznej.

Oczarowany

92

bogactwem, stawał się niewolnikiem każdego, kto je posiadał. Osobisty urok pozwolił mu się łatwo zakradać do drugiej klasy na statku i był faworyzowany przez bogatych klientów jeszcze w hotelu Adelphi, teraz zaś nie mógł zrozumieć, dlaczego jego czar tutaj nie działa.

Ale Beth wiedziała, dlaczego tak jest. Nowojorczycy byli przeważnie hałaśliwi i często agresywni. Atutami Sama był jego wygląd, miękki, łagodny głos, iskierki w niebieskich oczach i angielskie maniere. Z tymi cechami poradziłby sobie bardzo dobrze, gdyby już był bogaty i żył na Fifth Avenue, ale u człowieka szukającego pracy pożądane były siła i umiejętność adaptacji.

Jack pracował w rzeźni w East Side. Mówił, że to najcięższa praca, jaką kiedykolwiek wykonywał, śmierdząca i okropna, ale płaca była dobra i poznał tam wielu ludzi. Zaproponował tę pracę i Samowi, ale Beth wiedziała, że jej brat prędzej umrze z głodu, niż się tam zatrudni.

Dzisiejsze spotkanie z Jackiem było bardzo mile. Po przybyciu do Nowego Jorku zawarli umowę, że spotkają się równo za miesiąc o wpół do szóstej na Castle Green, niedaleko miejsca, gdzie zeszli na ląd. W gruncie rzeczy Beth nie sądziła, że chłopak się pojawi - całomiesięczny pobyt w nowym mieście był wystarczającym powodem, żeby każdy zapomniał o poczynionych w pośpiechu obietnicach. Ale się zjawiał, bardzo elegancki w kraciastej marynarce, wyprasowanych spodniach i wypolerowanych butach. Powiedział jej, że udało mu się wymknąć z pracy kilka godzin wcześniej, wciskając szefowi wymówkę, że ma odebrać krewnego przybyłego z Anglii.

Uczciwie przyznał, że dzieli pokój w czynszówce z sześcioma innymi osobami, ale stwierdził, iż

187

przyzwyczaił się do podobnych miejsc jeszcze w Liverpoolu. Ze śmiechem przyznał się do kupna marynarki i spodni w sklepie z używaną odzieżą, jak również do tego, że musiał miłymi słówkami przekonać dziewczynę z pralni, żeby wyprasowała mu spodnie. Ale jakkolwiek okropnie brzmiał opis jego pracy, jasne było, że z zapalem rzucił się w wir swojego nowego życia. Wyglądał zdrowiej, od czasu pobytu na statku rozrósł się w barach, był też o wiele bardziej pewny siebie.

Kiedy Beth się z nim rozstawiała, był w o wiele lepszym humorze, nie tylko z powodu przyjętej przez nią propozycji ponownego spotkania za kilka dni, ale też dlatego, że poczyniła sugestie, jak ona i Sam mogą w końcu stanąć na nogi.

- Sam, posłuchaj - powiedziała Beth stanowczym tonem. - Dlaczego nie załatwisz sobie pracy barmana na Bowery? Mają tam niezły ruch.

Z przestrachem szeroko otworzył oczy

- Nie mógłbym pracować w jednej z tych mordowni.

- Prawie wszystkie bary w Nowym Jorku są odrobinę prostackie - powiedziała cierpliwie. Sama w żadnym nie była, ale wspomniał jej o tym Jack. - Zanim ktoś da ci pracę w jakimś wykwinnym hotelu albo prywatnym klubie, musisz zdobyć doświadczenie. Poza tym, mam plan. Gdybyś pracował jako barman, ja mogłabym odwiedzać to miejsce i grać na skrzypkach.

Sam spojrział na nią z przerażeniem.

- Na Bowery! Wśród tych...

- Tak, nieokrzesanych ludzi - przerwała mu Beth. - Nie mogę robić tego sama bez kogoś, kto będzie się mną opiekował, ale wiem, że ci mężczyźni naprawdę polubią

188

moją muzykę. Poza tym, część tamtejszej klienteli to właściciele saloonów na przedmieściach. Ktoś mógłby zwrócić na nas uwagę. Niewielu właścicieli saloonów ma możliwość zatrudnienia przystojnego dżentelmena jak ty za barem i jego siostry, która gra na skrzypkach sprawia, że wszystkim nogi same rwą się do tańca. Bylibyśmy dla nich maszynką do robienia pieniędzy

Właśnie takich słów użył Jack. Ale nie zamierzała powiedzieć o tym Samowi, gdyż wiedziała, że wtedy z miejsca odrzuciłby jej pomysł.

- Naprawdę chcesz grać w jednej z tych spelunek? - zapytał Sam z niedowierzaniem.

- Dlaczego nie? To teren ćwiczebny dobry jak każdy inny, lepszy niż jedno z miejsc dla snobów, gdzie jakiś bywalec mógłby zauważyć, że niekiedy zdarza mi się fałszywa nutka - powiedziała buntowniczo.

- Wiesz, że byłam w prawie wszystkich renomowanych hotelach i pytałam, czy nie potrzebują pianistki. Wystarczy im jeden rzut oka i wypraszają mnie bez słowa, nie pozwalając mi zademonstrować moich możliwości. Obeszłam mnóstwo sklepów, restauracji, barów serwujących ostrygi i nikt nie zatrudnił mnie nawet do zmywania. Poza tym, wolę grać na skrzypkach. Wszystko może ulec zmianie, jeżeli wyrobię sobie dobrą opinię w Bowery.

- Pomyśl sobie, że jesteś dziwką - powiedział Sam z przyganą. - Gdybym pracował za barem, nie mógłbym się tobą opiekować.

- Wystarczy, że mężczyźni będą wiedzieć, iż jestem twoją siostrą - nalegała, gdyż tak właśnie uważał Jack. Powiedział też, że w razie czego sam będzie w pobliżu wraz ze swoimi kompanami. - Nic mi nie będzie,

189

mężczyźnie trudno byłoby zrobić coś niestosownego dziewczynie, kiedy ta gra na skrzypkach. Sam nie odpowiedział, ale wyczuwała, że jego opór słabnie, nawet jeżeli wynikało to tylko z myśli, że jej gra na skrzypkach może poprawić mu własny wizerunek.

- Spróbujmy - nakłaniała go dalej. - Powiedziano mi, że lokal Heaney'a jest jedną z najlepszych knajp i potrzebują barmana. Co mamy do stracenia? Popracujemy jedną noc i zobaczymy, jak pójdzie, a jeżeli nie przypadnie ci to do gustu, po prostu nie wrócimy

Jack powiedział, że Sam działałby na wszystkie tańczące w okolicy dziewczyny niczym magnes i uważał, że jej brat dojdzie do siebie, kiedy wróci do centrum uwagi. Beth niezbyt podobała się myśl, iż dziewczyny tego pokroju będą podrywały Sama, ale przecież ona też będzie w pobliżu, żeby mieć go na oku.

- No dobrze - powiedział gorzko. - Ale jeżeli stanie się coś okropnego, to będzie twoja wina.

- A co może być okropniejszego od głodowania i bycia bezdomnym? - odpowiedziała ostrym tonem.

- Właśnie tak będzie, kiedy skończą się nam pieniądze.

Pomimo całej swojej śmiałej przemowy, następnego wieczoru o ósmej Beth była przerażona.

Oboje z Samem w południe udali się do lokalu niejakiego Heaney'a i zapytali o pracę Pata „Bliznę”, właściciela lokalu. Był niskim, ale bardzo muskularnie zbudowanym mężczyzną, około czterdziestego roku życia, zaś resztki włosów, jakie mu zostały, miały rudy kolor. Nosił jasnozieloną kamizelkę, która, choć rzucała się w oczy, nie odwracała uwagi od wyraźnej prostej blizny ciągnącej się od prawego oka w dół do podbródka.

190

Jack powiedział Beth, że to pamiątka po latach młodości, kiedy Pat siedział w Tombs, wielkim więzieniu, zbudowanym, żeby rozwiązać problemy Five Points, gdzie był przywódcą gangu.

Bowery była ulicą rozrywki z masą barów, tancbud, teatrzyków, niemieckich piwiarni i restauracji. Po zapadnięciu zmroku na poboczach otwierano budki, w których można było kupić wszystko: od hot dogów po owoce i cukierki. Znajdowały się tu też miejsca nazywane „muzeami”, choć naprawdę były to galerie dziwolągów, gdzie za kilka centów można było zobaczyć kobietę z brodą, karła, tresowane małpy i inne osobliwości. Pośród tłumu kręciły się prostytutki i oczywiście kieszonkowcy. Ale w gruncie rzeczy było to miejsce rozrywki zwykłych pracujących ludzi.

Jack powiedział, że klientami Heaney'a byli mniej więcej tacy sami ludzie jak ci, co pili w dużych gwarych knajpach w pobliżu stacji na Lime Street w Liverpoolu - dorożkarze, stolarze i pracujący na kolei maszyniści i mechanicy. Chłopak zwrócił też uwagę, że lokal Heaney'a, ze swoim wypolerowanym mahoniowym barem, wielkimi lustrami z tyłu i dużą ilością dobrze wypolerowanych mosiężnych elementów oraz czystymi trocinami na podłodze, był jednym z najporządniejszych saloonów na Bowery.

Kiedy Sam zobaczył lokal, na jego twarzy odmalowała się ulga, gdyż ludzie pijący przy barze wyglądali normalnie, a nie jak zabijacy i zwyrodnialcy których się spodziewał.

Widać było, że wygląd Sama od razu przypadł Patowi Heaneyowi do gustu i zaledwie po kilku pytaniach kazal

chłopakowi stanąć za barem i obsługiwać klientów, a sam zaczął rozmowę z Beth.

- Będę z tobą szczerzy - powiedział Heaney, sącząc szklanę whisky i bacznie przyglądając się Samowi.

-Dziewczyny, zwłaszcza te ładne, są w knajpach przyczyną awantur. Ale podoba mi się pomysł ze skrzypaczką, a ty masz odwagę przyjść tu prosto ze statku i zapytać

O możliwość grania.

Beth skłamała i powiedziała, że występowała publicznie w Liverpoolu, ale machnął ręką, jakby chciał powiedzieć, że absolutnie nie obchodzi go to, co robiła wcześniej i interesuje go tylko jej przydatność do gry w saloonie.

- Dam ci jedną szansę - powiedział. - Dziś o ósmej. Jeżeli ty i twoja gra spodobacie się ludziom, zostajesz; w przeciwnym wypadku nie mamy o czym mówić

I wylatujesz. Nie da się tego ująć bardziej uczciwie. Jeden z moich chłopców będzie chodził pośród tłumu z kapeluszem i wezmę połowę twoich ewentualnych zarobków.

Beth przyszło do głowy, że niezależnie od wszystkiego Pat i tak dobrze na tym wyjdzie. Nie straci nawet w sytuacji, gdy zagra kiepsko.

Był mężczyzną, który samym wyglądem budził w niej pelen niepokoju szacunek; powodem były nie tylko jego blizna czy prężące się pod cienką koszulą mięśnie, ale też bezpośrednie zachowanie i sposób, w jaki na nią patrzył. Jego jasnobrązowe oczy nie lśniły, czaiła się w nich tylko zimna kalkulacja. Zapytał, dlaczego przybyli do Ameryki, a kiedy powiedziała, że ich rodzice zmarli i oboje chcieli rozpocząć nowe życie, nie odezwał się, nawet żeby wyrazić im współczucie.

95

Instykt podpowiadał jej, iż jest to człowiek twardy i pozbawiony sentymentów; ona i Sam będą musieli postępować z nim bardzo ostrożnie. Jack zaproponował, żeby spróbowali najpierw tutaj, gdyż Heaney uważał się za właściciela Bowersy: zawsze polował na nowe atrakcje, a dziewczyna grająca na skrzypkach z pewnością się do nich zaliczała. Ale chłopak ostrzegł ją też, że to niebezpieczny człowiek, któremu nie warto podpaść.

-Jak długo miałabym grać? - ostrożnie zapytała Beth.

Zagadnięty oderwał wzrok od Sama i obrzucił ją kolejnym zimnym spojrzeniem.

- To zależy od tego, czy cię polubią - powiedział. -Jeżeli machnę rękoma po trzech pierwszych kawalkach, wylatujesz. W przeciwnym razie grasz godzinę. Potem powiem ci, co dalej. Zgoda?

Beth nerwowo skinęła głową.

- Masz jakieś ubrania w żywszych kolorach? - zapytał ostro, z niesmakiem patrząc na jej brązowy płaszcz. -Z tym wyglądem nauczycielki z freblówki nie spodobasz się moim klientom.

Beth głośno przełknęła ślinę. Jej garderoba była bardzo skromna i wszystkie ubrania były w ciemnych kolorach.

- Spróbuję coś znaleźć - powiedziała. Wstał i spojrzał na nią z góry.

- No to zmykaj. Przyjdź punktualnie o ósmej. Twój brat może zostać.

Przy drzwiach odwróciła się, żeby spojrzeć na Sama. Polerował szklanę, a Heaney mówił coś do niego. Kiedy właściciel sobie poszedł, rozejrzał się dookoła i pochwyciwszy jej spojrzenie, pokazał jej kciuk w geście otuchy

193

uniesiony do góry. Ale zobaczyła też, jak przez jego twarz przebiegł grymas niepokoju i domyśliła się, że to dlatego, iż nie będzie mógł doprowadzić jej tu dzisiaj.

- Nic mi się nie stanie - powiedziała bezgłośnie i również pokazała mu uniesiony w górę kciuk. Tego popołudnia przez kilka godzin ćwiczyła i zrobiła listę utworów, które знаła najlepiej; nie chciała, żeby podczas dzisiejszego wieczoru zabrakło jej repertuaru. Była bardzo zdenerwowana, gdyż między graniem dla samej siebie, kiedy nasza ją na to ochota, a dawaniem popisów w miejscu pełnym obcych była ogromna różnica.

Potem umyła włosy, a gdy schły, przejrzała ubrania. Zgadywała, że Heaney spodziewa się, iż założy coś krzykliwego i jaskrawego, ale niczego takiego nie miała. Najżywsze kolory miała suknia, którą tuż przed wyjazdem podarowała jej pani Langworthy mówiąc, że może jej się przydać, gdy zostanie zaproszona na jakieś przyjęcie albo tańce. Była lekko błyszcząca w biało-zielone prążki, miała śmiało wcięty dekolt, bufiaste rękawy i małą turniurę. Dziewczyna nie mogła się doczekać, kiedy będzie miała okazję ją założyć, gdyż suknia była bardzo ładna, choć nie cieszyła ją myśl noszenia jej w lokalu pełnym mężczyzn. Stwierdziła, że jeżeli przy-szyje odrobinę koronki wzdłuż wycięcia, dekolt znacznie się zmniejszy.

O wpół do ósmej była gotowa; bardzo ciasno ściągnęła gorset, w rozpuszczone włosy wplotła kilka zielonych wstążek, wypucowała też buciki. Nie mogąc samodzielnie zapiąć sukienki z tyłu, musiała poprosić o pomoc kobietę z pokoju niżej. Ale końcowy rezultat ją zadowolił: nie wyglądała jak kobieta lekkich obyczajów, ale też nikt

194

nie wziąłby jej za nauczycielkę. Zdenerwowanie i ekscytacja zaróżowiły jej policzki, a niedawno umyte włosy pięknie lśniły

Wzięła futerał ze skrzypcami, zamknęła pokój i wyszła.

Pat Heaney opierał się o drzwi prowadzące do pokoju przeznaczanego dla wybranej klienteli do uprawiania hazardu i z krzywym uśmiechem obserwował występ dziewczyny.

Nie spodziewał się wiele. Jej łagodny angielski głos, jasność cery i niewinność w oczach sprawiły, że spodziewał się popisu podobnego do tego, jakie sztywne stare panny dają w zaciszach swych salonów. Jakże głęboko się mylił!

Przybyła punktualnie dziewczyna zaskoczyła go wyglądem i rozpuszczonymi włosami. Prawdziwa piękność o smoliście czarnych, lśniących puklach opadających na ramiona, w niczym nie przypominała pruderyjnie wyglądającej panienci z włosami spiętymi pod małym kapelusikiem guwernantki, która pojawiła się tu z rana. Podobała mu się też jej sukienka, naprawdę ciuszek z klasą, choć najchętniej zdarłby koronki z piersi i zobaczył, co kryje się pod spodem.

Gdy przybyła na miejsce, była tak przestraszona, że myślał, iż zaraz da nogę. Sytuacji nie poprawiał jej brat, który co chwila spoglądał na nią, gdy czekała na swój występ. Czy on naprawdę był jej bratem? Byli do siebie zupełnie niepodobni, jedynie angielski akcent mieli taki sam.

Ale potem ją zapowiedział, a ona, zamiast się załamać, jak się tego obawiał, niemal wskoczyła na scenę. Ze smyczkiem uniesionym w powietrze zatrzymała się

96

na chwilę wystarczająco długą, żeby każdy mężczyzna w pomieszczeniu zdążył się obrócić i na nią spojrzeć. Wtedy smyczek opadł i rozpoczęła występ, wypełniając lokal nutami tak słodkimi i szybkimi, że ledwie mógł uwierzyć własnym uszom.

Być może słyszał już lepszych skrzypków, ale żaden nie był tak śliczny jak ona. W jej grze nie brały udziału wyłącznie ramiona i dłonie, całym ciałem dawała porwać się muzyce, i to lepiej, niż którakolwiek z tych erotycznych tancerek, które widział w Burlesque.

Wykonywała teraz trzeci kawałek i przykuła uwagę wszystkich. Rozmowy ucichły, napitki nie trafiały w otwarte gęby, ludzie tupali, kiwali głowami, jak jeden mąż pogrążeni w transie.

Podczas gry prawie tańczyła, wyginając się, kołysząc i poruszając biodrami w sposób, który przemawiał bezpośrednio do jego męskości. Podobał mu się też gest, jakim odrzucała włosy z twarzy i to, jak pot przylepił drobne kosmyki włosów do jej policzków. Człowieka ogarniała chęć wskoczenia na scenę i odgarnięcia tych kędziurów.

Sympatia dla kogoś nie była uczuciem, do którego Pat był przyzwyczajony. Świadomość, że ma w ręce najwyższe rozdanie w pokerze, wielki soczysty stek leżący przed nim na talerzu, pierwszy łyk whisky danego dnia - to były jedyne rzeczy, o których mógł z całą pewnością stwierdzić, że je lubi. Nie przypominał sobie, kiedy ostatni raz słuchał muzyki, poddając się jej w pełni; podejrzewał, że było to wtedy, gdy był mniej więcej w wieku dziewczyny

Osiemnaście lat. Miał wtedy ogień w sercu, zawsze chciał się wykazać i każdym nerwem rwał się do życia.

97

Jeżeli akurat nie brał udziału w jakiejś bijatyce, to pieprzył jakąś dziewczkę - nigdy nie mógł się połapać, która z tych dwóch czynności sprawiała mu większą frajdę.

Obecnie oczywiście mógł przebierać w kobietach i wdawać się w bójki, gdy tylko przyszła mu ochota. Ale na burdy robił się za stary, a wszystkie jego kobiety były dziwkami. Jednak słuchanie tej dziewczyny sprawiało, że znowu poczuł w sobie pełnię życia i energię, jakby mógł sprawić lanie każdemu z tych wojowniczych kogutów dumnie przechadzających się po ulicy albo wziąć do łóżka kobietę i zabawić się z nią przez całą noc.

Będzie się dzisiaj puszył niczym paw. Każdy mężczyzna tutaj zechce poklepać go po ramieniu i postawić mu drinka za sprowadzenie tej dziewczyny. Byli oczarowani - owinęła ich sobie wokół palca, jak pajak muchę swoją siecią. I co noc będą wracali po więcej.

Pat zerknął na jej brata. On też był niezłym odkryciem, przystojny w ten delikatny angielski sposób cechujący arystokratów. Miał dobre maniery, na granicy bufonady, kompensowane jednak rozbajającym uśmiechem; serwował napitki szybko i z klasą. Właściciel czuł też w kościach, że chłopak jest uczciwy, a to było rzadsze od niesrającego konia.

Nie minie dużo czasu i ktoś zechce ich stąd wyluskać. Na końcu baru widział Palucha Malone; jego przebiegły umysł pewnie już roił się od planów, jak ściągnąć rodzeństwo do wytwornego lokalu jego brata na Broadwayu.

Pat zrozumiał, że musi wymyślić jakiś sposób, którym zapewniłby sobie ich lojalność.



Aż tyle? - Beth zachłysnęła się, kiedy Heaney podał jej połowę pieniędzy, które ludzie wrzucili do kapelusza. Były to monety po pięć i dziesięć centów, ale tworzyły pokaźną stertę.

- Osiem dolarów i czterdzieści pięć centów - powiedział Heaney. - Chcesz, żebym wymienił na grubsze?

Zbyt osłupiała, żeby odpowiedzieć, Beth pokiwała jedynie głową. Zagrała trzy godzinne występy. Była prawie pierwsza nad ranem i dziewczyna padała z nóg.

- Nie spodziewaj się talach pieniędzy każdego wieczoru - stwierdził oschle Heaney. - Dziś wieczór byłaś nowością, poza tym jest sobota. W poniedziałek może to być zaledwie kilka pięciocentówek, ale lubię cię, więc obiecuję, że nigdy nie wyjdiesz stąd bez dwóch dolarów.

- Chce pan, żebym wróciła w poniedziałek?

- Ano. W poniedziałek, piątek i sobotę. Na weekend mogę ściągnąć jeszcze innych muzyków.

- A jak wtedy będą dzielone pieniądze? - zapytała Beth, bojąc się, że dostanie o wiele mniejszy procent. Obrzucił ją taksującym spojrzeniem, być może zaskoczony, że śmiała zapytać.

- Zostaw to mnie - odparł. - Ale, tak jak mówiłem, dopilnuję, żebyś dobrze na tym wyszła. Możesz już iść,

twój brat też. Nie chciałbym, żeby takie ładne stworzenie jak ty wracało do domu samotnie.

- Dziwny człowiek - powiedział w zamyśleniu Sam, kiedy ramię w ramię szli do domu. Na Bowery panował taki sam ruch, jak wcześniej tego wieczoru; na chodnikach pijani chwiejnym krokiem kluczyli pośród bardziej trzeźwych, ledwie omijając budki z jedzeniem. Z barów wylewały się muzyka i rubaszne śmiechy, skądś niósł się tupot wybijających taneczne rytmy stóp, zaś ludzie zgromadzeni po jednej stronie ulicy wykrzykiwali pozdrowienia do tych po drugiej. Powietrze było przepelnione zapachem smażonej cebulki, rywalizującym z wonią piwa, tytoniu, tanich perfum i potu oraz końskiego łajna spod dorożek.

- Przez cały dzień ledwie się do mnie odezwał. Nie wiedziałem, czy jest zadowolony z tego, jak sobie radzę. A potem wsunął mi do ręki pięciodolarowy banknot i powiedział, że mam wrócić w poniedziałek. Czy to znaczy, że mam pracę na tak długo, jak będę chciał? Ile dostanę każdego tygodnia?

- Myślę, że to krętacz, więc sami będziemy musieli upominać się o takie informacje - rozważnie powiedziała Beth. - Wiem, że przypadłam publice do gustu, ale on nie wspomniał o tym ani słowem.

- To dlatego, że chce mieć nad nami przewagę. Oczywiście, że mu się spodobałaś, patrzyłem na niego, kiedy grałaś. Mam tylko nadzieję, że nie przyjdzie mu do głowy, żebyś została jego kobietą.

- To chyba niemożliwe? Jest o wiele za stary - zaprotestowała Beth.

Sam zachichotał.

99

- Większość mężczyzn patrzących na ciebie miała podobne myśli. Wystarczyło na nich spojrzeć.

Wygląda na to, że będę musiał uważać na swoją małą siostrzyczkę.

'-1 kto by pomyślał? - powiedziała Beth z rozmarzeniem, kiedy skręcili w boczną uliczkę prowadzącą na Division Street. - Rok temu zamartwialiśmy się o pieniądze, a teraz jesteśmy w Ameryce.

- Ciągle martwiąc się o pieniądze - ponownie zachichotał Sam. - No i pracujemy w saloonie! Tata przewróciłby się w grobie.

- Myślę, że byłby dumny z naszej odwagi - z oburzeniem powiedziała Beth. - Poza tym, saloon jest dopiero pierwszym krokiem. Znajdziemy sposób, żeby się dorobić.

Beth odkryła, że dorabianie się wcale nie jest takie łatwe. W październiku, sześć miesięcy po tym, jak przybyli do Nowego Jorku, dalej grała trzy noce w tygodniu u Heaney'a, zaś za dnia pracowała w sklepie z używaną odzieżą na Bowery. W bardziej dochodowych tygodniach zarabiała do trzydziestu dolarów, ale rzadko się to zdarzało - zazwyczaj było to około osiemnastu. Ale jak odkryła, nawet o takiej kwocie większość kobiet mogła tylko pomarzyć. Samotne kobiety zatrudniały się jako sprzątaczkę, ekspedientkę w sklepach albo kelnerki i wszystkim marnie płacono za ciężką pracę.

Zamężne kobiety z dziećmi nie miały innego wyboru, jak pracować w domu dla ludzi, którzy wykorzystywali ich desperacką chęć zdobycia jakichkolwiek pieniędzy. Niektóre wykonywały pracę akordową dla producentów odzieży, ślepiąc oczy po najmniej czternaście godzin dziennie w zatłoczonych, kiepsko oświetlonych

201

pomieszczeniach. Inne robiły pudelka do zapalek i zaprzęgały do pomocy wszystkich członków rodziny. Kobiety parające się takimi zajęciami miały szczęście, jeżeli zarobiły dolara dziennie, zaś większość dostawała połowę tej sumy

Beth nie podjęła drugiej pracy dla pieniędzy, po prostu czuła się samotna, siedząc cały dzień w domu i nie mając nic do roboty. Poszła do sklepu z używaną odzieżą zobaczyć, czy znajdzie nową sukienkę. Właścicielka, stara Żydówka, Ira Roebing była bardzo przyjazna i rozmowna, więc zanim Beth opuściła sklep z zapakowaną czerwoną satynową sukienką, opowiedziała kobiecie skróconą historię swojego życia, usłyszała część historii Iry i dostała ofertę pracy

Ira przybyła z Niemiec w okolicach roku 1850 ze swoim mężem i jego rodzicami. Przez lata byli właścicielami bardzo popularnej piekarni, ale rok po tym, jak teściowie zmarli z przyczyn naturalnych, jej mąż zmarł w czasie epidemii grypy, a bez niego Ira nie była w stanie poradzić sobie z wypiekami. Zmieniła więc branżę na sklepy z używaną odzieżą, gdyż uwielbiała ubrania i miała już kontakty z wieloma ludźmi gotowymi sprzedać swoje stare wykwintne stroje. Z każdego statku przywożącego imigrantów zawsze schodził na ląd ktoś, kto chciał taniej kupić odzież albo ktoś, kto chciał pozbyć się swojej.

Ira była obrotną kobietą, choć niektórzy nazwaliby ją wredną. Kupowała odzież po najniższych możliwych cenach, a sprzedawała ją możliwie najdrożej. Beth podejrzewała, że kobieta ma ponad sześćdziesiąt lat, choć trudno było to określić, gdyż była szczupła, silna i bardzo energiczna. Zawsze ubierała się na czarno i nosiła

100

filcowy kapelusik tego samego koloru; nie zdejmowała go nawet wtedy, kiedy było naprawdę gorąco. Ale, jakkolwiek była ekscentryczna, miała też poczucie humoru i bystry umysł. Beth wiedziała, że wystarczy jej raz tylko rzucić swoimi czarnymi, okrągłymi niczym guziki oczkami na rząd cyfr, żeby natychmiast je dodać, jak również nigdy niczego nie zapomniała - знаła imię każdego klienta i pamiętała o każdym artykule w swoim sklepie. Liczni ludzie, którzy przychodzili w ciągu dnia tylko po to, żeby przez chwilę porozmawiać, byli dowodem na to, jakim szacunkiem cieszyła się w okolicy. Większość transakcji zawierała Ira, podczas gdy Beth sortowała odzież wedle rozmiaru, od czasu do czasu cerowała ubrania i ogólnie utrzymywała porządek w sklepie. Nie było to łatwe zadanie, gdyż pomieszczenie było zagracone wszelkimi rzeczami po sam sufit. Jednym z pierwszych zadań Beth było uporanie się z dużymi pudłami pełnymi wymieszanych butów. Dziewczyna połączyła je w pary oraz posortowała zgodnie z kolorem i rozmiarem. Często przymierzała też ubrania; było to coś, do czego Ira gorąco ją zachęcała, gdyż, jak twierdziła, nie mogły sprzedawać strojów, zanim nie zobaczą, jak na kimś wyglądają.

Ira mieszkała nad swoim sklepem i jej trzy pokoje były pogrążone w podobnym chaosie. Latem, kiedy upał stawał się bardzo uciążliwy, Beth zastanawiała się, jak kobiecie udaje się nie zemdleć z braku powietrza, gdyż nigdy nie otwierała okien w obawie, że ktoś wespnie się po ścianie i ją okradnie. Ale choć Ira pod wieloma względami była wredna, nigdy niczego nie wyrzucała i targowała się zajadle z klientami, Beth zawsze po południu dostawała coś do zjedzenia. Czasami była to przepyszna zupa

203

z kurczaka, ale częściej ciepłe kanapki z soloną wołowiną z żydowskich sklepików, znajdujących się dalej na ulicy, i trochę świeżych owoców. Ira uważała, że Beth za mało je i żaden mężczyzna nie weźmie jej za żonę, dopóki dziewczyna nie przybierze trochę na wadze.

Beth się z tego śmiała, gdyż widywała Jacka przynajmniej dwa razy w tygodniu i wiedziała, że dla niego jest idealna taka, jaka była. Ona też go lubiła, jego poczucie humoru, rzetelność i sposób, w jaki się nią opiekował; podejrzewała, że gdyby w Anglii dziewczyna spędzała tyle czasu z chłopakiem, uważano by to niemal za oznakę zaręczyn.

Ale Beth nie chciała widzieć w Jacku kogoś więcej niż przyjaciela.

Ira była zdania, że dziewczyna mądrze postępuje. Nie to, żeby Jack jej się nie podobał, w gruncie rzeczy nawet go lubiła, ale uważała, że Beth jest za młoda na angażowanie się w poważny związek.

- Na świecie są setki miłych młodych mężczyzn -mawiała z lobuzerskim błyskiem w oku. - Ciesz się młodością, bo nie trwa zbyt długo.

Ale nie pochwalala jej gry u Heaneya.

- Ten człowiek jest zepsuty do szpiku kości - mówiła z naciskiem. - Nigdy nie zostawaj z nim sam na sam i dopilnuj, żeby nie wyświadczał żadnych przysług twojemu bratu; w przeciwnym razie, kiedy przyjdzie czas rewanzu, Sam znajdzie się po uszy w kłopotach.

Beth istotnie zawsze uważała, żeby trzymać się od Heaneya z daleka, gdyż ten człowiek sprawiał, że cierpła jej skóra. Patrzył na nią, jakby chciał rozebrać ją wzrokiem i kiedy grała, cały czas czuła na sobie jego wzrok. Ale mimo że nie miałyby nic przeciwko, by opuścić

204

saloon i podjąć pracę u kogoś, kogo by lubiła i w którym towarzystwie dobrze by się czuła, wiedziała, że Irlandczyk zrobiłby wszystko, żeby pożałowała swej decyzji

Wszystko też wskazywało na to, że Pat Heaney traktował zniewagi bardzo poważnie. Mówiło się, że zabił kilka osób, a jeszcze więcej okaleczył tylko dlatego, że obgadywały go za jego plecami albo odmówiły wykonania poleceń.

Nie miał prawdziwych przyjaciół, a jedynie sługusów, którzy popierali go ze strachu. Z tego, co mówił Jack, kontrolował tuziny prostytutek, zabierając połowę tego, co zarobiły. Był właścicielem dwóch najbardziej zrujnowanych kamienic w rejonie Canal Street i żądał tak horrendalnych czynszów, że lokatorzy musieli podnajmować swoje mieszkania wielu osobom, żeby mu zapłacić. Miał też udziały w dochodowych palarniach opium, walkach psów i na gołe pięści. Nawet jeżeli tylko połowa opowieści o aktach zemsty na ludziach, którzy mu podpadli, była prawdziwa, należało go uznać za wyjątkowo niebezpiecznego człowieka. Beth nie miała wątpliwości, że gdyby chciała podjąć pracę gdzieś indziej w Nowym Jorku, spotkałby ją jakiś „wypadek”. Nigdy by nie pozwolił, żeby odniosła sukces gdzie indziej niż w jego saloonie.

Sam uważał, że ponosi ją wyobraźnia. Nie tylko me wierzył, że Irlandczyk jest niebezpieczny, ale wręcz uważał go za prawego człowieka, gdyż Heaney pozwalał mu prowadzić bar bez wtrącania się w jego kompetencje.

Ale Beth doskonale rozumiała prawdziwe powody tego stanu rzeczy. Heaney mógł być podłym nikkzemnikiem, ale nie był głupi. Wiedział, że Sam jest zdolnym i uczciwym pracownikiem, jak również taką samą

101

atrakcją dla tancerek z lokalnych teatrów, jaką Beth była dla męskiej klienteli. Często przed swoim ostatnim występem wyglądała przez szczelinę w drzwiach i z jej bratem zawsze flirtowały trzy albo cztery z owych dziewczyn. No i oczywiście Sam uwielbiał być w centrum uwagi.

Sama jednak ze skrucną musiała przyznać, iż również uwielbiała zainteresowanie, którym ją darzono. Nic nie wzbudzało u niej takich emocji, jak zniewolenie widowni oraz świadomość, że pożąda jej większość energicznie oklaskujących ją mężczyzn. Dobrze było założyć ładną suknię i wiedzieć, że w każdej chwili może sobie pozwolić na kupno następnej. Robiła to, o czym większość kobiet mogła jedynie marzyć.

Wkrótce po rozpoczęciu pracy u Heaneya wraz z Samem znaleźli pokój na najwyższym piętrze czynszówki na Houston Street; kuchnię musieli dzielić z włoską parą, która mieszkała w drugim pokoju apartamentu. Dla prawie wszystkich znanych jej ludzi zamieszkanie w pokoju w dwie osoby było luksusem i Beth, choć często narzekała, gdyż na każdym z czterech pięter budynku mieściły się cztery mieszkania zajmowane przez od ośmiu do dziesięciu osób i nigdy nie było ciszy i spokoju, dziękowała losowi, że musi sobie radzić tylko z hałasem, a nie z uciążliwością mieszkania z kilkoma obcymi ludźmi.

Pokoik, którego ściany pokryte były starymi poplamionymi tapetami, nie wyglądał zbyt okazale, a podczas letnich upałów człowiek czuł się w nim jak w piecyku, ale Beth sprawiła, że stał się przytulny. Wyprosiła trochę afiszy teatralnych, żeby zakryć poplamione ściany, znalazła kilka mebelków w sklepach z używanymi rzeczami,

102

zaś Ira pozwoliła jej uszyć zasłony na swojej maszynie do szycia i wręczyła starą narzutę do rozwieszenia między ich dwoma łózkami, żeby dać im odrobinę prywatności.

Houston Street leżała w biednej dzielnicy. Z każdego okna zwisały się tu sznury wypranej bielizny, na rogach ulic bawiły się wychudzone, brudne dzieciaki, był tu też sklep z tanimi alkoholami. Często widziała kobiety taszczące na plecach ogromne tobołki ubrań, które uszyły w domu. Ale było to żywe, wesole sąsiedztwo. W gorące wieczory ludzie przesiadywali na schodkach przed domami i gawędzili, kobiety pomagały sobie przy opiece nad dziećmi oraz pomagały Włochom i Niemcom uczyć się angielskiego. Wszyscy, z którymi rozmawiała, cieszyli się z przybycia do Ameryki i wierzyli, że ciężką pracą osiągną swoje cele.

Najgorszą rzeczą związaną z czynszówką był fakt, że na całą kamienicę były tylko dwa wychodki, śmierdzące, obrzydliwe miejsca, które sprawiały, że Beth wzdrygała się i, wchodząc, zakrywała nos. Ale Sam każdego ranka przed wyjściem do pracy opróżniał wiadro z nieczystościami, zaś okna ich pokoju wychodziły na ulicę, więc wonie z wychodków nie dostawały się do niego. Mieszkanie było też położone na tyle wysoko, że nie musieli martwić się szczurami, tak jak mieszkańcy parteru i pierwszego piętra.

Kiedy irytowały ją hałas i zapachy posiłków gotowanych w budynku albo gdy marzyła o luksusie posiadania prawdziwej łazienki z ciepłą i zimną wodą, jak na Falkner Square, starała się wytłumaczyć sobie, że te rzeczy nie są naprawdę ważne, rozmyślała też o tym, jak bardzo polepszyło się jej życie od przybycia do Ameryki.

Byłoby niesłychane, żeby grała tak na skrzypcach w Anglii, gdzie młode kobiety nie miały nawet cienia swobody, która tutaj była czymś oczywistym. Mogła spotykać się z Jackiem sam na sam na kilka godzin wieczorem albo kiedy miał dzień wolny i nie zwracało to niczyjej uwagi. O pieniądzach, jakie teraz miała do dyspozycji, w Anglii mogłaby tylko pomarzyć. Nikt nie wiedział, jak i dlaczego zginął jej ojciec. No i ta różnorodność dostępnego tu jedzenia. Rzadko kiedy gotowała coś sama, gdyż taniej było kupić coś na wynos. Uwielbiała hot dogi, pieczone ziemniaki, pączki, naleśniki i gofry. Pewien Chińczyk miał budkę, w której sprzedawał makaron, który uwielbiała, lubiła też spaghetti z pomidorowo-mięsny sos podawane w kafejce prowadzonej przez Włochów. Praktycznie nie było dnia, żeby Ira nie poczęstowała jej czymś nowym: preclami, płatami pastrami, soloną wołowiną, krokietami rybnymi albo jakąś niemiecką kielbasą.

Jedyną istotą, którą zostawiła w Anglii, a której tu jej brakowało, była Molly i cały czas odczuwała tęsknotę niczym tępy ból. Nie mogła przejść obok matki z pulchną, czarnowłosą dziewczynką i nie zatrzymać się, żeby przez chwilę pogawędzić; odczuwała wtedy przejmującą zazdrość.

- Mógłbym ci dać dziecko - powiedział pewnego razu Jack, kiedy byli razem i patrzył, jak rozmawia z jakimś urwisem. Powiedział to beztróskim tonem, gdyż za każdym razem, kiedy się całowali, mówił, że marzy o uprawianiu z nią miłości.

Beth parsknęła śmiechem; przed kilkoma dniami rozmawiała z Amy i Kate, dwiema młodymi kobietami wynajmującymi mieszkanie piętro niżej. Były od niej o kilka

208

lat starsze i wyglądały na osóbkę mające o wiele większe doświadczenie z mężczyznami niż ona, ale obie miały cięty dowcip, praktyczne podejście do życia i Beth cieszyła się możliwością zdobycia dwóch nowych przyjaciółek.

Tego dnia rozmawiały o podstępnych słowach, jakich mężczyźni używają w rozmowie z dziewczynami, żeby dopiąć swego. Amy wspomniała, że jej pierwszy kochanek powiedział: „Nie obarczę cię rodziną”, a Kate dorzuciła, że ją szantażowano zdaniem: „Zrobiłabyś to, gdybyś naprawdę mnie kochała”.

Beth pomyślała, że Amy parsknęłyby śmiechem, gdyby usłyszała, iż Jack zastosował stary chwyt w odwrotnym znaczeniu.

Ale z drugiej strony Jack był prawdziwym skarbem. Nigdy nie narzekał na pracę, warunki, w jakich żył, ani na fakt, że trzymała go na dystans. Do wszystkiego podchodził optymistycznie i potrafił znaleźć zabawną stronę każdej sytuacji. Umiał rozśmieszyć Beth, a ona mogła powiedzieć mu o wszystkim i darzyła go całkowitym zaufaniem. Podczas upalnych letnich wieczorów często spacerowali wzdłuż East River, żeby zaczerpnąć trochę chłodnego powietrza. Żadne z nich nie było przygotowane na wysokie temperatury w Nowym Jorku; w Liverpoolu nawet w najgorętsze dni od morza ciągnęła bryza.

Obserwowali grupki młodych chłopców, którzy nurkowali w mętnej wodzie, co najprawdopodobniej stanowiło jedyną sposobność do kąpieli; byli śpiącymi po bramach łobuziakami, myszkujejącymi w poszukiwaniu jedzenia w koszach odpadków.

Trzymając w dłoniach lody kupione w ulicznym kra-miku, rozmawiali o tym, jak zimno było na pokładzie statku, na którym przyплыnęli z Anglii.

209

- W zimie, żeby choć trochę się rozgrzać, będziemy rozprawiali o tym, jak gorące było to lato - mawiał Jack.

Był to prosty, nieskomplikowany związek; łączyła ich przyjaźń, ale Beth zawsze czuła się niezręcznie, kiedy Jack zaczynał ją całować. Lubiała mrowienie w podbrzuszu i to, jak wtulała się w jego ramiona, ale bała się konsekwencji, do których to wszystko mogło doprowadzić.

Pewnego razu Amy zapytała ją, czy go kocha i Beth nie bardzo wiedziała, co powiedzieć. Niecierpliwie czekała na każde spotkanie i cieszyła się, kiedy przychodził do Heaneyów w sobotnią noc, żeby popatrzeć na nią i posłuchać, jak gra. Ale nie była pewna, czy właśnie to ludzie nazywali miłością. Widok Jacka nie przyprawiał jej o szybsze bicie serca ani nie wywoływał braku apetytu, tak jak zawsze opisywano to w romantycznych książkach.

Kiedy Beth wyszła z zaplecza, żeby dać ostatni występ, Jack był już w saloonie. Na zewnątrz padało i musiał dopiero co wejść, gdyż nawet z drugiego końca dużego pomieszczenia widziała, że ma mokre włosy. Pozdrowiła go machaniem dłoni, a potem wskoczyła na scenę, żeby dołączyć do pianisty.

Zawsze cieszył ją ostatni sobotni wieczorny występ. Ludzie rozluźnieni napitkami i świadomością, że nie muszą iść następnego dnia do pracy, okazywali swoje uznanie głośnymi oklaskami i tupaniem. Z czasem polubiła też akompaniament Amosa. Był Murzynem z Luizjany i potrafił grać na pianinie jak nikt, kogo do tej pory słyszała. Kiedy nawiązali już nic porozumienia, nauczyli się czerpać wzajemnie natchnienie ze swojej gry i wznosili ją na nowe wyżyny.

210

Ta noc była nawet lepsza niż zazwyczaj. Widownia wiwatowała, klaskała i pokrzykiwała przy każdym kawalku; Beth poczuła, że jedliby jej z ręki i niełatwo było zakończyć popis, gdyż ciągle żądali bisu.

Wykonała jeden, a potem drugi utwór, zanim w końcu pozwolili jej zejść ze sceny.

Kiedy torowała sobie drogę przez tłum w kierunku drzwi prowadzących na zaplecze, gdzie zostawiła swój płaszcz, ktoś złapał ją za łokieć.

Ku jej zaskoczeniu natrętem okazał się ów przystojny mężczyzna ze statku, który romansował z zamężną kobietą.

- Panna Dyskrecja nie zechciała mi powiedzieć, że gra na skrzypcach - stwierdził.

Przez mniej więcej tydzień po przybyciu do Nowego Jorku Beth zastanawiała się, jak ułożyły mu się dalsze relacje z Clarissą, ale nie sądziła, że kiedykolwiek jeszcze się zobaczą. Ale oto był, z angielskim akcentem przypominającym jej dom, wyglądając jeszcze bardziej imponująco niż podczas ich pierwszego spotkania. Miał na sobie dobrze skrojoną ciemnozieloną marynarkę, a pod nią wymyślnie wyszywaną kamizelkę.

- Na Boga, co cię tu sprowadziło? - zapytała.

- Interesy - powiedział, ale sposób, w jaki zerkał na pokój, gdzie jak wiedziała, Heaney prowadzi gry karciane, powiedział jej, jakie interesy miał do załatwienia. - Jak to się stało, że pracujesz dla Heaneyów?

- Mój brat i ja po prostu przyszliśmy tu i zapytaliśmy o możliwość zatrudnienia - odpowiedziała i wskazała na Sama stojącego za barem. - Pracujemy tu oboje od sześciu miesięcy.

211

Zobaczyła nagle, że w ich kierunku przez ciżbę przepycha się Jack.

- Sam poprosił mnie, żebym zabrał cię dzisiaj do domu - powiedział z szerokim uśmiechem na twarzy.

- Musi pracować do późna.

- Dobrze - zgodziła się Beth, kiwając głową, ale potem ponownie spojrzała na mężczyznę ze statku. - Co się stało z Clarissą?

Wzruszył ramionami.

- Nasza znajomość jakoś... urwała się po zejściu na ląd.

Beth widziała, że Jacka cała sytuacja coraz bardziej irytuje; poza tym naprawdę nie wiedziała, dlaczego pragnie przykuć uwagę tego mężczyzny.

- Muszę iść - powiedział. - Pan Heaney nie lubi, gdy wdaję się w rozmowę z klientką.

- Miło było znowu cię widzieć - powiedział, wyciągając rękę. - A zwłaszcza odkryć, że jesteś tak utalentowana.

Ucisnęła dłoń i dotknąwszy jego skóry poczuła mrowienie w plecach.

- I mnie było miło. Powodzenia w dzisiejszej grze.

- Kim był ten facet? - zapytał Jack, gdy szli w kierunku Houston Street. Silny deszcz sprawił, że ulice opustoszały i ich krokom towarzyszyły głośnie echa.

- Jednym z mężczyzn, których poznałam na statku.

- Nigdy go nie widziałem.

- Podróżował w pierwszej klasie. Zamieniliśmy raz kilka słów, kiedy wyszłam na pokład - odpowiedziała.

- I czegoż to taki ważniak szuka u Heaneya?

21105

Beth zatrzymała się w pół kroku i pociągnęła Jacka za ramię, dopóki nie stanęli twarzą w twarz.

- Hazardu? - zasugerowała sarkastycznie. - Ale gdy mnie zobaczył, zaskoczyło go to tak samo, jak mnie. Niczego o nim nie wiem, nie znam nawet jego imienia, więc nie bądź zazdrosny.

- Nie byłem - odparował oburzony. - Po prostu wyglądało to tak, jakby coś między wami było.

- Niczego nie było... ot, zwykle niespodziewane spotkanie - ucięła.

- Mogę na chwilę wejść? - zapytał Jack, kiedy dotarli do jej domu.

- Jest za późno - powiedziała Beth, biorąc od niego futerał ze skrzypcami.

- Będę naprawdę cicho - powiedział.

Na twarzy miał ten tęskny, chłopięcy wyraz, który zazwyczaj ją bawił, ale teraz z jakiegoś powodu ją rozzłościł.

- Nie boję się, że narobisz hałasu - powiedziała niecierpliwie. - Tylko jak będzie to wyglądało o pierwszej w nocy, kiedy Sama nie będzie w pobliżu.

Sam ciągle do końca nie zaakceptował jej znajomości z Jackiem, ale tolerowanie tej sytuacji było mu na rękę, gdyż nie musiał się martwić, że siostra będzie musiała po nocy sama wracać do domu. Nie dowiedziałby się nawet, gdyby Jack wszedł na chwilę na górę, gdyż sam często nie wracał na noc.

- Liczyłem tylko na odrobinę pieśzcot i pocałunków - stwierdził Jack z przygnębieniem w głosie. -

Jest za zimno i mokro, żeby robić to tutaj. Przecież wiesz,

213

że nigdy nie zmuszę cię do niczego, na co nie będziesz mieć ochoty.

Beth przysunęła się do niego bliżej i pocałowała go w usta. Światło gazowych lamp sprawiło, że jego twarz stała się jeszcze bardziej kanciasta, blizna bardziej sina, zaś skórze nadało złowieszcze żółte zabarwienie. W ogóle nie czuła pożądania i to sprawiło, że poczuła gniew na samą siebie.

- Wiem o tym, po prostu jestem zmęczona i w nie najlepszym humorze, a ty bardzo przemokłeś, więc idź lepiej do domu.

- Beth, kocham cię - powiedział, chwytając jej twarz w swoje ręce. - Myślę, że zakochałem się w tobie już od pierwszego momentu, kiedy cię zobaczyłem. Nie czujesz tego samego?

Nie mógłby chyba wybrać gorszego momentu na takie wyznanie i zamiast wzruszenia, poczuła jeszcze większą irytację. Wiedziała, że jeśli odpowie przecząco, głęboko go zrani, przytaknięcie zaś mogło ją wpakować w coś, czego najprawdopodobniej by żalowała.

- Jack, to nie jest odpowiednia chwila - powiedziała ze znużeniem.

Cofnął się o krok. Na jego twarzy lśniły krople deszczu, zaś usta ułożyły mu się w grymas bólu.

- Dla nas nigdy nie będzie odpowiedniej chwili, prawda?

Potem odwrócił się i odszedł, nawet nie oglądając się, żeby sprawdzić, czy na niego patrzy

Rozdział cztertnasty

Kiedy Beth obudziła się w niedzielny poranek i stwierdziła, że cały czas pada, pierwsza myśl, jaka zagościła w jej głowie, dotyczyła Jacka. Odkąd wraz z Samem sprowadzili się na Houston Street, w niedzielę zawsze zachodził, żeby gdzieś ją zabrać.

Odciągnęła oddzielającą łóżka kurtynę i stwierdziła, iż Sam znowu nocował poza domem. W jednej chwili zdała sobie sprawę, jak bardzo uzależniła się od towarzystwa Jacka i jak samotna będzie bez niego. Wiedziała, że czuje się zbyt zraniony, żeby przyjść jak zwykle, chyba że go przeprosi i powie mu, że go kocha, przykryła się więc kołdrą po samą szyję i spróbowała ponownie zasnąć.

Sam pojawił się dopiero o drugiej i bardzo go zaskoczył widok siostry wciąż jeszcze leżącej w łóżku.

- Jesteś chora? - zapytał, siadając przy niej. Beth opowiedziała mu o Jacku.

- Po prostu nie miałam żadnego powodu, żeby wstawać - zakończyła.

- Jeżeli naprawdę ci na nim zależy, to lepiej idź do niego i pogódź się - powiedział Sam, pocierając nieogolony podbródek. - Co prawda zawsze uważałem, że możesz znaleźć sobie kogoś o wiele bardziej odpowiedniego.

Beth usiadła i rzuciła bratu gniewne spojrzenie.

- Powiedz mi tylko, jak mam znaleźć kogoś odpowiedniego. Heaney nigdy nie pozwala mi z nikim rozmawiać. Ty nie przedstawiasz mnie żadnemu ze swoich znajomych. Gdybym poszła do Jacka dać mu fałszywą nadzieję tylko dlatego, że nie chcę być sama, nie byłoby to uczciwe.

Sam zamyślił się.

- Prawie każdy mężczyzna, który przychodzi do Heaney, chciałby cię poznać. Ale oni też nie są ciębie warci.

- A dlaczego ty masz o tym zdecydować? - zapytała ostrym tonem. - Założę się, że z kimkolwiek byłeś wczorajszej nocy, to też nie jest dziewczyna odpowiednia dla ciebie, ale podejrzewam, że wcale ci to nie przeszkadza.

- Z mężczyznami jest inaczej.

- Cóż, nie widzę powodu, dla którego miałoby tak być - powiedziała oburzona. - Jeżeli mogę dawać przedstawienia w jednym z najpopularniejszych saloonów w Nowym Jorku, to nie rozumiem, dlaczego nie mogę zadawać się z kimkolwiek, na kogo przyjdzie mi ochota.

Sam przez chwilę patrzył na nią bez słowa.

- Wstań i ubierz się; wyjdziemy na dwór - powiedział w końcu. - Nie lubię patrzeć, jak się smucisz. W poniedziałkowy wieczór Beth udała się do Heaney i odkryła, iż Jack zajął wcześniej i zostawił dla niej wiadomość.

Nigdy wcześniej nie widziała, jak Jack pisze, i dziecinny charakter pisma oraz okropna ortografia były potwierdzeniem dzielącej ich ogromnej przepaści pod względem edukacji. Lecz mimo iż Jack był niewykształcony, z tekstu biło głębokie uczucie. Napisał, że chciałby pozostać jej przyjacielem i nie oczekuje niczego ponad to.

107

Beth było przykro, że go zraniła i instynkt podpowiadał, że powinna natychmiast odpisać, iż w jej życiu zawsze znajdzie się dla niego miejsce. Ale wiedziała, że jeśli to zrobi, po prostu wróci do poprzedniej sytuacji i zanim się obejrzy, znów dojdzie do scysji. Może najlepszym rozwiązaniem byłoby przynajmniej czasowe zerwanie znajomości.

We wtorek u Iry zaczął się remanent letnich ubrań. Rzeczy zbyt sfatygowane bądź niemodne miał zabrać mężczyzna prowadzący budkę na Mulberry Bend w Five Points, zaś te ciągle nadające się do sprzedaży trzeba było spakować do pudeł i przechować do następnej wiosny.

Dobrze było się czymś zająć i o piątej, gdy Beth przygotowywała się do wyjścia, zorientowała się, że przez cały dzień ani razu nie pomyślała o Jacku.

Zaraz po wyjściu ze sklepu i zamknięciu drzwi zobaczyła mężczyznę ze statku opierającego się nonszalancko

O lampę i witającego ją szerokim uśmiechem.

- Witaj, panno Dyskrecjo! - powiedział.

Widząc go, Beth osłupiała, ale czuła, że nie jest to przypadkowe spotkanie.

- Co byś powiedziała na to, żeby się gdzieś wybrać

1 wypić ze mną filiżankę kawy? - zapytał. - Rzecz jasna, jeżeli nie masz niczego ciekawszego do roboty.

- Ale ja nawet nie wiem, jak masz na imię - odpowiedziała.

- Cóż, to akurat łatwo da się naprawić. - Uśmiechnął się. - Jestem Theodore Cadogan. Przyjaciele mówią mi Theo.

- A więc, panie Cadogan - powiedziała, powstrzymując chęć parsknięcia śmiechem na myśl, że miał czelność

217

rozpytywać, gdzie może ją znaleźć. - Skąd przyszło panu do głowy, że mam w zwyczaju spotykać się z mężczyznami, których ledwie znam?

- Więc jak możesz kogokolwiek poznać? Zaproponowałem tylko kawę, nie zamierzam cię sprzedać handlarzom białymi niewolnicami.

- Kto panu powiedział, gdzie będę?

- Twój brat. Dałem mu słowo dżentelmena, że mam czyste intencje.

Beth wątpiła w czystość tych intencji, ale Sam musiał go polubić i zaaprobować, w przeciwnym razie nie powiedziałby mu, gdzie ją znajdzie. Poza tym, Cadogan był przystojnym mężczyzną i sprawiał, że szybciej biło jej serce.

Po godzinie ciągle siedzieli w kawiarni. Zwracali się do siebie po imieniu. Opowiedziała mu o wydarzeniach, które sprowadziły ich do Ameryki, a on zrewanżował się opowieścią o swoim ojcu, który był bogatym właścicielem ziemskim w Yorkshire, choć Theo, jako młodszy syn, nie miał szans na spadek.

- Ojciec chciał, żebym studiował prawo, ale to mnie nudziło - powiedział, ziewając ostentacyjnie. - Matka uważała, że powinienem zostać duchownym, ale z pewnością nie miałem do tego powołania. Rozważałem też możliwość kariery w wojsku.

-Więc co sprawiło, że przybyłeś tutaj? - zapytała Beth.

Przewrócił oczami na znak, że nie ma ochoty przyznawać się do prawdziwego powodu.

- Chodziło o Clarissę, prawda? - roześmiała się. Westchnął.

218

- Nie do końca. Powiem tylko, że padłem ofiarą oszustwa i uwierzyłem, iż nie jest szczęśliwa w małżeństwie. Celowo zarezerwowałem miejsce na tym samym statku co oni, naiwnie wierząc, że wszystko się jakoś ułoży i ona po prostu go zostawi, kiedy dopłyniemy do Nowego Jorku. Ale ona tylko bawiła się moimi uczuciami; nigdy nie miała zamiaru odejść od męża.

- Ojej, Theo - westchnęła Beth - musiałeś czuć się zdruzgotany.

- Tylko trochę potłuczony, moja droga - powiedział, uśmiechając się szeroko. - A kiedy znalazłem się już w tej krainie wielkich możliwości, zdałem sobie sprawę, że może to być idealne miejsce na wykorzystanie moich talentów i z pewnością nie żałuję, że tu przybyłem.

- A jakie talenty posiadasz? - zapytała, drocząc się. -Rzecz jasna, poza osobistym urokiem i łatwością uwodzenia kobiet?

- Nieźle gram w karty - powiedział. Beth roześmiała się.

- Czy dzięki temu dorobisz się fortuny?

- Taką mam nadzieję. - Uśmiechnął się zawadiacko. -Jak na razie dobrze mi idzie.

-Jeżeli będziesz grał z ludźmi pokroju Heaney'a, zostaniesz z niczym - powiedziała.

- Moja droga, nie doceniasz mnie - powiedział. - Zamierzam być właścicielem domów gry, a nie wszystko w nich stracić.

Kiedy zobaczył wyraz zaskoczenia na jej twarzy, roześmiał się.

- A jeżeli zechcesz, możesz grać na swoich skrzypkach w pierwszym z nich, moja śliczna cyganeczko. Mam wrażenie, że do ponownego spotkania między

nami doprowadziło przeznaczenie i nasze losy są nierozzerwalnie związane.

Gdy sięgnął nad stołem i ujął jej rękę w swoją, Beth poczuła podniecenie. Pomyślała, że ją pocałuje, ale zamiast tego obrócił dłoń na drugą stronę i wbił w nią wzrok, wodząc palcem wskazującym po znajdujących się na niej liniach.

- Los nazaczył twoją dłoń wielką pasją - powiedział niskim głosem. - Widzę też siłę i odwagę. Zyskasz bogactwo, ale dla ciebie zawsze najważniejsza będzie miłość, zarówno do mężczyzn, jak i twojej muzyki.

Beth zachichotała.

- Teraz ty mówisz jak cygan! Widzisz męża i dzieci?

- Tego właśnie pragniesz?

- A czy nie tego pragnie każda kobieta?

- Od najmłodszych lat wszystkim wam wmawiają, że tego właśnie chcecie - powiedział w zamyśleniu.

- Nasze społeczeństwo popiera tę ideę i nie stwarza żadnych alternatyw. Ale myślę, że skoro masz taki talent, to byłoby ogromną stratą, gdybyś młodo wyszła za męża i spędziła swoje życie, wychowując gromadkę dzieci.

Ciągle trzymał jej rękę i powoli nachylił głowę, żeby złożyć na niej pocałunek. Gdzieś głęboko wewnątrz Beth poczuła drżenie, oblała się gorącym rumieńcem, a jej skórę przebiegło mrowienie. Musiała powstrzymać się, żeby nie wyciągnąć ręki i nie przeczesać palcami jego włosów. Spojrzała natychmiast, że jej uczucia są oznaką rodzącego się pożądania.

Trzy dni później Beth i Ira siedziały na zapleczu sklepu, gdzie cerowały i prały odzież, kiedy starsza kobieta zapytała o imię mężczyzny, z którym spotyka się Beth.

109

- Wiem, że z kimś się widzisz - powiedziała, przesywając Beth ostrym spojrzeniem. - Od środy zachowujesz się, jakbyś śniła na jawie.

Beth podniosła z piecyka płaskie żelazko i splunęła na nie, sprawdzając, czy jest wystarczająco gorące do wyprasowania białej wełnianej spódnicy. Nie chciała odpowiadać na pytanie Iry; miała wrażenie, że jeżeli głośno powie cokolwiek związanego z Theo, a zwłaszcza o jej uczuciach w stosunku do niego, przyniesie to pecha.

Kiedy w końcu wyszli z kawiarni, zaprosił ją na kolację, a później odprowadził do domu na Houston Street. Był zimny wieczór i ulice opustoszały; zaledwie kilku młodych mężczyzn stało na rogu w okolicy sklepu z alkoholem.

- Podejrzewam, że mieszkasz w jakimś eleganckim miejscu? - zapytała, kiedy zatrzymali się przed jej czynszówką.

- Nieszczerólnie - odpowiedział i sięgnął dłonią, żeby pogłaskać jej policzek. - Beth, nie wstydz się biedy. Pęd do sukcesu jest zawsze największy, kiedy ma się najmniej.

Ręka na jej policzku sprawiła, że wróciło to dziwne uczucie szarpania w podbrzuszu. Tak bardzo chciała go pocałować, że zrobiło się jej słabo. Nie obchodziło jej nawet, czy ktoś ją zauważy.

- Czy cię jeszcze zobaczę? - zapytała słabym głosem, wiedząc, że to zbyt bezpośrednie, ale nie mogła się powstrzymać.

Wtedy, niby w odpowiedzi na jej pytanie, pocałował ją. Ich usta się spotkały, na początku niezmiernie delikatnie, budząc do życia każdy nerw w ciele. Potem, w tym

221

samym momencie, kiedy zapragnęła czegoś więcej, objął ją mocno ramionami i wsunął język w jej usta, a ona poczuła, jakby głęboko wewnątrz niej coś eksplodowało.

Nie mogąc się powstrzymać, przywarła do niego mocniej; pocałunek był tak ekscytujący, że ciało przejęło kontrolę nad jej działaniami. Czula twardniejące sutki oraz pewien rodzaj drżenia w częściach intymnych i bezwstydnie odwzajemniła się, również wsuwając język w jego usta.

Pierwszy przerwał pocałunek.

- Całujesz równie pięknie, jak grasz na skrzypkach - powiedział łagodnie. - Przy tobie każdy mężczyzna straci głowę.

Potem powiedział, że musi iść, zaś ona stała na progu odurzona żądzą i patrzyła, jak kieruje się z powrotem w dół ulicy. Poruszał się z gracją pantery, wyprostowany, z wysoko podniesionym podbródkiem. Kiedy dotarł do lampy ulicznej na rogu, odwrócił się, żeby jej pomachać i poczuła, że zaraz pęknie jej serce.

Tej nocy nie spała, gdyż przeżywała pocałunek raz za razem do momentu, aż w jej ciele rozgorzał ogień. Przypomniała jej się kocica sąsiadki z Liverpoolu, która leżała na grzbiecie na podwórku, wydając dziwne, płaczące dźwięki. Matka powiedziała, że to ruja i, żeby przegonić zwierzę, wylała na nie wiadro wody, gdyż na murku, oglądając całe przedstawienie, siedziały dwa kocury. Mama stwierdziła, że nie chce żadnych paskudztw na swoim podwórku. Beth nie rozumiała wtedy zachowania kotki, ale pojęła je teraz.

Od czasu gdy dorosła na tyle, żeby zacząć interesować się miłością, małżeństwem i rodzeniem dzieci, doszła do wniosku, że to mężczyźni odczuwali przyjemność, zaś

110

kobiety tolerowały ów akt przez wzgląd na nich. Nawet pragmatyczna pani Clarkson nie sugerowała niczego innego. Wyznanie matki na łożu śmierci było dla Beth pierwszą wskazówką, że być może kobiety mogłyby chcieć bądź potrzebować seksu, ale za bardzo bała się potencjalnych konsekwencji niepożądanego związku, żeby choćby postarać się to zrozumieć.

- Nie dam się zniechęcić brakiem odpowiedzi na moje pytanie - powiedziała Ira, podchodząc bliżej i kładąc rękę na ramieniu Beth. - To, że dziewczyna w twoim wieku zakochuje się, jest całkiem normalne, ale wiem, że nie myślisz o Jacku. Więc kim jest ten nowy mężczyzna i gdzie go poznałaś?

- Nazywa się Theodore Cadogan i spotkałam go na statku - niechętnie odpowiedziała Beth. -

Podróżował pierwszą klasą, rozmawiałam więc z nim tylko raz. Ale wpadłam na niego znowu w zeszłym tygodniu u Hea-neya i kiedy wychodziłam stąd we wtorkowy wieczór, czekał na mnie.

- Więc jest dżentelmenem? Beth ponuro skinęła głową.

- To co robił u Heaneya?

Beth westchnęła; przewidziała to pytanie.

- Poszedł tam, żeby zagrać w karty. Ira wyduła usta.

- Hazardzista, tak? Cóż, muszę ci przyznać, że zwykle są bardzo zajmujący. Ale dziewczyno, nie strać dla niego głowy, nie chciałabym, żeby sprowadził cię na manowce.

- Ja naprawdę go lubię - powiedziała nieśmiało Beth. Ira długo przewiercała ją wzrokiem, dopóki dziewczyna nie oblala się rumieńcem.

223

- Rozumiem - powiedziała w końcu. - Obudził w tobie uczucia, których nie pojmujesz. Mam rację? Beth nie odpowiedziała, wpatrując się w swoje stopy Ira roześmiała się.

-Jak sędzę, mówiono ci, że porządne dziewczyny nie doświadczają tych uczuć? No więc, to kompletna głupota. Gdyby tak było, na tym świecie rodziłoby się bardzo niewiele dzieci! Powiem ci, jak ja to widzę - nie ma kobiet, które tego nie lubią i takich, co to uwielbiają; pierwsze po prostu mają kiepskich, a drugie dobrych kochanków.

- On nie jest moim kochankiem - zaprotestowała Beth, zaniepokojona, że Ira w ogóle mogła pomyśleć o czymś takim. - Spędziłam z nim tylko jeden wieczór.

Ira zachichotała.

- Jeżeli w jeden niewinny wieczór sprawił, że czujesz się w ten sposób, to radzę ci, żebyś nie ryzykowała dłuższego zostawania z nim sam na sam, chyba że chcesz się dowiedzieć, co potrafi dać kobiecie dobry kochanek.

Beth zrobiła zakłopotaną minę, co sprawiło, że Ira parsknęła jeszcze głośniejszym śmiechem.

- Wiem, że jest wielu ludzi, którzy powiedzą ci, iż zanim wypróbujesz towar, musisz mieć pierścionek na palcu. Ale ja nigdy nie żalowałam tego, że wypróbowałam swojego Guntera przed ślubem.

- Pewnie i tak go nigdy więcej nie zobaczę - powiedziała Beth, starając się skończyć rozmowę, która okropnie ją krępowała.

-Jestem pewna, że zobaczysz - powiedziała Ira. -Będzie chciał cię zdobyć nie tylko ze względu na twój wygląd czy kształtne ciało, ale też radosny sposób bycia, inteligencję, maniery i grę na skrzypkach.

Moja droga,

111

jesteś cennym łupem. Ale musisz na siebie uważać. Nie wierz we wszystko, co ci mówi, nie pożyczaj mu żadnych pieniędzy, nie spodziewaj się zamażpójścia i zdobądź jakąś wiedzę o tym, jak uchronić się przed ciążą. Niechciana ciąża stała się przyczyną upadku wielu wartościowych kobiet.

- Nie zrobiłabym tego - z przerażeniem powiedziała Beth. - To znaczy, nie zaryzykowałabym zajścia w ciążę.

- Nie bądź taka pewna. - Ira z uczuciem poklepała ją po policzku. - Z mojego doświadczenia wynika, że kobieta, którą fizycznie pociąga jakiś mężczyzna, traci głowę.

Tego wieczoru Beth musiała grać, a ponieważ Sam pracował do późna, Heaney zamówił dorożkę, żeby zabrała ją do domu. Obudziła się w sobotni rano ze wspomnieniem snu o Theo i to sprawiło, że zaczęła martwić się tym, co powiedziała jej Ira.

Delikatnie odsunęła zasłonę oddzielającą łóżka. Ku jej rozczarowaniu ponownie nocowała sama i pojawiła się przed nią wizja dnia bez czyjegokolwiek towarzystwa.

Kilka godzin później, usłyszawszy głos Amy na schodach, Beth zapytała ją, czy ma może ochotę wpaść na herbatę.

Amy urodziła się już w Ameryce, choć jej przodkowie pochodzili z Holandii. Jednakże porzuciła rodzinną farmę w Connecticut, gdyż ojciec był przeciwny jej spotkaniom z kimś, kogo nie akceptował.

Dziewczyna ze smutkiem zwierzyła się Beth, iż jej mężczyzna nie chciał uciec wraz z nią, więc przyjechała do Nowego Jorku sama. Ale jakoś sobie radziła: wraz ze swoją przyjaciółką Kate ciągle gdzieś wychodziły, miały ładne ubrania, były też wesole i przyjaźnie nastawione. Czasami

225

Beth odrobinę im zazdrościła, gdyż prowadziły chyba o wiele weselsze życie niż ona.

- Herbata! Dokładnie to, czego teraz potrzebuję, na dole harmider niczym w domu wariatów - powiedziała Amy wchodząc do pokoju Beth. Wyglądała jak dziewczyna ze wsi, była wysoka, miała szerokie ramiona, twarz o płaskich rysach oraz pływające włosy. - Właśnie sprowadzili kolejnych członków rodziny! W jaki sposób sześć osób może dzielić jeden mały pokój? A spróbuj tylko dostać się do kuchni...

Amy mówiła o irlandzkiej rodzinie, która zajmowała jeden z pokoi w jej mieszkaniu. Na początku zajmowało go dwoje dorosłych i dwoje dzieci, ale kiedy sprowadzili się kolejna dwójka, ścisk zrobił się nie do wytrzymania. Amy dzieliła swój pokój z Kate, a trzeci pokój w mieszkaniu dzieliło pięć osób, Beth mogła więc sobie jedynie wyobrazić, jak trudno było skorzystać ze wspólnej kuchni.

Kiedy Beth nalewała herbatę, dziewczyna opadła na łóżko Sama i przez chwilę trąkotała o swoich sąsiadach. Podejrzewała, że jeden z członków irlandzkiej rodziny wylewał nieczystości do zlewu.

Wspominała też, że podkradają jej jedzenie i zawsze słycać płacz dziecka.

- Muszę sobie znaleźć coś innego - zakończyła. - To nie do zniesienia.

Beth bardzo współczuła Amy i Kate, zdając sobie sprawę, jakie szczęście mieli z Samem; musieli dzielić mieszkanie tylko z Rossinimi, Włochami w średnim wieku, cichymi, utrzymującymi higienę i pogodnymi ludźmi.

Amy jednak należała do ludzi, którzy nigdy nie rozwodzą się nad swoimi problemami dłużej niż dwie

112
minuty. Zanim wypila swoją herbatę, zdążyła rozbawić Beth opowieścią o właścicielu sklepu spożywczego na rogu, który został przyłapany przez swoją żonę z inną kobietą.

- Gdzie jest Sam? - zapytała jakiś czas później. - Ostatnio rzadko go widuję. Znalazł sobie jakąś przyjaciółkę?

- Tak mi się wydaje - odpowiedziała Beth. - Ale nic mi o niej nie mówił.

- Kimkolwiek jest, szczęściara z niej - powiedziała Amy z błyskiem w oku. - To prawdziwy przystojniak.

-Jeżeli nie będzie ostrożny, ani się obejrzy, jak jakaś dziewczyna zaciągnie go do ołtarza - rzekła cierpko Beth.

-Jestem pewna, że wie, jak się przed tym zabezpieczyć.

- A można się przed tym zabezpieczyć? - zapytała niewinnie Beth.

- Oczywiście, niemądra gąśko - roześmiała się Amy -Jak?

- Niektórzy mężczyźni, ci bardziej rozważni, w odpowiedniej chwili wycofują się - powiedziała bez troski Amy - Ale w tej sprawie raczej bym im nie ufała. Mogą też wykorzystać ochronkę, ale te pękają, a poza tym mężczyźni ich nie lubią. Ale kobiety, które znam, zaraz po wszystkim dokładnie płuczają swoje wnętrza ciepłą wodą z gumowej gruszki. Jest też mała gąbka, którą możesz sobie włożyć przed samym aktem.

Beth polubiła Amy przede wszystkim dlatego, że ta była bezpośrednia i otwarta, ale słysząc tak intymne objaśnienia zarumieniła się z zażenowania.

- Skąd to wszystko wiesz? - zapytała.

Kiedy Amy nie odcięła się jedną ze swoich zwyczajowych dowcipnych uwag, Beth poczuła, że powinna przeprosić.

- Nie chciałam być wścibska, nie będę już o nic pytać.

Amy spojrzała na nią i westchnęła.

- Chciałabym mieć kogoś, komu mogłabym zadać takie pytania, kiedy byłam w twoim wieku. Ale nie miałam, więc zaszłam w ciążę.

- I co zrobiłaś? - zapytała Beth szeptem, w którym pobrzmiwało zgorzienie.

- Pewna stara kobieta, którą znalazłam, pomogła mi się jej pozbyć - przyznała Amy - Stało się to wkrótce po tym, jak przybyłam do Nowego Jorku. To było okropne. Myślałam, że umrę.

- Z pewnością zraziło cię to do mężczyzn? Starsza dziewczyna zachichotała.

- Jasne, na pewien czas, ale potem spotkałam kolejnego przystojniaka. Ale zanim dopuściłam do czegokolwiek, zasięgnęłam porady od jednej z dziewczyn pracujących w Rosie's.

Wstrząśnięta Beth otworzyła szeroko oczy, ponieważ podsłuchiwała pewnych mężczyzn u Heaney'a rozmawiających o Rosie's i stąd wiedziała, że jest to burdel.

- Nie patrz na mnie w ten sposób - zganiała ją Amy. - Niewielu posiada talent, jak twój do skrzypiec, żeby się utrzymać. Dla niektórych z nas to jedyny sposób, żeby mieć dach nad głową. Szybko zmądrzałam i poszłam pracować do Rosie's.

Beth była ledwie w stanie uwierzyć, do czego właśnie przyznała się Amy. Nigdy nie pytała swojej przyjaciółki

228

ki, jak zarabia na życie; po prostu założyła, że pracuje w sklepie, gdyż zawsze nosiła szykowne ubrania.

- Nie mów, że nie wiedziałas? - widząc jej wstrząśniętą minę, Amy odrzuciła głowę do tyłu i zaniósła się śmiechem. - Myślałam, że do tej pory ktoś musiał ci o tym powiedzieć.

- Tak naprawdę to zazwyczaj rozmawiam tylko z tobą - powiedziała słabym głosem Beth. - Nigdy bym nie pomyślała. To znaczy, jesteś taka miła.

- Dziwki mogą być miłe jak każdy inny - powiedziała Amy z nutką zgryźliwości w głosie. - Nie afiszujemy się ze swoją profesją, spacerując półnago z grubą warstwą makijażu na twarzy.

- Nie chciałam, żeby to tak zabrzmiało - szybko powiedziała Beth. - Po prostu myślałam, że pracujesz w sklepie albo restauracji.

Amy spojrzała w górę z udawaną rozpaczą.

- Kochana, myślałam, że praca u Heaney'a otworzy ci oczy! Niewiele dziewczyn chce zostać dziwkami, ale głód i brak domu wszystko zmienia. Nie ma niczego złego we wzięciu kilku dolarów za obdarowanie mężczyzny odrobiną uczucia. Dlaczego miałabym zostać służącą albo pracować w sklepie za pięć czy sześć dolarów tygodniowo, skoro mogę dostać tyle za jeden numerki?

Niewiele brakło, a Beth byłaby zemdlą. Rzecz jasna, to wyjaśniało, skąd Amy miała tak obszerną wiedzę na temat mężczyzn i dlaczego tak często przebywała w ciągu dnia w domu. Starła się powiedzieć coś, co nie zabrzmiałoby protekcyjnie bądź potępiająco, kiedy do domu wrócił Sam i Amy natychmiast wstała, oznajmiając, że musi już iść.

Nie chcąc, żeby Amy pomyślała, że jest zbyt pruderyjna i porządna, żeby poradzić sobie z takimi rewelacjami, dziewczyna odprowadziła ją do drzwi.

- Przepraszam - powiedziała. - Po prostu mnie zaskoczyłaś.

Amy położyła Beth rękę na ramieniu.

- Myślę, że ciągle jesteś naiwną gąską. Widzisz, myślałam, że wiesz i bardzo cieszyłam się, że mimo to mnie lubisz, ale to chyba koniec naszej przyjaźni?

- Skądże znowu - zgodnie z prawdą odpowiedziała Beth. - Wręcz przeciwnie, polubiłam cię jeszcze bardziej za to, że byłaś ze mną szczerą. Po prostu głupio mi trochę, że nie domyśliłam się wcześniej. Ale twoje słowa dały mi dużo do myślenia.

- Nie myśl za wiele, tylko baw się, ile wlezie - powiedziała Amy, szeroko się uśmiechając. - Zdaje się, że twój brat już to zrozumiał.

Zanim Beth zdążyła zapytać, co dziewczyna ma na myśli, Amy już zniknęła.

Chwilę później, gdy Beth przygotowywała herbatę i kanapki dla Sama, usłyszała dziwny szeleszczący odgłos dochodzący z ich pokoju. Nie dociekała, gdzie był przez całą noc, gdyż mył się i golił, a poza tym jej myśli krążyły wokół rzeczy, o których opowiedziała jej Amy

Ale drzwi do pokoju były uchylone i zajrzała, żeby sprawdzić, co to za dźwięk. Ku jej zaskoczeniu brat siedział przy małym stoliku pod oknem i bawił się talią kart. Patrzyła na niego, a on tasował je, a potem robił coś, co wyglądało jak magiczne sztuczki, z szelestem rozwijając kartoniki w rzędzie tak, że każdy częściowo zachodził na kolejny

114

- Co robisz? - zapytała.

- Tak tylko ćwiczę - odpowiedział, nie odwracając głowy i pstrykając karty w taki sposób, że wszystkie obróciły się jednocześnie.

- Czy to jakaś sztuczka?

- Nie. Po prostu czynności, które wykonuje rozdający. Na razie nie jestem wystarczająco szybki ani zręczny. Ale prawie mi wychodzi.

- Czemu chciałbyś to robić? - zapytała, wchodząc do pokoju.

Odłożył karty i spojrzał na nią.

- Ponieważ chcę zostać rozdającym. Chcę się nauczyć wszystkiego, co dotyczy hazardu: o pokerze, ruletce, faro i wszystkich innych grach.

Beth poczuła, jakby jej mały świat właśnie wywinął kozła. Najpierw dowiedziała się, że jej jedyna przyjaciółka jest dziwką, a teraz Sam zaczął mówić o rozpoczęciu kariery hazardzisty.

Mogła pogodzić się z tym, że w karty grał Theo -dla dżentelmena była to nieodłączna część jego życia. Ale Samowi wyraźnie wpojono w dzieciństwie związane z tym niebezpieczeństwa. Ich ojciec nie postawiłby w wyścigach nawet szylinga, gdyż uważał, że to wciągający nałóg.

- Chcę pracować w domach gier, a nie przepuszczać w nich wszystkie pieniądze - powiedział, rzucając jej ostre spojrzenie, jakby prowokując, żeby wyraziła dezaprobatę. - Można tam nieźle zarobić, dom nigdy nie przegrywa.

- Czy Heaney ma z tym coś wspólnego? - zapytała.

- Nie, ale jak zobaczyłem, ile zarabia na grach w swoim lokalu... - odparował Sam. - Dlatego właśnie muszę

231

zostawać do późna, każe mi podawać napitki graczom. Bacznie ich obserwuję.

Beth ciężko usiadła na jego łóżku. Była przerażona, nagle wydało się jej, że zewsząd czyhają niebezpieczeństwa.

- Co się stało? - zapytał brat. - Och, Beth, na litość boską, nie praw mi tu kazań. Hazard to tutaj wielki interes, a ludzie go nie potępiają, więc dlaczego my mielibyśmy?

- Czy nie boisz się, że wyrzekniemy się wartości, które kiedyś nam przyświecały? - zapytała.

- Ze mamy znać swoje miejsce? Płaszczyć się przed wyżej urodzonymi? Być biednymi, ale uczciwymi? Beth, powiedz mi, dlaczego nie mielibyśmy się wzbogacić? Co, zapisano w gwiazdach, że skoro nasz ojciec był szewcem, nie powinniśmy pragnąć lepszego życia?

- Chyba po prostu boję się, że ulegniemy zepsuciu - odpowiedziała słabo. - Nawet, jeżeli nie chcesz się do tego przyznać, dobrze wiesz, że jesteśmy związani z He-aneyem, a on nie jest dobrym człowiekiem.

- Wiem, że nas wykorzystuje, ale Beth, my możemy zrobić to samo. Ty zdobywasz doświadczenie i wprawę, grając dla niego na skrzypkach, a ja uczę się wszystkiego na temat hazardu. Kiedy nadejdzie odpowiedni czas, wykorzystamy to doświadczenie, wyniesiemy się z Nowego Jorku i przeniesiemy do Filadelfii, Chicago albo nawet San Francisco. Przybyliśmy tutaj, żeby przeżyć przygodę i dorobić się bogactwa i dopniemy swego celu.

- Nie odejdziesz po prostu pewnego dnia beze mnie, prawda? - zapytała z przestraszeniem.

Sam przesunął się, żeby usiąść obok niej na łóżku i mocno ją przytulił.

115

- Beth, jesteś jedyną osobą na całym świecie, na której naprawdę mi zależy. Nie tylko jesteś moją siostrą, ale też najlepszą przyjaciółką. Nigdy cię nie opuszczę.

Jej brat nigdy nie był dobry w kwiecistych przemówieniach i wiedząc, że jego słowa płyną z głębi serca, Beth rozplakała się.

- Nie płacz, siostrzyczko - wyszeptał, gładząc ją po włosach. - Na razie nieźle nam idzie, a będzie jeszcze lepiej.



P

o tym, jak Sam opowiedział jej o zamiarze prowadzenia domu gry, Beth długo siedziała przy oknie, patrząc na dachy budynków i szare niebo nad nimi, i rozmyślała o wszystkich ludziach, których знаła w Liverpoolu. Zastanawiała się, co by powiedzieli na wieść o tym, jak oboje żyją teraz z Samem. Od momentu przybycia do Ameryki pisała do Langworthych co dwa tygodnie i czuła się winna, że podkolorowuje wszystkie informacje. Zamiast słowa „czynszówka” użyła „hotel” i opisywała raczej Central Park i Fifth Avenue zamiast Lower East Side. Choć nie kłamała jak z nut, nadała knajpie Heaney’a wizerunek lokalu dla wybranej klienteli z wyższych sfer i zasugerowała, że sklep Iry sprzedaje ubrania nowe, a nie używane. Tryumfalnie poinformowała o ich przeprowadzce do mieszkania, ale pominęła fakt, że był to tylko jeden pokój.

Usprawiedliwiała się przed sobą, że wszyscy w domu smuciliby się, gdyby opisała nędzę, pośród której żyła i bała o jej bezpieczeństwo, gdyby z większą szczerością opisała charakter lokalu Heaney’a. Ale teraz, kiedy okiem wyobraźni widziała wszystkich tych ludzi, o których się troszczyła, czuła, że bardziej byliby zaniepokojeni

zmianami, jakie zachodziły w niej i Samie, niż warunkami ich życia.

Z pewnością nie pochwaliliby faktu, że parady w szkarłatnej satynie, ani tego, że w większość nocy, kiedy grała u Heaney, wypijała kilka kieliszków rumu. Byliby oburzeni, że zaprzyjaźniła się z dziewczynką i że mężczyzna, którego pożądała, był kobieciarzem.

Jeżeli idzie o Sama, to zszokowałby ich fakt, że całymi nocami nie ma go w domu i zamierza otworzyć swój własny dom gry Pani Bruce pobiegłaby po buteleczkę soli trzeźwiących!

Beth napawał smutkiem fakt, iż prowadziła takie życie, którego większość z jej starych przyjaciół nigdy by nie zaakceptowała, ale nie miała zamiaru wracać do zawodu przepracowanej, ale cnotliwej praczki. Za każdym razem, kiedy wchodziła na scenę, czuła się niczym ptak uwolniony z klatki; uwielbiała podziw i oklaski słuchaczy.

Jedynym elementem jej dawnego życia, za którym naprawdę tęskniła, była obecność Molly.

Odczuwała to jako tępy ból głęboko w środku, ból, który nigdy nie zamierał. Z drugiej strony, bardzo cieszyła ją świadomość, że jej mała siostrzyczka jest bezpieczna w Anglii, gdyż miejsce, gdzie obecnie się znajdowali, z pewnością nie było odpowiednie dla małego dziecka.

Wreszcie odwróciła się od okna i obrzuciła pokój obiektywnym spojrzeniem. Nagle zdała sobie sprawę, że drobne dekoracje, które dodała, były świadectwem tego, jak rzeczy miały się w istocie. Niebieska narzuta oddzielająca łóżka była obecnie przywiązana czerwoną aksamitną kokardką, żeby dodać całości odrobinę elegancji, poplamione ściany zakrywały plakaty reklamujące teatry, suknie w jasnych kolorach, w których chodziła

117

do Heaney były również elementem dekoracji i każdego tygodnia kupowała bukiet kwiatów, żeby nadać pomieszczeniu bardziej przytulny wygląd.

Ale wszystko to było niczym wobec upiększenia w jej listach do domu. Maskowały tylko fakt, że w istocie pokój był raczej ponury.

Uderzyło ją, że Sam, ze swoim wrażliwym charakterem, był tego świadom od pierwszego dnia, kiedy się tu wprowadzili. Być może dlatego z takim uporem dążył do bogactwa, żeby nie musieć więcej udawać ani niczego się wstydić.

Beth nie pragnęła wiele więcej ponad to, co miała teraz, poza większą ciszą, własnym pokojem i prawdziwą łazienką. Ale z drugiej strony chciała pewnego dnia wrócić do domu, żeby zobaczyć się z Molly i z pewnością nie chciała wtedy wyglądać jak biedna krewna. Więc może powinna zacząć wybiegać myślami do przodu i planować, tak samo jak robił to Sam.

Tej nocy grała lepiej, niż kiedykolwiek wcześniej. Całe jej ciało zdawało się podporządkować muzyce i tańczyła dookoła sceny, niemal doprowadzając tłum do dzikiej ekstazy. Aplauz był ogłuszający i nikt nie chciał, żeby przestała, aż Pat Heaney musiał wspiąć się na scenę i zakończyć przedstawienie.

- Czyż nasza cyganczka nie jest wspaniała? - krzyknął w stronę tłumy. - Będzie tu z powrotem w poniedziałkowy wieczór, więc nie przegapcie okazji.

Przyszedł na zaplecze, żeby przynieść jej pieniądze. Ocierała pot z twarzy i karku.

- Byłaś dziś świetna - powiedział o wiele cieplejszym głosem, niż miał to w zwyczaju. - Od momentu, kiedy zaczęłaś, grasz o wiele lepiej.

Wyciągnął w jej kierunku pieniądze i zobaczyła, że jest to około siedmiu dolarów. Ale sama widziała tuziny dolarowych banknotów wlatujących do kapelusza.

- Myślę, że nadszedł czas, żebyś zaczął lepiej mi płacić - powiedziała pod wpływem impulsu. - Albo przynajmniej dawał mi kapelusz, żebym sama przeliczyła pieniądze.

Jego uśmiech zniknął i Beth poczuła ukłucie strachu.

-Ty mała, niewdzięczna dziwko! - krzyknął. -Chcesz mi powiedzieć, że cię oszukuję? Dałem ci pracę, kiedy nikt inny by tego nie zrobił.

Beth wiedziała, że to rozstrzygający moment. Musi albo wycofać się, albo odeprzeć atak. Bardzo się bała -jego zimne oczy i straszliwa blizna sugerowały, iż jest zbyt niebezpieczny, żeby mu się przeciwstawić. Ale w dzisiejszą grę włożyła całe swoje serce i coś głęboko wewnątrz podpowiadało jej, że albo postawi się teraz, albo nigdy nie wydobędzie się spod jego obcasa.

- Byleś pierwszą osobą, której zaproponowałam grę -odparła buntowniczo. - I już po pierwszej nocy wielu innych przyjęłoby mnie z otwartymi ramionami. Co do oszukiwania mnie wiem, że robisz to od samego początku. Nigdy nie dajesz mi połowy tego, co jest w kapeluszu.

- Wyświadczyłem ci przysługę - ryknął na nią.

- Nie, wyświadczyłeś przysługę sobie - powiedziała, wysuwając podbródek do przodu. - Kiedy gram, przychodzi tu więcej ludzi, zostają dłużej i więcej piją. Trzymanie mnie tutaj nie kosztuje cię nawet dziesięć centów, a klienci wkładają te pieniądze do kapelusza w uznaniu dla mojej muzyki. Więc, zatrzymując je, oszukujesz również ich.

238

- Czy wiesz, co spotyka ludzi, którzy mi się sprzeciwiają? - zapytał, przysuwając swoją twarz do jej twarzy tak blisko, że poczuła zapach whisky w jego oddechu.

- Nie sprzeciwiam ci się - powiedziała. - Chyba, że potraktujesz tak moje odejście stąd i podjęcie pracy w innym saloonie, bo to właśnie zamierzam zrobić, jeżeli nie dostanę tego, co mi się należy.

Widziała, że korci go, żeby ją uderzyć - jego ręka trzymająca jej pieniądze zacisnęła się w pięść, ale mimo że się bała, twardo obstawała przy swoim.

Wyrzucił z siebie potok rysztokowych przekleństw, ale Beth sięgnęła po swój płaszcz i założyła go.

- Masz jedną minutę, żeby wyrównać moją gażę do piętnastu dolarów - powiedziała, patrząc na pieniądze, które ciągle ścisnął w pięści. - Albo wyjdę stąd i już nigdy nie wrócę.

- Jeżeli to zrobisz, nie zatrzymam tu twojego brata -powiedział, mrużąc oczy niczym wąż.

-Więc jesteś jeszcze większym głupcem, niż mi się wydawało - powiedziała krótko. - Gdzie znajdziesz drugiego tak uczciwego barmana?

Podniósł pięść, ale Beth była teraz tak zła, że odsunęła ją klepnięciem ręki.

- Uderz mnie, a pójdę pracować w saloonie tuż obok, tylko po to, żeby zrobić ci na złość - syknęła do niego. -Sam też już nigdy by dla ciebie nie pracował. Czas podjąć decyzję. Dajesz mi piętnaście dolarów albo zejdź mi z drogi.

Wiedziała, że wygrała w momencie, kiedy sięgnął do kieszeni, wyciągnął zwitek banknotów i wręczył kilka z nich jej. W pewien dziwny sposób poczuła się zawiedziona, gdyż właśnie dowiedział jak cenna była dla niego

239

i teraz nie mogła już wyjść i podjąć pracy dla miłszego człowieka, któremu mogłaby ufać.
- Od tej chwili chcę sama przeliczać pieniądze z kapelusza - ostrzegła go. - Będę oddawała ci połowę, gdyż taka była umowa, ale spróbuj jeszcze raz mnie oszukać i już mnie nie ma.

Wyminęła go gwałtownie i podeszła do baru, za którym stał Sam.

- Uważaj na to, co będziesz dzisiaj mówił - wyszeptala. - Właśnie się z nim posprzeczałam.

Sam wyglądał na zaniepokojonego i rzucił okiem w kierunku pokoju na zapleczu.

- Chce, żebym został dzisiaj do późna w nocy i obsługiwał grających w karty. Zamówić ci dorożkę?

- Dopilnuję, żeby dotarła do domu - odezwał się znajomy głos tuż za plecami dziewczyny - Rzecz jasna, jeżeli nie będzie miała nic przeciwko!

Beth obróciła się w miejscu.

- Theo! - wykrzyknęła, nie potrafiąc ukryć swej radości.

Kiedy dorożka turkotała w drodze do domu na Houston Street, Beth w skrócie opowiedziała Theo o zajściu w saloonie.

- Postąpiłaś jak najbardziej słusznie, że mu się postawiłaś - powiedział. -1 bardzo dzielnie. Ale Heaney jest mściwym człowiekiem, Beth. Słyszałem o nim wiele historii.

- Chyba nie skrzywdzi Sama, prawda? - zapytała z przestrawieniem.

-Nie wydaje mi się, chłopak jest mu potrzebny. Nie sądzę też, żeby próbował zrobić coś tobie, klienci

240

złinczowali go, gdyby się na to pokusił. Ale obydwójce musicie na niego uważać. Byłoby też niegorszym pomysłem, gdybyś przy waszym następnym spotkaniu była dlań trochę bardziej słodka.

- Nie zamierzam tego robić - powiedziała wzburzona.

- Moja droga - westchnął Theo - pozwól, że dam ci pewną radę. Rozbrajaj przeciwników urokiem, prawie zawsze działa to o wiele lepiej od pięści, pistoletów i noży.

Kiedy dorożka zatrzymała się przed domem Beth, Theo ujął jej dłoń.

- Teraz zamierzam tam wrócić, ale czy mogę zabrać cię gdzieś jutro?

Beth natychmiast się rozpromieniła; propozycja Theo kompletnie wymazała z jej pamięci kłótnię z Heaneyem.

- Z przyjemnością - powiedziała.

-Więc przyjdę po ciebie koło pierwszej - powiedział. - A teraz, co powiesz na jednego z tych uroczych buziaków?

Na schodach jak zwykle panowały nieprzeniknione ciemności. Jedyna lampa gazowa znajdowała się przy drzwiach wejściowych i już dawno ją wyłączono. Wchodząc po ciemku na czwarte piętro, była kompletnie oszołomiona. Pocałunek Theo sprawił, że paliła ją skóra, serce kołatało się w piersi, a od wspinaczki zabrakło jej tchu. Kilka razy potknęła się, nie trafiając stopą na schodek, ale podniecenie, jakie ją ogarnęło na myśl o jutrzejszym spotkaniu z Theo, sprawiło, że kompletnie zapomniała o wcześniejszym starciu z Heaneyem.

119

Znalazłszy się w pokoju i zapaliwszy lampę olejną, osunęła się na łóżko, wciąż nie mogąc złapać oddechu. Theo jej pragnął i tylko to się liczyło.

- Beth, wyglądasz przeuroczo - powiedział Theo, kiedy następnego dnia wyskoczył z dorożki, żeby ją powitać. - Mam nadzieję, że nie musiałaś zbyt długo na mnie czekać, jest tak chłodno...

- Skądże, dopiero co zesłam po schodach - skłamała. Tak naprawdę stała na progu już od dwudziestu minut, gdyż obawiała się, że wejdzie przez wiecznie otwarte frontowe drzwi i zobaczy, usłyszy oraz poczuje, jak brudne, hałaśliwe i śmierdzące jest to miejsce.

Chciałaby wiedzieć wcześniej, że zamierza zabrać ją na randkę, gdyż wtedy mogłaby znaleźć coś nowego do ubrania w sklepie Iry. Teraz jednak musiała wdziać ten sam stary brązowy płaszcz, ale żeby trochę wzbogacić ten strój, pożyczyła od Amy etolę z lisów i kapelusz. Pod spodem miała ciemnofioletową plisowaną suknię z szerokim koronkowym kołnierzem i kremowymi mankietami, niezbyt modną, gdyż był to prezent od pani Langworthy.

- Pomyślałem, że zabiorę cię do Central Parku - powiedział Theo, pomagając jej wsiąść do dorożki. - W swych jesiennych barwach drzewa wyglądają przepięknie, a potem pójdziemy do pewnej położonej niedaleko restauracji.

Beth nie była w Central Parku od sierpnia, kiedy trawa była brunatna z powodu braku deszczu. Wtedy nawet liście drzew zwisały zwiotczale i pokryte warstwą kurzu. Ale teraz znów wszystko wyglądało pięknie; trawa miała

120

soczysty zielony kolor, zaś drzewa w promieniach słońca mieniły się mieszaniną żółtych, rudych, złocistych i brązowych barw.

Ramię w ramię szli dookoła jeziora i Theo powiedział jej, że zgarnął wczoraj u Heaneya pokazną pulę.

- Przez pewien czas nie będę się tam pokazywał - powiedział. - Heaney to kawał wrednego drania i wcale bym się nie dziwił, gdyby opłacił kogoś, kto miałby mnie napaść i okraść, kiedy będę wychodził z lokalu. Wie też, że wczoraj zabrałem cię do domu, więc jeżeli będzie o mnie wypytywał, powiedz mu, że ledwie mnie znasz i spotkaliśmy się tylko na raz na statku, który nas tu przywiózł.

- Ależ to naprawdę jest wszystko, co mogłabym powiedzieć - powiedziała przekornie. - Niewiele o tobie wiem.

Roześmiał się.

- Właśnie mam zamiar dzisiaj to naprawić. A więc, co chciałabyś wiedzieć?

Usiedli na ławce przy jeziorze i opowiedział jej o swoich rodzicach, starszym bracie, dwóch młodszych siostrach i ich domu.

Beth wyobraziła sobie otoczoną terenami rolnymi posiadłość, do której prowadziła aleja obsadzona drzewami. Pierwsze nauki Theo odebrał w domu od guwernantki, a potem wysłano go do szkoły z internatem. Jego ojciec sam prowadził gospodarkę; Theo opisał go jako człowieka rubasznego, upartego i samolubnego, który nie miał czasu dla nikogo, kto nie był równie silny, bądź nie jeździł lub strzelał równie dobrze jak on.

-Miałem szczęście, że potrafiłem jeździć i strzelać, być może nawet lepiej od niego - powiedział Theo

243

z szerokim uśmiechem. - Ale to nie rekompensowało mojego braku zainteresowania uprawą roli i opinii kobieciarza. Za obydwie te przypadłości obwiniał matkę, choć z drugiej strony obwiniał ją prawie o wszystko.

Opowiedział jej, że jego matka była kochającą, ale dość wątłą kobietą, która nie potrafiła przeciwstawić się swojemu apodyktycznemu mężowi. Starszy brat wrodził się w ojca i Theo czuł, że nic go z nimi nie łączy. Darzył głębokim uczuciem swoje młodsze siostry, ale ze smutkiem stwierdził, że odziedziczyły charakter po matce i brakowało im stanowczości oraz że były słabe i pozbawione własnego zdania, więc uważał, iż nieuniknioną koleją losu wyjdą za mężczyzn pokroju ich ojca.

- Nie pasowałem tam - powiedział, wzruszając ramionami. - Zawsze chciałem więcej, niż mi dawano - pragnąłem większych podnieć i barwnych, nowych doświadczeń. Przerażeniem napelniała mnie myśl o spędzeniu reszty życia w statecznych warunkach, jakie pochwalal mój ojciec, i związana z tym perspektywa ożenku z kimś odpowiednim. Chcę przeżywać przygody i żeby moje małżeństwo też było przygodą, posłubię kobietę, która ma własne zdanie, pasję i poczucie humoru. Nigdy też nie będę wychowywał dzieci tak chłodno

I formalnie, jak sam byłem wychowywany.

Beth skrycie pomyślała, że sama pasuje do wizerunku kobiety, o jakiej marzył, ale zachowała tę opinię dla siebie i zamiast tego opowiedziała, jak sama była wychowywana na posłuszną, pozostającą w domu córkę, do czasu, aż śmierć jej rodziców pchnęła ją w inny rodzaj niewoli.

Powiedziała, że ojciec miał zawał serca, zaś matka zmarła, rodząc Molly i szybko przeszła do opowieści

244

O tym, jak podjęła pracę u Langworthych, łagodząc całość podkreślaniami, jak dobra była dla niej jej pani.

- Tak naprawdę to nie bylam przekonana do wyjazdu z Anglii - przyznała. - Ale tak było najlepiej, a pani Langworthy pisze co kilka tygodni i donosi mi, jak dobrze radzi sobie Molly.

- Jesteś bardzo dzielną dziewczyną - stwierdził zamyślony Theo. - Niewiele osób poradziłoby sobie z tyloma wydarzeniami w tak młodym wieku. Jestem pewien, że twoi rodzice byłiby z ciebie bardzo dumni.

Beth roześmiała się.

- Nie jestem taka pewna, czy pochwaliliby moją grę na skrzypkach w saloonie.

- Wykorzystujesz talent, którym obdarzył cię Bóg

I tym samym sprawiasz, że wielu ludzi zapomina o swoich smutkach. Dla mnie to godne pochwały

- Kiedyś marzyłam, żeby grać na pianinie w westybulu porządnego hotelu - przyznała. - Z pewnością nie spodziewalam się, że wyląduję w jakiejś śmierdzącej czynszówce i będę pracowała dla rzezimieszka.

Theo z rozbawieniem potrząsnął głową.

- Niedługo zaczniesz piąć się w górę. Zeszłej nocy Sam opowiedział mi o swoich planach podjęcia pracy w domach gry. Myślę, że jemu również się powiedzie, jest bystry, czarujący i ma ciebie u swego boku. Założę się, że we dwójkę dorobicie się fortuny.

- Na rozkręcenie interesu trzeba mieć pieniądze - westchnęła Beth.

- Nie zawsze. - Theo uśmiechnął się i polaskotał jej podbródek. - Urok i dobry pomysł zawsze znajdzie inwestorów. Mam wujka o nagannej opinii, po którym rzekomo odziedziczyłem swój charakter; który powiedział

121

mi, żeby nigdy w żadne przedsięwzięcie nie inwestować własnych pieniędzy Żyje wedle tej reguły i zgromadził majątek.

- Jakich masz plany? - zapytała.

- Na razie chcę sprawdzić, ile uda mi się wygrać w Nowym Jorku, pilnie nasłuchując wieści o jakimś nowym, szybko rozwijającym się mieście.

- O jakim nowym mieście? - zapytała Beth podniesionym głosem. - Co masz na myśli?

Theo wydał wargi.

- Takim, jak na przykład San Francisco w czterdziestym dziewiątym. Dopóki w pobliżu nie znaleziono złota, była to mała osada rybacka. A potem masowo popędziły tam dziesiątki tysięcy ludzi i wielu z nich zarobiło krocie.

- Niewielu z nich znalazło złoto - powiedziała Beth, przypominając sobie ten fakt z lekcji historii.

- Mądrzy ludzie nie jadą szukać tego, co wywołało ów owczy pęd, złota, diamentów czy srebra - powiedział, chichocząc. - Zawsze wiąże się to z ciężką pracą i mało kto trafia na bogate złoża.

Prawdziwie przebiegły ludzie, tacy jak ty czy ja, ruszają tam, żeby oferować usługi, otwierać sklepy, saloony hotele, restauracje, sale balowe i koncertowe.

Beth zachichotała.

- A ja miałabym grać w jednym z tych miejsc, gdzie wszyscy rzucaliby mi złote samorodki?

- Dokładnie. - Uśmiechnął się. - Z pewnością nie mieliby frajdy z bogactwa, gdyby nie mogli go trwonić na rozmaite uciechy.

- Ale do tego czasu z pewnością znaleziono już całe złoto, diamenty i srebro?

122

- Niekoniecznie. Część Ameryki jest ciągle kompletnie dzikim terenem i kto wie, co znajduje się tam pod ziemią? Ale rozkwitające miasta mogą też pojawiać się z innych powodów. Na przykład kolej: gdziekolwiek powiodą tory, ludzie będą chcieli mieć domy, sklepy i całą resztę.

- I domy gry? - zapytała, pytając podnosząc brew. Uśmiechnął się z łobuzerskim błyskiem w swych ciemnych oczach. - I domy gry.

- Cóż, jeżeli dowiesz się czegoś o jednym z takich miast, daj znać Samowi i mnie. Z chęcią się przyłączymy.

Theo siedział z ręką wyciągniętą na oparciu ławki i nagle przesunął ją na jej ramiona.

- Nie potrafię wyobrazić sobie dwojga ludzi bardziej nadających się do wyruszenia ze mną - powiedział. - Ze swoją determinacją Sam rokuje nadzieje na zostanie kimś, z kim należy się liczyć. A co do ciebie, ze swoimi skrzypcami będziesz atutem w każdej sytuacji.

Beth pomyślała, że zamierza ją pocałować, ale musiał przypomnieć sobie, iż nie wypada obejmować młodej kobiety publicznie, gdyż nagle stwierdził, że robi się zimno i czas znaleźć jakąś kawiarnię, żeby trochę się rozgrzać.

Kiedy wyszli z parku, Beth pomyślała, jak idealnym mężczyzną jest Theo - przystojny, dżentelmen i do tego z poczuciem humoru.

Towarzystwo Jacka też było miłe, ale w porównaniu z Theo był on ledwie chłopcem, prostym i niemającym doświadczenia. Kiedy chwycił ją za rękę, robił to niezdarnie, chcąc ją pocałować, niemal się na nią rzucił

247

i z pewnością nie potrafił mówić bądź robić rzeczy, które sprawiały, że dziewczyna czuje dreszcze. Kiedy Theo brał jej dłoń i zaczynał pieścić ją kciukiem albo kiedy obejmował ramieniem jej kibić, robił to bardzo delikatnie. Znaleźli małą kawiarenkę po drugiej stronie ulicy przy parku i gdy usiedli, wziął dłoń dziewczyny i podniósł do swoich ust, nie tylko żeby pocałować jej palce, ale delikatnie polizać każdy z osobna czubkiem języka.

- Chciałbym pocałować twoje usta, ale na razie to będzie musiało wystarczyć - wyszeptał.

Właśnie ta nieprzewidywalność jego drobnych dotyków i komplementów sprawiała, że były takie podniecające.

Opowiadał o ciężkiej sytuacji pewnych imigrantów, którzy nie byli w stanie znaleźć miejsca zamieszkania i kilka dni wcześniej zostali złapani podczas próby nocowania pod krzakami w Central Parku, ale nagle przerwał, żeby odgarnąć kosmyk włosów, który wymknął się spod jej kapelusza.

- Twoje oczy są niczym głębokie leśne sadzawki - powiedział, a potem wrócił do poprzedniego tematu.

Wsunął jeden palec w rękaw jej płaszcza, tak jakby chciał wyczuć jej puls, i intymność tego gestu sprawiła, że oblała się rumieńcem.

- Masz skórę delikatną i gładką niczym dziecko - wyszeptał. Kiedy zawstydzona upuściła łyżeczkę na podłogę, sięgnął, żeby ją podnieść i położył rękę na jej nodze, tuż nad kostką.

Ale to nie tylko jego dotyk ją rozpalil, ale też sposób, w jaki mówił. Głos miał głęboki, a zarazem łagodny i ciepły; prawie o wszystkim, czy to o swoim życiu w Anglii,

248

czy o ludziach, których spotkał od czasu przybycia do Ameryki, Theo mówił z takim ożywieniem, że prawie widziała poszczególne sytuacje.

- Pani Marchment, właścicielka domu, w którym mieszkam, żyje, mocno się ograniczając - powiedział.

-Ma w sobie coś z księżnej, choć jest stara, słabowita i nie ma żadnych dochodów poza czynszem za pokoje, które wynajmuje. Całymi dniami przesiaduje w purpurowym wytartym aksamitnym krześle z koronkowym szalem na ramionach i rozkazuje swojej służącej tak, jakby ciągle dowodziła co najmniej dwudziestką. Dom jest mocno zapuszczony, dywany spłowiałe, na fotografiach, lustrach i ozdobach leży gruba warstwa kurzu, ale ona zaprasza mnie na herbatę i każe służącej zrobić ją w sponiewieranym srebrnym czajniczku. Wspaniała stara dama!

- Czy służąca zajmuje się również twoim pokojem? - zapytała Beth, której nie podobała się myśl, że Theo miałby żyć w brudzie.

- Tak, myślę, że zdaje sobie sprawę, iż w wypadku odejścia współlokatorów nie dostanie więcej wypłaty. Ale biedaczka ma tyle do zrobienia, że po prostu nie starcza jej czasu, żeby dokładnie wysprzątać pokój swojej pani.

- Jest za stara? - zapytała Beth.

- Ma około pięćdziesięciu lat. Pracowała dla pani Marchment przez całe życie. Ale nie chcę cię zanudzać smutnymi opowieściami o starych kobietach. Opowiedz mi o ludziach w twoim domu.

Być może pod wpływem żywego sposobu, w jaki opisywał ludzi, Beth złapała się na tym, że robi dokładnie to samo. Powiedziała mu o zwariowanym Irlandczyku z parteru, który krzyczał na każdego mijającego jego drzwi,

123

dziwnym drobnym Polaku, który strzelając wzrokiem na boki, przemykał ulicą, przyciskając do piersi brązową skórzaną teczkę, jakby miał w niej największe tajemnice państwowe i uważał, że ktoś będzie chciał mu je odebrać. Theo parsknął gromkim śmiechem, aż kilka osób w kawiarence odwróciło się, żeby na niego spojrzeć.

- Myślę, że już czas udać się na jakiś obiad - powiedział, chichocząc, kiedy ponownie ujął jej dłoń, żeby złożyć na niej pocałunek. - Dobrze jest przebywać w towarzystwie pięknej panny, która potrafi mnie rozbawić. Odkryłem, że niestety większość pięknych kobiet w ogóle nie ma poczucia humoru.

Do czasu nadejścia Święta Dziękczynienia* Beth była już tak zakochana w Theo, że zaczynała o nim myśleć, gdy tylko otwierała oczy rano, a kończyła, gdy zapadała w sen.

Czuła, że on również ją kocha, choć nigdy nie wypowiedział tego na głos, ale zawsze starał się spotkać z nią raz w tygodniu, nawet kiedy musiał wyjeżdżać z Nowego Jorku w interesach. Nie zniknął też, kiedy oparła się, gdy próbował czegoś więcej niż pocałunki.

Kiedy odprowadził ją po drugiej randce, zapytał, czy może wejść na górę do jej pokoju. Odmówiła jednak, gdyż zdawała sobie sprawę, że gdy zostaną sami, najprawdopodobniej ulegnie jego pocałunkom i pieszczotom.

Na trzecim spotkaniu zasugerował, że zabierze ją na noc do hotelu. Udała, że czuje się znieważona tą propozycją, ale w istocie kusił ją, gdyż przynajmniej sąsiedzi

*Do 1939 roku Święto Dziękczynienia w USA obchodzono w ostatni czwartek listopada, obecnie obchodzone jest w czwarty czwartek listopada [przyp. red.].

124

O niczym by się nie dowiedzieli. Ale przeważył zdrowy rozsądek: wystarczyło wspomnienie, co spotkało jej matkę i wiedziała, że nie może pozwolić sobie na takie ryzyko; nie chodziło tylko o możliwość ciąży, bała się, że Theo ją porzuci, gdy tylko dostanie to, czego chce.

Od tego czasu Theo zawsze mówił, jak bardzo jej pragnie, ale mimo iż wiele razy próbował łagodnej perswazji, nigdy nie był nachalny. A kiedy mówił o przyszłości brzmiało to tak, jakby uwzględniał ją w swoich planach.

Choć długie okresy nieobecności Theo smuciły Beth, była całkiem zadowolona, że dalej się nie pojawiał, kiedy zbliżało się Święto Dziękczynienia. Amy i Kate postanowiły, iż pierwsze święto Beth i Sama w Ameryce powinno zostać należycie uczczone i zamierzały przygotować im tradycyjny obiad z indykiem.

Ponieważ w ich własnym mieszkaniu było tak mało miejsca, zapytały Beth, czy mogą gotować u niej i zaproponowały, żeby zaprosić również Rossinich. Beth poprosiła Sama, żeby przyprowadził swoją przyjaciółkę, ale widok przerażenia na jego twarzy powiedział jej, iż nie zamierza przyprowadzać ukochanej na przyjęcie, w którym uczestniczyć będą dwie dziwki i stara włoska para ledwie znająca angielski.

Ale im bliżej było do wielkiego dnia, tym bardziej entuzjazm Amy na myśl o tym wyjątkowym posiłku udzielał się Beth i jej bratu. Sam przyniósł do domu stare drzwi

I umieścił je na kilku kozłach, żeby zrobić stół, przy którym będą mogli się pomieścić, zaś wszyscy popożyczali krzesła od różnych ludzi mieszkających w domu. Ira wypożyczyła im haftowany obrus, a pani Rossini znalazła stary rodzinny przepis na specjalny deser.

251

Gotując posiłek, Amy i Kate przeszły same siebie.

O szóstej wieczór wszystko było gotowe; indyk miał głęboki złotobrazowy odcień, zaś warzywa były idealnie przyrządzone. Właśnie mieli zająć miejsca przy stole, kiedy pojawił się Jack.

Od czasu, kiedy się rozeszli, Beth widziała go przy kilku okazjach, zazwyczaj u Heaney'a; mogła wtedy co najwyżej pomachać mu z oddali, ale zajął też parę razy do sklepu Iry żeby się przywitać. Gdy pojawił się po raz pierwszy, bała się, że będzie ją prześladować, ale kiedy postawił sprawę jasno i stwierdził, że jest to jedynie przyjazny gest, a potem wspomniał o dziewczynie, którą zabrał na tańce, ucieszyła się, że znowu mogą być przyjaciółmi.

- Nie przyszedłbym, gdybym wiedział, że będziecie mieli gości - powiedział, wyglądając na lekko zmieszanego. - Przyniosłem wam trochę mięsa i owoców.

- Miło cię widzieć i wszyscy się ucieszą, kiedy do nas dołączysz - powiedziała Beth, odbierając z jego rąk torbę. W środku były baranie kotlety, trochę kielbas, jabłka

1 pomarańcze. - Dziękuję ci serdecznie. To bardzo miłe z twojej strony

- Szef dał nam wszystkim torbę różności na święto - odpowiedział odrobinę nieśmiało. - Sam bym tego wszystkiego nie zjadł.

Niespodziewane przybycie Jacka okazało się błogosławieństwem, gdyż obrócił coś, co mogło okazać się nudnym przyjęciem w halaśliwą, wesołą balangę.

Często doprowadzał Amy i Kate do śmiechu, co sprawiło, że Sam pozbył się męczącego poczucia, iż powinien zabawiać wszystkie kobiety, a ponieważ od

252

niektórych swoich współpracowników podlapał sporo włoskiego, mógł włączyć do rozmowy Rossinich.

Beth zauważyła, że poznany przez nią na statku niedoświadczony młodzieniec z niewielkim obyciem towarzyskim przeobraził się w opanowanego i bardzo dowcipnego mężczyznę. Ciężka praca fizyczna nadała mu tężyzny, jego kanciasta twarz wypełniła się, zaś blizna dodała jej charakteru. Był też teraz o wiele bardziej elokwentny niż wcześniej. Historie o ludziach, z którymi pracował, opowiadał z humorem, jednakże wyczuwało się w nich też wielkie zrozumienie dla problemów, z którymi borykało się wielu imigrantów z obcych krajów.

Beth obserwowała, jak flirtuje z Amy i Kate i podejrzewała, że Jack zawdzięcza te zmiany kontaktom z kobietami. Kiedy zapytała go, czy ma jakąś ukochaną, roześmiał się i uroczo stwierdził, że jego serce ciągle należy do niej. Ale samo to stwierdzenie było dowodem, że ktoś był odpowiedzialny za oszlifowanie go. Nigdy nie powiedziałby takiej rzeczy, gdy razem chadzali na spacer.

Pod koniec wieczoru wszyscy wypili odrobinę za wiele wina. Rossini ucałowali ich wszystkich w policzki i, zanim udali się do łóżka, wylewnie podziękowali za zaproszenie. Amy i Kate również wyszły i kiedy pozostał tylko Jack siedzący na łóżku Sama, Beth poczuła ukłucie niepokoju, że będzie z nim kłopot.

Ale myliła się.

- Mam nadzieję, że nie myślicie, że przyszedłem dziś wieczór szukać darmowej wyzerki czy czegoś w tym guście - powiedział, przenosząc wzrok z Beth na Sama. - Nie w tym rzecz, przyszedłem, bo pewnego dnia zasłyszałem coś, co nie dawało mi spokoju.

125

- Coś o Beth? - zapytał Sam.

- Nie, o żadnym z was, raczej o Pacie Heaneyu. Pożarł się ze staruchem zwanym Paluch Malone i w powietrzu wisi burza. Zarówno Paluch, jak i Heaney mają za plecami swoje gangi, facetów, z którymi trzymali się od najmłodszych lat.

Sam skinął głową.

- Również o tym słyszałem. Spotkałem też Palucha, przychodził do saloonu przez większość nocy, odkąd zacząłem tam pracować.

- Cóż, w każdym razie wieść niesie, że niedługo wybuchnie większa rozróżba. Nie będzie to jakaś drobna przepychanka pomiędzy Heaneyem i Paluchem, może się to przerodzić w wojnę gangów na całego. Pomyślałem, że powinienem was ostrzec, żebyście na pierwsze oznaki kłopotów mogli dać stamtąd drapaką.

- Weźmiemy to pod rozwagę - powiedział Sam odrobinę sztywno, tak jakby miał pretensje do Jacka, że ten uzyskał informacje przed nim.

- To nie wszystko. - Jack ostro spojrzal na Sama. - Boję się o bezpieczeństwo Beth. Jest cenna dla Heaney'a i Palucha o tym wie. Może nawet myśli, że twoja siostra jest jego kobietą.

- Jak coś takiego komukolwiek mogłoby przyjść do głowy? - wykrzyknęła Beth.

- Może dlatego, że Heaney pozwolił ludziom tak myśleć - odpowiedział Jack.

Wkrótce potem Jack wyszedł i zanim jeszcze drzwi na dobre się za nim zamknęły, Sam oświadczył, że to wszystko wierutne brednie.

126

- Co on może wiedzieć? Zasłyszał jakąś mglistą plotkę i wykorzystuje ją, żeby wyjść na ważniaka.

- To, co mówisz, jest okropne - z oburzeniem powiedziała Beth. - Po prostu jesteś zły, że usłyszał o tym przed tobą. Ale nikt nie ośmielił się ci o tym powiedzieć, bo jesteś zbyt blisko z Heaneyem i bałby się, że go ostrzeżesz.

- Ja jestem blisko z Heaneyem? - Sam parsknął z oburzeniem. - Nie znoszę go.

- Inni ludzie tak tego nie odbierają. Wszyscy wiedzą, że on ci ufa.

- Jack chce po prostu ponownie wkraść się w nasze łaski - powiedział Sam pogardliwie. - A czyż jest lepszy sposób, niż zmyślić historyjkę o czyhającym na ciebie niebezpieczeństwie? Zanim się obejrzyysz, zaproponuje ci, że będzie odprowadzał cię do domu każdej nocy. Jest zazdrosny, bo dowiedział się, że wychodzisz z Theo.

Beth nie martwiła się rywalizacją gangów tak bardzo jak tym, że Theo ciągle nie wracał. Każdego wieczora, kiedy grała, patrzyła po twarzach widzów w nadziei, że tam będzie.

Dla ostrożności Sam zawsze odwoził ją po występie dorożką, nawet jeżeli musiał potem wracać do saloonu, żeby podawać napitki przy prywatnych grach karcianych. Ale wyraźnie podkreślał, że to naturalna powinność brata i nie ma to nic wspólnego z tym, co powiedział Jack.

W połowie grudnia, w dzień drugich urodzin Molly, w nocy spadł śnieg i Beth, obudziwszy się, odkryła, że miasto przykrył biały koc, który przywołał wzruszające

255

wspomnienia zarówno narodzin jej siostry, jak i śmierci matki. Zwykle starała się nie myśleć o matce. Nawet kiedy kilka tygodni temu wysłała prezent i kartkę na urodziny Molly, skupiła się na rozmyślaniu o tym, jak teraz wygląda siostrzyczka, a nie o okolicznościach jej przyjścia na świat. Ponieważ jednak Theo ciągle nie wracał i nie było od niego żadnych wieści, miała wrażenie, że została porzucona, dokładnie tak samo, jak jej matka.

Spadło więcej śniegu i przyozdobione na święta Bożego Narodzenia nowojorskie sklepy wyglądały przepięknie. Wiele z tych najbardziej wytwornych zainstalowało nowe elektryczne światła i kiedy zapadał zmrok, ich fantastycznie udekorowane wystawy olśniewały światłem i kolorami. Nawet najmniejsze sklepiki i budki na ulicach zdobyły się na dekoracje i dodatkowe naftowe lampy, na wielu placach stały ogromne choinki, zaś powietrze przesiąknięte było zapachem kasztanów pieczonych na piecykach opalanych węglem.

Beth kupiła prezenty: ciemnoniebieski welniany szalik dla Sama, zapachowe mydła dla Amy i Kate oraz buteleczkę lawendowych perfum dla Iry; miała też nadzieję, że śliczna czerwona sukienka i szmaciana lalka, które wysłała Molly, dotrą do Liverpoolu na czas. Chciała również kupić coś Theo, ale zdecydowała, że jeszcze poczeka i zobaczy, czy ten się pojawi.

Na dwa dni przed Wigilią nadal nie było od niego wieści i Beth poczuła się bardzo przygaszona. W sklepie przez cały dzień panował duży ruch i ciągle okrzyki „Wesołych Świąt” tylko pogarszały jej nastrój, gdyż wiedziała, że nie ma nikogo wyjątkowego, z kim mogłaby spędzić ów dzień.

256

Ira musiała zauważyć, że dziewczyna ma nie najlepszy humor.

- Skarbie, powinnaś poprosić Jacka, żeby *zabrał* cię na tańce - zasugerowała w pewnej chwili. - Nie zamierzasz chyba czekać na mężczyznę, który wyjechał i nawet nie napisał, że o tobie myśli.

Beth nie była wdzięczna Irze za takie uwagi. Dąsała się przez jakiś czas, ale późnym popołudniem jej przeszło i przymierzyła ładną ciemnoróżową sukienkę, która wedle Iry była dla niej idealna.

Ira miała rację, a kiedy Beth zapytała o cenę, starsza pani powiedziała, że chciałaby podarować jej tę sukienkę w prezencie świątecznym.

- Jesteś dobrą dziewczyną, nie wiem, jak radziłam tu sobie, zanim się pojawiłaś - powiedziała Ira z lekko wilgotnymi oczami. - Przynajmniej tak mogę ci się odwdzińczyć; ta sukienka leży, jakby ją uszyto specjalnie dla ciebie.

- Więc nie będę beczynnienie czekać na Theo - odpowiedziała Beth. - Przyjmę zaproszenie Rossinich, zjem z nimi i Samem wigilijną kolację. A jeżeli Jack będzie dziś wieczór u Heaneya, to może nawet zasugeruję mu, żeby zabrał mnie na te tańce.

Kiedy o piątej wyszła ze sklepu, panował przejmujący ziąb. Paczuszkę z nową sukienką włożyła pod pachę, ciasno owinęła szyję szalikiem i z dłońmi wsuniętymi w futrzaną mufkę (kolejny prezent od Iry) ruszyła na rynek, żeby kupić trochę owoców, orzechów i słodczy, którymi zamierzała podzielić się z Rossinimi.

Idąc Bowery Beth zauważyła, że na twarzach ludzi maluje się niespotykana dotąd radość. Kataryniarz przyozdobił swój instrument polyskującymi gwiazdami

257

i grał „Cichą noc”, zobaczyła też grupę dzieci patrzących z rozdziawionymi buziami, jak sprzedawca z budki uruchamiał nakręcane kluczykiem zabawki. Przystanęła, żeby przyjrzeć się figurkom niedźwiedzia uderzającego w talerze i mężczyzny wiosłującego w łódce. Rozważała kupno niedźwiedzia i wysłania go Molly, ale doszła do wniosku, że najprawdopodobniej ulegnie zniszczeniu podczas transportu.

Skręciła za róg, gdzie po jasnych światłach Bowery nagle było bardzo ciemno. Zdawała sobie sprawę, że ktoś za nią idzie, ale nie było w tym nic nadzwyczajnego, gdyż był wczesny wieczór.

Kiedy na jej ramieniu zacisnęła się czyjaś dłoń, z przestachu upuściła paczkę.

- Ani mru-mru - ostrzegł ją szorstki męski głos. - Przystawilem ci nóż do pleców.

Zamarła, gdyż czuła, jak coś wciska się w jej płaszcz. Najpierw pomyślała, że mężczyzna chce ją okraść; w tej okolicy nie było to nic niezwykłego.

- Mam przy sobie tylko kilka dolarów - powiedziała. - Ale możesz je wziąć.

- Dla mnie jesteś warta o wiele więcej niż kilka dolarów - odpowiedział. - A teraz idź i rób, co każę, a nic ci się nie stanie. Piśnij, to wepchnę ci nóż po samą rękojęść.

Rozdział szesnasty

Gdzie jest ta twoja siostra? - zapytał Sama Pat Heaney. Z kieszonki kamizelki wyciągnął zegarek. - Co ona sobie myśli? Jest prawie wpół do dziewiątej!

Saloon był wypełniony po brzegi i przez ostatnią godzinę Sam był tak zajęty, że nawet nie zwracał uwagi na czas. Ale słysząc słowa Heaney, spojrział na zegar wiszący na ścianie za barem.

- Nie wiem - odpowiedział i natychmiast poczuł zimny dreszcz biegnący wzdłuż kręgosłupa, gdyż Beth nigdy się nie spóźniała. - Dziś jak zwykle pracuje u Iry. Pebbles był tam, żeby coś kupić i mówił, że ją widział.

Kelnera Pebblesa nazywano Okularnikiem, bo nosił grube szkła.

- Jeżeli zawiedzie mnie tej nocy, to wylatuje z pracy - warknął Heaney.

- Nie zawiodłaby pana - powiedział w obronie siostry Sam. - Nawet gdyby zachorowała, przysłałaby panu wiadomość.

- Może ta stara wrona Roebing źle się poczuła - powiedział Heaney. - Wyślę do niej kogoś z zapytaniem.

Odszedł od baru i Sam zobaczył, jak każę Pebblesowi iść do sklepu.

Mężczyźni domagali się napitku, a kiedy Sam nalewał im piwo i kasował pieniądze, przypomniał sobie o ostrzeżeniu Jacka.

Był przekonany, że Jack wymyślił całą sprawę z Paluchem Malone i Heaneyem jako podstęp, żeby znowu zacząć spotykać się z nim i Beth. Jedynym powodem, dla którego Sam odprowadzał siostrę w nocy do domu, był fakt, że nie chciał dać chłopakowi pretekstu do ponownego wkradnięcia się w łaski dziewczyny

Ale teraz słowa przestrogi Jacka nie wydawały mu się już tak naciągane; serwował napitki, jednym okiem lypiąc na drzwi wejściowe. Kiedy Pebbles wrócił dziesięć minut później i podszedł do Heaney, chłopak nie mógł już dłużej wytrzymać.

Wyszedł zza baru i przepchnął się w kierunku Heaney.

- Są jakieś wieści? - zapytał.

- Wyszła ze sklepu o piątej - burknął Heaney - Przed pójściem do domu miała wstąpić na targ. Lepiej leć i sprawdź, czy już wróciła.

Całą drogę do domu Sam biegł. Pędem pokonał schody i wpadł do mieszkania. Pani Rossini była w kuchni i spojrzała się na niego ze zdziwieniem.

- Czy Beth była w domu? - zapytał Sam. Kobieta potrząsnęła głową i dodała coś po włosku.

Sam podejrzewał, że pytała, dlaczego wygląda na tak zaniepokojonego. Ale nie miał czasu szukać słów, które by zrozumiała, więc poszedł do ich pokoju. Futerał na skrzypce Beth leżał na podłodze przy oknie, tak samo jak wtedy, gdy w południe wychodził do pracy. Spojrzawszy na sukienki, które jego siostra zakładała na

260

występy stwierdził, że wszystkie trzy ciagle wisiały na ścianie.

Zdawał sobie sprawę, że Theo mógł wrócić, spotkać ją w sklepie i gdzieś zabrać. W normalnych okolicznościach Beth nigdy by nie poszła, skoro czekali na nią w saloonie, ale wiedział, że gdy w powietrzu wisi romans, serce przyćmiewa umysł, a ona od kilku tygodni wypłakiwała oczy za tym mężczyzną. Ale nawet gdyby tak zrobiła, to najpierw wróciłaby tutaj i zostawiła dla niego wiadomość, choćby po to, żeby poprosić go o przekazanie Heaneyowi wieści, iż zmogła ją choroba.

Amy i Kate gdzieś wyszły, a członkowie irlandzkiej rodziny, z którą dzieliły mieszkanie, również jej nie widzieli.

Sam pobiegł z powrotem do lokalu Heaney. Teraz był już naprawdę przestraszony. Bezpieczeństwo Beth było dla niego najważniejsze, ale nie podobała mu się myśl, że musi powiedzieć Heaneyowi o tym, że słyszał pogłoski o Paluchu i nie przekazał ich szefowi.

W pokoju na zapleczu saloonu Sam wyznał Heaneyowi swoje obawy, że Beth mógł porwać Paluch, wyjaśnił, dlaczego miałby to zrobić i stwierdził, że najprawdopodobniej facet poszedł na całość.

- Słyszałeś, że Paluch zamierza wszcząć wojnę i nic mi nie powiedziałeś? - ryknął rudy Irlandczyk.

Sam przeprosił i wytłumaczył, że nie wierzył w owe plotki.

- Powiedziano mi, że mam uważać na Beth, dlatego właśnie boję się, iż spełnili swoje pogrożki.

Był w pełni przygotowany na to, że Heaney wydrwi jego hipotezę. Ale zamiast tego, mężczyzna podrapał się po głowie i zrobił zaniepokojoną minę.

261

- Czy mogli ją porwać? - zapytał Sam.

- A skąd mam wiedzieć? - burknął Heaney. - jednej rzeczy możemy być pewni: jeżeli ma ją ten skurwiel, to wkrótce się o tym dowiemy, gdyż wysunie jakieś żądania.

Nie okazał Samowi żadnego współczucia. Ze wzburzenia Irlandczyka można było jasno wyczytać, że jego głównym zmartwieniem nie jest bezpieczeństwo Beth, a perspektywa utraty twarzy

- Wracaj za bar i nikomu ani słowa - rozkazał mu. Za tę bezduszność Sam miał ochotę strzelić go w pysk. Chciał, żeby ten wszedł na scenę, ogłosił zaginięcie Beth i zapytał, czy ktokolwiek wie coś na ten temat. Ale zdrowy rozsądek wziął górę; mimo iż wiedział, że zdecydowana większość mężczyzn w saloonie z ochotą włączy się do poszukiwań, Nowy Jork był dużym miastem. Mogli przetrzymać ją wszędzie, a tabuny zaślepionych żądzą krwi mężczyzn biegających dookoła bez konkretnego planu działania mogły tylko pogorszyć sprawę.

To była najdłuższa noc w życiu Sama. Musiał wysłuchać oświadczenia Heaneya, że Beth nie będzie mogła dzisiaj zagrać, patrzeć na rozczarowanie na twarzach zgromadzonych i odpowiadać na pytania, czy zachorowała.

O północy Heaney kazał mu iść do domu.

- Do jutra nie wykonają żadnego ruchu - powiedział, poklepując Sama po ramieniu, co było szczytem jego możliwości w okazaniu współczucia. - W przeszłości miałem już do czynienia z takimi rzeczami, chłopcze. Zanim nam pokażą, co mają na ręce, będą chcieli, żebyśmy spocili się jak myszy

262

Sam w istocie pocił się jak mysz. Leżąc na swoim łóżku i patrząc na puste posłanie należące do Beth, klął samego siebie za to, że zlekceważył ostrzeżenia Jacka. Z jego strony była to czysta arogancja - po prostu nie chciał zaakceptować faktu, że uważany przez niego za gorszego mężczyznę może wiedzieć więcej od niego. Nigdy nie pochwalał przyjaźni Jacka z Beth, ale udawał, że wcale mu to nie przeszkadza, gdyż zwalniało go to z obowiązku opiekowania się siostrą i mógł spędzać więcej czasu ze swoimi kobietami.

Do dzisiejszego wieczora Sam był dumny ze swoich licznych podbojów. Myśl, że przy pomocy kilku słodkich słów może zaciągnąć do łóżka każdą dziewczynę, dawała mu siłę. Ale teraz, kiedy pomyślał o Polly, Maggie, Norze, a ostatnio Annie, poczuł wstyd. Wszystkie były aktorkami albo tancerkami, dziewczynami, którym już dawno ktoś złamał serce, łatwymi celami z powodu swojej wrażliwości i desperacji w poszukiwaniu miłości. I wiedział, że najprawdopodobniej każda z nich wcześniej czy później skończy jako dziwka. Nie mieściło mu się w głowie, jak mógł wykazywać taką hipokryzję w stosunku do Jacka, gdyż mimo iż chłopak był szorstki i zapalczywy, zawsze traktował Beth z najwyższym szacunkiem i darzył ją prawdziwym uczuciem.

Po namyśle doszedł do wniosku, że Theo jest o wiele bardziej niebezpiecznym osobnikiem. Był nie tylko przystojny i dobrze urodzony, ale też gładki w obejściu i wyrachowany. Sam kilka razy obserwował go przy grze w pokera i był pod wrażeniem jego opanowania i wyrafinowania. Podczas ostatniej gry u Heaneya wygrał ponad pięćset dolarów, a mimo to zachowywał się, jakby

263

to było na porządku dziennym. Każdy brat wart swego miana poruszyłby niebo i ziemię, żeby powstrzymać siostrę przed związkiem z takim mężczyzną, tymczasem Sam otwarcie go podziwiał i dał ich znajomości swoje błogosławieństwo.

Na myśl o tym, że Beth mogła paść ofiarą tragedii, jaka spotkała ich matkę, zrobiło mu się niedobrze. Przypomnił sobie, że wyparł się wszelkich uczuć wobec matki i poczuł wstyd na wspomnienie, że chciał porzucić jej nowo narodzone dziecko. To Beth była osobą, która trzymała wszystko razem. Gdyby nie jej zaradność i pomysliwość, nigdy nie dostaliby mieszkania na Falkner Square i nie wiadomo, czy kiedykolwiek dotarliby do Ameryki.

Niemal żalując, że w ogóle tu przybyli, zaczął rozmyślać, gdzie znajduje się teraz jego siostra i w jakich warunkach jest przetrzymywana. Wiedział, że nie jest to wygodne ani ciepłe miejsce - ludzie pokroju Palucha żyli niczym zwierzęta. Ale jeszcze bardziej przerażająca była perspektywa, że może już nigdy nie zobaczyć Beth. Nie wyobrażał sobie, żeby Heaney zgodził się zapłacić za nią okup. Postrzegalby to jako oznakę słabości. A Paluch nigdy nie wypuści jej bez zapłaty; prędzej zabije dziewczynę, niż zaryzykuje utratę twarzy.

O czwartej nad ranem, kiedy wciąż panowały kompletne ciemności, Sam wyszedł z domu, żeby poszukać Jacka. Nie znalazł jego adresu, ale wiedział, że pracuje w rzeźni na East River i zaczyna wczesnym rankiem.

Panował przejmujący chłód, ulice zalegała cienka warstewka pokrytego lodem śniegu. Przyspieszył kroku, żeby się rozgrzać, ale z trwogi i braku snu zbierało mu się na wymioty.

264

Beth też nie była w stanie zasnąć. Było jej tak zimno, że przyszło jej do głowy, iż może po prostu zamarznąć na śmierć. Przez pierwsze trzy czy cztery godziny po tym, jak została bezceremonialnie wepchnięta do tej ciemnej piwnicy, chodziła tam i z powrotem, krzycząc, ale w końcu zmęczenie zmusiło ją do przycupnięcia na czymś, co zdawało się być jakimś starymi pudłami.

Na podłodze była woda, którą szybko przesiąkły jej buty, zaś w powietrzu unosił się jakiś nieokreślony smród. Nie wiedziała, czy bierze się on ze ścieków, czy może śmierdzi tak coś martwego bądź zgnilego, co leży gdzieś obok, czy też może ohydna woń jest wynikiem zapuszczenia budynku, ale nie zamierzała macać w ciemnościach, żeby odkryć jej źródło.

Wiedziała za to, że znajduje się na jednej z alejek odchodzących od Mulberry Bend, tam gdzie przypadkowo znaleźli się wraz z Samem pierwszej nocy w Ameryce. Zapamiętała, któredyś pędził ją mężczyzna z nożem, gdyż miała nadzieję odwrócić jego uwagę i uciec. Ale nie miała na to szans, bo mocno ścisnął ją za ramię i ani na chwilę nie odsunął noża.

Beth nigdy wcześniej nie widziała tego człowieka. Był wysoki i krzepko zbudowany, miał szorstką, poobijaną gębę i złamany nos, co mogłoby sugerować, że zajmował się zawodowo boksem. Ręce przypominały wielkie bochny chleba, zaś resztki zębów były poczerniałe i połamane. Wedle standardów panujących na Mulberry Bend miał porządne ubranie; gruby, czarny wełniany płaszcz z aksamitnym kołnierzem i kapelusz homburg, ale roztaczał wokół siebie charakterystyczny zapach, który nauczyła się utożsamiać z mieszkańcami slumsów - mieszanek pleśni, tytoniu i palonego drewna.

265

Wiedziała, że ktoś musiał kazać mu ją porwać, bo gdyby jego celem była kradzież, już dawno zabrałby to, co miała przy sobie i się ulotnił. I na pewno działał na zlecenie Palucha. Kiedy zaczęła błagać, mówiąc oprawcy, że z chęcią zagra w saloonie jego mocodawcy i nie ma żadnych zobowiązań w stosunku do Heaneya, wyglądał na lekko zaskoczonego, a potem kazał się jej zamknąć, co tylko potwierdziło wcześniejsze podejrzenia. Nie zamknęła się i nadal błagała go o łaskę, ale wtedy uderzył ją w twarz.

Niepewnie obmacała palcami spuchnięty policzek. Jego uderzenie było niczym cios młotem kowalskim. Była tak oszołomiona, że prawie nic nie widziała, a wtedy złapał ją za ramię i niemal ciągnął przez resztę drogi.

Wokół kręciło się wielu ludzi. W wąskiej, cuchnącej uliczce, w której wylądowali, stała grupka mężczyzn przypatrujących się im z ciekawością. Beth ze smutkiem pomyślała, że wcale nie oznacza to szybkiego oswobodzenia, gdyż Paluch nie kazałby sprowadzić jej tutaj tak ostentacyjnie, gdyby nie miał pewności co do lojalności miejscowych.

Nie wiedziała, która jest teraz godzina, ale miała wrażenie, że ciągle panuje noc, gdyż znikąd nie docierały nawet nikle promyki światła. Myśl o szczurach sprawiła, że ścierpla jej skóra i ciśniej objęła się ramionami, starając się myśleć o czymś innym. Spróbowała wyliczyć, ile czasu zajmie Samowi zorientowanie się, co się wydarzyło.

Oczywiście będzie wiedział, że coś jest nie tak już w chwili, kiedy nie pojawi się, żeby zagrać. Ale jak mógł ją odnaleźć? Przypominałoby to szukanie igły w stogu siana.

Rozdział siedemnasty

Kiedy Jack o szóstej pojawił się w rzeźni i zobaczył czekającego na niego Sama, krew odpłynęła mu z twarzy, zanim ten powiedział, co się stało.

- No dalej, powiedz to - powiedział przybitym głosem Sam. - Powiniennem być poważniej potraktować twoje ostrzeżenie.

W oczach Jacka pojawił się niebezpieczny błysk, ale udało mu się opanować.

- I tak nie mogłeś pilnować jej cały czas. - Westchnął. - Nikt nie mógł, a poza tym, kto by pomyślał, że zgarną ją, kiedy będzie wychodzić ze sklepu Iry?

- Jack, co możemy zrobić? - zapytał łamiącym się głosem Sam. - Nie potrafię sobie wyobrazić, żeby Heaney wysłał swoją bandę na jej poszukiwania. Po prostu każe im rozwalić jakąś knajpę Palucha i wtedy wojna rozgorzeje na dobre.

Jack skinął głową.

- Chciałbym wymknąć się z pracy i zostać z tobą, ale nie mogę. Kończę dzisiaj o pierwszej, więc postaram się zasięgnąć języka i o drugiej spotkam się z tobą u Heaneya.

Sam ruszył w drogę powrotną do domu, ale jego strach o Beth rósł z każdym krokiem. Był taki zadowolony

z siebie, wierząc, że ma lepsze wykształcenie od wielu mnych, jest atrakcyjny dla dam i powszechnie uważany za dżentelmena. Pysznił się tym za barem u Heaneya i nigdy nie przechodził na amerykański slang, bo chciał wyraźnie podkreślić swoje angielskie pochodzenie.

Ale w gruncie rzeczy był gołowąsem. Przez całe życie ani razu nie brał udziału w walce, bał się przemocy i jeżeli uważano go za uczciwego, to tylko dlatego, że bał się konsekwencji oszustwa. Jego sławny urok nie pomoże w uwolnieniu Beth, nie miał też pieniędzy, żeby zapłacić za nią okup. Co teraz pocznie?

Beth siedziała, drżąc, na swoim pudle i obserwowała, jak nikle promienie światła przebijają się między deskami piwnicznego sklepienia. Wewnętrzne poczucie mówiło jej, że musi być po siódmej. Gdzieś tam w górze znajdowała się kłapa w podłodze, przez którą się tu dostała. Musiała tam być też jakaś drabina, bo mężczyzna popchnął ją ku niej, ale potknęła się i resztę drogi w dół pokonała ślizgiem. Potem wciągnięto drabinę, zatrzaśnięto kłapę, a następnie zamknięto drzwi.

Starła się przypomnieć sobie, jak wyglądał pokój na górze, ale kiedy rzezimieszek popędzał ją przez ciemne wąskie przejście odchodzące od alejki, szarpała się i płakała, więc nawet kiedy zapalił zapalke, nie dostrzegła niczego innego poza kłapą, którą otworzył.

Dotarło jednak do niej, że nawet jeżeli niczego nie zauważyła, to wyczułaby, czy pomieszczenie jest zamieszkałe. Teraz z góry nie dochodził żaden dźwięk, tak samo było przez całą noc, a gdyby ktoś tam mieszkał, to jej porywacz z pewnością by ją zakneblował.

268

A więc mógł to być jakiś magazyn. Może w całym budynku nie było nikogo innego?

Wydawało się to mało prawdopodobne. Mulberry Bend z otaczającym labiryntem uliczek cieszyło się sławą najbardziej przeludnionej części miasta. Każdy właściciel budynku w tej okolicy przekształcał swoją własność w obskurny hotelik po pięć centów za noc.

Chciało się jej płakać, ze strachu, zimna i głodu, ale z determinacją zacisnęła zęby. Paluch porwał ją, gdyż uważał za cenną. Nie miałoby sensu, gdyby zostawił ją tutaj na pewną śmierć.

Światło sączące się przez szczeliny w suficie pojaśniało odrobinę, co sugerowało, że w pokoju wyżej są okna. Większość okien w okolicy była powybijana, więc jeżeli narobi wystarczającego rabanu, może ktoś ją usłyszy. Musiała tylko znaleźć coś, co jej w tym pomoże.

Sam wrócił do Heaneya o dziewiątej, ale odkrył, że drzwi są zamknięte, a kiedy zajrzał przez okno, zobaczył Pebblesa zamiatającego brudne trociny na podłodze.

Krzyknął do mężczyzny, który niechętnie otworzył drzwi.

- Pan Heaney kazał mi zamknąć saloon i nikogo nie wpuszczać - powiedział.

- Nie miał na myśli mnie - powiedział Sam, wślizgując się do środka i zamykając za sobą drzwi. - Są jakieś wieści o Beth?

- Nie mam pojęcia - odpowiedział Pebbles; z wyrazu jego twarzy można było wyczytać, że nic go to nie obchodzi.

Pebbles był dość prostym człowiekiem, więc Sam wiedział, że nie ma sensu dalej go wypytywać.

Przeszedł na

269

zaplecze i zaległ na starej kanapie, starając się wymyślić, co może zrobić.

Następną rzeczą, jaką usłyszał, był głos Heaney'a. Sam skoczył na nogi i pobiegł do niego, przy okazji stwierdzając, że jest jedenasta i przespał dwie godziny.

- Kiepsko wyglądasz - zauważył Heaney wchodząc za bar i nalewając sobie whisky. - Nic nie słyszałem, więc wracaj do domu i ogarnij się. Dopóki nie powiem ci inaczej, interes kręci się jak zwykle.

Jego obcesowy ton mocno Sama rozjuszył.

- Beth guzik cię obchodzi, prawda? Złości cię tylko fakt, że ktoś wyciął ci taki numer. Co z ciebie za człowiek?

- Taki, który daje młodym zuchwałym szczeniakom po pysku - odparował Heaney, opróżniając szklanke jednym długim haustem. - A teraz idź do domu, ogól się i załóż świeżą koszulę.

Jack dotrzymał słowa i pojawił się w saloonie o drugiej. Zmienił swoje poplamione krwią ubranie robocze na bardzo sfatygowaną ciemnoniebieską kurtkę marynarską i równie znoszoną czapkę.

- Powiedziano mi, że Paluch ma jakąś nieruchomości na Mulberry Bend - ponad barem wyszeptał do Sama. - Nie mam adresu, a tam jest niczym w cholernej króliczej norze, ale właśnie idę, żeby się rozejrzeć.

- Chciałbym iść z tobą - odszepnął Sam. - Ale Heaney będzie wściekły.

- Odstawalbyś tam od reszty jak ogolone psie jaja - powiedział Jack, uśmiechając się ironicznie. - Pójdę sam. Poza tym lepiej będzie, jeżeli zostaniesz na miejscu, w razie gdyby Paluch wykonał jakiś ruch.

Musimy

134

wiedzieć, jakie są jego żądania. Nie możemy zaufać Heaneyowi, że powie nam prawdę.

- Nie sądzę, żeby zapłacił cokolwiek za uwolnienie Beth - powiedział z przestrachem Sam.

- Właśnie dlatego sami musimy ją znaleźć, a jeżeli Paluch zrobił jej krzywdę, to przysięgam, że go zabiję.

Jack, stojąc przed lombardem na Mulberry Bend, zapalił papierosa i oparty o ścianę beznamiętnie obserwował zatłoczoną ulicę. Beth opowiadała mu, jaka była przerażona, kiedy wraz z Samem zgubili się i wylądowali tutaj, a on nie miał serca jej powiedzieć, że okolica nie różniła się zbytnio od tej, w której dorastał na East Endzie w Londynie, ani też od slumsów Liverpoolu.

Główną różnicę stanowił fakt, że Anglicy stanowili tu mniejszość i najwyżej połowa z tych ludzi mówiła jako tako po angielsku.

Byli to głównie Włosi, Niemcy, Polacy, Żydzi i Irlandczycy oraz cała masa emigrantów z innych europejskich krajów, a także Murzyni, którzy przeprowadzili się tu z południowych stanów. Jedyne, co ich wszystkich łączyło, to rozpaczliwa sytuacja, gdyż nie było to tylko getto dla biednych ludzi, ale dno dna głębokiej dziury.

Jeżeli ktoś nie miał się gdzie podziać i rozpacz popchnęła go do wylądowania w tej otchłani, ściany dziury były zbyt strome i wysokie, żeby mógł wygrzebać się z powrotem.

Jack wiedział, że czynsz zdzierany za jeden brudny, rojący się od szczurów i robactwa pokój był tu w istocie wyższy niż za pomieszczenie w porządnym domu bądź nawet całe mieszkanie na przedmieściach. Choć

271

z drugiej strony, właściciele tamtych budynków żadną miarą nie zaakceptowałyby żyjących w nędzy imigrantów.

W całym Lower East Side jedynym sposobem, w jaki ludzie mogli podolać splacie wysokich czynszów, było dzielenie pokoi z innymi, zazwyczaj znajomymi bądź krewnymi. Ale tutaj jedynym sposobem posiadania jakiegoś dachu nad głową było zapłacenie kilku centów za noc, a za tę cenę dostawało się miejsce na podłodze pośród tuzina innych nieszczęśników.

Żyjąc z dnia na dzień, bez żadnych wygód, ciepła ani podstawowych urządzeń higieny osobistej, ludzie ci wkrótce odkrywali, że znaleźli się na wiodącej w dół równi pochyłej. Mężczyzna nie był w stanie podolać ciężkiej pracy fizycznej, kiedy był niewyspany i pozbawiony pokrzepiającego posiłku; kobieta nie mogła szyc ani nawet kleić pudełek na zapalki, jeżeli nie miała miejsca ani światła, przy którym dałoby się to robić. Któż nie zacząłby pić, skoro była to jedyna rzecz zagłuszająca kompletną duszącą nieustannie rozpacz?

Z miejsca, w którym stał, Jack widział pięć sklepów z alkoholem, trzy saloony dwa sklepy z używaną odzieżą i dwa lombardy. Pomyślał, że dawało to dość wierny obraz potrzeb lokalnej społeczności. Jedyny miejscowy sklep spożywczy miał na wystawie owoce i warzywa; nawet z tej odległości widać było, że okres ich świeżości dawno już minął; lokal z tekstyliami, znajdujący się obok, miał się niewiele lepiej.

Na krawężniku siedzieli ludzie handlujący przeróżnymi rzeczami. Dwie zgarbione staruszki sprzedawały czerstwy chleb; Jack patrzył, jak ich brudne ręce zagłębiają się w jeszcze brudniejsze torby zrobione ze starych

272

materaców, żeby wyciągnąć kolejny pognieciony bochenek. Inny mężczyzna patroszył kozę na kawalku deski opartej o kubel na śmieci. Ale najgorsi byli dwaj Włosi sprzedający zatechle piwo, mętne zlewki z jakiegoś baru, podawane w starych cynowych puszkach.

„The Bend”*, jak powszechnie zwano tę okolicę z powodu kształtu ulicy przypominającego psią nogę, była przynajmniej od czasu do czasu zamiatana przez miejskie służby sanitarne. Ale zaledwie kilka kroków dalej, w stronę labiryntu wąskich, ciemnych uliczek, miejsc, do których nie zapuszczali się sprzątacze ani nawet promienie słońca, na ziemi leżały gnijące odpadki i czuć było wyraźny smród ludzkich odchodów. W wałących się domach, czynszówkach, piwnicach, a nawet szopach z kilkoma szmatami uchodzącymi za łóżko i udającą stół skrzynką po piwie, żyły tu tysiące ludzi.

Jack nie wątpił, że większość na poły zagłodzonych, ubranych w lachmany dzieci, które kręciły się dookoła, nie miała domów; życie na ulicach często było lepszym rozwiązaniem niż „dom”. Tym sposobem nie musiały przynajmniej nikomu oddawać swoich skromnych zarobków pochodzących z żebrania i kradzieży albo ryzykować pobicia przez pijanych rodziców.

Chłopak w pełni rozumiał ich sytuację, gdyż z tych samych powodów w bardzo młodym wieku zaczął wałęsać się po ulicach Whitechapel”. Szkołę odwiedzał tylko wtedy, kiedy przyłapał go strażnik szkolny; całą wiedzę i umiejętności, głównie związane z przetrwaniem, zdobył na ulicach.

* Bend (ang.) - zgięcie [przyp. tłum.].

** Whitechapel - uboga dzielnica Londynu, szerzej znana jako miejsce działalności Kuby Rozpruwacza [przyp. red.].

273

Spotkanie Beth na statku było dlań cudem. Jedyni przyjaciele, jakich miał do tej pory, pochodzili z tego samego szlamu na dnie beczki, co on. Dziewczyny pokroju Beth podziwiał z daleka, marząc o tym, żeby wyciągnąć dłoń i dotknąć ich jedwabistych włosów albo znaleźć się wystarczająco blisko, żeby poczuć zapach czystej skóry i ubrań. Nigdy nie wyobrażał sobie, że jedna z nich zostanie jego przyjaciółką, a już na pewno nie, że da się wziąć za rękę czy pocałować.

Ale Beth zwracała się do niego jak do równego sobie. Śmiała się wespół z nim, dzieliła z nim także swoje smutki i nadzieje. Sprawiała, że wierzył, iż może osiągnąć wszystko, czego zapragnie. Kiedy pożegnała się z nim na statku, obiecując spotkanie dokładnie za miesiąc na Castle Green, nawet przez myśl mu nie przeszło, że dotrzyma słowa. Ale siła i wiara w samego siebie, którymi go obdarowała, pozostały w nim.

Pierwszą noc w Nowym Jorku spędził właśnie tutaj, na Bend, gdyż było to jedyne miejsce, o którym opowiedzieli mu znajomi z Liverpoolu. Gdyby nie wpływ Beth, nawet by nie zauważył, jak okropne panują tu warunki -po prostu zagłuszyłby swój umysł gorzałą i poszedł w ślady tych, których poznał tej nocy. Ale ona zmieniła jego postrzeganie świata i następnego ranka zrozumiał, że albo się stąd wydostanie, albo to miejsce wciągnie go na zawsze.

Praca w rzeźni była obrzydliwa. Wyrazne przerażenie bydła, które pomagał przewieźć ze statku wprost w objęcia śmierci, niefrasobliwa postawa zabijających zwierzęta ludzi oraz smród krwi i wnętrzności wykrecęły mu żołądek. Ale miał pracę, płatną lepiej niż większość innych

274

i zasypiając na podłodze małego pokoiku pomiędzy pięcioma innymi mężczyznami, wiedział, że wbrew pozorom uczynił krok do przodu.

Mało brakowało, aby miesiąc później nie poszedł na spotkanie na Castle Green. Uchwycił pożegnalne spojrzenie, jakie rzucił mu Sam i byłoby ono w stanie zmrozić piec hutniczy. Spodziewał się też, że chłopak ze swoją urodą i urokiem osobistym znajdzie sobie jakąś luksusową posadę i do tej pory Beth będzie spotykała się z kimś, kogo jej brat uzna za odpowiedniego.

Ostatecznie poszedł na spotkanie z czystej przekory. Wielokrotnie już kusił go powrót do starych nawyków picia i wszczynania burd, pomyślał więc, że jeżeli dziewczyna się nie zjawi, będzie miał dla tego usprawiedliwienie. Ale oto była, czekała na niego na Castle Green radosna, przyjacielska i uroczą. Zaskoczyła go wieść, że Sam nie pracuje i kiedy wyczuł jej niepokój z tego powodu, postarał się pomóc, choć nigdy nie wyobrażał sobie, że Sam zniży się do pracy barmana na Bowery. Jack nie przyznał się, w jakich warunkach mieszka, ani jak makabryczna jest jego praca - to byłoby dla dziewczyny zbyt wiele - ale zmobilizowało go to do walki o poprawę swojej sytuacji.

Przeniesienie z ubojni do pomieszczenia, gdzie oprawiano tusze, dla wielu nie wydawałoby się znaczącym awansem, ale on widział to inaczej. Uczył się fachu, który miał ustawić go na przyszłość, poza tym nie musiał już słuchać i oglądać przerażonego bydła. Wkrótce potem udało mu się znaleźć lepszy pokój, który dzielił z trzema przyjaciółmi. Nic wyszukanego, ale było tu czysto, miał normalne łóżko i miejsce do powieszenia ubrań.

275

Przez całe lato wydawało mu się, że słońce, księżyc i gwiazdy należą do niego, ponieważ miał Beth. Brał nadgodziny, żeby zdobyć dodatkowe pieniądze i trochę zaoszczędzić. Zeby polepszyć swoją umiejętność czytania i pisania, poszedł nawet do szkoły wieczorowej.

A potem przyszedł dzień, kiedy zdał sobie sprawę, że jego uczucie jest nieodwzajemnione.

Przez jakiś czas myślał, że życie bez niej nie ma sensu. Kiedy dowiedział się, że jego rywalem jest dżentelmen, poczuł się jak człowiek, któremu ktoś wbija nóż w serce i natychmiast wróciło doń z całą siłą dawne poczucie własnej mierności. Wiele nocy spędził, stojąc przed lokalem Heaney'a, słuchając, jak gra i dławiąc się łzami.

Właśnie podczas jednej z tych nocy doszedł do wniosku, że nawet jeżeli dziewczyna nie odwzajemnia jego uczucia, może uda mu się zatrzymać ją w swoim życiu jako przyjaciółkę. Wiedział, że nie będzie to łatwe, gdyż będzie musiał udawać przyjaźń w stosunku do szulera Theo i znosić pogardę Sama. Ale pomyślał, że uda mu się to znieść, w nadziei, że pewnego dnia Beth może go potrzebować.

Cóż, teraz właśnie był jej potrzebny. Liczył na to, że uda mu się znaleźć miejsce, w którym ją przetrzymują i wybawić dziewczynę z opresji.

W swoich poszukiwaniach Jack był systematyczny; sprawdzał każdą alejkę i przechodził do następnej, zaglądając we wszystkie ciemne podwórka między nimi. Widział leżących nieprzytomnych pijaków i siedzące obojętnie na podestach schodów niemal nagie dzieci z oczami zionącymi pustką. Gangi młodych chłopców

276

przyglądały mu się podejrzliwie, a wynędzniałe dziwki oferowały swoje wdzięki za kilka centów.

W każdym innym miejscu Nowy Jork udekorowany był świątecznymi ozdobami, na drzewach porozwieszano girlandy, a wystawy sklepowe kusily wszelkimi prezentami. Ale pomimo faktu, że jutro była Wigilia, w tej okolicy nie było żadnych oznak uroczystego nastroju.

Rozmawiał z wieloma ludźmi. Podawał się za imigranta, który dopiero co zszedł ze statku i któremu kazano szukać kogoś zwanego Paluch Malone. Większość potrzęsała głową i mówiła, że nie znają nikogo o tym imieniu. Pewna stara dziwka ze śladami po ospie na twarzy splunęła i stwierdziła, że to wredny skurwysyn, ale nie chciała zdradzić, dlaczego tak uważa ani gdzie można go znaleźć. Kilku chłopaków, mających na oko mniej więcej trzynaście lat, przechwalało się, że wykonali dla niego kilka zleceń. Jack był prawie pewien, iż jedynie słyszeli imię rzezimieszka i nie poznaliby go, nawet gdyby ten stanął tuż przed nimi.

W brudnym, zadymionym saloonie na Mulberry barman powiedział, że Paluch posiada jakieś nieruchomości na Bottle Alley, ale mężczyzna pijący przy barze zaoponował i stwierdził, że prawidłowy adres to Blind Man's Court.

O ósmej wieczorem Jacka bolały już stopy. Był tak zmęczony opowiadaniem tej samej historyjki tuzinom ludzi, że zwątpił, czy potrafi mówić przekonywająco, przeszukał też każdy cal zarówno Bottle Alley, jak i Blind Man's Court. Bend nie miało reputacji miejsca przyjaznego nocą obcym; alejki były tu ciemne, pełne pijaków palących się do bitki i młodych chłopców

277

czatujących na ofiarę, którą można by okraść. Zrobiło się też okropnie zimno, więc poczuł, że musi wrócić do Heaneya i sprawdzić, czy Sam miał więcej szczęścia i zdobył jakieś informacje.

Powrót na Bowery z jej jasnymi światłami i gwarem, przyniósł mu ulgę. Z niemieckich ogródków piwnych niesła się tu głośna muzyka, a jakiś zespół podwórkowy grał kolędy. Uliczni sprzedawcy byli w swoim żywiole, oferując wszystko, od tanich zabawek po szelki. Proponowali też przypiekane jabłka w polewie toffi, pieczone kasztany i gofry; ciepło buchające z budek i słodkie zapachy przypomniały Jackowi, że Beth może teraz siedzieć wyglodzona i w zimnie.

W tłumie przed sobą Jack dostrzegł znajomą twarz. Widział Theo tylko raz, ale był to mężczyzna uderzająco przystojny i trudno go było nie zapamiętać, a na Bowery taki mężczyzna wyróżniał się nawet bez stroju wieczorowego, dopełnionego cylindrem i płaszczem. Jack bezceremonialnie zastąpił mu drogę.

- Panie Cadogan! - powiedział.

- Czy ja cię znam? - zapytał Theo, obrzucając Jacka taksującym spojrzeniem, jakby był zdumiony, że tak biednie ubrany człowiek zna jego nazwisko.

- Nie, proszę pana - powiedział Jack. - Ale jestem znajomym Beth, a ona znalazła się w wielkim niebezpieczeństwie. Właśnie szedłem do Heaneya, żeby zobaczyć się z jej bratem, kiedy zobaczyłem pana.

Jack był przygotowany na to, że mężczyzna stwierdzi, iż ma ważne interesy do załatwienia i nie może się teraz zatrzymać, ale ten go zaskoczył.

- Beth coś grozi? - krzyknął. - Mów, co się stało!

278

Jack wyjaśnił wszystko i dodał, że podejrzewa, iż trzymają dziewczynę gdzieś na Bend, skąd właśnie wraca.

- Ale od czasu, jak tam byłem, coś mogło się zmienić.

- Biedna, kochana Beth. - Theo westchnął, wyglądając na szczerze zmartwionego. - Miałem zamiar pójść i zaprosić ją gdzieś później tego wieczoru, bo przez kilka tygodni byłem w Bostonie. Ale teraz pójde z tobą i może połączonymi siłami uda nam się zmusić tego okropnego Heaneya, żeby coś zrobił. Jak zwykle w sobotni wieczór lokal Heaneya był wyladowany po brzegi, a zamiast Beth, na pianinie grał jakiś Murzyn.

Sam miał błędny wzrok i był rozgorączkowany, a jego zwykła jowialność w kontaktach z klientelą jakby wyparowała.

- Dzięki Bogu! - wykrzyknął, kiedy Jack i Theo podeszli do baru. - Już myślałem, że wszyscy mnie opuścili.

Theo zamienił z nim kilka słów, ale ponad gwarem pijących Jack nie słyszał, o czym mówią. Potem Theo odwrócił się do Jacka, złapał go za ramię i wskazał drzwi prowadzące na zaplecze.

- Idziemy tam - powiedział.

Chłopak był nieco zaskoczony faktem, że mężczyzna brany przezeń za gogusia z wyższych sfer, który nie gustuje w podrzędnych lokalach, miał jednak chyba sporo odwagi.

Theo nie zapukał nawet do drzwi, tylko wparował do środka. Heaney siedział za stołem, pisząc w czymś, co wyglądało na rejestr. Ujrawszy niespodziewanego gościa, wytrzeszczył oczy

- Słyszałem, że Paluch Malone postawił ci jakieś żądania w związku z wypuszczeniem panny Bolton -

279

zablefował Theo głosem zimnym niczym stal. - Możesz mieć swoje powody, żeby nie informować o tym jej brata, ale jako narzeczony Beth muszę nalegać na ujawnienie wszelkich informacji.

Jack był prawie pewien, że Beth nie była narzeczona Theo, ponieważ wspomniałaby o tym w dniu Święta Dziękczynienia. Choć myśl, że nie jest to do końca wykluczone, napawała go wstrętem, cieszył się, że Theo wymyślił dobrą wymówkę dla swojej interwencji.

- Ponieważ to mnie złożono propozycję - powiedział Heaney wstając z krzesła - sadzę, że to tylko mój pieprzony interes.

- Nie, kiedy zagrożone jest życie młodej damy - odciął się Theo i zrobił krok w kierunku starszego mężczyzny - A teraz powiedz mi, co wiesz i lepiej się streszczaj.

Heaney poczerwieniał i zaczął grać na zwłokę.

- Ile chce? - zapytał Theo.

- Nie chodzi o cenę, tylko o to, co może stać się w przyszłości - powiedział Heaney lekko drżącym głosem. - Pomyśli sobie, że może zabrać wszystko, co mam, splawić mnie i naznaczyć piętnem hańby Na to nie pozwolę.

- Rozumiem więc, że nie zamierzasz kiwnąć palcem - powiedział pogardliwie Theo. - Chcesz pozwolić, żeby zgnęła u Palucha, prawda? Ależ gnida z ciebie; życie dziewczyny nic cię nie obchodzi?

- Paluch jej nie zabije - szybko odpowiedział Heaney. - Chce, żeby grała u niego.

- Zrobi to, jeżeli nie ruszysz nawet palcem, żeby jej pomóc - odezwał się Jack, którego kusilo, żeby skrócić draniowi kark. - Musisz zebrać swoich ludzi i przeprowadzić kontratak. Dlaczego nie capniesz jego damulki?

280

- To wcale by Palucha nie załamało, byłby nawet zadowolony, gdyby ktoś go od niej uwolnił - powiedział Heaney, wzruszając ramionami.

- No to złap jednego z jego popleczników!

- Obejrzałem sobie jego lokal. Jest niczym forteca i wszędzie kręcą się jego ludzie.

- Podejrzewam, że masz na myśli jego saloon? - zapytał Theo. - Jakie inne nieruchomości posiada? Wiesz, gdzie się znajdują?

- Macza palce we wszystkim, od spelun z zatechłym piwem do noclegowni po pięć centów - odparł pogardliwie Heaney

- Na Bend? - zapytał Jack.

- A niby gdzie indziej? - odwarknął Heaney.

Jack spojrział na Theo i dał mu znak, że chce porozmawiać z nim na zewnątrz.

- Jeszcze tu wrócimy - powiedział Theo do Heaney.

Musieli wyjść na ulicę, gdyż hałas w środku był ogłuszający.

- Heaney nam nie pomoże - powiedział Jack niskim głosem, zapalając papierosa. - Musimy rozegrać to po swojemu. Bottle Alley albo Blind Man's Court, Beth musi być w jednym z tych miejsc. Skrzyknijemy pięciu albo sześciu krzepkich chłopaków i wparujemy do środka. Nawet jeżeli jej tam nie będzie, na pewno dorwiemy kogoś, kto nam powie, gdzie ją uwięzili. Jeżeli zrobimy to wczesnym rankiem, wszyscy będą jeszcze otumanieni wieczorną popijawą.

- Nigdy tam nie byłem - przytłumionym głosem powiedział Theo, tak jakby cała sytuacja go przerastała.

281

- A ja tak, i znam tamtą okolicę - wyszczerzył do niego zęby Jack, gdyż spodobał mu się fakt, że ma okazję przejąć dowodzenie. - Wiem też, których facetów zgarnąć. Nie potrzebujemy pomocy osiłków Heaney'a, ani nie chcemy dorwać Palucha. Po prostu sami odbijemy naszą dziewczynę.

Theo przez chwilę nic nie mówił.

- Muszę iść do domu i się przebrać - powiedział w końcu. - Możemy spotkać się później?

- Spotkamy się na rogu Canal Street o szóstej - odpowiedział Jack.

Theo skinął głową.

-Co powiemy Heaneyowi?

- Nic, tak samo jak on nam niczego nie powiedział -zjadliwie odparł Jack. - Ale potem wszyscy wpakujemy się w kłopoty Pewnie trzeba będzie wynieść się z miasta na jakiś czas.

Rozdział osiemnasty

Jack, co to za koleś? - zapytał Edgar, kiedy o szóstej rano mężczyźni zebrali się na końcu Canal Street. Było dobrze poniżej zera i kiedy stanęli pod latarnią, ich oddechy buchały kłębamii pary.

- A, taki tam elegancik, Theo - zwięźle odpowiedział Jack. Zaczynał żalować, że zaproponował tamtemu udział w akcji, gdyż najprawdopodobniej będzie tylko ciężarem. - Beth z nim chodzi.

Cała piątka mężczyzn pracowała w rzeźni i nie miała żadnych powiązań z Heaneyem ani Paluchem.

Wszyscy byli rośli i muskularni, najmłodszy z nich miał dwadzieścia, a najstarszy dwadzieścia pięć lat, ale tylko Edgar urodził się w Ameryce. Pozostała czwórka była imigrantami, jak Jack: Szwed Karl, Włoch Pasquale, Polak Kajetan, zwany przez wszystkich Kajetem, i Dieter, Niemiec.

Wszyscy zaprzyjaźnili się przy wspólnej pracy, która była ciężka i naznaczona okrucieństwem i w której w każdej chwili mogło dojść do poważnego wypadku, ale wiedzieli, że mogą na siebie liczyć.

Pewnego razu Jack na przykład odepchnął Karla sprzed oszalałego wołu; każdy z nich był winien komuś jakąś przysługę za ostrzeżenie w samą porę albo udzielenie pomocy w przypadku zranienia.

Między wszystkimi pracownikami rzeźni

panowała niepisana reguła, że jeżeli jeden z nich potrzebował wsparcia, wszyscy mu go udzielali. Jack był jednym z grupy ludzi, którzy wspomogli siłowo Kajetana, kiedy jego młodsza siostra w drodze do domu z lekcji tańca została zgwałcona przez trzech mężczyzn. Jeden z gwałcicieli nigdy już nie miał chodzić o własnych siłach, nie mówiąc o możliwości skalania kolejnej kobiety, a dwu pozostałych „tylko” bezceremonialnie wykastrowano.

Chłopak był pewien, że może liczyć na kolegów, gdyż nie tylko wiedzieli, że wyjątkowo zależy mu na Beth, ale wszyscy słyszeli kiedyś jej grę u Heaneya. Kiedy po kolei pojawiał się w ich mieszkaniach, jedynym pytaniem, jakie padało, było: „O której?”. Każdy przyszedł przygotowany, z pałką ukrytą w polach płaszcza.

Kiedy Sam wyszedł zza rogu, żeby do nich dołączyć, był żółty niczym Chińczyk. Jack krótko przedstawił go reszcie i przyjaźnie poklepał chłopaka po ramieniu; wiedział, że ten nie jest zabijaką i widać było, że się boi.

W końcu pojawił się Theo. Miał na sobie ubranie człowieka pracy i Jack przez chwilę się zastanawiał, skąd je wytrzasnął, bo wątpił, żeby ów mężczyzna parął się uczciwą pracą choć przez jeden dzień swego życia. Nie wiedział też, czy Theo nie da drapaką w krytycznym momencie. Ale doszedł do wniosku, że tak czy siak za godzinę lub dwie dowie się, z jakim typem człowieka ma do czynienia. Przedstawił Theo, po czym polecił wszystkim, by stanęli przy nim; nie chciał podnosić głosu.

- Naszym celem jest przestraszenie znajdujących się w środku ludzi tak, żeby zdradzili nam, gdzie przetrzymywana jest dziewczyna - zaczął. - Krzyczcie,

284

popychajcie, ale oszczędnie używajcie pałek, one są tylko dla tych, którzy staną nam na drodze, a nie dla biednych sukinsynów żyjących w tych dziurach.

- Sami nie zechcą nam czegośkolwiek zdradzić. Są na dnie, ale nawet oni mają zwyczaj trzymania mordy na kłódkę. Cały czas jednak wałęsają się tu po uliczkach, więc niektórzy z nich musieli widzieć, jak przyprowadzono tu Beth.

- I na koniec, uważajcie na dzieci. Będą ich setki, wy-roją się niczym mrówki po wetknięciu kija w mrowisko. Nie chcemy mieć żadnego z nich na sumieniu.

- Mamy wejść wszyscy naraz? - zapytał Karl, duży Szwed o blond włosach.

- Nie. Wejść ja z Pasquale i Dieterem, żeby upewnić się, czy Włosi i Niemcy zrozumieli, o co nam chodzi. Reszta z was zastawia drzwi i blokuje drogę potencjalnym uciekinierom. Mam trochę pieniędzy, w razie gdyby trzeba było dać łapówkę, więc miejcie oczy i uszy szeroko otwarte i wypatrujcie każdego, kto zachowuje się albo wygląda tak, jakby miał użyteczne dla nas informacje. Jack podał Samowi zapasową pałkę, wiedząc, że ten nie wpadnie na pomysł wzięcia ze sobą jakiegokolwiek broni. Zauważył, że Theo ma solidną laskę, co trochę go zaskoczyło; myślał, że mężczyzna przyniesie ze sobą nóż.

Jack prowadził, idąc ramię w ramię z Samem, pozostali szli tuż za nimi.

Kontrast między gwarem dnia a obecną pustką i ciszą był uderzający. Mijali wielu pijaków leżących nieprzytomnie na zamarzniętej ziemi. Przez chwilę Jack rozmyślał, ilu z nich nigdy się nie obudzi, bo słyszał, że w tych rejonach śmiertelność w zimie w znacznej mierze odnosiła się do tych, którzy zamarзли na śmierć.

285

Ale nie było tak całkiem cicho. Dochodziły ich odgłosy chrapania i płaczu dzieci, słyszeli też wszechobecne piski szczurów zajmujących się swoimi sprawami.

Zaczęli od Blind Man's Court i Pasquale zapalił latarenkę, którą przyniósł ze sobą. Tak jak spodziewał się Jack, w drzwiach frontowych nie było zamka, tak samo w tych prowadzących do pierwszego pokoju, do którego wpadli. Kiedy Pasquale podniósł wyżej latarenkę, zobaczyli co najmniej piętnastu ludzi skulonych razem na podłodze, niczym sardynki w puszcze.

- Gdzie jest dziewczyna? - ryknął Jack, szturchając ciała swoją pałką. - No już, mówcie, gdzie ona jest! Jedna po drugiej głowy podnosiły się, mrugając oczami w świetle. Jakaś kobieta krzyknęła, pewien mężczyzna ich przeklął, ale Jack nie ustępował.

- Wczoraj ktoś przyprowadził tutaj siłą dziewczynę - powiedział. - Około szóstej wieczorem. Widzieliście ją?

Kiedy Pasquale usłyszał, że część lokatorów należy do jego kraju, powtórzył pytanie po włosku. To wywołało potok słów i Jack spojrzał pytająco na Włocha, gdyż mimo iż nauczył się kilku zwrotów w tym języku, nie rozumiał pokrzykujących ludzi.

- Mówią, żebyśmy sobie poszli i że nic nie widzieli. Są zdenerwowani, że ich obudziłeś.

- Wierzysz im? Pasquale skinął głową.

- Lepiej spróbujmy w następnym pokoju. Systematycznie przeszli przez cały dom i pomimo że napotkali na swej drodze około dwóch setek ludzi, w tym dzieci i starców, niczego się nie dowiedzieli. Część młodszych mężczyzn uciekła przed nimi i wybiegła na zewnątrz, gdzie zatrzymali i przesłuchali ich pozostali. Ale

286

nie zmykali z powodu poczucia winy a z przyzwyczajenia. Wyglądało na to, że po prostu się bali, bo zazwyczaj w wyniku nalotów część z nich lądowała w "Tombs".

Kiedy byli gotowi ruszyć do następnego domu, narobili hałasu, który zaalarmował większość mieszkańców małego podwórka i ludzie Jacka mieli trudności z utrzymaniem wszystkich na miejscach. Na szczęście z powodu ciemności i przeraźliwego chłodu, ludzie na widok pałek w większości byli tak przerażeni, że szybko kryli się wewnątrz domów.

- Jack, tu jej nie przyprowadzili - powiedział Theo, kiedy przeszukali każdy dom od piwnic aż po strychy. - Widziałeś nadzieję w ich oczach, kiedy rozpowiedzieliśmy że za informację oferujemy nagrodę! Są na wpół żywi z głodu, gdyby coś wiedzieli, wchodziliby sobie nawzajem na głowy, żeby nam o tym powiedzieć.

- Miejmy nadzieję, że będziemy mieli więcej szczęścia na Bottle Alley - ze znużeniem powiedział Jack. Na Bottle Alley powtórzył się tok działań z Blind Man's Court, tyle że trudniej przyszło kontrolować ludzi wybiegających na zewnątrz, gdyż była to uliczka otwarta z obu stron. Kiedy dotarli do jej połowy, świeciło już i dodatkowym problemem okazali się ciekawscy przechodnie. Wielu przystawało, żeby zapytać, co się dzieje albo żeby się po prostu pogapić.

Sam wyglądał na skrajnie wyczerpanego. Po dwóch nieprzespanych nocach nie było mu łatwo zapanować nad tymi wszystkimi ludźmi tłoczącymi się dookoła i rozmawiającymi we wszystkich możliwych językach.

Popularna nazwa więzienia na Manhattanie [przyp. red.].

287

Jack również był zmęczony. Miał wrażenie, że przynajmniej tysiąc razy zadał te same pytania i zdarzały się momenty, kiedy korciło go, żeby użyć palki, choćby po to, by sprowokować jakąś konkretną reakcję poza pustymi spojrzeniami. Staruchy zaciskające szale na zgarbionych ramionach wyciągały brudne ręce, prosząc o pieniądze, wielu mężczyzn rzucało w ich kierunku obelgi, a dzieci nieustannie śmigały między nimi, utrudniając przejście.

Ku zdumieniu Jacka, Theo okazał się bardzo dobry w kontaktach z dziećmi. Większość z nich mówiła po angielsku, przynajmniej na tyle, że mógł się z nimi porozumieć i Theo pilnie krążył między dziatwą, uśmiechając się, zadając pytania i oferując nagrodę za informacje. W pewnej chwili zawołał: -Jack, chodź tutaj!

I kiedy Jack utorował sobie drogę przez tłum, zobaczył go stojącego z sześć- może siedmioletnią dziewczynką. Wyglądała jak wszystkie inne tutejsze dzieci; była przeraźliwie chuda i blada, włosy miała zbite w kołtun, a jej ciemne oczy wydawały się za duże na tak drobną twarzyczkę. Stała boso, miała na sobie tylko cienką, postrzępioną sukienkę i brudny szal krzyżujący się na piersi.

- Słyszała coś - powiedział Theo, kiedy Jack dotarł do niego. - Ale nie najlepiej mówi po angielsku. Ciągle przechodzi na włoski.

Jack zawołał Pasquale, który przyklęknął przed dziewczynką i przemówił do niej w jej języku. Włoch był przystojny, miał kruczoczarne kręcone włosy, oliwkową skórę oraz łagodne ciemne oczy i choć dziewczynka nieśmiało patrzyła na niego przez szczeliny pomiędzy paluszkami, gdy mężczyzna odezwał się do niej znowu i uśmiechnął, żeby dodać jej otuchy, zaczęła odpowiadać.

288

Theo wyciągnął srebrnego dolara i w oczach malej pojawił się błysk chciwości.

- Powiedz, że go dostanie, jeżeli powie, co słyszała i gdzie to było.

Widok srebrnego dolara chyba zrobił swoje. W jednej chwili mała zaczęła trąkotać jak nakręcona.

- Co ona mówi? - spytał Jack.

-Wczoraj słyszała łomotanie i jakby nawoływanie. Powiedziała o tym mamie, a ta orzekła, że w tej okolicy ludzie ciągle rozbijają się i wrzeszczą. Ale dziewczynka mówi, że nigdy nie słyszała, żeby ktoś wołał w ten sposób jak ta pani.

Jack poczuł, jak serce skacze mu do gardła.

- Gdzie to było? - zapytał.

Pasquale przetłumaczył pytanie, a dziewczynka wzięła go za rękę, jakby chciała ich tam zaprowadzić.

Jack i Theo ruszyli za nimi aż do końca uliczki, gdzie jeszcze nie szukali. Dziecko zatrzymało się przy niewielkim pustym placu, na którym kiedyś przypuszczalnie stał jakiś budynek, który zawałił się albo spłonął. Cały teren pokrywały odpadki i gruz; stała tam również nędzna, wałcząca się buda, w której prawdopodobnie kiedyś była stajnia. Dziewczynka spojrzała na Pasquale i znowu zaczęła mówić.

Włoch uśmiechnął się.

- Chowa się w tej budzie, kiedy jej tata jest pijany. Spała tam i nad ranem obudziło ją łomotanie i krzyki.

Twierdzi, że dobiegały stamtąd. - Wskazał na budynek po lewej stronie.

Jack poczuł przyływ podniecenia. Domy po obu stronach pustego placu były bardzo stare i podparte dużymi drewnianymi belkami, ale pomiędzy nimi, tam, gdzie

143

normalnie byłby wewnętrzny dziedziniec, postawiono nowe budynki. Takie miejsca, zwane przybudówkami, były powszechnym widokiem w całym Lower East Side.

- Chodźmy tam - powiedział.

Stając przed frontem przybudówki, Jack zobaczył, że drzwi zamknięto na kłódkę, zaś okna zabito deskami. Zapytał dziewczynkę, czy ktoś tam mieszka. Wzruszyła ramionami i powiedziała coś po włosku.

- Mówi, że raczej nie - przetłumaczył Pasquale. - Ale czasami przychodzą tu jacyś mężczyźni. Zanim Jack zdążył powiedzieć, że chyba udało im się znaleźć właściwe miejsce, Theo wcisnął srebrnego dolara w drobną dłoń dziecka, obiegł budynek dookoła i wspinał na ścianę łączącą obie części budowli. Przeszkoda miała około ośmiu stóp wysokości, ale pokonał ją z łatwością, gdyż była chropowata, dając wiele punktów oparcia dla rąk i nóg. Na górze przysiadł na chwilę, a potem zeskoczył na drugą stronę.

Jack szybko poszedł w jego ślady, wołając do Pasqua-le, żeby ściągnął innych i przyniósł latarnię. Zeskoczył na maleńkie podwórko pomiędzy dwoma skrzydłami przybudówki.

Miało powierzchnię jedynie około czterech stóp kwadratowych i było po kostki zawałone odpadkami, które na szczęście zamarzyły na kamień. Dostępu do drzwi obydwu skrzydeł broniły kłódki, a wszystkie okna, z wyjątkiem tego przy drzwiach wejściowych, zabito deskami. Przy tym jednym deska została oderwana, odsłaniając popękana szybę.

Theo podniósł swoją laskę i wybił resztki szkła. - Poczekaj na resztę - krzyknął Jack, ale Theo nie zwrócił na niego uwagi i wsunął się do środka.

144

Jack miał ruszyć za nim, kiedy usłyszał Karła, krzyczącego, że idzie z latarnią, więc poczekał, aż przyjaciel znajdzie się na szczycie muru i poda mu źródło światła.

Ciężkie buty Theo łomotały na gołych deskach wewnątrz budynku, ale kiedy Jack wspinał się przez okno, wydało mu się, że coś słyszy

Poprosił Theo, żeby ten się nie ruszał, i nastawił ucha; po chwili obaj usłyszeli słaby okrzyk.

- Beth? - ryknął Theo. - Czy to ty? Przybyłem, żeby cię uwolnić!

Obydwaj mężczyźni stali nieruchomo, wyęzając słuch.

A potem, kiedy Jack zaczynał już podejrzewać, że tylko się przesłyszeli, usłyszał głos Beth.

-Jestem pod wami - zawołała cienkim i słabym głosem. -W podłodze jest kłapa.

- Właśnie zapalam światło, żeby się przyjrzeć - odkrzyknął Theo, dając Jackowi znak, żeby to zrobił.

-Trzymaj się, zanim się obejrzysz, będziesz wolna.

W świetle latarni zobaczyli stół i kilka krzeseł, parę dużych drewnianych pudeł pod ścianą i pokaźną ilość pustych butelek porzucanych dookoła. Wyglądało to tak, jakby przychodzący tu mężczyźni oddawali się grze w karty.

Ale nie widzieli żadnej kłapy w podłodze.

Do środka wszedł Karl, za którym szybko pojawił się Pasquale i wszyscy zaczęli przesuwając pudła, żeby zobaczyć, co znajduje się pod nimi.

Kiedy przesunęli ostatnie, cięższe od pozostałych, w końcu zobaczyli kłapę.

- Znaleźliśmy ją, Beth - krzyknął Theo i Jack pochylił się nad uchwytem.

291

- Tu jest drabina - krzyknął Pasquale, ciągnąc ją przez korytarz. Jack chciał pierwszy zejść po drabinie, ale Theo odepchnął go łokciem i zniknął w ciemnościach poniżej.

-Już wszystko dobrze - usłyszeli, jak mówi do pochlipującej cicho Beth.

Theo przerzucił sobie dziewczynę przez ramię i wyszedł na górę, a gdy postawił ją na szczycie drabiny, Jack pomyślał, że nigdy nie widział smutniejszego widoku. Twarz miała pokrytą brudem, oczy zaczerwienione i opuchnięte, zaś lzy utworzyły białe linie na jej policzkach. W przemoczonej sukience i butach była tak zeszywniała z zimna, że potknęła się, kiedy spróbowała zrobić krok naprzód.

- Myślałam, że umrę - powiedziała chrapliwym szeptem.

Theo otulił ją ramionami.

- Musimy ją szybko zabrać w jakieś ciepłe miejsce -powiedział.

Sam i inni właśnie przechodzili przez mur i przez kilka chwil wszyscy mówili jeden przez drugiego, uradowani, iż ich misja zakończyła się sukcesem. Beth praktycznie nie zwracała uwagi na kogokolwiek poza Theo i kiedy razem przenosili dziewczynę nad murem, by zabrać ją w bezpieczne miejsce, Jack poczuł silne ukłucie zazdrości.

To on był jej prawdziwym wybawcą. On zaplanował akcję, skrzyknął ludzi i zorganizował całe przedsięwzięcie. A Theo, który w istocie zrobił stosunkowo niewiele, gdy znaleźli dziewczynę przejął inicjatywę i w oczach Beth to on będzie wybawicielem.

Rozdział dziewiętnasty



Kawiarenka, do której zabrali Beth, była ciepła i parna. Dziewczyna zginała palce i badała kostki poranione od walenia w ściany.

- Powinniśmy zabrać cię do lekarza - powiedział Jack.

- Nie przesadzaj - odpowiedziała, uśmiechając się słabo. - Już mi cieplej i kiedy się wykapię i wyśpię, nic mi nie będzie. Szkoda, że twoi przyjaciele zniknęli, zanim zdążyłam im podziękować.

Kiedy Theo wyciągnął ją z piwnicy, miała wrażenie, że umysł ma równie przemarznięty, co ciało. Nie potrafiła niczego wyjaśnić, a kończyny odmawiały jej posłuszeństwa. Theo niósł ją przez całą drogę do kawiarni i mimo że Jack z Samem ciągle zadawali jej pytania, jak i gdzie została porwana, nie była w stanie udzielić im żadnej konkretnej odpowiedzi.

Ale po dwóch dużych filiżankach gorącej, słodkiej kawy i po zjedzeniu niewielkiej porcji jajecznicy na boczku, odtajala wystarczająco, żeby opowiedzieć, jak doszło do całej sytuacji i wyjaśnić, że porywacz nie zostawił jej nic do jedzenia, picia ani nawet koca. Opisała im, jak krzyczała, dopóki nie ogarnęło jej zmęczenie, i że mimo to nie straciła nadziei na ocalenie. Teraz, kiedy była

bezpieczna, z jej pamięci powoli ulatywał strach, który czuła, gdy siedziała skulona w ciemnościach, mając za całe towarzystwo jedynie piszczące i biegające w mroku szczury. Widziała malujący się na twarzach mężczyzn niepokój i nie chciała dodatkowo ich straszyć.

Gdy usłyszała głosy Theo i Jacka, pomyślała, że powoli popada w otchłań szaleństwa i jedynie wydaje się jej, że słyszy to, co słyszy. Dopiero kiedy ratownicy otworzyli kłapę, do pogrążonego w ciemnościach więzienia wlało się światło, a w otworze zamajaczyła twarz Theo, uwierzyła, że to dzieje się naprawdę.

- Możesz ukryć się u mnie - powiedział Theo, ujmując jej rękę i całując koniuszki palców. - Nikt nie wie, gdzie to jest, a to spokojny dom. Weźmiesz gorącą kąpiel i porządnie się wyśpisz.

Beth wydało się to niebiańską wizją, ale spostrzegła pełne niepokoju spojrzenia, które wymienili między sobą Sam i Jack.

Theo również je zauważył i, puszczając jej dłoń, twardo spojrzał na Sama.

- Zdajesz sobie sprawę, że wszyscy znajdziemy się w niebezpieczeństwie? Paluch będzie chciał krwi, a Heaney nie zapewni nam żadnej ochrony, bo martwi się tylko o swój tyłek.

- Nie widzę powodu, dla którego Paluch miałby nas ścigać - odpowiedział Sam wojowniczo. - Nawet taki oprych jak on na pewno zrozumie, że mężczyzna ma prawo i obowiązek ratowania siostry

- Chodzi o zachowanie twarzy - powiedział z irytacją Theo. - Guzik go obejdzie, czy postąpiliśmy szlachetnie, czy niegodnie. On ujrzy w tym próbę stanięcia mu okoniem.

294

- Sam, on ma rację - westchnął Jack, bezwiednie przeczesując ręką swoje czarne włosy. - Paluch to wariat, a sposób, w jaki potraktował Beth, dowodzi, że nic dla niego nie znaczyła. Zamierzał po prostu sprowokować Heaney'a. Teraz będzie musiał wykombinować coś innego i wcale bym się nie zdziwił, gdyby podłożył dziś wieczorem w saloonie bombę, tylko po to, żeby pokazać, jaki z niego twardziel.

- Chcesz mi powiedzieć, że nie powinienem już tam pracować? - z niedowierzaniem zapytał Sam.

- Nie, chyba że spieszno ci na cmentarz - złośliwie uśmiechnął się Theo. - Sam, musisz się ulotnić.

Wszyscy musimy Paluch, Heaney i ich żołnierze to nie są rozsądni ludzie, tylko bezmyślne, prymitywne bydlaki dążące do wojny gangów, a my będziemy obrywać z obu stron. Najlepszą rzeczą, jaką możecie teraz zrobić, to jak najszybciej wyruszyć do Filadelfii. Mam tam przyjaciół, u których będziecie mogli się zatrzymać, a ja przywiezę Beth, gdy tylko odzyska siły na tyle, żeby móc podróżować.

- A co z moimi kolegami z rzeźni? - zapytał Jack; na jego pobladłej twarzy malował się niepokój.

Theo wzruszył ramionami.

- Myślę, że im raczej nic nie grozi. Ani Paluch, ani Heaney ich nie znają.

- Nie możemy tak po prostu wyjechać, jest Wigilia! - zaprotestował Sam.

Theo podniósł brew.

- Jesteś pewny, że ci dranie to ludzie dobrej woli? Pomyślą raczej, że dziś, z powodu tłoku we wszystkich barach, będzie idealna okazja do ataku.

Na twarzy Sama gniew ustąpił przestraszowi.

- A co z naszymi rzeczami na Houston Street?

295

Theo spojrzal na zegar na ścianie; było kilka minut po dziesiątej.

- Nie sądzę, żeby Paluch albo Heaney przed południem dowiedzieli się o naszej akcji. Możesz iść i wszystko spakować, ja najpierw zabiorę Beth do siebie, a potem przyjdę, żeby zabrać jej rzeczy

- Dlaczego myślisz, iż Beth będzie z tobą bezpieczna? - zapytał podejrzliwie Sam. - Powiedziałeś, że sam musisz wyjechać!

- I tak zrobię, gdyż w najbliższej przyszłości z pewnością nie będę mógł zagrać w karty nigdzie w Nowym Jorku - odpowiedział Theo. - Ale nikt nie wie, gdzie mieszkam. Będziemy tam bezpieczni do czasu, aż Beth wyzdrowieje.

- Pozwól mi porozmawiać z Beth na osobności - powiedział szorstko Sam.

Theo skinął głową i powiedział, że daje mu dziesięć minut.

Kiedy tylko zamknęły się za nim drzwi kawiarni, Sam przysunął się do siostry.

- Nie chcę cię z nim zostawiać - powiedział. - Zwłaszcza w Wigilię.

Beth rozumiała jego obawy, ale była zbyt zmęczona, żeby teraz zwracać sobie tym głowę, a poza tym kochała Theo; uwolnił ją i gotowa była pójść wszędzie, gdzie ten ją poprowadzi.

- To jedyne wyjście - powiedziała, delikatnie głaszcząc policzek brata. - Zapewniam, że nic mi nie będzie. Jestem tak słaba, że gdybym teraz miała pójść z wami, tylko bym wam przeszkadzała.

- Nie wypada, żebyś przebywała z takim mężczyzną jak on sam na sam - z uporem powiedział Sam. - I nie

296

podoba mi się też, że dyktuje Jackowi, co ten ma robić.

- Nieglupio mówił - wtrącił się Jack. - Kiedy to wszystko się rozpętało, wiedziałem, że nie będę mógł tu zostać; słyszałem, co te dranie robią każdemu, kto wejdzie im w paradę. Wolalbym, żeby Beth poszła teraz z nami, ale Sam, ona nie czuje się na siłach, więc nie mamy żadnego wyboru.

Beth spojrziała na Jacka z wdzięcznością.

- Tak mi przykro, że zostałeś w to zamieszany i stracisz swoją pracę.

- W Filadelfii mogę znaleźć lepszą - powiedział z uśmiechem rezygnacji na twarzy. - No i nie jesteśmy już frajerami, może nawet dorobimy się majątków.

Kiedy dorożka zabrała ją wraz z Theo do jego mieszkania, Beth ledwie mogła utrzymać oczy otwarte. Theo ustalił, że spotka się z Jackiem i Samem trochę później, żeby zabrać jej rzeczy i dać im list polecający do swojego filadelfijskiego przyjaciela.

- Szybko się tam odnajdą - zapewnił ją, gdy przy pożegnaniu uroniła kilka łez. - Frank jest majątnym mężczyzną i ma udział w każdym interesie w Filadelfii. Zanim chłopcy zdążą się rozpakować, zatrudni Sama w jednym ze swoich saloonów, a Jackowi znajdzie jakąś inną pracę.

Beth była tak wyczerpana, że nie zwróciła uwagi, dokąd wiezie ich dorożka, poza tym, iż od Houston Street kierowała się gdzieś w stronę przedmieść. Zdążyła tylko zauważyć, że podjechali do domu z brunatnego piaskowca, położonego przy cichym placu w okolicy, gdzie żyły zamożniejsze rodziny

147

Theo wniósł ją po schodach do dużego pokoju od frontu. Beth zauważyła duże łóżko ze zdobionymi rzeźbieniami kolumnkami i szybko opadła na posłanie. Jak przez mgłę słyszała jeszcze, że Theo mówi, iż powinna zdjąć buty, powiedział też coś o tym, że zanim pojedzie na Houston Street, poinformuje właścicielkę domu o jej obecności, ale już prawie spała i nie była w stanie odpowiedzieć. Jakiś czas później ze snu wyrwał ją znajomy odgłos rozpalania kominka i przez kilka chwil myślała, że znowu jest w Liverpoolu, gdyż był to pierwszy dźwięk, który słyszała każdego ranka w dzieciństwie. Było jej bardzo ciepło; przykrywająca ją pościel była gruba i ciężka. Ale kiedy się poruszyła, ból w plecach sprawił, że wróciła do rzeczywistości. Z osłupieniem zdała sobie sprawę, iż ma na sobie tylko staniczek i halkę; sukienkę, pończochy i gorset ktoś już jej zdjął.

Trzymając pościel podciągniętą pod sam nos, ostrożnie otworzyła oczy i zobaczyła Theo pochylającego się nad paleniskiem. Raczej wyczuwała, niż miała pewność że był z nią w pokoju od dłuższego czasu, gdyż kotary były zasłonięte, gazowa lampa zapalona, a on miał na sobie tylko koszulę.

Pokój wyglądał na bardzo przytulny; Beth zobaczyła dwa duże fotele przysunięte do kominka i rozłożony przed nimi czerwony dywanik. Całe pomieszczenie przesycała atmosfera zamożności; lampy na ścianie miały ozdobne szklane klosze, kotary uszyto z grubego brokatu, zaś pod jedną ze ścian stała komoda z tego samego ciemnego drewna co łóżko i równie ozdobnie rzeźbiona.

- Theo - wyszeptala - która godzina?

148

Wyprostował się i odwrócił do niej z uśmiechem na twarzy.

- Nareszcie! Zacząłem już podejrzewać, że nigdy się nie obudzisz. Jest siódma wieczór. Kilka godzin temu Jack i Sam wyjechali do Filadelfii.

- Kto mnie rozebrał? - zapytała.

-Ja. Nie mogłem pozwolić, żebyś spała w ubraniu. Było mokre, brzydko pachniało i spałoby ci się bardzo niewygodnie - odpowiedział.

Beth oblala się rumieńcem i głębiej zakopala pod pościelą.

- Dasz mi więc coś do założenia? - zapytała nerwowo. - Muszę wstać.

Podszedł do drzwi i z haka wziął kraciasty welniany szlafrok.

- Na razie załóż to, choć mam tu wszystkie twoje rzeczy. Jeżeli chcesz się wykąpać, łazienka jest zaraz na półpiętrze i upewniłem się, że woda ma odpowiednią temperaturę. Ale może najpierw zechciałabyś coś zjeść? Zostało mi trochę pieczonego kurczaka i ziemniaków, które trzymam podgrzane w kuchni pani Marchment.

- Czy nie będzie miała nic przeciwko temu, żebym tu została? - zapytała Beth, wciągając szlafrok pod pościel, żeby go założyć, nie ukazując nagiego ciała.

- Nie, absolutnie nie. Wytłumaczyłem, co cię spotkało - powiedział. - Jutro możesz się z nią spotkać. Później tego wieczora Beth leżała w łóżku, czując się dziwnie rozczarowana. Theo cały czas okazywał jej troskliwość. Przyniósł przepyszny duży posiłek, przygotował gorącą kąpiel i dał kilka szklaneczek whisky zmieszanej z mlekiem i cytryną, co wedle jego opinii miało

299

uchronić ją przed okropnym przeziębieniem. Ale nawet jej nie pocałował.

Czuła na poduszkach zapach jego oliwki do włosów i prawie wyczuwała odcisk jego ciała na materacu, ale teraz spał gdzie indziej i nawet delikatnie nie zasugerował, że chciałby zostać z nią w łóżku.

Czy gdyby tak zrobił, zgodziłaby się?

Beth nie potrafiła sobie na to odpowiedzieć. Rozsądek jej mówił, że by do tego nie dopuściła. Ale skoro tak, to czemu czuła się zawiedziona?

Ciągle dręczyło ją też pytanie, gdzie się podziewał przez te wszystkie tygodnie. Nie wytłumaczył się z tego ani w żaden sposób nie przeprosił. Było wielce prawdopodobne, że gdzieś ukrywa inną kobietę, ale jeżeli tak się sprawy miały, to dlaczego powiedział, że zabierze Beth do Filadelfii?

Musi ją kochać. W przeciwnym razie, dlaczego zadalby sobie trud zaplanowania i przeprowadzenia akcji jej uwolnienia? Opowiedział, jak odkrył, że Paluch posiada nieruchomości zarówno w Blind Man's Court, jak i Bottle Alley, a potem przeszukiwał każdy pokój każdego domu, aż znalazł dziewczynkę, która powiedziała, że słyszała łomotanie i krzyki. Oczywiście, Sam, Jack i jego znajomi też tam byli, ale jasne było, że przewodził im Theo.

Wieczorem krążyła po jego pokoju i zwracała uwagę na drobne szczegóły: fotografie rodziny w srebrnych ramkach, ubrania i buty dobrej jakości, złote spinki do mankietów, pokryte srebrem szczotki do włosów i przynajmniej tuzin jedwabnych krawatów. Meble w pomieszczeniu były stare i podniszczone, ale nie miała wątpliwości, że kiedyś była to rezydencja bogatego

300

człowieka. Zastanawiała się, dlaczego pozwolił jej myśleć, że mieszka w podobnych warunkach, jak ona i Sam.

Mogło to wynikać z faktu, iż nie wiedział, że biedni ludzie, tacy jak oni, nie mają łazienek albo ustępu tuż za drzwiami. Może naprawdę uważał, że zaciska pasa, bo musiał mieszkać i spać w jednym pokoju? Ale jeżeli samodzielny pokój, miękkie prześcieradło, puchowa kołdra i trzaskający wesolo ogień na kominku było zaciskaniem pasa, to z przyjemnością by mu w tym potowarzyszyła. W domu panowała niemal kościelna cisza - Beth nie słyszała żadnego płaczu dzieci, podniesionych głosów ani pijackich postękiwań ludzi na klatce schodowej. Jedynym dźwiękiem, jaki przez cały wieczór docierał do niej od czasu do czasu, było postukiwanie kół dorożki na ulicy.

Chciała wierzyć, że Theo trzyma się dziś wieczór na dystans, gdyż ją kocha i szanuje, bo tak zachowywali się dżentelmeni w powieściach romantycznych. Ale jakiś cichy głosik w głowie przestrzegał Beth przed takim myśleniem; ten mężczyzna nigdy nie powiedział, że ją kocha, a Ira nieraz zwracała jej uwagę, że hazardziści żyją podług własnych praw.

Następnego ranka Beth obudziło pukanie do drzwi. Zanim zdążyła się ogarnąć, do środka weszła kobieta ze śniadaniem na dużej tacy.

- Jestem pani Doughty służąca pani Marchment - powiedziała zimnym głosem z surowym wyrazem twarzy. - Pan Cadogan poprosił mnie, żebym to pani przyniosła i przekazała, że zobaczy się z panią wieczorem.

- Ale jest Boże Narodzenie - wykrzyknęła Beth. Śniadanie składające się z bekonu, jajek, naleśników

301

i kawy bardzo ucieszyło dziewczynę, ale nie mogła uwierzyć, że Theo zamierza zostawić ją samą na cały dzień.

Wyczuwała też dezaprobatę służącej. Kobieta była chuda, miała ostre rysy twarzy, stalowoszare włosy i z pewnością nie wyglądała na taką, którą Beth mogłaby przeciągnąć na swoją stronę.

- Pan Cadogan ułożył swoje plany na dziś kilka tygodni temu - odparowała pani Doughty -

Dżentelmeni nie odwołują takich ustaleń z błahych powodów. Zostałam też poproszona, żeby upewnić się, iż pani wypocznie i nie będzie wychodziła na zewnątrz.

- Przepraszam, że sprawiam pani dodatkowy kłopot - powiedziała Beth, próbując udobruchać kobietę. - Śniadanie wygląda cudownie.

- Więc niech pani je, póki jest ciepłe. Wrócę później, kiedy się pani przebierze, żeby zabrać panią na spotkanie z panią Marchment. Proszę nałożyć coś skromnego, nie chce jej chyba pani zaniepokoić, wyglądając jak dziewczyna z saloonu.

Potem odeszła, szybkim krokiem opuszczając pokój i pozostawiając Beth mocno wstrząśniętą.

Spotkanie z panią Marchment było jeszcze mniej przyjemnym doświadczeniem. Jej pokój na parterze był ponury, zapuszczony i śmierdziało w nim kocim moczem. Po wejściu do tego pokoju Beth jeszcze wyżej oceniła czystość pomieszczenia, w którym spał Theo. Choć ze swoją pomarszczoną, zabarwioną na żółto skórą, czarnym odzieniem i koronkowym czepkiem na białych włosach pani Marchment wyglądała na bardzo starą, jej głośny, szorstki głos należał jakby do osoby znacznie młodszej. Była drobna i chuda, ale jej dłonie

302

wyglądały na opuchnięte i obolale; Beth pomyślała, że staruszka najprawdopodobniej cierpi na artretyzm.

Nie okazała Beth cienia sympatii ani troski, zamiast tego zasypując ją pytaniami o jej rodzinę, tak jakby była przekonana, że w takie tarapaty mógł się wpakować tylko ktoś urodzony i wychowany w rynsztoku. Beth starała się przekonać ją o swoim dobrym wychowaniu, ale stara kobieta odparowała stwierdzeniem, iż każda dziewczyna pracująca w saloonie prosi się o kłopoty. Wyraziła też nadzieję, że Beth nie wykorzystuje dobrych manier pana Cadogana.

Beth starała się nie odpowiadać w podobnym tonie, stwierdzając jedynie, że to Theo zasugerował przyrowadzenie jej tutaj, ponieważ okropne przejścia ogromnie ją wyczerpały.

- Jestem mu bardzo wdzięczna za jego dobroć; pani zaś za pozwolenie zamieszkania tu na kilka dni, ale postaram się jak najszybciej dołączyć do brata - zakończyła.

Zrozumiała natychmiast, że Theo nie poinformował właścicielki domu o swoich planach rychłej wyprowadzki, Beth zaś nie zamierzała jej oświecać.

Nastrój dziewczyny pogorszył się jeszcze, kiedy wróciła do pokoju Theo. Była niemile widzianym gościem w nieznanym sobie okolicy, nie wiedziała też, gdzie konkretnie w Filadelfii znajdują się Jack i Sam. Czuła się jak w potrzasku, kompletnie zdana na łaskę Theo.

Myślami wróciła do poprzednich świąt Bożego Narodzenia na Falkner Square, pomyślała o Molly drepczącej po kuchni, ciepłe i radości przepelniającej tamto miejsce, poczuciu absolutnego bezpieczeństwa i szczęścia; i zapragnęła tam wrócić.

303

Theo wpadł do pokoju zaraz po siódmej, wypełniając pokój zapachem cygar i obrazami zastawionych jedzeniem i pićm stolów oraz wesolego towarzystwa.

- Żałuję, że nie mogłem dzisiaj wziąć cię ze sobą - powiedział, biorąc ją w ramiona i składając na jej ustach długi, namiętny pocałunek, który sprawił, że Beth zakręciło się w głowie.

Zaraz potem pojawiła się pani Doughty, niosąc im zimną kolację składającą się z szynki i korniszonów. Beth nie musiała pytać, dlaczego Theo dostawał gotowane posiłki oraz dlaczego robiono mu pranie i sprzątało pokój, podczas gdy czterej pozostali lokatorzy, obecnie z okazji świąt przebywający u swoich rodzin, musieli radzić sobie sami. Miał w sobie coś, co sprawiało, iż każda, choćby nie wiedzieć jak stara kobieta, chciała się nim opiekować.

Po zjedzeniu kolacji Beth przesunęła fotel, żeby znaleźć się bliżej kominka. Theo wyjął jej skrzypce z futerału i podał dziewczynie.

- Chyba nie chcesz, żebym teraz zaczęła grać? - zapytała z pewnym zaskoczeniem. - Czy to nie będzie przeszkadzać pani Marchmont?

Theo stłumił śmiech.

- Jeszcze bardziej będzie jej przeszkadzała cisza. Podejrzewałaby, że się kochamy. Ale pomyślałem, że to cię zajmie, gdyż ja za parę minut i tak muszę znowu wyjść.

Beth poczuła ogromne rozczarowanie.

- Myślałam, że powiedziałeś, iż wychodzenie na zewnątrz jest dla ciebie niebezpieczne? - zapytała cicho.

- Byłoby, gdybym ograniczał się jedynie do Bowery - Wzruszył ramionami, podnosząc grzebień i podchodząc do lustra. - Ale mam interesy w innych, o wiele porządniejszych i bardziej godnych szacunku dzielnicach.

304

Być może wyczuł jej rozczarowanie, gdyż podszedł i objął ją.

- Muszę się zobaczyć z kilkoma ludźmi, mam też pewne interesy do uporządkowania - powiedział, czule całując ją w czoło. - Oczywiście, o wiele chętniej zostałbym tu z tobą, ale wtedy kusiłoby mnie, żeby się z tobą kochać. Kiedy dostaniemy się do Filadelfii, wszystko będzie inaczej. A ty musisz ćwiczyć grę na skrzypcach; gdy się tam znajdziemy, zarekomenduję cię we wszystkich najlepszych lokalach.

Po jego wyjściu Beth zaczęła grać na skrzypkach. Palce miała sztywne i obolałe; w gruncie rzeczy bolało ją całe ciało i samo trzymanie instrumentu stanowiło nie lada wyzwanie, ale gra była dla niej sprawdzonym sposobem na odzyskanie równowagi emocjonalnej. Nie próbowała wykonywać żadnych granych u Heaney'a przepelnionych radością jigów, wróciła do melancholijnych i wolniejszych melodii, których jeszcze jako dziecko nauczyła się od dziadka. Powiedział kiedyś, że przypominały mu o pięknie Irlandii: grając je, widział zatokę Galway pogrążoną we mgle, zabarwione purpurą górskie szczyty i rosnące dziko na wiosnę bagienne kwiaty. Beth obrazy wywoływane przez ową muzykę uspokajały, były przepelnione miłością i poczuciem bezpieczeństwa, gdyż przywoływały wspomnienia saloniku na Church Street, siedzących blisko siebie na kanapie rodziców i dziadka z zamkniętymi oczami i uśmiechem na twarzy.

Dwudziestego ósmego grudnia Beth i Theo złapali pociąg do Filadelfii. O swoich planach opuszczenia domu

305

Theo poinformował panią Marchment dopiero minionego wieczoru i Beth słyszała jej podniesiony gniewnie głos.

Theo nie zdradził Beth, co zostało powiedziane. Jedynym komentarzem z jego strony było stwierdzenie, że nigdy nie powiedział pani Marchment, iż zamierza zostać w jej domu na stałe.

- Nie cierpię, kiedy ludzie starają się mnie usidlić, jakbym był ich własnością - dodał, ostrzegając jakby mimowolnie przy tej okazji Beth.

Do Filadelfii dojechali już po zapadnięciu zmroku; dorożka zawiozła ich ze stacji na ulicę, przy której stały stare budynki w stylu kolonialnym. Drzwi otworzyła im niska, przysadzista, czarnoskóra kobieta ubrana w biały fartuch i nakrapiany turban.

- Pan Cadogan! - powiedziała, uśmiechając się od ucha do ucha. - Dobrze pana znowu widzieć.

- Ciebie też, Pearl - powiedział, poklepując jej policzek z widoczną sympatią. - To panna Bolton, która przybyła, żeby dołączyć do swojego brata.

Pearl obrzuciła Beth taksującym spojrzeniem, być może zaskoczona faktem, że dziewczyna tak różni się wyglądem od Sama.

- Proszę wejść, panno Bolton, ale obawiam się, że Sam i Jack wyszli gdzieś w interesach. Wrócą jednak później, więc przygotuję kolację, a potem pokażę pani jej pokój.

Beth była zawiedziona tym, że Sam i Jack jej nie powitają, ale widok tego eleganckiego, wygodnego i ciepłego domu nappełnił ją ulgą. Drzwi i balustrady błyszcząły tu lakierem, na schodach leżał gruby dywan, a światło pięk

306

nych lamp gazowych odbijało się w wielkich lśniących zwierciadłach oprawionych w złocone ramy.

Kiedy Pearl zaprowadziła ich do kuchni na tyłach domu, Beth kątem oka dostrzegła luksusowy salon z meblami o czerwono-złotym obiciu i dużym kominkiem.

- Trochę tu inaczej niż u pani Marchment, prawda? - zapytał z uśmiechem Theo.

Z pokojów na górze dobiegał śmiech, ale ani Theo, ani Pearl, będąca tu według przypuszczeń Beth gospodynią, nie wspomnieli ani słowem o pozostałych mieszkańcach domu, więc dziewczyna zadowolona się zjedzeniem kolacji składającej się z zupy, chleba i sera, i słuchała pogawędki Theo z Pearl.

Było jasne, że Cadogan owinął ją sobie wokół palca tak samo jak panią Marchment, gdyż kobieta chciwie chłoneła każde jego słowo, krzątała się dookoła niego i całą sobą okazywała radość z wiadomości, że Theo zamierza zatrzymać się tu na jakiś czas.

- Mam jeszcze pewne sprawy do załatwienia - powiedział do Beth, kiedy skończył kolację. - Ale Pearl zaopiekuje się tobą do czasu powrotu Sama i Jacka. Zobaczymy się nad ranem.

- Wyglądasz na bardzo zmęczoną - powiedziała Pearl z troską w głosie, po tym jak Theo wyszedł. - Zabiorę cię teraz do twojego pokoju, żebyś mogła się tam urządzić.

Pearl ruszyła do piwnicy, trzymając lampę olejną, zaś Beth poszła za nią, niosąc swoją walizkę. Po ciepłe kuchni na dole odczuła chłód i Pearl przeprosiła ją za to, obiecując, że rozgrzeje jej pościel, wkładając na noc gorącą cegłę do łóżka.

307

-Jesteśmy na miejscu - powiedziała, otwierając drzwi do długiego korytarza o kamiennej, chropowatej podłodze. - Tu jest pralnia - kontynuowała, pokazując drzwi po lewej stronie, a potem, wskazując na prawo, wyjaśniła, że tam właśnie mieszkają Sam i Jack.

Pokój Beth był mały, miał może dziewięć na siedem stóp i zakratowane okno.

- Z pewnością jest tu ciasno, ale za to naprawdę cicho - powiedziała Pearl. - Sam i Jack nie wrócą przed północą, więc jeżeli coś usłyszysz, nie denerwuj się, to tylko oni będą wracać do siebie. Nikt inny tu nie przychodzi. Jeżeli będziesz czegoś potrzebować, po prostu przyjdź do kuchni i daj mi znać.

Pokój był skromny; jedyne meblowanie stanowiło żelazne łóżko, umywalka z cynową miską i dzbankiem oraz mała szafka na ubrania. Ale wyglądał na czysty i ładnie pachniał, zaś Beth była tak zmęczona, że nawet nie była zła, iż Theo znowu zostawił ją samą.

Po tym, jak Pearl udała się na górę, dziewczyna wzięła lampę olejną i przeszła do następnego pokoju, gdzie pokrzepił ją widok jednej z koszul Sama wiszącej na kołku w ścianie i kraciastej marynarki Jacka przewieszanej przez oparcie krzesła.

Skończyła właśnie rozpakowywać swoją walizkę, kiedy zegar na górze wybił dziesiątą. Pomyślawszy, że pobiegnie na górę i zapyta Pearl, czy może wziąć trochę gorącej wody na kąpiel, ruszyła w kierunku schodów.

Drzwi do piwnicy na końcu korytarza otworzyły się i kiedy Beth dotarła do nich, usłyszała ludzi schodzących po schodach z pierwszego piętra. Zakładając, że są to członkowie rodziny, którzy mogą nie mieć ochoty na

308

potkać obcą osobę tak późnym wieczorem, Beth cofnęła się w cień.

Na ścianie naprzeciwko było duże lustro i nagle odbiły się w nim sylwetki czterech dziewczyn.

Zaskoczona gwałtownie wciągnęła powietrze, gdyż nie były to skromne młode damy, jakie spodziewała się zobaczyć, ale skąpo ubrane lafiryndy z częściowo odsłoniętymi piersiami i nogami; miały na sobie luźne stroje uszyte z satyny i koronek w krzykliwych kolorach.

Nie mogła mieć wątpliwości, kim były, i dokąd w istocie trafiła, gdyż Amy i Kate nieraz pokazywały jej podobne stroje. Nawet Ira miała w sklepie specjalnie wydzieloną sekcję, gdzie trzymała takie rzeczy. Wszystkie cztery dziewczyny, blondynka, dwie brunetki i jedna ruda, były młode i ładniutkie; chichotały, jakby właśnie usłyszały dobry dowcip.

- Jeżeli nie skończy w dziesięć minut, każę mu zapłacić kolejne dziesięć dolarów - powiedziała rudowłosa, parszkając śmiechem.

Beth była tak wstrząśnięta, że całkiem zapomniała

O kąpeli, cofnęła się na schody prowadzące do piwnicy

I cicho zamknęła za sobą drzwi. Chciałaby wierzyć, że jest inne wytłumaczenie dla sytuacji, ale wiedziała, że takowego nie będzie.

Theo sprowadził ją do burdelu.

Beth leżała sztywno na swoim wąskim łóżku, zbyt zdenerwowana, żeby zasnąć. W piwnicy było bardzo cicho, ale gdy wyteżyła słuch, dochodziły ją z góry dźwięki pianina i śmiechy. Wystarczająco gorsząca była świadomość, że kobiety sprzedają tam swoje ciała mężczyznom, ale jeszcze bardziej urażał ją fakt, iż Theo sprowadził ją tutaj, nie ostrzegając o tym ani jednym słowem. Czy myślał sobie, że jest zbyt głupia lub naiwna, żeby nie zorientować się, czym w istocie jest ten dom? A może miał jakiś bardziej niecny powód i zamierzał wciągnąć ją w ten interes? Nie miała pojęcia, która była godzina, kiedy w końcu usłyszała w korytarzu głosy Jacka i Sama. Mogła się tylko domyślać, że jest dobrze po pierwszej. Wyskoczywszy z łóżka i zatrzymawszy się tylko na chwilę, żeby zarzucić szal na koszulę nocną, boso wbiegła do pokoju obok.

- Beth! - wykrzyknął Sam. - Nie spodziewaliśmy się ciebie tak szybko.

- Lepiej się czujesz? - zapytał Jack.

Było jasne, że obydwaj pili, gdyż chwiali się i mieli szkliste oczy.

Jednym tchem wyrzuciła z siebie, co widziała i jak wściekła jest na Theo, że ten jej nie ostrzegł.

- Czy powiedział wam, co to za miejsce, zanim tu przybyście? - zapytała.

- Cóż... no tak - powiedział lekko zmieszany Jack. - Ale mówił, że zamieszkamy w piwnicy i nie będziemy mieć żadnego kontaktu z tym, co dzieje się na górze. Nie używamy nawet tamtych drzwi, wchodzimy przez te od piwnicy

- Nie denerwuj się, siostrzyczko - powiedział trochę belkotliwie Sam. - To po prostu miejsce, gdzie się zatrzymamy do czasu, aż nie znajdziemy czegoś innego... i mamy już pracę. Zresztą nie jest tak, żebyś wcześniej nie spotkała dziwki. Kate i Amy były twoimi przyjaciółkami.

Beth naiwnie sądziła, że Sam nie wiedział, jak zarabiają na życie jej przyjaciółki w Nowym Jorku i poczuła lekkie zażenowanie.

- Ale Theo nic mi nie powiedział - stwierdziła płaczliwie.

- Wracaj do łóżka - powiedział Sam ze zniecierpliwieniem w głosie. - Tak, Theo jest kimś w rodzaju lobuza; myślisz, że dlaczego nie chciałem zostawiać cię z nim samej? Ale mamy tu dobrą kwatere, pracę i wszystko idzie jak z płatka. Porozmawiamy o tym jutro.

Beth spojrzała błagalnie na Jacka, ale ten wzruszył tylko ramionami.

- Są miejsca gorsze od burdeli - powiedział.

Następnego ranka dopiero co świtało, kiedy Beth usłyszała głos Theo. Brzmiało to tak, jakby był w kuchni na górze i z kimś rozmawiał. Wściekła, że nie tylko ją

312

zdradził, ale i zdeprawował brata i przyjaciela, ubrała się i szybko ruszyła na górę.

Siedział spokojnie przy stole, popijając kawę i rozmawiając z Pearl. Rozczochrane nieco włosy i lekki zarost na podbródku dowodziły, że nie było go przez całą noc.

- Jak mogłeś mi to zrobić? - zapytała go z furją, zanim zdążył się przywitać. - Daleś mi do zrozumienia, że zabierasz mnie w jakieś porządne miejsce. A to jest burdel!

Nie obchodziło jej, czy urazi Pearl, a kiedy Theo zareagował na oburzenie dziewczyny śmiechem, poczuła nagłą chętkę wymierzenia siarczystego policzka w tę jego urodziwą gębę.

- Dajże spokój, Beth - powiedział, zapraszającym gestem poklepując stojące obok niego krzesło. - Naprawdę myślisz, że ktoś całkowicie porządny przyjąłby pod swój dach ludzi uciekających przed nowojorskimi opryszkami?

O tym Beth nie pomyślała... i ta uwaga szybko ją rozbroiła.

- Myślę, że powinnaś być wdzięczna osobie tak dobrej jak Pearl, że gotowa jest wziąć na siebie ryzyko związane z naszym pobytem tutaj - powiedział z przyganą.

Beth zerknęła na Pearl, ciągle ubraną w nocny strój, z małym koronkowym czepkiem na włosach.

Życzliwa twarz Murzynki pełna była troski i Beth poczuła wstyd, przypomniawszy sobie ciepłe powitanie zeszłej nocy. Wydawało się też, że Pearl nie jest byle gosposią, a właścicielką domu.

- Mogłeś mnie ostrzec - powiedziała słabym głosem. - To był dla mnie ogromny szok.

- Powinnaś okazać dość bystrości, żeby samej się tego domyślić - westchnął Theo, przeczesując palcami

swoje włosy. - Od kilku miesięcy grałaś w saloonie Hea-neya, pracowałaś w sklepie, w którym swoje ubrania kupuje większość nowojorskich dziwek; myślałem, że te doświadczenia otworzyły ci nieco oczy Poza tym, gdy pierwszy raz zagrałaś w saloonie, w oczach „przyzwoitego świata” straciłaś prawo do nazywania się damą.

Przez chwilę Beth patrzyła na niego, ledwie wierząc w to, co właśnie powiedział, a potem rozplakała się rzewnie, gdy dotarło do niej, że najprawdopodobniej ma rację.

Pearl przysunęła się, żeby ją pocieszyć.

- No już, nie bierz sobie tego tak do serca - powiedziała, przytulając Beth do swego pokaźnego biustu.

- Nikt cię tu nie skrzywdzi, a jeżeli nie będziesz chciała, to nawet nie musisz spotykać się z moimi dziewczynami. Ale jeśli chcesz zarabiać na życie grając na skrzypkach, musisz pogodzić się z faktem, że ludzie będą w tobie widzieć damę lekkich obyczajów.

- Ale dlaczego? - zaskoczyła Beth. - Nikt nie myśli nic złego o mężczyźnie, który zarabia na życie, grając na jakimś instrumencie. Nie jestem złą dziewczyną, po prostu kocham muzykę.

- Kochana, to świat mężczyzn. Tancerki, piosenkarki, aktorki i muzykantki... wszystkie postrzegane są tak samo - powiedziała uspokajająco Pearl. - Możesz wybrać żywot panny Skromnisi chodzącej w niedziele do kościoła, ale to oznacza, że będziesz musiała ubierać się skromnie, znaleźć przyzwoitą pracę i wieść bezbarwną egzystencję. Ale jeżeli zechcesz zostać panią Zu-chwalską, grającą na skrzypkach, śpiącą do południa i mającą kupę frajdy, musisz się nauczyć nie zwracać uwagi na to, co sądzą o tobie ludzie.

314

- Beth, więc jak będzie? - zapytał Theo. - Bo na dzisiaj zaplanowałem twój debiut.

Beth wyslizgnęła się z ramion Pearl, otarła łzy i spojrzała w jego ciemne oczy, mając nadzieję, że dostrzeże w nich miłość. Ale poza rozbawieniem nie widziała nic.

- Więc chyba będę musiała zagrać - powiedziała beztrudnie. - Nieladnie byłoby cię zawieść po tym, jak zadałeś sobie tyle trudu.

Może jeżeli dalej będzie go bawić, w końcu ją pokocha.

- Tu jesteś, kochanie - powiedziała Pearl, podając Beth czerwoną sukienkę, którą właśnie skończyła prasować. - Jeżeli chcesz, mam też naprawdę ładne czerwone ozdoby na włosy, możesz je sobie pożyczyć.

Była szósta wieczór i Beth zdążyła już się otrząsnąć z zaskoczenia związanego z odkryciem natury tego domu, gdyż nikt nie mógł być bardziej łagodny i uprzejmy od Pearl.

Po porannej rozmowie Theo udał się do swojego, znajdującego się w głębi piwnicznego korytarza, pokoju. Pearl powiedziała, że Jack i Sam nie wysuną nosów z łóżek przed południem i wyglądało na to, że dziewczyny mieszkające na górze również nie należą do rannych ptaszków.

Beth, wykąpana i ubrana odpowiednio, wróciła na górę i zaoferowała Pearl pomoc przy codziennych pracach, gdyż ciągle wyrzucała sobie swoją wcześniejszą niegrzeczność. Szeroki uśmiech gospodyni dał jej do zrozumienia, że Pearl docenia jej propozycję, ale od razu zaparzyła kolejny dzbanek kawy i jasno dała odczuć, że

315

z o wiele większą chęcią pogawędzi, zamiast przesadnie przejmować się obowiązkami.

Beth w Liverpoolu widziała wielu Murzynów, a po przybyciu do Ameryki spotykała ich jeszcze częściej, ale Pearl była pierwszą, z którą naprawdę porozmawiała. Gospodyni była osobą inteligentną, dowcipną i uprzejmą. Miała też bardzo miły głos, niski i melodyjny, z lekkim akcentem dalekiego Południa.

Ale najbardziej zaskakującą cechą był jej wiek. Nie miała na twarzy zmarszczek, mimo swojej tuszy poruszała się szybko i z wdziękiem i początkowo Beth założyła, że kobieta ma nie więcej niż czterdzieści lat. Ale jeżeli historie, które opowiadała, były prawdziwe, a Beth wierzyła w ich autentyczność, to gospodyni miała ponad sześćdziesiąt lat; ze śmiechem powiedziała dziewczynie, iż zakrywa głowę turbanem albo czepkiem, gdyż jej włosy są śnieżnobiałe.

Powiedziała, że urodziła się jako niewolnica w Missisipi, ale wraz z matką uciekły, kiedy miała trzynaście lat; pomogli im w tym abolicjoniści z Kansas.

- Wtedy ludzie udawali się na zachód wozami - wyjaśniła. - W większości byli to dobrzy ludzie i dołączyliśmy do nich, w zamian za jedzenie pomagając im w opiece nad dziećmi, praniu i gotowaniu. Zamierzałyśmy udać się aż do Oregonu, ale rozeszła się wieść o odkryciu złota w San Francisco i cała kupa ludzi oderwała się od karawany, żeby się tam udać. Mama pomyślała, że powinnyśmy wyruszyć z nimi, bo dostałybyśmy pracę jako kucharki.

Beth słuchała Pearl zafascynowana, a ona mówiła o przeprawie przez góry Sierra Nevada do Kalifornii, gdzie zaskoczyła je zima.

316

- Było okropnie zimno i spadł taki śnieg, że baliśmy się, iż tam pomrzemy, tak jak co poniektórzy - powiedziała. - Ale jakoś udało się nam dostać do San Francisco. Nie znalazłabyś tam wtedy zbyt wielu kobiet; było to dzikie, brutalne miejsce, ale mama miała rację - bardzo potrzebowali kucharzy. Gdy tylko tam przybyłyśmy, rozstawiłyśmy namiot, zrobiliśmy duży kocioł gulaszu i w mgnieniu oka sprzedaliśmy wszystko po dziesięć centów za miskę.

Beth podejrzewała, że Pearl niedługo jej powie, iż wraz z matką doszły w końcu do wniosku, że łatwiej sprzedawać swoje ciała niż gulasz, ale się myliła. Dalej gotowały, stopniowo podnosząc ceny i rozszerzając swoją ofertę. Za odpłatą prały i cerowały ubrania górników, a nawet otworzyły „hotel”.

- Gdybyś zobaczyła to miejsce, z pewnością nie wzięłabyś go za hotel - zachichotała Pearl. - Był to po prostu duży namiot, a lokatorzy dostawali wypełnione słomą, leżące na ziemi materace i musieli przynieść własne koce. A na zapleczu urządziłyśmy łaźnię. Ledwie mogłam unieść te wiadra z gorącą wodą znad ogniska, takie były ciężkie. Ale zarabiałymy pieniądze, więcej, niż kiedykolwiek nam się śniło. W pięćdziesiątym drugim roku wybudowałyśmy prawdziwy hotel, luksusowe miejsce z meblami i sprowadzonymi aż z Francji lustrami, ale w tym czasie do Frisco zaczęły przybywać przyzwoite kobiety, które nie chciały mieszkać w miejscu należącym do czarnych. Były dla nas naprawdę wredne; najchętniej wygoniłyby nas z miasta. Mama postanowiła więc przekształcić nasz hotel w burdel, żeby dać im nauczki.

Powiedziawszy to, parsknęła gromkim śmiechem, do którego wkrótce przyłączyła się Beth, gdyż wyobraziła sobie opisywane przez Pearl wydarzenie.

317

- Ale to z pewnością sprawiloby, że wygoniono by was z miasta jeszcze szybciej? - zapytała, parszkając śmiechem.

Pearl oparła ręce o swoje szerokie biodra i przewróciła oczami.

- Mama wiedziała kilka rzeczy o mężczyznach, zwłaszcza tych nadętych, którzy rządili miastem.

Wynajęła takie dziewczyny, które przenicowały tych sztywniaków na drugą stronę i bez trudu sprawiły, że ci ochoczo wracali po więcej. Kulturalne i wytworne da-mulki jazgotały o zamknięciu lokalu, a ich mężczyźni kiwali głowami na znak zgody, ale jednocześnie wykradali się chylkiem, żeby przy pierwszej okazji odwiedzić nasz przybytek.

Beth mogła sobie wyobrazić, dlaczego mężczyźni woleli towarzystwo Pearl i jej matki... Oczami wyobraźni widziała owe żony o ostrych rysach i zimnych sercach, plotkujące przy popołudniowej herbatce, podczas gdy ich napuszeni, lecz zgłodniaли cielesnych uciech mężowie zabawiali się gdzie indziej.

- A ty? - zapytała. - Jaką rolę odgrywałaś w tym interesie?

- Za dnia sprzątałam pokoje, gotowałam i robiłam pranie, ale wieczorem śpiewałam w saloonie - odpowiedziała Pearl. - Nigdy nie byłam dziwką. Nie mówię, że mojego łóżka nie odwiedzali mężczyźni. Ale ani razu nie wzięłam za to pieniędzy

Beth jej wierzyła.

- Byłaś dobrą piosenkarką? - zapytała.

- Tak mówili - skromnie odrzekła Pearl. - Kochałam śpiew, odkąd byłam małym dzieckiem; dla mnie był on równie naturalny, jak oddychanie. Musiałam śpiewać,

318

gdyż wtedy mój duch uwalniał się i szybował gdzieś wysoko. Ale podejrzewam, że ty odczuwasz to samo, grając na skrzypcach. Wtedy też byłam młoda i piękna, uwielbiałam być w centrum uwagi, ubierać się w satynę, jedwabie i przyciągać spojrzenia mężczyzn tak, jakby darzyli mnie miłością. Przebyłam długą drogę od tej bosej i głodnej niewolnicy zdanej na łaskę swego pana.

Beth podejrzewała, że matka Pearl uciekła ze swoją córką, gdyż chciała chronić ją przed owym panem. Beth z pewnością nie doświadczyła w życiu takich niewygód, jakie były udziałem Pearl, rozumiała jednak potrzebę występowania.

- Kiedy gram, czuję się dokładnie tak samo - zgodziła się. - Nie byłam niewolnikiem, ale można być zniewolonym przez swoje pochodzenie i sposób, w jaki zostało się wychowanym.

- Godna pozycja w życiu - kiwnęła mądrze głową Pearl. - Cóż, nigdy tego nie doświadczyłam i nigdy nie doświadczę. Ale moje dziewczyny darzą mnie szacunkiem, szanują mnie również mężczyźni, którzy tu przychodzą. To w zupełności mi wystarczy.

Podjąwszy przerwany wątek, opowiedziała Beth, jak matkę potracił powóz i została kaleką, co w jej mniemaniu nie było wypadkiem. Stara Murzynka nigdy już nie stanęła na nogi i Pearl musiała się nią opiekować, trzeba jej było również przejąć kontrolę nad interesem.

- Ale zostałam tam jeszcze do czasu, aż zmarła dziesięć lat później. Nie zamierzałam poddać się bez walki - powiedziała z dumą. - Potem sprzedałam tamto miejsce, sprowadziłam się tutaj i kupiłam ten dom.

- Dlaczego akurat tutaj? - zapytała Beth. Pearl uśmiechnęła się.

319

- Dla mężczyzny, kochana; jakiż inny powód skłoniłby mnie, żebym przeniosła się na drugi koniec kraju?

- Czy chodzi o Franka, przyjaciela, o którym wspomniał Theo?

Pearl skinęła głową.

-Jest dla mnie dobry; to prawdziwy dżentelmen, ale i też hazardzista oraz człowiek równie czarujący, co Theo. A teraz posłuchaj uważnie mojej rady Nie marz o „...i żyli długo i szczęśliwie”. To nie sprawdza się w wypadku talach mężczyzn jak Frank czy Theo. Możesz przeżyć z nim cudowne chwile, ale oszczędzaj swoje zarobki i zatrzymuj wszystko, co ci da. Oddaj mu bez skrupułów swoje ciało, ale nie serce, gdyż je złamie.

Beth właśnie chciała poprosić Pearl, żeby rozwinęła ten wątek, kiedy do kuchni zaczęły schodzić się dziewczyny. Blondynka z posepnym wyrazem twarzy miała na imię Missy dwie brunetki okazały się Lucy i Anna, zaś piękną rudowłosą zwano Lola. Missy, Lucy i Anna nie miały więcej niż osiemnaście lat, a Lola dwadzieścia trzy. Wszystkie miały na sobie podomki i pantofelki; były blade z braku świeżego powietrza.

Beth wyczuła, że nie są do końca zadowolone z faktu, iż pośród nich pojawiła się obca dziewczyna, więc przeprosiła i wróciła do piwnicy, żeby przekonać się, iż Sam i Jack właśnie wstali.

Obudzili się, ale obaj po wczorajszej popijawie mieli potwornego kaca. Jack poszedł do kuchni po kawę i tym samym dał Beth sposobność porozmawiania z bratem sam na sam.

- Jakoś otrząsnęłam się z szoku spowodowanego świadomością, że mieszkamy w burdelu - powiedziała ostrożnie. - Porozmawiałam z Pearl i polubiłam ją. Myślę, że

320

mocno przesadziłam z tym moim wczorajszym wybuchem, ale to wina Theo. Powinien był mnie ostrzec.

-Martwiłem się, jak na to zareagujesz - przyznał Sam.

- Pearl sprawiła, że teraz widzę sprawy z innej perspektywy - powiedziała Beth. - Ale dość o tym. Powiedz mi, czym się zajmujecie.

-Ja zarządzam Bear, dużym saloonem położonym o kilka przecznic stąd - powiedział Sam. - Jack wdraża się do interesu: obsługuje bar i piwniczkę. Ale właściciel, Frank Jasper, ma kilka domów gry i uczy mnie tego fachu. Siostrzyczko, on jest wspaniały, prawdziwy dżentelmen z Południa, nie to, co Heaney.

Beth skwitowała tę uwagę uśmiechem. Zastanawiała się, czy Sam wie, iż Frank jest albo był kochankiem Pearl. Choć w sumie w to wątpiła, jej brat nie przejawiał takiego zainteresowania ludźmi jak ona.

- Dobrze wam płacą?

- Nie jesteśmy tu wystarczająco długo, żeby się zorientować, jak to wszystko wyjdzie - powiedział. - Ale dał nam wczorajszej nocy po dziesięć dolarów i powiedział, że porozmawiamy o tym po Nowym Roku. Nie musimy też płacić za nocleg tutaj, a Pearl świetnie gotuje.

- Theo mówił, że dzisiaj będę miała swój debiut. To ma być w twoim lokalu?

- Pewnie tak, ponieważ jak tylko tam przyszliśmy, Frank chciał wiedzieć, kiedy się pojawisz. Wygląda na to, że Theo opowiedział mu o tobie już jakiś czas temu. Wszystko będzie dobrze, siostrzyczko, to porządne miejsce, nie taka spelunka jak lokal Heaney.

-Jak się dogadujecie z dziewczynami na górze? - zapytała Beth, podnosząc brew.

321

Sam wyszczerzył się zawadiacko.

- Pearl nie pozwala im na darmowe numerki, dobitnie to wyjaśniła jeszcze pierwszego wieczoru, gdy tutaj przybyliśmy. Ledwie je zresztą widzimy. Chodzimy na górę tylko wtedy, kiedy Pearl wzywa nas na kolację.

Rozmawiali przez chwilę; Beth opowiedziała bratu, jak upłynął jej okres po świętach.

- Mam nadzieję, że Theo zachowywał się przyzwoicie - pociągnął nosem Sam. - Lubię go, ale mu nie ufam.

- Pearl chyba go ceni.

- Ona po prostu lubi mężczyzn - powiedział Sam tonem mędrca. - Podejrzewam też, że w jej wieku nie musi się martwić o to, czy można im ufać. Ale teraz, kiedy tutaj jesteś, Jack i ja będziemy na ciebie uważali.

- Dziękuję, sama mogę się o siebie zatroszczyć - odpowiedziała Beth, ale złagodziła uwagę uśmiechem.

- Teraz wyjdę, żebyś mógł wstać i się ubrać. A potem być może ty i Jack zabierzecie mnie na spacer i pokażecie okolice, póki jeszcze świeci słońce. Nie chcę mieć ziemistej cery jak te dziewczyny z góry. Ozdobą do włosów, jaką dała jej Pearl, okazał się grzebień z macicy perłowej z czerwonym pióropuszem.

- To prezent od Franka; dał mi go podczas naszego pierwszego spotkania we Frisco - powiedziała, wpinając go we włosy Beth. - To był mój talizman, nosiłam go zawsze, gdy śpiewałam. Tobie jest z nim jeszcze bardziej do twarzy i myślę, że Frank będzie rad, gdy zobaczy go ponownie. Zrozumie, że cię polubiłam.

Przeszła na korytarz, żeby obejrzeć się w wielkim lustrze. Spacer po mieście z Samem i Jackiem przywrócił

322

kolor jej policzkom, a sposób, w jaki Pearl uchwyciła grzebieniem część jej loków z boku głowy, sprawił, że wyglądała bardziej wyrafinowanie. Zawsze trochę się denerwowała, zakładając czerwoną suknię, gdyż miała głęboki dekolt, ale pióropusz we włosach do pewnego stopnia chyba to równoważył.

Pearl, uśmiechając się do siebie, z kuchni obserwowała Beth. Z czarnymi lokami opadającymi na kremowe ramiona dziewczyna wyglądała jak z obrazka. Bardzo ładna, pełna ekspresji twarz, wielkie oczy, pełne usta. Jednym słowem dziewczyna, którą chciałby mieć każdy mężczyzna.

Żałowała, że nie może pójść dziś wieczór do Bear, żeby posłuchać, jak gra, ale jej miejsce było tutaj. Poza tym Frank i tak później jej wszystko opowie.

Sam i Jack wyszli do pracy trochę wcześniej, więc do Bear odprowadził Beth Theo. Miał na sobie swój zwyczajowy strój wieczorowy, na który składały się śnieżnobiała koszula, muszka, idealnie skrojony frak, cylinder oraz ciężki, wyszywany satyną płaszcz zarzucony luźno na ramię.

- Bear* zawdzięcza swoją nazwę starej pijalni ale " " znajdującej się gdzieś w pobliżu, której właściciel trzymał na zapleczu niedźwiedzia. Kiedy ktoś zaczynał sprawiać kłopoty, ostrzegano go, że zaraz spotka się z miśkiem.

Beth wiedziała, że Theo jest zdenerwowany, bo gdy chciał ukryć swoje uczucia, często opowiadał jej stare

* Bear (ang.) - niedźwiedź [przyp. tłum.]. ** Ale - angielski gatunek ciemnobrązowego lub jasnobrązowego piwa [przyp. tłum.].

323

historyjki. Nie wiedziała, czy martwi się tym, że ona nie spełni jego oczekiwań dziś wieczór, czy może tym, że ponownie zacznie się skarżyć na pomieszkowanie w burdelu. Może zresztą był po prostu trochę podenerwowany, gdyż później miał grać w karty

Nie zapytała o przyczynę; sama była tak przerażona, że niemal bliska omdlenia. Zdrowy rozsądek podpowiadał jej, że skoro potrafiła zjednać sobie publikę u Heaney, to może grać wszędzie. Ale wtedy nikt nie wstawiał się za nią; gdyby zawiodła, tylko ona straciłaby twarz. Wiedziała, że Theo, Sam i Jack musieli wychwalać ją pod niebiosa i jeżeli teraz poniesie klęskę, wszyscy wyjdą na durniów.

Kiedy weszli do Bear, ze strachu skrzył jej żołądek. Lokal był o wiele większy niż bar Heaney; wysokie sklepienie oraz wąskie okna umieszczone osiem stóp nad ziemią wskazywały, że pierwotnie był to magazyn, w którym położono nową drewnianą podłogę. Na całej długości jednej ze ścian ciągnął się bar, a po drugiej stronie za niską balustradą znajdowało się podwyższenie, na którym porozstawiano stoliki i krzesła. Naprzeciw wejścia na drugim końcu sali umieszczono scenę. Zainstalowano też nowoczesne elektryczne oświetlenie, którego blask odbijał się w ogromnym lustrze za barem.

W lokalu zdążyło się już zebrać wielu ludzi; bar otaczała ciżba mężczyzn czekających na obsługę, a kilku kelnerów zbierało zamówienia osób siedzących na podwyższeniu. Panowała tu też całkiem inna atmosfera niż u Heaney, być może dlatego, że było tu więcej kobiet. Nie tych o niskich standardach moralnych, do których obecności w saloonach Beth już się przyzwyczaiła, lecz zwykłych, schludnie i skromnie ubranych, które mogły

324

pracować w biurach albo sklepach. Na myśl o wystąpieniu przed nimi dziewczyna poczuła strach; z pewnością nie będą pochwalać jej gry.

Zobaczyła obsługujących klientów Sama i Jacka, ale oni jej najwyraźniej nie zauważyli.

- Chodź, przedstawię cię teraz Frankowi - powiedział Theo, ujmując ją pod ramię i energicznie prowadząc pomiędzy stolikami.

Minęli drzwi obok sceny, przeszli krótkim korytarzem i zatrzymali się przed kolejnymi, do których Theo zapukał. Beth kurczowo trzymała futerał ze skrzypcami.

- Nie bój się, to dobry człowiek - szepnął jej przewodnik.

Frank Jasper był wielkim, tęgim i krzepkim człowiekiem, o lysej głowie, grubym karku, spłaszczonym nosie i ospowatej skórze. Wyglądał na mężczyznę, któremu niełatwo przyszło torowanie sobie drogi na szczyt, ale jego elegancki strój wieczorowy był dowodem odniesionego sukcesu.

- A więc to jest twoja mała skrzypaczka - zwrócił się do Theo, obrzuciwszy pierwej Beth uważnym spojrzeniem. - Mam nadzieję, że jest tak dobra, jak twierdzisz, w przeciwnym razie rzucę ją niedźwiedziowi.

Beth nie wiedziała jeszcze, że Frank lubi żartować, nawiązując do niedźwiedzia, od którego nazwę wziął jego lokal. Pomyślała, że mówi o swojej bardzo wymagającej klienteli, i zadrżała. Kolejnym problemem była wielkość lokalu - nie miała pewności, czy będzie ją słychać wśród wrzawy kilkuset rozbawionych, popijających ludzi.

161

Mężczyźni zostawili ją samą w biurze na co najmniej dwadzieścia minut, które spędziła, siedząc jak na szpilkach. Frank nie powiedział jej, jak długo ma grać ani nawet, jakie utwory miała wykonywać i gdy tak czekała, doszła do wniosku, że woli już zostać praczką niż doświadczać takiego strachu. Rozważała właśnie możliwość poszukania tylnych drzwi, którymi mogłaby się chyłkiem wymknąć, kiedy przyszedł po nią Jack.

- Okropnie się boję - stwierdziła. - Nie zdołam zagrać ani jednej nuty.

Wyglądał obco w prążkowanym fartuchu barmana i muszce, zaś hałas dochodzący z saloonu z każdą minutą przybierał na sile.

Jack wziął ją w objęcia.

-Beth, poradysz sobie, nie będziesz tam sama, Frank zorganizował ci wsparcie, w grze będą ci towarzyszyć kontrabas i pianino.

- Tak? - Beth od razu poczuła się pewniej. - Ale dlaczego mi o tym nie powiedział?

- Może chciał sprawdzić, czy stracisz panowanie nad sobą - odpowiedział Jack, uśmiechając się szeroko. - Idź tam i pokaż mu, na co cię stać.

Beth zrzuciła swój płaszcz i podniosła skrzypce oraz smyczek z biurka, na którym położyła je po przybyciu na miejsce.

- W takim razie jestem gotowa.

Kiedy Jack otworzył drzwi prowadzące do baru, usłyszała kogoś uciszającego zgromadzonych dzwoneczkiem.

Potem przemówił Frank; powitał swoją klientelę w Bear. Jack przytrzymał Beth, dając jej do zrozumienia, że ma poczekać do czasu, aż zostanie przedstawiona.

162

-Większość z was zna już Herbiego, który gra na pianinie, i rzecz jasna kontrabasistę Freda - powiedział Frank. - Ale niektórzy wspominali, że chcieliby też kogoś, kto stanowiłby uciechę dla oka. A więc dziś, po raz pierwszy w Filadelfii, zagra dla nas prawdziwa angielska laleczka. Słyszałem, że w Nowym Jorku zwali ją Gypsy bo swoją grą na skrzypkach sprawiała, iż nogi same zaczynały wybijać rytm. Przywitajcie więc należycie pannę Beeeeth... Bolton!

- Idź - powiedział Jack, popychając ją w kierunku schodków prowadzących na scenę.

Oklaski podnieciły ją niczym tęgi lyk rumu; Beth wbiegła po schodkach, skłoniła się publiczności, a potem szybko zwróciła się do pianisty, starszego mężczyzny o smutnej twarzy

- „Kitty O'Neill's Champion”? - zapytała.

- Nie ma sprawy - odparł z uśmiechem, a potem skinął kontrabasistę.

Obydwaj muzycy zagrali wstęp, a Beth, umieszczając skrzypki u podbródka i podnosząc smyczek, uśmiechnęła się do publiczności. Strach ją opuścił - wróciła na scenę, gdzie było jej miejsce, grając jedną ze swoich ulubionych irlandzko-amerykańskich piosenek ludowych. Od teraz będzie panną Zuchwalską; posiadzie serce każdego z mężczyzn zgromadzonych w saloonie.

Frank wyciągnął cygaro z ust i nachylił się ponad stołem do Theo.

- Tym razem nie blefowałeś - rozgrzała całą widownię.

Theo skinął głową i uśmiechnął się. Serce rosło mu z dumy, gdyż Beth nie tylko rozgrzała widownię, ona

niemal rozsadziła cały lokal na strzępy Bał się, że ciężkie przeżycia odbiorą jej wewnętrzny ogień, ale grała nawet lepiej niż u Heaney'a.

Z miejsca przy stoliku na podwyższeniu z boku sali obaj z Frankiem mieli świetny widok na scenę. Beth wyglądała na niej na bardzo drobną; w swojej czerwonej sukience przypominała szkarłatny promyczek. Zdobyła sobie uznanie tłumu „Kitty O'Neill”, ale potem zagrała „Tom Dooley”*, „Days of '49” i „The Irish '69”; utwory te miały dla Amerykanów wielkie znaczenie. Ale prawdziwy żywioł pokazała, wykonując swoje szybkie irlandzkie jiggi. Na dole, w głównej części sali, widziała setki podrygujących głów i przytupujących stóp.

Theo posłał Frankowi złośliwy uśmieszek.

- A więc wygrałem sto docłów?

-Jasne, ty draniu. Dobra jest. Myślę, że Pearl też ją polubiła, bo dziewczyna ma na głowie jej pióropusz. Theo sięgnął po swoją whisky i opróżnił szklanę jednym haustem. Był szczęśliwym człowiekiem: wygrał zakład, Sam i Jack okazali się przydatni i wszystkie stoły do gry w Filadelfii stały przed nim otworem. Miał też małą Gypsy którą zamierzał uwieść.

Stara ludowa piosenka oparta na historii morderstwa Laury Foster w hrabstwie Wilkes w 1866 [przyp. tłum.].

Rozdział dwudziesty pierwszy



A więc co myślisz o moim nowym domu? - zapytał Theo.

- Jego okazałość zaparła ci dech w piersi?

Beth zachichotała. W Bear wypila o kilka drinków za dużo i Theo słodkimi słówkami bez trudu namówił ją, żeby przyjechali do niego.

Mówiąc o okazałości, po prostu sobie żartował. Były to zaledwie dwa pokoje nad wozownią, podobne do tych, w których wraz z Samem mieszkowali na Falkner Square. Ale wyposażenie wyglądało o wiele lepiej - grube zasłony, rozciągnięty na podłodze dywan w jasnych kolorach i stara brokatowa kanapa, która równie dobrze mogłaby zdobić jakiś dworek. Ale o prawdziwym uroku mieszkania przesądzało ciepło emanujące z pękatego emaliowanego piecyka stojącego na środku saloniku. Na ulicach śnieg piętrzył się na wysokość trzech stóp i Beth spodziewała się, że w środku będzie równie chłodno, jak na zewnątrz.

- Przytulność i ciepło robią na mnie wrażenie - odpowiedziała powoli, żeby nie zniechęcić Theo niewyraźną mową.

- Nie mnie przypisuj te zasługi - odparł Theo, otwierając drzwiczki piecyka i dosypując kolejną partię węgla. - Mam służącą. W sumie, to tak naprawdę

pracuje dla ludzi, od których wynajmuję to miejsce, ale posmarowałem jej dłoń odrobiną srebra i teraz opiekuje się również mną. Jest stara i brzydka niczym grzech śmiertelny, ale doceniam wygodę, jakie mi zapewnia.

Beth uśmiechnęła się. Theo już taki był, że zawsze jakaś kobieta czekała na każde jego skinienie. Pearl nie chciała, żeby opuszczał jej dom; oczarował ją tak samo jak wcześniej panią Marchmont i Doughty - To zapewni nam ciepło na całą noc - powiedział Theo, zamykając drzwiczki piecyka. - A teraz pozwól, że wezmę twój płaszcz i przyniosę ci drinka.

Był początek marca, ale Beth już w Nowy Rok, gdy rozdzwoniły się witające rok 1896 kościelne dzwony, po zaledwie kilkudniowym pobycie w Filadelfii zrozumiała, że będzie tu szczęśliwa.

Elegancki dom w stylu kolonialnym przy Spruce Street, należący do Pearl, w żaden sposób nie zdradzał, co dzieje się za jego lśnącymi, pomalowanymi na czarno drzwiami, choć niedaleko na Camac Street i w wielu wąskich alejkach odbiegających od niej aż roiło się od burdeli, jaskini hazardu i barów. Przyszwoici ludzie załamywali ręce nad przestępczością i burdami, ale dla Beth i chłopaków cały obszar był wyjątkowo barwną i wesołą enklawą lekkoduchów, których nie wiązały sztywne obyczaje społeczne obowiązujące resztę miasta.

Bear mieścił się pomiędzy domem Pearl a Camac Street. Mimo iż większość jego klienteli stanowili mieszkający w pobliżu ciężko pracujący rzemieślnicy, artyści, muzycy, tancerki i aktorzy, którzy również często tu zaglądali, przyciągali wielu ludzi z klas średnich i wyższych, którzy lubili pokazywać się w miejscu uznawanym za nieprzyszwoite.

164

Beth zwrócono uwagę, że wielu mężczyzn skrycie odwiedzających w piątkowy wieczór dom Pearl i inne burdele było fachowcami i przedsiębiorcami. Słyszała też o kobietach z wyższych sfer, które wysyłały swoich służących po opium do spelunek leżących wzdłuż nabrzeża. Nawet mama Connelly drobna, zajmująca się niechcianymi ciążami Irlandka, twierdziła, że często miewała klientki znacznie lepsze niż dziwki i pomoce domowe.

Nazwa Filadelfia oznaczała „Miasto Bratniej Miłości” i z pewnością okazało się ono miejscem bardziej przyjaznym od Nowego Jorku; nie miało owego złowieszczonego i niebezpiecznego oblicza, które Beth wyczuwała w tamtym mieście. Być może panowała tu taka sama bieda, zwłaszcza pośród Murzynów i Irlandczyków, ale ogólnie rzecz biorąc, imigranci wyglądali tu na znacznie bardziej zdomowionych, a odrębne narodowości były bardziej zintegrowane.

Panował przeraźliwy mróz. W lutym, w dzień jej dziewiętnastych urodzin szalała zamieć, która utworzyła głębokie na stopę zasy śniegu. Ale w kuchni Pearl zawsze było ciepło, a Bear znajdował się zaledwie kilka przecznic dalej. Kiedy wracała późno w nocy, jej łóżko zawsze ogrzewała gorąca cegła, zaś rankiem budził ją zapach smażonego bekonu i naleśników.

Wieczorami, kiedy nie grała na skrzypcach, pracowała w saloonie, podając napitki i zbierając szklanki, słuchając innych muzyków i śpiewaków. Poznała też wielu nowych ludzi - klientów i innych członków personelu.

Frank Jasper miał reputację człowieka wyrachowanego i bezwzględnego, ale Beth widziała w nim tylko jowialność i szczerść. Wszystkie wkładane przez klientów

331

do kapelusza pieniądze dla muzyków dzielono równo pomiędzy nich i nie musieli odprowadzać żadnej daniny Inna sprawa, że Frank był prawdziwym miłośnikiem muzyki i czerpał satysfakcję z wyszukiwania i promowania nowych talentów. Czasami kazał Beth tylko akompaniować innym muzykom bądź piosenkarzom, w inne noce to ona była gwoździem programu, ale niezależnie od tego czy grała, czy też ledwie przyglądała się i przysłuchiwała spoza sceny, ciągle uczyła się czegoś nowego i wyczuwała, że właśnie takie jest zamierzenie pana Jaspera.

Był wielkim miłośnikiem Włocha Paganiniego i Hiszpana Pabla Sarasatego, słynnych skrzypków; miał okazję i przyjemność słyszeć Sarasatego na koncercie w Nowym Jorku. Pani Clarkson wspominała Beth o obydwu muzykach i zabrała dziewczynę na koncert, gdzie orkiestra zagrała niektóre z ich utworów, więc mogła zrozumieć entuzjazm pana Jaspera. Theo powiedział, że zabierze ją na jakieś koncerty w Filadelfii, żeby poszerzyć jej wiedzę o innych stylach gry.

Tęsknota za Anglią odeszła w przeszłość. Beth pisywała do państwa Langworthy równie regularnie jak dawniej i niecierpliwie wyczekiwała ich listów z wieściami o Molly, ale nie pragnęła już powrotu do domu.

Największy wpływ na postrzeganie świata przez Beth miało mieszkanie u Pearl. Trudno było potępić to, co działo się w domu, kiedy słyszano się tyle śmiechu i będących oznaką wesołości dźwięków dolatujących z pokojów na górze. Poznała wszystkie dziewczyny; żadnej z nich nikt nie zmuszał do tej profesji. Same ją wybrały Niektóre po prostu chciały łatwych pieniędzy, inne szukały przygód, a Missy przyznała się Beth, że uwielbia

165

seks i nie widzi żadnego powodu, żeby przy okazji jej za to nie płacili.

Cały dom Pearl przepelniała uwodzicielska atmosfera, z unoszącym się w powietrzu zapachem dziewczyn i dymu z cygar oraz dźwiękami pianina dolatującymi z saloniku. Nawet pralnia w piwnicy koło sypialni Beth zawsze udekorowana była skąpymi elementami garderoby z jedwabiu i koronek. Późno w nocy, kiedy dolatywały ją odgłosy skrzypiących sprężyn łóżek, Beth pragnęła znaleźć się z Theo, żeby poznać wszystkie uciechy,

O których wspominały dziewczęta.

Kochała go i była całkiem pewna, że on również darzy ją uczuciem, w przeciwnym wypadku nie pojawiałby się pod koniec wieczoru, żeby odprowadzić ją do domu. Nie zabierałby jej też na obiady i nie przynosił małych prezentów w postaci czekoladek, kwiatów albo ozdób do włosów. Pearl wytknęła jej, że ogniści mężczyźni potrzebują seksu i jeżeli nie dostają go od tych, które kochają, szukają zaspokojenia gdzie indziej. Powiedziała, że tylko głupiec mógłby myśleć, że jest inaczej. A Pearl wiedziała, co mówi: na jej drzwi każdego wieczoru napierał strumień żonatych i zaręczonych mężczyzn.

Beth wydawało się, że kiedy obecne problemy zostaną przezwyciężone, Theo przestanie znikać na całe dni

I w każdym aspekcie swojego życia stanie się bardziej otwarty. Małżeństwo nie było już dla niej takie ważne. Po prostu chciała usłyszeć, że jest jego dziewczyną i że uwzględni ją w swoich planach.

Kiedy Theo nalewał jej kieliszek wina, Beth usiadła na kanapie.

- Nie jest ci zimno? - zapytał, podając trunek.

333

- Nie, wszystko w porządku - odpowiedziała, nagle pełna obaw. Uwielbiała pocałunki, robiło jej się gorąco, gdy ją obejmował i pieścił, ale nie miała żadnej praktycznej wiedzy na temat tego, co dzieje się potem; nie wiedziała, czy ubranie zdejmie z niej Theo, czy ma zrobić to sama. Czy to będzie bolesne? I czy będzie wiedział, co zrobić, żeby nie zaszła w ciążę?

Ze względu na własne dobro postanowiła dokładnie dowiedzieć się od Pearl, jak kobiety mogą się zabezpieczyć. Dokładnie obejrzała gumowe gruszki z wodą i drobne gąbki; poznała też zasadę ich działania. Ale to wszystko było ledwie teorią. Pearl powiedziała też, że jest zwolenniczką gumowych ochronek dla mężczyzn, ale dodała, iż większość z nich niechętnie ich używa.

Theo usiadł obok niej i patrzył, jak pociągnęła łyk wina.

- Jakież to myśli kotłują się teraz w tej pięknej główce? - zapytał.

- Po prostu pomyślałam, że przyjdzie tu z tobą to duży krok naprzód - odpowiedziała.

Spojrzał na nią czule, a potem odebrał jej kieliszek i objął ją ramionami.

- Nie skrzywdzę cię - powiedział delikatnie. - Chcę ci tylko pokazać rozkosze uprawiania miłości.

I wtedy ją pocałował, wsuwając koniuszek języka w jej usta, aż poczuła, że napięły się mięśnie jej brzucha i stwardniały sutki. W przeszłości takie pocałunki zdarzały się albo późnym wieczorem na zimnie, kiedy szli do domu, albo w korytarzu w piwnicy Pearl, kiedy to Jack albo Sam oczekiwali powrotu dziewczyny, więc Beth zawsze była spięta.

166

Ale teraz było jej ciepło i nikt nie miał im przeszkodzić, więc z chęcią poddała się przyjemności, wtulając się w jego ciało i pozwalając obawom ulecieć w nicość.

- Ach - westchnął, przeciągając palcem po jej policzku, gardle i kierując się dalej do doliny dekoltu. - Tak długo na to czekałem.

Palcem delikatnie odsunął górną część sukienki i znajdujący się pod spodem koronkowy stanik, odkrywając prawą pierś; cały czas patrzył jej w oczy, z twarzą oddaloną zaledwie o kilka cali. Jego palec odnalazł stwardniały sutek i mężczyzna uśmiechnął się, zanim schylił głowę i ujął go w usta.

Beth mimowolnie gwałtownie wciągnęła powietrze, gdyż nigdy nie czuła nic tak przyjemnego, jak jego ssanie, lizanie i przygryzanie. Przytrzymała namiętnie głowę kochanka i wygięła się w jego stronę, zaś całe jej ciało przeszło mrowienie.

Theo całkowicie odsłonił obie jej piersi i przenosił usta z jednej na drugą, całując je, pieszcząc i ssąc sutki, a widok ekstazy na jego twarzy w słabym świetle lampy jeszcze bardziej spotęgował rozkosz Beth.

- Za dużo tych szmatek - wymruczał. - Chcę zobaczyć twoje ciało i wycalować każdy jego skrawek.

Sukienka miała drobne guziczki z tyłu na całej długości. Przysiadł za jej plecami i podczas gdy jego lewa ręka ciągle bawiła się jej sutkami, prawą zaczął odpinać guziczki, cały czas zasypując pocałunkami jej szyję i ramiona. Sznurowadła zostały rozwiązane, gorset opadł na podłogę i nagle stwierdziła, że siedzi nieprzyzwoicie obnażona od pasa w górę, z sukienką i halką zebranymi wokół bioder.

Ukląkł przed nią, wyciągnął z jej włosów szpile i ozdobę z pióropuszem i przeczesując palcami pukle,

335

całował ją długo i namiętnie. Beth poczuła, że jej kobiecość zwilgotniała i rozgrzała się; gorączkowo oddawała jego pocałunki, wciąż pragnąc więcej.

Wstał z kolan, pociągnął ją za sobą i całując, zsunął jej z bioder sukienkę, halkę i majteczki. Nachylał się, żeby znowu wziąć sutek w usta, opuścił rękę pomiędzy nogi dziewczyny i wsunął w nią jeden palec. Beth tak zatraciła się w doznaniach, że w ogóle nie przejęła się tym, iż pozwala mężczyźnie na takie traktowanie. Serce biło jej z oszalamiającą szybkością, oddech stał się gorący i przyspieszony i bez cienia wstydu ocierała się o jego palec, westchnieniami dając mu do zrozumienia, jak bardzo się jej to podoba.

Kopnięciami odrzucili jej ubrania na bok. Poza pończochami i butami była naga; pchnął ją na kanapę, gdzie zaczął jej robić nad wyraz i zatrwajająco nieprzyzwoite rzeczy, które jednocześnie wprawiły ją w ekstazę.

W pewnym momencie zrzucił swoją marynarkę i muszkę - pamiętała, jak wyciągała mu koszulę ze spodni, żeby dotknąć jego pleców i piersi - ale nie podjął próby rozpięcia spodni. Czują napierający na nią stwardniały członek, lecz zdawało się, że mężczyzna powstrzymuje swoje żądze, żeby zaspokoić jej własne.

Dużo, dużo później przeniósł ją do sypialni obok i dopiero wtedy zdjął resztę swoich ubrań. Prześcieradła zdawały się być bardzo chłodne i sztywne pod rozgrzaną do czerwoności skórą; na chwilę ukłękł obok niej i umieścił jej dłoń na sztywnym przyrodzeniu. Wydawało się ogromne i zgrozą napelniła ją myśl, że wkrótce będzie musiała mu sprostać.

Wyczuł to chyba, gdyż położył się obok i pocałował ją-

336

-Jeżeli nie jesteś na to gotowa, nie musimy posuwać się dalej - wyszeptał.

Ale żar jego ciała, głaszczące i drażniące skórę palce przegoniły jej obawy i kiedy pocałował ją ponownie, ochoczo rozchyliła nogi i wygięła się, żeby go przyjąć.

Pearl mówiła Beth, że jeżeli mężczyzna naprawdę troszczy się o kobietę, przed wytryskiem nasienia powinien się wycofać. I tak właśnie postąpił Theo. Kiedy dziewczyna niepewnie dotknęła lepkiej substancji pokrywającej jej brzuch, poczuła, że dostała całe zapewnienie, jakiego potrzebowała.

Bolało tylko trochę i teraz też była odrobinę obolała, ale to nie miało znaczenia. Theo przeniósł ją w niebiosa, a z pewnością nie potrafiłby tego zrobić, gdyby nie kochał jej tak samo mocno, jak ona kochała jego.

Zapinając buty i wkładając płaszcz, Beth odwróciła się, żeby spojrzeć na śpiącego Theo. Świtało i w słabym świetle widać było cień zarostu na jego podbródku i miękko zarysowane usta. Pomyślała, że powinna się wstydzić na myśl o tym, jak bez troski mu się oddała, ale odczuwała jedynie szczęście.

Mimo to zdecydowała się wracać do domu Pearl, zanim ktoś się zorientuje, że nie było jej całą noc. Nie była na tyle odważna, żeby ujawnić swoją rozpustę.

Podeszła i pocałowała Theo w policzek, delektując się podniecającym, piżmowym zapachem mężczyzny, ale ten się nie obudził. Potem na paluszkach wyszła z pokoju, cicho zamykając za sobą drzwi.

Na ulicy było dość chłodno; w miejscach, gdzie śnieg został uprzątnięty, pojawił się lód. Przystanąła w drzwiach, żeby wciągnąć na buty gumowe kalosze

167

i założyć rękawiczki, a potem oddaliła się lekkim krokiem; z radości czuła się tak, jakby unosiła się nad ziemią.

- Beth, obudź się!

Beth otworzyła jedno oko i zobaczyła Sama, stojącego nad nią z zapaloną świecą w dłoni.

- Która godzina? - zapytała.

- Środek nocy, ale musimy się stąd zwijać.

Nie słowa, a ton jego głosu sprawił, że gwałtownie usiadła na łóżku. Sam był przerażony

- Zwijać? Dlaczego?

- Coś się wydarzyło podczas gry wieczorem - odpowiedział. - Nie mam teraz czasu na długie wyjaśnienia, ale jestem w ogromnych tarapatach i musimy natychmiast uciekać.

Był wrzesień; mieszkali w Filadelfii już od dziewięciu miesięcy, które były najszcześniejszym okresem w życiu Beth. Czuła się bezpieczna z Theo, odnosiła sukcesy muzyczne i mieszkała w domu Pearl. Nie potrafiła uwierzyć, że Sam mógł zrobić coś, co obróciło to wszystko wniwecz.

- Powiedz mi natychmiast, co zrobiłeś - zażądała. - Nigdzie nie pójde, dopóki nie dowiem się, co się stało.

- Zginął człowiek, tylko tyle musisz na razie wiedzieć - powiedział jednym tchem.

Twarz brata pozostawała w cieniu, gdyż odstawił świecę, ale wyczuwała jego wstyd i udrękę.

- W czasie wieczornej gry w pokera? - zapytała.

- Tak. Jeden z mężczyzn oskarżył Theo o szulerkę i wyciągnął nóż. Próbowałem go odciągnąć i nóż znalazł

168

się w moich rękach. Ale Bóg mi świadkiem, nie chciałem go zabić. - Urwał, zakrywając twarz rękoma. Beth zrozumiała dość, by wyskoczyć z łóżka.

- Gdzie jest teraz Theo?

- Poszedł do siebie, żeby się spakować. Przyjedzie po nas dorożką.

- Odwróć się, a ja się ubiorę - kazała mu Beth i zrzuciła nocną koszulę. Wnętrznosci skręcał jej strach i nie chciała mieć z tą sprawą nic wspólnego, ale chodziło o dwóch najważniejszych ludzi w jej życiu i musiała ich wspierać. - Theo poprosił, żebym pojechała z wami? - zapytała ostrym tonem, mocując się z halką.

- Nie możemy zostawić cię tutaj, żebyś poniosła za wszystko odpowiedzialność - powiedział słabym głosem. - Jack też jedzie.

- Jack też był w to zamieszany? - głos Beth wznosił się o oktawę.

- Pomógł nam tylko w ucieczce.

W oczach Beth pojawiły się łzy i ledwie mogła zapiąć gorset, gdyż palce okropnie jej drżały

- A co z Pearl i Frankiem?

- Nie graliśmy u Franka, więc nie będziemy mieli z nim kłopotów. Chciałbym powiedzieć Pearl, co się stało i przygotować ją na ewentualne konsekwencje, ale, Beth, nie możemy. Musimy natychmiast uciekać.

Właśnie kiedy Beth skończyła się ubierać, w pokoju pojawił się Jack, targając torby swoje i Sama. Bez słowa postawił je na ziemi i zaczął układać sukienki Beth na łóżku, po czym składać je i pakować do walizki.

- Więc musimy wymykać się stąd, niczym złodzieje, pod osłoną nocy? - zapytała Beth. - Nie dziękując Pearl ani słowem za to, co dla nas zrobiła?

339

- Przepraszamy wysłaliśmy jej pocztą - powiedział Sam, w pośpiechu zbierając inne rzeczy Beth. - Bardzo mi przykro, siostrzyczko.

Po niecałych piętnastu minutach cała trójka obciążona torbami znalazła się na pograżonej w mroku ulicy, spiesząc na spotkanie dorożki, która miała czekać na nich za rogiem.

Już tam stała. Kiedy się zbliżyli, koń zaszurał kopytem i z dorożki wyskoczył Theo.

- Beth, tak mi przykro - powiedział, pomagając jej wsiąść. - Jakoś ci to wynagrodzę.

- Gdzie się udajemy? - zapytała dziewczyna, kiedy dorożka ruszyła naprzód.

- Gdziekolwiek zabierze nas pierwszy pociąg odchodzący z Filadelfii - odpowiedział Theo.

Rozdział dwudziesty drugi

Zaraz zamarzną - powiedziała Beth, ciasniej owijając szyję szalikiem, kiedy wraz z chłopcami wydostali się ze stacji Montreal. - Jeżeli tu jest tak zimno we wrześniu, to co nas czeka w środku zimy?

Pierwszy pociąg z Filadelfii kierował się do Nowego Jorku, ale jak zauważył Jack, pozostawanie tu zbyt długo nie byłoby mądrym posunięciem, gdyż szybko zostaliby odnalezieni.

Na stacji Grand Central dowiedzieli się, że za kilka godzin odjeżdża pociąg do Kanady Theo doszedł do wniosku, że będzie to dla nich idealny cel podróży, skoro chcą umknąć amerykańskiemu systemowi sprawiedliwości.

- Nie zagościmy tam na długo. Po prostu poczekamy, aż ucichnie wrzawa wokół tej sprawy i wtedy możemy wracać - powiedział beztrasko.

- Nie możemy wrócić ani do Filadelfii, ani do Nowego Jorku - powiedział Jack. Dygotał z zimna; miał na sobie tylko cienką marynarkę. Z pośpiechu zostawił swój płaszcz w domu Pearl. - Ale może pojedziemy gdzieś na zachodnie wybrzeże Ameryki, wiele mil stąd, gdzie będzie ciepło.

Od wyjazdu z Filadelfii minęło trzydzieści godzin. Była to całonocna, męcząca i zimna podróż, i nikomu

z nich nie udało się zdrzemnąć na dłużej niż kilka minut. Beth czuła, jakby jej skórę, włosy i oczy posypano piaskiem i choć Montreal wyglądał jak każde inne cywilizowane, widziane przez nią dotąd miejsce, nie spodziewała się, że będzie panował tu tak przeraźliwy chłód.

- Nie jest aż tak źle, po prostu odczuwasz temperaturę intensywniej, bo jesteś zmęczona - powiedział Theo, ujmując Beth pod ramię. - Znajdziemy hotel. Gorąca kąpiel, śniadanie, porządna drzemka i wszystko będzie po staremu.

- Po morderstwie nic nie będzie już po staremu - ucięła krótko.

- To było zabójstwo w samoobronie - odparował Theo. - Ten facet przyłożył mi nóż do gardła i miał zamiar dokończyć dzieła. Uważam, że Sam jest bohaterem, uratował mi życie.

Beth obudziła się potem w objęciach Theo. Przez kilka chwil myślała, że leży w jego łóżku w Filadelfii i nie ruszała się, nasłuchując jego cichego oddechu i delektując się ciepłem. A potem przypomniała sobie, gdzie się znajduje, dlaczego tu trafiła i cały gniew, który starała się tłumić w czasie podróży, wezbrał w niej niczym fala.

Panowały nieprzeniknione ciemności, ale nie wiedziała, czy jest wczesny poranek, czy środek nocy. Kusilo ją, żeby bezceremonialnie obudzić Theo i zapytać go; w gruncie rzeczy chciała go zapytać nie tylko o godzinę! Ale zastanowiwszy się chwilę, doszła do wniosku, że zanim stawi mu czoła, lepiej będzie, jak sama dojdzie do konkretnych wniosków.

Wyślizgnęła się z jego ramion i wyszła z łóżka, zabierając koldrę; owinęła się nią, a potem podeszła do okna i podniosła brzeg kotary, żeby wyjrzeć na zewnątrz.

342

Ulica, na której, gdy meldowali się w hotelu, pełno było wozów, dorożek i ludzi, teraz wydawała się być całkowicie opustoszała. Wszystkie sklepy i salony po drugiej stronie były pogrążone w mroku i w zasięgu wzroku nie zobaczyła żywej duszy. Ale w pokojach na górze po drugiej stronie ulicy świeciła się część światel i na tej podstawie wywnioskowała, że musi być po jedenastej wieczorem.

Jack i Sam mieli wspólny pokój obok. Theo zameldował Beth jako swoją żonę i mimo że jeszcze parę dni wcześniej sprawiłoby jej to przyjemność, teraz ją zirykowało.

Theo zarzekał się, że to nieprawda, ale wiedziała, że oszukiwał podczas fatalnej gry w karty. Gdy wyciągnęli ją z łóżka w środku nocy, był zbyt opanowany, pełen współczucia i wykorzystał tłok w pociągu jako wymówkę, żeby uchylić się od dalszych wyjaśnień.

Beth nadal niczego by nie pojmowała, gdyby nie pospieszne wyjaśnienia Jacka na Grand Central w Nowym Jorku, kiedy Theo poszedł po bilety. Sam ciągle był w szoku i w czasie długiej podróży prawie się nie odzywał.

W przeciągu ostatnich kilku miesięcy Jack od stanowiska zwykłego barmana w Bear przebył długą drogę. Interweniował stanowczo, gdy wybuchały pijackie burdy: Beth podczas swoich występów wiele razy widziała go w akcji. Nigdy nie był agresywny, ale miał szósty zmysł; potrafił wyczuć kłopoty, zanim zrobiło się naprawdę nieprzyjemnie i zazwyczaj udawało mu się rozładować sytuację samą dyplomacją. Ale bywało, że mediacje nie przynosiły pożądanych rezultatów; nie bał się wtedy rzucić w sam środek zawieruchy, złapać walczących za

343

karki, zderzyć ich głowami i wyrzucić z lokalu. Właśnie to cenil w Jacku Frank Jasper, często nazywając go swoim „Prawym Hakiem”.

Dzięki subtelności, z jaką Jack łączył politykę żelaznej pięści i aksamitnej rękawiczki, Frank często zapraszał go na najbardziej prestiżowe rozgrywki karciane, gdzie młody mężczyzna oficjalnie podawał drinki, ale tak naprawdę miał dbać o bezpieczeństwo. Jednakże ostatnia gra nie była prowadzona przez Franka.

Zorganizował ją Rob Sheldon, mężczyzna, którym Frank pogardzał, jako że ten był właścicielem czynszówek w slumsach i znanym aferzystą. Theo i Sam poprosili Jacka, żeby na wszelki wypadek poszedł z nimi.

Grę zorganizowano w magazynie przy dokach. Pozostałych pięciu graczy nigdy nie pojawiało się w Bear Theo poznał ich podczas innych partii i wiedział, że lubili grać o wysokie stawki. Ale Sam i Jack nigdy nie spotkali wcześniej żadnego z nich, nawet Sheldona

Theo wygrał pierwszych kilka rozdania, ale potem zaczął przegrywać znaczne sumy pieniędzy i kiedy około drugiej nad ranem ogłosili przerwę, zarówno Jack jak i Sam doradzali mu, żeby pogodził się ze stratami; chcieli wrócić do domu tak samo jak postąpili dwaj inni gracze. Ale Theo odmówił, stwierdzając, iż czuje, że jego zła karta zaraz się odwróci.

Pozostali dwaj mężczyźni, którzy zasiedli do gry z Sheldonem i Theo, znani byli tylko z pseudonimów, jako Lively i Dixey. Theo wygrał pierwszą partię i przegrał drugą. Ale w trzeciej i czwartej los znowu uśmiechnął się do niego, a stawki poszły w górę. Był około pięciuset dolarów do przodu i właśnie chował swoją wygraną po kieszeniach, żeby wyjść, kiedy Sheldon, który

344

wygrywał wcześniej tego wieczoru, sprowokował go do ostatniego rozdania.

Jak relacjonował Jack, właśnie wtedy poczuł niepokój. Opowiadając wszystko później, stwierdził, iż w powietrzu wisiała jakby zapowiedź nieuczciwej rozgrywki. Pomyślał też, że zasiadający ponownie do gry Theo był trochę zbyt opanowany i pewny siebie.

Sam rozdał karty i rozpoczęła się gra. Stos pieniędzy na stole rósł. Dixey spasował i wyszedł, pozostawiając przy stole Sheldona, Lively'ego i Theo. A potem Sheldon postanowił sprawdzić Theo. Ten miał kareta króli, która pokonała niższą kareta Sheldona.

- Nie przyglądałem się rozgrywce aż tak dokładnie - przyznał Jack. - Byłem zbyt zajęty pilnowaniem Sheldona, bo miałem przecucie, że w przypadku przegranej facet zrobi się niemiły. Ale jestem prawie pewien, że Dixey, pasując, miał jednego króla. Zdaje się, że Sheldon też tak pomyślał, bo nagle zerwał się z miejsca i zaczął krzyknąć, że Theo oszukiwał i miał jeszcze jednego króla ukrytego w rękawie. Zanim Theo zdążył się podnieść, Sheldon był już przy nim i wyciągnął zza pasa nóż, który przystawił mu do gardła.

Jack zademonstrował Beth ruch Sheldona, przystawiając jej prawą rękę do gardła, zaś lewą unieruchamiając dziewczynę w miejscu.

- Bałem się obejść stół i ich rozdzielić, bo wtedy Sheldon mógłby poderżnąć Theo gardło; wpadł w taką furję, że gotów byłby to zrobić. No i pozostawał Lively, niezbyt postawny facet, ale pieniacz, który dołączyłby się do bójki, gdyby uwierzył, że Theo w istocie oszukiwał. Więc próbowałem ich uspokoić, zaproponowałem nawet,

345

że jeżeli znajdziemy jeszcze jedną kartę w rękawie Theo, możemy zwrócić im całą wygraną. Ale Sheldon krzychał i kłął, i z każdą minutą nakręcał się coraz bardziej.

- I nagle za ich plecami znalazł się Sam, który usiłował wyrwać nóż z ręki Sheldona. Ruszyłem dookoła stołu, żeby pomóc, Theo nagle się uwolnił i nóż poleciał na ziemię, ale wtedy do rozróby dołączył Lively. Walnął mnie w szczękę, a Sam w tym samym momencie musiał podnieść nóż, ponieważ kiedy oddałem Lively'owi, Sam stał nieruchomo z nożem w ręce, jakby nie wiedział, co dalej począć.

- Ale Sheldon rzucił się na niego, żeby odebrać swoją broń. Wtedy Sam go pchnął.

Beth próbowała wydobyć z Sama jego wersję wydarzeń. Choć nie potrafił wytłumaczyć wszystkiego równie przejrzyście jak Jack, opowieść brzmiała mniej więcej tak samo, choć brat upierał się, że to nie on dźgnął Sheldona. Twierdził, że mężczyzna po prostu sam się nadział na ostrze.

Theo lakonicznie skwitował, że nie ma większego znaczenia, w jaki sposób nóż utkwił w brzuchu mężczyzny. Jak by nie patrzeć, Sheldon próbował go zabić, a Sam powstrzymał napastnika.

Ale dla Beth miało to ogromne znaczenie. Było bardzo istotne, czy Sheldon sam się nadział na nóż, czy jej brat celowo go pchnął. Obwiniała też Theo o rozjuszenie Sheldona, co zmieniło jej brata ze spokojnego człowieka w mordercę.

Kiedy Lively zobaczył, że Sheldon obficie krwawi, natychmiast się ulotnił. Jack twierdził, że mężczyzna pobiegł po doktora, ale Theo powiedział, iż facet po prostu zwał, ratując własną skórę.

346

Jack starał się opatrzyć ranę Sheldona własną koszulą, ale niewiele wskórał i hazardzista zmarł. Zebrali więc wszystkie pieniądze, karty i uciekli, zostawiając Sheldona z nożem ciągle sterczącym z brzucha.

Beth chciałaby widzieć sprawę tak, jak Jack i Theo, uważający, że Sheldon był okrutnym bydlakiem, który przez całe życie żerował na słabych i bezbronnych, więc po prostu dostał to, na co zasłużył. Ale musiał mieć żonę i być może dzieci, które go kochały.

Jednakże pomijając samą zbrodnię i jej okoliczności, które zmusiły ich do ucieczki, Beth była wściekła, że jej dobre życie w Filadelfii dobiegło końca.

Była tam taka szczęśliwa. Ludzie podziwiali jej grę na skrzypcach, a ją samą darzyli sympatią. Zarabiała sporo pieniędzy, sprawiła sobie nowe ładne ubrania, mogła kupować prezenty, które wysyłała Molly; udało się jej nawet zebrać pewne oszczędności. Życie płynęło jej beztrudnie i czuła, że zaczyna do czegoś dochodzić, a teraz będzie musiała zacząć wszystko od nowa, bez pomocy Franka i Pearl i sympatii, jaką ją darzyli.

Rozejdą się pogłoski, że Theo oszukiwał i Frank zacznie się zastanawiać, jak często mężczyzna kanto-
wał w trakcie jego gier, a być może pomyśli, że to był prawdziwy powód, dla którego Theo szukał schronienia w Filadelfii.

Z pewnością zacznie też się zastanawiać, czy powinien był zaufać komukolwiek z nich i pożałuje, że przekonał Pearl, by dała im mieszkanie. Beth była też pewna, iż ta będzie czuła się dotknięta ich ucieczką i tym, że nie pozostawili jej nawet krótkiego listu z wyjaśnieniami.

Theo był pewien, że nie przekażą informacji o nich na policję i prawdopodobnie miał rację, gdyż było to

347

częścią kodeksu, wedle którego ci ludzie żyli. Ale Beth przywiązała się do Pearl bardziej niż do własnej matki i nie mogła otrząsnąć się z poczucia, że zawiodła starą kobietę.

Theo tyle razy ją zranił, znikając, a potem wracając po tygodniu lub dwóch bez słowa wyjaśnienia. Wiedziała, że wpraszał się na przyjęcia organizowane przez najbardziej bogatych i wpływowych ludzi w mieście i tylko głupiec by wierzył, że nie opuści jej, gdyby zechciała go jakaś piękna i posażna panna. Ale dzięki ogromnemu urokowi osobistemu z łatwością potrafił obrócić jej łzy w śmiech i smutek w radość. Był hojny w okazywaniu uczuć i szastaniu pieniędzmi. Sprawiał, że czuła się najpiękniejszą, najbardziej utalentowaną kobietą na świecie, a kiedy się kochali, potrafił ją unieść wprost w niebiosa, zawsze przedkładając przyjemność dziewczyny nad swoją własną.

Z drugiej strony ostatnie wydarzenia ukazały Beth jego drugie, bardziej mroczne oblicze. Była absolutnie pewna, że w trakcie tej gry oszukiwał. Dlaczego musiał to zrobić? Godzenie dobrej passy ze złą było z pewnością nieodłączną częścią hazardu.

Czy oszukiwał we wszystkim? Kochał się z innymi kobietami oprócz niej? Naraził Sama i Jacka. Jaką mieli gwarancję, że nie zrobi tego ponownie?

Szelest dobiegający z drugiego końca pokoju ostrzegł ją, że właśnie się obudził.

- Beth! - powiedział łagodnym głosem. - Jesteś tutaj?

- Oczywiście, że jestem - odparła ostrym tonem. - Gdzie indziej miałabym być w środku nocy w obcym kraju?

- Wracaj do łóżka - powiedział.

348

- Chyba już nigdy nie będę chciała być z tobą w łóżku - odparowała.

Theo zapalił zapalną i odpalił od niej świeczkę.

- Dlaczego jesteś taka zła?

Miał na sobie podkoszulek, a rozczochrane czarne włosy i lekki zarost na podbródku nie nadawały mu wyglądu eleganckiego dżentelmena, za jakiego chciał uchodzić.

- Bo to ty jesteś za to odpowiedzialny - powiedziała i przysunęła się bliżej do łóżka, żeby nie mogli ich podsłuchać inni goście hotelu. - Wszyscy wiedliśmy w Filadelfii dostatnie życie, a ty to zepsuleś.

Dlaczego musiałeś oszukiwać?

Przez chwilę nie odpowiadał i zaczęła myśleć, że dalej będzie się wszystkiego wypierał.

- Wiem, że to zrobiłeś - powiedziała. - Jeżeli musisz, Theo, okłamuj resztę świata, ale nie mnie.

- W porządku, oszukiwałem - przyznał lekko drżącym głosem. - Nie zamierzałem pozwolić, żeby wszystkie moje pieniądze zniknęły w kieszeni Sheldona.

- Oszukiwanie jest niegodziwością.

- Mnie też wiele razy szukano.

- Ale to cię w żaden sposób nie usprawiedliwia. - Była teraz wyraźnie wzburzona. - Naraziłeś mojego brata na niebezpieczeństwo. W razie czego to jego będzie ścigać policja; jeżeli zostanie złapany, mogą go powiesić, czy co oni tam robią tutaj z mordercami.

- To nie było morderstwo, tylko wypadek.

- Wypadek, morderstwo, tak czy siak zginął człowiek, a mój brat jest zbiegiem.

- Wątpię, czy policja będzie nawet próbowała ustalić sprawcę; po prostu potraktują to jako kolejny epizod w wojnie gangów. Sheldon był takim samym zbirzem jak

349

Heaney w Nowym Jorku, więc nikt się nie przejmie jego śmiercią. A nawet jeżeli odkryją, że to Sam go zabił, nie mogą ścigać go tutaj. Minie kilka lat i o wszystkim zapomną.

- Ja nie zapomnę i nie sądzę, żeby kiedykolwiek zapomniał o tym Sam - odparowała Beth.

Theo oparł się o wezglowie łóżka i po prostu patrzył na nią przez chwilę, aż poczuła się bardzo nieswojo.

- Długo jeszcze będziesz się na mnie złościć? - zapytał w końcu. - Po raz pierwszy mamy okazję być razem, gdy nie musisz wymykać się chyłkiem o świcie i udawać, iż spałaś we własnym łóżku. Nie możemy cieszyć się faktem, że jesteś panią Cadogan? Musisz tam siedzieć, przemarzając na kość i patrzeć na mnie z nienawiścią?

- To wszystko było dla mnie ogromnym wstrząsem - powiedziała, żalując, że nie może znaleźć odpowiednich słów, żeby ukazać mu ogrom wyrządzonej jej krzywdy. - Nigdy nie chciałam jechać do Kanady. Z tego co wiem, tu wszędzie jest glusza i przez połowę roku panuje mróz. Co będziemy tu robić?

- Bary i saloony są wszędzie - powiedział ze śmiechem. - I jestem pewien, że w każdym z nich będą chcieli, żebyś zabawiała gości swoją grą na skrzypcach. Beth, spróbuj spojrzeć na to jak na nową przygodę. Masz swoich trzech muszkieterów, którzy czuwają nad twoim bezpieczeństwem. A teraz chodź do łóżka i pozwól mi pokazać ci, jak bardzo cię kocham.

- A kochasz? - zapytała. Jej serce radośnie wywinęło kozła, gdyż nigdy wcześniej tego nie powiedział.

- Oczywiście, że tak - odpowiedział, wyciągając do niej rękę. - Pierwszy raz poczułem coś tamtej nocy, kiedy spotkaliśmy się na pokładzie „Majestica”. Wyglądałaś

350

na bardzo zmarzniętą i wynędzniałą, ale spodobał mi się sposób, w jaki stawiałaś mi czoła. Próbowałem znaleźć cię tego ranka, kiedy zeszlśmy na ląd. Ale nie znałem twojego imienia i niczego o tobie nie wiedziałem. Gdy w końcu ujrzałem cię podczas występu u Heaney'a, byłem wniebowzięty. Byłaś o wiele ładniejsza niż cię zapamiętałem. I ta twoja muzyka!

Beth nie mogła powstrzymać uśmiechu i sięgnęła, żeby ująć jego dłoni.

- Obiecujesz, że nie będziesz więcej oszukiwał? - zapytała.

- Przynajmniej nie ciebie - odpowiedział. - A teraz chodź tutaj.

Montreal był pięknym miastem pełnym nowych, eleganckich budynków, szerokich dróg oraz wspaniałych placów i parków. Beth i chłopcy najbardziej lubili leżący na pobliskiej górze park Mount Royal, skąd roztaczał się zapierający dech w piersiach widok na miasto i ruchliwy port.

Zachwycali się wybudowanym nad rzeką St. Lawrence mostem królowej Wiktorii, który ludzie nazywali ósmym cudem świata i podziwiali budynek New York Life, gdzie winda z pasażerami śmigała aż na ósme piętro.

Był też plac Golden Mile, przy którym stały wielkie, zapierające dech w piersiach posiadłości bogaczy. Hotel Windsor był najbardziej imponującym budynkiem, jaki Beth, Sam i Jack kiedykolwiek widzieli, zaś sklepy na St. Catherine's Street dorównywały wytwornością najlepszym w Nowym Jorku.

Miasto wypiękniało jeszcze bardziej, gdy nadszedł koniec września i liście na drzewach zabarwiły się

ogniastą czerwieniast, przetykanast blaskami zlota, brastu i ochry. Ale choast Montreal byl piastnym miastem, wyczuwali, ze nigdy nie odniosast tu sukcesu. Pobudowano tu wiele saloonow, co krok rowniez natykali sie na rewie i sale taneczne, ale nie bylo to miasto liberalow: zdecydowana wiastkszoast jego mieszkancow miastla stateczne, spokojne usposobienie i ciastko pracowastla.

Po kilku dniach od przyjazdu Sam i Jack znalezieli zatrudnienie jako barmani, ale choast starali sie przekonaast swoich pracodawcow, zeby dali Beth szansast oczarowania klienteli, obydwaj odmowili. Mimo ze zaden z wlastcicieli nie wypowiedzial swoich mysl i na glast, widaast bylo, iz uwaastzaja, ze kaastda mloda kobieta gotowa wejast do sa-loonu musi byast dziwkast.

Beth wastdrowastla od jednego sklepu do drugiego; miastla nadziejest, ze w ktorymast znajdzie prace. Ale wyglastdalo na to, ze na sprzedawcow przyjmowano tylko meastczyzn. Jezeli nawet zauwaastzyla jakast kobieast pracujast w sklepie, restauracji baastz kawiarni, za kaastdym razem byla ona spokrewniona z wlastcicielem.

Theo odkryl, iz wyciastgniastie z kogokolwiek choast potwierdzenia informacji tym, ze gdzieast w mieastcie tocaast sie jakieast hazardowe gry, nie mowiac juz o zaproszeniu do stolika, jest prawie niemoastliwe. Wyglastdalo teast na to, ze po raz pierwszy w zyciu jego wizerunek angiastkiego dzentelmena dziaast przeciwko niemu. Arystokracjest Montrealu stanowili Francuzi i zauwaastzyl, iz wielu z nich patrzy na niego z gory. A zwykli robotnicy, sprzedawcy i inni ludzie zyastcy z pracy wlastnych rak, glastwnie Anglicy i Szkoci, baastcy Kanadyjczykami w pierwszym lub drugim pokoleniu, rowniez traktowali go podejrzliwie.

352

Ciastgle dysponowast wiastkszoastast sumy wygranej podczas ostatniej gry w pokera, ale nie chciast jej traciast na wydatki zwiazane z zyciem codziennym. Powiedzial, ze musi wykorzystaast te pieniadze w charakterze wpisowego, kiedy w koncu uda mu sie znaleast dojscie do gry w pokera o wielkie stawki. Na poczastku Jack i Sam zgodzili sie z jego punktem widzenia, gdyast obydwaj chcieli pracowast w hazardzie i potrzebowali Theo, zeby ich wprowadzil. Ale wraz z uplywem kolejnych tygodni, ktore spastdzali, pracujast do poznej nocy za marne grosze, zaczastlo ich denerwowaast, ze Theo marnuje czas, siedzast i pijast w wytwornych lokalach, takich jak bar w hotelu Windsor, podczas gdy oni utrzymywali jego i Beth.

Z hotelu przeniesli sie do mniejszego hoteliku, a potem do trzypokojowego mieszkania, ale i to po pewnym czasie stalo sie zbyt drogie, co obudzilo w Beth wspomnienia trudnosci, jakich doastwiadczyli wraz z Samem, kiedy przybyli do Nowego Jorku. Tak samo jak wtedy, gdy musieli zadowoliast sie jednym pokojem w czynszowce na Lower East Side, teraz zmuszeni zostali do obnizenia swoich oczekiwan i poszukania czegost na Point St. Charles.

Griffintown albo Bagno, jak czaststo zwano Point St. Charles, bylo terenem polozonym w zachodniej czastci miasta, pomiedzy rzekast St. Lawrence a torami kolejowymi Canadian Pacific. Nie miastlo ono splendoru czastci miasta znajdujastcego sie na wzgastrze, z rysujastcymi sie na tle nieba iglicami koastciolow. W krajobrazie Bagna dominowaly fabryki i huty, zwieastczone wysokimi kominami, buchajastcymi nieustannie czarnym dymem.

Nie bylo tu czteropietrowych czynszowek, do ktorych przywykli w Nowym Jorku, tylko rzedy jedno-

lub

175

dwupiętrowych szeregowców, ale było to ponure miejsce, gdzie gnieździli się najbiedniejsi mieszkańcy Montrealu. Znaleźli małe, pokryte gontami drewniany domek z dwoma pokojami na górze i dwoma na dole na Caning Street, w jednej z najgorszych dzielnic zamieszkałych przeważnie przez bezrobotnych obarczonych licznymi rodzinami. Nawet ci, którym udało się znaleźć pracę, zarabiali zapewne mniej niż dziesięć dolarów tygodniowo.

Po komforcie, w jakim Beth żyła w domu Pearl, z ubikacjami wewnątrz budynku, trudno było znowu przyzwyczaić się do wychodka znajdującego się na zewnątrz, zwłaszcza że panowało trudne do wytrzymania zimno. W jednym ze znajdujących się w okolicy setek sklepów z używanymi rzeczami udało im się kupić kilka mebli, ale Beth i tak musiała wykrzesać z siebie dużo entuzjazmu, żeby uczynić z mieszkania prawdziwy dom, gdyż chłopcy przychodzili tylko na noc, przespać się, a Theo zaglądał tylko od czasu do czasu.

Mieszkająca tuż obok Irlandka, Josie, załatwiła Beth pracę w fabryce koszul. Była to żmudna, monotonna praca przy maszynie: obszywała boczne szwy koszuli, podczas gdy ktoś inny dodawał kołnierzyk i rękawy.

Jesień zastąpiła zima i pojawiły się pierwsze opady śniegu; przez cały dzień w fabryce Beth marzła do szpiku kości. Widziała, że powoli upodabnia się do innych pracujących tu kobiet, przedwcześnie postarzałych, zgarbionych i niedowidzących. Prawie wszystkie były Irlandkami, ale musiały przystać na pracę za kilka dolarów tygodniowo; niemal każda miała dzieci do wykarmienia i często również nieodpowiedzialnego męża, który przepijał swoje zarobki.

176

Ale przynajmniej miały mężów. Beth nazywała się panią Cadogan, bo prała koszule, skarpetki i bieliznę Theo, żeby ten mógł wyglądać elegancko, i gotowała mu posiłki, kiedy raczył pojawić się w domu - jednym słowem wykonywała wszystkie obowiązki żony. Ale to Sam i Jack doceniali jej wysiłki stworzenia domowej atmosfery, taszczyli do domu wiadra z węglem na opał i pocieszali, kiedy ogarniało ją poczucie beznadziei. I nie mogła zmusić się, żeby im powiedzieć, iż nosi w sobie dziecko Theo.



Beth mocniej naciągnęła na uszy futrzaną czapkę i z lekkim niepokojem wyszła na śnieg, gdyż była piąta rano i okolice spowijały ciemności. Wymoszczone futrem buty, które Jack dał jej na święta, utrzymywały stopy w ciepłe i chroniły przed wilgocią, ale kiedy szła, poły jej długiego płaszcza, spódnice i halkę oblepiał śnieg, krępując jej ruchy.

Z fabryki koszul zwolniono ją na początku grudnia. Nie mogła powiedzieć, żeby ją to przesadnie zmartwiło, bo zdążyła znienawidzić tę pracę. Wkrótce zresztą znalazła następną, jako kucharka. Theo, Sam i Jack byli przerażeni i bardzo starali się odwieść ją od tego pomysłu, gdyż miała gotować w baraku dla pracujących na rozmaitych budowach sezonowych robotników. Upierała się jednak, że powinna przyjąć tę pracę, gdyż nie było innych ofert, ale niewiele brakło, żeby stamtąd czmychnęła, kiedy pierwszego dnia stanęła wobec czterdziestu szorstkich, twardych i niezbyt czystych mężczyzn tuzina różnych narodowości. Ale zarobki były o wiele lepsze niż w fabryce koszul - i było tam ciepło. Chłopcy obawiali się, że robotnicy zaczną się do niej dobierać, ale okazało się, że traktowano ją z szacunkiem; więcej nawet, mężczyźni byli opiekuńczy i wdzięczni.

Praca dłużyła się jej niemiłosiernie od piątej nad ranem do siódmej wieczorem, ale po uprzątnięciu resztek śniadania i wykonaniu kilku innych czynności, takich jak zamieciecie sypialni i posprzątanie stołówki, mogła na parę godzin wrócić do domu. Ale częściej zostawała w baraku, czytając jakąś książkę albo drzemiąc przy piecyku, dopóki nie przyszła pora przygotowania kolacji.

Byłaby naprawdę szczęśliwa, gdyby nie obawy związane z poinformowaniem Theo i chłopców, że jest w ciąży. Od wczesnego stycznia, kiedy zapięcie sukienki stawało się coraz większym wyzwaniem, każdego ranka postanawiała, że o wszystkim powie im wieczorem. Ale teraz był koniec lutego, a ona wciąż nie mogła się zdobyć na odwagę.

Nie chodziło tylko o tchórzostwo wynikające z faktu, że bała się, iż nowiny zostaną powitane z niepokojem. Przez większość dni nawet chłopców nie widywała; szła do pracy, kiedy oni jeszcze spali, a gdy wracała do domu, w pracy byli oni. Ale nawet w spędzane wspólnie niedziele nigdy nie trafiała na odpowiedni moment. Jednego dnia Sam był podekscytowany z powodu podwyżki i nie chciała zepsuć miłego nastroju; innym razem Jack wyrzucił się na śniegu i stłukł sobie nogę, więc wołała nie podsuwać mu kolejnych powodów do zmartwienia. Jeżeli idzie o Theo, nie można było na niego liczyć nawet w niedziele, gdyż w końcu poznał kilku nadzianych ludzi, którzy lubili grać w pokera i wkradł się w ich łaski.

Prowadził podwójne życie. Dla swoich nowych przyjaciół był odnoszącym sukcesy w Ameryce i Kanadzie człowiekiem interesu. Nie mieli pojęcia, że tak naprawdę mieszka w niesławnych slumsach. Ani o tym, że jego jedynym interesem jest hazard.

358

Choć Beth nie podobało się, że nieustannie znika na całe dni, ani to, że nie miała udziału w jego drugim życiu, ceniła w Theo umiejętność stwarzania wrażenia, iż jest człowiekiem zamożnym. Robił rezerwację w hotelu Windsor, a potem wysyłał zaproszenia do swoich znajomych, zapraszając ich na kolację. Cena jednego noclegu i posiłku zazwyczaj wystarczały, żeby w rewanżu któryś z nich zapraszał go do swojej posiadłości przy Golden Mile, gdzie pozostawał mniej więcej przez tydzień, stanowiąc wzorowy przykład dystygowanego gościa, który często przy partii pokera uwalniał swoich gospodarzy od setek dolarów.

Beth niekiedy czuła się pokrzywdzona; on płacił się w luksusie, podczas gdy ona gotowała dla czterdziestu mężczyzn, ale rozumiała, iż Theo stara się pozyskać sponsorów domu gry, co miało przynieść korzyść im wszystkim. Poza tym, przynosił pieniądze dla niej i chłopaków i w głębi duszy wiedziała, że gdyby jej nie kochał albo nie widział w Samie i Jacku swoich najlepszych przyjaciół, już dawno odszedłby w siną dal.

Ale w długoterminowych planach Theo nie było miejsca dla dziecka i Beth martwiła się, że to może postawić całą sytuację na głowie. Ona zresztą też tego nie planowała i na początku była przerażona. Ale kiedy mijały kolejne tygodnie złapała się na tym, że przypomina sobie radość, jaką przynosiło jej opiekowanie się Molly i teraz z całego serca pragnęła tego dziecka. Choć fakt pozostawał faktem: chłopcy mogli zareagować na nowiny konsternacją.

Nie mogła dłużej utrzymywać tego w sekrecie. Podejrzewała, że jest w ciąży od czterech i pół miesiąca, co sugerowałoby, iż dziecko urodzi się w lipcu i jedynym powodem, dla którego nikt do tej pory nie zauważył zmian

359

w jej figurze, były grube zimowe ubrania, które nosiła. Nawet leżąc w łóżku, nigdy nie zdejmowała flanelowej koszuli nocnej, a kiedy Theo wracał do domu, zazwyczaj już spała, więc nie kochali się od wielu tygodni.

- Powiem mu dziś wieczór - postanowiła na głos. Zazwyczaj nie wychodził przed jej powrotem do domu i mogła poprosić go, żeby przekazał wieści Samowi i Jackowi następnego ranka, zanim udadzą się do pracy

Trudno było poruszać się po tak grubym śniegu, który w dodatku był dość zdradziecki, gdyż skrywał pod sobą różne przeszkody, zaś w ciemnościach niełatwo było dostrzec cokolwiek, co mogłoby ją ostrzec. Przemieszczała się drobnymi, ostrożnymi kroczkami, myśląc już o swoich nowych planach na przyszłość.

Pomimo wszystkich wad, Theo był kochającym i troskliwym człowiekiem i była stosunkowo pewna, że poślubi ją, żeby nadać dziecku swoje nazwisko. Ale wiedziała też, że nie ma szans na to, by zmienić się w tradycyjnego męża, który utrzymując żonę i dziecko, każdego dnia będzie chodził do pracy w banku albo parł się innym regularnym zajęciem.

Wpadła na pomysł, że powinni wynająć cały dom w lepszej okolicy, a potem, żeby związać koniec z końcem, mogłaby wynająć część pokoi. Theo mógłby dalej zajmować się swoimi sprawami, tak samo jak Sam i Jack. Nawet jeżeli chłopcy musieliby wyprowadzić się z Montrealu, ona byłaby zabezpieczona i choćby nawet nie mogła grać publicznie na skrzypkach, przynajmniej zostałaby panią swojego własnego domu i nie musiałaby zostawiać dziecka komu innemu w czasie pracy.

Kiedy skręciła w Fullner Street, gdzie mieścił się barak, była tak zajęta obmyśleniem najlepszego sposobu

360

przedstawienia tego pomysłu chłopakom, że przestała zwracać uwagę na drogę. I nagle stopy uciekły jej w różne strony, ona zaś runęła w tył na śnieg, boleśnie objając sobie pośladki.

Przetoczywszy się i podniósłszy na kolana, zobaczyła, że nastąpiła na tafle lodu. Ktoś musiał wylać wodę, która zamarzała na kamień.

Spodziewała się, że będzie miała potem dużego siniaka, ale na szczęście jej nogi i kostki sprawiały wrażenie nienaruszonych.

Dopiero kiedy znalazła się w baraku, gdzie zajęła się rozpalaniem ognia w piecyku, w którym żar tlił się przez całą noc, a potem zabrała się za zapalenie gazu, żeby rozpocząć gotowanie, zdała sobie sprawę, że czuje się odrobinę zamroczone; miała wrażenie, jakby doznała lekkiego wstrząsu. Ale nie mogła o tym rozmyślać, gdyż niedługo mieli pojawić się pierwsi robotnicy.

Śniadanie było zawsze trudniejsze do przygotowania niż kolacja, na przyrządzenie której miała cały dzień. Z rana zostawała jej mniej niż godzina na usmażenie około osiemdziesięciu jajek, porcji bekonu i kielbasek na wielkich patelniach, pokrojenie sześciu wielkich bochnów chleba i zaparzenie kilku dzbanków kawy i herbaty.

Barak miał jedno duże pomieszczenie wspólne, gdzie mężczyźni jedli i odpoczywali. Ich sypialnie i toalety znajdowały się z tyłu. Ściany pokryto surowym, niepo-malowanym tynkiem, a podłogę stanowił goły beton. Pomieszczenie było wypełnione długimi rozchwianymi stołami i porysowanymi drewnianymi ławami, które od kuchni oddzielała lada. Na jednej ze ścian wisiała tablica z ogłoszeniami i przegródki dla każdego z mężczyzn; druga poznaczona była kołkami na ubrania robocze;

w piecyku pal ono dzień i noc, żeby mokre płaszcze i buty wyschły do rana.

Kolejną ścianę udekorowali co bardziej utalentowani robotnicy. Była pokryta szkicami niedźwiedzi i losi, karykaturami oraz wieloma lubieżnymi rysunkami na wpół rozebranych kobiet, na widok których Beth oblewała się rumieńcem.

Kiedy pierwszy raz weszła do jednej z sypialni, żeby zamieść podłogę, odrzucił ją okropny smród potu i niemytych stóp, ale podejrzewała, że nie może być inaczej, gdy tak wielu mężczyzn spało na tak niewielkiej i kiepsko wietrzonej przestrzeni. Poza tym, pracowali całymi dniami i tylko raz na miesiąc mogli pozwolić sobie na kąpiel w łaźni położonej w głębi ulicy. Jednakże większość z nich trzymała swój drobny majątek i czyste ubrania na zmianę w skrzynkach bądź workach pod piętrowymi łózkami. Byli ludźmi o mentalności nomadów, wędrującymi tam, gdzie zaprowadziła ich praca, twardymi mężczyznami, bez żon i dzieci, obojętnymi na chłód, upały a często również i rany. Wydawało się, że wszystko, czego było im trzeba do szczęścia, to kilku kumpli, napitek i jedzenie.

Kiedy pojawiła się pierwsza grupa ziewających i kaszlących rozczochranych mężczyzn, Beth miała już talerze, tace z jedzeniem i chlebem na ladzie, wszystko gotowe do nakładania. Na końcu lady postawiła kawę i herbatę, żeby mogli obsłużyć się sami.

Większość z nich tylko wymamrotała pozdrowienie, gdyż byli na wpół przytomni, ale kiedy zaczęła nakładać na talerz jedzenie rosłemu Amerykaninowi zwanemu Teksem, ten spojrzał na nią przenikliwie i zmarszczył brwi.

- Dobrze się czujesz, skarbie? - zapytał. - Wyglądasz dzisiaj bardzo blado.

180

- Idąc tutaj, poślizgnęłam się na lodzie - powiedziała, uśmiechając się słabo. - Żadnych złamań, tylko trochę się poobijałam.

- Lepiej oszczędzaj się przez resztę dnia - powiedział. - Nie chcielibyśmy stracić tak ślicznej kuchareczki jak ty.

Do dziesiątej Beth zdążyła uporać się z większością sprzątaniami. Zazwyczaj robiła sobie wtedy przerwę, wypijała kubek herbaty, zagryzając kanapką z bekonem i czytała gazetę, zanim rozpoczynała przygotowania do wieczornego posiłku. Ale dzisiaj na kolację był gulasz, a ponieważ przysyłane przez rzeźnika mięso zazwyczaj było twarde, miała zamiar przez większą część dnia gotować je na wolnym ogniu.

Kiedy taszczyła duże, ciężkie patelnie z półki pod ladą do piecyka gazowego, poczuła przeszywający ból w brzuchu. Postawiła patelnie na piecyku, ale wtedy złapał ją następny skurcz bólu.

Usiadła na krześle, powtarzając sobie, że to tylko skurcz albo po prostu niezdarnie podniosła patelnię. Ale wtedy ból szarpnął jej ciałem trzeci raz i instynktownie chwyciła swój brzuch dokładnie w ten sam sposób, jaki zaobserwowała u matki, kiedy ta zaczęła rodzić Molly.

Oblał ją strach. Czy to możliwe, że miałyby stracić swoje dziecko?

Być może na początku się z niego nie cieszyła, ale z czasem ta myśl zaczęła się jej podobać i w ostatnim miesiącu ledwie mogła myśleć o czymś innym niż o tuleniu swojego dziecka w ramionach.

Co robiły kobiety, żeby upewnić się, że nie tracą dziecka? Czy poczuje ulgę, gdy położy się na wznak? A może powinna poprosić kogoś, żeby sprowadził lekarza?

363

Ale kogo? Wszyscy wyszli na cały dzień. Barak należał do pana Sondheima, ale poza piątkowym wieczorem, kiedy zawsze przychodził odebrać od pracowników czynsz, praktycznie tu nie zaglądał. Gdy zaczęła tu pracę, wpadał częściej, ale wyglądało na to, że teraz jej ufał i zaglądał tylko po to, żeby odebrać rachunki za żywność i sprawdzić, czy nikt nie uciekł albo nie przebywał na miejscu bez jego pozwolenia. Zjrzał wczoraj, dzisiaj więc najprawdopodobniej się nie pojawi.

Beth wstała z krzesła, mając nadzieję, że ból po prostu przejdzie, bo pan Sondheim nie będzie zadowolony, jeżeli nie uda się jej przygotować kolacji na czas. Dotarła do lady, gdzie rozłożyła mięso gotowe do poćwiartowania, gdy złapał ją kolejny spazm bólu. Ten był jeszcze bardziej intensywny i trwał dłużej. Coś jej mówiło, że ta dolegliwość sama nie minie i musi wezwać pomoc.

Podpierając się, ostrożnie skierowała się do drzwi. Gdy do nich dotarła, opanowała ją kolejna fala bólu; tym razem tak silna, że dziewczyna krzyknęła. Kiedy zelżał, Beth poczuła coś lepkiego i mokrego pomiędzy nogami; podejrzewała, iż może to być krew. Z przerażeniem otworzyła drzwi i wyjrzała na ulicę.

W zasięgu wzroku nikogo nie było i choć najbliższy dom znajdował się po drugiej stronie ulicy, Beth bała się ją przekroczyć, gdyż mogła znowu upaść na śniegu. Zawsze, kiedy wychodziła na dwór, dookoła kręciło się parę osób, nawet w czasie zawieruchy, gdyż większość mieszkańców tej okolicy żyła w tak ciasnych domkach, że aby się rozruszać, musieli wychodzić na zewnątrz.

- Proszę, niech ktoś tu przyjdzie - prosiła na głos, kiedy przeszła ją kolejna fala bólu. Ze zgrozą stwierdziła,

364

że śnieg pomiędzy jej nogami zabarwił się na czerwono od krwi i ze strachu natychmiast opanowały ją mdłości.

Musiała tam stać jakieś dziesięć minut, przemarznięta do szpiku kości, w bólu i z kałużą krwi u jej stóp rosnącą z każdą chwilą, kiedy w końcu zobaczyła mężczyznę idącego drogą i ciągnącego za sobą same.

- Proszę, niech mi pan pomoże - krzyknęła najgłośniej jak mogła.

W momencie, kiedy mężczyzna do niej dotarł, musiała już ścisnąć framugę drzwi, żeby się nie przewrócić.

- Ma pani kłopoty? - zapytał.

Zdawała sobie sprawę z tego, że jest młody i ma nie więcej jak dwadzieścia lat; był Irlandczykiem z jasnoniebieskimi oczami.

- Tak, wydaje mi się, że mam poronienie - wyrzuciła z siebie; strach zamaskował poczucie wstydu wyznania takiej rzeczy obcemu. - Czy może pan udać się do mojego domu i sprowadzić mojego męża albo brata?

- Oczywiście - odpowiedział. - Ale najpierw pomogę pani wejść do środka. Przemarznie tu pani na śmierć.

Wyglądało na to, że jej wybawca zna okolicę, bo znalazłszy się w środku, przekroczył drzwi prowadzące do sypialni i wrócił z poduszką i kocem. Kazał położyć się jej na podłodze i przykrył ją, a nawet wziął za rękę, kiedy kolejny raz krzyknęła z bólu.

Wychrypiała, gdzie ma się udać, a on obiecał, że będzie biegł całą drogę.

Kiedy tylko mężczyzna ruszył w drogę, ból znacznie przybrał na sile i tym razem już nie ustąpił, przychodząc falami, każdą coraz silniejszą i bardziej bolesną, aż

181

w końcu nie mogła myśleć o niczym innym; nie widziała już niczego, ani nie słyszała.

Wydawało się jej, że przez otaczającą ją czerwoną mgłę słyszy głos Jacka powtarzającego jej imię, ale nie mogła mu odpowiedzieć. Czula się tak, jakby osuwała się w głąb ciemnego tunelu, z którego nie było już ucieczki.

- Pani Cadogan! Słyszysz mnie pani?

Beth miała wrażenie, że idzie w kierunku głosu mężczyzny przez ciemny las. Kiedy próbowała iść szybciej, zawodziły ją nogi.

- Pani Cadogan, już po wszystkim, proszę spróbować otworzyć oczy.

Źródło jego głosu było tak blisko, iż doszła do wniosku, że to wszystko dzieje się we śnie, a ona leży w swoim łóżku. Otworzyła oczy i zobaczyła spoglądającego na nią z góry mężczyznę w okularach ze złotymi oprawkami.

- Jest pani w szpitalu - wyjaśnił. - Strasznie przestraszyła pani swojego męża; bał się, że panią straci.

- A dziecko? Doktor skinął głową.

- Moja droga, bardzo mi przykro, ale jesteś młoda i silna, więc szybko wrócisz do siebie.

- Mogę zobaczyć męża? - wyszeptwała.

- Tylko na kilka minut, a potem musi pani odpoczywać. Zaraz po niego poślę.

Pomyślała, że musi być późno w nocy, gdyż w dużym pomieszczeniu paliło się tylko jedno przyćmione światło, zaś ludzie zajmujący inne łóżka wydawali się być pogrążeni we śnie. Nie mogła zrozumieć, dlaczego nie może przypomnieć sobie niczego od chwili, kiedy młody Irlandczyk przyszedł jej z pomocą. Cóż takiego jej

182

dali, że ból odszedł jak ręką odjął i spała tak długo? Czy przeszła jakąś operację?

Na dźwięk kroków obróciła głowę i zobaczyła zmierzającego do niej Jacka.

- Gdzie jest Theo? - wyszeptwała, kiedy dotarł do jej łóżka.

- Nie wiem - odszepnął. - To ja przyszedłem po ciebie do baraku. Sam poszedł już do pracy.

Sklamalem, że jestem twoim mężem, żeby wyglądało to lepiej. Czy Theo wiedział, że nosisz jego dziecko?

Beth słabo potrząsnęła głową.

- Miałam zamiar powiedzieć mu dziś wieczór.

- Ale oni powiedzieli, że byłaś brzemienna od czterech miesięcy! Musiałem udawać, że wiem. Dlaczego nie powiedziałaś żadnemu z nas? Nie pozwolilibyśmy ci pracować w tym miejscu, gdybyśmy zdawali sobie sprawę, w jakim jesteś stanie.

- Nigdy nie było okazji, żeby wam powiedzieć - odpowiedziała znużonym głosem.

Jack pochylił się i pocałował ją w policzek. - Jak się teraz czujesz?

- Trochę dziwnie. - Westchnęła. - Ale nic mnie już nie boli. Jack, co oni mi zrobili?

- Z rana doktor wszystko ci wyjaśni - powiedział. - A teraz musisz spać, żeby odzyskać siły. Poszukam Sama i Theo i wszystko im opowiem. Odwiedzimy cię jutro.

Było dobrze po dziesiątej i kiedy Jack szedł przez opustoszałe, zasypane śniegiem ulice, jego oczy wypełniły się łzami na myśl o tym, co powiedział mu doktor.

- Musiałem przeprowadzić operację, żeby usunąć części, które nie odeszły naturalnie. Z przykrością muszę

367

poinformować pana, iż jest wysoce prawdopodobne, że pańska żona nigdy już nie zajdzie w ciążę. Wiele znanych Jackowi kobiet wcale by się nie przejęło perspektywą nieposiadania dziecka i każdy, kto widział Beth grającą na skrzypkach pomyślałby, że macierzyństwo nie jest tym, czego pragnęłyby najbardziej. Ale Jack znał prawdę. Słyszał smutek w jej głosie, kiedy mówiła o Molly i wiedział, że oddanie siostry było czymś, z czym nigdy się do końca nie pogodziła, choć twierdziła inaczej. Kiedy na święta Bożego Narodzenia dostała fotografię siostrzyczki, godzinami się w nią wpatrywała. Zawsze uważał, że w pełni dojdzie do siebie, dopiero gdy będzie miała własne dzieci.

A teraz straciła tę szansę.

Theo nie wrócił tej nocy do domu. Jack, który nie mógł zasnąć, z nienawiścią myślał o tym, tak lekko traktującym Beth, mężczyźnie. Oczywiście hazardzista nie wiedział, że Beth jest w szpitalu, ale Jackowi nie mieściło się w głowie, jak mężczyzna mający tak wspañiałą dziewczynę mógł znieść rozłąkę z nią choćby na jedną noc.

Sam z niedowierzaniem patrzył na Jacka przekazującego mu nowiny

- Dlaczego mi nie powiedziała? - powtarzał w kółko, tak jakby myślał, że gdyby to zrobiła, w ogóle nie doszłoby do tragedii. Ale nawet on, który był tak blisko związany ze swoją siostrą, wyraził opinię, że może tak będzie najlepiej.

- Najlepiej dla kogo? - ryknął na niego Jack. - Może dla ciebie i Theo, żebyście mogli bez przeszkód robić, na co wam przyjdzie ochota. Ale nie dla Beth. Część niej

368

umarła wraz z tym dzieckiem i kiedy się dowie, że nie będzie mogła mieć następnych, jak myślisz, jaki to będzie miało na nią wpływ?

Jack usłyszał, że Theo wraca, gdy było już blisko świtu. On i Beth dzielili pomieszczenie, które dziewczyna drwiąco nazwała salonikiem, gdyż było nieznacznie większe od dwóch pokoi na dole i jako jedyne posiadało piecyk. Musiała na nim gotować i urządziła sobie małą kuchnię, umieszczając w alkowie obok paleniska drewnianą skrzynkę przykrytą kawałkiem materiału i układając na niej i w środku porcelanę, garnki, sprzęty i artykuły żywnościowe.

Umiejętność Beth uczynienia z każdego pomieszczenia przytulnego domu wprawiała Jacka w podziw. Łóżko przykryła narzutą w jasnych kolorach, a na dwóch drewnianych fotelach położyła własnoręcznie zrobione poduszki. Większość ludzi mieszkających w okolicy żyła w brudzie, pokonała ich nędza i trudy życia, ale Beth utrzymywała domek w nienaganej czystości i zawsze dodawała jakiś drobiazg, który sprawiał, że stawał się jeszcze bardziej przytulny.

Kiedy rozpoczęła pracę w baraku, zdobyła mały stolik i w niedziele, kiedy wszyscy znajdowali się w domu, jedli przy nim kolację, siedząc na pustych skrzynkach. Szczeliny przy oknach zatkała gazetami, żeby nie było przeciągów, zaś plamy na ścianach zakryła afiszami teatralnymi i zdjęciami powycinanymi z magazynów. Siedząc tak przy trzaskających płomieniach, z pysznym obiadem przed sobą, mogli na kilka godzin zapomnieć o przenikliwym chłodzie, ponurej atmosferze panującej na zewnątrz i poczuć się jak prawdziwa rodzina.

183

Odkąd spotkał Theo po raz pierwszy, uczucia Jacka w stosunku do niego uległy zmianie. Przeszła mu już początkowa zawiść, wywołana odebraniem mu Beth i oburzenie, że lekkoduch pozwolił myśleć dziewczynie, iż to on zorganizował jej uwolnienie z piwnicy. Kiedy przenieśli się do Filadelfii, zaczął się powoli przekonywać do hazardzisty

Theo był człowiekiem płytkim, przepadającym za eleganckimi ubraniami, lubiącym się popisywać akcentem z wyższych sfer i nienagannym wychowaniem, ale jednak nie był snobem. Istniały dlań tylko dwa typy ludzi: tacy, których lubił, i ci, którzy nie zaliczali się do tej kategorii. Ich stan majątkowy oraz pochodzenie kompletnie go nie interesowały

Gdy Jack postanowił puścić swoje urazy w niepamięć, odkrył, iż Theo jest hojnym, życzliwym, wesolym i mądrym kompanem, który zawsze wyprzedzał innych o jeden ruch.

Chłopaka nie zgorszył fakt, że mężczyzna oszukiwał przy kartach. Podejrzewał, że przegrawszy kupe forsy, najprawdopodobniej postąpiłby tak samo. Ale kiedy Sheldon wyciągnął kopyta, Jack wcale by się nie zdziwił, gdyby Theo ulotnił się z miejsca zbrodni i zostawił jego i Sama, żeby stawili czoła konsekwencjom.

Stało się jednak inaczej. Theo przejął dowodzenie, zorganizował ich ucieczkę do Kanady i zapłacił za ich bilety. Sprawdził się jako towarzysz i Jack od tego czasu bezgranicznie mu ufał.

Kiedy jednak pomyślał, gdzie znajduje się Beth, wpadł w morderczy nastrój. W samych kałesonach i nocnej koszuli wyskoczył z łóżka i pobiegł do przyległego pokoju.

184

Theo zapalił świecę i trzymał ją, stojąc po prostu w miejscu; nie zdjął nawet cylindra ani eleganckiego płaszczka, zdumiony faktem, że Beth nie ma w łóżku.

- Gdzie ona jest? - zapytał.

- W szpitalu, ty draniu - warknął Jack. - Poroniła, a ty powinieneś się powiesić za to, że nie było cię przy niej i pozwoliłeś pracować dziewczynie w takim miejscu.

- Ona była w ciąży? - Gwałtownie nabral powietrza i nagle pobladł. - Nie wiedziałem!

- Nie dałeś jej szansy, żeby ci powiedziała; nigdy cię tu nie ma - ryknął Jack. - Przychodziłeś i znikales, kiedy miałaś na to ochotę, zjadałeś posiłki, które ci przygotowała, zakładałeś wyprane dla ciebie czyste koszule i właściwie traktowałeś ją jak służącą.

Theo odstawił świecę i rzucił kapelusz na łóżko.

- Mój Boże! - wykrzyknął. - Straciła nasze dziecko? Jack, proszę, usiądź i opowiedz mi, co się stało i gdzie ona jest.

Jack widział przestrah Theo; lekkoduch był wstrząśnięty, ale to nie ugasiło jego gniewu. Zaciśnął pięść i zamachnął się, trafiając hazardzistę prosto w szczękę; siła uderzenia rzuciła Theo w tył.

- Stłukłbym cię na kwaśne jabłko bez żadnych wyrzutów sumienia - syknął do niego Jack. - Ale nie chcę demolować pokoju, który Beth tak pieczołowicie urządziła. Zwróciłeś kiedyś na to uwagę?

Widziałeś, jakie ma teraz szorstkie dłonie? W Filadelfii była kimś, nosiła ładne suknie i cieszyła się życiem, a ty jej to wszystko odebrałeś.

- Jak rozumiem, ty miałaś dla niej lepsze plany? - zapytał Theo z nutką sarkazmu w głosie. - Tylko nigdy tego nie ujawniłeś, tak?

371

- Ty samolubna gnido - krzyknął do niego Jack i właśnie miał zamiar kolejny raz mu przywalić, kiedy do pokoju wbiegł Sam i złapał go za ramię.

- Bójka niczego nie naprawi - powiedział ze złością, stając pomiędzy dwoma przyjaciółmi. - Bóg wie, że też chciałbym sprać Theo na kwaśne jabłko za to, że zaniedbywał Beth, ale dziewczyna i tak jest już zdruzgotana utratą dziecka i jeżeli wróciwszy do domu, odkryje, że ten... również zniknął, może się nigdy nie pozbierać.

- Nie zostawię Beth, nawet jeżeli obaj mnie zatłuczecie - powiedział oburzony Theo. - Zachowujecie się tak, jakby to była moja wina. A niby dlaczego? Przecież nawet nie wiedziałem. A teraz, na litość boską, możecie usiąść i wytłumaczyć mi, co się stało i powiedzieć, jak się czuje? Przecież wiecie, że ją kocham.

Po tej niespodziewanej deklaracji miłości gniew Jacka ulotnił się.

- To dlaczego cały czas zostawiałeś ją tu samą? - zapytał łamiącym się głosem. - Nie mogłeś przedstawić jej swoim nowym znajomym? Ona jest prawdziwą damą, nigdy nie przyniosłaby ci wstydu.

Theo westchnął i opadł na fotel, przeczesując włosy palcami.

- Chciałem załatwić coś dla nas wszystkich. Gdybym wiedział, że mam zostać ojcem... - Urwał nagle przygnieciony emocjami i ukrył twarz w dłoniach.

- Na litość boską, powiedzcie mi, w jakim jest stanie - powiedział po kilku minutach zduszonym głosem. - Chyba mam prawo wiedzieć choć tyle?

Theo stał w drzwiach prowadzących na oddział, patrząc na Beth przez małe szklane okienko. Leżała

185
w łóżku na boku, jednym ramieniem zakrywając twarz, i wiedział, że dziewczyna płacze. Zebrał się w sobie, żeby wejść do pokoju. Miał nadzieję, iż kiedy weźmie ją w ramiona, uda mu się znaleźć właściwe słowa pocieszenia.

Cios Jacka sprzed kilku godzin sprawił, że bolała go cała twarz, ale prawdziwie głęboki ból czuł w sercu. Nigdy nie myślał o tym, jakby to było zostać ojcem, a mimo to czuł niezmierny smutek, że nigdy już nie dane mu będzie zobaczyć dziecka, które bezwiednie splodzili z Beth.

Pchnął drzwi, otworzył je, zaczerpnął głęboko tchu i wszedł do środka. Beth odsłoniła twarz i zobaczył, że jej oczy są czerwone i opuchnięte.

- Moje biedactwo - powiedział delikatnie. - Tak mi przykro, że wczoraj nie mogłem być przy tobie. Miała tak smutny wyraz twarzy, że nie mógł znieść owego widoku.

- Powinnaś była mi powiedzieć - rzekł, nachylając się, żeby wziąć ją w ramiona. - Beth, kocham cię; wiem, że nie zawsze potrafię ci to okazać, ale nie powinnaś była trzymać tego w tajemnicy przede mną.

-Mówią, że prawie umarłam - zapłakała mu w pierś. - Theo, żałuję, że tak się nie stało. Co to za przyszłość bez możliwości posiadania dziecka, które można otoczyć miłością?

- Nie możesz być tego pewna - powiedział Theo i po jego policzkach również zaczęły spływać łzy. - Zasięgnemy opinii innego lekarza i wszystko się naprawi.

- Pewnych rzeczy nie da się naprawić - powiedziała zduszonym głosem, wtulona w jego pierś.

Instynkt podpowiadał Theo, że dziewczyna czuje się ukarana za utrzymywanie kontaktów seksualnych z mężczyzną, który nie był jej mężem.

- Nie wierzę w to - powiedział. - Zaopiekuję się tobą i kiedy poczujesz się lepiej, przekonasz się, że ujrzysz wszystko w innym świetle. Pobierzemy się kiedyś i pojedziemy do domu do Anglii, żeby odwiedzić Molly Nawet jeżeli nie będziesz mogła mieć więcej dzieci, zawsze będziemy mieli siebie. Beth po prostu płakała wciśnięta w jego pierś i czuł się bezsilny; nie potrafił uśmierzyć jej bólu. Co mógł powiedzieć? Nigdy nie pragnął dziecka i wątpił, żeby którykolwiek mężczyzna chciał je mieć. Mógł zrozumieć rozpacz i rozczarowanie Beth, ale nie mógł utrzymywać, że wie, przez co dziewczyna teraz przechodzi.

- Przepraszam - wyszeptał. - Przepraszam, że lepiej się o ciebie nie troszczyłem. Przepraszam, że nie mówiłem ci wystarczająco często, jak bardzo cię kocham. I ogromnie mi przykro, że straciliśmy nasze dziecko. Ale Beth, nie przekreślaj mnie. Teraz wszystko może malować się w szarych kolorach, ale będzie lepiej. Tyle mogę ci obiecać.

Rozdział dwudziesty czwarty

Czermiec, 1691

Siostrzyczko, otrząśnij się w końcu. Mam już dość patrzenia na tę smutną twarzyczkę. Beth zawstydzila się i zaczerwieniła, gdyż głos Sama niósł się chyba po całym wagonie.

- Może krzykniesz odrobinę głośniejsze? - odparowała z sarkazmem. - Jestem pewna, że ludzie z tyłu też chcieliby się przyłączyć do dyskusji.

- Przepraszam - powiedział speszony. - Nie zdawałem sobie sprawy, że krzyczę. Ale mam wrażenie, iż minęły lata, odkąd słyszałem twój śmiech. Bez problemów przebyliśmy prawie całą Kanadę i widzieliśmy masę rzeczy. Dziś w nocy będziemy w Vancouver, nie możesz wykrzesać z siebie odrobiny animuszu?

- Szorowanie podłóg, pranie i usługiwanie przy stołach to nie są rzeczy, które mogłyby wzbudzić w kimkolwiek entuzjazm - odpowiedziała zjadliwie. - Jeżeli zdołasz mi zagwarantować, że w Vancouver będzie lepiej, to może znowu zacznę się śmiać.

- Może będziesz miała okazję pograć tam na skrzypcach.

Beth zmusiła się do uśmiechu.

-Może... Ale wybaczone, że nie będę wiązała z tym większych nadziei.

Od momentu, kiedy straciła dziecko, minęły cztery miesiące; fizycznie odzyskała siły już po miesiącu. Ale informacja o tym, że już nigdy nie będzie mogła mieć dzieci, kompletnie pozbawiła ją chęci do życia. Czasami cały dzień spędzała w łóżku; nie obchodziło jej, czy w pokoju panuje brud i nieporządek, a kiedy odważyła się gdzieś wyjść, unikała kontaktu z ludźmi.

Przez pierwsze trzy czy cztery tygodnie Theo nie mógłby być dla niej miłszy. Przynosił jej do domu bakalie, środki uspokajające, owoce i czekolady, zabral ją na przejażdżkę saniami na Mount Royal i kupił jej nową sukienkę w jednym z ekskluzywnych sklepów na Sherbrooke Street. Wiele razy zostawał z nią na noc; gdyby nie to, Beth mogłaby popaść w głęboką i trwałą melancholię.

Ucieszyła się, kiedy chłopcy zaproponowali przeprowadzkę. Czula, że gdy tylko zobaczy nowe krajobrazy i zacznie spotykać nowych ludzi, wróci jej dobre samopoczucie.

Wyjechali z Montrealu pod koniec marca, kiedy ciągle panował ziąb i jeziora były zamarznięte, ale wyczuwało się już pierwsze oznaki wiosny. Theo twierdził, że nowa, biegnąca przez całą Kanadę aż do Vancouver linia kolejowa stworzy kilka burzliwie rozwijających się miast na swojej trasie. Miał rację w tym sensie, że niektóre miasta w istocie rozkwitły w każdym miejscu, gdzie zatrzymał się pociąg, ale nie były to miejsca rokujące okazje, na które liczył Theo.

Saloon, zazwyczaj pełniący jednocześnie funkcję hotelu, sklepy towarowe z tkaninami i narzędziami, skład drewna, stajnie i kuźnie były mniej więcej wszystkim, co owe miasta miały do zaoferowania.

Kupujący ziemie uprawne w okolicy tych miast imigranci byli trzeźwo

187

myślącymi, pracowitymi i poważnymi ludźmi, którym nie paliło się do przegrywania swoich ciężko zarobionych pieniędzy. Beth pomyślała, że jedynym sposobem szybkiego zarobku w tych miejscach byłoby sprowadzenie bel materiału na ubrania, kapeluszy i innych luksusowych elementów odzieży, gdyż większość kobiet niemal usychała z chęci założenia czegoś ładnego.

Tak czy siak, opuszczenie Montrealu dobrze wpłynęło na jej samopoczucie. Przestała rozmyślać o tym, że nigdy już nie będzie miała dziecka i znalazła siłę do pracy, kiedy pojawiła się ku temu sposobność. Znowu zaczęła dbać o swój wygląd i wznowiła ćwiczenia na skrzypcach.

W większości miejsc, w których się zatrzymywali, chłopcom zazwyczaj udawało się znaleźć jakąś dorywczą pracę na farmach, przy wycince drzew albo w tartakach. W jednym z miast Sam pomagał szewcowi i zarobił prawie czterdzieści dolarów.

Ale jedyną dostępną pracą dla Beth było sprzątanie, pranie i okazyjna pomoc na farmach, przy sianiu i pieleniu chwastów. Czasami musiała zostawać sama w domu z pokojami do wynajęcia, podczas gdy chłopcy nocowali w barakach, tam gdzie akurat pracowali, więc dziewczynie doskwierała też samotność.

Parę razy zagrała na skrzypcach w saloonach, ale pomimo gorącego aplauzu, uznanie jej publiki nie przekroczyło wrzuconych do kapelusza kilku dziesięciocentówek. Trudno było nie wspominać Nowego Jorku i Filadelfii oraz tego ogarniającego ją tam upajającego uczucia, gdy zarabiała na życie, robiąc to, co lubiła najbardziej na świecie. Bała się, że już nigdy nie trafi się jej podobna okazja.

Ale pomimo wszystkich rozczarowań, przeciwności losu i obaw była to, jak stwierdził Sam, niewiarygodna

377

podróż przez cały ten ogromny kraj; krajobrazy wprawiały ją w zdumienie na każdym kroku: pokryte śniegiem łańcuchy górskie, rozległe jeziora i lasy iglaste, kaskady wodospadów i ciągnące się niemal w nieskończoność prerie. Ledwie mogła uwierzyć, że kiedyś jej świat ograniczał się do Church Street w Liverpoolu, a za rozległą otwartą przestrzeń uważała miejski park.

Powodem jej dzisiejszej ponurej miny było prozaiczne zmęczenie. Męczyło ją wędrownie życie, docieranie do kolejnego miejsca i podekscytowanie chłopców, którzy podskakiwali radośnie tylko po to, żeby kilka dni później odejść z rozczarowaniem. Nie potrafiła wykrzesać z siebie entuzjazmu na myśl o przybyciu do Vancouver, gdyż była przekonana, iż będzie tam tak samo jak wszędzie.

Theo był przekonany, że właśnie tam spełnią się wszystkie jego zamiary. Stał teraz z Jackiem na odkrytej platformie na końcu wagonu i Beth nie miała wątpliwości, że kolejny raz omawiają plany założenia ich wymarzonego domu gry

Wiedziała, że Jack i Theo pobili się po tym, jak straciła dziecko, bo na policzku ukochanego zobaczyła siniaka co się zowie. Ale jakakolwiek uraza była podwaliną tego incydentu, dawno już się ulotniła, gdyż teraz byli najlepszymi przyjaciółmi, a w czasie tej podróży Jack bezsprzecznie udowodnił swoją wartość. Tam, gdzie w grę wchodziła ciężka praca fizyczna, nie miał sobie równych, gdyż był nadzwyczaj silny, zręczny i wytrzymały. Krył opóźnienia spowodowane przez Theo i Sama, zaś jego twarda postawa odstraszała potencjalnych intrygantów, którzy mogliby się ich czepiać.

Wszyscy trzej wyrobili sobie mięśnie i byli w dobrej formie, a opalone twarze nadawały im urodziwy wygląd.

188

Choć Beth nie była w stanie rozbudzić w sobie podobnego dziecięcego podniecenia na myśl o Vancouver, ciągle cieszyła się, że przebywa w ich towarzystwie.

- To miejsce chyba się nada, prawda? - Jack spojrział nerwowo na Beth, kiedy wprowadził ją do pokoi, które znalazł dla nich w Gas Town.

Do Vancouver przybyli wczesnym rankiem, więc do nadejścia świtu zdrzemnęli się w poczekalni na stacji. Kiedy jedli śniadanie, Jack wyruszył poszukać czegoś na własną rękę i wrócił godzinę później, żeby im oznajmić, że znalazł to miejsce zaledwie kilka przecznic od stacji.

- Może być, Jack - odpowiedziała Beth, zbyt zmęczona, żeby ocenić pomieszczenia. Były to dwa pokoje z poplamionymi materacami na łóżkach, krzesłem bez jednej nogi, piecykiem na gaz i umywalką w rogu pokoju na tyłach, skąd roztaczał się widok na doki. Ale zatrzymywali się już w o wiele gorszych miejscach.

- Z tych, które widziałem, to wyglądało najlepiej - powiedział zachęcająco Jack. - Może gdzie indziej udałoby się nam znaleźć coś lepszego, ale powiedziano mi, że w Gas Town znajdują się wszystkie saloony i speluny karciane, więc wygląda na to, iż to okolica w sam raz dla nas. Założę się, że nie będą mieli tu nic przeciwko ładnym skrzypaczkom.

Beth wzruszyła się, że chłopak pomyślał o niej i uśmiechnęła się ze znużeniem.

- Dobrze sobie poradziłeś, Jack. Ale ty zawsze sobie radzisz, niezależnie od tego, co robisz.

W tym momencie po schodach weszli Theo i Sam. Theo zmarszczył nos, a Sam zmusił się do ironicznego uśmiechu.

- Dlaczego zawsze musimy lądować w tak ponurych pokojach? Pomyślałby kto, że choć raz natkniemy się na coś porządnego - powiedział.

Beth poczuła, że powinna dodać im otuchy -No, to przynajmniej całkiem nowy budynek. W drodze na górę widziałam ubikację i łazienkę wewnątrz domu. Trochę się tu posprząta i będzie całkiem przytulnie.

- Skoro ty jesteś szczęśliwa, to wszyscy będziemy -powiedział Theo, podchodząc do okna i wyglądając na zewnątrz. - Mamy dobry widok na statki i jeżeli Gas Town nie przypadnie nam do gustu, możemy odpłynąć na pokładzie jednego z nich.

- Byle nie kierował się na północ - powiedziała Beth, otwierając swoją walizkę, żeby się rozpakować. - Mam już dość zimna i śniegu.

Jakiś czas później Beth obudził dochodzący gdzieś z niedaleka dźwięk banjo. Muzyka była szybka i skoczna, przypominała jej pewnego Murzyna, który grał na banjo na ulicach Filadelfii. Dźwięki instrumentu były niczym dobry omen.

Cała czwórka, nie zdejmując ubrań, położyła się spać na nagich materacach, ale musiało minąć dobrych kilka godzin, gdyż teraz z położenia słońca wnioskowała, że zbliża się wieczór.

Theo spał mocno, obejmując jej kibić, więc wyswobodziła się ostrożnie; nagle zaczęła rozpierać ją energia i zapragnęła przekształcić pokój w ich nowy dom.

Rozwinęła tobolek z pościelą, powiesiła swoje sukienki w szafie i właśnie przeciągała stół pod okno, kiedy obudził się Theo.

380

- To dobry znak - powiedział, patrząc, jak rozpościera na stole kraciasty obrus. - Czyżbyś czuła się jak w domu?

- Czuje się jak w domu wszędzie tam, gdzie jesteś ty - powiedziała kokieteryjnie. - Ale zabieraj swój leniwy tyłek z łóżka, żebym mogła je pościelić.

Zrobił, o co go poprosiła, ale potem przeszedł przez pokój i wziął ją w ramiona.

- Ostatnio wiele przeze mnie wycierpiałas - powiedział przepraszająco.

Było to spore niedopowiedzenie i gdyby miała odpowiedni nastrój do wymówek, mogłaby wyliczyć długą listę wyrządzonych jej krzywd, zaczynając od wciągnięcia ją w życie szulera, kiedy to raz byli na wozie, a raz pod wozem. Mogłaby też wspomnieć o niespodziewanych zniknięciach, flirtowaniu z innymi kobietami, niemożności polegania na jego obietnicach i samolubstwie. Ale nie miała ochoty na rzucanie oskarżeń.

- Nie było tak źle - stwierdziła i zarzuciła mu ramiona na szyję, żeby go pocałować. Odpowiedział chętnie i wsunął język w jej usta, napierając na nią całym ciałem. Ku swemu zdziwieniu wyczuła, że w niej też wzbiera pożądanie.

Od dnia, w którym straciła dziecko, nie pożałowała go jak dawniej. Ponieważ go lubiła, udawała, że go pragnie, za każdym jednak razem, gdy była przezeń niemal gwałcona, czuła nieznośny smutek, czuła się oszukana, ponieważ kochanie się było sporą częścią wszystkiego dobrego, co ich łączyło.

Usiadł na krześle i posadził ją sobie okrakiem na kolanach, a potem rozpiął górną część jej sukni i uwolnił piersi, żeby móc je pieścić i całować. Było dobrze jak zwykle,

381

a gdy jego dłoń wsunęła się pod sukienkę i haleczkę, poczuła, że tym razem nie będzie musiała niczego udawać.

Nieprzyzwoitość całej sytuacji - bo wiedziała, że gdy Theo ją podnieca gorącymi palcami, Sam i Jack są tuż za drzwiami - była tak stymulująca erotycznie, że doznała orgazmu, zanim on rozpiął spodnie i w nią wszedł. Grajek na banjo, który popisywał się na ulicy, wtórował muzyką ich rozkoszy Odrzuciła głowę wstecz i, zapominając o całym świecie, przycisnęła piersi do twarzy Theo; uwielbiała rozkosz, jaką jej dawało czucie go w sobie.

W końcu i on wydał z siebie jęk ekstazy, wbijając palce w jej brzuch.

- To było lepsze, niż wygranie tysiąca dolców w jednym rozdaniu - szepnął ponad jej ramieniem. - Uwielbiam cię, Beth.

Dopiero po dziesiątej wszyscy czworo wyszli coś zjeść. Musieli wziąć zimny prysznic, bo ciepła woda była w rurach tylko wtedy, gdy płonął ogień w piwnicznych kotłach. Wszyscy jednak byli ożywieni, a udany akt miłosny tak rozpromienił Beth, że kwitowała śmiechem wszystko, co powiedział którykolwiek z mężczyzn.

Włożyła swoją czerwoną satynową suknię, choć była nieco pognieciona po tak długim leżeniu w walizce.

- Zabieram ze sobą skrzypce - oznajmiła, gdy wyszli z pokojów. - Czuję, że dziś mi się poszczęści. Po obiedzie, na który składał się pieczony kurczak i ziemniaki, zjedzonym w pobliskiej restauracji, ruszyli na przechadzkę po głównej ulicy Gas Town.

Wiedzieli, że stąd właśnie wzięło swój początek miasto Vancouver. W 1867 roku stały tu tylko mizerne

382

drewniane baraczkę i magazyny, zanim John Deighton, znany jako Gassy Jack, otworzył pierwszy saloon. Miejscy notable chcieli nazwać tę dzielnicę Granville, ale jej mieszkańcy uparli się przy dawnej nazwie Gas Town.

Po spokojnych, sennych miasteczkach, jakie widzieli podczas minionych kilku miesięcy, z przyjemnością stwierdzili, że Gas Town wre aktywnością i można tu znaleźć rozmaite mniej lub bardziej przyzwoite przyjemności i rozrywki.

Z saloonów na chodniki wylewały się potoki ludzi trzymających w dłoniach drinki, a na straganach można było kupić wszelkiego rodzaju jedło, poczynając od pieczonych ziemniaków, poprzez hot dogi, a skończywszy na talerzach klusek. Z kilkunastu miejsc dobiegały dźwięki muzyki, którym wtórowały piosenki śpiewane przez grupy podpitych marynarzy.

Byli tu też naganiacze, usiłujący wciągnąć niebacznych do rozmaitych zaułków na karciane gry, i kusząco upozo-wane w bramach dziwki. Ogólną wrzawę i zamęt zwiększali żebracy, uliczni artyści, sprzedawcy i kuglarze.

Jack zatrzymał ich przy ruchliwym i pełnym życia saloonie na rogu ulicy Water Street.

- Spróbujmy tu odrobiny natarczywości - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Nie mają tu muzyki, spróbujmy więc ich przekonać, że mogłaby im się przydać.

Beth, która czekała przy drzwiach z Theo, podczas gdy Sam i Jack weszli do środka na drinka, pomyślała, jak bardzo od opuszczenia Filadelfii zmieniły się układy w ich grupie. Wtedy niekwestionowanym przywódcą dzięki sile charakteru i urodzeniu był Theo; on zresztą jedyny miał pieniądze. Sam był jego prawą ręką, a Jack pełnił rolę służebną.

383

Gdy znaleźli się w Montrealu, a Theo przejawiał skłonność do znikania, Jack i Sam sami zaczęli podejmować decyzje dotyczące ich losu. Ale nawet wtedy wystarczyło, że Theo strzelił palcami i wszyscy zaczęli tańczyć, jak im zagrał.

Gdy wyjechali z Montrealu, wszystko się zmieniło. Theo i Sam byli ludźmi zbyt wyrafinowanymi, żeby dogadywać się z twardymi, krzepkimi farmerami i budowlancami, w towarzystwie których teraz się obracali. Ci ludzie jednak traktowali Jacka jak swego.

I nagle okazało się, że to Jack o wszystkim decyduje, a Theo i Sam muszą się z tym godzić.

Podejmowali się niekiedy prac, w których nie wytrwaliby i jednego dnia, gdyby Jack nie naprawiał ich błędów. Sam szybko się zahartował i zaczął odczuwać dumę z tego, że dorównuje Jackowi i innym.

Theo jednak był jak wyrzucona na brzeg ryba; nie umiał się przystosować. Polegał wyłącznie na swoim uroku i Beth niejednokrotnie słyszała pełne dezaprobaty opinie ludzi, którzy mówili o nim „angielski lalus”.

Zaczęła się zastanawiać, czy tu, gdzie teraz trafili, w miejscu, w którym Theo czuł się jak w domu, nie spróbuje odzyskać pozycji przywódcy.

Jack i Sam wrócili tymczasem z trunkami i szerokimi uśmiechami na twarzach.

- Zapytaliśmy właściciela, czy mogłabyś zagrać na skrzypcach - powiedział Sam. - Odparł, że owszem, jeżeli starczy ci odwagi. Więc pytam: starczy ci odwagi, siostrzyczko?

Beth wzięła szklanke rumu, powiodła wzrokiem po ludziach otaczających bar i opróżniła naczynie jednym haustem.

384

- Spróbujcie mnie zatrzymać - odpowiedziała, figlarnie się uśmiechając. Theo podał jej futerał ze skrzypcami, ona zaś wyjęła instrument.

- Ile forsy musimy oddać gospodarzowi? - zapytała.

- Nie powiedział - stwierdził Jack. - Podejrzewam, że w ogóle nie wierzy, iż coś nam skapnie. Przejdę się z kapeluszem, a potem coś mu damy i wtedy może da nam miejsce na stałe.

Theo patrzył za Beth, gdy przemykała przez tłum na tyły saloonu, trzymając skrzypce pod jedną pachą, a smyczek w dłoni drugiej ręki. W czerwonej sukience wyglądała jak smukły płomień; jej wyprostowana sylwetka i sposób trzymania ramion powiedział mu, że postanowiła, iż ta noc będzie jej tryumfem.

Znikła mu na chwilę z oczu i poczuł ukłucie niepokoju, ale zaraz zobaczył ją wysoko nad krzepkim mężczyzną, który zasłaniał mu widok i zrozumiał, że wspięła się na stół.

Ułożywszy skrzypce pod brodą, pociągnęła smykiem po strunach i w powietrzu popłynęły pierwsze nutki „Kitty O'Neill”.

Przez kilka chwil pijący nie zareagowali, bo prawie każdy stał do niej tyłem. Theo wstrzymał oddech... ale oto mężczyźni zaczęli się powoli ku niej odwracać, a na ich twarzach pojawiły się uśmiechy aprobaty.

Theo zauważył, jak doskonale Beth rozumie się ze słuchaczami. Uśmiechnęła się i odrzuciła włosy, przyspieszając tempo, a gdy już zdobyła ich uwagę, doskonale wiedziała, jak ją utrzymać.

W większości byli to tragarze portowi i marynarze; niektórzy zdążyli już sobie nieźle podchmielić, ale wszyscy

385

zaczęli tupać. Nie spuszczała z niej oczu, jej muzyka uniosła wszystkich ku dalekim brzegom z ich marzeń.

-Jest lepsza niż kiedykolwiek! - stwierdził Jack. -Spójrz tylko na jej twarz.

Theo nie widział niczego innego. Nie dostrzegł ludzi tańczących jiga na niewielkiej wolnej przestrzeni przed Beth, ani dwu dziewczek lypiących nań przyjaźnie z rogu, ani nawet szklanki whisky w swojej dłoni. Na twarzy Beth dostrzegł ten sam wyraz bezgranicznej rozkoszy, jak wtedy gdy kilka godzin temu się kochali. Pomyślał, że powinien być zazdrosny o muzykę, która tak wiele dla niej znaczyła, ale nie był. Czuł się jednak większy i silniejszy od każdego z obecnych tam mężczyzn, bo Beth była jego dziewczyną.

Grała już dwadzieścia minut; bar zapelnili nowi klienci, którzy przeciskali się przez drzwi, aż w końcu nie pozostał najmniejszy kawałek wolnego miejsca.

- Oni nigdy w życiu nie dadzą rady ich obsłużyć -stwierdził Jack, częstując Sama radosnym kuksańcem.

-Podejźmy i zobaczmy, czy nie przyda im się pomoc.

Theo po raz kolejny stwierdził, że Beth ma znakomite wycucie czasu, bo skończyła grać dokładnie w chwili, gdy chłopcy podeszli do baru i zaproponowali swoje usługi.

- Muszę odpocząć! - zawołała. - Tymczasem się napijcie, a ja wkrótce wrócę!

Pierwszej nocy w kapeluszu wylądowało ponad trzydzieści dolarów i Oris Beeking, właściciel Globe, z najwyższą chęcią zgodził się z sugestią, że Beth powinna grać przez cztery wieczory w tygodniu. Co więcej, przyjął do pracy przy barze Jacka i Sama.

386

Vancouver bardzo im wszystkim odpowiadało. Ludzie nie byli tu tak stateczni, jak gdzie indziej w Kanadzie - było to w końcu miasto graniczne. Miło było pospacerować po brzegu w ciepłym słońcu, porozmawiać z marynarzami i rybakami i mieć świadomość, że tu jest ich miejsce. Sam i Jack znaleźli parę śmiałych dziewcząt z saloonu i bardzo je polubili. Theo wdał się w jakieś pokerowe gry, a w niedzielne wieczory wszyscy zbierali się w domu i rozmawiali o założeniu własnego saloonu, w którym chętni mogliby zagrać w karty, posłuchać muzyki i popatrzeć na tańczące dziewczęta.

Po doświadczonych dotąd niepewnościach i trudach tulaczki wszyscy byli radzi, że znaleźli swoje miejsce. Nie mówili już o tym, żeby gdzieś się przeprowadzić, chcieli tylko znaleźć coś większego.

Szesnastego lipca Beth poszła na pocztę, żeby nadać list do Molly i Lagworthych. Wysyłała listy do domu niemal z każdego miasta, w którym się zatrzymali i spieszo jej było podać nowy adres, na który tamci mogliby odpisywać.

Przed urzędem pocztowym stała grupa mężczyzn i Beth pomyślała w pierwszej chwili, że zaraz zacznie się bójka, bo wszyscy byli wzburzeni, pokrzykiwali i wymachiwali ramionami. Gdy podeszła bliżej, przekonała się, że powoduje nimi podniecenie, a nie gniew. Dwaj z nich byli dokerami, których znała z Globe i domyśliła się, że pozostali właśnie zeszli ze statku na ląd.

- Co was tak podnieciło? - zapytała, gdy jeden ze znajomych uśmiechnął się do niej i pomachał jej ręką.

- Złoto! - odpowiedział z błyskiem w oku. - Na Alasce znaleziono złoto! Całe tony złota. Zamierzamy popłynąć tam następnym statkiem.

387

Beth parsknęła śmiechem. Wydało jej się to niebotyczną bujdą. O ile wiedziała, Alaskę przez cały rok pokrywał gruby śnieg i jedyni ludzie, którzy tam żyli, byli traperami gromadzącymi futra.

Nadała list, kupiła chleb, mięso i jarzyny, po czym wróciła do domu. Mijając stoisko z gazetami, zobaczyła na pierwszej stronie nagłówek: „Tona złota” i fotografię stojącego przy kei w San Francisco statku, na pokładzie którego przywieziono podobno ową tonę kruszcu.

Porwawszy gazetę, przeczytała o tym, jak to w sierpniu poprzedniego roku niejaki George Carmack wspólnie ze swymi dwoma zięciami, Tagish Charliem i Skookym Jimem znaleźli złoto w Rabbit Creek, jednym z sześciu dopływów rzeki Jukon w Klondike. Carmack znalazł złoto w pokładzie skał łupkowych „jak ser w sand-wiczu”.

Od tamtego czasu okolica zaroila się od poszukiwaczy, którzy zgłaszali działki, wbijali paliki i w jedną noc zdobywali fortuny, ale aż do tej pory wieści o tym nie wydostały się na zewnątrz, ponieważ Jukon skulił lody i nikt nie mógł stamtąd wyjechać.

Wszystko to niezbyt obeszło Beth, ale gdy szła ulicą, w pewnej chwili zorientowała się, że ze wszystkich stron słyszy nieustannie powtarzane zakłęcie: „Złoto w Klondike!”.

Gdy wróciła, chłopcy właśnie wstawali, gdy jednak opowiedziała im o tym, co usłyszała i zobaczyła na ulicy, a potem podała gazetę, ich oczy nagle rozblęły

- Gdzie właściwie jest to Klondike? - zapytał Jack. - Na Alasce?

- W gazecie piszą, że nad Jukonem i myślę, że to część Kanady - stwierdził Theo i zaczął grzebać w walizce,

388

żeby znaleźć mapę Ameryki Północnej. Odsunawszy ze stołu kubki i talerze, rozłożył mapę na blacie.

- O, tu - powiedział, wskazując rejon na północ od Vancouver, za Alaską. - Możemy tam pojechać.

- O nie - zaprotestowała Beth. - Jak tu przyjechalіśmy, powiedziałam wam, że ruszymy się stąd tylko na południe, gdzie będzie cieplej. Nie zamierzam udać się w wariacką podróż do kraju, w którym przez cały rok trzeba łamać lód na rzekach!

- Ale możemy zostać milionerami! - stwierdził Sam z podnieceniem w głosie.

- Raczej możemy umrzeć z głodu i zimna - sprzeciwiła się. - Nie pamiętasz tego, czego uczyliśmy się w szkole o gorączce złota w 49? Tylko paru ludzi znalazło złoto. Przypomnij sobie, co mówiła Pearl.

Była tam, ale majątek zrobiła na gotowaniu dla poszukiwaczy

- Właśnie to i my powinniśmy zrobić! - stwierdził Theo z błyskiem w oku. - To idealne miejsce na zbudowanie kasyna gry.

- Przemów im do rozumu - poprosiła Beth Jacka. - To szaleństwo, tu jest nam dobrze i nieźle sobie radzimy. Głupotą będzie odrzucić to wszystko i puścić się na niepewne wody z innymi idiotami, którzy nie wiedzą, na co się porywają!

- Uważam, że najpierw powinniśmy się dowiedzieć

O tym wszystkim czegoś więcej - odparł Jack, nie opowiadając się po żadnej ze stron. - Cicho, spokojnie,

I użyjmy głów.

Tego dnia nie sposób było zachować spokój i opanowanie, ponieważ wieści o złocie rozchodziły się po mieście niczym zaraza i ulegał im niemal każdy, kogo

389

dosięgly. Do południa ludzie zaczęli się ustawiać w kolejce po bilety na najbliższy statek odpływający do Skagway na Alasce, o którym mówiono, że jest miastem leżącym najbliżej złotoносnych pól. Natychmiast ruszyli się sklepikarze, którzy powywieszali na zewnątrz szyldy: „Tu kupisz wszelkie wyposażenie!”. Na wystawach pojawiły się poskładane w magazynach ze względu na letnią porę sanie. Obok porozbijano namioty, przy których piętrzyły się stosy podbitych futrem płaszczy, ciężkich butów, grubych pledów i kaloszy. Obok sklepów towarowych poustawiano tablice, na których powypisywano listy towarów do kupienia w ilościach hurtowych.

Theo i Sam byli coraz bardziej podnieceni i nawet Beth stwierdziła, że jej serce bije szybciej, Jack jednak był dziwnie spokojny. Wyszedł zobaczyć się z człowiekiem zwanym Foggy, który często odwiedzał saloon i o którym wiedział, że za młodych lat był traperem na Alasce. Gdy wrócił po kilku godzinach, żeby się ogolić i umyć przez pójściem do pracy, Theo i Sam zaczęli go wypytywać, czego się dowiedział, on zaś odparł, że wszystko opowie im rano.

Tej nocy jedynym przedmiotem rozmów w saloonie było złoto. W centrum uwagi byli wyjadacze pamiętający czasy gorączki złota w Kalifornii z roku 49. Ludziom, którzy znali się na saniach, stawiano drinki i każdy, kto pływał do Alaski przejściem wewnętrznym¹, mógł liczyć na chętnych słuchaczy Inside Passage of Alaska - droga morska z Vancouver w Kanadzie na Alaskę, biegnąca między wysepkami leżącymi wzdłuż wybrzeża Kolumbii Brytyjskiej i części wybrzeża Alaski [przyp. red.].

390

- Badalem mapę i rozmawiałem ze starym Foggyem - stwierdził Jack następnego dnia rano. - I zrobiłem wstępna listę rzeczy, których byśmy potrzebowali.

Theo wziął długą listę i ryknął śmiechem.

- Nie potrzebujemy tego! Namiot, koce, ciepła odzież, trochę żywności i będzie dość. Czekany, pily, gwoździe? Do czego niby to byłoby potrzebne?

- Klondike jest jakieś siedemset albo i osiemset mil od Skagway - odparł spokojnie Jack. - Po pierwsze, musimy pokonać góry, a po drugie, trzeba nam będzie zbudować łódź, którą popłyniemy dalej. Tam jest dzicz i nigdzie nie zdołamy niczego kupić.

- Mogę polować - stwierdził Theo, ale już z mniejszą pewnością siebie w głosie.

- To będzie ciężka podróż. - Jack spojrzał na Sama, potem na Beth, aż wreszcie ponownie przeniósł wzrok na Theo. - Naprawdę ciężka. Nigdy wcześniej nie stawialiśmy czoła podobnym trudnościom. Jesteśmy mieszczuchami i jeżeli się dobrze nie przygotujemy, możemy umrzeć z głodu lub z zimna.

- Spotkani ludzie nie zostawią nas bez pomocy - rzekł Sam z drżeniem w głosie.

- Możemy liczyć tylko na siebie - odparł Jack z powagą. - Widziałeś szaleństwo, jakie się rozpełtało w nocy. Za tydzień wieści rozejdą się jeszcze dalej, wszyscy zgłupieją do cna i ludzie zwałą się ze wszystkich stron. Musimy szybko wykupić bilet na statek do Skagway, jeżeli naprawdę chcecie jechać.

- A ty nie chcesz? - zapytała Beth. Gniotło ją w dołku, choć nie umiałaby powiedzieć, ze strachu czy z podniecenia.

391

- Owszem, chcę, bardziej niż czegokolwiek innego -odpowiedział, uśmiechając się do niej. - To szansa, jaka się zdarza człowiekowi raz w życiu i za nic w świecie nie chciałbym jej przegapić.

Rozdział dwudziesty piaty

Jack miał rację. W przeciągu tygodnia Gas Town ogarnęło kompletne szaleństwo. Wyścig po złoto Klondike rozpoczął się na dobre.

Informacje o znalezieniu szlachetnego kruszcu podały gazety na całym świecie i każdy pociąg przychodzący do Vancouver przywoził setki ludzi, którzy za wszelką cenę chcieli dostać się do Jukonu. Opanowali Gas Town, sprowadzając ze sobą chaos, wszyscy się przepychali, żeby kupić sprzęt, prowiant i bilety na jakikolwiek środek transportu, który zabralby ich do Skagway. Mimo to wieść niosła, że w Vancouver i tak panowała mniejsza gorączka niż w Seattle, a poza tym z Victorii, Portland i San Francisco zaczęły wypływać pierwsze parowce wiozące pasażerów marzących o fortunie. Beth i chłopcy nie mogli wyjść z podziwu, patrząc, jak szybko co bardziej przedsiębiorczy sklepikarze w Vancouver zdobyli pokaźne zasoby sprzętu i prowiantu dla przyszłych poszukiwaczy złota. Wielkie transparenty nad sklepami na Cordova Street zachwalały je jako „Zaopatrzeniowców Klondike”. Za psy zaprzęgowe żądano horrendalnych cen, zaś broszury wymieniające wszystkie przydatne w podróży przedmioty były drukowane i sprzedawane, zanim zdążyła wyschnąć na nich

farba drukarska. Wszystko wskazywało też na to, że gorączka złota jest wysoce zaraźliwa: bankierzy rezygnowali ze swoich bezpiecznych posiadłości, motorniczowie tramwajów, policjanci, sprzedawcy i reporterzy masowo zwalniali się z pracy; niektórzy farmerzy zostawiali nawet plony na polach. W mieście nie mówiono o niczym innym. Było tak, jakby ludzie przestali chorować, rodzić dzieci, pobierać się, a nawet umierać. Starzy i młodzi, bogaci i biedni najrozmaitszych narodowości, wszyscy chcieli przyłączyć się do wyścigu.

Ludzie zamożniejsi mogli dotrzeć do Jukonu względnie komfortowo, podróżując parowcem do St. Michael nad morzem Beringa, a potem na złotonośne pola w górę Jukonu, ale trwało to o wiele dłużej niż podróż szlakiem lądowym przez Skagway. Edmonton było przedstawiane jako trasa, którą powinien obrać każdy patriotycznie nastawiony Kanadyjczyk, ale ślęczący nad mapami Jack określił ją jako szlak samobójców, gdyż zakładała ona przeprawy przez dwa łańcuchy górskie.

To Jack załatwił im bilety na parowiec i niemal natychmiast mogliby odsprzedać je z cztero- albo pięciokrotną przebitką. Pojawiły się doniesienia, że Kanadyjska Policja Konna nie przepuszcza przez granicę Alaski z Kanadą nikogo, kto nie ma przy sobie tony prowiantu. Było to całkiem rozsądne posunięcie, gdyż władze obawiały się klęski głodu.

Jack i Sam ciągle gdzieś biegali, żeby skompletować cały potrzebny sprzęt: polcie wołowiny, ryż, cukier, kawę i jaja w proszku. Namiot, nieprzemakalne płaszcze, kapelusze o szerokich rondach, wysokie buty, rękawice, gogle mające chronić przed śnieżną ślepotą - spis

196

praktycznie nie miał końca i wydali wszystkie pieniądze, które tak pieczołowicie gromadzili przez ostatnich kilka miesięcy. Ale Theo, ze swoim gładkim językiem, znalazł sposób na podtrzymanie strumienia funduszy; nieustannie kręcił się wśród nowo przybyłych do miasta naiwniaków, naciągając ich na grę w trzy karty i uwalniając od części oszczędności.

Kolejne dni mijały im na gorączkowym kupowaniu i pakowaniu zapasów w wodoodporne ceratowe worki, wieczorami zaś Beth grała na skrzypcach, zbierając owacje na stojąco i pieniądze. Sam i Jack zaserwowali wystarczająco dużo napitków, żeby splawić kilkanaście parowców, zaś Theo grał w pokera i wygrywał.

W końcu 15 sierpnia wsiedli na pokład Albany, mocno podniszczonego parowca, który wedle powszechnych standardów zdawał się ledwie zdalny do żeglugi. Jack zarezerwował im kabinę, ale kiedy znaleźli się na pokładzie, zostali poinformowani, że większość kabin została rozebrana, żeby móc pomieścić więcej ładunku i pasażerów.

Z tym faktem mogli się jedynie pogodzić, gdyż było jasne, że jakiegokolwiek próby narzekania skończą się przegnaniem ich z pokładu, więc znaleźli małą przestrzeń na pokładzie i przykucnęli, otoczeni swoimi zapasami.

Kiedy parowiec opuścił Vancouver wraz z okazałą flotyllą innych jednostek, wszyscy pasażerowie byli niemal pijani podnieceniem. Nawet gdyby znalazło się miejsce na wyciągnięcie się na pokładzie, mało było prawdopodobne, żeby komukolwiek udało się zmrużyć oczy.

Dopiero kiedy łódź wpłynęła na Inside Passage Alaski, z zapierającą dech w piersiach sceną porastających

395

brzezi dziewiczych lasów, pokrytych czapami śniegu górskich szczytów i mglistych fiordów, zaczęli zdawać sobie sprawę, co ich czeka.

Mogli podziwiać nieskalane piękno za burtami, ale wrażenia psuł smród węgla, końskiego łajna, wymiocin i potu unoszący się wszędzie dookoła nich. Psy zaprzęgowe nieustannie wyły, konie wierzgały i parskały, zaś statek był tak zatłoczony, że nie odważyli się ruszyć ze swojego kawałka pokładu, bo bali się, że gdy odejdą, zajmie go ktoś inny. Skuleni razem pod plandeką chroniącą przed mroźnym wiatrem i opadami deszczu, w pełni zdawali sobie sprawę z tego, że doświadczane teraz niewygody mogą być tylko przedsmakiem tych, na które się natkną, kiedy dotrą do działek ze złotem. W przeciwieństwie do Jacka większość współpasażerów nie zadała sobie trudu zorientowania się, gdzie dokładnie znajduje się Klondike i uważali, że złoto będzie na nich czekać o rzut kamieniem od Skagway. Niewielu z nich miało pojęcie, iż najpierw czeka ich przeprawa przez góry, a ostatnie pięćset mil trzeba będzie przeplnąć łodzią.

Niektórych ludzi wrobiono w zakup tak niedorzecznych przedmiotów, jak rowery na nartach albo napędzane mechanizmem sprężynowym urządzenia do płukania złota, które nie miały szans zadziałać. Inni kupili wystarczającą ilość drewna, żeby zbudować własną chatę, pozabierali ze sobą pianina bądź żelazne piecyki, nie biorąc pod uwagę faktu, iż będą musieli jakoś wnieść te przedmioty na górę.

Jednak mimo okropnych warunków na łodzi, paskudne, ledwie dające się przelknąć posiłki, brak łazienki

396

czy umywalni, i ustępy, które sprawiały, że Beth zbierało się na wymioty, byli w dobrych nastrojach, podnieceni niczym dzieci udające się do wesołego miasteczka.

Obserwowanie zgromadzenia tak różnych ludzi było niezwykle interesujące. Wytwornie ubrani dżentelmeni musieli dzielić przestrzeń z nieokrzesanymi marynarzami i drwalami; były tu też krzykliwie ubrane kobiety z grubą warstwą makijażu na twarzach, stare wygi zahartowane już w poprzednich wyścigach do złotonośnych pól, i duchowni, którzy najwyraźniej zamierzali szerzyć Słowo Boże. Większość stanowili Amerykanie i Kanadyjczycy, ale byli tu też Niemcy, Szwedzi, Węgrzy, Meksykanie i nawet kilku Japończyków. Wszystkich połączyło marzenie powrotu w bogactwie w rodzinne strony. Kiedy mówili o złocie, ich oczy nabierały blasku; nie pozwalali, żeby trudy podróży przygasiły ich podekscytowanie.

-Jutro powinniśmy dotrzeć do Skagway - powiedział Jack po dwugodzinnej nieobecności, wślizgując się z powrotem pod brezent. Mijał dziewiąty dzień ich podróży i obecnie płynęli przepięknym kanałem Lynn, na końcu którego znajdowały się plaże Skagway i Dyea. Strone zbocza górskie przykryte warstwą śniegu wyrastały wprost z krystalicznie czystej turkusowej wody, sprawiając, że mieszany konwój statków płynących przez wąski korytarz wyglądał przy nich niczym łupinki orzechów. - Rozmawiałem z jednym z członków załogi, który był już tam wcześniej. Powiedział, że jest tam bardzo skromna przystań, więc ze swoimi bagażami będziemy musieli brodzić do brzegu. Tyle dobrego, że i tak jesteśmy ubrani w nasze najgorsze ciuchy.

397

- Przyda im się pranie - zachichotała Beth, gdyż wszyscy od momentu wejścia na pokład nie zmieniali rzeczy. - Ale czy woda morska nie zaszkodzi naszym zapasom żywności?

- Bardziej martwię się o to, że ktoś nas okradnie. - Jack zmarszczył brwi. - Jestem gotów się założyć, że dookoła będzie roilo się od złodziei szukających okazji szybkiego zarobku. Beth, ciebie zabiorę na brzeg jako pierwszą. Theo albo Sam mogą zostać tutaj i pilnować naszego dobytku, a potem będziemy musieli przenieść go część po części na plażę.

- Z pewnością możemy zapłacić jakiemuś marynarzowi, żeby zabrał nas i nasze rzeczy łodzią? - zapytał Theo.

Beth wymieniła z Jackiem pobłażliwy uśmiešek. Theo nadal uważał, że ludzie za odpowiednią opłatą gotowi są zrobić wszystko, co on uważał za nieprzyjemne.

- Większość z nich również zamierza opuścić statek - powiedział Jack. - Myślę, że możemy spokojnie założyć, iż od tej chwili każdy może liczyć tylko na siebie.

Informacje Jacka jak zwykle okazały się prawdziwe, gdyż kiedy usłyszeli zgrzytanie łańcucha kotwicznego i plusk lądującej w wodzie kotwicy, od lądu wciąż jeszcze dzieliła ich jedna mila.

- Chyba nie spodziewacie się, że będziemy płynęli do brzegu! - krzyknęła jakaś zaniepokojona i otyła matrona.

Kilka łodzi z innych statków transportowało ludzi i ich dobytek na ląd, ale było jasne, że obsłużenie w ten sposób wszystkich zajęłoby tygodnie. Załoga już zaczęła

398

nawoływać, że jest to teren zalewany w czasie przyływu i jeżeli ludzie nie pospieszą się i szybko nie ruszą na plażę, mogą stracić swoje rzeczy albo wręcz utonąć.

Przerażone konie i inne zwierzęta bezceremonialnie zepchnięto w fale, żeby same mogły dopłynąć do brzegu, a w ślad za nimi poszli ludzie.

Jack umieścił płaszcz, buty i szal Beth w nieprzemakalnej torbie i sprowadził dziewczynę po drabinie na burcie statku. Woda była tak lodowata, że na chwilę zaparło jej dech w piersi, ale Jack objął ją ramionami, przypominając, żeby trzymała torbę wysoko nad głową i przeplynał kilka jardów, niosąc ją na plecach, aż mogła dotknąć stopami dna i dobrnąć do brzegu.

- Nie nazwałabym tego dobrym początkiem - powiedziała, szcękając zębami.

- Niedługo powinnaś wyschnąć, słońce nieźle przygrzewa - weselo powiedział Jack. - Ruszaj na plażę i zajmij miejsce na nasze rzeczy. Ja wracam na statek.

Gdy Beth dobrnęła do suchego lądu, z trwogą rozejrzała się wokół siebie. Skagway było jedynie drobnym skupiskiem chat i namiotów na bagnistym terenie, który już zdążył zamienić się w bajoro czarnego błota. Ze wszystkich stron otaczały ją góry, niektóre ciągle pokryte śniegiem. Ale jeszcze bardziej przeraziły ją dantejskie sceny rozgrywające w wodzie.

Na morzu zakotwiczonych było co najmniej trzydzieści łodzi, których załogi próbowały jednocześnie pozbyć się swoich pasażerów i przewożonych ładunków. Widać było mnóstwo płynących do brzegu koni, kóz, psów, mulów i wołów; właściciele zwierząt rozpaczliwie starali się je dogonić.

399

Hałas był ogłuszający. Właściciele tuzinów łodzi i prymitywnych tratw głośnymi wrzaskami zachwalali swoje usługi. Ludzie znajdujący się na łodziach odkrzykiwali jeszcze ostrzej. Towary zrzucone ze statków nie zawsze trafiły w cel i lądowały w morzu; ich właściciele zlorzeczyli i klęli, na czym świat stoi. Przeżęta zwierzęta wyły. Ludzie miotali się bezładnie w lodowatej wodzie i głośno wzywali pomocy. Niektóre torby z rzeczami porozdzierały się; na oczach Beth mąka z pękniętego worka zabarwiła morze na białe.

Ktoś krzyknął, że nadchodzi przypływ i wszyscy powinni się pospieszyć. Strach o chłopców sprawił, iż mokre ubranie Beth stało się nagle nic nieznaczącą blahostką. Sam nie umiał pływać, nie wiedziała, czy potrafi to Theo, a Albany był za daleko, żeby mogła ich wypatrzeć na pokładzie.

Zdjęła suknię i halkę i położyła na nich kilka kamieni, żeby nie porwał ich wiatr, a potem ponownie założyła buty. Uznała, że powinna zostać w płaszczu do czasu, aż suknia nie wyschnie.

Jej niepokój wzrósł, gdy zauważyła, że przypływ zaczyna przybierać na sile i coraz więcej ludzi szamocze się w wodzie pośród dobytku z porozrywanych pakunków. Sukienka zdążyła już prawie wyschnąć, więc musiała tkwić tu co najmniej od godziny. Nigdzie jednak nie widziała chłopców.

Zaczęła już wpadać w panikę, kiedy nagle zobaczyła idącego w płytkiej wodzie Jacka. Ciągnął za sobą coś, co przypominało sznur wielkich czarnych kielbas.

Nie pierwszy raz od czasu opuszczenia Montrealu Jack zdumiał ją swoją pomyslowością; chłopak przywiązał wszystkie torby do liny. Kiedy przyjrzała się bliżej,

400

dostrzegła Sama kurczowo trzymającego się jednej z nich, podczas gdy Theo zabezpieczał tyły.

- Beth, żalujesz, że tu przybyliśmy? - zapytał ją później tego wieczoru Jack.

- Nie - skłamała. - Ale to wszystko jest trochę przerażające i w niczym nie przypomina naszych wcześniejszych wyobrażeń.

Dochodziła ósma wieczór. Wcześniej opadła ich chmara mężczyzn, którzy okazali się lotrami, starającymi się okraść naiwnych - zmuszali ich do płacenia za miejsce do wzniesienia namiotu, za drewno na opał i masę innych rzeczy.

Chłopcy nie dali się nabrać, odmówili zapłacenia za cokolwiek i w końcu wzniesli namiot pośród setek innych jakieś pół mili od chat Skagway. Umieścili swoje torby wzdłuż ścian schronienia, żeby je ustabilizować oraz stworzyć osłonę przed jesiennymi wiatrami, zaś Jack rozpalil spore ognisko, przy którym zamierzali osuszyć ubrania i ugotować coś do jedzenia.

Beth, ciasno zawinięta w koc, opierała się o jedną z toreb; z całych sił odsuwała od siebie ponure myśli. Sam zasnął, a Theo poszedł sprawdzić, co można znaleźć w miasteczku. Uprzedzono ich, że Skagway jest miejscem, gdzie panuje bezprawie, a rządy przejęli rze-zimieszkowie, oszuści, hazardziści i prostytutki, więc Beth wniosowała, że nie będzie go przynajmniej przez pół nocy.

Sam fakt, że wylądowali w miejscu pełnym złodziei i innych przestępców był wystarczająco przygnębiający, ale jeszcze bardziej dobijało ją to, iż musieli zostać tu aż do lutego.

401

Przez góry prowadziły dwa szlaki. Biały Trakt, który zaczynał się tutaj, w Skagway miał być łatwiejszy, gdyż mogły go pokonać juczne zwierzęta, ale był dłuższy, niż droga przez leżącą około dwudziestu mil dalej przełęcz Chilcoat.

Ludzie natychmiast ruszyli w drogę obydwoma szlakami, ale Jack porozmawiał z Indianinem, pracującym jako tragarz, i ten stwierdził, że przyłączenie się do reszty byłoby głupotą. Wyjaśnił, że w przeciągu najbliższego miesiąca, na długo, zanim zdążą do niej dotrzeć, rzeka Jukon zamrznie i bez psów zaprzęgowych, które pociągnęłyby po niej sanie, utknęłyby tam na całą zimę; być może nawet czekałaby ich śmierć.

Jack był niezmiernie rozczarowany, ale Theo na myśl o pozostaniu w tym miejscu aż do lutego nie posiadał się z radości. Skagway idealnie wpisywało się w jego marzenia o nowym mieście, jakiego szukał; aż się prosiło, żeby je naciągnąć. Bez cienia wstydu stwierdził, że wszyscy na pokładzie statku byli hazardzistami; porzucili swoje domy i zajęcia, żeby tu przybyć, więc nie miał żadnych oporów przed oskubaniem ich do ostatniej nitki.

Samowi było wszystko jedno, czy wyruszą, czy zostaną, więc ostateczną decyzję przyszło podjąć Beth. Choć uważała, że Skagway jest piekłem na ziemi, znacznie bardziej przerażała ją perspektywa zamrznięcia na śmierć w górach, postanowiła więc, że na razie tu zostaną.

- Nie będzie tu tak źle, wybuduję dla nas chatę - powiedział Jack uspokajająco. - Drewna nie brakuje. Może kiedy skończę nasz domek, zarobię kilka dolarów, budując je także dla innych.

402

- Więc ja wyciągnę jutro swoje skrzypce - powiedziała Beth. Z ogromną ulgą odkryła, że woda morską nie uszkodziła instrumentu. Mąkę i cukier musieli wyrzucić, ale na szczęście innych strat nie ponieśli. - Pozostając tutaj, stracimy majątek. Widziałeś ceny posiłków?

Niektórzy przedsiębiorczy pionierzy już postawili namioty pełniące rolę saloonów i restauracji.

Widziała wywieszoną przed jednym z nich menu, reklamującą fasolę na boczku za dolara. W Vancouver identyczne danie kosztowałoby ledwie parę centów.

Jack skinął głową.

- Theo też dozna niezłego wstrząsu, kiedy zobaczy cenę whisky. Ale powinnaś trochę zarobić na tych wstążkach, które przywiozłaś ze sobą. Niektórym z dziewczyn w saloonach przydałaby się odrobina kolorów.

- A, poszedłeś je zobaczyć?

- A tak. Swoją drogą, człowieka skręca na ich widok - zachichotał Jack. - Jedna ma ksywkę Mary Brudna Szyja, a inna Sal o Świńskiej Twarzy. Człowiek musiałby być naprawdę zdesperowany, żeby skorzystać z ich usług.

- A więc może Theo będzie tu bezpieczny - uśmiechnęła się Beth.

- Myślę, że to ty możesz paść ofiarą uwiedzenia - zmarszczył brwi Jack. - Jest tu mniej niż trzydzieści kobiet na kilka tysięcy mężczyzn, których przybywa z każdym dniem, możesz okazać się cenną zdobyczą.

„Dziś wieczór zagra u nas słynna na całym świecie angielska Gypsy Queen!”

Beth zachichotała, ujrawszy tablicę, którą wzniesli bracia Clancy. Olbrzymią przesadą był już dla niej sam

403

fakt, że nazywali saloonem swój duży namiot rozbity obok drewnianej tablicy z szyldem. Drugiego dnia w mieście Beth dowiedziała się, że wszystkim, poczynając od swojego saloonu, rządzi bracia Frank i John Clancy, więc udała się prosto do nich. Zdawała sobie sprawę ze swojej wartości jako jedynej skrzypaczki w mieście i znając ich horrendalne ceny za napitki, odważyła się zażądać dwudziestu pięciu dolarów za noc plus napiwki z kapelusza. Spodziewała się, że przystaną tylko na napiwki, ale ku jej zaskoczeniu zgodzili się też płacić za występ. Jej pierwsza noc w lokalu była wielkim sukcesem; w kapeluszu wylądowało ponad pięćdziesiąt dolarów! z czego dziesięć oddała barmanowi, żeby go sobie zjednać. Theo nie pojawił się, żeby odprowadzić ją do namiotu, więc kiedy bracia Clancy, dwaj ciemnowłosi zwaliscy mężczyźni o nadających im groźny wygląd wąsiskach poprosili, by została i napila się z nimi pod koniec wieczoru, przyjęła zaproszenie. Frank Clancy przedstawił ją wysokiemu, sztywno ubranemu mężczyźnie z gęstą czarną brodą i w czarnym stetsonie na głowie.

- To pan Jefferson Smith, choć szerszemu gronu osób znany jest jako Mydlarz - powiedział.

- Ja jestem znana też jako Beth Bolton - odpowiedziała, nie mogąc powstrzymać się przed obdarzeniem go kokieteryjnym trzepotem rzęs, ponieważ był bardzo przystojnym mężczyzną z głęboko osadzonymi, ciemnoszarymi oczami. - Ale dlaczego Mydlarz? Nigdy się pan nie myje czy przeciwnie, czyni to w nadmiarze?

- A co by pani bardziej odpowiadało? - zapytał, ujmując jej dłoń i składając na niej pocałunek.

404

Beth zachichotała, ponieważ jego głos charakteryzował równie atrakcyjny jak on sam mocny akcent z głębokiego Południa.

- Coś pośredniego - odpowiedziała. - Ale w Skagway jest tak niewiele łaźni, iż obawiam się, że będę musiała przywyknąć do ludzi, którym mydło pozostaje obce.

Na myśl o konieczności znoszenia warunków panujących w Skagway do lutego ogarniała ją czarna rozpacz. Morze brudu, ciągły jazgot ujadających psów i bójek, złodzieje i kanciarze krążący w poszukiwaniu ofiar, brak najbardziej podstawowych wygód czyniły to miejsce niemal niemożliwym do zniesienia.

- Och, ależ ja mam plany - rzekł Smith, kwitując jej żart lekkim uśmiechkiem. - Będą tu porządne ulice, hotel, sklepy, oświetlenie, łaźnia, a nawet kościół.

- Ach tak? - powiedziała. - Zamierza pan zostać burmistrzem Skagway?

- Coś w tym guście - odpowiedział i pewność siebie emanująca z jego głosu utwierdziła ją w przekonaniu, że w istocie zamierza przejąć kontrolę nad miastem.

Przez pewien czas gawędzili, głównie o jej niedawnym przybyciu. Smith był tu ledwie od tygodnia i wszedł w spółkę z braćmi Clancy.

- Czy książę Cadogan jest pani mężem? - zapytał. Wymieniony tytuł wytrącił Beth z równowagi. Od czasu, kiedy przybyła z Theo do Montrealu, udawała, że jest jego żoną, ale teraz, kiedy odkryła, iż nadał sobie szlachecki tytuł, nie miała pojęcia, czy to czyni z niej panią Cadogan, czy księżną. Nie umiała lgać na aż tak wielką skalę, odpowiedziała więc, że jest po prostu dobrą przyjaciółką Theo, a przybyła tu ze swoim bratem i jeszcze jednym starym znajomym, Jackiem Childem.

405

- Tym londyńczykiem? - zapytał Smith. - Spotkałem go po południu; wydaje się być uzdolnionym mężczyzną. Będzie więc pani miała dobrą ochronę?

- A myśli pan, że jej potrzebuję? - zapytała.

- Wszystkie damy potrzebują ochrony, ale w tym zapomnianym przez Boga mieście ktoś tak śliczny i czarujący jak pani będzie jej potrzebował dzień i noc.

W tym momencie pojawili się Sam z Jackiem i odprowadzili ją do namiotu. Chłopcy spotkali się z właścicielem miejscowego tartaku, kapitanem Moore i zawarli z nim umowę, która gwarantowała, że dostaną od niego trochę drewna na budowę chaty

-Wiedzieliście, że Theo podaje się za księcia? - zapytała ich Beth, kiedy ostrożnie wybierali drogę przez grubą warstwę błota, kierując się do namiotu.

-W Montrealu też się tak tytułował - przyznał Sam. - Nie przejmuj się, siostrzyczko, to po prostu ułatwia kontakty. Amerykanom imponują takie rzeczy.

- Cóż, właśnie stracił żonę - powiedziała cierpkim tonem. - Ale z drugiej strony nie sądzę, żeby się tym przesadnie przejął.

W następnych tygodniach kilka razy zdarzyło się, że Beth kusilo, żeby wsiąść na pokład pierwszej łodzi kierującej się do Vancouver, nawet jeżeli miałyby zrobić to sama. Rankiem budziła się przemarznięta do szpiku kości i perspektywa kolejnego dnia przedzierania się przez błoto, gotowania nad ogniskiem i braku jakiegokolwiek prywatności bądź chwili wytchnienia, zaczynała ją powoli załamywać.

Codziennie przyplwały nowe statki, które wyrzucały z siebie setki kolejnych ludzi, koni, psów i innych

406

zwierząt. Rzędy namiotów robiły się coraz dłuższe, ścinano kolejne drzewa i z każdym dniem przybywało błota i odpadków.

Niedorzecznie wysokie ceny nawet za najbardziej podstawowe artykuły wpędziły Beth w trwogę; bała się że wszystkie pieniądze, które zarobiła u Clancy'ego, przepadną, zanim w ogóle wyruszą szlakiem na złotonośne pola. Szczury i niedźwiedzie niszczyły lub porywały wszystko, czego mogły dopaść, reszta padała łupem złodziei, z powodu marnych warunków sanitarnych szerzyły się rozmaite zakaźne choroby, i rzadko która noc mijala bez wymiany strzałów bądź bójek.

Kiedy Jack i Sam ukończyli budowę chaty, Beth poczuła się odrobinę bezpieczniejsza, bo choć domek był mały, chronił przed niepokodą, miał drewnianą podłogę i zamek na drzwiach. Pewnego dnia Jack z trudem wtasz-czył do środka żeliwny piecyk, który jakiś głupek miał zamiar zabrać na szlak, zaś Samowi udało się załatwić siostrze małą wannę.

Podnosiło ją na duchu wieczorne granie u Clancych, a gdy zobaczyła, że w mieście prawie z dnia na dzień układa się nowe ulice oraz stawia solidne budynki, zaczęła w niej rosnąć nadzieja, że do świąt Bożego Narodzenia zapanują tu wreszcie jakieś bardziej cywilizowane warunki. Lokal Clancych był obecnie zbudowany z drewna, pojawił się też hotel, kilka bardziej wymyślnych saloonów, w większości wypadków z burdelami na piętrze, prawdziwe sklepy i chodnik na podwyższeniu, dzięki któremu ludzie nie musieli brnąć przez błoto. W miasteczku zjawil się nawet fotograf i otworzył własne studio. Miasto zaczęło jej dawać powody do optymizmu, ale zachowanie Theo wpędzało ją w głębokie przygnębienie.

407

Znalazł miasto swoich marzeń i nagle wszystko, poza pieniędzmi, straciło dla niego znaczenie. Skagway przyciągnęło setki mężczyzn jego pokroju. Mydlarz Smith i bracia Clancy byli dokładnie tacy sami - wiedzieli, że nie muszą ruszać do Klondike, żeby zbudować swoje fortuny. Mogli zrobić to tu, na miejscu. Mydlarz miał teraz swój własny saloon, znany jako Jeff Smith's Parlour, upiękaszony palmami w wielkich donicach i ściągniętym aż z Portland mahoniowym barem. Zarówno on, jak i bracia Clancy, mieli w swoich saloonach na zapleczu drzwi prowadzące do rzędu izdebek, gdzie pracowały ich dziewczyny. Mieli udziały w każdym lukratywnym interesie w mieście, wysyłając swoich oprychów, żeby ustawili każdego, kto nie chciał płacić za ochronę.

Ale mężczyźni ci traktowali Beth jak damę. Nikt w Skagway nie śmiałby jej okraść bądź ubliżyć, gdyż cieszyła się ich protekcją. Theo zaś traktował ją jak służącą i prywatną dziwkę.

Beth nic nie mogła poradzić na to, że lubi Mydlarza, choć wiedziała, iż większość miejskich oszustów i zbirów w jakiś sposób była z nim związana. Flirtował z nią, rozśmieszał i podnosił na duchu, kiedy popadała w posępny nastrój. Zyskał swój pseudonim na skutek dawnego szwindlu polegającego na sprzedawaniu kostek mydła; jak twierdził, wiele z nich zawierało dziesięciodolarowy banknot zawinięty w opakowanie. Gromadził tłum dookoła swojej budki i sprzedawał oznaczoną kostkę mydła podstawionemu człowiekowi, który natychmiast wybuchał radosnym rykiem, oznajmiając, że znalazł banknot. Ludzie zaczęli się tłoczyć, żeby kupić mydło, ale nie było już w nich więcej dziesięciodolarówek.

408

Mydlarz zorganizował też przekręt z telegrafem. Ni Alaskę nie docierały żadne linie telegraficzne, ale on otworzył małą budkę przy brzegu, a żeby dodać jej autentyczności, poprowadził od niej kable biegnące do morza. Brał kilka dolarów od ludzi chcących wysłać wiadomość do domu i nawet podrabiał odpowiedzi od ich żon lub matek, w których kobiety błagały ich, żeby wysłali im pieniądze do domu dla dziecka bądź innego rzekomo chorego członka rodziny.

Beth uważała to za dość podłe, tak samo jak oszustwo z kostkami mydła, ale Mydlarz starał się odkupić swoje winy, karmiąc bezpańskie psy oraz dając jałmużnę ludziom bez grosza, chorym i wdowom.

Za to Theo kompletnie już zapomniał, czym jest dobro. Nadal udawał księcia i oczarowywał ludzi do tego stopnia, że ufali mu bez zastrzeżeń, a potem oskubywał bezlitośnie wszystkich, którzy popełnili błąd, siadając z nim do gry w karty. Wiedziała, że oszukuje, ale był wystarczająco sprytny, żeby uciekać się do tej praktyki tylko w stosunku do kompletnych żółtodziobów. Pewnego ranka Beth zobaczyła płaczącego mężczyznę, który starał się sprzedać swój ekwipunek, chcąc zdobyć pieniądze na podróż do domu. Poprzedniej nocy Theo oskubał go do ostatniego centa.

Ale to nie hazard i oszustwa najbardziej ją gniewały; wyglądało na to, że Theo kompletnie zapomniał, że mieli stanowić czteroosobowy zespół. Sam i Jack pracowali w pocie czoła, od dnia kiedy tu przybyli, najpierw harowali w tartaku, a potem zbudowali chatę dla nich wszystkich. Teraz stawiali domki dla innych ludzi. Beth też robiła, co do niej należało - nocami grała, gotowała też dla całej czwórki i robiła pranie.

409

Jedynym, który nie robił nic dla wspólnego dobra, był Theo. Większą część dnia spędzał w łóżku, a potem żądał czystej koszuli, żeby móc szykownie frunąć do którejś ze spelun w nadziei, że wieczorem znajdzie jakiegoś nowego frajera. Rzadko zaglądał do saloonu Clancych i słuchał gry Beth, a odprowadzanie jej do domu pozostawiał Samowi bądź Jackowi. Wstążki, które przywiozła ze sobą, znikły, a jakiś czas później zobaczyła je we włosach Mary Brudnej Szyi.

Ale najgorsze ze wszystkiego było graniczące z pewnością podejrzenie, że werbuje dziewczyny do burdeli. Kiedy pierwszy raz zobaczyła go niosącego bagaże kilku młodych kobiet, które właśnie zeszyły na ląd z parowca, przypisała to jego rycerskości. Ale później, tej samej nocy, zobaczyła traktowane rycersko dziewczyny w nowo wybudowanym saloonie Red Onion, a ich jaskrawo wymalowane twarze wyraźnie mówiły, że dołączyły do pracujących na górze dziwek.

Każdego dnia z pasażerami statków zjawiało się kilkadziesiąt młodych kobiet i było całkiem możliwe, że wiele z nich było dziwkami w miastach, z których przybyły. Ale nie wszystkie - niektóre były dziewczynami ze wsi chcącymi po prostu zaznać odrobiny przygody. Theo czekał na każdą łódź i zawsze wybierał najładniejsze młode kobiety, które mamili propozycją pomocy i znalezienia miejsca do spania.

Wydawało się, że już nie kocha Beth i zapomniał o wszystkich planach, które we czwórkę poczynili w Vancouver.

Rozdział dwudziesty szósty

Zaprawdę masz cygańską duszę - wymruczał Jefferson, ujmując dłoń Beth i podnosząc ją do ust. - Mógłbym słuchać twojej muzyki w nieskończoność i nigdy by mi się nie znudziła.

- Mnie by się znudziła - odpowiedziała z uśmiechem, podnosząc kieliszek francuskiego szampana, który właśnie jej nalal.

Był koniec stycznia; wszędzie dookoła leżała gruba warstwa śniegu, ale znajdowali się w Jeff Smith's Parlour, w jego prywatnym barze i jaskini hazardu dla tych z najbliższego kręgu. Piecyk buchał płomieniem, Beth była odrobinę wstawiona, a świadomość, że ów urodziwy mężczyzna jej pożąda, sprawiała jej przyjemność.

Jefferson od grudnia starał się ją uwieść. Podarował jej krzesło na biegunach, kupował słodycze i zawsze zapraszał na drinka bądź posiłek. Ale teraz po raz pierwszy znalazła się z nim sam na sam; zazwyczaj, kiedy przyprowadzał ją do saloonu, kręciła się tu również większość jego kompanów. Wcześniej też byli obecni, ale zniknęli jakiś czas temu i nawet barman Nate Pollack opuścił lokal po dołożeniu kilku drew do piecyka.

- Ciągłe zamierzasz w przyszłym miesiącu udać się na zlotodajne działki? - zapytał Jefferson, ujmując kosmyk jej włosów i owijając go sobie wokół palca.

- Sam i Jack nie mogą się już doczekać - odpowiedziała. - Więc chyba wyruszę z nimi.

- To nie jest podróż dla damy - powiedział, potrząsając głową.

- Jestem równie silna jak większość mężczyzn - odpowiedziała z uśmiechem. - Poza tym, kiedy wszyscy odejdą, Skagway zamieni się w miasto duchów. Co miałabym tu robić?

- Gdy tylko pogoda się poprawi, przyplyną kolejne statki. Ludzie zmierzają tu z każdego zakątka świata - powiedział z błyskiem w szarych oczach. - Zbijesz tu większy majątek, niż kiedykolwiek w Dawson City. Poza tym, możesz zginąć w czasie tej podróży, nawet Indianie twierdzą, że jest bardzo trudna.

- Zaplanowaliśmy, że się tam udamy, więc tak zrobimy - wzruszyła ramionami.

- A co z księciem?

Beth spuściła wzrok. Choć Theo bardzo jej się naraził, ciągle go kochała i perspektywa rozstania się z nim była nie do zniesienia. Ale już od miesięcy zachowywał się w stosunku do niej bardzo podle i wiedziała, że nie ma co liczyć na to, że Theo się zmieni i jeżeli zostanie tutaj, gdy Sam i Jack wyruszą w dalszą drogę, zostanie sama jak palec.

- Nie pojedzie z nami - powiedziała, próbując uśmiechem zamaskować ból.

- Więc jest głupcem; gdy zabraknie Jacka wyciągającego go z tarapatów, wcześniej czy później go utłuką - powiedział Jefferson.

412

- Z pewnością nie! - wykrzyknęła Beth.

- Jest stanowczo zbyt arogancki. Znajdziesz tu wielu ludzi, których nic nie ucieszyłoby bardziej, niż możliwość splunięcia na jego trupa.

- Ale ty do nich nie należysz? - zapytała z przejęciem. Jefferson przyglądał się jej przez chwilę w zamyśleniu.

- Nie, ja go lubię - powiedział w końcu. - Z drugiej strony, jest wystarczająco sprytny żeby nie wchodzić mi w paradę. Słyszałem jednak rozmaite plotki i widzę, co się kroi.

- Czy możesz z nim porozmawiać i ostrzec go?

- Nie posłucha mnie. Zresztą, dlaczego miałoby cię obchodzić, co się z nim stanie? Chyba wiesz, że większość nocy spędza z Dolly w Red Onion?

Beth poczuła się tak, jakby ktoś pchnął ją nożem w serce, bo do tego momentu były to tylko jej podejrzenia.

Dolly była ponętą blondynką, która śpiewała i tańczyła w Red Onion. Parała się też prostytutką i jak wieść niosła, liczyła sobie pięćdziesiąt dolarów za numerkę. Wyglądało na to, że chciałby się z nią zabawić każdy mężczyzna w Skagway.

- Nie wiedziałaś, prawda? - powiedział Jefferson. Objął ją i przytulił do piersi. - Przepraszam, nie zamierzałem sprawić ci przykrości.

Beth powstrzymała napływające łzy.

- W porządku. I tak podejrzewałam go o romans na boku. Zdaje się, że to wszystko, czego potrzebowałam do podjęcia decyzji o wyjeździe.

- Wiesz, że chciałbym, żebyś została i była moją dziewczyną. Zalaatwilbym ci naprawdę ładne mieszkanie, ze służącą i tak dalej. Wypędziłbym nawet księcia z miasta.

413

Szampan i słodki południowy akcent powoli przelamywały opór dziewczyny i kiedy podniósł jej podbródek, żeby ją pocałować, nie odsunęła się. Jego pocałunek był równie zmysłowy jak on sam i natychmiast się podnieciła.

W trakcie pocałunku delikatnie przejechał palcem po jej szyi i mimo iż jakiś cichy głosik w głowie przestrzegał ją, iż kochanie się z nim będzie błędem, poczuła, że go pragnie. Doceniał ją i traktował jak damę, a jeżeli Theo wolał tę blond dziwkę od niej, przyszedł czas na rewanz.

Dłoń Jeffersona wkradła się pod część sukienki, obejmując jej pierś; jego pocałunki nabrały ognia.

- Pozwól, że zaprowadzę cię do mojego pokoju na zapleczu - wymruczał z ustami tuż przy jej szyi. - Będzie nam tam wygodniej.

Nie poczekał na jej przyzwolenie, tylko uniósł ją w ramionach i przeniósł przez drzwi na tyłach baru. Na miejscu było ciepło, gdyż znajdował się tu kolejny mały piecyk i w jego blasku dostrzegła wykonane z mahoni i pokryte czerwoną wyszywana narzutą łóżko, którego nie powstydzilby się pierwszorzędny hotel.

Rozpięcie małych guziczków z tyłu sukienki i rozwiązanie sznurówek gorsetu nie zajęło mu wiele czasu, a choć wynikało z tego, że ma doświadczenie w rozbieraniu kobiet, nie ugasiło to odczuwanego przez Beth pożądania.

Doświadczenie mężczyzny dało też o sobie znać w trakcie samego aktu. Nie spieszył się, a kiedy szeptał jej czule słówka i wychwalał piękno, jego dotyk był równie delikatny, co podniecający i pieszczotliwy.

Zanim jeszcze pozbył się swojego ubrania, doprowadził ją niemal do ekstazy i kiedy objęła go ramionami

206

i zaczęła pieścić, odkryła, że ma niezwykle umięśnione ciało, bez cienia tej miękkości, której spodziewałaby się po dżentelmenie z Południa.

Od czasu, kiedy Theo kochał się z nią ostatni raz, minęły miesiące, a i wtedy była to raczej szybka, mało satysfakcjonująca przekąska zamiast pełnej uczty Jefferson zorganizował jej cały bankiet; drażnił ją, ssal i pieścił językiem, a kiedy w końcu w nią wszedł, była mokra od potu i płonęła z pożądania.

- Daleko przekroczyłaś moje oczekiwania, droga pani - powiedział z łobuzerskim uśmiechem na twarzy, podpierając się na łokciach i patrząc na nią z góry, choć ciągle w niej pozostając.

- Ty również - odpowiedziała i zaśmiała się. - Myślę, że rozwiązaliśmy też problem, jak nie marznąć na Alasce.

- Cokolwiek przyniesie nam przyszłość, ta noc zawsze będzie dla mnie jednym z najpiękniejszych i najbardziej gorących wspomnień - powiedział, opuszczając głowę, żeby ją pocałować.

Beth tylko się uśmiechnęła, bo wiedziała, że jego słowa złagodzą poczucie winy, które obudzi w niej ranek.

- Mam nadzieję, że uda mi się przekonać cię, żebyś tu została - powiedział trochę później, kiedy zsunął się z niej i trzymał ją w ramionach. - Moglibyśmy stworzyć wspaniały zespół. A kiedy gorączka złota minie, możemy wyruszyć do innych miast i poszukać nowych wyzwań.

Kiedy po południu następnego dnia wróciła do chatki i odkryła, że nikogo nie ma, przyjęła to z ulgą. Po luksusach mieszkania Jeffersona miejsce to wyglądało spartańsko i przygnębiająco. Ich łóżka były

po

415

prostu workami wypchanymi słomą, zaś to, które dzieliła z Theo, było tak samo równo ułożone, jak zostawiła je poprzedniego wieczoru, więc wiedziała, że nie było go przez całą noc. Sam i Jack zostawili na łózkach wygnie-cenia, a ich koce jak zwykle były wymiętoszone.

Chłopcy wiedzieli, że Beth wybrała się do Jeff Smith's Parlour na drinka, bo rano, przed wyjściem, zadali sobie trud ułożenia drewna w piecyku i czuła, że nie zagniewało ich to, że spędziła noc z owym człowiekiem. Ale, tak czy siak, czuła się z tym niezręcznie. Nie widziano niczego złego w tym, że mężczyzna stara się zaciągnąć każdą kobietę do łóżka, ale ulegająca tej samej pokusie kobieta była uważana za ulicznicę.

Nie musiała robić toalety, gdyż wzięła już kąpiel u Jeffersona: napelnił dla niej swoją wannę i nawet zadał sobie trud umycia dziewczyny. Usadowiwszy się na bujanym fotelu, który jej podarował, odchyliła głowę do tyłu i zamknęła oczy, przywołując wspomnienie zmysłowości całej sytuacji i doszła do wniosku, iż ma w nosie, czy jest ulicznicą, czy nie. Postanowiła też, że nie będzie się z tym kryła, kiedy chłopcy wrócą do domu. Skoro Jack i Sam cały czas wklali się w jakieś miłosne igraszki, to dlaczego ona miałaby sobie żalować odrobiny przyjemności?

A jeżeli Theo się to nie spodoba, niech się wyniesie precz i zamieszka z tą dziwką Doily. Kiedy odkryje, że ta flądra nadaje się tylko do jednej rzeczy i nie potrafi szyć, gotować ani prać jego ubrań, zorientuje się, jakim skarbem była jego Gypsy Queen.

Późnym popołudniem z trzaskiem otworzyły się drzwi do chatki, wpuszczając do środka mroźny wiatr i podmuch śniegu.

416

Beth drzemała w fotelu na biegunach. Obudziła się teraz gwałtownie i pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była pociemniała z wściekłości twarz stojącego w drzwiach Theo.

-Jak mogłaś pozwolić, żeby ten skurwysyn cię zerznął? - krzyknął. - Przez ciebie wyszedłem na kompletnego idiotę!

Beth zamierzała przyznać się do swojego czynu, bo podejrzewała, że ktoś w końcu puści parę z ust. Ale nie spodziewała się, że Theo dowie się o tym aż tak szybko.

Przez chwilę po prostu patrzyła na niego; wstrząsnęła nią świadomość, że Theo bardziej zabolala potencjalna reakcja innych niż jej niewierność.

- Sam do tego doprowadziłeś - rzekła wyzywająco. - Od miesiący traktowałeś mnie po świńsku i cały czas spędzałeś z tą dziwką z Red Onion.

- Mam tam interesy - warknął. - Jeżeli mężczyzna chce coś osiągnąć, interesy muszą być dlań ważniejsze od wszystkiego innego.

- W burdelu prowadzi się interesy tylko jednego rodzaju - odparowała, w gniewie podnosząc głos. - A ja nigdy nie zgodzę się zbierać resztek po dziwce, więc wracaj tam zaraz i stań po swoje w kolejce, bo ona pozwala się rznąć wszystkim, którzy mają na to ochotę i dość pieniędzy

Theo spojrzal na nią zaskoczony.

- Jesteś kłamliwą gnidą i oszustem - ciągnęła. - Rozpowiadasz ludziom, że jesteś księciem. Grasz znaczącymi kartami i okradasz ich z ostatnich pieniędzy! To mogłabym jakoś przeżyć. Ale nie będę żyła z mężczyzną, który mnie nie ceni. Trwałam przy tobie i przez ciebie przeszłam przez piekło, ale z tym już koniec. Wynos się do diabła i nigdy nie wracaj.

417

Wahał się przez chwilę, po czym złapał swoje ubrania z półki w rogu, zwinął je do torby i wyszedł, trzaskając drzwiami tak mocno, że zatrzęsała się cała chatka.

Beth się rozpląkała. Powodem lez nie był żal z powodu, że oddała się innemu mężczyźnie, lecz fakt, że jej miłość przyniosła tak gorzkie owoce. Poszłaby za Theo na koniec świata i pomimo wszystkich szorstkich słów, jakimi go obsypała, wiedziała, że dalej go kocha.

Tydzień później Beth i Sam spędzali noc w chatce samotnie. Na zewnątrz było tak zimno, że w przeciągu kilku sekund rzęsy pokrywały się szronem, a wdychane powietrze przeszywało płuca bólem. Wypakowali piecyk drewnem i usiedli blisko niego, obydwójce okryci ciepłymi kołdrami.

Jack wyszedł zajrzeć do Arnoldów, rodziny z trójką dzieci, która przybyła do Skagway na początku grudnia. Od samego początku brakowało im wyposażenia, a drobne oszczędności, które przywieźli ze sobą, wkrótce się wyczerpały. Jak wielu innych tutejszych ludzi ciągle żyli w namiocie, a jedno z ich dzieci, dziewięcioletnia Nancy, zmarło na zapalenie płuc zaraz po świętach Bożego Narodzenia.

Jack starał się załatwić jakąś pracę głowie rodziny, Sidowi Arnoldowi. W Portland pracował jako fryzjer, ale w miejscu, gdzie mężczyźni zapuszczali sobie gęste brody i wąsy, nie było zbyt wielkiego popytu na tego typu usługi. W tartaku wytrzymał tylko jeden dzień -po prostu nie miał siły do tak ciężkiej pracy - i nie radził sobie w żadnej innej, jaką znajdował mu Jack. Teraz jego żona i młodszy syn Robbie również zachorowali i Jack zorganizował w Skagway zrzutkę na bilety, żeby

418

następnym statkiem wysłać ich do domu. Ale na myśl o zlocie oczy Sida lśniły równie mocno, jak oczy jego trawionej gorączką żony. Upierał się, że wyruszy przełęczą Chilkoot; był przekonany, że to rozwiąże wszystkie problemy.

- Myślisz, że Jack przemówi mu do rozsądku? - zapytał Sam.

Beth potrząsnęła głową. Objawy gorączki złota widywała tak często, że doszła do wniosku, iż ta jest nieuleczalna. Przybyli tu ludzie w większości nie mieli pojęcia, jak daleka droga dzieli ich od Dawson City - wydawało im się, że to lekka przechadzka po kilku pagórkach. Nieliczni tylko zdawali sobie sprawę, jak zimne i zdradzieckie są góry; wielu z tych, którzy wyruszyli, zarówno White Pass ", jak i przełęczą Chilkoot**, zostało zmuszonych do powrotu i przeczekania do wiosny.

Ale Indianie Chilkoot, którzy znali ten szlak, mówili, że wielu z tych, którzy nie wrócili, straciło tam życie. Ich ciała pozostały w górach oczyszczone do kości przez ptaki i innych padlinożerców.

- Może jedynym rozwiązaniem jest wysłanie łodzią żony i pozostałych dzieci bez niego - ze smutkiem powiedziała Beth. - Zdaje się, że mają rodzinę w Portland, która pomoże im wrócić do zdrowia. Rzecz jasna, jeżeli nie umrą, zanim przyplynie statek.

- Boisz się wyruszyć przełęczą? - zapytał z zaciekawieniem Sam.

** Chilkoot Trail - 53-kilometrowy szlak prowadzący przez przełęcz Chilkoot z Dyea do Jeziora Bennetta [przyp. red.].

419

- Tak - przyznała. - Ale skoro dotarliśmy tak daleko, nie wybaczylibyśmy sobie do końca życia, gdybyśmy nie pokonali reszty drogi.

- Bez Theo to już nie będzie to samo.

- Nie, nie będzie - westchnęła Beth. - Będzie łatwiej.

Przez pewien czas Sam milczał, wpatrując się pustym wzrokiem w ogień. Beth wiedziała, że oboje tak samo jak Jack tęsknią za oryginalnymi pomysłami Theo i atmosferą zabawy, którą potrafił stworzyć. Chłopcy przyznali, iż wiedzieli o Doily od pewnego czasu i mieli nadzieję, że kiedy Beth spędzi noc z Jeffersonem, Theo szybko się opamięta.

Ale choć bardzo go lubili i traktowali niemal jak brata, lojalność wobec Beth stawiali ponad wszystko. Nie próbowali więc nawiązać z nim kontaktu, zresztą on też nie odczuwał takiej potrzeby

- A co z Mydlarzem? - zapytał, przerywając ciszę, Sam. - Naprawdę żywisz w stosunku do niego jakieś cieplejsze uczucia?

- Być może tylko pożądanie - zachichotała Beth. - Ale minął już tydzień i nie poczynił żadnych kroków, żeby ponownie się ze mną spotkać. Myślę, że kiedy usłyszał, iż Theo wypadł z obiegu, przestałam być tak atrakcyjnym kąskiem.

Sam uśmiechnął się krzywo.

- Może tak będzie lepiej, siostrzyczko, to niebezpieczny człowiek. Nawet go lubię, ale jest bardziej śliski od węgorza. Jeżeli choć połowa historii, jakie o nim opowiadają, jest prawdziwa, to i tak starczy tego, żeby każdemu napędzić stracha. Pewnego dnia znajdziesz mężczyznę wartego ciebie.

420

Beth pochyliła się do przodu i pieszczotliwie potargala jego gęstą blond brodę.

- Przeszliśmy daleką drogę, prawda? Wątpię, żeby państwo Langworthy nas teraz poznali. Nie chodzi tylko o nasz wygląd; zmieniły się nasze charaktery. Wyobraź sobie te wieczorne rozmowy, jakie prowadziliśmy w Liverpoolu! Pamiętasz, co mama powiedziała o pożądaniu? Wtedy nie miałam pojęcia, co ma na myśli.

- Ja też nie - uśmiechnął się ironicznie Sam. - To było jedno z najlepszych odkryć.

Oboje parsknęli śmiechem; kontynuowali rozmowę, radując się faktem, że uwolnili się z ograniczeń, w jakich zostali wychowani. Teraz byli bratem i siostrą, ale też i przyjaciółmi.

- Czy była jakaś kobieta, z którą nie chciałeś się rozstać? - zapytała Beth.

- Łatwiej byłoby wymienić te, od których czmychnąłem z ulgą i przyjemnością - zażartował Sam. - Zdaje się, że zawsze spotykam dziewczynę mającą to coś, w momencie kiedy musimy ruszać dalej. Weźmy na przykład tę małą rudą, która pomaga swojej matce piec placki na Main Street!

- Sarę? - Beth wiele razy rozmawiała z tą dziewczyną. Była bardzo dobrze wychowana, nigdy nie chodziła do saloonów ani nie zachęcała mężczyzn, żeby czynili jej awanse. Odznaczała się energicznym, władczym charakterem i była bardzo ładna.

- Tak, Sara pochodzi z Idaho. Naprawdę ją lubię, ma ten... - Na odgłos wystrzału przerwał w pół słowa. - To gdzieś blisko! - wykrzyknął, strząsając koldrę i zrywając się na równe nogi.

421

Strzelaniny, tak samo jak i bijatyki na ulicach i w salo-onach, były dość powszechne. Ale nie w tej części miasta.

- Sam, nie wychodź - błagała go Beth. - Wiesz, jak to jest, kiedy kilku zabijaków się spije i nabuzuje. Możesz wylądować w środku awantury i stanie ci się krzywda.

Zawahał się.

- Po prostu wyjrzę przez drzwi i zobaczę, co się dzieje. Nic mi nie będzie.

Otworzył drzwi i do środka wdarł się podmuch lodowatego powietrza. Sam sięgnął po swój podbity futrem płaszcz, wdział kapelusz i szybko wyszedł na zewnątrz. Beth wstała, żeby spojrzeć przez niewielkie okienko, ale widziała tylko ramię Sama i przykrytą śniegiem ziemię. Ale kiedy usłyszała pokrzykiwania ludzi i jej ciekawość wzrosła, sięgnęła po płaszcz i kapelusz.

Kiedy wyszła, Sam wyszczerzył się do niej w uśmiechu.

- Wiedziałem, że nie wytrzymasz! Nie boisz się tam podejść? Wygląda na to, że coś się stało na State Street. Tylko rzucimy okiem. Nie będziemy się angażować.

Sam trzymał Beth pod ramię, żeby uchronić ją od poślizgnięcia. Gdy skręcili na State Street, napotkali ludzi stłoczonych dookoła leżącego na ziemi mężczyzny. Nawet przy kiepskim ulicznym oświetleniu mogli dostrzec ślady krwi na śniegu.

- Kto to zrobił? - zapytał przechodzącego obok mężczyznę Sam.

- Nie mam pojęcia; podejrzewam, że po prostu jakiś facet, którego oskubano.

- Znasz mężczyznę, który został postrzelony? - zapytała Beth.

- To ten facet, co mówi o sobie, że jest księciem.

Rozdział dwudziesty siódmy

S

Sam starał się ją powstrzymać, ale Beth wyrwała mu się i przepchnęła przez tłum otaczający Theo. Serce kolatało się jej ze strachu i nagle zapomniała o wszystkich gniewnych słowach, którymi go obrzuciła.

- Theo! - krzyknęła i padła przy nim na kolana.

- Proszę pani, on nie przeżyje - zawołał jakiś mężczyzna z tłumu.

Nie wyglądało to dobrze. Theo był nieprzytomny i Beth widziała miejsce, gdzie kula przebiła płaszcz i utkwiała w jego ramieniu. Rana krwawiła obficie. Złapała za nadgarstek i poszukała pulsu. Był, ale bardzo słaby.

- Na pewno nie przeżyje, jeżeli zostawimy go tutaj na mrozie - odpowiedziała ostrym tonem. - Niech ktoś pomoże mi zabrać go do lekarza.

Theo poruszył się i otworzył oczy

- Beth!

Głos miał tak słaby, że dziewczyna musiała nachylić się ku jego twarzy.

- Tak, to ja. Nic nie mów i nie ruszaj się, bo jeszcze bardziej osłabiesz.

Kiedy Sam zbliżył się, żeby pomóc siostrze, któryś z mężczyzn zasugerował, że powinni położyć Theo na czymś twardym i prawie natychmiast z najbliższego

saloonu wybiegła kobieta, niosąc na ramionach blat stołu

-W czasie bijatyki oderwali nogi — powiedziała w ramach wyjaśnienia i popędziła z powrotem do ciepłego lokalu.

Wsuwając blat pod rannego, Sam ujął go pod ramiona, zaś dwóch innych ludzi złapało go za nogi. Chatka doktora Chase była w pobliżu i ktoś pobiegł przodem, żeby go uprzedzić. Beth nigdy nie spotkała doktora, bo nigdy nie potrzebowała jego pomocy, ale wiedziała, iż to dobry człowiek, gdyż on i wielbny Dickey byli odpowiedzialni za sfinansowanie budowy chaty w której wkrótce miał powstać szpital. Lekarz znany był też z tego, że bardzo biednych ludzi leczył za darmo.

Doktor Chase, drobny, chudy mężczyzna w okularach i z rzadziejącymi włosami, ubrał się już w fartuch i kiedy zjawili się u jego drzwi, właśnie podwijał rękawy

- Połóżcie go na stole - powiedział, przysuwając bliżej lampę. - Czy któreś z was jest z nim spokrewnione?

Sam wyjaśnił, że wraz z Beth byli przyjaciółmi Theo i jego kompanami w podróży, podali też doktorowi swoje imiona. Ten poprosił ich, żeby zostali i mu pomogli, a pozostałych gapiów wyprosił.

- Mam nadzieję, że nie masz słabego żołądka - powiedział do Beth, kiedy zaczął zdejmować ubranie z ramienia Theo. - Będę potrzebował pielęgniarki. Idź i dokładnie umyj ręce.

Gdy Beth myła ręce przy wskazanym jej przez doktora zlewie, zerknęła do tyłu na Theo. Stracił przytomność, był bardzo blady i miał sine usta. Odsłonięta rana wyglądała okropnie, jak jedna ciemnoczerwona masa tkanki i krwi.

424

Dziewczyna założyła fartuch i zakasała rękawy, zaś doktor poprosił Sama, żeby ten stanął za pacjentem i przytrzymał go, gdyby Theo stawiał opór.

- Mamy szczęście, że jest nieprzytomny - z ożywieniem powiedział doktor do Jacka. - Ale najprawdopodobniej ocknie się, kiedy zacznę szukać kuli, więc się przygotuj.

Beth chciała zapytać doktora, dlaczego nie może podać Theo chloroformu, ale ostatecznie postanowiła milczeć; stała w pogotowiu, żeby wypełniać jego polecenia.

-Jeżeli ktoś już musi oberwać kulkę, to to miejsce niezgorzej się do tego nadaje - powiedział doktor Chase, pokazując Beth, że ma trzymać jego tackę z przyrządami i podawać je w miarę potrzeb. - A tak w ogóle, to dlaczego do niego strzelano?

- Nie wiemy, nie byliśmy razem, gdy to się stało - odpowiedział Sam. - Po prostu, słysząc odgłos wystrzału, pobiegliśmy popatrzeć.

- Jak ma na imię?

- Theodore Cadogan - odpowiedziała Beth.

- Ach, słynny angielski książę - powiedział doktor. - Mówiono mi, że ostatnio zachowywał się tak, jak człowiek proszący się o kłopoty. Ty zatem - powiedział, patrząc na Beth znad swoich okularów - musisz być wielce utalentowaną panną Bolton, zwaną Gypsy Queen?

Beth poczuła, że ogarnia ją wstyd; w słowach mężczyzny kryło się przypuszczenie, że skoro zadaje się z takim mężczyzną jak Theo, nie zasługuje na lepsze traktowanie. Ale doktor nie powiedział już nic więcej; oczyścił ranę, po czym zaczął w niej grzebać. Theo raz jeden odzyskał przytomność i starał się wstać, ale na szczęście z powrotem zemdlął.

425

- Otóż i ona - powiedział doktor Chase, tryumfalnie podnosząc do góry chwyconą szczypcami kulę. - Na szczęście dla niego nie weszła zbyt głęboko. Ale będzie potrzebował dobrej opieki, żeby odzyskać siły. Same kule są łatwe do wyciągnięcia; prawdziwy problem powstaje wtedy, gdy w ranę wda się zakażenie. Podoba pani temu zadaniu, panno Bolton?

- Oczywiście, że tak - odpowiedziała bez wahania.

- Zaszycę ranę i zostawię go tu na noc. Jutro załatwię kogoś z wozem, żeby zabrał go do waszej chaty. Wtedy powiem wam, jak należy go karmić. Stracił mnóstwo krwi i odzyskanie formy zajmie mu trochę czasu.

- Dlaczego mi pomogłaś? - zapytał Theo następnego wieczoru.

Rankiem doktor przywiózł go do chatki. Na uśmierzanie bólu Theo dostał jakiś specyfik, który sprawił, że przespał większość dnia. Zgodnie z poleceniem doktora Beth nagotowała garnek rosółu wołowego, a gdy Theo się odezwał, mieszała jedzenie na piecyku.

- Bo nie zauważyłam, żeby ta dziwka Dolly rzuciła ci się na pomoc - odpowiedziała zjadliwie. - Ale jeżeli wolisz iść tam i leżeć w jej zapchlonym łóżku, wystarczy, że poprosisz.

- O wiele bardziej wolę zostać tutaj z tobą - powiedział bardzo słabym głosem. - Jesteś jedyną kobietą, którą naprawdę kochałem.

Beth poczuła, że w jej oczach zbierają się łzy, ale w porę je powstrzymała.

- Theo, zaopiekuj się tobą przez wzgląd na stare czasy, ale na dłuższą metę na mnie nie licz.

426

Przez kilka pierwszych dni Theo cierpiał prawdziwe katusze. Doktor Chase codziennie zaglądał, żeby zmienić opatrunek i mówił, że cieszy go brak oznak infekcji, ale nie okazywał pacjentowi żadnego współczucia.

- Masz szczęście, że żyjesz - powiedział bezceremonialnie. - Mam pacjentów, którzy zachorowali nie ze swojej winy i oni są dla mnie najważniejsi.

Wyglądało na to, że mężczyzna, który strzelił do Theo, opuścił miasto; być może bał się, iż zabił księcia i zostanie oskarżony o morderstwo. Sam zainteresowany ograniczył się do lakonicznego stwierdzenia, że dostał, co mu się należało. Beth potraktowała to jako przyznanie się do próby oszukania napastnika.

Kolejne dni mijały jej na czytaniu mu książek i przekazywaniu plotek. Prawdę powiedziawszy, cieszyła się, że przebywa z nim w ciepłym pomieszczeniu. Jack lub Sam zamieniali się z nią nocami, kiedy musiała grać.

Minęło dziesięć dni, zanim Jefferson porozmawiał z nią na temat zamachu. Przez cały ten czas nie pojawił się w saloonie Clancych, nie widziała go też w mieście. Ale oto nagle się zjawil i stał teraz w tłumie, obserwując jej grę z tym leniwym, uwodzicielskim uśmiechem, który sprawiał, że serce zaczynało bić szybciej.

- Napijesz się ze mną? - zapytał, kiedy zeszła z niewielkiej sceny.

- Muszę wracać - odpowiedziała zżerana ciekawością, gdzie podziewał się przez cały ten czas, choć wiedziała, że dopytywanie się o to nie jest rozsądnym pomysłem.

- Obowiązki opiekunki? - zapytał, podnosząc brew. - Cóż takiego książkę zrobił dla ciebie, że zasłużył na tak

427

troskliwą opiekę? Słyszałem, że po naszej wspólnej nocy wyrzuciłaś go z domu?

- Wiele razem przeszliśmy - odpowiedziała. - Nie opuszczam przyjaciół, kiedy potrzebują pomocy.

- A jak wydobrzeje? - zapytał, wsuwając jej w dłoń szklaneczkę rumu.

Beth wzruszyła ramionami.

- Nie wiem. To zależy od niego. - Zastanawiasz się, czy będzie dla ciebie miejsce

w jego planach? Jeżeli wróci do Doily będziesz wolna, a jak nie, to zostaniesz przy nim?

- Posłuchaj, Jeff, nie wiem - powiedziała zirytowana. - Przyjęłam go z powrotem do siebie, żeby się nim opiekować, ze względu na naszą wspólną przeszłość; tak samo zajęłabym się Jackiem, gdyby coś mu się stało. Nie chcę wybiegać teraz myślami do przodu i nie rozumiem, dlaczego cię to interesuje. Nawet nie wpadłeś zobaczyć, co u mnie, gdy dowiedziałeś się, że go wyrzuciłam, więc dlaczego nagle zaczęło ci na tym zależeć?

- Ponieważ cię lubię, a on stanie się przyczyną twojej zguby

- Obaj jesteście prawie tacy sami - powiedziała wzburzona.

- Właśnie dlatego wiem, jak to się skończy.

Beth westchnęła, wypila rum i podniosła swój futerał, przygotowując się do wyjścia.

- Więc mogę tylko żywić nadzieję, że masz kogoś, kto się tobą zajmie, gdy ktoś cię postrzeli - powiedziała cierpko. - Dobranoc, Jefferson. Było miło, ale się skończyło.

Myślała, iż pójdzie za nią - w końcu podczas nocy, którą spędzili razem, powiedział, że chce, żeby została

428

jego dziewczyną. Ale może po prostu tak tylko mówił i naprawdę dążył jedynie do kolejnego podboju.

- Byłem skończonym idiotą - powiedział Theo kilka dni później. Jego stan polepszył się i wstawał już z łóżka, choć nie mógł robić niczego forsownego; nawet ubierać się musiał ostrożnie i powoli.

- Co cię doprowadziło do tak odkrywczego i wstrząsającego wniosku? - zapytała.

- Nie bądź złośliwa - powiedział z wyrzutem. - Staram się pokazać ci, że cię cenię. Zawsze tak było, ale tym, co teraz najbardziej mnie smuci, jest przepaść, jaką wykopałem pomiędzy nami; kiedyś byliśmy sobie naprawdę bliscy. Wiem, że to moje dzieło. A nie wiem, jak sprawić, żebyś poczuła do mnie to, co kiedyś.

- Ja też tego nie wiem - odpowiedziała ze smutkiem. - Czasami myślę, że to miasto pełne jest ludzi, którym tylko złoto w głowie. Odmieniło nas wszystkich. Nawet Jack, który spędza każdą wolną chwilę na pomaganiu ludziom, nie może się doczekać wyruszenia na szlak. To niemal jak choroba.

- Więc może jedynym lekarstwem jest ruszyć w podróż - powiedział Theo.

- Jeszcze przez jakiś czas nie będziesz miał na to sił.

- Miesiąc powinien wystarczyć. Ale o wiele ważniejsze jest pytanie, czy chcesz, żebym był z tobą.

- Theo, oczywiście, że chcę! Może nie jestem już tak bezkrytyczna, jak kiedyś, ale dalej cię kocham.

Gdybyś tylko ty był bardziej szczerzy w stosunku do mnie!

- Brak szczerości nie przeszkadzał ci w przypadku Mydlarza - powiedział. - To o wiele większy lotr ode mnie, jest kłamcą, złodziejem, kanciarzem i z pewnością

429

też zabijał, choć wątpię, żeby sam brudził sobie ręce taką robotą.

- Przynajmniej był przy mnie, kiedy kogoś potrzebowalam - odgryzła się Beth. - Nie widziałam, żeby Doily Psia Morda przyszła ci w sukurs.

- Nadszedł czas, siostrzyczko - powiedział Sam, wyciągając z chaty ostatnią sakwę z zapasami i pakując ją na wynajęty wózek, który miał je zabrać trzy mile dalej do Dyea, na początek szlaku Chilkoot. - Pożegnaj się z chatką. Wątpię, żebyśmy tędy wracali.

Theo siedział na wózku. Jego ramię dobrze się goiło, ale tygodnie braku aktywności i dobrego jedzenia sprawiły, że przybrał na wadze, co nadało mu wygląd mięczaka. W porównaniu z nim Jack był bardzo szczupły; przez sześć dni w tygodniu budował domy, sklepy i chaty. Dzięki temu mieli wystarczająco dużo pieniędzy, żeby zapłacić indiańskim tragarzom za wniesienie ich bagaży na przełęcz.

Obok tony zapasów żywności wymaganych podczas przekraczania granicy z Kanadą, potrzebowali narzędzi stolarskich do wybudowania łodzi przy Jeziorze Bennetta, łopat, sani, piecyka, namiotu, pościeli i wielu innych przedmiotów. Większość mężczyzn mogła unieść na plecach na szlaku około pięćdziesięciu funtów, gdyby więc nie wynajęli indiańskich tragarzy, musieliby wielokrotnie kursować na górę i z powrotem, co w efekcie mogłoby zająć im nawet trzy miesiące.

Ich współtowarzysze w pogoni za złotem nie mieli w większości innego wyboru i postąpili dokładnie w ten sposób, choć indiańscy tragarze wyśrubowali cenniki za ładunek do granic możliwości. Ale Theo nie uniósłby

430

więcej niż kilka funtów, a Sam i Jack nie chcieli, żeby Beth nosiła ciężary. Po połączeniu funduszy stać ich było na pomocnika i wyszli z założenia, że zaoszczędzony czas zrekompensuje im stracone pieniądze, a część rzeczy będą mogli ze znacznym przebicciem sprzedać w Dawson City.

- Zanim wyruszymy, muszę wysłać ten list do domu - powiedziała Beth, machając kopertą. Kilka dni wcześniej w końcu otrzymali list z Anglii, ze zdjęciem Molly zrobionym tuż przed Gwiazdką, podczas jej czwartych urodzin. Dziewczyna odpisała naprędce i dołączyła własne zdjęcie z Samem wykonane w Skagway, jednocześnie informując siostrzyczkę i Langworthych, że zamierzają wyruszyć na złotodajne działki.

Pisząc, zastanawiała się, czy ludzie w Anglii mają pojęcie, z czym wiąże się ta podróż. Beth doskonale wiedziała, że nie będzie to żaden piknik, gdyż Jack przewidująco udał się na początek szlaku porozmawiać z ludźmi, którzy poddali się w połowie drogi, i to, co usłyszał sprawiło, że niewiele brakło, a byłiby porzucili plany wyruszenia.

- Ruszymy przodem, a ty dogonisz nas, kiedy nadasz list - zawołał Theo. - Tylko nie daj się obrabować! Był późny marzec i większość osób poznanych przez nich zimą wyruszyła przez White Pass lub przełęcz Chilkoot ponad miesiąc temu. Beth wiedziała jednak, że jeżeli wszystko pójdzie dobrze, dogonią tamtych na brzegu Jeziora Bennetta. Łód na jeziorze nie puści przed końcem maja, więc i tak nie będą mogli wyruszyć wcześniej.

Skagway bardzo się zmieniło od ich przybycia. W mieście wybudowano przystań, kościół i szpital,

431

przy głównych ulicach stały prawdziwe budynki - sklepy saloony restauracje, hotele, domy i chatki. Ulice jednak ciągle były śliskie i pełne błota, zwłaszcza teraz, gdyż w ostatnich dniach nadeszła niewielka odwilż. Ale nowo powstałe miasto ciągle otaczały namioty, choć inne, bo stare zostały albo przeniesione wraz ze swoimi właścicielami albo zdmuchnięte je wichury Ze statków codziennie wylewały się setki nowych poszukiwaczy złota. Niektórzy zostawali tylko na krótko przed wyruszeniem na szlak, inni grzęźli w bardziej obskurnych rejonach miasta, trwonili wszystkie swoje pieniądze i ostatecznie wsiadali na statek, który miał ich odwieźć do domu.

Beth cieszyła się, że wyjeżdżają. Spędziła tu kilka miłych chwil, ale zapamiętała znacznie więcej złych. Wiedziała, że nie będzie tęskniła za awanturami, brudem, wyzyskiwaczami i wyzyskiwanymi. Ale miało jej brakować aplauzu i klaskania towarzyszących jej, gdy grała. Wiedziała też, że nigdy nie zapomni uśmiechów czystej radości, gdy swoją grą sprawiała, że ludzie zapominali o zmartwieniach i troskach. Mijając saloon Clancych, uśmiechnęła się, gdy zobaczyła naskrobany kredą napis na tablicy, głoszący „Dziś wieczór występ Gypsy Queen”. Podnosząc kawałek kredy leżący na ziemi przed nią, dodała: „Nie dzisiaj, wyruszyłam do Klondike. Do zobaczenia na miejscu”.

Odwracając się od tablicy i chichocząc z dowcipu, zobaczyła Jeffersona opartego o pudło i obserwującego ją z fajką w ustach.

- A więc odchodzisz? - zapytał.

- Nadam tylko list, a potem biegnę dogonić wóz.

- Zostań i napij się ze mną. Potem podwożę cię na koniu, więc bez trudu dogonisz współników.

432

Już otwierała usta do grzecznej odmowy, ale kiedy dostrzegła błysk w jego oczach, nie mogła się powstrzymać.

- Ze względu na stare czasy - roześmiała się. - Ale tylko na godzinę i ani minuty dłużej, a potem, jeżeli nie dotrzymasz swojej części umowy, znajdziesz się w poważnych tarapatkach.

- Nadaj swój list, a gdy wrócisz, drinki już będą na nas czekały.

Gdy weszła do Clancych, Jefferson właśnie otwierał butelkę szampana.

-Pomyślałem, że pożegnaj cię z honorami. -Uśmiechnął się. - To może być ostatnia miła rzecz w przeciągu następnych kilku miesięcy

Nalał jej kieliszek i nachylił się nad barem, patrząc na nią.

- Będzie nam cię tu brakowało - odezwał się w końcu. - W mieście jest wiele ładnych dziewczyn, ale tylko kilka z nich dorównuje ci charakterem czy odwagą. Może pewnego dnia udam się do Dawson i zobaczę, jak sobie radzisz. Jeżeli nie zdobędzie cię jakiś bogacz z kieszeniami pełnymi złota, porwę cię do San Francisco i zrobię z ciebie uczciwą kobietę.

-To mogłoby być trudne, zwłaszcza że sam masz poważne problemy z uczciwością - odcięła się. - Poza tym, zamierzam wrócić do Anglii. Mam małą siostrzyczkę, którą chcę zobaczyć.

Wyjęła zdjęcie Molly, które dla bezpieczeństwa włożyła do wewnętrznej kieszeni płaszcza i pokazała mu je. Włosy malej były równie długie i faliste jak Beth, związane dwiema kokardkami; miała też na sobie fartuszek w białe falbanki nałożony na sukienkę. Nie była już

433

dzieckiem, a małą dziewczynką, z okrągłymi ciemnymi oczami i bardzo poważnym wyrazem twarzy - Podobna do ciebie - powiedział Jefferson. - Myślę, że to typ dziecka, które każdego skłoniłoby do powrotu. No i twoi rodzice. Muszą za tobą tęsknić.

-Nie żyją - odpowiedziała Beth i niespodziewanie dla samej siebie opowiedziała mu całą historię. - Nie wiem, dlaczego ci to powiedziałam - zakończyła zawstydzona. - Nigdy nikomu o tym nie wspominałam.

Jefferson wzruszył ramionami.

- To jej zdjęcie przywołało wspomnienia. Też takie mam.

- Małej dziewczynki?

- Nie - roześmiał się. - Ciebie, zrobione tutaj pewnej nocy. Odebrałem je zaledwie kilka dni temu. Sprawilo, że zacząłem myśleć, jak potoczyłyby się sprawy, gdyby tylko... - urwał i posłał jej szeroki uśmiech.

- Gdyby co?

- Gdybym był innym człowiekiem. Gdybym przyszedł do ciebie po tamtej nocy i powiedział, co czuję.

- A co czujesz? - wyszeptała.

- Czulem się tak, jakbym się na nowo narodził. Jakby istniało życie bez szwindli i przekrętów. Ale zabrakło mi odwagi, żeby spróbować.

Beth podniosła dłoń i pieszczotliwie uszczypnęła go w policzek.

- Wystarczyło ci odwagi, żeby powiedziałeś mi to teraz. Będę o tym pamiętać i czasami wspomnę te słowa.

Przez chwilę rozmawiali o zmianach, które zaszły w Skagway, odkąd tu przybyła i o tym, jak miasto może rozwinąć się w przyszłości. Zapytał, co z Samem i Jackiem, ale nie zagadnął o Theo.

216

- W czasie wspinaczki na przełęcz nikomu nie ufaj powiedział nagle. - Są tam ludzie, którzy wyglądają na poszukiwaczy, z pakunkami na plecach i brudni jak wszyscy inni. Będą w stosunku do ciebie uprzejmi, zaproponują ci ciepły napój albo ogrzanie się przy ogniu. Ale oni nie szukają złota, to oszuści, którzy zechcą cię okraść.

Była niemal pewna, że wspomniani przezeń ludzie mogli być na jego liście płac, ale podziękowała mu za radę i stwierdziła, iż nadszedł już czas, żeby wyruszyła.

Kiedy wyszli z saloonu do stajni po konia, ujął jej dłoń i dotyk jego gładkiej skóry przyprawił Beth o dreszcz.

Jakiś mężczyzna podprowadził do nich kasztanową klacz; trzymając konia w miejscu, Jefferson wyciągnął rękę, żeby podsadzić Beth i pomógł jej usadowić się w siodle. Potem wskoczył za nią jednym płynnym ruchem i objął ją ramionami, żeby wziąć wodze.

-Jazda! - powiedział i pocałowali ulicą, kierując się na trakt prowadzący do Dyea.

Piękno okolic Skagway, z całym jego zgiełkiem i rwetesem, często pozostawało niezauważone. Ale z dala od tumultu i w promieniach słabego zimowego słońca lśniących na turkusowych wodach Lynn Canal * oraz otaczających ich przykrytych śniegiem górach, miasto nagle ukazało się Beth w całej krasie.

Gdy wolno kłusowali przed siebie, Jefferson wskazał kilka fok w wodzie oraz łysego orla usadowionego na gałęziach jodły. Beth żalowała, że nie mogli wybrać się na taką wycieczkę wcześniej i porozmawiać od serca.

* Lynn Canal to wąska zatoka wrzynająca się w ląd [przyp. red.].

Drogą do Dyea mozolnie posuwały się liczne grupki ludzi, niektórzy pchali wózki z piętrzącymi się na nich bałaganami, inni wykorzystywali juczne muły bądź zaprzężone w konie wozy. Nagle Beth dostrzegła na przedzie chłopców i ich wózek.

- Myślę, że powinienes mnie tutaj zostawić - powiedziała. - Szybko ich dogonię.

Jefferson zeskoczył z konia zwinnie niczym kot, uniósł ramiona w górę, chwycił ją w pasie i opuszczył na ziemię. Ale nie puścił jej.

- Ze gnaj, moja Gypsy Queen - powiedział. - Uważaj na siebie na tym szlaku i czasem o mnie pomyśl. Potem pocałował ją, długo i mocno, obejmując tak, jakby nigdy nie chciał jej puścić. Po chwili odsunął się, wskoczył na konia, zawrócił i pogalopował w stronę dal.

Przez chwilę Beth stała w bezruchu na ścieżce. Patrzyła tylko na oddalającą się klacz i siedzącego na niej prosto mężczyznę w czarnym kapeluszu i czuła lekkie ukłucia żalu na myśl o tym, co mogłoby się wydarzyć, gdyby sprawy przybrały inny obrót.

Rozdział dwudziesty ósmy

Boże, ratuj! - wykrzyknęła Beth, kiedy znużeni zbliżyli się do Sheep Camp, ostatniego miejsca przed wyruszeniem pod górę, gdzie mogli zdobyć drewno na opał bądź zapasy.

Mieli za sobą już trzy dni boleśnie wolnej wędrówki, kiedy wraz z tysiącami innych poszukiwaczy ciągnęli swoje wózki i sanie pod górę wyboistego traktu z Dyea, który kilka razy przecinał rzekę.

Deszcz ze śniegiem, zamiecie śnieżne i gromady ludzi, wózków, psów i jucznych zwierząt sprawiły, że ścieżka była poryta koleinami i niebezpieczna. Pospiesznie zbudowane mosty były tak niepewne, że raz wszyscy wylądowali po kolana w lodowatej wodzie i musieli iść dalej w przemoczonych butach i ubraniach.

Ale pełen przerażenia okrzyk Beth nie zrodził się na widok setek tłoczących się ludzi i zwierząt w ostatnim obozie przed wspinaczką na szczyt. Dotąd nie zraziły jej nawet ściśnięte, prymitywne budy, porzucone ciężkie przedmioty, takie jak piecyki, fotele i skrzynie, ani porwane namioty i piętrzące się góry dóbr oczekujących na dalszy transport.

Jej wstrząs wywołał widok tego, co leżało dalej.

Przełęcz Chilkoot. I co ważniejsze, związana z nią wspinaczka.

Każdy przyszedły poszukiwacz złota wiedział, że przeprawa przez przełęcz będzie ciężka. Jeszcze w saloonach w Skagway wszyscy słyszeli przynajmniej tuzin różnych przerażających opowieści ludzi, którzy podwinęli ogon i zawrócili, kiedy zobaczyli, co ich czeka, albo przeszkodziły im złe warunki pogodowe. Ale słuchanie o czymś, a zobaczenie tego na własne oczy, to dwie zupełnie różne sprawy. Sheep Camp leżało w otoczonej górami kotlinie na skraju linii drzew. Beth wiedziała, że szczyt, na który muszą się wspiąć, leży trzy i pół tysiąca stóp nad Dyea, zaledwie cztery mile wyżej - gdyby mogła wlecieć tam niczym orzeł. Ale nie była ptakiem, a rzut okiem na szlak, który musieli pokonać, sprawił, że przeszył ją dreszcz trwogi.

Góra wyglądała na owiniętą czarną wstęgą, która ostro kontrastowała z bielą śniegu. Tworzyli ją ludzie wspinający się niczym małpy, uginający się pod ciężkimi plecakami i wyglądający, jakby zamarli w miejscu. Ale Beth wiedziała, że idą przed siebie, bo nie mogli się zatrzymać; nawet chwilowy postój spowodowałby grad przekleństw ze strony zatrzymanych i idących z tyłu. Jeżeli ktokolwiek zdecydowałby się opuścić swoje miejsce w łańcuchu brnących wolno pod górę ludzi, nikt już nie wpuściłby go z powrotem.

Theo zbladł, a Sam zaczął przecierać oczy, jakby nie mógł uwierzyć w to, co widzi. Tylko Jack wyglądał na spokojnego i gotowego przyłączyć się do tego wzbudzającego grozę łańcucha.

438

- Są dwa miejsca postoju - powiedział. Wskazawszy wielki głaz, stwierdził, iż dowiedział się, że wspinający się mogą na chwilę odpocząć u jego podstawy. Potem wskazał płaską półkę skalną, która zwała się Scales. - Tam tragarze ponownie zważą nasz ładunek i najprawdopodobniej każą nam zapłacić więcej.

Oszczędził im przypomnienia, że najtrudniejsza i najgroźniejsza część przełęcz, której nie można było zobaczyć z Sheep Camp, zaczynała się za Scales. Żadne juczne zwierzęta nie mogły się wspiąć na coś, co ochrzczono mianem Golden Stairs; były to składające się z tysiąca pięciuset stopni schody wycięte w litym lodzie przez jakichś przedsiębiorczych cwaniaków, którzy żądali opłaty za ich użytkowanie. Gdy wejdą na te schody, nie będą się już mogli zatrzymać, dopóki nie dotrą na szczyt. Sam, Theo i Beth wymienili przerażone spojrzenia. Gdyby nie mężna postawa Jacka, pewnikiem przed podjęciem wspinaczki dałoby wyraz swoim obawom. Ale od czasu, kiedy opuścili Dyea, Jack stał się ich przywódcą; on jeden zachował zimną krew, gdy ich wózek omal nie spadł z mostu albo utknął w koleinie. To jego siła, determinacja i opanowanie doprowadziły ich tak daleko i wierzyli, że z pomocą Jacka i dzięki niemu bez szwanku i strat dotrą do Dawson City.

- Jeżeli rozbijemy tutaj namiot, spakowanie go z powrotem o świcie będzie mordęgą - kontynuował Jack, który zdawał się nie dostrzegać, że nie podzielają jego entuzjazmu. - Myślę więc, że Theo i Beth powinni pójść i załatwić nam miejsce w jednym z tych hoteli. Sam i ja poszukamy naszych tragarzy i powiemy im, gdzie mają zostawić rzeczy.

439

Beth zerknęła na wózek z piętrzącym się na nim wyposażeniem i wymaganymi zapasami. Jego zawartość wyglądała pokaźnie jeszcze w Skagway, a mimo to zlorzeczyli na cenę, jaką indiańscy tragarze policzyli sobie za każdą torbę. Ale teraz, kiedy zobaczyła górę, na którą trzeba było to wszystko wnieść, zrobiło jej się słabo na myśl o tym, że musieliby to zrobić sami. Zmówiła cichą modlitwę dziękczynną, że udało im się zebrać pieniądze na opłacenie Indian. Wątpiła, czy byłaby w stanie wnieść na górę choć jedną torbę, a co dopiero robić kolejne kursy, żeby przetransportować resztę.

Tak zwane hotele w istocie w niczym nie przypominały nawet najskromniejszych widzianych dotąd przez Beth, a mimo to szybko odkryła, że cennikami nie różnią się wiele od tych z Nowego Jorku. Były to po prostu budy pozabawione łóżek, w których pojedynczemu gościowi przysługiwał małeńki skrawek gołej podłogi, w towarzystwie tuzina innych ludzi. Gdyby kupili posilek, kosztowałoby to ich zarobki z niemal dwóch dni.

Odkryła, że w Sheep Camp można kupić prawie wszystko pod warunkiem, że miało się odpowiednią ilość pieniędzy Whisky, ciemne gogle chroniące przed światłem odbijającym się od śniegu, sanie, futrzane czapy, a nawet słodczyce. Były też dziwki, które za pięć dolarów mogły się postarać, żeby mężczyzna swoją ostatnią noc przed wyruszeniem na szczyt spędził we względnej wygodzie. Pomimo wyczerpania po całodniowej żmudnej wędrówce, Beth nie mogła powstrzymać uśmiechu na widok owych dam lekkich obyczajów, gdyż były najbardziej zwyczajnymi i najbrudniejszymi kobietami, jakie

440

widziała od czasu pracy w fabryce koszul w Montrealu, Niektóre miały na sobie obdarte satynowe sukienki, zarzucone na ramiona koce, ciężkie męskie buty na nogacii i okropnie skołtunione włosy. A mimo to na ich usługi było wielu chętnych.

Człowiek, który znalazł się na podłodze „hotelu”, ściśnięty ze wszystkich stron przez rozmaitych ludzi, nie miał w nocy możliwości wyjścia na zewnątrz. Beth leżała niczym sardynka w puszcze pomiędzy Theo i Samem, a smród stóp i zapachy bijące od śpiących były tak mocne, że dziewczyna naciągnęła swój obszyty futrem kaptur na usta i nos, mając nadzieję, iż zaśnie z wyczerpania.

Miała wrażenie, że słuchając koncertu wszelkich odmian chrapania, przez całą noc nie zmrużyła oka. Słyszała charkoty ogłuszające niczym odgłos lokomotywy parowej, cienkie piski, niektóre regularne, a inne nie, od czasu do czasu ktoś też w hukiem puszczał wiatry, kaszlał albo stękał. Zdawało się, że jeden z mężczyzn modli się, a inny przeklina we śnie. Było to niczym masowe strojenie przedziwnych instrumentów.

Theo oddychał ciężko, zaś jej brat lekko. Jack leżał za Samem. Beth zdała sobie sprawę, że najprawdopodobniej jest to najwygodniejsze i najcieplejsze miejsce, jakie odwiedzi przez kilka następnych tygodni i to przestraszyło ją jeszcze bardziej. W co się pakowała? Nie interesowało jej złoto; w Skagway mogła zarobić wystarczająco dużo pieniędzy, żeby już w przyszłym roku z pokaźnymi oszczędnościami wrócić do Anglii. A jeżeli zejdzie lawina, gdy będą wspinać się pod górę i zostanie pogrzebana żywcem? Albo spadnie, łamiąc sobie nogę albo rękę? Co wtedy?

441

W końcu zasnęła i obudził ją dopiero Jack, który potrząsał jej ramieniem i mówił, że czas ruszać. Około południa była absolutnie przekonana, że nie ma siły zrobić już ani kroku więcej. Miała na plecach dość mały tobolek ważący tylko dwadzieścia pięć funtów i zawierający jedynie suchą odzież, podczas gdy chłopcy nieśli dwa razy cięższe, zaś Sam i Jack ciągnęli jeszcze sanie, ale czuła się, jakby taszczyła tonę. Śnieg był mocno ubity, ale znajdujące się pod nim nierówne schody sprawiały, że musiała uważać, gdzie stawia stopy; podpierała się grubym kijem i wlokła pod górę, dysząc i sapiąc. Pod wieloma warstwami ubrań spocila się niczym mysz od wysiłku, ale kiedy spróbowała zdjąć podbity futrem płaszcz, lodowaty wiatr w przeciągu kilku sekund wyziębził ją do szpiku kości. Chciała napić się czegoś ciepłego i odpocząć, od podmuchów wiatru łzawiły jej oczy usta popękały i każda kość w jej ciele rozpaczliwie domagała się odpoczynku. Przeklinała swoją długą suknię i halkę, które z każdym krokiem zgarniały luźny śnieg; przysięgła sobie, że kiedy dotrą do Scales, plunie na konwenanse i przekona Sama, żeby dał jej jedno ze swoich spodni.

Jedyny napój tego dnia wypila w Stone House, kiedy Jack zagrzwał wodę w ich czajniku-wulkanie*, karmiąc ogień buzujący w środku suchymi patykami i wiórami drewna, które zgromadził, pracując jako cieśla w Skagway

Volcano kettle - turystyczne urządzenie do gotowania wody, działające na podobnej zasadzie co samowar: ogień pali się w kominku wewnątrz urządzenia, a woda gotuje się między podwójnymi ściankami; bardzo wydajne - minimalna ilość paliwa (gałązki, nawet papier) wystarczy, aby szybko zagotować wodę [przyp. red.].

442

Kiedy nachylił się nad urządzeniem i dmuchał w ogień pomiędzy ściankami, Beth obserwowała go z podziwem, zastanawiając się, jakim cudem zdołał się domyślić w Vancouver, że ten osobliwy wynalazek o podwójnych ściankach z miejscem na rozpalenie małego ognia wewnątrz będzie najbardziej użytecznym elementem wyposażenia, o jakim inni mogli tylko marzyć. Dawało się w nim rozpalić ogień przy silnym wietrze, a nawet w deszczu i w ekspresowym tempie zagotować wodę. Wspomniała chudego, bladego ulicznika, jakim był Jack, kiedy spotkali się po raz pierwszy. Już wtedy był zaradny i twardy, ale od tego czasu rozwinął wszystkie możliwe talenty Jego twarz ponad gęstą ciemną brodą była brązowa i ogorzała od wiatru niczym cera Indianina, a cienka blizna na policzku ledwie widoczna. Na szerokie bary, ramiona i uda składały się wyłącznie mięśnie. Ochoczo witał każde nowe doświadczenie, jakie go spotkało od czasu opuszczenia statku imigrantów, i z każdego wyciągał jakąś lekcję, niezależnie od tego, czy ćwiartował wołowinę, usługiwał jako barman czy budował chaty To on był filarem ich małej grupy; wszyscy na nim polegali, czerpiąc z jego sił, kiedy ich własne ulegały wyczerpaniu.

-Jak tam twoje stopy? - zapytał, zauważywszy natychmiast, że Sam, idąc po kawę i cukier ze swojego toboleka, utyka. - Zrobił ci się pęcherz?

- Chyba tak, buty obcierają mi kostki - stęknął Sam.

- Zdejmij je, a ja owinę ci stopy bandażem - powiedział Jack. - A swoją drogą, Theo, jak tam twoja rana?

- Nie jest źle, kilka ukłuć i to wszystko - odpowiedział zapytany, wsuwając rękę pod płaszcz, jakby chcąc sprawdzić, czy blizna nie pękła.

443

- Też zaraz to sprawdzę - powiedział Jack. - Ale najpierw kawa. Beth wygląda tak, jakby miała paść, jeżeli nie dostanie zaraz czegoś ciepłego.

Dziewczyna poczuła, jak coś ściska ją w gardle, gdyż nie rozumiała, jak to się stało, że Jack okazał się tak opiekuńczym człowiekiem. Niewiele mówił o swoim dzieciństwie, ale z tego, co Beth usłyszała, wynikało, że nie było łatwe i należało się raczej spodziewać, że z Jacka wyrośnie nieczule bydlę.

Kiedy dotarli do Scales, Beth była już skrajnie wyczerpana. Każda część jej ciała była jednym wielkim skupiskiem bólu, tak jakby lamano ją średniowiecznym kołem tortur.

Niebo barwą przypominało olów, dziewczyna usłyszała, jak ktoś mówi, że może znowu spadnie śnieg. Kiedy spojrzała w dół, na przebytą dotychczas drogę, zobaczyła, że strumień wspinających się jest równie długi jak rankiem i zaczęła rozmyślać o tym, jak bardzo szalone jest całe to przedsięwzięcie.

Ledwie dosłyszała Jacka mówiącego, że rozbiją namiot na noc, a potem pójda i sprawdzą, czy tragarze wnieśli ich rzeczy na górę.

Wczolgała się do namiotu, zanim chłopcy skończyli wbijać śledzie w skutą lodem ziemię. Każdy cal ziemi na półce skalnej pokryty był namiotami; wrzask setek głosów narzekających, klócących się i nawołujących sprawiły, że zapragnęła zakryć sobie uszy

Jakimś sposobem udało się jej wyciągnąć koce z tobołków i legła na nich, nie zdążywszy nawet ich wygładzić.

Gdy chłopcy wrócili, sprawdzwszy ekwipunek, było już ciemno i mimo że Beth słyszała ich głosy, gdy weszli

444

do namiotu, nie miała siły ruszyć się ani nawet otworzyć oczu.

Z powodu obfitych opadów śniegu zatrzymali się na Scales przez trzy dni. Inni, nie zwracając uwagi na pogodę, wyruszyli dalej Golden Stairs, ale Jack uznał to za lekkomyślność, gdyż któryś ze śmiałków spadł, łamiąc sobie nogę i indiańscy tragarze musieli znieść go z powrotem do Sheep Camp.

Kulenie się w namiocie było nudne, ale przynajmniej dało im czas na odzyskanie sił i zebranie się w sobie przed następną częścią podróży. Było tu bardzo wielu mężczyzn, przed którymi Jefferson ostrzegal Beth. Wyglądali jak autentyczni poszukiwacze złota, mieli nawet plecaki i łopaty, ale rozpalane przez nich ogniska i gorące napoje, które oferowali nieostrożnym, były tylko przynętą, żeby ograć kilku frajerów w trzy karty lub groszek pod kubkiem. Rozpoznała nawet kilka twarzy drabów Mydlarza i domyśliła się, że zainkasuje od nich niezgorszą prowizję. Kiedy powiedziała Theo, skąd wie, że gry są ustawione, ten boczył się przez pewien czas, ale przynajmniej odwiodło go to od zrobienia z siebie durnia.

Czwartego ranka Jack oznajmił, że czas spakować namioty i ruszać w drogę, mimo iż niebo dalej przysłał śnieg i zrobiło się jeszcze zimniej.

- Jeżeli będziemy dłużej czekać, nasz sprzęt przysypie gruba na stopę warstwa śniegu - powiedział, z niepokojem patrząc na niebo. - Poza tym, nigdy nie będzie dobrego dnia na pokonywanie tych schodów.

Sam ze swoimi sankami przywiązany do plecaka ruszył przodem. Następna szła Beth, a za nią Jack z tak

445

samo umocowanymi saniami i plecakiem, zaś tyły zamykał Theo. Musieli utrzymywać tempo marszu osoby idącej przed nimi, a przy silnym, zimnym wietrze grożącym zdmuchnięciem ich ze zbocza góry, gdy jedynie cienka lina z boku lodowych stopni chroniła ich przed utratą równowagi, każdy krok mógł być ich ostatnim.

Plecy spływały im potem, a mięśnie błagały o litość; lodowaty wiatr smagał odsłonięte twarze tysiącami szpilek. Beth nie odważyła się rozglądać; wbiła wzrok w swoje stopy, gdyż jedno poślizgnięcie mogło okazać się fatalne w skutkach, a od tak nienaturalnej pozycji bolały ją plecy. Na początku liczyła kroki, ale poddała się po pierwszych pięciuset. Ponad świstem wiatru wznosił się ciągly, zbiorowy, niski jęk, głos kilkuset ludzi poddawanych katuszom przewyższającym granice ludzkiej wytrzymałości.

Mężczyzna znajdujący się znacznie wyżej niż Beth i chłopcy, stracił równowagę i z krzykiem zsunął się w dół, ale nikt nawet się nie obrócił, a co dopiero zatrzymał, żeby mu pomóc. Wprawdzie można było się usprawiedliwić, że podejmując próbę ratowania nieszczęśnika, ryzykowaliby życie zarówno swoje, jak i tych, którzy szli za nimi, co nie zmieniało faktu, iż zignorowanie go wydawało się barbarzyństwem. Ale z powodu morderczej wspinaczki nikt nawet nie skomentował wypadku. Beth poczuła, jak Jack delikatnie dotyka jej pleców, jakby chciał, żeby zrozumiała, że w tej kwestii jest bezsilny.

Brnęli dalej, bojąc się spojrzeć zarówno za siebie, jak i w górę. Chór jęków powoli wzbierał na sile, mieszając się z odgłosami chrapliwych oddechów.

Znowu zaczął padać śnieg i Beth nie widziała już nic poza butami Sama znajdującymi się tuż nad nią. Nie

446

mogła sobie wyobrazić, jak w takich warunkach uda im się rozbić namiot, kiedy dotrą na szczyt, a bez schronienia z pewnością umrą z zimna; do agonalnego bólu dołączyło przerażenie.

- Beth, idź dalej - odezwał się z tyłu Jack; w tym dziwnym białym świetle jego głos zabrzmiał niesamowicie. - Nic się nam nie stanie, jesteśmy prawie na miejscu. Po prostu myśl o herbacie, której się napijemy i przebijaj nogami.

Usłyszała stłumiony wrzask daleko w tyle i domyśliła się, że kolejny nieszczęśnik runął w dół. A potem doleciał ją urwany krzyk Theo.

Odruchowo odwróciła głowę, ale nie dostrzegła nic, poza pokrytą śniegiem sylwetką Jacka.

- Trzymaj się sani - usłyszała, jak mówi do Theo. - Wciągnę cię na górę.

W tym szarobiałym świetle nie widziała dalej niż na dwie stopy i wszystkie dźwięki ulegały zniekształceniu. Ten szkocki akcent, który słyszała kilka godzin wcześniej, z pewnością dobiegał z góry. Teraz wydawało się jej, że niesie się z dołu. Ale głos Jacka uspokoił ją, przypominając, iż są prawie na miejscu, Theo jakoś się trzyma, a Sam jest tuż przed nią.

Jakaś kobieta zaszlochała, że nie ma już siły iść naprzód, zaś męski głos przekonywał ją, żeby się nie poddawała, ale ich głosy zdawały się dobiegać z prawej strony, co jeszcze bardziej zdezorientowało Beth.

- Skoncentruj się na następnym kroku - krzyknął Jack, kiedy się zachwiała.

W końcu dotarli na szczyt i ich oczom ukazało się coś, co na pierwszy rzut oka wyglądało niczym białe miasto. Budynkami były wysokie, pokryte śniegiem

447

stosy dóbr, zaś rolę ulic spełniały wąskie korytarze pozostawione pomiędzy nimi.

Kiedy Jack zorientował się, że znalezienie ich rzeczy będzie graniczyło z cudem, udreńczony zaklął pod nosem. Dali swoim tragarzom długi kij ozdobiony kilkoma kolorowymi wstążkami, żeby oznaczyć położenie pakunków, ale nie wzięli pod uwagę, że wszystko przykryje śnieg. Ludzie wdrapywali się na stosy i gorączkowo machali łopatami; jeden mężczyzna twierdził, że szuka swojej własności już trzeci dzień.

Nigdzie nie było miejsca na rozbicie namiotu. Jediną możliwością schronienia było wejście do owego „miasta” i Jack prowadził ich przez wijące się ulice, dopóki nie znalazł miejsca, gdzie mogli zamocować płachtę brezentu, chroniącą ich przed wichrem i śniegiem.

Oslonięci przed lodowatym wiatrem, z którym zmagali się przez cały ranek, mniej marzli i z ulgą opadli na swoje sanie, ponownie przyrządzając herbatę w czajniku. Cała czwórka milczała i Beth nie miała wątpliwości, że myślą o tym samym, co ona - iż powinni byli zaczekać do wiosny. Słońce już zachodziło i perspektywa spędzenia tutaj najbliższej nocy i być może wielu następnych, jeżeli nie odnajdą swojego sprzętu, była przerażająca.

Gorąca herbata dodała Jackowi i Samowi sił, więc chłopcy wzięli latarnię i udali się na poszukiwania dobytku.

-Jak tam twoja rana? - zapytała Beth Theo, kiedy owinięci kocem skulili się razem na saniach.

- Nie sądzę, żeby się otworzyła - odpowiedział. - Ale nawet jeżeli tak jest, zasłużyłem sobie, sprowadzając cię tutaj. To nie miejsce dla damy.

448

- Nie tylko mnie spotkał ten los - odpowiedziała. A pewnego dnia wspomnimy te wydarzenia i będziemy się z nich śmiać.

- Mam taką nadzieję - westchnął. - Chciałbym móc jakoś wynagrodzić ci to wszystko, będąc dla ciebie idealnym mężem i dając dom, na jaki zasługujesz.

- Czy mam to traktować jako oświadczyzny? - zapytała kokieteryjnie.

Zdjąwszy rękawiczkę, czule dotknął jej policzków.

- Jeżeli chcesz, możesz tak zinterpretować tę wypowiedź, choć miałem zamiar poprosić cię o rękę w cokolwiek bardziej romantycznych warunkach.

Beth zerknęła w bok na wąski korytarz pomiędzy hałdą pakunków. Śnieg ciągle padał i inni ludzie również zaczęli szukać schronienia w przejściu; oni także rozwieszali brezentowe płachty w charakterze dachu. Roześmiała się.

- Mam wrażenie, że jeszcze przez długi czas nie doczekamy się romantyczniejszych warunków.

Naiwnie myśleli, że wspinaczka po Golden Stairs będzie najgorszą częścią szlaku, ale następne dwa dni, kiedy starali się znaleźć swoje rzeczy, były długą, ciągnącą się w nieskończoność torturą. Warunki uniemożliwiały sen, byli brudni, zziębnięci i rozpaczliwie potrzebowali ciepłego posiłku, zaś hałas robiony przez tak wielu ludzi stłoczonych dookoła nich i nieustający silny wiatr w połączeniu z zamieciami śnieżnymi niemal doprowadził ich do szaleństwa.

Wszyscy usuwali śnieg ze stosów rzeczy, tylko po to, żeby doznać rozczarowania i poczucia beznadziei, czy kiedykolwiek uda im się znaleźć ich zapasy. Kopanie

449

odrobinę ich rozgrzewało, ale mięśnie bolały niewyobrażalnie, a kiedy przystawali na chwilę, żeby odpocząć, zimno zdawało się wkradać do każdego stawu w ich ciałach.

Beth drżała na myśl o ulżeniu swojemu pęcherzowi. Mężczyźni chodzili wszędzie, niezależnie od tego, kto znajdował się w pobliżu, a im dłużej się tym martwiła, tym częściej odczuwała potrzebę odejścia na bok.

Trzeciego dnia na górze, kiedy śnieg zaczął sypać jeszcze mocniej, Beth pomyślała, że naprawdę nie przeżyje kolejnej doby. Łzy zamarzały jej na policzkach i miała tak spękane usta, że ledwie mogła mówić. Nawet Jack zdradzał oznaki utraty sił. Obserwowała, jak wspina się na kolejną pokrytą śniegiem górę pakunków i dostrzegła, jak wolno się porusza. Theo był śmiertelnie blady, zataczał się przy chodzeniu, a Sam, choć robił, co mógł, żeby dotrzymać Jackowi pola w poszukiwaniach, wyraźnie był na granicy załamania.

Ale to właśnie on w końcu znalazł ich rzeczy. Wyszedł na spacer, żeby się rozruszać i przywrócić krążenie krwi i przypadkiem przeszedł obok innego człowieka, który właśnie znalazł swój sprzęt.

Kiedy wyciągał ostatnią ze swoich toreb, Sam dostrzegł ich ozdobiony wstążkami kij wystający spod spodu. Gdyby brata Beth nie było tam dokładnie w tym momencie, śnieg w przeciągu godziny z powrotem zakryłby kij.

Choć śnieg sypał gęsto i obficie, pakowanie dobytku na sanie rozgrzało ich i odrobinę podniosło na duchu. W końcu zaciągnęli sanie do pokrytej śniegiem chaty z powiewającym nad nią wypłowiałym Union Jackiem*,

Union Jack-nazwa flagi Wielkiej Brytanii [przyp. tłum.].

450

gdzie północno-zachodnia policja konna, uzbrojona w swoje Maximy^{***}, strzegła kanadyjskiej granicy. Widok znajomych czerwonych kurtek i ciemnoniebieskich spodni dodał Beth otuchy; dobrze było wiedzieć, że funkcjonariusze nie pozwolą wnieść na teren Kanady broni palnej. Byli zdeterminowani nie dopuścić do tego, by przemoc i bezprawie Skagway przeniosło się do ich kraju.

Za dobra kupione na obszarze Alaski musieli uiścić cło. Ale Theo sprawił im niespodziankę, przedstawiając garść kwitów na towary zakupione jeszcze w Vancouver i wykazał, że podatek powinni uiścić jedynie za rzeczy kupione w Skagway

Beth zastanawiała się, jakim cudem konni^{***} są tak mili i weseli, skoro nieraz miesiącami tkwili na szczycie góry przy tak koszmarnych warunkach pogodowych. Wprawdzie mieli na sobie płaszcze z bawolej skóry, ale ich chatka nie była wiele cieplejsza od namiotu i w ciągu jednej nocy mogło tu spaść sześć stóp śniegu. A mimo to tyrada Theo rozbawiła ich i zgodzili się z nim, pobierając w sumie zaledwie dwa dolary podatku, nie sprawdzając nawet ich ekwipunku.

Cudownym zbiegiem okoliczności przestał padać śnieg i kiedy opuszczali szczyt z nałożonymi raketami śnieżnymi, wyruszając w pięciomilową podróż do Happy Camp, zza horyzontu nieśmiało wyjrzało słońce. Mimo konieczności ciągnięcia solidnie wyladowanych sań i przyzwyczajenia się do chodzenia w raketach,

* Maxim - typ karabinu maszynowego, którego pierwowzór skonstruował Hiram Maxim w 1883 roku [przyp. tłum.].

** Konni - (ang.) Mounties; slangowe określenie funkcjonariuszy Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej [przyp. tłum.].

451

pierwszy raz od czasu opuszczenia Dyea trasa była stosunkowo łatwa. Ludzie, którzy przekroczyli granicę przed nimi udeptali śnieg i sanie gładko posuwały się naprzód. Wszyscy byli zdumieni, kiedy ktoś im uświadomił, iż przebyli zaledwie dwadzieścia dwie mile od Dyea, a osiem i pół od Sheep Camp, gdyż wydawało im się, że przeszli co najmniej sto.

Pomimo wycieńczenia, świadomość, że w końcu ruszyli oraz perspektywa spędzenia nocy w namiocie i przy grzejącym ognisku dodała im skrzydeł. Na niektórych odcinkach opadających w dół wskakiwali nawet na sanki, piszcząc niczym dzieci. Inni przyczepili do swoich sań żagiel i czasami wyprzedzali nawet psie zaprzęgi.

Gdy dotarli na miejsce, stało się jasne, dlaczego obóz nazwano Happy" - był to płaski teren, na którym łatwo było postawić namiot, położony przy tym przy linii drzew, więc nie było trudno o drewno na opał.

Pomimo intensywnych opadów śniegu i braku perspektyw zmiany warunków pogodowych tego wieczoru czuli radość. Ulga z racji odpoczynku przed kontynuowaniem podróży, przekonanie, że nie może spotkać ich już nic gorszego od Golden Stairs i możliwość przycupnięcia przy wielkim ognisku i wysuszenia mokrych ubrań była wystarczającym powodem, żeby przywołać uśmiechy na twarze ludzi. Po przyrządzeniu posiłku składającego się z bekonu i ryżu Beth wyciągnęła skrzypce i zaczęła grać przy ognisku. Ludzie dwójkami i trójkami powoli wychodzili ze swoich namiotów, żeby posłuchać jej gry, klaszcząc pod

Happy (ang.) - szczęśliwy [przyp. tłum.].

452

koniec każdego utworu. Ktoś przyniósł butelkę whisky, żeby podzielić się nią z dziewczyną i chłopcami; ognisty plyn uderzył im prosto do głów, sprawiając, że nie było rzeczy, która by ich nie rozbawiła.

Później, kiedy ludzie rozeszli się do swoich namiotów, Beth przez chwilę stała w miejscu i rozglądała się dookoła. Była pełnia i czyste niebo zdobiły jasno świecące gwiazdy. Drzewa otaczające obóz były liche, ale pod pokrywą śniegu wyglądały niczym wyjęte z kart bajki. Nawet otaczające ją namioty, poplamione i zużyte, co widziała wcześniej, ładnie wyglądały w złocistym świetle ognisk rozpalonych przed każdym z nich. Troski ostatniego tygodnia spowodowały, iż w ogóle nie zwracała uwagi na krajobraz, ale teraz, kiedy znowu poczuła spokój, zobaczyła piękno nietkniętej ręką człowieka natury i odkryła, że perspektywa czekającej ich przygody jest ekscytująca.

„Pewnego dnia będę mogła powiedzieć Molly, że byłam częścią tego wszystkiego”, pomyślała, spoglądając na chłopców, którzy na wpół drzemiąc, siedzieli przy ognisku. Wszyscy byli brudni i zaniedbani, z zaczerwienionymi oczami, długimi brodami, skołtunionymi włosami i okutani taką ilością odzieży, że można by ich było pomylić z trzema niedźwiedziami. Miała nadzieję, że gdzieś pośród ludzi zmierzających do Dawson City znajdzie się fotograf. Dobrze byłoby mieć trwałą pamiątkę tego, jak wyglądali na szlaku i coś do pokazania Molly.

Gdzieś w pobliżu zawył wilk i jego zew podjęły niektóre psy zgromadzone w obozie. Beth zadrzała i pospieszyła do ogniska. Przez chwilę zapomniała, że na dzikich terenach żyją dzikie zwierzęta.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

W końcu dotarliśmy! - zaniósł się śmiechem Jack, biegnąc z saniami przez wąski przesmyk łączący Jezioro Lindemana z drugim, zwanym Jeziorem Bennetta.

Większość żądnych złota współtowarzyszy ze szlaku Chilkoot została na brzegu Jeziora Lindemana, żeby zbudować łodzie i popłynąć do Dawson City, ale Jack zasięgnął języka i dowiedział się, że kiedy lód stopnieje, nurt pomiędzy dwoma jeziorami będzie bardzo wartki i zdecydował, że powinni pieszo przejść Jezioro Bennetta i dopiero potem zbudować swoją łódź.

Theo był niezadowolony z tego pomysłu, uznał bowiem, że niepotrzebnie się trują. Podobalo mu się życie w mieście namiotów nad Jeziorem Lindemana, gdzie powyrastały spelunki, bary, sklepy i nawet restauracje; był pewien, że zdoła wygrać dość, żeby kupić jedną ze składanych łodzi, które przez przełęcz Chilkoot dostarczał jakiś obrotny handlowiec. Niewiele brakło, a byłiby się

O to pobili z Jackiem, który utrzymywał, że łodzie te nie są dość wytrzymałe, żeby przepłynąć w nich dziesięć mil,

I z pewnością nie nadają się do pięćsetmilowej podróży. Zarzucił też Theo lenistwo, utrzymując, że po prostu nie chce mu się zbudować bezpieczniejszej łodzi.

Kilkudniowy pobyt nad Jeziorem Lindemana był dla Beth ciężką próbą, ponieważ widziała, jak pogarszają się stosunki pomiędzy Jackiem i Theo. Jack bez słowa skargi dźwigał za niego przez góry dodatkowy ciężar. Gdy Theo rozboleło ramię, pozwolił mu jechać na saniach od Happy Camp do Jeziora Lindemana i wyłączył go ze ścinania drzew i innych męczących robót. Nie mógł jednak ścierpieć tego, że Theo traktuje go jak służącego. Beth obawiała się, że Jack zechce ruszyć do Dawson samotnie i nie mogłaby go winić, gdyby się na to zdecydował.

Theo jednak stracił w grze większość z pieniędzy, jakie im pozostały, kupno łodzi stało się więc pustą opcją i ostatecznie musiał przystać na plan Jacka.

Co prawda łatwo się z tym nie pogodził. Beth czuła, że pod pozorami wyniosłości Theo jest zazdrosny o popularność Jacka, u którego wielu ludzi szukało porady, podczas gdy na niego patrzono jak na pasażera. Gdy wędrowali brzegiem zamrożonego jeziora prawie się nie odzywał, nawet do niej. Beth jednak miała własne powody, żeby się złościć na Theo. Choć chciała zapomnieć o krzywdach, jakie wyrządził jej w Skagway i przywrócić pomiędzy nimi stosunki z Vancouver, okazało się to nielatte.

Wszyscy jednak wędrowali ku Jezioru Bennetta i w końcu zapomnieli o kwasach, ponieważ widok, jaki przed sobą zobaczyli, zapierał dech w piersiach.

Oprócz niezwykłego uroku wąskiego, wciśniętego pomiędzy ośnieżone góry jeziora, zdumiał ich widok namiotów oblepiających jego brzegi, jak daleko sięgali wzrokiem.

Były tam tysiące namiotów o rozmaitych kształtach i barwach, jedne nowiutkie jak spod igły, inne wyblakłe

456

i polatane, maleńkie, w których mógł się schronić jeden tylko człowiek, i wielkie niczym cyrki - i oczywiście cała masa pośrednich.

Wiedzieli, że kończy się tu też White Pass, alternatywny, dłuższy szlak przez góry ze Skagway i spodziewali się tłumów ludzi, nie sądzili jednak, iż będą tak liczne. Nie przypuszczali też, że zobaczą aż tak wiele zwierząt.

White Pass nazywano też „szlakiem martwych koni”, ponieważ z powodu ciężkich warunków i braku paszy zdychały na niej setki tych zwierząt. Jeden z konnych na granicy z gniewem w głosie mówił im o głupocie i okrucieństwie ludzi wyruszających bez paszy dla swoich zwierząt. Nad jeziorem jednak było mnóstwo koni wespół z psami, wołami, osłami i kozami; zobaczyli nawet zagrody dla kur.

Słyszeli też wrzawę, na którą składały się głuche uderzenia toporów o drewno, jęk pił, natarczywe stukanie młotków, szczekanie psów i okrzyki nawołujących się ludzi. Przed kilku laty była tu głucha dzicz, przez którą przemykali tylko Indianie i traperzy Teraz na ich oczach powstawało tu miasto.

Theo się rozjaśnił, gdy tylko zobaczył szyld saloonu, w którym co noc można było pograć w pokera lub faraona" i choć Beth nie spodobała się myśl o podejmowaniu ryzyka i możliwości utraty ostatnich pieniędzy, z przyjemnością patrzyła na jego ożywienie. Pomyślała też, że mogłaby zarobić trochę grosza graniem na skrzypcach, jak to robiła nad Jeziorem Lindemana.

- Daleko jeszcze? - stęknął Theo, gdy w godzinę później Jack wciąż szedł brzegiem jeziora.

Faraon - jedna z najstarszych gier karcianych [przyp. tłum.].

457

- Tam w dole rośnie wiele drzew. Samo ich ścinanie jest dostatecznie ciężką pracą, żeby potem jeszcze taszczyć je na brzeg - odparł Jack ze śladami gniewu w głosie.

Beth wymieniła spojrzenia z Samem. Wiedziała, że spór pomiędzy tymi dwoma stawia brata w bardzo niezręcznej sytuacji, bo obu lubił i darzył jednakową sympatią. Lubił pograć w karty, nie gardził wypitką i wciąż wierzył, że Theo zdoła ich wszystkich wzbogacić. Jednocześnie jednak wiedział, że wszyscy troje muszą polegać na Jacku i jego umiejętnościach, bez których nie dostaną się do Dawson. Patrząc na Beth, lekko się skrzywił. Nie musiał niczego mówić - siostra wiedziała, że uważał, iż Jack zbyt często stawia się w pozycji przywódcy. Wszystkim też przydałoby się kilka dni odpoczynku przed rozpoczęciem budowy łodzi.

Doszła do wniosku, że powinna się wtrącić, więc uniósłszy rąbek spódnicy pobiegła za Jackiem.

- Czy nie moglibyśmy tu odpocząć przez kilka dni, zanim się weźmiemy do zbijania łodzi? - zapytała.

- Chcę powiedzieć, że dopiero mamy marzec, a lody nie puszcza do końca maja, jest więc mnóstwo czasu.

Jack zatrzymał się na chwilę, pozwolił opaść linie, na której ciągnął sanki, a potem spojrzał na nią nie bez rozbawienia w oczach.

- Czy widzisz, ilu tu jest już ludzi?

- No... owszem. - Wzruszyła ramionami.

- Z każdym dniem będzie ich coraz więcej - wyjaśnił cierpliwie. - Ciągną tu tysiącami wzdłuż obu szlaków i już niedługo wszystkie drzewa, które widzimy, zostaną ścięte. Jak tylko rozbijemy obóz, musimy się brać do toporów, bo wkrótce nie będzie czego rąbać.

458

Beth spojrzała nań z aprobatą. Był brudny i obszarpany jak każdy inny mężczyzna tutaj, miał gęstą, zmierzwioną brodę, długie włosy i ogorzale od wiatru, słońca i mrozu twarz, dłonie i kark. W jego oczach jednak nie płonęła żądza złota, jaka opanowała wszystkich innych. Wątpiła nawet, czy marzy o wielkim bogactwie, tak jak Theo czy Sam.

- Co racja, to racja - kiwnęła głową. - Jest w tym sens, ale zechciej mi powiedzieć, Jacku Child, co tobą kieruje? Nie sądzę, żeby chodziło ci o złoto.

Zaśmiał się cicho i obejrzał na Sama i Theo, którzy wciąż odpoczywali, siedząc na saniach.

- Ktoś musi zadbać o bezpieczeństwo waszej trójki. - Nie odpowiedziałeś na moje pytanie - stwierdziła. Uśmiechnął się i poklepał ją po policzku.

- A ja myślę, że odpowiedziałem.

W połowie maja mieli już solidnie zbitą z bali tratwę z masztem, wiosłem sterowym i listwami na burtach, które na burzliwych wodach miały im pomóc utrzymać się na pokładzie wraz z ładunkiem. Chłopcy nazwali ją „Gypsy” i wymalowali nazwę oraz numer 682 na dziobowej barierce. Komisarz Konnej Policji Samuel Steele, zarządził, że każda łódź czy krypa musi być zarejestrowana i obszedł wszystkich uczestników biegu po złoto, nadając numer i zapisując nazwy wszystkich łodzi i tratw, co mogłoby pomóc w razie wypadku podczas długiego spływu do Dawson.

* Sir Samuel Benfield Steele - kanadyjski żołnierz i policjant, jeden z pierwszych dowódców Królewskiej Kanadyjskiej Policji Konnej [przyp. tłum].

459

Tratwa, wraz z tysiącem innych, spoczywała na lodzie, czekając na dzień, w którym ten zacznie pękać. Wiele z nich w niczym nie przypominało łodzi, jakie znali Beth i chłopcy - były wśród nich trójkątne, okrągłe i owalne, wielkie krypy, w których można było przewieźć konie, łodzie płaskodenne, katamarany, rozmaite canoe, a niektóre po prostu przypominały zwykłe skrzynie.

Wiele wciąż jeszcze budowano i mimo słonecznego blasku i błękitu nieba powietrze przepelniały odgłosy sprzeczek, jęk pił, stuk młotków i zawiesziste przekleństwa, ponieważ ci, co nie mieli ukończonych łodzi, żyli w strachu, a wszyscy inni byli bardzo podnieceni.

Oceniano, że na brzegach Jeziora Bennetta zgromadziło się około dwudziestu tysięcy ludzi, których namioty i sprzęt zalegały wzdłuż całego brzegu. Mogli oni korzystać ze wszelkich udogodnień, takich jak namioty--łaźnie, namioty, w których rezydowali fryzjerzy, był tu też kościół, kasyno gry i urząd pocztowy, oprócz tego sklepy, gdzie na sprzedaż wystawiano wszystko - od chleba po gumowe łodzie. Dzięki nieustannej czujności konnych nie popełniano tu przestępstw i oszustw takich jak w Skagway. Opowiadano, że kilku opryszków Mydlarza przeszło przez przełęcz, odesłano ich jednak z powrotem, ostrzegając, żeby nie wracali.

Jedynie poważne sprzeczki wybuchały pomiędzy ludźmi tnącymi na platformach pnie drzew na deski. Pracowali po dwu, ciągnąc na przemian sześciostopową pilę. Ten na platformie prowadził pilę wzdłuż nakreślonej kredą linii na pniu, a ten na dole ciągnął pilę, ale w miarę cięcia był obsypywany coraz większymi ilościami trocin. Niejednokrotnie dochodził do wniosku, że

460

jego partner prowadzi pilę krzywo, podczas gdy ten na górze upierał się, że dolniak zbyt mocno ciągnie płat ku sobie. Sprzeczki często kończyły się krwawymi bójkami i w niepamięć szły więzy przyjaźni zadziergnięte podczas długiej wędrówki na szlaku.

Jack, Sam i Theo uniknęli wielu nieporozumień, ponieważ postanowili zbudować tratwę z całych pni, a nie z desek, ale i tak przy robocie kłęli, aż dymilo. Theo uważał, że fizyczna praca jest poniżej jego godności i często gdzieś znikał. Sam chętnie brał się do roboty, ale partaczył, gdy nie nadzorował go Jack. Beth często słyszała Jacka, który kłął obu współników i odgrażał się, że wyruszy bez nich, o ile nie będą robili tego, co do nich należy.

Ale teraz już wszystko było zrobione. Zostało im tylko umocowanie żagla i umieszczenie na pokładzie rzeczy osobistych. Słońce grzało mocniej z każdym dniem, dni stawały się dłuższe i słyszeli huk odległych lawin oraz szmer potoków wody z topniejącego śniegu.

Wszyscy, którzy skończyli budowę swoich łodzi, całymi dniami przesiadywali na brzegu i, wpatrując się w głęboką zieleń widocznych pod lodem wód jeziora, strugali wiosła lub pagaje. Żartowali też o tym, że jeszcze niedawno wyprawę na złoto nazywano „biegiem po złoto”. Dla nich wszystkich nazwa ta była żartem, ponieważ wszystko, co widzieli do tej pory, świadczyło o czymś przeciwnym. Była to powolna, mozolna wędrówka i trzymiesięczna próba wytrzymałości. Nie widziało się już wśród nich tłuściochów - wszyscy byli żyłaści, muskularni, mieli też długie brody i włosy świadczące o tym, że nie są żółtodziobami. Uśmiechali się z wyższością, gdy mówili o tych, co zrezygnowali

461

i wrócili do domów. Trudności i przeszkody, jakie musieli pokonać, wytworzyły pomiędzy nimi silne poczucie wspólnoty

Kobiety jednak nie miały czasu na wysiadanie na plaży. Miały do uprania i polatania rozmaite ubrania, musiały się zająć przygotowywaniem posiłków, napisaniem listów czy wykonaniem dziesiątków drobnych czynności, które czyniły znośniejszym życie ich mężczyzn. Beth jednak odpoczywała, obserwując przelatujące górą dzikie gęsi lub przyglądając się dywanom kwiecia wylaniającego się spod topniejących śniegów: niezapominajek* i kwiatuszków serduszek kapturkowatej i wspaniałej.

Po tak długim czasie spędzonym wśród świata pełnego bieli, barwy wylaniające się spod topniejącego śniegu wyglądały zachwycająco jaskrawo. Czerwień gór i ciemna zieleń jodlowych lasów rywalizowała z jasną barwą mchów i paproci, przetykanych różowymi, błękitnymi i żółtymi górskimi kwiatami, tworzącymi dywan ukrywający ubóstwo i szpetotę obozu. Wrócili wróble i drozdy - śpiewy ptaków zagłuszały niemal jęk pił i stuk młotków.

Niekiedy brała skrzypce i odszedłszy dalej od obozu i jego wrzawy, grała dla samej siebie, ciesząc się samotnością. Pewnego dnia zobaczyła dwa niedźwiadki bawiące się w słonecznym cieple pod wielką skalą i bezpiecznie ukryta długo obserwowała ich igraszki. Gdy wróciła niedźwiedzica, skarciła małe, pacnąwszy je swoją wielką łapą, Beth zaś pomyślała o pozostawionej w Anglii Molly i w jej oczach pojawiły się łzy.

Niezapominajka alpejska - (*Myosotis alpestris*) jest kwiatem stanu Alaska, w Polsce rośnie w Tatrach [przyp. red.].

462

Gdy była sama, często przychodziło jej do głowy, że nie ma planów ani marzeń dotyczących przyszłości. Wszyscy inni na szlaku marzyli o złocie, nocami przy ognisku przechwalali się, na co je wydadzą, i gdzie pojedą, gdy je znajdą. Beth jednak nie umiała sięgnąć myślami poza dzień jutrzejszy. Oczywiście, pragnęła wielu rzeczy - chciałaby mieć porządny, odporny na kaprysy pogody dom z miękkim łóżkiem i łazienką z gorącą wodą, tęskniła za smakiem świeżych owoców, chciałaby też móc włożyć nową suknię ze świadomością, że nie zabłoci się w ciągu najbliższych pięciu minut. Chciałaby kochać się z Theo, bo od czasu opuszczenia Dyea okazało się to niemożliwe w tym zimnym, pełnym brudu otoczeniu i przy nieuniknionej obecności Jacka i Sama. Tęskniła za Molly i Anglią, ale nawet to kryła mgłą odległej przyszłości i wołała niczego nie planować.

Rozmyślała, co stało się ze wszystkimi marzeniami, które kiedyś miała. O domu z cudownym ogrodem. O dniu ślubu albo wakacjach nad morzem. Myślała o nich coraz rzadziej. Czy to dlatego, że zobaczyła już o wiele więcej niż kiedykolwiek mogłaby przypuszczać? Albo może jej złudzenia rozwiały się niczym dym na wietrze?

Theo często roztaczał przed nimi wizję zamieszkania w ekstrawaganckim apartamencie w Nowym Jorku albo imponującej posiadłości w Anglii. Chciała wierzyć, iż kiedyś się to spełni, ale nie mogła się do tego zmusić. Wprawdzie udało mu się odegrać pieniądze, które stracił przy Jeziorze Lindemana, ale potem znowu je stracił. Prawda była taka, że z nim zawsze tak będzie - brak poczucia bezpieczeństwa i stabilności, a jedynie wieczna pogoń za wielką szansą.

463

Beth była świadoma wszystkich jego wad i wiedziała, że należą one do tych podstawowych, które nigdy się nie zmieniają. Czasami żalowała, że nie potraktowała na serio tego, co powiedziała jej Ira odnośnie hazardzi-stów, i oddała mu swoje serce. Ale kiedy między nimi się układało, było cudownie, gdyż był zabawny, mądry i tak kochający, że była skłonna przymykać oko na ciemne strony ich związku - znikanie na całe dni, kłamstwa i półprawdy, którymi ją karmił, lenistwo i próżność. Jej prawdziwe poczucie bezpieczeństwa pochodziło z wewnątrz. Wiedziała, że wszędzie może zarobić na życie grą na skrzypcach i kochała to tak samo jak Theo karty. Może nie potrzebowała marzenia, bo już się spełniło?

Pierwszy raz usłyszeli huk pękającego lodu we wczesnych godzinach porannych dwudziestego dziewiątego maja. Na początku Beth pomyślała, iż to odgłos wystrzału i przestraszona gwałtownie usiadła na łóżku. Ale potem rozległo się następne i zorientowała się, że to lód.

W nocy już nie było ciemno. Około północy niebo przybierało różowopurpurową barwę, tak jakby słońce zachodziło, ale nigdy nie zapadały kompletne ciemności. Wskoczyła więc z łóżka, założyła buty i, krzycząc do innych, pobiegła do brzegu.

Do chwili gdy chłopcy do niej dołączyli, dookoła zebrały się już setki gapiów. Lód pękał, zaś ciemnozielona woda przelewała się przez szczeliny i zmywała pozostałości po budowie łodzi - ścinki drewna, gwoździe i plamy smoły, którą ludzie uszczelniali swoje łodzie. Ktoś zaczął wiwatować i wszyscy dołączyli do niego, trzymając się za ręce i obracając dookoła, niby dzieci bawiące się na placu zabaw.

464

Ten ostatni dzień nad brzegiem Jeziora Bennetta był dla wszystkich czystą przyjemnością, bo następnego ranka w końcu mogli podjąć podróż. Beth wyciągnęła swoją czerwoną satynową sukienkę, żeby nałożyć ją wieczorem. Z powodu długiego przechowywania w ceratowej torbie sukienka pokryła się czarną pleśnią, ale Beth, podekscytowana perspektywą ponownego wyglądu jak prawdziwa kobieta, choćby miało to być jedynie na jedną noc, zmyła czarny nalot i powiesiła kreację do wyschnięcia. Umyła też włosy i wysuszyła je w ciepłych promieniach słońca.

Wszyscy inni byli zajęci podobnymi czynnościami. Kolejka do namiotu z wanną była najdłuższa, jaką kiedykolwiek tu widziała i ktoś powiedział jej, że w akcie desperacji wykorzystywano tę samą wodę dla dwunastu mężczyzn, w zamian oferując im splukanie zimną wodą.

Niektórzy, między innymi Jack, energicznie zabrali się do pomocy tym, którzy jeszcze nie skończyli swoich łodzi. Podekscytowanie udzieliło się nawet psom, biegającym dookoła i ujadającym wściekle. O ósmej wieczorem Beth zagrała w wypełnionej po brzegi Golden Goose, dużym namiocie pełniącym rolę saloonu. Pojawili się ludzie, których nigdy wcześniej tam nie widywano i wszyscy tańczyli.

Dużo później Beth, w której głowie wciąż rozbrzmiewały gromkie oklaski, i Theo, który zgromadził w kapeluszu ponad trzydzieści pięć dolarów, szykowali się do powrotu do namiotu, usłyszała młodego mężczyznę intonującego „Sweet Molly”. Do tej pory zdążyła już zapomnieć, że matka śpiewała tę piosenkę jej i Samowi, kiedy byli dziećmi, i usłyszeć ją znów, tak daleko od domu.

465

w przeddzień ostatniego etapu ich podróży, miało w sobie coś niesamowitego.

Sam i Jack postanowili zostać w saloonie dłużej i Theo kochał się z nią po raz pierwszy od kilku miesięcy. Kiedy, zasypiając, tuliła się do jego ramienia i słuchała odgłosów radości dochodzących ze wszystkich stron, poczuła, że jest najszczęśliwszą kobietą w obozie.

Trwające do późnej nocy hulanki nie powstrzymały nikogo przed wczesną pobudką i sprawdzeniem stanu lodu.

Na wodzie ciągle unosiło się trochę dużych kawalków kry, ale było jasne, że można spokojnie wypłynąć. Nagle wszyscy zaczęli zwinąć swoje namioty, pakować garnki i legowiska oraz przenosić prowiant i wyposażenie do łodzi.

Beth uśmiechnęła się do siebie, gdy składała swoją czerwoną satynową sukienkę i wystawiała swoje najlepsze buty, żeby Theo zapakował je do jednego z dużych wodoszczelnych worków, których nie zamierzali otwierać, dopóki nie dotrą do Dawson City. Znowu ubrana była w starą ciemnoniebieską bawełnianą sukienkę, gruby wełniany płaszcz, kapelusz o szerokim rondzie i gumowe buty. Odzież na zmianę i skrzypce zapakowane były w małą torbę podróżną.

Patrzyła, jak Sam pakuje swoje rzeczy. Był bez koszuli; po raz pierwszy od zeszłego lata widziała jego nagi tors i ze zdziwieniem odkryła, że chłopięce kształty wąskiej klatki piersiowej i szczupłych pleców, które pamiętała z dni spędzonych w Liverpoolu, zniknęły pod twardymi mięśniami. Z drugiej strony, ona również wyrobiła sobie

466

mięśnie na nogach i rękach. Przez to całe noszenie toreb, ciągnięcie sani i taszczenie wiader z wodą stała się prawie równie silna jak mężczyzna.

- Sam, jesteś podekscytowany? - zapytała.

- Żebyś wiedziała! - odpowiedział, a na jego przystojnej twarzy rozkwitł szeroki uśmiech. - Wiem, że przed nami jeszcze długa droga, ale teraz będzie już z górki, no i sprzyja nam pogoda.

- Zastanawiam się, czy będziemy trzymać się razem, kiedy tam dotrzemy - powiedziała z namysłem. - Ciągłe myślisz, że ty i Theo będziecie w stanie postawić saloon z grami karcianymi?

- Jasne, siostrzyczko. - Roześmiał się. - Jeżeli będziesz przyciągać ich swoimi skrzypcami, nie możemy przegrać.

- Wspominasz czasem Anglię? - zapytała. Nigdy wcześniej nie przyszło jej do głowy, żeby zadać mu to pytanie.

Uśmiechnął się.

- Szczerze mówiąc, nie za bardzo. Po co mamy tam wracać? Nigdy nie doświadczymy tam takich rzeczy, jak tutaj.

- Pozostaje kwestia Molly - powiedziała. Podrapał się po głowie, wyglądając na odrobinę zmieszanego.

- Teraz nic byśmy dla niej nie znaczyli. Nie będzie nas nawet pamiętać. Poza tym wiem, że nie zniósłbym powrotu do tego monotonnego trybu życia. Nie po tym, co tu przeżyłem.

Beth poczuła, jak ściska ją w gardle i w jej oczach pojawiły się łzy.

- A więc chyba będę musiała wrócić sama.

467

Sam złapał ją za ramiona.

- Siostrzyczko, co się z tobą dzieje? To nie jest dzień na rozmyślanie o takich rzeczach. Zaraz mamy wyruszyć na spotkanie kolejnej przygody.

- Jak myślisz, ile razy powiedziałeś mi te słowa, odkąd opuściliśmy Liverpool? - zapytała. - Zawsze myślisz

O tym, co stanie się w przyszłości i nigdy nie przystajesz, żeby przemyśleć to, co już się wydarzyło.

- A czy przeszłość była taka wspaniała, że trzeba do niej wracać? - zapytał z nutą pogardy w głosie. -

Odkąd pamiętam, zawsze robiłem to, co mi kazali. Nikt nigdy nie zapytał mnie, czego ja pragnąłem. Cóż, nawet jako chłopiec chciałem być bogaty, a teraz chcę tego bardziej niż kiedykolwiek. A

bogactwo jest w Dawson City, Beth,

1 po prostu czeka na nas, niezależnie od tego, czy je wykopie z ziemi, czy zabierzemy je innym, uprawiając hazard. Bogactwo w końcu wymaże wspomnienie taty, który zabił się z powodu niewierności mamy

Postawienie przez niego sprawy w ten sposób wstrząsnęło Beth. Myślała, że przestał o tym myśleć dawno temu.

- Nie potrafię zapomnieć - powiedział, tak jakby czytał w jej myślach. - 1 przeszkadza mi to w ufaniu kobietom, prócz ciebie, rzecz jasna.

- Cóż, przynajmniej tyle - powiedziała sarkastycznie. - A co się stanie, jeżeli nie wzbogacisz się w Dawson?

- Wzbogacę - powiedział beztrąsko. - Po prostu to wiem.

Tego popołudnia, w promieniach ciepłego słońca, wypłynęło ponad siedem tysięcy łodzi, ogromna armada najdziwniejszych konstrukcji, jaką kiedykolwiek widział

468

świat. Niektórym za żagiel służył jedynie stary płaszcz albo koszula; większość była przyozdobiona flagami domowej roboty, z wymalowaną bądź wyszytą nazwą. Niektóre z łodzi już zaczynały niebezpiecznie się przechylać, zaś inne prezentowały się solidnie i wyglądały na śmigle. Starzy, młodzi, bankierzy, sprzedawcy, farmerzy, żołnierze, marynarze i tancerki z podrzędnych lokali - można tu było znaleźć przedstawicieli każdego szczebla drabiny społecznej. Część z nich zostawiła żony i rodziny, inni uciekali przed prawem; byli tu reprezentanci uprzywilejowanych środowisk i mieszkańcy slumsów wielkich miast. Ale znaczna większość z nich nigdy w swoim życiu nie zrobiła niczego ekscytującego i w tę szaloną przygodę zainwestowała całe oszczędności.

Kiedy Beth zasiadła na na rufie „Gypsy”, uczucie nadziei było niemal namacalne; Jack i Sam wiosłowali zaciekle, zaś Theo operował sterem. Okrzyki: „Do zobaczenia w Dawson” niosły się nad jeziorem i odbijały echem w górach. Spojrzała w kierunku brzegu i zobaczyła coś, co wyglądem najbardziej przypominało wielki śmietnik: opuszczone tartaki, poszarpane resztki namiotów, ubrania i pudła. Puste butelki i puszki lśniły w promieniach słońca, zaś okolicę znaczyły tysiące pniaków; cały las ścięty w celu wybudowania łodzi.

Na początku wszyscy wiosłowali jak opętani, gdyż wszyscy chcieli znaleźć się na prowadzeniu, ale kiedy dotarli na głębsze wody, pojawił się wiatr, który nadał żagle, odłożono więc wiosła i pagaje.

Potem, kiedy wiatr ustał, wszyscy zostali unieruchomieni, ale jakby w odpowiedzi na niewyartykułowany apel przekazany od łodzi do łodzi, nikt nie sięgnął po wiosła; wszyscy odprężyli się, zapalając fajki

469

i pozwalając nieść się nurtowi. Nad całym jeziorem podniosły się śpiewy szczęśliwych ludzi, przekonanych, że najgorsze już za nimi i już jutro będą mogli rzucić się na poszukiwanie złota. Wyścig został wznowiony wczesnym rankiem i Jack był uradowany, że ich duży żagiel spisał się wysmienicie i poniósł ich ze znaczną prędkością. Z przodu było może ze czterdzieści albo pięćdziesiąt łodzi, a reszta kłębiła się za nimi w wielkiej armadzie, podzielonej na mniejsze grupki. Dzięki ciepłemu słońcu, lśniącej wodzie i temu, że ich łódź zdawała się być o wiele bardziej stabilna i sterowna od wszystkich, które widzieli, ich już i tak dobry humor uległ znacznej poprawie. Jack zbudował niskie stolki, na których mogli usiąść; woda przelewająca się przez szczeliny tratwy nie moczyła ich ubrań, więc rozsiedli się na nich, nawzajem gratulując sobie wykonania dobrej roboty i umiejętności przewidywania.

W trakcie południa Beth zauważyła, że część ludzi na łodziach znajdujących się z przodu wskazuje na coś, co wyglądało jak czerwona flaga zwisająca z drzewa i jedno słowo ostrzeżenia nagryzmolone na kawałku drewna pod spodem, głoszące „Cannon”*.

- Wygląda mi to na jakiś rodzaj ostrzeżenia - ledwie zdążył powiedzieć Jack, kiedy przed sobą usłyszeli ryk opadającej wody

Gdy jezioro skręciło nieznacznie w lewo, nagle zobaczyli tuż przed sobą wąską gardziel ze stromymi czarnymi skalami po obu stronach.

Cannon (ang.) - w tym znaczeniu działo [przyp. tłum.].

470

Beth gwałtownie wciągnęła powietrze, Theo zbladł, zaś podekscytowany Sam zaczął machać swym kapeluszem.

- Trzymajcie się mocno - krzyknął Jack. - To musi być kanion Miles.

O kanionie opowiedział im jeden z konnych. Powiedział, że to okropnie niebezpieczne miejsce, za którym leżały dwie rozległe bystrzyny, ale nikt z nich nie spodziewał się, że dotrą do niego tak szybko. Było za późno, żeby wiosłować do brzegu i wybadać sytuację, gdyż tratwę wciągało prosto w gardziel.

- Weźcie wiosła i użyjcie ich do odpychania nas od krawędzi - zakrzyknął Jack, wciskając wiosła w dłonie Sama i Theo. - Ja spróbuję pokierować nas dalej. A ty, Beth, po prostu trzymaj się, jakby zależało od tego twoje życie.

Wszyscy spoglądali z przerażeniem, jak tratwa zostaje porwana przez nurt prosto w kanion. Gardziel była szeroka na mniej więcej jedną trzecią rzeki, którą płynęli poprzednio, a ponieważ woda była wpychana w o wiele węższą przestrzeń, na środku utworzyła się fala, w szczytowym punkcie wysoka na mniej więcej cztery stopy. Praktycznie balansowali na tej fali, pędząc w oszalamiającym tempie, zaś huk wody był tak głośny, że nie byli się w stanie porozumiewać.

Woda pełna była kawałków dryfującego drewna, przyniesionych tu przez prąd z górskich jezior, jak również dużych kamieni i ostrych skal. Beth kurczowo trzymała się burty, obserwując z przerażeniem, jak Jack stara się omijać przeszkody i za każdym razem, kiedy słyszała zgrzyt jakiejś przeszkody szorującej o dno tratwy, przygotowywała się wewnątrz na wywrotkę.

471

Zobaczyli przed sobą dużą płaskodenną łódź dryfującą do góry dnem i pięciu bądź sześciu ludzi starających się jej trzymać, kiedy woda okręcała ją dookoła, odbijając od skal i kamieni.

Beth obejrzała się za siebie i zobaczyła wywrócone czołno; właściciela nigdzie nie było widać. Ale myślenie o innych było zbyt przerażające, kiedy ich własna tratwa obracała się w kółko. W jednej minucie dziób ostro wzbijał się w górę, podczas gdy w następnej rufa podskakiwała niczym wierzgający koń. Po tratwie przetaczały się wielkie lodowate fale i musieli rozpaczliwie trzymać się burty żeby nie wypaść z łodzi.

Beth bezwiednie zamknęła oczy, a kiedy je otworzyła, zobaczyła kolejne dwie łodzie, z impetem uderzające

o kamienie. Jedna z nich, wyglądająca, jakby była zbudowana z zapalek, rozleciała się natychmiast. Tylko Jack pozostał w pozycji stojącej. Przywiązał się liną do poręczy tratwy i, napinając każdy mięsień, trzymał w rękach wiosło, używając go do lawirowania pomiędzy skałami i unikając zderzenia ze ścianami kanionu.

Sam klęczał na dziobie, również dzierżąc wiosło, żeby odpychać ich od skal, ale kiedy Beth spojrziała tam ponownie, już go nie było.

- Sam! - wrzasnęła ile sił w płucach. - Sam wypadł za burtę!

Ściskając poręcz, gorączkowo rozglądała się za nim, ale nic nie widziała w ciemnych, kotłujących się wodach

1 unoszących się na nich kawałkach drewna.

Theo i Jack również nie mogli go wypatrzeć.

- Pewnie zniosło go przed nas! - krzyknął Jack. - Będzie miał dość rozumu, żeby złapać kawałek drewna i trzymać się go.

472

Miała nadzieję że Jack się nie myli, bo nawet gdyby wypatrzyli Sama w kanionie, nie mogliby zrobić nic, żeby mu pomóc.

W tym momencie tratwa natrafiła na wir wodny i wpadła w rotację, i jedyne, co mogli zrobić, to trzymać się kurczowo i modlić, żeby ten koszmar wreszcie się skończył.

Z wiru wyrzuciło ich do jeszcze węższego kanionu, a na koniec z impetem wypłuło na płyciznę.

Poculi ostre skały drapiące po drewnianym dnie łodzi i usłyszeli krzyki dochodzące z innych, ale pędzili tak szybko, że ledwo mogli rozpoznać, kogo lub co mijali.

A potem równie gwałtownie, jak się rozpoczęło, wszystko ucichło. Znowu żeglowali po spokojnych wodach.

Jack powiosłował do brzegu, wyskoczył i zabezpieczył łódź. Wszędzie wzdłuż brzegu załogi łodzi robiły dokładnie to samo; niektóre z konstrukcji były strzaskane, a niektóre podziurawione. Większość z nich straciła w wodzie zapasy bądź współtowarzyszy

Bystrzyny znajdowały się za nimi, ale wydawało się, że odgłos rozpaczliwego lamentu otaczał ich ze wszystkich stron. W wodzie unosiły się wielkie sakwy zapasów z wysypującymi się z nich mąką, cukrem i ryżem. Na brzegu rozbiła się klatka ze skrzeczącymi kurczakami, psy dopływały do suchego ładu i otrząsały się. W wodzie znajdowało się wielu ludzi, większość ściskała dużą kłodę bądź pakunek. Theo i Jack ruszyli im na pomoc, podczas gdy Beth biegła wzdłuż brzegu, szukając Sama.

Zobaczyła dwójkę martwych ludzi wyciąganych z wody i ich krewnych desperacko starających się ich ocucić i w końcu dostrzegła Sama. Nawet z odległości

473

kilkuset jardów, po jego włosach koloru masła i czerwonej chuście związanej na szyi wiedziała, że to on. Była też świadoma, że nie żyje, gdyż targał nim prąd, a jego kończyny unosiły się bezwładnie.

- Tam jest! - krzyknęła do Theo i Jacka, wskazując brata. - Wyciągnijcie go szybko.

Wartki nurt popchnął ciało w ich kierunku i razem udało im się wyciągnąć go na brzeg. Beth rzuciła się na pływacznię, żeby im pomóc i, ujmując głowę brata w dłonie, zobaczyła na niej szerokie pęknięcie, wynik zderzenia ze skałą.

W ciszy przenieśli go na suchy ład, gdyż wiedzieli, że rozpaczliwe próby przywrócenia do życia, które inni podejmowali w stosunku do swoich bliskich, były dla ich przyjaciela i brata bezużyteczne.

Beth padła na kolana obok ciała Sama, lkając, kiedy osuszała jego twarz swoją sukienką. Był dla niej więcej niż bratem; jej towarzyszem zabaw z dzieciństwa, sprzymierzeńcem, przyjacielem, powiernikiem wszystkich trosk; wspólnie przeżyli całe swoje życie. Nie mogła uwierzyć, że los jest tak okrutny, żeby po prostu go jej odebrać.

Słyszała okropne zawodzenie i kiedy Jack i Theo starali się wziąć ją pod ramiona i odciągnąć od ciała Sama, zdała sobie sprawę, że to ona jest źródłem tego dźwięku.

- Nie mogę bez niego żyć — zaniosła się rozpaczliwym płaczem. - Jest wszystkim, co zostało z mojej rodziny

- Ciągłe masz nas - powiedział Theo, obejmując ją ramionami. - Wiemy, co czujesz. Jack i ja również go kochaliśmy.

Dopiero wtedy zauważyła, że oni również płaczą. Nikt nie próbował ukryć swego żalu; po ich twarzach

23674

splywały niepowstrzymane strumienie łez, a oczy odzwierciedlały ból, który odczuwała.

Beth nie wiedziała, jak długo stali razem, skuleni nad ciałem jej brata, zanosząc się lkaniem. Wszyscy byli przemoknięci i drżeli z zimna, ale zdawało się, że szok i smutek ich sparaliżował. Wiele jednostek musiało przewrócić się podczas przeprawy przez katarakty, gdyż dochodziły ją słabe krzyki i piski innych. Ale dopiero kiedy pewien mężczyzna wymienił ich imiona i zaoferował pomoc w wykopaniu grobu, otrząsnęli się ze stuporu na tyle, żeby rozpoznać jego i jego towarzyszy jako ludzi, których poznali przy Jeziorze Bennetta, i pogodzili się z tym, że Sam musi być pochowany.

- Był dobrym człowiekiem - powiedział ich przywódca, z którego oczu biło prawdziwe współczucie i zrozumienie. - Bardzo nam przykro z powodu waszej straty. Pozwólcie, że wam pomożemy.

- To niesprawiedliwe - chlipnęła Beth, kiedy obserwowała, jak mężczyźni zaczynają kopać w miękkiej ziemi kilka jardów od brzegu wody. - Zaszliśmy tak daleko i tyle razem przeszliśmy. Dlaczego musieliśmy stracić go teraz?

- Nie widziałem, kiedy zniknął - wściekle powiedział Jack, tak jakby wierzył, że byłby w stanie zapobiec tragedii.

Theo uklęknął przy Samie i odgarnął mu z czoła zakrwawione włosy

- Och, Sam, Sam, co my bez ciebie pocniemy? - zapytał głosem łamiącym się ze smutku.

Kiedy patrzyła, jak Jack i Theo opuszczają Sama do naprędce wykopanego grobu, miała wrażenie, że to

475

wszystko nie dzieje się naprawdę. Jej matka i ojciec zostali pochowani w zimne, szare dni; przy podobnych warunkach pogodowych pożegnała się z Molly Nawet dzień, kiedy straciła swoje dziecko, był chłodny i ponury Pogrzeby powinny odbywać się w szare dni, w pełnych ponurej powagi miejscach, a nie w jasnym świetle słońca nad odbijającą jego promienie rzeką, z kępkami jaskrawych kwiatów rosnących na brzegu. Sam był młody i silny - miał przed sobą całe życie i tak wiele planów oraz marzeń; to było niesprawiedliwe, że nie uda mu zrealizować żadnego z nich. Beth czuła się tak, jakby zaraz miała się obudzić i stwierdzić, że to wszystko było straszliwym koszmarem, zaś Sam śmiały się, słysząc jej opowieść.

Ale to działo się naprawdę, a Theo, starając się zapanować nad sobą, drżącym głosem recytował fragment z Biblii. Drewniany krzyż z wrytym na nim imieniem Sama, który zbił Jack, leżał na kupce ziemi, czekając na osadzenie go na grobie.

Kiedy śpiewali „Rock of Ages” ich głosy były słabe i piskliwe i Beth po raz kolejny pomyślała gorzko, że Bóg ją opuścił.

Wzdłuż całej linii brzegu inni również starali się radzić sobie ze skutkami spotkania z kanionem; niektórzy kopali groby, inni opiekowali się rannymi. Słyszała zawrozczenie i rozpaczliwe nawoływania tych, którzy stracili swoje łodzie i ekwipunek, jak również ogłuszający odgłos bicia własnego serca.

Rozdział trzydziesty

Za ile? Za ile? - kolejna grupa Stick Indians” nawoływała ze swojego obozu na brzegu rzeki. Beth odwróciła wzrok, gdyż byli brudni, obszarpani i wyglądali na chorych, a ona czuła się winna, że nic im nie daje. Ale wcześniej obdarowali jedzeniem inne grupy koczujące przy rzece i nie mieli już czym się dzielić. Poza tym słyszała, że Indianie sprzedawali wszystko, co otrzymali, z powrotem innym poszukiwaczom złota, a przy tysiącu łodzi mijających to miejsce każdego dnia mieli najprawdopodobniej całkiem niezły zarobek.

Wczesne wiosenne kwiaty ustąpiły miejsca dzwoneczkom i lubinom, które na brzegach rzeki rozlewały się niczym niebieski łąk. Od czasu do czasu Beth widziała losia pijącego z rzeki, czasami nawet z cielakiem, lub czarnego niedźwiedzia wyglądającego zza drzewa, jakby zwierzę było zaskoczony, że tak wielu ludzi przekracza jego terytorium. Dzikie owoce - żurawina, czarne porzeczki i maliny - dojrzewały pomiędzy kamieniami i mchem, zaś bryza przywiała do jej nozdrzy zapach dzikich róż.

Stick Indians - termin używany w stosunku do plemion posługujących się językiem atabaskim na terytorium Kolumbii Brytyjskiej [przyp. tłum.].

Była to zapierająca dech w piersi sceneria i żalowała, że nie potrafi się nią rozkoszować. Ale odkąd Sam zginął przy Squaw Rapids, czuła się tak, jakby słońce zaszło na dobre i nic już nie mogło przywołać uśmiechu na jej usta.

Tego dnia życie straciło pięciu ludzi, a mogło być ich znacznie więcej, gdyby nie przybycie Sama Steele z konnych, który zapobiegł dalszym tragediom. Poza tym tuziny łodzi było rozbitych; pakunki z prowiantem, z takim mozolem przeniesione przez przełęcz, były porozrywane, zaś ich zawartość zagubiona w wodzie, tak samo jak wiele innych cennych przedmiotów. Niektórzy ludzie stracili panowanie nad sobą do tego stopnia, że wrywali sobie włosy, szlochali i krzyczeli.

Steele natychmiast ustanowił zasady, iż żadne łodzie nie miały płynąć przez bystrzyny bez asysty kompetentnej osoby, i że wszystkie kobiety powinny ominąć niebezpieczny odcinek pięćmiłowym szlakiem lądowym.

Od czasu, kiedy pochowali Sama, Jack prawie w ogóle się nie odzywał. Beth wiedziała, że zadrećza się myślą, iż mógł zapobiec wypadkowi. Ale zarówno ona, jak i Theo wiedzieli, że nie miał takiej możliwości. Dobrze się spisał, przeprowadzając tratwę w jednym kawalku. Sam na moment poddał się ekscytacji wydarzeniami i za tę jedną chwilę beztróski zapłacił najwyższą cenę.

Ale racjonalizowanie wydarzenia nie pomogło w uśmierzeniu żalu. Nikt nie będzie w stanie zająć miejsca Sama w ich życiu i Beth nie wyobrażała sobie dalszej podróży bez niego.

Kiedy starała się przestać myśleć o bracie, rozpamiętywała utratę swojego dziecka i czuła desperacką potrzebę ponownego ujrzenia Molly. Podejrzewała, że to dość

478

naturalne; w końcu dziewczynka była teraz jedynym żyjącym członkiem jej rodziny. Straciła rachubę, ile razy wyciągała zdjęcie siostrzyczki, rozkoszując się jej słodką twarzą i kręconymi włoskami, wspominając dawne dni, kiedy karmiła ją i przewijała.

Beth nie spodziewała się, że Jack i Theo zrozumieją jej uczucia do Molly, ale fakt, iż równie mocno przeżywali śmierć Sama, dodawał jej otuchy. Być może łączyły ją z bratem wspomnienia i więzy krwi, ale oni również go kochali. Rana była wciąż zbyt świeża, żeby którekolwiek z nich swobodnie rozmawiało o swoich uczuciach albo dzieliło się najlepszymi wspomnieniami o nim. Ale może z czasem ten moment nadejdzie.

Byli teraz już blisko Dawson City i rzeka Jukon roiała się od łodzi. Dołączając do tych, którzy tak jak oni dotarli tu górkimi jeziorami, pojawiło się wielu kwaśniaków. Beth dowiedziała się, że tak nazywa się starych miejscowych wyjadaczy, gdyż mają zwyczaj trzymać mały kawałek surowego ciasta chlebowego w woreczku pod koszulą, żeby cały czas był ogrzany i aby można go było użyć jako zaczynu do upieczenia następnej porcji chleba. Ci mężczyźni byli doświadczonymi poszukiwaczami, którzy całą zimę spędzili na swoich działkach przy małych strumieniach. Niektórzy, szukając złotego kruszcu, spędzili w tym rejonie już kilka lat.

Podkscytowanie, iż zbliżają się do celu podróży, było niemal namacalne. Ludzie pozdrawiali się okrzykami, chcieli dzielić się swoimi przeżyciami z podróży i nadziejami na przyszłość. Ale Beth i chłopcy nie mogli zmusić się do nawiązania kontaktu, gdyż jedna wzmianka o Samie sprawiała, że byli bliscy załamania.

238

Dziewczyna miała nadzieję, że wszyscy wezmą ich milczenie i ponure miny za reakcję na straszliwy upał i uciążliwe komary, które sprawiały, że niektórzy ludzie zachowywali się nieracjonalnie. Wraz z chłopcami była świadkiem wielu zawziętych bójek i obrzucania się wyzwiskami, zazwyczaj pomiędzy mężczyznami, którzy razem stawili czoła tyłu przeciwnościom losu. Cokolwiek powodowało takie zachowanie, było przykrym widokiem, gdyż teraz wydawali się wręcz pałać do siebie nienawiścią, chcąc rozdzielić się i ruszyć własną drogą. Obserwowała, jak dwóch mężczyzn, obrzucając się obelgami, dosłownie przepiłowywało swoją łódź i zapasy na pół. Inna para toczyła boje o prawa własności do patelni, dopóki ktoś nie podszedł i nie rozwiązał problemu, wyrzucając przedmiot sporu do rzeki i kończąc tym samym kłótnię.

Było to szaleństwo, którego zarówno Beth, jak i chłopcy nie byli w stanie zrozumieć. Śmierć Sama uświadomiła im siłę łączących ich więzi i to, jak niewiele znaczą zapasy i dobytek.

Ciemność w ogóle już nie zapadała; jedynie w okolicach północy światło lekko przygasało, ale o drugiej nad ranem wszystko wracało do normy. Budowali obóz na brzegu tylko po to, żeby rozpaść ognisko i pospiesznie ugotować posiłek, a potem dalej płynęli, a Theo i Jack spali na zmianę. Nie chodziło o to, żeby dostać się do Dawson City przed innymi, gdyż dawno przestało już im na tym zależeć, ale potrzebowali jakiegoś zajęcia. Zbyt późno zorientowali się, że to entuzjazm Sama, jego nieustanny doping i niewyczerpane pokłady optymizmu sprawiały, iż w przeszłości kleiły się rozmowy; bez niego zdawało się, że nikt nie ma nic do powiedzenia.

239

Rankiem dwunastego czerwca, kiedy Beth przysypiała przy sterze, usłyszała krzyk Jacka.

- To Dawson City! Nareszcie jesteśmy na miejscu.

Nie wiedzieli, gdzie dokładnie się znajdują, gdyż przez ostatnie dwa dni trzymali się blisko brzegu rzeki w obawie, że kiedy dotrą do miasta, nagle trafią na silny prąd, który zniesie ich dalej. Ale gdy okrążyli kamienne urwisko, znaleźli się tuż przed nim - osławionym miastem ze złota.

Beth nie wiedziała, czego się spodziewać, ale rzeczywistość w postaci bezładnego skupiska namiotów, chat z bali, magazynów, które porządne miały tylko fasady, i chwiejących się stert drewna, niewiele różniła się od Skagway. Okolicę szpeciło nawet takie samo czarne, gęste błoto.

Owo błoto rozpościerało się od linii brzegu prosto do małego miasteczka i nie widziała żadnych desek, po których można byłoby przejść, żadnych promenad ani kamiennych ścieżek, które położono w Skagway. Konie i wozy grzęzły, zaś ludzie bezskutecznie starali się przeciągnąć przez bagnisty teren solidnie wyladowane sanie.

Potem dowiedzieli się, że kilka tygodni wcześniej, gdy stopniały lody, miasto przeżyło powódź i ludzie, którzy wybudowali chaty tuż przy nabrzeżu, mogli jedynie bezsilnie obserwować, jak porywa je żywioł. Ale wyglądało na to, że w Dawson City wydarzenia tego typu były uznawane za jedynie drobne niedogodności losu, bo gdy tylko zaczęły przyplывать łodzie z zaopatrzeniem, zwłaszcza z długo wyczekiwanymi luksusami jak jajka, whisky i gazety, błotniste ulice stawały się mało znaczącym szczegółem.

481

Udało im się znaleźć miejsce przy zatłoczonym brzegu i zacumować tratwę, po czym zawlekli swój ekwipunek prosto na peryferia miasta, jedyne miejsce, gdzie mogli znaleźć wolny kawałek gruntu, żeby rozbić namiot. Doszły ich słuchy, że wynajęcie jednego pokoju na miesiąc kosztowało sto dolarów, podobne ceny osiągały inne towary, za które żądano skandalicznych opłat.

- Dobrze, że wzięłam te gwoździe - powiedział Jack, dostrzegając znak oznajmiający ich sprzedaż po osiem dolarów za funt. - Nie to, żebyśmy chcieli się ich pozbyć, będą nam potrzebne, żeby wybudować własne lokum.

- Może dostanę dobrą cenę za ten jedwab i satynę, które wzięłam ze sobą - powiedziała w zamyśleniu Beth. Jeszcze w Skagway chłopcy klócili się z nią, twierdząc, że powinna wziąć coś bardziej pożytecznego, ale postawiła na swoim, upierając się, iż na miejscu na pewno będą kobiety desperacko poszukujące materiału na nowe sukienki. Sądząc po poplamionych i bardzo zniszczonych ubraniach, jakie miała na sobie większość kobiet, dziewczyna miała rację.

Gdy rozstawili swój namiot, ruszyli z powrotem na Front Street, żeby się rozejrzeć. Nadrzeczna ulica bez wątpienia była głównym miejscem wszelkich wydarzeń, jak również spotkań. Wzdłuż niej tłoczyły się saloony, hotele, restauracje i tancbudy, choć na pierwszy rzut oka było widać, że wszystkie zostały wzniesione w wielkim pośpiechu. Do brzegu co chwila przybijała nowa łódź, a jej pasażerowie wciągali swój majątek na ląd, dołączając się do ogólnego chaosu. Tysiące nowo przybyłych błąkało się bez celu, podczas gdy weterani, którzy przez całą zimę cierpieli na brak dosłownie wszystkiego, starali

24082
się wyludzić od nich, co się dało, poczynając od miotła, a na książkach kończąc.

Tak jak przy Jeziorze Bennetta, wszędzie dookoła zalegały olbrzymie stosy drewna, zaś brzęk pił i huk wbijanych gwoździ sprawiał, że trudno było cokolwiek usłyszeć. Wszędzie trwały jakieś roboty - budowano sklepy, saloony, banki, a nawet kościoły - choć brak jakiegokolwiek jednolitego planu ich rozlokowania był cokolwiek niepokojący.

Wzdłuż linii brzegowej ludzie budowali budki, w których można było kupić wszelkie dobra, począwszy od butów po skrzynki pomidorów, wszystko po astronomicznych cenach. Wiele z tych towarów zostało przywiezionych przez parowiec zaledwie kilka dni wcześniej, ale dostrzegli starszą kobietę, którą spotkali przy Jeziorze Bennetta; najwyraźniej udało się jej przetransportować swoje kurczaki przez przełęcz Chilkoot i sprzedawała je teraz po dwadzieścia pięć dolarów za sztukę.

Nieliczone znaki głosiły „Skup i sprzedaż złotego proszku”. Przed tymi chatynkami stali w kolejkach, pykając ze swoich fajek, mężczyźni ze zmierzwionymi brodami i małymi skórzanymi woreczkami zwisającymi im u pasa, wyglądający na doświadczonych poszukiwaczy. Jakiś człowiek w kraciastym garniturze w krzykliwych kolorach i czarnym stetsonie poinformował Beth i chłopaków, że to kwaśniacy, którzy trafili na żyłę złota na swoich działkach położonych przy potokach Forty Mile i Eldorado. Twierdził, że złoto, które dzisiaj sprzedają, warte jest królewskiej ceny, a mimo to wyglądali jak włóczędzy bez grosza przy duszy.

Jakkolwiek wszystko dookoła wydawało się dość dziwne, było też kolorowe i tętniło życiem. Mężczyźni w eleganckich garniturach i homburgach mijali się w tłumie z ludźmi odzianymi w poszarpaną, zachłapaną błotem odzież podróżną. Dostrzegli ładną blondynkę w różowej satynowej sukience, którą przez błoto niósł mężczyzna do połowy nagi, wyglądający jak zawodowy pięściarz. Wszędzie pałętały się psy, w większości ma-lamuty i inne psy zaprzęgowe, ale były też miniaturowe psiny noszone przez kobiety na rękach oraz charty i spaniele.

- To nie w porządku, że nie ma tu z nami Sama, żeby to wszystko zobaczył - westchnął Jack.

Był to kluczowy moment, gdyż Beth czuła dokładnie to samo i podejrzewała, iż dotyczy to również Theo. Była wdzięczna Jackowi, że był na tyle dzielny, żeby wypowiedzieć tę myśl na głos.

- Gdyby był tutaj teraz, klóciłibyśmy się na temat naszego następnego posunięcia - powiedziała, uśmiechając się blade, gdy wyobraziła sobie, jak podekscytowany byłby jej brat.

- Więc musimy zrobić to, po co tu przybyliśmy, choćby żeby uhonorować jego pamięć - nieoczekiwanie stwierdził Theo. - Chciał się tu dostać bardziej, niż my wszyscy razem wzięci. Nie możemy go teraz zawieść.

Beth poczuła pieczenie pod powiekami i wtuliła twarz w pierś Theo, żeby powstrzymać łzy. Miał rację - najlepszym sposobem na upamiętnienie jej brata było odniesienie tu sukcesu. Być może w ten sposób będą w stanie pogodzić się ze stratą.

Podniosła głowę i wytarła zalawione oczy.

241

- Więc muszę znaleźć jakiś lokal, gdzie dzisiaj zagram - powiedziała. - A wy dwaj zaczniście szukać okazji do zarobku.

Beth udała się do saloonu Monte Carlo położonego przy Front Street, podczas gdy Theo i Jack udali się sprawdzić kilka innych miejsc.

Z zewnątrz Monte Carlo wyglądało na najbardziej elegancki i uczęszczany ze wszystkich saloonów, pomalowany świeżą farbą i z dużym zdjęciem królowej Wiktorii nad drzwiami, jak również znakami reklamującymi sale z grami karcianymi i sceną. Ale kusząca fasada była myląca. W środku był surowy, niewiele różniący się od prymitywnej budy, z ciemnymi salami do gry budzącymi przygnębienie i niewielką sceną otoczoną spartańskimi twardymi ławami.

Niezrażona Beth zbliżyła się do stojącego za barem człowieka o podkręconych wąsach i odzianego w elegancką kamizelkę; zapytała go, czy może grać tutaj na skrzypcach.

Obrzucił ją spojrzeniem od stóp do głów i wzruszył ramionami.

- W razie czego sama płacisz za pogrzeb - odpowiedział. Było jasne, że nie wierzy, iż stojąca przed nim młoda kobieta w wytartej sukience i gumiakach ma szansę rozbawić jego klientelę.

- A więc jeżeli przyjdę tutaj i zacznę grać, a pod koniec występu puszcze w obieg kapelusz na zrzutkę, nie będzie to panu przeszkadzać?

- Jasne, kochaniutka - powiedział, straciwszy już zainteresowanie i obracając się, żeby sięgnąć po szklankę i butelkę. - Ale nie oczekuj zbyt wiele i nie licz na to, że

485

będę dbał o twoje bezpieczeństwo. Wieczorami robi się tu dość nieprzyjemnie.

Oczywiste przekonanie mężczyzny, że dziewczyna co najwyżej zrobi z siebie idiotkę, wywołało efekt odwrotny; Beth aż paliła się do tego, żeby utrzcć mu nosa. Wróciła do namiotu, umyła włosy w wiadrze, wygrzebała swoją szkarlatną sukienkę i wypolerowała najlepsze buty. Dopiero kilka godzin później dowiedziała się od ludzi z sąsiedniego namiotu, że mężczyzna, z którym rozmawiała w barze, to Jack Smith, jeden ze szczęśliwców, który na swojej działce przy potoku Bonanza zbil majątek i wybudował Monte Carla.

Ale wyglądało na to, że w kwestii oceny charakteru nie miał już tyle szczęścia, gdyż wysłał swojego partnera, Swiftwatera Billa Gatesa do Seattle z dziesięcioma tysiącami dolarów w zlocie, żeby ten kupił lustro, aksamitne dywany i kandelabry do saloonu. Do Dawson dotarły już wieści, że w istocie Gates udał się do San Francisco i zwano go teraz Królem Klondike, gdyż roztrwaniał złoto, gdzie popadnie i żył niczym panisko w jednym z najbardziej ekskluzywnych hoteli w mieście.

Usłyszawszy ową plotkę, Beth uśmieła się i poczuła jeszcze większą determinację. Tego wieczoru o siódmej ponownie stanęła przed Monte Carlo, które niemal drżało od wrzawy dochodzącej ze środka. Ale ze lśniącymi włosami ozdobionymi grzebieniem z pióropuszem, w czerwonej sukni i zdecydowaniem w sercu była gotowa na wszystko. Zdjęła swoje zabłocone gumki, zostawiając je przy drzwiach razem z futerałem na skrzypce, założyła czyste, lśniące buty i, odprowadzana zatroskanymi spojrzeniami Theo i Jacka, umieściła instrument pod brodą, rozpoczęła wesołego jiga i wmaszerowała do środka.

242

Zanim muzyka rozeszła się po saloonie, minęło kilka minut. Beth była zdenerwowana, jej palce zrosił pot wywołany temperaturą i widok pokaźnej liczby hałaśliwych mężczyzn zgromadzonych na tak małej przestrzeni onieśmielił ją, ale przywołała w umyśle Sama, wyobrażając sobie, że stoi przed nią tak, jak często robił to w przeszłości, kiedy miała grać. I zaczęła grać tylko dla niego.

Widziała jego uśmiech, sposób, w jaki podnosiły się kąci szeroki ust i dołek, który pojawiał się na prawym policzku, jak również błysk w niebieskich oczach i sposób, w jaki niecierpliwie odgarniał niesforny kosmyk blond włosów zasłaniających mu widok.

Myślami opuściła przesiąknięty zapachem potu saloon i wróciła na statek imigrantów, obserwując, jak Sam oczarowuje dziewczyny i śmieje się z nimi na pokładzie. Widziała, jak rozpiera się na łóżku w ich pokoju w Nowym Jorku i nalewa drinki u Heaneya, kiedy hordy dziwek z Bowery trzepotały w jego kierunku rzesami.

Dopiero po pewnym czasie zorientowała się, że hałas w saloonie ustał i otworzyła oczy, żeby zobaczyć ponad setkę mężczyzn wbijających w nią wzrok. Większość z nich była w wieku Sama, ale ogorzałe twarze znacznie ich postarzały. Niektórzy ubrani byli w wytworne garnitury, wyprasowane koszule, krawaty i kapelusze, inni w koszule z ubrudzonymi rękawami, z szelkami trzymającymi na miejscu spodnie będące świadkami lepszych dni, z kapeluszami o szerokich rondach, które mogły zdradzić niejedną opowieść. Wśród widowni byli Europejczycy o bladych twarzach, smagli ludzie pochodzący z Ameryki Południowej, czarni i nawet kilku Indian. Niektórzy mieli brody i wąsy w nieładzie, zaś inni

byli
487

idealnie ostrzyżeni. Pośród tłumu można też było dostrzec kilka kobiet: ładną pulchną panią w słomkowym kapeluszu przyozdobionym piórami i drugą, z różami na nakryciu głowy; damy odziane w jedwab i koronki, i inne, obleczone w wełniane odzienie, wprost ze szlaku. Ale niezależnie, jaką klasę społeczną reprezentowali ludzie tu zgromadzeni i czy już znaleźli złoto, czy pomagali szczęśliwcom je wydać, wszyscy słuchali jej muzyki.

- Brawo! - zakrzyknął mężczyzna w kraciastej kamizelce, kiedy skończyła grać pierwszy kawałek. - Nie przerywaj, dawaj następny!

Kiedy Beth w drodze powrotnej do namiotu ostrożnie wybierała drogę pośród błota, było po pierwszej. Wyczerpanie dawało o sobie znać, ale była zadowolona, iż wyrobiła sobie w Dawson imię, gdyż Jack Smith stwierdził, że była najzdolniejszą skrzypaczką, jaką kiedykolwiek słyszał.

Nie miała pojęcia, gdzie podzieli się Theo i Jack. Byli obecni przez pierwszą godzinę jej występu w Monte Carlo, a potem wyszli i już nie wrócili. Nie przeszkadzało jej to, bo kiedy nie grała, nie brakowało ludzi, którzy z chęcią stawiali jej drinki i dotrzymywali towarzystwa.

Niebo było jasne niczym w dzień i wydawało się, że nikt nawet nie myśli o spaniu, gdyż ublocone szlaki pomiędzy namiotami były pełne ludzi. Na Front Street, ponad dźwiękiem głosów tysiąca rozradowanych osób, śmiejących się, plotkujących i stukających się kieliszkami, słyszała odgłos stóp tupiących w tancbudach, pojękiwania fisharmonii i saksofonu, na którym ktoś wykonywał banalną balladę.

488

Mówiono jej, że życie w Dawson nie zamiera do rana i zaczynała podejrzewać, że jest to jak najbardziej zrozumiałe w miejscu, gdzie wszyscy od września aż do maja byli odcięci od cywilizacji śniegiem i lodem.

Wokół nadgarstka miała owinięty skórzany woreczek, zawierający pokaźną ilość złotego proszku, który ktoś jej rzucił, dodając go do malej fortuny w banknotach i monetach zebranych w kapeluszu. Kiedy szła, zarobek obijał się jej o biodro, co wywołało u niej pełen satysfakcji uśmiech. Pieniądze i sukces nigdy nie zrekompensują jej utraty brata ani nie sprawią, że będzie tęskniła za nim choć odrobinę mniej, ale dzisiaj czarne chmury żalu zostały skutecznie odegnane, sprawiając, że znowu chciało jej się żyć.

Tydzień później o czwartej nad ranem wracała do swojego namiotu odprowadzana przez Wilbura, jednego z barmanów w Monte Carlo.

- Wygląda na to, że w Złotej Podkowie idzie wielka gra - powiedział, wskazując tłum tłoczących się przed lokalem ludzi. - Może pani być pewna, że siedzi tam przy pokerze Mack Dundridge. Ludzie lubią patrzeć, jak gra, bo gdy wygrywa, funduje wszystkim drinki.

Beth uśmiechnęła się do Wilbura, bo wysoki i chudy młody barman z Seattle nie tylko regularnie odprowadzał ją do domu, ale po drodze zawsze opowiadał jej historyjki o pełnych życia pionierach mieszkających teraz w Dawson.

O Maćku Dundridge'u opowiedział jej zaledwie wczoraj, ponieważ Mack był jednym z uznanych królów Eldorado. Od wielu lat wędrował po Alasce i dorzeczu Jukonu, szukając złota, a gdy George Carmack

243

i Skookum Jim odkryli je w Rabbit Creek, był akurat niedaleko. Przybiegł jak gnany wiatrem i zajął działkę, która szybko przyniosła mu fortunę. A Rabbit Creek stał się znany jako Eldorado.

Ale jak wielu innych starych wygów i pionierów, którzy nagle stali się bogaczami, Mack nie potrafił dobrze ulokować swoich pieniędzy. Zjawiał się w mieście i rzucał na ladę baru skórzany wór pełen bryłek złota, stawiając wszystkim bez wyboru. Mówiono, że pewnego wieczoru dał fordanserce złoty samorodek wart pięćset dolarów, byle tylko z nim zatańczyła.

-Może wejdźmy i popatrzmy? - zaproponowała Beth. Jej popularność w Monte Carlo, a także panująca w mieście nieustanna wesołość i ożywienie pozwalające jej nie myśleć bez przerwy o Samie sprawiły, że miała lepszy humor. Lubiła Wilbura i czuła się bezpiecznie w jego towarzystwie, a ponieważ Theo i Jack nie wracali do namiotu przed siódmą rano, nie widziała powodu, dla którego miałyby sobie odmówić odrobiny uciechy.

- Kiedy wewnątrz toczy się gra o wielką stawkę, stawiają kogoś przy drzwiach, żeby zniechęcał zwykłych natrętów. Ale pani nie jest zwykłym natrętem, spróbuj więc użyć mojego daru perswazji - uśmiechnął się szeroko Wilbur.

Ujął ją mocno pod ramię i przepchnął się przez tłumek gapiów, którzy okupując drzwi i okna, choć jednym okiem chcieli zajrzeć do środka.

- Przyjacielu, wpuścisz chyba Gypsy z Klondike? - zwrócił się do barczystego, stojącego w wejściu mężczyzny. - Wpadła na pomysł, żeby rzucić okiem na grube ryby i może się zrewanżować, grając dla was przez jeden wieczór.

244

Brodacz natychmiast się rozpromienił, a Beth zdała sobie sprawę z faktu, że zdobyła w tym mieście pewną pozycję i humor poprawił jej się jeszcze bardziej.

- Panno Gypsy, witamy w Złotej Podkowie! - powiedział. - Ale proszę nie rozpraszać uwagi graczy słodką buzią lub grą na skrzypcach.

Mimo że na ulicy było jasno, ludzie stali tu ciasno ramię w ramię i wewnątrz saloonu panował mrok uniemożliwiający niemal zobaczenie czegokolwiek w głębi. Wilbur jednak ujął Beth za ramię i poprowadził tam, gdzie ciżba była mniejsza.

Gdy znaleźli się na miejscu, puścił ją i odszedł, żeby dla obojga zamówić drinka. Beth nie mogła zobaczyć graczy ponad ramionami stojących mężczyzn, wyczuła jednak panujące w sali napięcie - działo się coś niezwykłego.

- Czy Mack wygrywa? - zapytała szeptem wysokiego, stojącego obok mężczyznę.

- Owszem, na początku wygrywał, ale potem przegrał kilka rozdań - usłyszała równie cichą jak jej pytanie odpowiedź. - Myślę, że to może być jedna z tych nocy, kiedy postawi swoje prawo własności do działki.

Wilbur mówił jej, że Mack zdobył reputację gracza o wielkie stawki dzięki gotowości zaryzykowania wszystkiego, co miał. Powiadano, że pewnej nocy stracił pół miliona dolarów, ale wrócił następnego wieczoru i się odegrał.

- Z kim gra?

- Ze Szwedem, Dyndałą i jakimś facetem, którego nie znam - usłyszała wyszeptaną cicho odpowiedź. Wszystkim bywalcom w Dawson nadawano przydomki; wyglądało na to, że jest to sposób na zyskanie reputacji i akceptacji. Nigdy wcześniej nie spotkała Szweda

491

ani Dyndaly, ale poczuła, że powinna na nich zerknąć, przecisnęła się więc aż do kolumny podpierającej dach, minęła ją i łokciem odepchnęła zagradzającego jej drogę mężczyznę.

Gdy wreszcie zobaczyła graczy, wstrzymała oddech, bo jednym z nich był Theo.

Nad stołem wisiała ozdobna lampa naftowa rzucająca krąg złotej poświaty na ciemne poza tym pomieszczenie. Tuż za tym kręgiem dostrzegła stojącego za plecami Theo Jacka, który obserwował bacznie grę i wyglądał na zaniepokojonego.

Grający z Theo mężczyźni wyglądali jak typowi kwaśniacy - mieli ogorzale twarze okolone gęstymi brodami, zmierzwione czupryny i niezbyt wyszukane ubrania. Gładko ogolony Theo w swoim eleganckim garniturze i wyczyszczonych do połysku butach wyglądał załośnie nie na miejscu, choć nie był o wiele młodszy od partnerów. Od przybycia do Dawson trafiło mu się kilka niezłych wygranych, Beth była jednak prawie pewna, że nie miał pieniędzy wystarczających do gry z takimi tuzami i bogaczami.

- Który z nich to Mack Dundridge? - zapytała szeptem stojącego obok mężczyznę.

- To ten rudzielec - padła odpowiedź. - Nikomu jeszcze nie udało się go ograć w pokera, a on zostaje, dopóki pozostali nie spluczą się do cna.

Beth cofnęła się tak, żeby Theo jej nie zauważył... i obserwowała go jeszcze przez chwilę. Wyglądał na obojętnego i rozluźnionego, rozpiął się niemal w fotelu, a padające z góry światło wydobywało ostry zarys jego wysoko osadzonych policzków. Beth jednak wiedziała o pokerze dość, by orientować się, że grę wspiera

492

umiejętność blefowania i że Theo może być tak samo zaniepokojony jak Jack.

Napięcie w pokoju rosło; Beth wiedziała, że nie zniesie widoku przegranej Theo.

- Rozmyśliłam się, wolę pójść do domu - powiedziała Wilburowi, gdy wrócił z napitkami. Wzięła trunek i wychyliła go jednym haustem. - Odprowadź mnie do domu, proszę...

Jasne dzienne światło utrudniało zaśnięcie, Beth i bez tego zresztą była tak zdenerwowana, że zaledwie zdolowała zamknąć oczy. Podczas minionego roku przywykła do przegranych Theo, ale wiedziała, że nigdy wcześniej nie grał tak wysoko, żeby nie móc spłacić tego, co przegrał. Tu jednak było inaczej, poszukiwacze złota, właściciele saloonów, sklepikarze i fordanserki - wszyscy oni byli z natury graczami. Widząc fortuny, które co noc przechodziły z rąk do rąk, nawet najbardziej zrównoważony człowiek mógł stracić poczucie rzeczywistości.

Leżała już od kilku godzin, kiedy wreszcie usłyszała zbliżających się do namiotu Jacka i Theo. Potykali się tak, jakby byli pijani, co zwiększyło jeszcze jej gniew.

W końcu Theo wetknął twarz przez kłapę wejściową.

- Nie śpisz, kochanie? - zapytał, głupkowato się uśmiechając.

- Nie śpię - odparła sarkastycznie. Theo cofnął głowę.

- Jest na mnie wkurzona - powiedział do Jacka.

- Jak myślisz, czy wkurzy się jeszcze bardziej, gdy jej opowiem nowiny?

- Jak nie przestaniecie hałasować, wkurzą się nasi sąsiedzi - warknęła Beth. - Właźcie i uspokójcie się!

245

Weszli, chwając się i potykając, a potem Jack opadł obok niej.

- Przepraszam, że się narąbaliśmy Musieliśmy oblać wygraną Theo, który zdobył piękną działkę budowlaną na Front Street.

Beth natychmiast usiadła.

-Wygrał? - Była zdumiona, bo cena budowlanej działki na Front Street wynosiła około czterdziestu tysięcy dolarów.

- A pewnie, kochanie ty moje - powiedział Theo, siadając z drugiej strony. - Podczas tej gry z Maćkiem Dun-drudge poobgryzałem sobie paznokcie do łokci. Wszyscy mówili, że z nim nie można wygrać, ale się mylili.

Beth zmarszczyła brwi. Nie spodobały jej się przechwałki Theo. Przeleciało jej przez głowę, że mógł oszukiwać.

- Nie martw się, Beth. - Jack uśmiechnął się szeroko, jakby czytał w jej myślach. - Wygrał uczciwie i bez krętactw. I miał dość rozumu, żeby przerwać grę, gdy podbechtal Macka do postawienia swojej działki budowlanej. Może stałoby się inaczej, gdyby stawką była jego kopalnia złota.

- Jesteśmy urządzeni - zachichotał Theo. - Możemy wybudować własny saloon, a na górze urządzić swoje pokoje. Zamontujemy ci nawet łazienkę z wanną, jaką zawsze chciałaś mieć!

Obaj byli zbyt pijani, żeby dokładniej wszystko opowiedzieć, Beth jednak zrozumiała, iż Theo zasiadł do gry z zamiarem podpuszczenia Macka, który miał postawić swoją działkę budowlaną na Front Street.

- Myślę, że on się nawet za bardzo tym nie przejął - stwierdził chytrze Theo. - Gdyby na stole leżał akt

246
własności jego kopalni złota, byłby mnie żyłował, aż musiałbym spasować.

- Theo udawał frajera - stwierdził Jack z twarzą rozjaśnioną podziwem. - Myślałem, że pod koniec ma złą kartę, pocił się jak prosię i wyglądał na przerażonego. Gdy Mack zechciał go sprawdzić, zapadła taka cisza, że mogłabyś usłyszeć spadającą szpilkę. Ja nawet nie popatrzyłem. Theo miał karete dziewiątek, a Mack karete ósemek. Wszyscy oszaleli. Nawet Mack przyznał, że trafił swój na swego.

Beth ponownie się położyła i usiłowała zasnąć, ale uniemożliwiły jej to pełne podniecania głosy podпиты chłopców, którzy wyszli z namiotu na papierosa i rozmawiali o przyszłym saloonie.

Ona też drżała z podekscytowania i była pewna, że wszystko w/ nim będzie wspaniałe. Jack już o to zadba. Czula nawet, że zmniejszy to ich ból po stracie Sama; świadomość, iż spełniają jego marzenie, była pocieszająca.

Ale osiągnięcie tego, co planowali od tak dawna, dzięki zwykłemu szczęśliwemu układowi kart sprawiało, że czula się osobliwie nierealnie.

W dniach, które nastąpiły potem, gdy chłopcy zabrali się do organizowania budowy domu gry, Beth zastanawiała się często, jak dziwne jest wszystko w tym mieście: trwający dwadzieścia dwie godziny dzień, nigdy niewy-sychające blocko, fałszywe frontony saloonów i parowce, które niemal codziennie przyływały z San Francisco i Seattle, przywożąc ładunki szampana, ostryg i wszelkich luksusowych towarów.

Wydawało się też dziwaczne i niezwykle to, że ludzie byli zmuszeni przetransportować tony żywności przez te góry tylko po to, żeby stwierdzić, że nikt nie potrzebuje mąki, cukru ani ryżu. Jeszcze dziwniejsze było dla niej, że tysiące ludzi, którzy zastawili wszystko, co mieli, żeby zdobyć wyposażenie na wyprawę i dla ziszczenia snu o bogactwie ryzykowali zdrowiem fizycznym i psychicznym, nie robili teraz nic, żeby znaleźć złoto.

Ona i chłopcy nigdy nie zamierzali zostać poszukiwaczami. Ale prawie wszyscy inni tego właśnie pragnęli. Jednak gdy tylko uwiązali swe łodzie przy brzegu - a zalegały teraz jezioro na sześć rzędów w głąb - wszyscy ci ludzie zaczęli wałęsać się po mieście, nie próbując nawet dostać się na złotonośne pola, jakby zadawała ich samo dotarcie do Dawson.

Beth mogła zrozumieć znużenie tych ludzi, którym dotarcie tutaj zajęło niemal cały rok i którym los nie oszczędził żadnych trudności ni cierpień. Większość spaliła za sobą mosty, porzuciła pracę, domy, niekiedy żony i dzieci, stracili też wszystkie pieniądze. Ryzykowali zdrowiem i rozumem, a niekiedy i życiem. Ale po kilku dniach odpoczynku z pewnością odzyskiwali siły. Dlaczego teraz usiłovali sprzedać resztki ekwipunku, żeby kupić bilet na parowiec do domu? Jak to się działo, że ich żądza złota tak nagle wygasła? A może tak naprawdę nie chodziło im wcale o złoto, tylko o przeżycie największej w życiu przygody?

Opowiadano, że w Dawson przebywa w przybliżeniu osiemnaście tysięcy ludzi, a jeszcze pięć tysięcy szuka złota w pobliskich strumieniach, co czyniło to miejsce równie gęsto zaludnionym jak Seattle. Ponieważ nie było już miejsca na namioty czy baraki, ludzie zaczęli się

496

osiedlać po drugiej stronie rzeki, gdzie powstało Louse Town.

Na brzegu tętnił życiem ogromny plac targowy. Sprzedawano tu psy, konie, sanie, worki mąki, pasiaste koszule, zużyte topory, ciepłą zimową jednoczęściową bieliznę, grube płaszcze i wysokie buty. Ludzie nieustannie przebierali w tych dobrach i ku rozczarowaniu pragnących wrócić do domów sprzedawców, przeważnie rezygnowali z kupna.

Ale każdy z parowców wypływał na brzeg setki ludzi: przybywały tu fordanserki, aktoreczki, dziwki, urzędnicy bankowi, lekarze i nawet ministrowie. Pojawiały się całe rodziny, w których rej wodziły wytworne damy w kapeluszach z piórami, trzymające się dzieci i mężów we frakach ze sztywnymi kołnierzykami. Ci ludzie przeważnie przyjeżdżali, żeby się rozejrzeć, bo z pewnością nie zamierzali imać się płuczek i patelni.

Było to szalone, dzikie miasto, do którego zjeżdżali różni uciekinierzy, niejednokrotnie ukrywający się przed prawem, natrętnymi żonami lub brutalnymi mężami. Nic nie znaczyły tu moralność ani pozycja społeczna wniesione ze świata zewnętrznego. Mężczyźni zadawali się z fordanserkami, kobiety piły w saloonach bez obowiązującego gdzie indziej towarzystwa mężczyzny i nawet dziwki traktowano z szacunkiem. Można było tu zostać, kim się chciało, nie liczyło się, skąd kto pochodzi. Ci, którym się powiodło, pomagali pechowcom, którzy nie mieli nic. Było prawie tak, jakby schodząc z pokładu parowca, ludzie zrzucali starą skórę i wdzielali nową, bardziej wygodną.

A jednak na razie wszystko to bardzo Beth odpowiadało. Jak długo mogła grać na skrzypcach, zapomniała

497

o wszystkim, co straciła i o tym, że na całej ziemi nie było miejsca, które mogłaby nazwać domem. Smutek ukryty w głębi duszy nadawał jej muzyce nowy wymiar i odkryła, że korzysta zeń, by igrać z uczuciami słuchaczy. Gdy któraś z granych przez nią melodii przypominała im starą miłość, matkę czy dzieci, wrzucali do kapelusza więcej grosza. Nie uważała, że kogokolwiek wykorzystuje, w końcu zarabiane przez nią pieniądze trafiały do kobiety piekącej chleb, chłopca sprzedającego jaja i dwojga ludzi z Idaho, którzy prowadzili restaurację. Któregoś dnia dzięki nim miała też wrócić do domu, żeby zobaczyć się z Molly.

Późnym popołudniem trzeciego lipca Beth stała na Front Street, patrząc, jak Jack i kilku wynajętych przezeń ludzi stawia fasadę ich saloonu. Szybkość, z jaką Jack nad tym pracował, była zaskakująca. W ciągu tygodnia postawił szkielet główny, pod koniec drugiego budowa miała już dach, a Jack kładł podłogę na piętrze. Praca szła szybko ze względu na długie dni; Jack nie żałował też pieniędzy na opłacanie robotników. Teraz budynek był bliski ukończenia. Na piętrze miał trzy pokoje, na dole rozległy bar, na tyłach kuchnię i spiżarnię.

- Niezła robota, Jack - zawołała Beth. - Ale mam nadzieję, że jutro nie będziesz pracować. To Dzień Niepodległości.

Choć Dawson City leżało na terenie Kanady, znaczną część jego mieszkańców stanowili Amerykanie i w związku z tym miał się odbyć wielki festyn z tańcami, pieczeniem wieprza i pokazami ogni sztucznych. Beth znalazła zdolną szwaczkę i kazała uszyć sobie

498

nową suknię z różowego jedwabiu, który udało się jej przenieść przez przełęcz.

Jack przerwał pracę i uśmiechnął się do niej szeroko.

-Jeden dzień odpoczynku mi nie zaszkodzi! Widziałas dzisiaj Theo? Przydałaby mi się tu jakaś pomoc.

- Rankiem poszedł na pocztę - odchrzyknęła Beth. -Wiesz, jak z tym jest.

Odbieranie poczty w Dawson stanowiło nie lada problem. Listy przywożono i wysyłano na wielu łodziach, ale często przez pomyłkę trafiały one do Juneau, Haines lub innych małych miasteczek leżących wzdłuż Inner Passage. W Dawson mieszkało mnóstwo ludzi, kolejki na poczcie były więc tak długie, że dotarcie do okienka zajmowało nieraz cały dzień i większość odchodziła zawiedziona, bo nie było do nich żadnej korespondencji. Beth nawet nie stawała w kolejce, gdyż jedynymi ludźmi, którzy do niej pisali, byli państwo Langworthy i nawet jeżeli dotarł już do nich napisany przez nią jeszcze nad Jeziorem Lindemana list, informujący o ich przybliżonej dacie pojawienia się w Dawson, nadejście odpowiedzi mogło zająć miesiąc albo i dwa.

Gdy tu przybyli, napisała drugi, żeby poinformować ich o śmierci Sama, ale ta wiadomość najprawdopodobniej ciągle znajdowała się na pokładzie parowca płynącego do Seattle.

Jednakże Theo postanowił przypuścić szturm na długą kolejkę, żeby wysłać swojej rodzinie telegram z informacją, gdzie się znajduje. Żartobliwie oświadczył, że nawet jeżeli nie obejdzie to jego ojca i starszego brata, wieści z pewnością uradują matkę i młodsze siostry. Beth po cichu podejrzewała, iż tak naprawdę chciał

499

się pochwalić, jak świetnie mu idzie, wiedząc, że owe wiadomości z pewnością dotrą do wszystkich starych znajomych.

-Jeżeli go zobaczysz, powiedz mu, że jest mi potrzebny - powiedział Jack. - To leniwy drań i pojawia się w pobliżu tylko wtedy, kiedy ma na to ochotę.

Beth pozostawiła ostatnią uwagę bez komentarza. Theo nie przykładał się do pracy na równi z innymi, ale z drugiej strony nigdy tego nie robił. Wychodził z założenia, że wygranie pieniędzy na budynek i przekazanie ich na zakup budulca i innych materiałów w zupełności wystarczy. Wszystkim musiał zajmować się Jack, począwszy od budowania saloonu aż po zakup i transport drewna. Nocą Theo sporadycznie zaglądał do Monte Carlo, żeby posłuchać gry Beth, często jednak musiała jadać sama, bo nierzadko wracał do namiotu koło siódmej albo ósmej rano, a potem spał cały dzień. Czasami zastanawiała się, czy w ogóle mu na niej zależy.

Zdecydowała, że przejdzie się na pocztę i sprawdzi, jak daleko posunął się w kolejce. Ale kiedy skręciła we Front Street, zobaczyła, że przebijają się przez tłum w jej kierunku. Machał rękoma i uśmiechał się szeroko.

Pomimo iż jego charakter nieco ją już rozczerował, rzadko kiedy zdarzały się dni, żeby Beth nie pomyślała, jak przystojnym jest mężczyzną. Nawet zimą, gdy chodził okutany w ciężki płaszcz, wdziewał kapelusz, szalik i miał gęstą brodę pokrywającą połowę twarzy, spojrzenie jego ciemnych, pełnych ekspresji oczu wciąż przyprawiało ją o szybsze bicie serca.

W jakiś sposób nawet w tym szybko rozwijającym się mieście pełnym nieokrzesanych ludzi udało mu się zachować nienaganny wizerunek angielskiego dżentelmena.

500

Jeszcze na rzece zgolił brodę, zaś jedną z pierwszych rzeczy, jakie zrobił po dotarciu do Dawson, była wizyta u fryzjera. W marynarce z jeleniej skóry, czerwonym krawacie i kapeluszu typu panama wyglądał, jakby właśnie wybierał się do Ascot¹. Końcowy efekt niszczyło jedynie błoto na skórzanych brązowych butach, na co narzekał niemal codziennie w trakcie ich pucowania.

- Dostałaś list - krzyknął, gdy zbliżyli się do siebie i wyjął z kieszeni kopertę, żeby pomachać nią do niej. - Nie chcieli mi go wydać, bo jest zaadresowany do Bol-tonów, ale poddali się, kiedy powiedziałem im, że to panińskie nazwisko Gypsy z Monte Carlo.

Beth roześmiała się.

- To od państwa Langworthych - powiedziała, już z oddali rozpoznając charakter pisma, i na ostatnich kilku krokach przyspieszyła, żeby jak najszybciej wziąć odeń kopertę. - Nie mogli chyba jeszcze dostać mojego listu wysłanego znad Jeziora Lindemana?

- Dawson City jest teraz na ustach każdego człowieka na świecie - odpowiedział Theo. - Myślę, że postanowili przysłać list tutaj, gdyż wiedzieli, że wcześniej czy później i tak tu trafisz.

- Wygląda na przemoczony - powiedziała dziewczyna, gdyż koperta była poplamiona i atrament był rozmyty

- Niektóre z listów są tak mokre, że z koperty nie sposób odczytać danych adresata albo w ogóle zostały tylko gołe kartki papieru. Dziś było tam pełno rozczerowanych ludzi, ale ty należysz do szczęściarzy.

249

¹Ascot - niewielkie angielskie miasteczko znane z odbywających się tu prestiżowych wyścigów konnych Royal Ascot Racecourse [przyp. tłum.].

Beth nie mogła doczekać się nowin, więc rozerwała kopertę.

- *Drodzy Beth i Samie* - przeczytała. - *Nie ma innego sposobu na przekazanie wam tych okropnych wieści, więc napiszę wprost.*

Beth poczuła, że po jej grzbiecie przebiegł zimny dreszcz, ale musiała czytać dalej.

Wybaczcie mi więc, że bez ogródek poinformuję Was, że dwa dni temu, siódmego marca, nasza najdroższa mała Molly zmarła na zapalenie płuc. W styczniu dopadło ją okropne przeziębienie i pomimo starań zarówno naszych, jak i lekarza, opieki, jaką ją otoczyliśmy, i zastosowanych leków przeszło w zapalenie płuc. Zmarła we śnie, kiedy siedziałam obok niej.

Edward i ja jesteśmy pogrążeni w rozpacz. Tak bardzo ją kochaliśmy i teraz bez jej obecności wszystko stało się szare i zimne. Mimo iż jesteście tak daleko, chcielibyśmy złożyć Wam najszczerze wyrazy współczucia, gdyż zdajemy sobie sprawę, jakim wstrząsem będzie dla Was owa wiadomość, tak samo jak dla wszystkich innych, którzy ją znali i kochali. Proszę, uwierzcie, że zrobiliśmy wszystko, co w naszej mocy. Pogrzeb odbył się tydzień po jej śmierci, czternastego marca i była to piękna i poruszająca ceremonia w St. Brides... Edward, pani Bruce, pani Cray i Kathleen -wszyscy ślą Wam swoje wyrazy współczucia i mamy głęboką nadzieję, że ten Ust odnajdzie drogę do Was. W gazetach bacznie śledzimy wiadomości o Klondike, zastanawiając się, czy udało się Wam bezpiecznie tam dostać. Jesteśmy przy Was myślami i modlimy się

250

w Waszej intencji; proszę, odwiedźcie nas, kiedy wrócicie do Anglii. Edward i ja jeszcze raz chcielibyśmy podziękować Wam za całą radość, jaką nas obdarowaliście, zostawiając Molly naszej opiece. Spędziła z nami tylko cztery krótkie lata, ale był to najszczęśliwszy czas, jaki kiedykolwiek przeżyliśmy.

Łącząc się z Wami w bólu w tych najsmutniejszych chwilach,

Ruth Langworthy

- Beth, co się stało? - zapytał Theo, zaskoczony żalem malującym się na jej twarzy

-Molly nie żyje - odpowiedziała przyciszonym, udręczonym tonem, wpatrując się w niego z rozpaczą.

-Umarła na zapalenie płuc.

Beth, wiem, że wieści o śmierci dziecka są okropnie smutne, ale musisz wziąć się w garść - powiedział Theo z naciskiem w głosie.

- Ona nie była zwykłym dzieckiem, tylko moją siostrą - odparowała Beth, zalewając się nową falą łez.

- Najpierw Sam, teraz Molly. Nie mam już nikogo.

Od otrzymania listu, który ją zdruzgotał, minął tydzień. Tamtego dnia Theo był pełen współczucia i starał się ją pocieszyć, ale już następnego, w Dzień Niepodległości, zostawił ją zapłakaną w namiocie i dołączył do świętujących mieszkańców Dawson.

Jack zaszedł do namiotu wczesnym wieczorem, bo spotkał Theo w saloonie i zorientował się, że Beth została sama.

- Myślę, że on po prostu nie wie, co może ci więcej powiedzieć, żeby ukoić twój ból - powiedział Jack w obronie Theo. - Beth, ja też nie wiem, ale po prostu czułem, że nie powinnaś być teraz sama.

- Dlaczego ty o tym pomyślałeś, a on nie? - zapytała z goryczą w głosie. - To nie twoje dziecko straciłam, tylko jego. Na przełęczu Chilkoot zapewniał, że mnie kocha i chce się ze mną ożenić.

Przecież wie, jak ciężko przeżyłam śmierć Sama; gdyby naprawdę mnie kochał,

z pewnością mógłby teraz wyczuć mój nastrój i wszystko zrozumieć!

- Och, Beth, tyle smutku cię spotkało - westchnął Jack i przysiadł obok niej, ujmując ją za rękę. - Gdy tylko na statku powiedziałaś mi o Molly, zrozumiałem, jak bardzo dręczy cię fakt, że musiałaś ją zostawić. Ale postąpiłaś słusznie. Pomyśl o wszystkich trudach, których doświadczyliśmy w Nowym Jorku. Chyba nie chciałabyś, żeby i ona przez to przechodziła?

- Ale nie mogę przestać myśleć, że gdyby była ze mną, to by teraz żyła.

Jack odgarnął włosy z jej twarzy i otarł oczy chusteczką.

- Ale znacznie większe jest prawdopodobieństwo, że złapałaby coś innego. A tak przynajmniej spędziła cztery szczęśliwe lata w domu, w którym była kochana i gdzie się o nią troszczono. Jej śmierć to tragiczna, okropna sprawa; jedyne, co mogę zrobić, to pozwolić ci się wypłakać.

Cierpliwie słuchał, kiedy wylewała cały swój ból wywołany śmiercią Molly, Sama, utratą dziecka i świadomością, że nigdy nie będzie mogła mieć kolejnego.

- To tak, jakby ktoś rzucił na mnie zły urok - powiedziała. - Co ja takiego złego zrobiłam, że teraz los tak się na mnie mści?

Jack nie potrafił znaleźć odpowiedzi na to pytanie, ale został z nią przez cały wieczór i przytulając do siebie, pozwolił jej wypłakać cały żal. Kiedy zaczęło robić się ciemno, odpalono tysiące sztucznych ogni i przystanęli razem przed namiotem, żeby je podziwiać. Ale hulakom świętującym w mieście nie wystarczył hałas fajerwerków i petard - zaczęli strzelać w niebo, w ruch poszły

252

też laski dynamitu. Psy znajdujące się w mieście były tak przerażone, że wiele z nich, uciekając przed wszechogarniającą wrzawą i hałasem, przepłynęło przez Jukon do Louse Town.

Beth z nienawiścią patrzyła na wszystkich radujących się w chwili, gdy ją spotkało tak straszne nieszczęście, i nie dała się namówić Jackowi do włożenia ładnej sukienki i zagrania na skrzypcach w Monte Carlo.

- Już nigdy nie zagram - poprzysięgła sobie.

Od Dnia Niepodległości Beth ledwie kilka razy wyszła z namiotu; wolala leżeć, pograżając się w bólu i goryczy Jack i Theo spędzali długie godziny przy budowie saloonu. Jack wiele razy starał się ją przekonać, żeby zajrzała zobaczyć, jak im idzie, albo znowu zaczęła występować w Monte Carlo, a Theo do dzisiejszego dnia niewiele wypowiadał się na ten temat.

- Ktoś jednak ci tu został: Jack i ja - stwierdził znużonym głosem. - Saloon jest skończony, możemy wprowadzić się choćby jutro. A ty jeszcze nawet tam nie byłaś.

- Bo mnie to nie obchodzi. Nic mnie już nie obchodzi - zaskąkała Beth. - Zostawiłam Molly z Langworthy-mi, ponieważ myślałam, że będzie miała z nimi dobre życie, ale mimo to zachorowała i umarła. Może gdybym została, to teraz by żyła.

- Nie bądź niemądra - powiedział Theo delikatniejszym tonem. Usiadł obok niej na podłodze namiotu i wytarł chusteczką łzy z jej twarzy. - Tak było jej pisane, tak samo jak i Samowi. Cokolwiek byśmy czynili, nie wierzę, żebyśmy zdołali zmienić nasze przeznaczenie. Ale nie możesz tu siedzieć i płakać do końca życia, bo to niczego nie zmieni. Zajmij się zamianieniem pokoi nad

507

saloonem w nasz nowy dom, a nie będziesz miała czasu rozmyślać o Molly. Chodź ze mną i rozejrzyj się tam. Jack ma dzisiaj wywiesić szyld. Postanowiliśmy nadać lokalowi nazwę „Golden Nugget”.

Beth chciała odmówić, ale w głębi duszy wiedziała, że wszystko, co powiedział, jest prawdą, a siedzenie w namiocie i rozpamiętywanie swego cierpienia niczego nie naprawi. Wstała więc niechętnie, znalazła grzebyk i przyczesła włosy

Theo pochwalil decyzję dziewczyny, klepiąc ją po ramieniu.

- Jeżeli chcesz, możesz się dzisiaj wykapać. Jackowi udało się uruchomić bojler. Wyobraź tylko sobie, kochanie, prawdziwa kąpiel! W mieście wszyscy będą nam zazdrościć. No chyba że uciekniesz nam parowcem do Vancouver pod koniec kwietnia.

- Dlaczego miałabym to zrobić? - zapytała. - Nie zostawiłam tam nic, do czego chciałabym wrócić.

Obląła się rumieńcem, gdy zrozumiała, że zabrzmiało to jak litowanie się nad sobą.

- Mamy salon gier, taki jaki chcieliśmy i bardzo mnie to cieszy - ciągnęła. - Przez jakiś czas jeszcze będę potrzebować cierpliwości. Mało kto zniósłby jedną po drugiej śmierć dwóch ukochanych osób.

- Wiem, skarbie - powiedział, obejmując ją ramionami. - Ale musisz zagrać w noc otwarcia, wszyscy się tego spodziewają.

Beth umyła twarz i razem z Theo poszła do nowo wybudowanego lokalu. Najwyraźniej wielu ludzi słyszało o tragedii, która ją spotkała, gdyż zatrzymywali się i składali kondolencje. Nie spodziewała się tego i świadomość, że ludzie jej współczują, podniosła ją na duchu.

508

Kiedy się zbliżyli, Jack właśnie skończył mocować szyld. Zsunął się po drabinie i przytulił dziewczynę.

- I co sądzisz? - zapytał.

Beth cofnęła się w głąb ulicy, żeby mieć lepszy widok. Gdy ostatni raz widziała budynek, fasada była ukończona tylko w połowie, a do tego składała się z surowego drewna. Teraz błyszczała lśniąca czerwoną farbą, a nad wejściem przyciągał wzrok czarny szyld ozdobiony wymalowanym złotymi literami napisem GOLDEN NUGGET.

- Wygląda cudownie - powiedziała, uśmiechając się po raz pierwszy od czasu, kiedy otrzymała wieści o śmierci Molly - Jack, jesteś cudotwórcą.

Usłyszawszy pochwałę, rozpromienil się.

- Miałem znaczną pomoc - powiedział szybko. - A teraz chodź i zajrzyj do środka.

Od czasu Skagway dziewczyna przyzwyczała się już do sztuczek, które stosowano, żeby stworzyć w sa-loonach przyjazną, choć pełną przepychu atmosferę. Za ozdobnymi fasadami kryły się nędzne budynki, wręcz namioty, a nawet w tych zbudowanych z drewna wewnętrzne ściany robiono z płótna przybitego do drewnianych pali.

Ale Jack obil drewniane ściany drugą warstwą drewna, sprawiając, że lokal był ciepły i bez przeciągów, oraz pomalował je na ten sam kolor, co na zewnątrz.

Jeszcze bardziej zadziwiające było malowidło widniejące na ścianie naprzeciw baru. Przedstawiało śnieżną przełęcz Chilkoot, którą ciągnęła wstęgą poszukiwaczy

- Kto to namalował?

- Enrico, ten mały facet z San Francisco, któremu pomagałem budować łódź przy Jeziorze Bennetta.

253

Beth skinęła głową. Przypomniała sobie drobnego, czarnowłosego mężczyznę, którego wzięła za Meksykanina.

-Jest fantastyczny - powiedziała. - Idealnie trafia w charakter tego miejsca. Ale bar też wygląda fantastycznie. Jack, jesteś taki mądry

Kontuar wykonano z pierwszorzędnego drewna pokrytego lakierem, wypucowanego niemal do zwierciadlanego połysku. Z zachwytem przejechała po nim dłonią.

- Dziś wieczorem muszę jeszcze położyć drugą warstwę lakieru na podłodze, a jutro rano możemy zacząć wstawiać meble - powiedział Jack. - Są już na zapleczu.

Beth spojrzała na duże lustro wiszące za barem i zobaczyła, że pokryte jest odciskami palców i smugami.

- Lepiej je wypucuję - powiedziała. Jack i Theo wymienili szerokie uśmiechy.

- Co w tym takiego zabawnego? - zapytała.

- Celowo je tak zostawiliśmy. Pomyśleliśmy, że pobudzi cię to do działania.

Beth uśmiechnęła się.

- Lepiej zaprowadźcie mnie na górę. Podejrzewam, że tam też przyda się trochę pracy.

Jack nie miał czasu, żeby zdziałać zbyt wiele na górze. Były tam po prostu trzy pokoje o nagich ścianach z desek, ale po życiu w namiocie i tak wydawało się to luksusem. Zajrzawszy do łazienki, niemal nie mogła uwierzyć, że Jack był na tyle przewidujący, żeby poprowadzić rury z kotła na dole i napelnić wannę gorącą wodą.

- Wiele pomógł mi pewien inżynier - powiedział skromnie. - Ale ubikacji nie dało się tu postawić, bo w mieście nie ma jeszcze rur kanalizacyjnych. Więc

254

dopóki nikt ich nie położy, musimy zadowolić się bud.) stojącą na zewnątrz.

Front Street był główną arterią Dawson City. Ludzie kłębili się tu przez całą dobę. Za dnia przypominała ona ogromny targ, na którym można było kupić wszystko -lekarstwa, konia, psa, jedzenie i każdy wykwinny towar sprowadzony przez kupców. Zaś nocą zamieniała się w hulaśliwy, pelen wszelkich uciech raj, gdzie można było wypić, zagrać w karty, zobaczyć przedstawienie albo -zwłaszcza kiedy było się splukanym - po prostu chodzić tam i z powrotem, obserwując innych.

Nawet w niedziele, gdy prawo stanowiło, że wszystkie lokale muszą być pozamykane, a funkcjonariusze Konnej Policji rygorystycznie to egzekwowali, ciągle gromadziły się tu tłumy.

Wszystkie najpopularniejsze saloony tancbudy i teatryki rewiowe znajdowały się na Front Street i zaciekle ze sobą rywalizowały. Wszyscy chcieli mieć najładniejsze tancerki, najwyższe stawki w grach w pokera, jak również najlepszych śpiewaków i komików.

Pomimo iż Beth, Theo i Jack byli w Dawson od niedawna, otwierając pierwszy saloon, który już zdążył przyciągnąć do siebie uwagę, wystarczająco wybili się ponad innych nowicjuszy, żeby nadano im ksyw-ki. Z jakiegoś powodu ludzie bardzo je tutaj lubili: Liü Cytrynowy Sok, Louie Dwa Kroki, Billy Koń i Johnson Głęboka Dziura to tylko niektóre, jakie wpadły im w ucho. Theo, podtrzymujący wizerunek angielskiego arystokraty połączony z reputacją dobrego gracza w pokera, został ochrzczony „Dżentelmenem”. Jacka cklowie

511

zwano „East End” Jackiem” i zyskał reputację człowieka, do którego należało zgłosić się po poradę, jeżeli chciało się coś wybudować. Beth ciągle nazywano „Gypsy”, przezwisko to przyłgnęło do niej jeszcze na szlaku, zaś w Monte Carlo reklamowano ją jako „Gypsy Queen z Klondike”.

Nie zmieniło to faktu, że kiedy po raz pierwszy otworzyli drzwi saloonu, wszyscy byli bardzo spięci. Większość innych lokali na Front Street należała do królów Eldorado, ludzi z działkami, które przyniosły im fortuny, którzy nie oszczędzili funduszy na kandelabry, aksamitne dywany, pięcioosobowe zespoły muzyczne i gromady dziewczyn, mających wabić rozrzutną klientelę. Ale pieniądze Theo się wyczerpały; na napitki, drewno oraz stoliki i krzesła musiał pożyczyć kilka tysięcy dolarów.

Wywiesiwszy na zewnątrz szyld kuszący klientelę napitkami za pół ceny, mieli nadzieję, że w połączeniu z grą Beth zapewni im to sukces. Theo wdział biały smoking, który przyjął w ramach regulacji kartanego długu jeszcze nad Jeziorem Bennetta. Z ozdobioną koronką i żabotem koszulą, muszką i ciemnymi włosami przyglądzonymi olejkami, był podręcznikowym okazem pewnego swego sukcesu właściciela saloonu. Jack miał na sobie czerwoną kamizelkę, muszkę w czerwone i białe grochy oraz słomkowy kapelusz.

Beth założyła swoją nową różową suknię, którą planowała wdziać w Dzień Niepodległości.

Zeszczupiała

East End - uboższe dzielnice Londynu położone we wschodniej części miasta [przyp. tłum.].

511

bardzo, gdyż odkąd otrzymała list o losie Molly, prawie w ogóle nie jadła i wyglądała tak blado, że musiała nalać róż na policzki.

Zaczęła grać jiga, gdy tylko przy barze pojawiło się pierwszych sześciu mężczyzn.

Barmanami byli Will i Herbert, dwaj mężczyźni z Portland, których poznali jeszcze przy Jeziorze Bennetta. Byli zdecydowani zbierać fundusze na powrót do domu i Theo obiecał im, że jeżeli przepracują u niego dwa tygodnie, kupi im bilety na łódź i da po pięćdziesiąt dolarów na głowę.

Gdy Beth wykonywała swój trzeci kawalek, zebrał się już spory tłumek i nagle poczuła podniecenie; teraz przyciągała ludzi, żeby wydawali pieniądze w ich lokalu. Miała nadzieję, że Sam przygląda się im teraz z góry i cieszy się, że w końcu udało się im dopiąć celu.

Wraz z upływem wieczoru pojawiała się coraz więcej ludzi, aż w końcu tłoczyli się niczym sardynki w puszcze. Theo nadzorował grę w faraona, wprost uwielbianą w Dawson City, gdyż toczyła się szybko i jej reguły były tak proste, że każdy mógł je ogarnąć.

Theo odkupił stół do faraona od właściciela parowca, który popadł w kłopoty finansowe.

Wymalowano na nim wizerunek każdej karty od jedynek aż po króla, zaś gracze umieszczali swoje żetony na karcie, którą chcieli obstawić. Krupier odsłaniał górną kartę z talii. Jeżeli pod spodem znajdowała się karta, którą ktoś obstawił, przegrywał, ale jeżeli pojawiła się jako druga, wygrywał. W innym razie obstawiano ponownie.

Na ścianie za Theo znajdowała się półka z przegródkami, na której trzymał sakiewki graczy. Ładowały też na

513

niej kwity obciążające właściciela na cenę wykupionych żetonów. Pod koniec gry wartość żetonów była porównywana z wekslami i zawartość sakiewki gracza pęczniała bądź ubożała w zależności od tego, czy wygrał, czy przegrał.

Główną walutą w Dawson było złoto, złoty proszek bądź samorodki i każdy sklep, saloon bądź inny interes dysponował odpowiednimi wagami. Gdy Beth i chłopcy po raz pierwszy przybyli do miasta, byli zdumieni swobodą, z jaką mężczyźni ciskali sakiewki zawierające złoto warte setki dolarów, ale zdążyli się do tego przyzwyczaić.

Kiedy Theo obsługiwał stolik faraona, Jack witał nowo przybyłych, kątem oka obserwując bar, jak również Willa i Herberta. Później Jack przejął kontrolę nad faraonem, a Theo rozpoczął grę w pokera i w przerwach między występami Beth również dyskretnie doglądała interesu.

Wkrótce stało się jasne, że będą musieli nająć kilka dodatkowych osób i kolejnego komika, żeby zabawiał publikę przez całą noc. Potrzebowali także większego zapasu napitków. Ale choć pod koniec padali ze zmęczenia, udało im się przetrwać tę pierwszą noc. O czwartej nad ranem skończyła się whisky, ale większość klienteli pozostała i piła wszystko, co dawało kopa. Na twarzy Theo malował się szeroki uśmiech, gdyż Sam Bonnifield, znany jako Cichy Sam, właściciel saloonów Bank i Gambling House na rogu ulic Front i King, przyszedł zagrać w faraona. Zyskał swój przydomek, ponieważ nigdy nie odzywał się ani słowem, ani nie uśmiechał, kiedy grał. Tego wieczoru nie miał szczęścia i był do tyłu o pięćset dolarów, a mimo to grał dalej.

514

O szóstej rano Theo w końcu zamknął podwoje lokalu. Był zbyt zmęczony, żeby zliczyć, ile zarobili tej nocy, ale szacował zysk na mniej więcej piętnaście tysięcy dolarów. Wystarczająco dużo, żeby spłacić długi, odnowić zapasy trunków i kupić trochę mebli do pomieszczeń na górze.

- Jak trochę odeśpię, kupię ci wielkie mosiężne łóżko z puchowym materacem - powiedział, obejmując Beth. - Obiecuję, że już nigdy więcej nie będziesz musiała spać na gołej ziemi.

Golden Nugget wkrótce stał się jednym z najpopularniejszych salonów gier w Dawson. Theo wykorzystał swoje sztuczki, żeby ściągnąć do pracy cztery dziewczyny, płacąc im małą prowizję od każdego kieliszka szampana, na który naciągnęły klienta. Rzecz jasna nie był to prawdziwy szampan, ale z drugiej strony niewielu ludzi w Dawson wiedziało, jak smakuje oryginalny. Dziewczyny dodały lokalowi kolorytu, gdyż flirtowały z mężczyznami, a jeżeli potem oddawały swoje ciało oferującemu najwyższą cenę, nikomu to nie przeszkadzało.

Paradise Alley za Front Street było miejscem, gdzie swoim interesem parali się dziwki z prawdziwego zdarzenia, urzędujące w rzędach namiotów zwanych kołyskami, każdy z imieniem przyjmującej w środku nad drzwiami. Były to w większości przeciętne, krzepko zbudowane, proste kobiety, delikatniejsze wyeliminowane zostały przez koszmarny warunki podróży. Obsługiwały około pięćdziesięciu mężczyzn dziennie, zaś większość zarobków zgarniali ich alfonsi; Beth nie wyobrażała so bie gorszego losu.

Z drugiej strony, sytuacja kobiet w Dawson ogólnie nie była najlepsza. Piekły chleb, robiły pranie, gotowały w restauracjach i pomimo faktu, że niektóre stać było na życie na wysokim poziomie, musiały bardzo ciężko pracować i często były związane z mężczyznami, którzy w okamgnieniu potrafili wydać ich zarobki. Te, które były żonami górników, spędzały dni, przepłukując sita, poszukując złota w odległych strumieniach, mieszkając w okropnych warunkach i nie mając możliwości porozmawiania z przedstawicielkami własnej płci.

Tylko mały procent kobiet żył w luksusie: były to aktorki, piosenkarki i fordanserki. Większość fordan-serek brała od mężczyzn o wiele więcej, niż im dawała. Za dolara poszukiwacz mógł potrzymać ją w ramionach niecałą minutę, zanim podeszła do następnego klienta. Jedna z dziewczyn miała pas z siedemnastu kawalków złota, każdy wart dwadzieścia dolarów - prezent od jednego z adoratorów. Prawie żadna dziewczyna nie kryła się z faktem, iż jej zadaniem było oskubanie mężczyzn z ich sakiewek.

Beth pracowała zbyt ciężko i długo, żeby pławić się w luksusie, ale wcale jej to nie przeszkadzało, gdyż powstrzymywało ją to przed rozmyślaniem o Samie i Molly. Theo dotrzymał słowa i kupił meble do pokoi na górze, wraz z obiecany mosiężnym łóżkiem i dywanami. Każdego wieczoru w saloonie panowała radosna atmosfera i fakt, że lokal zaczyna odnosić prawdziwy sukces, napawał ją satysfakcją. Kiedy nachodziły ją smutne myśli, przypominała sobie, że spełnia swoje marzenie. Nietrudno było być szczęśliwym w Dawson; ludzie byli tu przyjaźni i życzliwi i nie było dnia, żeby ktoś nie zrobił czegoś

257

ekstrawaganckiego, co doprowadzało wszystkich do śmiechu. Być może była trochę zawiedziona, bo z Theo mieli tak mało czasu dla siebie, ale kiedy nadszedł sierpień i mroźna pogoda, a dni pozbawione słońca były coraz bliżej, wielu ludzi zaczęło odpływać na swoich łodziach do Outside i wiedziała, iż niedługo będą mogli nacieszyć się sobą w pełni.

Miała też świadomość, że wyrobiła sobie pozycję w folklorze Dawson. W mieście było wielu grających na skrzypcach, ale żaden z nich jej nie dorównywał i wszyscy byli mężczyznami. Była też uważana za najładniejszą dziewczynę w Dawson, z czego Theo i Jack byli niezmiernie dumni.

W Dawson ludzie lubili historie, a o królach Eldorado, zwłaszcza o majątkach, które wygrali i przegrali przy stolikach do hazardu, krążyło ich dość, żeby zapełnić kilka książek. Wcale jej nie zaskoczyło, gdy dowiedziała się, że ludzie podbarwili opowieści o niej, Theo i Jacku. Pewnej nocy w saloonie podsłuchiwała mężczyznę mówiącego drugiemu, że Theo przeniósł ją przez przełęcz Chilkoot na barana. Potem zaczął opisywać, jak Sam zginął przy Squaw Rapids, tak jakby obserwował całe zajście, stojąc tuż obok.

Ale wydawało się, że ludzi najbardziej intrygują jej stosunki z Theo i Jackiem, gdyż rozeszła się wieść, iż nie jest żoną tego pierwszego.

Zdawała sobie sprawę, że wiele tancerek miało go na oku. Nie miała im tego za złe - był przystojny, charyzmatyczny, a teraz i bogaty, gdyż pieniądze napływały w zawrotnym tempie. Beth bawilo, kiedy zakradały się w swoich najwystawniej szych toaletach, flirtowały z nim i próbowały zwabić go do tancbud, w których pracowały.

517

Znała Theo na tyle dobrze, żeby mieć pewność, iż jeżeli skusi się na inną kobietę, z pewnością nie będzie to zwykła tancerka.

Pewnego sierpniowego deszczowego popołudnia w Golden Nugget pojawił się człowiek z nie byle jaką historią do opowiedzenia, taką, która miała przewrócić świat Beth do góry nogami.

Kiedy wszedł, grała na skrzypcach; wysoki mężczyzna ubrany w krótki, gruby, wełniany płaszcz w kratę i kapelusz o szerokim rondzie; wyglądał jakby znajomo, ale w saloonie było za ciemno i było w nim duszno od dymu, więc nie widziała go wyraźnie.

Jak zawsze grała przez pół godziny, po czym robiła krótką przerwę, i gdy podeszła do baru, żeby się napić, mężczyzna złapał ją za ramię.

- Witaj, panno Gypsy - powiedział. - Miałem nadzieję, że cię tu spotkam.

Przyjrzawszy się jego twarzy, rozpoznała Mossa At-kinsa, jednego z drabów Mydlarza ze Skagway.

Kiedy tam pracowała, często zachodził do Clancy's i miał reputację człowieka okrutnego. Natura obdarzyła go też twarzą, której trudno było nie zauważyć, z jaskrawonie-bieskimi oczami i śladami po ospie na policzkach.

- Witaj, Moss - powiedziała. - Dobrze znowu cię widzieć. Przybyłeś niedawno?

- Jestem tu od kilku dni; zastanawiam się, czy lepiej byłoby odejść, zanim zamarznie rzeka, czy przeczekać zimę i przy okazji porobić trochę interesów.

- Chyba lepiej pójdziesz ci w Skagway - powiedziała, uśmiechając się. - Konni są bardzo czujni. Żadnej broni ani machlojek. Jeżeli przyłapią cię na wykroczeniu, wlepią ci do dziewięćdziesięciu dni wyrębu drzew.

258

Mówiło się, że ludzie przyłapani na przestępstwie, których skazano na grzywnę, niewiele sobie z tego robili - zazwyczaj nie mieli problemu z jej splatą. Ale kara w postaci zmuszenia do wyrębu drzew skutecznie odstraszała potencjalnych kryminalistów. Była to żmudna, ciężka praca i większość skazanych na nią wołała dać drapaka z miasta.

- Cóż, może więc lepiej się zmyję - powiedział, chichocząc bez cienia radości. - Ale jeszcze nie wiem, dokąd. Po tym, jak zastrzelili Mydlarza, Skagway straciło swój urok.

- Mydlarz nie żyje? - wykrzyknęła Beth.

Może gdyby nie była tak zaskoczona, zorientowałaby się, że rozmowie przysłuchują się ludzie. Ale tak bardzo chciała dowiedzieć się, jakie były okoliczności wydarzenia, iż nie przyszło jej do głowy, że mądrzej byłoby zachować większą dyskrecję.

- Nie słyszałaś? To było ósmego lipca. Frank Reid zastrzelił go przy doku.

- Ale dlaczego? - zapytała, gdyż wspominała Franka Reida jako nieszkodliwego człowieka, bardziej zainteresowanego planowaniem rozwoju miasta niż walką.

Moss rozpoczął historię, jak to poszukiwacz złota zwany J.D Stewart wrócił z Jukonu do Skagway z kwotą dwóch tysięcy osmiuset dolarów w złotym proszku. Został okradziony i panowało powszechne przekonanie, iż była to robota jednego z ludzi Mydlarza. Kupcy w Skagway wpadli w panikę, gdyż bali się, że jeżeli miasto zyska złą sławę miejsca, którego ludzie ze złotem powinni unikać, wszyscy poszukiwacze zaczną je ograżać szlakiem morskim i tym samym pozbawi.) handla rzy ich zyskownego interesu. Zażądano, żeby Mydlai

519

natychmiast oddał Stewartowi jego złoto i miastowi zaczęli się od niego odwracać.

- Koniec końców, Mydlarz podchmielił się, wpadł w gniew i ruszył do doków z derringerem* w rękawie, coltem kaliber .45 w kieszeni i strzelbą Winchester przewieszoną przez ramię - powiedział jej Moss. - Frank Reid już na niego czekał i powiedział Mydlarzowi, żeby ten nie robił ani kroku dalej. Mydlarz przystawił strzelbę do głowy Reida. Ten odsunął lufę lewą ręką, a drugą sięgnął do pasa po swój sześciostrzałowiec. Strzelił, ale nabój był wadliwy i w tej samej chwili Mydlarz wygarnął ze strzelby, trafiając Reida w krocze. Ale tamten ponownie wypalił, tym razem trafiając Mydlarza prosto w serce. Zmarł na miejscu.

Beth gwałtownie wciągnęła powietrze, tak samo jak inni w zasięgu głosu Mossa, gdyż wszyscy w Dawson słyszeli o Mydlarzu Jeffersonie Smisie, nawet jeżeli w drodze tutaj nie przechodzili przez Skagway.

Ludzie dookoła zaczęli zadawać Mossowi pytania, zaś on wyraźnie delektował się faktem, że przyniósł do Dawson wieści i znalazł się w centrum uwagi.

-Taa, Reid również zmarł, ale powolną, bolesną śmiercią. Mydlarz przynajmniej nie cierpiał. Zarówno Theo, jak i Jack zbliżyli się, tak samo jak inni zainteresowani elektryzującymi nowinami. Moss dalej rozprawiał o tym, jak wielu ludzi Mydlarza wyruszyło na szlaki i w góry, żeby uniknąć schwytania przez straż obywatelską, która zamierzała ich powiesić.

Derringer - typ małych pistoletów mających w od jednej do czterech luf, na amunicję dużego kalibru. Jedna z ulubionych broni szulerów ze względu na możliwość ukrycia jej w rękawie [przyp. tłum.]

520

- Może to i dobrze, że zostawiłaś wtedy Mydlarza -nagle zwrócił się do Beth. - Powiedział mi, że jesteś jego kobietą, ale chyba trudno ci było przymykać oko na wszystkie jego nikczemności. A już na pewno nie wtedy, kiedy kazał zastrzelić twojego drugiego przyjaciela.

Żołądek Beth skręcił się w supel i zobaczyła, że twarz Theo stężała.

- Mydlarza i mnie nic nie łączyło - powiedziała. -I jestem pewna, że to nie on kazał zastrzelić Theo, najwyraźniej coś ci się pomyliło.

Moss gorzko się roześmiał.

- Maleńka, nic mi się nie pomyliło, byłem z Mydlarzem, kiedy zlecił morderstwo. „Wyeliminuj tego Anglika, mam plany w stosunku do jego pani”, tak właśnie powiedział. Widywałem cię też z nim tuziny razy, więc jeżeli między wami nic nie było, to ja już nic nie wiem.

W tym momencie wtrącił się Jack, sugerując, że już czas, by Beth ponownie zagrała. Moss opuścił saloon wkrótce potem.

Następnego dnia wypadła sobota i jako że zaspali, musieli w pośpiechu otworzyć saloon. Beth zdawała sobie sprawę, że Theo zachowuje się w stosunku do niej z rezerwą, ale byli tak zajęci, że nie było czasu porozmawiać o tym w cztery oczy

W niedzielę nie obudzili się aż do późnego popołudnia, ale kiedy Beth przytulila się do Theo, spodziewając się, że będą się kochać, jak robili to zazwyczaj, wstał i zaczął się ubierać.

- Gdzie idziesz? - zapytała.

- Mam pewne sprawy do załatwienia - odpowiedział lakonicznie.

521

Po tym, jak wyszedł, Beth stanęła w oknie, patrząc ponad Front Street na rzekę i wyczuwała szybko zbliżającą się zimę. Drzewa w górach były wieczniezielone, więc liście nie przybrały jesiennych barw jak w Anglii, Ameryce czy Montrealu. Mówiono jej, że w miesiącach zimowych temperatura potrafiła spaść tu do minus pięćdziesięciu stopni i sama myśl o tym sprawiła, że przebiegł ją dreszcz.

Cztery godziny później Theo wciąż nie było. Beth spędziła ten czas na nadrabianiu drobnych obowiązków, jak podszywanie rąbka jednej z sukni, praniu i pisaniu listu do Langworthych. Na zewnątrz ciągle mocno padało i nie mogła sobie wyobrazić, gdzie poszedł Theo, skoro wszystkie lokale były zamknięte.

Później wraz z Jackiem przyrządzili w kuchni posiłek i zostali tam, delektując się ciepłem bijącym od piecyka.

- Jest zły o to, co powiedział Moss - wyrzuciła z siebie później Beth. - Ale nie rozumiem, dlaczego wyładowuje się na mnie. W końcu to on przeprowadził się do tej dziwki z Red Onion, a ja opiekowałam się nim, kiedy go postrzelono.

- Nie dałbym wiary słowom nikogo, kto pracował dla Mydlarza Smitha - powiedział Jack. - I byłbym zaskoczony, gdyby Theo podszedł do tego inaczej. Ale wczoraj w nocy wieść obiegła całe miasto i kilku ludzi sobie z niego dowcipkowało. Podejrzewam, że trochę go to zabolalo.

Tego wieczoru Theo nie wrócił do domu. W poniedziałek pojawił się w południe, żeby otworzyć saloon, ale nie wyjaśnił ani słowem, gdzie się podziewał. Jako że zdawało się, iż niczym się nie gryzie i jest po prostu trochę wyciszony, Beth postanowiła nie drażnić sprawy i wyszła zrobić zakupy.

522

Nie było jej przez kilka godzin i kiedy wracała do Golden Nugget usłyszała dobrze już znany dźwięk parowego rogu, sygnalizujący odpłynięcie parowca. Kiedy skręciła we Front Street, zobaczyła pokaźny tłum machający na pożegnanie i przyłączyła się do niego, jak zwyczajowo robili wszyscy znajdujący się w pobliżu.

Kiedy Beth wróciła, Jack powiedział, iż Theo poszedł z utargiem do banku. Minęła godzina, a potem następna, a on ciągle nie wracał.

- Pewnie rozgrywa gdzieś partyjkę pokera. Miejmy tylko nadzieję, że najpierw zaniósł forszę do banku - ze śmiechem powiedział Jack.

Trochę po siódmej do saloonu wkroczył Wilf Donahue, szerzej znany jako Jednooki z powodu swego szklanego oka. W Golden Nugget był stałym klientem, choć sam posiadał podobny lokal na King Street. Beth uważała, że pulchny mężczyzna z Kansas o czerwonej twarzy ma grubiańskie maniere i pozwala sobie na zbyt wiele, ale Theo postrzegał go jako zabawnego i twierdził, że jest popularną osobą.

- Chcę, żebyś wyszła tam i grała, moja mała - powiedział Wilf do Beth, wskazując na małe podwyższenie, na którym zazwyczaj dawała występy. - Bez muzyki nie ściągniemy żadnych klientów.

- A od kiedy to wydajesz tu polecenia? - zapytała lekkim tonem, przyjmując, że miał to być dowcip.

- Od drugiej po południu, kiedy stałem się właścicielem tego saloonu - odpowiedział.

Rozdział trzydziesty drugi

Gdzie Jack i ja będziemy spali? - zapytała następnego dnia Jednookiego wzburzona Beth. Posiniała z wściekłości, kiedy podsłuchiwała, jak mówił Dolores i Mary, dwóm dziewczynom z saloonu, że mogą wprowadzić się na górę.

- Nie zabiorę ci twojego pokoju, no chyba że dalej będziesz taka pyskata - powiedział. Stał do niej bokiem; jego zdrowe oko skierowane było na nią, ale drugie nieruchomo wpatrywało się w pustkę. - Ale Jack będzie musiał przeprowadzić się na dół do kuchni, bo obiecałem jego pokój kolejnej grupie dziewczyn.

Przez chwilę miała wrażenie, że eksploduje, ale powstrzymał ją strach, iż Jednooki może wylać z pracy zarówno ją, jak i Jacka.

- Panie Donahue, to niesprawiedliwe - powiedziała proszącym tonem. - Jack wybudował to miejsce i jest ono naszym domem. Proszę nam tego nie robić! Wystarczającym wstrząsem dla nas był fakt, że Theo sprzedał panu lokal bez żadnych konsultacji z nami.

Poprzedniego dnia na początku wraz z Jackiem myśleli, że Jednooki żartuje sobie z nich, stwierdzając, że kupił saloon. Był znany ze swojego specyficznego

poczucia humoru i za każdym razem, kiedy w przeszłości zachodził do Golden Nugget, ubrany w kraciasty garnitur w krzykliwych kolorach i stetsona udekorowanego piórami, wygłaszał jakąś skandaliczną uwagę. Miał też skłonność do szastania pieniędzmi i choć uważali go za idiotę, to takiego z rodzaju nieszkodliwych.

Ale ku ich przerażeniu wyciągnął legalny dokument sporządzony przez miejscowego prawnika i podpisany przez Theo, stanowiący dowód, iż kupił lokal z całym dobytkiem za osiemdziesiąt tysięcy dolarów.

Oslupieli, że Theo był na tyle okrutny, iż dobil tego targu, i że z powodu tchórzostwa zniknął na całą noc i tym sposobem nie musiał stawić im czoła. Mimo to miał tupet, żeby z zimną krwią pojawić się w poniedziałek, już po podpisaniu dokumentu i spieniężeniu przekazu bankowego, i zabrać utarg oraz w sekrecie spakować parę swoich rzeczy. Zamienił nawet kilka słów z Jackiem, po czym spokojnie wyszedł, żeby złapać parowiec - jak na ironię dokładnie ten, na pożegnanie któremu machała Beth. Jack wprost dygotał z wściekłości; gdyby nie on, Theo nigdy nie postawiłby saloonu. Ale błysk łez w oczach sugerował, że najbardziej zranił go fakt, iż traktował Theo jak brata i nie mógł uwierzyć w jego zdradę.

Beth nie mogła ogarnąć całej tej sytuacji. Trwałaby u boku Theo niezależnie od tego, jaki los by go spotkał, nawet gdyby przegrał saloon w partii pokera. Może ich związek ostatnimi czasy uległ ochłodzeniu, ale ciągle go kochała i była przekonana, że jej uczucie jest odwzajemnione. Ale odkrycie, że tak po prostu ją zostawił, po wszystkim, co razem przeszli i kim byli dla siebie, i że

262

zależny mu bardziej na pieniądzach niż na niej, było po prostu druzgocące.

Niestety, nie było żadnej prawnej możliwości anulowania kontraktu. Właścicielem ziemi był Theo i nigdy nie zawarł z nimi żadnej umowy odnośnie oddania im części interesu, mimo iż zawsze mówił, że zamierza to zrobić. Jeżeli Jednooki zdecydowałby wyrzucić ją i Jacka na ulicę, mógł to zrobić w majestacie prawa.

Żeby jeszcze dolać oliwy do ognia, musieli teraz być wdzięczni nowemu właścicielowi za to, że był gotowy dalej ich zatrudniać i dawać dach nad głową.

Od otwarcia Golden Nugget nie dostali nawet przyzwoitej zapłaty, a Jacka nigdy nie wynagrodzono za postawienie lokalu. Od czasu do czasu, kiedy czegoś potrzebowali, brali po kilka dolarów, naiwnie wierząc, że pieniądze wędrujące na konto saloonu należały do całej trójki, tak samo jak dzielili się wszystkim w przeszłości.

Jednooki przyglądał się dziewczynie z zimnym wyrachowaniem. Nie podobały mu się ból i złość w jej oczach; skrzywdzone kobiety zawsze oznaczały kłopoty. Ale musiał znaleźć jakiś sposób, żeby ją udobruchać, gdyż doskonale zdawał sobie sprawę, że to ona była główną atrakcją Golden Nugget. Prawdę rzekłszy, nie kupiłby tego miejsca, gdyby nie ona. Sprytni rozdający, fordanserki i utalentowani barmani byli równie pospolici, co pijacy Ale śliczna skrzypaczka to rzadkość porównywalna z udomowionym niedźwiedziem grizzly.

Wiedział, że musi jakoś ją nabrać, żeby została jeszcze przez tydzień albo dwa, do czasu aż zamarznie

527

rzeka; wtedy nie będzie miała innego wyboru, jak pozostać tu przez całą zimę. A jeżeli uda mu się pozbyć „East End Jacka”, być może nawet zaciągnie dziewczynę do łóżka.

- Posłuchaj, moja mała Gypsy Queen - powiedział przesłodzonym głosem. - Współczuję ci, że twój facet dał dyla. Był gniadą, skoro zrobił ci coś takiego. Ale zapłaciłem za ten lokal kupę forsy i teraz chcę, żeby zaczął przynosić zyski. Więc muszę zmienić charakter tych dwóch pokoi. Ale wiesz co? Kiedy będziesz grała, będę puszczał w tłum kapelusz i możesz zatrzymać wszystko, co do niego wrzuca. Co ty na to?

Beth była zbyt wyprana z uczuć, żeby klócić się dalej. Bez Theo i tak nie będzie mogła nazwać tego miejsca domem, więc pomyślała, iż nie ma znaczenia, czy będą w nim mieszkały cztery dziewczyny. Jak zawsze, gra na skrzypcach ukoiliła jej nerwy. Może nie nakłoniła nikogo do poderwania się na nogi i tańca - w gruncie rzeczy jej smutne melodie doprowadziły niektórych ze słuchaczy do płaczu. Ale kiedy między tłum puszczono kapelusz, doliczyła się w nim ponad trzydzieści pięć dolarów, co było potwierdzeniem, że ma niezwykły talent, dzięki któremu nigdy nie będzie głodować.

Tej nocy klientela nie dopisała i Jednooki pozwolił im zamknąć o pierwszej, kiedy w lokalu pozostało ledwie kilka osób. Dziewczyny miały wprowadzić się dopiero jutro, więc Jack złapał butelkę whisky i zaproponował, żeby utopić smutki.

-Założę się, że Theo dogadał się z Jednookim już jakiś czas temu, ale nie miał jaj, żeby wcześniej to

528
przeprowadzić - powiedział trochę później Jack, kiedy siedzieli naprzeciwko siebie na łóżku Beth, z nogami przykrytymi kołdrą, wymieniając się butelką. - A potem, kiedy usłyszał, jak ten śmieć mówi o Mydlarzu Smisie i tobie, dostrzegł w tym idealną wymówkę, dzięki której nie wyszedłby na kompletnego gnoja.

- Ale to oznacza, że przestało mu na mnie zależeć wieki temu - powiedziała Beth łamiącym się głosem, czując, jak wzbiera w niej kolejna fala lez. - Dlaczego nie mógł się do tego przyznać?

- Wątpię, żeby o to chodziło. Był hazardzistą w każdym calu - przypomniał jej Jack. - Założę się, że myślał tylko o pieniądzach, na których położy rękę. Z utargiem i pieniędzmi w banku, wszystkiego razem musiało być ponad osiemdziesiąt tysięcy dolarów. Taka sumka ustawiłaby go na wiele gier w pokera o wysokie stawki. Albo po prostu zobaczył te pieniądze jako jedną wielką wygraną i zdecydował się wycofać, póki był na plusie.

- Ale byłem z nim na dobre i na złe. Powiedział, że mnie kocha i że wie, iż wszędzie za nim pójdę. Więc dlaczego nie chciał wziąć mnie ze sobą teraz?

- Nie wiem, Beth - powiedział Jack, potrząsając głową. - Ale spójrz, jak wyglądały sprawy od opuszczenia Filadelfii. To Sam i ja utrzymywaliśmy go na powierzchni. Fakt, dzielił się z nami, kiedy udało mu się wygrać, ale bez nas nigdy nie przedostałby się do Kanady, a co dopiero dotarł tutaj. Może to do niego dotarło i poczuł się nieswojo. Ulotnienie się z lupem mogło sprawić, że poczuł się wolny.

- Żeby znaleźć jakąś kobietę z wyższych sfer, która nie będzie przynosić mu wstydu - powiedziała gorzko. Przypomnij sobie, jak zachowywał się w Montrealu;

.529

zawsze starał się wkręcić w wykwintne towarzystwo. Nie obchodziło go, że muszę pracować w fabryce i mieszkać w ruderze. Zależę się, że był wniebowzięty, kiedy straciłam nasze dziecko i doktor oznajmił, iż nie będę mogła już zająć w ciąży. Tym sposobem nie miał żadnych zobowiązań. Ależ byłam idiotką.

Jack nachylił się i ujął jej dłoń, żeby dodać jej otuchy. Ale nie zaprotestował i nie oświadczył, że nie ma racji.

- Cóż, mam nadzieję, że straci wszystkie te pieniądze w następnej grze - powiedziała zjadliwie. - Kiedy wyląduję w rynsztoku bez grosza przy duszy, mam nadzieję, że przyczolga się z powrotem do mnie, żebym mogła kopnąć go w twarz.

Przez chwilę pili w ciszy, obydwójce głęboko pogrążeni w gorzkich myślach.

- Czy między tobą a Mydlarzem coś było? - zapytał Jack potem. - Wiem, że spędziłaś z nim noc, ale czy nie było czegoś więcej?

- Nie, ale mogło być. - Westchnęła, a potem opowiedziała Jackowi, jak poznała Mydlarza i wypila z nim drinka ostatniego dnia w Skagway oraz że to on podwiózł ją później do Dyea na koniu. - Bardzo go lubiłam, ale jak okazało się później, dobrze zrobiłam, że go nie wybrałam. Przecież niewiele różnił się od Theo, prawda? Myślisz, że to prawda, że Mydlarz kazał komuś go zabić?

- Być może, ale nie sądzę, żeby chodziło tylko o ciebie. Myślę, że Theo przekroczył pewną granicę. Obydwaj byli oszustami, podobnymi jak dwie krople wody. Nie chodzi mi tylko o karty czy kobiety, ale o wszystko. Posługiwali się swoim urokiem, żeby oczarować ludzi i móc ich wykorzystać. Ze mnie na pewno Theo zrobił

530

wala, a najbardziej boli mnie to, że byłem gotowy oddać za niego życie.

W połowie października w Dawson zrobiło się o wiele ciszej. Spadł śnieg i Jukon zamarzła na kamień, wykorzystywana była teraz przez zaprzęgi ciągnące zapasy do kopalni złota bądź przywożące drewno na opał.

Poszukiwacze złota, którzy dotarli tu w czerwcu i włóczyli się po błocie niczym zagubione dusze, w większości wrócili do domu, póki jeszcze można było dostać się do granicy. Gdy zabrakło statków przywożących bądź zabierających ludzi, nabrzeże opustoszało. Dym z tysiąca kominów tworzył szarą mgłę na tle jeszcze bardziej szarego nieba.

Położone niżej zbocza gór, które otaczały Dawson, оголоcono z drzew, pozostawiając poczerniałe pniaki niczym morze gnijących zębów; wśród ludzi ciągle mieszkających w sponiewieranych namiotach szerzyły się choroby. Miasto wybudowano na bagnistym terenie i przez całe gorące lato, bez kanalizacji i w koszmarnych warunkach sanitarnych, choroby takie jak tyfus, dyzenteria i malaria zebrały swoje żniwo. Było wiele zachorowań na szkorbut, tak samo jak zapalenie płuc.

W większości przypadków mieszkańcy Front Street nie mieli pojęcia o trudnej sytuacji biedniejszych obywateli, bądź nie byli zainteresowani, gdyż stać ich było na rozpalanie w swoich bojlerach, kominkach i piecykach, mieli też regularnie opróżniane wygodki i pełne spiżarnie. Pojawiła się elektryczność, jak również telefony, więc dla ludzi z zasobnymi kieszeniami Dawson było równie radosne i kolorowe jak Paryż, pomimo silnego mrozu.

531

Beth odkryła, że nie potrafi patrzeć obojętnie na los chorych i biednych. Każdego dnia gotowała duży garnek zupy i wiozła ją na saniach do wielebnego Williama Judge, wątłego i kościstego księdza, który prowadził mały szpital u stóp góry na północnym krańcu Dawson.

Jak dla niej wielebny Judge był świętym. Niezmordowanie pracował od wczesnego ranka do późnych godzin wieczornych, pomimo przeraźliwego zimna mając na sobie jedynie wystrzępioną sutannę. Beth podejrzewała, że jego zakonnice nie miały tak czystego sumienia i okradaly umierających pacjentów, więc zostawała, dopóki nie zobaczyła, że chorzy wypili zupe, aby upewnić się, iż nie była wynoszona i sprzedawana dla zysku.

Jack również z każdym dniem tracił złudzenia odnośnie mechanizmów funkcjonowania Dawson. Większość ludzi podlizywała się majętnym, podziwiając ich ostentacyjne bogactwo, a jednocześnie robiąc wszystko, żeby jego część trafiła w ich ręce. Brzydziło go, że wielu najbogatszych ludzi w mieście oszukiwało biednych, placąc im psie pieniądze za pranie, rąbanie drewna i inne podrzędne prace. Kiedy Jednooki kazał mu wyrzucać z salo-onu ludzi, którzy długo sączyli jeden napitek w ciepłe, Jack odmówił. Wiedział, że część z tych ludzi może pomrzeć z zimna w swoich namiotach lub nieogrzewanych chatach i wedle jego opinii Jednooki mógł okazać trochę chrześcijańskiej życzliwości. Pomiedzy tymi dwoma było wiele zatargów, gdyż Jednooki nie okazywał żadnego szacunku dla uczciwości i człowieczeństwa Jacka.

- Muszę odejść - w końcu ogłosił Beth Jack pewnej listopadowej nocy po zamknięciu baru. - Jeżeli tego nie zrobię, pewnego dnia stracę panowanie na sobą i mu

532

przywałę. Rozwadnia alkohol, zrobił z dziewczyn dziwki i zabiera większość pieniędzy, które zarabia; mam też wrażenie, że kantuje przy grach. Nie mogę dalej stać bezczynnie i nie chcę mieć z tym nic wspólnego.

Beth również była przerażona, kiedy cztery dziewczyny z saloonu zaczęły wieczorami znikać na górze z mężczyznami, bo wprawdzie, kiedy Theo je przyjął, żadna z nich nie była cnotką, ale nie były też dziwkami. Dolores zwierzyła się jej, że Jednooki oznajmił im, że albo będą dawały każdemu mężczyźnie, którego im wskaże, albo stracą pracę.

Dziewczyny były zdane na jego łaskę, a Beth darzyła je wielką sympatią. Żadna z nich nie była szczególnie ładna albo chociaż rozgarnięta, ale inne saloony miały zajęte wszystkie posady, więc nigdzie indziej nie znalazłyby pracy. Jedyne, na co mogły liczyć, to to, że któryś z górników weźmie je na „zimową żonę”, żeby ogrzewała go w łóżku i gotowała mu posiłki. Ale zimna, prymitywna chata na skraju miasta, bez własnych funduszy i w towarzystwie mężczyzny niedarzonego miłością było prawdopodobnie równie złe jak bycie dziwką.

- Dokąd pójdziesz? - zapytała Beth. Perspektywa jego odejścia sprawiła, że poczuła, jakby ktoś ścisnął jej serce lodowatą dłonią. Myślała, że pogodziła się z utratą Sama i Molly, ale kiedy opuścił ją Theo, wszystkie poprzednie smutki wróciły ze zdwojoną siłą. Bez Jacka, jej jedyne wiernego, prawdziwego przyjaciela załamała się, a być może nawet skusi, żeby skończyć ze sobą tak, jak zdarzało się to innym porzuconym w Dawson kobietom.

Ale już od tygodni zdawała sobie sprawę, że Jack gardzi Jednookim i nienawidzi go; zmuszanie przyjaciela do pozostania tu dla niej, byłoby samolubstwem.

265

- Do Bonanzy*. - Wzruszył ramionami. - Jest tam wiele do osiągnięcia.
- Ale to bardzo ciężkie życie - zaprotestowała.
- Nie aż tak, jak kłanianie się i usługiwanie staremu Jednookiemu - powiedział, uśmiechając się krzywo.
- Wróć, kiedy na wiosnę pęknie lód, a jeżeli do tego czasu nie usidli cię jakiś bogaty i przystojny mężczyzna, to może obydwójce będziemy gotowi do powrotu do Outside**.
Beth uśmiechnęła się słabo, po błysku w oku Jacka poznała, że w zasadzie podobał mu się pomysł szukania złota w Bonanzie. Nigdy nie bał się ciężkiej pracy i trudnych warunków, a tutaj w Dawson więcej miał wspólnego z górnikami niż z szulerami, pasożytami i osobami z wyższych sfer. Tylko wpływ Theo sprawił, że został barmanem, choć w rzeczywistości było go stać na więcej.
- Nie mam już ochoty na żadne romanse, ale wiem, że będę za tobą strasznie tęsknić - wyciągnęła rękę, żeby go objąć. - Uważaj na siebie i przysyłaj mi wiadomości, żebym wiedziała, jak się miewasz.
Jack wyruszył dwa dni później zaprzęgiem z poszukiwaczem złota, niejakim Calem Burgessem. Beth poszła na zamrznięty brzeg, żeby go pożegnać, uśmiechając się słabo, choć chciało się jej płakać. Malamuty ujadły wściekle i ciągnęły swoje uprzęże, rwąc się do drogi.
Bonanza Creek - dopływ rzeki Klondike wpadający do niej w pobliżu Dawson, wzdłuż jego brzegów były kopalnie złota [przyp. red.].
Outside - mieszkańcy Alaski tak określają pozostałą część Stanów Zjednoczonych [przyp. red.].

266

Kiedy Cal wskoczył na sanie i dał psom sygnał, z ochotą wyrwały do przodu.
Jack odwrócił się z twarzą na wół zakrytą kapturem obszytym wilczą skórą i podniósł rękę odzianą w grubą wełnianą rękawicę, ale widząc jego ściągnięte usta, wywnioskowała, że niepokoił się, zostawiając ją samą.
Kiedy Theo zostawił ją bez słowa pożegnania, naprawdę było to okropne przeżycie. Czula się porzucona, upokorzona i miała wrażenie, że wszystkie jej nadzieje i marzenia legły w gruzach. Ale ostatecznie poskładała w pamięci pewne drobne elementy ich związku, zrobiła listę jego wszystkich wad oraz niedociągnięć i w końcu rozjaśniło jej się w głowie; stwierdziła, że tak naprawdę zawsze szukał tej jednej wielkiej szansy na zrobienie pieniędzy. Powinna zmartwić o wiele wcześniej i nie ufać mu aż tak bezgranicznie.
Ale żadnymi uczuciami nie mogłaby zrównoważyć smutku, jaki poczuła, gdy Jack wyruszył w dalszą drogę. Rzadko kiedy mijala godzina, żeby o nim nie pomyślała. Gdy zaparzała pierwszy kubek kawy danego dnia, wyobrażała sobie jego zaspaną, pokrytą ciemną szczecina twarz, na której pojawiał się uśmiech, kiedy go budziła. Potem, kiedy saloon był już otwarty, przypominała sobie, jak w przerwach, przy braku klienteli, siadywała na stolku przy barze i gawędziła z nim, gdy czyścił półki i polerował szklanki.
Wspólnie też skrycie pokpiwali z klientów. Jack krzywym uśmiechem lub podniesieniem brwi potrafił jej zwrócić uwagę na potężny nochał, wadę wymowy, skłonność do notorycznego kłamstwa bądź jakkolwiek inną ułomność stojącego przy barze jegomościa. Czasami nie mogli powstrzymać się od śmiechu i musieli kryć się za

535

barem albo wybiegać na zaplecze, bojąc się, że ktoś zażąda, żeby wyjaśnili swoje zachowanie. Jednakże najbardziej tęskniła za wieczorami, gdyż zawsze koło szóstej szli razem na kolację. Gdy wracali z posiłku, zmieniała ubranie i czesała włosy, co Jack kwitował gwizdem uznania, kiedy wkraczała do saloonu, żeby podjąć grę. Zawsze tam był, podziwiając ją i wspierając, przyjaciel, który nigdy jej nie zawiodł. Nie zdarzyło się, żeby nie miał chwili na rozmowę czy to w dzień, czy w nocy, i cieszył się, siedząc w przyjacielskiej ciszy, kiedy właśnie tego w danej chwili potrzebowała. Sięgając w głąb pamięci, musiała przyznać, że tak było zawsze. Gdyby nie przekonał jej, żeby udała się do Heaney, być może nigdy nie zagrałaby dla publiczności, tylko znalazła pracę w jakimś sklepie. Nie dał za wygraną, kiedy porzuciła go dla Theo i mimo wszystkich jego przelotnych miłości, a było ich wiele, nigdy nie dopuścił, żeby zagroziły ich przyjaźni. Dodał jej sił i pocieszył ją, kiedy straciła dziecko; zajął się też wszystkim w Skagway Przeprowadził ich przez przełęcz Chilkoot. Dzielił jej ból po śmierci Sama i rozumiał, co poczuła na wieść o śmierci Molly. Pocieszał ją nawet wtedy, gdy ulotnił się Theo. Ale teraz wyruszył ułożyć swoje własne życie i choć bardzo za nim tęskniła, cieszyła się z tego powodu. Spędził za dużo czasu, wspierając ją, Sama i Theo; nadeszła pora, żeby wykorzystał swoją energię i umiejętności dla własnych korzyści. Zdała sobie sprawę, że musi postąpić tak samo. Od momentu, kiedy spotkała Theo i zakochała się w nim, praktycznie oddała swoje życie w jego ręce. Nigdy nie próbowała się zastanowić, czy naprawdę chce

267

być częścią jego wspaniałych planów; w rzeczy samej, zatraciła umiejętność czynienia własnych. Patrząc wstecz, wydało jej się nieprawdopodobne, że przebyła tyle tysięcy mil i zniosła tyle niewygod tylko po to, żeby być u jego boku. W kilka tygodni po odejściu Jacka, gdy szcztokowała włosy w swoim pokoju, dotarło do niej, że Jednooki wykorzystywał ją dokładnie tak samo, jak Pat Heaney w Nowym Jorku. Godząc się na przyjmowanie pieniędzy z kapelusza i zadowolając tym, że pozwolił jej zatrzymać pokój na górze, oddawała się właściwie w jego ręce. Wykorzystywał ją i jeżeli nie będzie uważała, wpadnie w pułapkę taką samą, jak Dolores i inne dziewczęta z saloonu. Zarabiała około 200 dolarów tygodniowo, ale wysokie koszty życia w Dawson mocno dawały się we znaki, zwłaszcza że kupiła kilka nowych sukni, futro i grube, futrzane buty. Podczas całego zamętu, w jaki popadli, żeby się tu dostać i utrzymać na powierzchni wariackiego wiru, jakim było Dawson, straciła z oczu najważniejszy powód, dla jakiego puściła się na te niebezpieczne wody. Plan był taki, że mieli tu się dorobić nieliczej fortuny. Theo osiągnął swój cel, ona jednak ciężką pracą dorobiła się stu sześćdziesięciu dolarów oszczędności. Z taką sumą daleko nie zajdzie.

- No, no, złotko, daj buziaka!

Beth odskoczyła z odrazą, gdy podpity Jednooki zaczął się do niej ldeić. Miał na sobie garnitur w czarne i żółte paski, nieco przyciasny w pasie i opinający mu brzuch. Lśniący potem gęba zionęła pijackim oddechem.

537

Była czwarta nad ranem po gwarnej nocy, podczas której przy stolikach grano o wielkie stawki. Jednooki jak zwykle siedział przy stoliku, popijając ze swoimi ochroniarzami, podnosząc głos tylko po to, by zamówić kolejny napitek, wskazać pomagierom pijaka, którego należało wyrzucić z lokalu, lub klepnąć po tyłku jedną z paradujących zwykle po Paradise Alley i zagładających tu coraz częściej dziwek.

Pokerzyści wynieśli się przed godziną. Wszyscy gracze wrócili do domów i jedynymi klientami było sześciu czy siedmiu ludzi tak pijanych, że spali z głowami na stołach albo monotennie kiwali się na krzesłach.

Barman, którego zwano Śliskim, co Beth uznała za właściwe przezwisko dla człowieka przywłaszczającego sobie zapłatę za drinki, zamykał interes, żeby pójść do domu. Poprosił Beth o pomoc, a gdy zaproponowała Jednookiemu, żeby wyrzucił pijaków, ten nagle się ożywił. Nie wyrzucił jednak żadnego z nich, tylko zaczął się przystawiać do Beth.

- Odczep się, wstręciuchu! - syknęła. - Nie jestem żadną z twoich dziwek. Dotknij mnie choćby, to pożałujesz!

- Raz jeszcze powiesz coś takiego i wywalę cię na ulicę - wybelkotał.

Spojrzała z pogardą na zataczającego się mężczyznę i tym razem przypomniała sobie, że ona jest osobą, która cieszy się w mieście sporą popularnością, podczas gdy Jednooki był przedmiotem kpín i żartów.

- Wyrzuć tylko tych pijaczków - powiedziała. - Potem idź do domu. Rozmówimy się rano.

Gniewnie ruszyła schodami na górę i zamknęła za sobą drzwi. Wątpiła, żeby Jednooki wyrzucił pijaczków

538

albo zaczął się do niej na serio dobierać - pomimo pozorów był mięczakiem. Istniały spore szanse, że nie ruszy się z miejsca, nie ryzykując wystawienia nosa na mróz.

Był wczesny grudzień, a na ulicach panował taki mróz, że śnieg był twardy jak cegła i oddech parzył płuca. Jedynym powodem, dla którego nie podjęła próby wcielenia w życie opracowanego przed dwoma tygodniami planu, było ciepło i wygoda pokoiku nad Golden Nugget. Czula się tu bezpiecznie, mimo konieczności znoszenia odrażającej obecności Jednookiego. Poczucie bezpieczeństwa zniknęło jednak, gdy zaczął sobie wyobrażać, że ona jest jego własnością. Wczoraj w nocy był pijany, ale na trzeźwo mógł się okazać niebezpieczny. Niedobrze byłoby puścić mu to plazem, bo gotów byłby jeszcze oskarżyć ją o jakieś przestępstwo, żeby się zemścić za odmowę.

Kiepsko spała, bo każde skrzypnięcie schodów kazało jej myśleć o tym, że być może Jednooki idzie na górę. O dziewiątej zrezygnowała z prób zaśnięcia i wstała.

Najpierw udała się do saloonu, gdzie znalazła wszystkich mężczyzn leżących bez przytomności na podłodze. Jednooki ciągle ścisnął w ręce butelkę whisky i z szeroko otwartymi ustami głośno chrapał. Smród spowodował, że skręcił jej się żołądek; nie chodziło tylko o wymiociny na podłodze, ale o coś jeszcze bardziej odrażającego.

Założyła płaszcz i futrzaną czapę, po czym wyszła tylnymi drzwiami.

Postawiła sobie za punkt honoru nigdy nie myśleć o Theo, ale nie mogła powstrzymać się od wyobrażenia sobie jego przerażenia, gdyby zobaczył to, co ona przed chwilą. Dbał o to, żeby nie podawać więcej napitków mężczyznom, którzy tracili kontrolę nad swoim

268

zachowaniem. Jeżeli klient wyglądał, jakby miał za chwilę wywinąć orła, kazał przyjaciółom nieszczęśnika odprowadzić do domu, żeby odespał libację. Nikomu nie uszłoby na sucho leżenie po pijaku na podłodze jego saloonu.

Było za wcześnie, żeby saloony były otwarte, więc weszła do kawiarni na King Street i zamówiła śniadanie.

O jedenastej weszła do Monte Carla

- Chciałabym zobaczyć się z panem Fallonem -oznajmiła młodemu człowiekowi, który zamiatał podłogę. - Powiedz mu, że przyszła Gypsy.

Odkąd pracowała tu ostatnio w czerwcu, lokal zmienił właścicieli kilka razy i każdy kolejny czynił go bardziej wytwornym, dodając lustra, świeczniki, olejne obrazy i dywany. Obecny właściciel, John Fallon, miał reputację dżentelmena z Południa, który miał jeszcze większe plany wobec tego miejsca. Do tej pory go nie poznała, ale była całkiem pewna, że on słyszał o niej.

- Jeszcze śpi - odpowiedział młodzieniec.

- No to go obudź - rzekła zwięźle. - Muszę dzisiaj spotkać się jeszcze z kilkoma osobami.

Zniknął na zapleczu i usłyszała tupot butów na schodach prowadzących na górę. Kilka minut później dobiegł ją odgłos kroków kogoś schodzącego na dół i serce podeszło jej do gardła, bo założyła, że Fallon odpowiedział posłańcowi, iż nie ma zamiaru ruszać się z łóżka dla nikogo.

Ale ku jej zdziwieniu nie był to młody pracownik, lecz mężczyzna przed czterdziestką. Jego jasne niczym słoma włosy były zmierzwione i miał na sobie satynowy

269

strój wieczorowy, zarzucony na dość brudną koszulę bez kołnierzyka.

- John Fallon do usług, proszę pani - powiedział, ujmując jej dłoń i składając na niej pocałunek. - Proszę wybaczyć mi mój wygląd. Gdybym wiedział, że do mojego lokalu zawita Gypsy Queen z Klondike, wystroiłbym się i przygotował na pani przybycie.

- To ja powinnam przeprosić za tak wczesną wizytę -odpowiedziała.

- Spotkanie z panią jest dla mnie prawdziwym zaszczytem. - Uśmiechnął się. - Jestem wielkim wielbicielem pani muzyki. Często kręciłem się w pobliżu Golden Nugget, żeby posłuchać pani gry W Wirginii mieliśmy wielu skrzypków, ale nie sądzę, żebym słyszał lepszego od pani.

Serce Beth przyspieszyło.

- Cóż, dziękuję panu - powiedziała pospiesznie. -Więc może przyszłam w odpowiednie miejsce.

Dodały jej otuchy jego szeroki uśmiech i zainteresowanie malujące się w bładoniebieskich oczach.

- Widzi pan, szukam nowego lokalu do gry A Monte Carlo odpowiadałoby mi w sam raz, pod warunkiem, że moje wymagania nie będą stanowiły dla pana problemu.

- Może byłaby pani skłonna mi je zdradzić? - powiedział, zaś jego twarz przybrała przebiegły wyraz.

- Pięćdziesiąt dolarów za noc, plus to, co klienci wrzucą mi do kapelusza. I zakwaterowanie.

Gwałtownie wciągnął powietrze.

- Pięćdziesiąt dolarów za noc to za dużo. Mogę jedynie przystać na dwadzieścia pięć.

541

Beth zamierzała przystać na piętnaście, ale wyższa oferta zwiększyła jej pewność siebie.

- W takim razie przykro mi, panie Fallon, nie mogę dla pana grać - powiedziała i odwróciła się, żeby wyjść z lokalu.

Właśnie miała pchnąć drzwi, kiedy kaszlnął znacząco.

- Może mógłbym przystać na trzydzieści pięć - powiedział.

Beth odwróciła się.

- Panie Fallon, niechże pan da spokój. Chyba nie chce pan, żebym zaczęła grać w Criterionie, prawda? Ustalmy stawkę na czterdzieści pięć i nie będę musiała im składać oferty. Pod warunkiem, że pokój, który mi pan zapewni, będzie spełniał odpowiednie standardy.

Wahał się tylko sekunde.

- Zgoda - powiedział, podchodząc do niej, żeby uścisnąć jej dłoń. - Kiedy może pani zacząć?

- A kiedy będzie gotowy mój pokój? - zapytała.

- Za godzinę? - zasugerował. Skinęła głową.

- Czy któryś z pańskich ludzi mógłby odprowadzić mnie do Golden Nugget, żebym mogła zabrać swoje rzeczy? Obawiam się, że Jednooki może być trochę niezadowolony z mojego odejścia.

- Sam chętnie z panią pójdę - powiedział, uśmiechając się szeroko. - Proszę mi tylko dać pięć minut, żebym odpowiednio się ubrał.

Widok Jednookiego targanego nieopanowanym wzburzeniem, kiedy zobaczył Johna Fallona na schodach, z naręczem pełnym sukienek Beth, był ogromnie satysfakcjonujący

542

- Gdz-gdz-gdzie ty z tym idziesz? - wyjąkał.

- Do mojego lokalu - odparł lekkim tonem Fallon. Odwrócił się do Beth, która stała za nim na schodach. - Czy ma pani już wszystko?

- To, co dla mnie istotne - powiedziała, uśmiechając się do Jednookiego z wyższością. W jednej ręce miała swoje skrzypce, a w drugiej walizkę wypakowaną pozostałymi drobiazgami. - Możesz teraz oddać mój pokój kilku następnym dziwkom. Będziesz potrzebował nowych atrakcji, żeby bez mojej pomocy przyciągnąć klientelę.

- Nie możesz, ot tak, po prostu mnie zostawić! - zaprotestował Jednooki.

- Ależ panie Donahue - powiedziała Beth słodkim głosem. - Srający we własne gacie i rzygający na podłogę klienci nie zwracają uwagi na muzykę... i może pan teraz zamienić całe to miejsce w burdel. Poradzi pan sobie.

Cieszyła ją świadomość, że Dolores, jedna z największych plotkar w Dawson, stała u góry schodów i podsłuchiwała. Do wieczora historia obiegnie całe miasto.

Jednooki spróbował zastawić Fallonowi drogę do tylnych drzwi, ale ten po prostu odepchnął go na bok.

- Proszę się upewnić, żeby przed otwarciem ktoś tu wysprzątał - powiedziała dziewczyna szorstkim głosem, kiedy lekkim krokiem mijala Jednookiego. - W przeciwnym razie ludzie mogą pomyśleć, że znalazł się pan na równi pochylej.

- Ten facet, Jednooki, musiał być niespełna rozumu, żeby pozwolić pani odejść - powiedział Fallon, wnosząc ubrania Beth do jednej z frontowych sypialni w Monte Carlo. - Miło było patrzeć, jak go pani usadziła.

270

- Mój czas w Golden Nugget dobiegł końca - powiedziała stanowczo. - Prosiłabym, żeby pan więcej o tym nie wspominał.

Położył jej suknie na łóżku i uśmiechnął się.

-Wcale mi to nie przeszkadza, za to uważam, że dla uczczenia nowego początku powinniśmy napić się szampana.

- Byłoby bardzo miło. - Uśmiechnęła się. Podobał jej się wygląd i maniere tego człowieka. Od tej pory zamierzała przestać oglądać się za siebie i w pełni wykorzystać możliwości, które się jej nadarzą. Tego wieczoru Monte Carlo pękało w szwach i kiedy Beth przed swoim występem wyjrzała przez poręcz, domyśliła się, że wieści o jej ostatnim wyczynie znane są już całemu miastu i każdy dołożył od siebie jakieś dramatyczne szczegóły.

Fallon wystawił na zewnątrz szyldy ogłaszające, że będzie tu dzisiaj grała, a młody Tom właśnie poinformował ją, iż przed chwilą mijal Golden Nugget i było tam tylko trzech czy czterech klientów. Zamierzała zarobić tu mnóstwo pieniędzy. Miała najlepszy pokój w lokalu, z puchowym materacem na łóżku i toaletką, której nie powstydziliby się królowa Saba. Zainstalowano nawet elektryczność i pomieszczenie wypełniało przyjemne ciepło.

Wspomnienia o Theo były teraz ledwie bólem porównywalnym do starego złamania, które odzywa się w pochmurne dni. Wiedziała, że świetnie poradzi sobie bez niego.

Kiedy wróciła do pokoju, żeby zabrać skrzypce, spojrzała na swoje odbicie w dużym lustrze na półpiętrze.

271

Jej włosy lśniły niczym gorąca smoła, oczy błyszczwały z podniecenia, a policzki oblały rumieńce. Wiedziała, że fioletowa sukienka z satyny z czarnymi koronkowymi falbankami (niedawno kazała ją uszyć krawcowi), sięgające do łokci czarne koronkowe rękawiczki bez palców i fioletowy kwiat we włosach nadają jej wprost zabójczy wygląd.

- Zrób z tego swoje atuty - wyszeptala do siebie. - Bądź Gypsy Queen.

Przez resztę grudnia aż do Nowego Roku dziewięćdziesiątego dziewiątego Beth odnosiła w Monte Carlo spektakularne sukcesy. Każdej nocy dawała dwugodzinne występy, ale często przyłączała się też do innych muzyków. John Fallon lubił, kiedy krążyła wśród jego klientów i każdy wieczór wydawał się jej radosnym przyjęciem.

Sylwester i jej późniejsze dwudzieste drugie urodziny w styczniu były prawdziwymi gwoździami programu, gdyż Fallon wydał prywatne przyjęcie dla najbogatszych i najbardziej wpływowych ludzi w mieście, zaś w dzień jej urodzin zorganizował jedno specjalnie dla niej i podarował jej złotą bransoletkę.

Sposób, w jaki Fallon wsunął biżuterię na jej nadgarstek i pocałował ją w dłoń, powiedziały Beth o jego pożądaniu i z radością odkryła, że również go pragnie, gdyż oznaczało to, iż w końcu uwolniła się od Theo.

Nie miała ochoty na kolejny poważny romans, ale była gotowa na przelotną miłość. Rzecz jasna, nie od razu - chciała najpierw w pełni ocenić Fallona — ale w międzyczasie mogła z nim pofirtować.

Czasami w ciemne i mroźne dni stycznia i lutego Beth wręcz cieszyła się z faktu, że Theo ją zostawił,

545

bo gdyby ciągle był w pobliżu, nigdy nie odkryłaby, że może być silna i niezależna. W końcu była panią swojego losu, stała się żywą legendą Dawson i wiedziała, że jeżeli kiedykolwiek zdecyduje się opuścić to miejsce, wiara w siebie i we własne możliwości sprawią, że wszędzie odniesie sukces.

Na początku marca zdecydowała, że może sobie wreszcie pozwolić na noc miłości. Od kilku tygodni trudno jej było skupić myśli na czymkolwiek innym; często w środku nocy budziła się ze snów pełnych erotycznych uciech.

Prawo w Dawson stanowiło, że w każdą sobotę wszystkie lokale miały być zamknięte o północy i odkąd Beth przeprowadziła się do Monte Carlo, po zawarciu drzwi Fallon zawsze otwierał butelkę szampana i prosił ją, żeby się do niego przyłączyła.

Od początku pracy w Monte Carlo odkładała wszystkie zarobione pieniądze, ale dla Fallona chciała ubrać się wyjątkowo, więc kazała krawcowej uszyć nową szkarłatną suknię, wzorowaną na strojach tancerek flamenco, z głębokim dekoltem, bufiastymi rękawami z falbankami, ciasno przylegającym, wciętym gorsetem zachodzącym poniżej bioder i morzem falbanek opadających aż do stóp.

Była to wspaniała suknia, której nigdy nie ośmieliłaby się założyć poza Dawson; częścią jej uroku była świadomość, że jest wyzywająca i na jej widok uniesie się w górę niejedna brew. Wiedziała, że ludzie ciągle plotkują o porzuceniu jej przez Theo i być może ta suknia uświadomi im, iż dawno już zapomniana o tym epizodzie. Naprawdę tak czuła, gdyż zakładając swoją

546

nową, jedwabną, obszytą koronkami bieliznę, myślała tylko o tym, jak Fallon będzie rozwiązywał sznurówki gorsetu i rozpinął guziki; wywołało to rumieńce na jej policzkach.

Tego wieczoru grała tylko dla niego. Saloon był wypełniony ludźmi po brzegi. Wszyscy klaskali i śmiali się, a wybijąc stopami rytm, patrzyli na nią, siedzącą na małej scenie. Ale ona nie spuszczała spojrzenia ciemnych oczu z twarzy stojącego w rogu baru Fallona. Nie był tak oszalamiająco przystojny jak Theo; miał bladą skórę, przeciętne rysy twarzy i bladoniebieskie oczy. Ale potrafił się stylowo ubrać - dziś pod ciemną marynarkę włożył jedwabną kamizelkę w kolorze morskiej zieleni, ręce miał gładkie, przyciął paznokcie, zaś uśmiech błakający się na jego ustach przeznaczony był tylko dla niej.

- Wyglądasz dziś przepięknie - powiedział Fallon, podając jej kieliszek szampana w swoim saloniku po tym, jak saloon został zamknięty - Do twarzy ci w tej nowej sukni.

W niewielkim pokoju była tylko kanapa przed kominkiem, duże, drewniane, wypolerowane do gładzi biurko i krzesło oraz sejf wyladowany wszelkiego rodzaju papierami. Stąd Fallon prowadził saloon, zaś przyległy pokój był jego sypialnią.

- Dziękuję, panie Fallon - powiedziała, uśmiechając się.

- Mów mi John - powiedział, stając plecami do kominka. - Trudno mi będzie uwieść damę, która zwraca się do mnie per pan.

- A więc zamierzasz mnie uwieść? - zapytała figlarnie.

547

- Miałem zamiar to zrobić od momentu, kiedy pierwszy raz pojawiłaś się w moim saloonie. - Wyszczerezył zęby w uśmiechu. - Ale wyczuwam, że dziś wieczór postanowiłaś wreszcie mi ulec. Czy nie tak?
- Czy jakakolwiek dama przyznałaby się do tego otwarcie?
- Owszem, taka szczerza jak ty., tak. Wstała i odstawiła kieliszek na biurko.
- Więc może lepiej będzie, jeżeli mnie pocałujesz.

Ostatnimi czasy Beth spędziła wiele czasu, obserwując jego usta. W gruncie rzeczy były w nim najbardziej atrakcyjne. Wargi miał pełne, ładnie wycięte i w kącikach lekko unoszące się ku górze, tak jakby nie opuszczał ich uśmiech. Miała nadzieję, iż jest to oznaką, że John dobrze całuje. Położył dłoń na jej biodrze i przyciągnął ją do siebie, patrząc na nią z radością w oczach.

- Mam nadzieję, że się ze mną nie droczysz!

Nie odpowiedziała, gdyż ich usta się spotkały i objął ją ramionami.

Dobrze całował, nie był zbyt natarczywy, ale i nie niezdecydowany, a kiedy wsunął w jej usta swój język, poczuła, że oszołamia ją pożądanie.

Ściany w Monte Carlo były jedynie cienkimi drewnianymi działówkami; odgłosy rozmów, śmiechów i wchodzenia oraz schodzenia po schodach były nieco rozpraszające. Gdy John, wciąż całując, pchnął ją na łóżko, Beth zaczęła się obawiać, że ktoś usłyszy jej ciężki oddech. Wsunął dłoń pod gorset i uwolnił jej piersi; musiała stłumić jęk rozkoszy, gdy zaczął je całować.

548

- Piękne piersi - wymruczał, muskając sutki językiem. - Tak długo marzyłem, żeby to zrobić.

Jego dłoń zakradła się pod suknię, pieszcząc gładką skórę nad jej pończochami, po czym powoli zaczęła torować sobie drogę pod jej majteczkami, dopóki nie dotknął jej płci.

-Wilgotna - wyszeptał. - Naprawdę musisz mnie pragnąć.

Beth zapomniała o ludziach, którzy mogliby ich usłyszeć, palce Johna pobudziły ją tak, że prawie krzyknęła. A gdy bezceremonialnie podwinął jej suknię i patrzył na jej ciało, poczuła się jak kobieta nikczemna i rozpustna.

Posiadł ją na kanapie, gdy obydwoje byli jeszcze ubrani, wbił się w nią z siłą, która jednocześnie wywołała u niej uczucie przerażenia i dreszcz emocji.

- Bardzo przepraszam, to nie było zbyt szarmanckie z mojej strony - powiedział, kiedy legł wyczerpany. -Wybacz mi.

- Nie ma powodu do przeprosin - powiedziała, bo choć zbliżenie nie dało jej całkowitej satysfakcji, było bardzo przyjemne.

- Pogniotłem też twoją suknię - powiedział, wyglądając na zatroskanego.

-Nic jej nie będzie. - Roześmiała się. - A teraz, idziemy do twojego łóżka czy mam wracać do swojego pokoju?

- Proszę, zostań ze mną - powiedział, ponownie ją całując. - Chcę ci udowodnić, że potrafię być też czułym kochankiem.



John, wstawaj, na zewnątrz coś się dzieje - powiedziała Beth, mocno potrząsając ramieniem mężczyzny.

Minęło jakieś sześć czy siedem tygodni od czasu, kiedy pierwszy raz poszła z nim do łóżka i nigdy nie dał jej powodu, żeby tego żalowała. Okazał się nie tylko czułym, ale też bardzo wymagającym kochankiem. Często brał ją szybko w ciągu dnia, pomiędzy występami, kiedy przy barze na dole kłębiło się pełno ludzi, a mimo to był gotów na więcej, gdy we wczesnych godzinach porannych w końcu zamykał podwoje saloonu.

Właśnie tego potrzebowała Beth. Teraz już prawie w ogóle nie myślała o Theo, a jeżeli nawet, to wspomnienia bardziej ją bawiły, niż bolały. Nawiązała tu wiele nowych znajomości, miała pieniądze zaoszczędzone na przyszłość, a ponieważ pracowała tylko wieczorami, starczało jej czasu, żeby w ciągu dnia pomagać w szpitalu.

Ciągle tęskniła za Jackiem, ale co kilka tygodni ktoś przyjeżdżający z Bonanzy przynosił jej list od niego. Pracował dla Eda Osborne'a, starego kwaśniaka, zwanego czule Ostrygą bądź Ozem, gdyż rzadko kiedy opuszczał swoją działkę. Beth wyczuwała, że Jack jest tam szczęśliwy, gdyż listy pełne były drobnych zabawnych historyjek o poznanych przezeń poszukiwaczach.

Cała ta sytuacja całkowicie Beth satysfakcjonowała. Jej związek z Johnem był oparty na wspólnym pożądaniu; nie potrzebowała ubierać go w pozory miłości, i nie miała złudzeń, że rokuje nadzieje na przyszłość. John miał w Wirginii żonę i trójkę dzieci; był na tyle szczery, że od początku nie krył, iż ma zamiar sprzedać Monte Carlo w połowie lata i wrócić do domu.

- Tam zawsze coś się dzieje - odpowiedział John zaspianym głosem, starając się przyciągnąć ją do siebie. — Spij dalej.

Beth właśnie miała znowu się do niego przytulić, kiedy usłyszała okrzyk „Pożar!” i natychmiast wyskoczyła z łóżka, żeby podbiec do okna.

Widziała jedynie złocisty blask dalej na Front Street, ale dla niej był to wystarczający dowód. Tym razem obudziła Johna piąstkami, gdyż w jej pamięci wciąż tkwił pożar z końca dziewięćdziesiątego ósmego i pamiętała, jak szybko może się rozprzestrzenić. Tamtej nocy spłonęły do cna hotele Greentree i Worden oraz poczta, zaś mężczyźni musieli zawalić pobliskie domy i budowle, żeby powstrzymać ogień przed objęciem większego obszaru.

John popędził, żeby obudzić wszystkich w Monte Carlo, podczas gdy Beth wdziała swoje najcieplejsze ubranie, gdyż na zewnątrz było czterdzieści stopni poniżej zera.

Z sercem bijącym niczym młot Beth biegła z Johnem w kierunku ognia. Do tej pory większość mieszkańców i właścicieli nieruchomości na Front Street zebrała się na zewnątrz; mężczyźni szybko organizowali się w grupy, żeby przelamać lód na rzece i uzyskać dostęp do wody.

552

Wszyscy dopytywali się, gdzie się podziały zakupione ledwie rok temu wozy strażackie. Ale wszystko wskazywało na to, że nowo przeszkoleni strażacy klócili się o swoje zarobki i nikt nie rozpalil ognia w kotłach pomp.

Beth z przerażeniem patrzyła, jak mężczyźni rozpalają ogniska na rzece, żeby stopić lód i dostać się do wody, ale zajmowało to stanowczo zbyt wiele czasu; ogień, trawiąc wszystko na swojej drodze, przeskakiwał z budynku na budynek.

W końcu pojawili się strażacy z węzami i odpalono pompy. Dziewczyna zobaczyła, jak węże powoli pęcznieją od wzbierającej w nich wody i jak wszyscy pomyślała, że pożar zostanie wkrótce opanowany. Ale wtedy gruchnął donośny odgłos pęknięcia i ku przerażeniu zgromadzonych węże popękały, natykając opór zamrożonej wewnątrz wody.

Beth zobaczyła, jak Tim Chisholm, właściciel Aurory, zaslonił dłońmi twarz, gdy płomienie zaczęły przenosić się na jego saloon.

- Co robić? - krzyknął dramatycznie.

- Wysadzić budynki na drodze ognia - zarządził kapitan Starnes z konnych i posłał psi zaprzęg, żeby przywieźć materiały wybuchowe.

Pomoc zaoferowały tysiące ludzi. Zarekwirowano wszystkie wózki i sanie, żeby przetransportować rzeczy z budynków skazanych na zagładę ze względu na kierunek rozprzestrzeniania się ognia.

Mężczyźni wbiegali nawet do już płonących budowli, żeby ratować, ile się da.

- Dam tysiąc dolarów, tylko ocalcie mój bank - usłyszała błagającego Davida Doiga, dyrektora Bank of Bri tish North America. Ale jego prośby poszły na marne,

553

gdyż konstrukcję wkrótce pochłonął ogień, tak samo jak kilka saloonów i tancbud.

Cale miasto zatrzęsło się pod wpływem eksplozji lasek dynamitu i Beth zobaczyła, że mężczyźni, których miała za twardych niczym kamień, otwarcie płaczą, widząc, jak trzeszczy i płonie ich dobytek. John pomagał moczyć koce w rzece, żeby ocalić Fair-view, najlepszy hotel w Dawson, położony na północy miasta, a ona patrzyła na dziwki z Paradise Alley. Kiedy płomienie zaczęły zbliżać się do ich rozklekotanych bud, wiele dziewczyn wybiegało na zewnątrz niemal w negliżu, krzycząc wniebogłosy, ale po chwili, kierowane głupotą wracały, żeby ratować swoje ubrania i inne rzeczy.

Z pomocą grupy mężczyzn, z których wielu pością-gało płaszcze, żeby okryć dziewczyny, Beth udało się odprowadzić je w bezpieczne miejsce.

Noc była tak zimna, że wielu ludzi obserwujących pożar nie czuło bijącego od niego żaru, dopóki ich płaszcze nie zostały osmalone. Beczki whisky eksplodowały w płomieniach, zaś ich zawartość wylewała się na śnieg, natychmiast zamarzając. We wścieklej temperaturze stopiło się złoto w banku, wraz z biżuterią i innymi, do tej pory bezpiecznie tam przechowywanymi, skarbami.

W końcu nadszedł moment, kiedy nikt nie mógł już nic zrobić poza wpatrywaniem się w morze ognia, mając nadzieję, że przerwy na drodze żywiołu spowodowane wysadzeniem budynków wystarczą, żeby go powstrzymać.

John wrócił, znalazł Beth i stali tak blisko Monte Carlo, na ile mieli odwagę; jak na razie lokal został tylko lekko nadwerżony. Z twarzami rozognionymi od pożaru, zamarzającymi plecami i płucami pełnymi dymu,

554

nie mieli nawet sił, żeby wymienić jakieś uwagi na temat katastrofy. Większość Front Street, wraz z Golden Nugget i wszystkimi związanymi z nim wspomnieniami przepadła. Beth kątem oka zobaczyła Jednookiego zataczającego się w pobliżu, trzymającego się za głowę i szlochającego, że pożar odebrał mu wszystko i ze zdziwieniem odkryła, że nawet ona mu współczuje.

Kiedy promienie słońca w końcu przebiły się przez dym, zobaczyli, że cała centralna część handlowa Dawson została zniszczona. Wyjątkami były hotel Fairview na północnym końcu miasta, jak również osmalone Monte Carlo na końcu ulicy. Pomiedzy nimi tam, gdzie wcześniej panowała radość, lekkość i ciepło, zionęła wielka czarna dziura. Częściowo nadpalone drewno ciągle sterczało z ziemi pokrytej grubą warstwą szarego popiołu i był to najbardziej ponury widok, jaki Beth kiedykolwiek widziała.

Ocalenie Monte Carlo nie wzbudziło radości, gdyż skała kłęski była zbyt przygnębiająca; tysiące ludzi zostało bez dachu nad głową i grosza przy duszy. John i Beth przyjęli setki ludzi, pozwalając im kłaść się, gdziekolwiek znaleźli miejsce, dostarczając im kawę i wszelkie pożywienie, jakie udało im się wygrzebać.

W Fairview setki innych koczowały w holu. Później tego dnia ogłoszono, że spłonęło sto siedemnaście budynków, a straty materialne przekroczyły milion dolarów.

Lecz mieszkańcy Dawson byli twardzi zarówno du chem, jak i ciałem. Mniej niż dwanaście godzin później Tim Chisholm postawił ogromny namiot w miejs(U,

555

gdzie wcześniej stał jego saloon i zanim opadły popioły, ponownie otworzył Aurorę. Był to sygnał, że wszyscy inni też mają wziąć się w garść. W przeciągu dwóch czy trzech dni znów zewsząd rozlegał się aż nadto znajomy odgłos pilowania drewna i wbijania gwoździ, zaś persze-rony ciągnęły pnie z tartaków.

Beth gotowała wielkie gary zupy i gulaszu, żeby nakarmić bezdomnych i nędzarzy. Ciągnęła sanie po mieście, wypraszając chleb, mięso i warzywa od tych, którzy mieli zapasy; zorganizowała również zbiórkę odzieży, butów i koców.

John bardzo aktywnie udzielał się w pierwszych dwóch dniach po pożarze i kompletnie nie zwróciła uwagi na fakt, iż nie odwiedzał jej nocami w łóżku, bo saloon pełen był zrozpaczonych ludzi śpiących na podłodze, więc z pewnością oboje nie mieli czasu na czułości.

Ale w pewnym momencie zdała sobie sprawę, że John zachowuje się dość dziwnie. Widywała go stojącego na nadpalonej promenadzie, spoglądającego na wypaloną w ziemi dziurę; z nikim, nawet z nią, nie zamieniał jednego słowa.

Z początku była zbyt zajęta przygotowywaniem jedzenia i zbiórkami odzieży, żeby się tym martwić. Ale wraz z mijaniem kolejnych dni, kiedy wszyscy inni brali się w garść i zabierali do odbudowy miasta, a on ciągle godzinami przebywał w samotności, zaczęło ją to intrygować i irytować.

Niczego nie stracił. Interes szedł jeszcze lepiej, niż przed pożarami i teraz, kiedy coraz więcej pogorzalców znajdowało inne lokum i opuszczało Monte Carlo, jego pracownicy znowu potrzebowali kompetentnego kierownika.

556

Osiem dni po pożarze pewnego popołudnia wracała ze szpitala, kiedy ponownie zobaczyła go na promenadzie. Zauważyła, jaki był zaniedbany; nieogolony, ciągle miał na sobie te same spodnie, koszulę i marynarkę, które włożył podczas pożaru.

Gdy dotarła do promenady, zerknął na nią, ale nie odezwał się, ani nawet nie uśmiechnął.

- Co się stało? - zapytała. - Zachorowałeś?

- Nie, nie zachorowałem - odpowiedział, ale w jego oczach nie było blasku.

- Więc wejdź ze mną do środka, tu jest bardzo zimno - powiedziała, kładąc dłoń na jego ramieniu.

Strząsnął jej rękę, jakby go oparzyła.

- Powiedz mi, co zrobiłam, że się gniewasz - poprosiła zdezorientowana. - Czy to dlatego, że pomagam ludziom w mieście? Uważasz, że zaniedbuję twój lokal?

- Nie o to chodzi - powiedział, rzucając jej mrożące krew w żyłach spojrzenie. - Pożar. Pan dał mi do zrozumienia, że zgrzeszyłem.

- Ale zostałeś oszczędzony - odpowiedziała zdumiona.

- Dokładnie. Bóg wybrał ten sposób, by mi powiedzieć: „Nie grzesz więcej”. Nie widzisz tego?

Beth nagle zrozumiała, do czego zmierza.

- Masz na myśli związek ze mną? - zapytała z niedowierzaniem.

Skinął głową.

- Wiedziałem, że to cudzołóstwo, ale nie mogłem oprzeć się pożądaniu.

Chciała wybuchnąć śmiechem, bo cała ta przemowa w stylu fanatycznych kaznodziejów zabrzmiała dla niej jak niezły dowcip; nigdy nie wspominał jej, że ma jakieś

głębokie religijne przekonania. Ale powstrzymała się w samą porę, przypominając sobie, jak zaczął modlić się na głos, gdy ludzie starali się rozpalić ogniska, żeby stopić lód na rzece. Wtedy pomyślała, iż to dość dziwne, ale potem prawie wszyscy, z którymi rozmawiała, mówili o gorliwej modlitwie i w głębi ducha podejrzewała, że bezgłośnie uczyniła podobnie.

- To miasto jest niczym Sodoma i Gomora - kontynuował bezbarwnym, pozbawionym emocji głosem.

- Teraz Pan je zniszczył, żeby pokazać nam, że było siedzibą zepsucia i niegodziwości.

Beth miała dość. Zawsze uważała, że jest nieco sztywny i pompatyczny; nie był mężczyzną, który potrafi rozbawić kobietę, nie umiał nawet interesująco rozmawiać. Był dobrym kochankiem i miał dobre maniery ale teraz najwyraźniej o miłości można było zapomnieć, a on sugerował, iż była wężem w rajskim ogrodzie; najwyraźniej dotarli do kresu swej wspólnej podróży

- Tak więc jak Lot i jego żona zamierzasz uciekać - powiedziała sarkastycznie. - Uważaj, żebyś w czasie ucieczki nie obejrzał się wstecz, bo zamienisz się w słup soli.

- Tobie również dobrze zrobiłoby rozważenie twoich grzechów - odparł z przyganą. - Wabisz mężczyzn swoją szatańską muzyką.

Nie wytrzymała i parsknęła śmiechem. Nie zdziwiłoby jej, gdyby usłyszała podobne stwierdzenie w Anglii, ale tutaj, w pogranicznym mieście, takie słowa wypowiedziane przez człowieka, który jeszcze kilka dni temu nie miał dość zażywanych z nią rozkoszy, były absurdalne.

- Więc po co przybyłeś tu i kupiłeś saloon, skoro jesteś tak religijny?

- Myślę, że szatan odwiódł mnie od Pana.

558

- Więc lepiej wróć do studiowania Biblii; na dobry początek sprzedaj to miejsce i oddaj dochód biednym albo na rzecz Kościoła - warknęła Beth. - Ale wybaczone, jeżeli nie pójdę w twoje ślady. Twój ukochany Pan odebrał mi rodziców, brata i małą siostrę. Życie nauczyło mnie, że można ufać tylko sobie.

Tej nocy Beth siedziała w swoim pokoju. Saloon był zapchany po brzegi, gdyż obecnie w mieście było bardzo niewiele miejsc, gdzie człowiek mógł sobie wypić; z dołu dolatywały ją gromkie głosy oraz wybuchy śmiechu. John oświadczył, że nie chce, żeby dzisiaj grała i choć nie powiedział tego wprost, było jasne, iż zamierza ją wyrzucić ze swojego lokalu.

Zdawała sobie doskonale sprawę z ironii tej sytuacji, bo żadna z tancerek teatrzyku ani dziewczyn z jego saloonu nie była czysta niczym świeży śnieg. Hazard, pijaństwo - to wszystko było niezgodne z boskimi przykazaniami, więc dlaczego tylko w niej widział źródło zła? Chciała, żeby Jack był przy niej, gdyż zawsze bawiły go dobre dowcipy.

Oczywiście mogła pójść do któregoś z ocalałych saloonów w Dawson i przyjęto by ją tam z otwartymi ramionami. Ale pożar, a potem dziwna reakcja Johna zraziły ją do tego miasta.

Kłopot polegał na tym, że miał jeszcze minąć miesiąc, zanim na rzece ruszą lody i będzie mogła wsiąść na pokład parowca.

Sięgnęła pod łóżko, szukając walizki, żeby przeliczyć swoje oszczędności. Kiedy ją otworzyła, pierwszą rzeczą, jaką zobaczyła, była fotografia ich czwórki zrobiona w Skagway, wkrótce po ich przybyciu.

Było

559

to bez mała dwa lata temu, ale wydawało się, że minęło o wiele więcej czasu. Na tle wymalowanych na płótnie gór, co wtedy wydało im się wspaniałym pomysłem, ale teraz po prostu było za sztuczne, wszyscy wyglądali tak młodo i rześko. Chłopcy pożyczyci strzelby, które poprzewieszali sobie przez ramiona - dla Sama i Jacka był to pierwszy raz, gdy kiedykolwiek mieli w rękach broń. Beth miała na sobie niebieską suknię z wysokim kołnierzem i niewielką turniurą, a na głowie słomkowy kapelusz. Byli wtedy jeszcze głupcami, którzy myśleli, że taki strój po narzuceniu nań płaszcz ogrzeje ich na szlaku.

Uśmiechnęła się, kiedy delikatnie przesunęła palcem po srogiej, pełnej powagi twarzy Sama na zdjęciu. Wkrótce po zrobieniu tej fotografii urosła mu broda, dzięki której miał sprawiać wrażenie większego twardziela, ale pomysł się nie sprawdził; ciągle wyglądał niczym młodzieniec o błyszczących oczach. Theo, w swojej haftowanej kamizelce i dobrze skrojonej marynarce wyglądał dokładnie na tego, kim był - arystokratę z żyłką do hazardu.

Jedynie Jack się uśmiechał, prawie tak, jakby wiedział, co czeka ich w górach. Nauczył się strzelać, tak samo jak sam dowiedział się wszystkiego o szlaku, budowaniu chaty czy tratew. Los miał poczucie humoru: mimo iż nigdy nie pociągało go złoto, to w końcu on ruszył na złotonośne tereny.

Sam widok zdjęcia sprawił, że w jej głowie zaroily się tysiące drobnych wspomnień. Przypomniała sobie ową straszliwą noc, kiedy byli ściśnięci w hotelu w Sheep Camp oraz inne, w czasie których omal nie zamazli na śmierć w drodze na szczyt przełęczy Chilkoot. Tak

560

wielu ludzi w Dawson doświadczyło tej potwornej męki, a mimo to wszyscy byli dumni, że wytrzymali; stało su; to dla nich jakby honorową odznaką.

Beth wolala wspominać dobre rzeczy - szaleńczy zjazd na saniach do Camp Happy oraz wspaniale wieczory, które spędzili nad jeziorami Lindemana i Bennetta. Teraz Sam nie żył, a Theo odszedł. Z całej czwórki zostali tylko ona i Jack.

Wróciła myślami do drugiego dnia spędzonego na statku imigrantów, płynącym do Nowego Jorku i uśmiechnęła się, wspominając ich pierwszą rozmowę. Kto by pomyślał, że ten chudy ulicznik zostanie jej najdroższym i najlepszym przyjacielem?

I nagle w jednej chwili zrozumiała, czego chce. Jutro poprosi kogoś o zabranie jej do potoku Bonanza; chciała zobaczyć złotonośne pola i spotkać się z Jackiem.

Rozdział trzydziesty czwarty

Zaprzęg pięciu psów rwał się do drogi; zwierzęta niecierpliwie drapały pazurami lód pokrywający jezioro.

- Wygodnie pani? - zapytał Cal Burgess, ciasniej owijając ją niedźwiedzim futrem.

Beth skinęła głową. Ubrana w wilczą oponkę z kapturem, płaszcz z lisów i kilka warstw spodniej odzieży czuła się bardzo wygodnie.

Na znak Cala psy skoczyły naprzód i głowa Beth chybnęła się w tył i w przód. Ale kiedy psy złapały rytm, sanie zaczęły sunąć bardziej płynnie, a wokół jej głowy zawirowały kłęby śnieżnego puchu, iskrząc się niczym cukrowy lukier.

Zeszłej nocy spakowała swoje rzeczy. Wszystkie suknie, które nosiła w saloonie i te codzienne oraz trzewiki i pantofle włożyła do pudła, pozostawionego dzisiaj rano na przechowanie prowadzącym restaurację znajomym. Walizka zawierała wszystkie pozostałe drobiazgi oraz prezenty, które przed wyjazdem kupiła Jackowi - owocowe ciasto, dżem, czekoladę, owoce, trochę boczku i baraniny, ser oraz kilka butelek whisky. Skrzypce wcisnęła w siedzenia obok siebie i gdyby nie wpadła tego ranka

na Johna, wrzalały teraz z podniecenia na myśl o tym, że wkrótce zobaczy Jacka.

John wszedł do kuchni koło siódmej nad ranem, kiedy robiła kawę. Czuć było od niego whisky, widząc worki pod jego oczami i pogniecioną brudną koszulę, doszła do wniosku, że spil się do utraty przytomności i spał w ubraniu.

Zaoferowała mu kubek kawy, ale jego jedyną odpowiedzią było ponure lypnięcie oczu sugerujące, że nawet nie powinna znajdować się w kuchni.

-Nie ma powodu, żeby zachowywać się wrogo — powiedziała łagodnie. - Niedługo odchodzę na dobre.

- Dokąd? - zapytał.

Wiedziała, że zadal to pytanie nie ze względu na obawę o nią, tylko ze strachu, iż uda się do innego saloonu i opowie tam o jego sprawkach.

- Nie masz raczej prawa pytać mnie o takie rzeczy po tym, jak byłeś tak niemily - odpowiedziała lekkim tonem.

Rzucił jej kolejne nienawistne spojrzenie.

- Dziwki takie jak ty powinno się wygonić z miasta -odparował.

Miała szczery zamiar odejść cicho i bez żadnych scen, ale nazwanie jej dziwką wszystko zmieniło.

- Ty dupku! - krzyknęła. - Ty hipokryto! Śliniłeś się do mnie od pierwszego dnia, kiedy się tu sprowadziłam. Przez trzy miesiące się opierałam, a gdy uległam, nie mogłeś się mną nacieszyć.

- Skusiłaś mnie - stęknął ze skargą w głosie. - Jak Jezabel, jesteś nierządnicą żerującą na słabościach mężczyzn.

Beth wyzywająco oparła dłonie na biodrach.

281

-Ty żaloszny wężu pelzający w trawie - syknęła. Śmiesz pozbywać się wyrzutów sumienia, zwałając całą winę na mnie? To ty jesteś winny, ty masz żonę i dzieci! Twoja biedna żona z pewnością doszłaby do wniosku, że to ty wykorzystalesz mnie!

- Moja żona jest damą - odgryzł się. - Zrozumiałaby, że nie mogłem się oprzeć zakusom takiej dziwki, jak ty!

Beth wpadła w furję.

-Jest damą? Co to niby, do cholery, znaczy? Ze pozwala ci się rznąć tylko po ciemku i w nocnej koszuli zapiętej po samą szyję? Nic dziwnego, że mnie pożądałeś. Zalóżę się, że spełniałeś ze mną wszelkie świńskie fantazje, jakie kiedykolwiek wpelzały ci do łba! Ale są spore szanse, że gdy ty jesteś tutaj, ktoś tam rżnie twoją żonę. Może nawet odkryła, czym jest kochanie się z prawdziwym mężczyzną, a nie takim świętoszkowatym słabeuszem jak ty.

Podniósł rękę, żeby ją uderzyć, ale Beth ją odtrąciła.

- Tknij mnie tylko, a pożałujesz - syknęła. - Mogę w tej chwili wyjść na Front Street i zebrać grupkę ludzi, którzy żywcem obedną cię ze skóry Mam w tym mieście przyjaciół. A teraz zejdź mi z drogi!

Wtedy wyślizgnął się z pomieszczenia niczym gad; zostawił ją dygoczącą z gniewu i trochę zawstydzoną -powinna była od samego początku pojąć, co z niego za typek.

Sanie pędziły z ogromną prędkością, zimny wiatr chłostał twarz dziewczyny lodowymi igielkami, Beth zaś starała się wymazać z pamięci wspomnienie Johna. Czuła odrobinę dumy - postawiła mu się i usadziła go w miejscu, jeszcze rok albo dwa lata temu nie byłaby

565

w stanie tego zrobić. Ale nie powinna była w ogóle do tego dopuścić; teraz czuła się zbrukana i zawstydzona.

Okolicę pokrywała warstwa grubego, nieskazitelnie białego śniegu, zaś pniaki wszystkich ściętych drzew tworzyły na brzegu nierówny, osobliwy wzór. Ale trochę dalej, tam gdzie stoki były zbyt strome do wyrębu, pokryte śniegiem drzewa iglaste wyglądały przepięknie. Wokół panowała cisza, którą zakłócały tylko oddechy psów, rytmiczne uderzenia ich łap o śnieg i chrzęst metalowych płóz. Wiedziała, że Cal stoi z tyłu sań, ale zachowywał taką ciszę, jakby poza psami zaprzęgowymi nie było tu nikogo innego.

Przez chmury prześwitywały słabe promienie słońca i dobrze było zostawić hałas, brzydotę i plotki Dawson za sobą.

Dziewczynie przyszło do głowy, że nigdy wcześniej nie doświadczyła tak absolutnego poczucia spokoju. Odkąd sięgała pamięcią, otaczali ją ludzie i hałas. Nawet na szlaku w górach zawsze w pobliżu znajdował się jakiś inny człowiek. Jeszcze w Dawson często pytała starych kwaśniaków mieszkających całe mile od najbliższego sąsiada, jak wytrzymują takie odosobnienie. Prawie wszyscy odpowiadali, że to uwielbiają. Teraz zaczęła pojmować, dlaczego tak uważali. Cisza była wspaniałym uzdrowicielem. - Jesteśmy prawie na miejscu. - Cal musiał nachylić się jej do ucha, żeby go usłyszała. - Za kilka minut znajdziemy się w Bonanzie. Dopóki nie znaleziono złota, to miejsce zwano Króliczym Potokiem i założę się, że wyglądało wtedy całkiem ładnie.

Psy skręciły z Jukonu w potok. Kilka minut później minęli pierwszą z wielu pokrytych śniegiem chat, 566

z kominów których ulatywał dym. Psy skwitowały ich przejazd ujadaniem, do którego wkrótce dołączyły się kolejne - tak jakby zwierzęta podawały dalej wiadomość, że do ich osady zbliżają się obcy. Wszystkie wyobrażenia Beth o legendarnych złotonośnych polach były związane z latem; roila jej się idylliczna wizja łąk usianych kwiatami i mężczyzn w koszulkach z krótkimi rękawami, przepłukujących wodę w cieniu drzew. Być może właśnie tak wyglądało to miejsce, zanim rozpoczęła się gorączka złota, ale teraz drzewa poćcinano i każda najmniejsza nawet mijana przez nich chatka czy buda była otoczona przez pokryte śniegiem sprzęty; koryta do płukania urobku, kilofy, łopaty i taczki porozrzucane na brudnym, zdeptanym śniegu. Ludzie w grubych płaszczach i kapeluszach, zgarbieni niczym małpy, siedzieli skuleni przy ogniskach, bądź wykopywali piach z dziur w ziemi.

- Działka Ostrygi jest tuż na wprost - krzyknął do niej Cal. - Widzisz jego flagę powiewającą na wietrze? Wciąga ją każdego ranka. Sam ją uszył.

Beth widziała powiewającą niebieską flagę, na której widniało coś brązowego, ale gdy psy zaczęły zwalniać, uśmiechnęła się, gdyż nieokreślony kształt brązowej plamy okazał się wyciętą ze skóry ostrygą.

Dwa duże malamuty jeden biały, a drugi czarny, jak również inne, szarobiałe, wypadły z chatki całą sforą, merdając przyjaźnie ogonami i szczekając niskimi głosami, które jak dowiedziała się Beth, były jedną z charakterystycznych cech tej rasy.

- Wiedzą, że zawsze coś im przywożę - powiedział Cal, zatrzymując swoje psy i zeskakując z sań. - Ale ty im to daj.

567

Beth wysiadła i wzięła torbę, którą wyciągnął do niej Cal. Były w niej dwie duże kości; odrobine zdenerwowana dała je psom. Od wyruszenia ze Skagway spotkała tysiące psów pociagowych, malamutów i husky. Bardzo podziwiała ich siłę i odwagę, ale nigdy nie zbliżyła się do nich na tak niewielką odległość.

- Nie bój się ich - powiedział Cal. - Malamuty lubią ludzi i ciebie też polubią.

-Jak leci, Cal? - dobiegł głos od strony chaty. Wolnym krokiem zbliżył się do nich starszy mężczyzna z gęstą brodą, w grubym płaszczu i zmierzwionej futrzanej czapie. - Zatrzymasz się tu, czy zabierzesz tę odstawioną uroczą młodą damę na przejażdżkę?

Beth uśmiechnęła się.

- Oz, jej przejażdżka kończy się tutaj. - To panna Bolton, słynna Gypsy Queen z Klondike. Przyjechała zobaczyć się z Jackiem.

Zanim Beth zdążyła uściśnąć rękę Oza, ten odwrócił się i wezwał Jacka głosem tak głośnym, że psy pociagowe zawyły

- Cóż, panienko - powiedział Oz, odwracając się do niej. - Mam nadzieję, że przywiozłaś ze sobą swoje skrzypce, gdyż wiele slyszalem o tym, jak świetnie na nich grasz.

Nagle na górze nad nimi pojawił się Jack, pokrzykując radośnie, biegł tak szybko, jakby go ktoś gonil.

- Zdaje się, że chłopaka ucieszył twój widok, panienko - powiedział Oz, uśmiechając się szeroko bezzębnymi po skorbucie ustami.

Jackowi wyrosła gęsta broda, a włosy sięgały mu ramion; w upačkanej błotem odzieży i butach wyglądał jak wszyscy inni poszukiwacze. Ale z jego twarzy

568

emanowało zdrowie i zniknęło napięcie malujące się na niej przez kilka ostatnich tygodni jego pracy w Golden Nugget.

Objął Beth i zakręcił nią w powietrzu, śmiejąc się z zachwytu.

Ale kiedy Oz zaprosił ich do swojej chatki na kubek kawy serce Beth zamarło, gdyż nie mogła wyobrazić sobie, jak Jack się tu mieścił, nie mówiąc o miejscu dla niej. Pomieszczenie było ciasne, miało klepisko zamiast podłogi, i łóżko zmajstrowane ze starych skrzynek; był tu też stolik, taboret i jeszcze jedno krzesło, wszystkie zrobione z surowego drewna. Ale było bardzo ciepło, gdyż wstawiono tu też maleńki piecyk, a Oz hojnie dolał do kawy whisky

Jack, jak i Oz nie mogli się doczekać szczegółowego sprawozdania o pożarze. Wiść o nim dotarła do nich kilka dni po zdarzeniu i Jack postanowił, że pojedzie do Dawson, żeby się upewnić, czy Beth jest cała i zdrowa. Ale potem dowiedział się, że Monte Carlo wciąż stoi i że Beth opiekuje się bezdomnymi. Dopiero gdy Carl wstał, stwierdzając, że musi pójść do sań po jej torbę, a potem ruszać dalej, żeby odebrać ładunek drewna, Beth zorientowała się, że zarówno Jack, jak i Oz myślą, że przyjechała w odwiedziny tylko na jeden dzień i będzie z nim wracać.

- Miałam nadzieję, że będę mogła zostać z wami przez jakiś czas - wyjaśniła. - Ale widzę, że nie macie tu miejsca. Więc być może lepiej będzie, jeżeli wrócę z Calem.

- Na pewno nie! - wykrzyknął Jack. - Nie mieszkam tu z Ozem. Mam swoją własną chatkę na wzgórzu. Jeżeli i pogodzisz się z prymitywem, będę bardziej niż szczęśh wy, jeśli zostaniesz.

569

Pożegnali się z Calem i wzięwszy walizkę Beth, Jack poprowadził dziewczynę wokół chatki Oza i stromym zboczem w górę, mijając po drodze masę zasypanego śniegiem sprzętu.

- Naprawdę dobrze cię widzieć - powiedział Jack; z jego ciemnych oczu biła radość. - Rozumiem, że posprzeczałaś się z Fallonem? Ale jeżeli nie chcesz, nie musisz mi o tym mówić.

Beth była zbyt zasapana, żeby odpowiedzieć, strachem napelniła ją też świadomość, że Jack słyszał o tym, iż związała się z Johnem. Powinna się tego spodziewać, gdyż w Dawson nie można było zrobić niczego, o czym po krótkim czasie wszyscy by się nie dowiedzieli.

Chatka Jacka zbudowana była z bali, podobnie jak Oza, ale większa i nowsza, zaś meble były mniej to-porne.

- Możesz zająć łóżko - powiedział, rozpalając w piecyku i dodając do niego więcej drewna. - Mam jeszcze polowe i w zupełności mi wystarczy.

- Co słyszałaś o mnie i Fallonie? - zapytała, siadając na wyplatany górnicy taborecie.

Jack wzruszył ramionami.

- Tylko tyle, że się z nim związałaś; było mi trochę przykro, iż nie zdobyłaś się na to, żeby napisać mi o tym w którymś z listów.

- Czy ty mówisz mi o każdej nowej kobiecie w twoim życiu? - zapytała ostrym tonem.

- Powiedziałbym, gdyby była kimś szczególnym.

- Cóż, Fallon nie był szczególny. To był po prostu... -urwała, nie wiedząc, jak to wytłumaczyć bez przyznawania się, że chodziło tylko o seks.

- Przejściowy romans? - odpowiedział.

570

- Tak. I nic więcej.

Jack skinął głową na znak zrozumienia.

- Więc kto go zakończył?

Nie było innego sposobu, jak opowiedzenie mu całej historii. Ale kiedy zaczęła mówić mu, co John powiedział po pożarze, uświadomiła sobie śmieszność ówczesnej sytuacji i zaczęła się śmiać.

- Rany, Jack, to było takie dziwne. Nigdy nie uważałam go za świętoszka, ale kiedy zaczął bredzić o tym odwróceniu się od niegodziwości i mówić, że Dawson jest niczym Sodoma i Gomora, po prostu nie mogłam powstrzymać się od śmiechu.

Jack też zaczął się śmiać.

- Czasami mam wrażenie, że w Dawson lądują najdziwniejsi ludzie na świecie. Zawsze uważałem, że Fallon jest trochę dziwakiem. Zachodził do Golden Nugget i zamawiał tylko jednego drinka, akurat wtedy, kiedy grałaś. Zdawało się, że nie ma żadnych kompanów, nigdy nie uprawiał hazardu; nie mogłem zrozumieć, co przyciągnęło go do Klondike albo dlaczego kupił Monte Carlo.

- Nigdy mi nie powiedział, dlaczego. - Beth wzruszyła ramionami. - Ale jak się teraz nad tym zastanowić, to w ogóle o niczym ze sobą nie rozmawialiśmy Tego ranka powiedział, że jestem dziwką. Jack, czyż to nie okropne? Ale chyba sama jestem sobie winna.

Jack podszedł do jej krzesła i uklęknął przed nią; z jego oczu emanowało zrozumienie.

- Chciałbym jutro pojechać do Dawson i sprać go na kwaśne jabłko, ale to tylko sprowokowałoby więcej plotek. Jeżeli nie potrafi dostrzec różnicy pomiędzy kobietą, która oddaje się dobrowolnie, a taką, która żąda zapłaty, jest godnym pożałowania dupkiem. Nie zadręczaj się, Beth,

571

uznaj to po prostu za kolejne doświadczenie życiowe. Ciągłe jesteś najładniejszą dziewczyną, jaką znam, moją największą przyjaciółką i najlepszą skrzypaczką. Według mnie, nie straciłaś niczego poza odrobiną dumy.

- Nie powinnam była wiązać się z żonatym mężczyzną - powiedziała ze smutkiem. - To było złe.

- Teraz ty nie wyjeżdżaj z kazaniami. - Jack roześmiał się, wstał i pociągnął ją za sobą. - Pozwól, że zanim zapadnie zmrok, pokażę ci, co robię, a wieczorem urzniemy się w trupa, żeby uczcić fakt, iż w końcu dotarłaś do Bonanzy

Jack zaprowadził ją około pięćdziesięciu jardów za swoją chatkę. Ostrzegł ją, żeby ostrożnie chodziła wokół jakichkolwiek wgłębień w śniegu, gdyż były to wykopane przezeń wcześniej dziury. Wyjaśnił, na czym polega jego praca.

- Ziemia jest zamrożona na głębokość mniej więcej dwu stóp, nawet w lecie - powiedział. - Więc kopię dopóki mogę, a potem rozpalam w dziurze ogień. To topi lód i następnego dnia wyrzucam łopatą błoto i piasek, który tworzy teraz owe pagórki. - Wskazał na wielkie pokryte śniegiem kopce i nowy, który usypywał, gdy przyjechała. - Nazywa się je składami.

Odgarnął śnieg z długiego koryta pokrytego na dole masą drewnianych poprzeczek.

- To jest spluczka; kiedy nadejdzie odwilż, zacznę wsypywać do niej skład, a potem spluczę wszystko wodą. Cały żwir i piasek spłynie, a jeżeli będę miał szczęście, na poprzeczkach zostanie trochę złota.

- A potem oddasz je Ozowi?

- Nie, jeżeli znajdę je tutaj. „Wynająłem” od niego ten kawałek jego działki. Nie zapłaciłem mu za niego.
572

Nasza umowa wygląda tak, że przez większą część dnia pracuję dla Oza na dole i wszystko, co tam znajdziemy, jest jego. W zamian mam to. Beth skinęła głową.

- Udało ci się już coś znaleźć?

- Jak na razie nie, dowiem się dopiero wtedy, kiedy zacznę przepłukiwanie. Może nigdy nic nie znajdę. Ale Oz na przestrzeni ostatnich dwóch lat znalazł sporo. Gdyby chciał, mógłby sprzedać swoją działkę za kupę forsy.

Beth uśmiechnęła się. Odkąd przybyła do Dawson słyszała wiele fantastycznych opowieści o działkach położonych wzdłuż Bonanzy i Eldorado, zmieniających właścicieli za zawrotne kwoty. Wielu z mężczyzn, którzy wcześniej zajęli działkę, było teraz właścicielami hoteli i saloonów w Dawson, a część z nich wróciła do domów jako bardzo majątni ludzie.

Ale było też wielu kwaśniaków jak Oz, którzy nigdy nie zamierzali sprzedawać swojej działki. Żyli w prymitywnych chatkach, od czasu do czasu wybierając się do miasta, żeby wydać sporą część swego złota, a potem wracali do chatki i zaczynali od nowa.

- Oz nie może teraz wiele kopać - wyjaśnił Jack. - Zestarzał się, zmęczony i łapią go bóle. Tak naprawdę nie potrzebuje więcej złota, ale nie chce też przestać szukać. Więc ze mną ma dokładnie to, czego chce - pomoc, towarzystwo i podniecenie, które przychodzi ze znalezieniem większej ilości złota.

Szli dalej pod górę, aż dotarli do miejsca, gdzie zaczynał się teren zalesiony.

- Przychodzę tutaj i poluję - powiedział Jack. - Kilka tygodni temu trafiłem łosia i mamy wystarczającą ilość mięsa, żeby starczyło nam do odwilży. Ostatniej jesieni

573

było tu tak pięknie; tyle różnych jagód i liście zmieniające swoją barwę, nie tak jak tam, na dole - powiedział, wskazując za potok.

Beth obróciła się, żeby spojrzeć na dolinę pokrytą śniegiem.

- Teraz też jest ładnie - odpowiedziała. - Ale podejrzewam, że to dlatego, iż wszystko, co brzydkie, jak dziury, składy i narzędzia do kopania przykrył śnieg. Założę się, że kiedy przyjdzie odwilż, cała okolica będzie wyglądała jak śmietnik w kaluży błota.

- Gorzej. Wykopano rozległe kanały odchodzące od potoku, żeby płynąca nimi woda przemywała spluczki. Wygląda to odrażająco.

Jack musiał rozpalić więcej ognisk w swoich dziurach, więc Beth wróciła do chaty, bo mocno zmarzła.

Nie musiała pytać, czy to Jack ją wybudował. W każdym szczególe przejawiał się kunszt mistrza, poczynając od sposobu, w jaki wstawił łóżko w alkowę, aż po starannie wykonane okiennice.

Zgadywała, że większość mebli zbił podczas najgorszej pogody, kiedy nie mógł wyjść na zewnątrz.

Przejechała ręką po nogach stolika, podziwiając, że ostrugał brzegi i polerował je tak długo, dopóki nie stały się gładkie.

Panował tu też niezmierny porządek. Talerze i półmiski były równo ułożone na półkach, koło piecyka schła na wieszaku koszula i nawet posłał swoje łóżko.

Kiedy patrzyła na łóżko, zauważyła fotografie. Były przypięte do ściany i nie było możliwości, żeby zobaczył je ktoś zachodzący do chaty na herbatę i pogawędkę.

Jedno zrobione w budce przy South Seaport przedstawiało ją i Jacka zaraz po przybyciu do Nowego Jorku.

574

Kopia Beth zaginęła, kiedy musieli w pośpiechu uciekać* z mieszkania na Houston Street i dobrze było znowu je zobaczyć. Na kolejnym grała na skrzypcach w Bear w Filadelfii. Nie miała pojęcia, kto ani kiedy je wykonał, gdyż nigdy wcześniej go nie widziała.

Jeszcze inne ukazywało Jacka i ją w Skagway. Jak pamiętała, zostało zrobione przez człowieka, który opracowywał fotograficzny dziennik z przełęczą Chilkoot. Nie miała pojęcia, jak Jackowi udało się zdobyć jego kopię, gdyż nigdy więcej nie zobaczyła owego mężczyzny. Na ostatnim grała na skrzypcach w noc otwarcia Golden Nugget. Zostało wykonane przez redaktora gazety Daw-son, „The Nugget”, i było zamieszczone w gazecie razem z artykułem o niej, Jacku i Theo, zawierającym też opis tragicznej śmierci Sama na szlaku. Jack musiał wybłagać u pismaka kopię fotografii.

Gdzieś w głębi poczuła przypływ wdzięczności dla Jacka, który trzymał jej zdjęcia. Dotąd myślała, że większość poszukiwaczy dekorowała swoje chatki zdjęciami pięknych skąpo odzianych kobiet, a nie starej przyjaciółki.

- Te zgromadzone przez ciebie zdjęcia obudziły we mnie liczne wspomnienia - powiedziała później, kiedy wrócił do chaty.

Jack zrobił zakłopotaną minę.

- Lubię na nie patrzeć, gdy kładę się spać - powiedział. - Przez pewien czas wisiała tam też fotografia naszej czwórki zrobiona w Skagway, ale ją zdjąłem, bo widok twarzy Sama przyprawiał mnie o smutek, a Theo wkurzał.

Beth wskazała na tę, która przedstawiała ich dwoje w Nowym Jorku.

575

- Wyglądasz tak młodo i jesteś taki chudy - powiedziała. - A ja wyszłam bardzo sztywno. Ogromnie się zmieniliśmy!

- W tamtych dniach nawet nie zaprosiłabyś mnie do swojego pokoju. - Wyszczerył zęby. - A teraz jesteśmy tu razem, sami i dziesiątki mil od jakiegokolwiek cywilizacji. To dopiero postęp!

W ciągu paru dni po przyjeździe do Jacka, Beth poczuła, że dotychczasowe, dręczące ją napięcie powoli ustępuje. Pożar w Dawson, pomaganie bezdomnym i późniejsze nieprzyjemności z Johnem musiały odcisnąć na niej mocne piętno.

Dobrze było obudzić się rankiem w absolutnej ciszy ze świadomością, że rozpoczynający się dzień nie nakłada na nią żadnych obowiązków. Jack czasami brał ją na wesołe przejażdżki saniami, które ciągnęły psy Oza, Flash i Silver. Ale najczęściej czytała, cerowała podarte ubrania Jacka i chodziła na samotne spacerówy wzdłuż zamrożonego potoku albo przez las, w których chętnie towarzyszyły jej psy. Ocieplilo się i kiedy wschodziło słońce, miało się wrażenie, że nastala już wiosna. Jack był niezwykle miłym i zgodnym współlokatorem; w każdych okolicznościach zachowywał spokój i nigdy nie narzekał. Gdy podczas pracy przynosiła mu kawę i ciasto, kwitował to szerokim uśmiechem, doceniał też fakt, że podgrzewała dla niego wodę na kąpiel przed powrotem z działki. I niczego nie oczekiwał. Ale najbardziej lubiła w nim to, że potrafił ją rozbawić. Gdy spokojnie siedziała, czytając, i podnosiła wzrok na szybę, widywała niekiedy jego rozplaszczoną

576

groteskowo twarz na szkle. Raz, słysząc warczenie i drapanie przy drzwiach, przestraszyła się, myśląc, że to niedźwiedź, ale to tylko on wymyślił nową zabawę. Największą radość budziła w niej wymiana niewinnych docinków i żarcików, wspólnych wspomnień i obserwacji dotyczących rozmaitych ludzi. Zdała sobie sprawę, iż nigdy nie spędzała tak czasu z Theo, nie prowadzili też długich rozmów. Podejrzała, że gdyby w pobliżu nie kręcili się nieustannie Sam i Jack, szybko mogliby się sobie znudzić.

Dni robiły się teraz coraz dłuższe i czasami po kolacji szli do chatki Oza, żeby Beth pograła dla niego na skrzypcach. Mężczyźni z pobliskich działek słyszeli jej muzykę i czasem również przychodzili, żeby posłuchać. Robiło się wtedy naprawdę wspaniale, gdyż niektórzy z nich śpiewali razem z nią, mieli ciekawe historie do opowiedzenia i potrafili docenić odrobinę kobiecego towarzystwa.

W Bonanzie przebywało zaledwie kilka kobiet. Wszystkie były twarde i wytrwale; kopały dziury w ziemi równie fachowo jak ich mężczyźni, często wykonywały też inne prace - prały ubrania innych poszukiwaczy albo piekły chleb i ciasta, żeby zarobić bardzo potrzebne dodatkowe pieniądze. Na nieśmiałe zabiegi o przyjaźń ze strony Beth patrzyły krzywym okiem. Jack powiedział jej, że powodem jest niezbyt dla nich przyjemna świadomość, iż w pobliżu ich mężczyźni kręci się młoda, śliczna kobieta, ona sama jednak znacznie większą rolę w tym wszystkim przypisywała plotkom, które do tych kobiet z pewnością dotarły.

Choć tutaj nie miało to większego znaczenia, Beth z pewnym zaniepokojeniem zdała sobie sprawę, że kiedy

577

wróci na lono cywilizacji, będzie musiała stawić czoła znacznie silniejszemu społecznemu potępieniu. Tancerka albo nawet dziwka mogła wyjść za mąż bądź zostać pielęgniarzką lub sekretarką, nie przejmując się zbytnio tym, że ktoś się dowie, co tu robiła. Ale Beth wiedziała, że razem z Klondike Kate, Gertie Diamentowy Ząb i innymi kobietami, które wzbudziły sensację w Dawson City, stała się osobą publiczną. Historie

O nich rozeszły się po całym świecie dzięki doniesieniom prasowym i artykułom o Klondike.

Mogła więc albo porzucić publiczną grę na skrzypcach i po powrocie do cywilizacji nigdy nikomu ani słowem nie wspomnieć, że była w Dawson City podczas gorączki złota albo musi pogodzić się z tym, że co bardziej skandaliczne epizody z jej pobytu w Kanadzie wyjdą na światło dzienne.

Beth rozmyślała nad tym problemem pewnego ranka, myjąc się i ubierając. Jak na razie nie znalazła rozwiązania; gra na skrzypcach była jej jedynym sposobem zarabiania na życie. Ale kiedy weszło słońce, stwierdziła, że odłoży martwienie się o przyszłość na później, a teraz sprawdzi, czy nie uda się jej skusić Jacka, żeby zostawił swoje wykopki i poszedł z nią na spacer.

Kiedy wyszła z chatki, zorientowała się, że zrobiło się cieplej, bo nie poczuła na twarzy znajomego szczypania igielek mrozu. Potem usłyszała odgłos kapiących kropel. Dochodził zewsząd - z pokrytych śniegiem maszyn, dachu chaty i drogi prowadzącej do Oza.

Śniegi topniały!

Podniecona, pobiegła za chatę i w górę zbocza, wołając Jacka. Kiedy zbliżyła się do niego, przerwał kopanie

I wsparł się na łopacie z szerokim uśmiechem na twarzy.

578

Beth stanęła jak wryta, bo ujrzawszy jego twarz, zapomniała o wszystkim, co miała mu powiedzieć.

- Kiedy to zrobisz? - zapytała.

- Co zrobiłem?

- Wiesz co! Zgolileś brodę.

- A, o to ci chodzi. - Potarł swój podbródek, tak jakby sam był zdziwiony, że nie może znaleźć tam żadnego kłębowiska włosów. - Dziś rano zobaczyłem, że nadeszła odwilż i pomyślałem, iż z brodą również należy się pożegnać.

- Wyglądasz o wiele ładniej - powiedziała. Prawdę rzekłszy, był bardzo przystojny; jego silnie i stanowczo zarysowana szczęka i szerokie usta były dwoma atutami rysów jego twarzy, których nigdy nie powinien był ukrywać pod zarostem. - I znacznie młodziej.

- Cieszę się, że spodobał ci się mój nowy wygląd - powiedział. - Ale co chciałaś mi powiedzieć, pędząc tu na złamanie karku? Zmarła królowa Wiktoria?

- Nic mi o tym nie wiadomo - roześmiała się Beth. - Po prostu ucieszyłam się, że topnieje śnieg.

- Pamiętasz, jak to wyglądało zeszłego roku? - zadumał się Jack. - Brodziliśmy po kolana w błocie przy Jeziorze Bennetta, a ty się wymykałaś, żeby poszukać pierwszych wiosennych kwiatów!

- Chodźmy i spróbujmy to powtórzyć - zaproponowała.

- Kwiatów nie będzie jeszcze przez jakiś czas - przypomniał jej.

- Ale mogą być w osłoniętych miejscach. Może jednak poszukamy?

Jack mocno wbił łopatę w ziemię.

- Jeżeli sprawi ci to przyjemność, to w porządku.

579

Kiedy dotarli do lasów na szczycie wzgórza, odwilż stała się jeszcze bardziej wyczuwalna, gdyż odgłos śniegu skapującego z gałęzi drzew tworzył niemal symfonię. Beth ulepiła śnieżkę i cisnęła nią w Jacka, który szybko odpowiedział tym samym. Czmychnęła, ale za każdym razem, gdy znalazła schronienie za pnem drzewa, lepiła kolejną kulę, żeby w niego rzucić.

Gra toczyła się w najlepsze; pohukiwali radośnie, gdy trafili, albo drwili z siebie w przypadku chybienia. Zagłębiali się w las coraz bardziej i Beth znalazła bardzo duże drzewo, za którym się ukryła. Jack nagle zamilkł, więc ostrożnie wyjrzała zza pnia, żeby zobaczyć, gdzie się znajduje.

Nagle poczuła rękę zaciskającą się na jej ramieniu.

- Buuu! - krzyknął i dziewczyna niemal wyskoczyła z butów, gdyż nie usłyszała, jak podkradł się z tyłu. W ręce miała gotową śnieżkę, więc bez namysłu ją podniosła i rozsmarowała na twarzy Jacka.

- Tobie też buuu - zachichotała.

Roześmiał się i starł śnieg z twarzy, ale ciągle zostało mu trochę na nosie. Znajdowali się zaledwie stopę od siebie i Beth ściągnęła rękawicę, żeby strząsnąć resztę. Ale kiedy dotknęła jego policzka, nagle dostrzegła coś w oczach Jacka - to samo spojrzenie, które widziała ostatniej nocy na statku, zanim dotarli do Nowego Jorku. Wtedy była tak niewinna, że nie wiedziała, co oznaczało, poza tym, iż było czymś wyjątkowym. Ale teraz już je знаła.

Nieskrywane pożądanie.

Nie mogła cofnąć ręki od jego policzka. Gdzieś wewnątrz zbierało w niej uczucie tak silne i przyjemne, że poczuła ochotę, by wyrazić je krzykiem. Ująwszy jej

580

dłoń, przesunął ją ku swoim ustom i pocałował. Ciepło i miękkość jego warg sprawiły, że poczuła rozkoszne mrowienie wzdłuż kręgosłupa.

To ona zbliżyła się do niego, przesuając dłoń na jego policzek, żeby pocałować go w usta. Przez kilka chwil nie ruszał się i jedynie dotykali się wargami, a ich ciała dzieliła niewielka odległość. Ale potem podniósł rękę, ujął jej twarz i zaczął oddawać pocałunek z taką delikatnością, że znowu poczuła się jak niewinna siedemnastolatka.

Nie wiedziała, jak długo stali tam, całując się, ale pragnęła, żeby ten moment trwał wiecznie. Całe jej ciało drżało pożądaniem; chciała więcej niż tylko pocałunku, ale bała się choćby poruszyć; nie chciała, by czar chwili nagle prysnął.

Z drzew dookoła nich ciągle opadały platy mokrego śniegu i czuła ciepło muskających jej policzek promieni słońca. W oddali słyszała miarowy chrzęst kołowrotu, którym jakiś poszukiwacz wyciągał wiadro błota z dziury w ziemi, a na pobliskim drzewie ćwierkał ptak.

Jack cofnął się pierwszy. Dłońmi jeszcze raz objął jej twarz i oboje głęboko spojrzeli sobie w oczy.

- Moja piękna Beth - westchnął. - Mam nadzieję, że to nie jest jedynie sen i po przebudzeniu się nie odkryję, że naprawdę nic z tego się nie wydarzyło.

Rozdział trzydziesty piąty

Gdy zatrzymali się przed chatą, żeby zdjąć buty, Beth poczuła się niezręcznie. Pocalunek na górze był spontaniczny, czysty i dany ze szczerego serca. Ale teraz, gdy mieli wejść do środka, doskonale zdawała sobie sprawę, że musi podjąć decyzję, czy powinna przejść do następnego etapu. Chciała, ale nie była do końca pewna, czy będzie to mądre.

Jack był jej najlepszym i najbliższym przyjacielem, jedyną osobą na świecie, która naprawdę знаła ją na wylot. Bala się narazić ich przyjaźń na ryzyko.

- Boisz się? - zapytał Jack, gdy weszli do chaty.

- Nie - skłamała.

- Cóż, a ja tak - przyznał, całując ją w nos i jednocześnie ściągając kapelusz, żeby przeczesać palcami jej włosy. - Ale z drugiej strony od pierwszej chwili, kiedy cię poznałem, marzyłem o tym, żeby się z tobą kochać.

- Naprawdę?

- Tak, naprawdę. Gdybyś potrafiła czytać w moich myślach, słysząc niektóre z nich, mogłabyś oblać się rumieńcem.

- Drażnisz się ze mną?

290

- Nie - powiedział, rozpinając jej płaszcz. - Myśli o tobie rozgrzewały mnie podczas niejednej mroźnej nocy.

Upuścił płaszcz dziewczyny na podłogę, wziął ją w ramiona i ponownie pocałował. Kiedy przelotnie spotkały się ich języki, Beth głęboko wewnątrz poczuła dreszcz żądzy i zrozumiała, że nie ma już odwrotu.

Jack nie przestawał jej całować, ale udało mu się zdjąć wszystkie części jej ubrania aż dotarł do halki, po czym zaniósł ją na łóżko i uklęknął, żeby zsunąć jej pończochy

- Zawsze się zastanawiałem, jak wyglądają twoje nogi - powiedział, przesuając po nich dłonią i patrząc jej w oczy - Raz, kiedy byliśmy na tratwie, widziałem je do kolan i tak mnie wzięło, że omal nie wypadłem za burzę.

- Och, Jack - powiedziała z wyrzutem.

- Nie podoba ci się myśl, że pożałowałem cię przez cały ten czas? - zapytał z psotnym błyskiem w oczach, podczas gdy jego ręce posuwały się w górę jej ud, aż zatrzymały się zaledwie cal od jej płci.

Rozkoszne fale pożądania odebrały jej głos. Jedyne, co mogła zrobić, to sięgnąć i przyciągnąć go do siebie.

Pozbył się ubrania w kilka sekund, co dało jej czas na odciążenie koca i schowanie się pod nim, jako że w chacie zrobiło się chłodno. Ale w momencie kiedy dał nura pod koce i objął ją ramionami, zapomniała o swoich obawach, wstydzie i chłodzie; dotyk jego ocierającej się o nią ciepłej, jedwabnej skóry sprawił, że poczuła, iż wszystko jest dokładnie tak, jak być powinno.

Myślała, że Theo, Jefferson i John Fali on wszyscy byli dobrymi kochankami, ale ich umiejętności nie dało się porównać do kunsztu Jacka. Z rozkosznie oszalamiającą wrażliwością głaskał ją, muskał palcami i całował w tak

291

niespieszny sposób, że ożywił każdy nerw w jej ciele. Raz po raz sięgała, żeby pieścić jego męskość, ale za każdym razem ją powstrzymywał. Dopiero kiedy poczuła, że coś zaczyna ją rozsadzać i opuszcza ją świadomość tego, gdzie jest, a nawet kim jest, w końcu w nią wszedł, wbijając się z taką siłą, że całym jej ciałem zaczęły miotać niemożliwe do opanowania spazmy.

Usłyszała swój krzyk, poczuła, że po policzkach spływają łzy i wtedy zrozumiała, że zabrał ją w miejsce, gdzie nie udało się jej doprowadzić żadnemu z poprzednich kochanków.

Jack podparł się na łokciu i patrzył na śpiącą obok Beth, a w jego sercu wzbierała miłość do tej dziewczyny. Zbliżała się północ, ale piecyk i zwisająca nad nim latarnia dawały wystarczającą ilość światła, żeby wyraźnie ją widzieć. Kiedy przyszli do chatki, było południe i od tego czasu kochali się trzy razy, zrobili coś do zjedzenia, umyli się nawzajem i wypili pół butelki whisky, rozmawiając o wszystkim i o niczym. Myślał, że będzie wyczerpany, ale podniecenie nie dawało mu zasnąć. Była jego pierwszą miłością, jedyną prawdziwą miłością i teraz w końcu należała do niego.

Odkąd pierwszy raz spotkali się na statku, w ciągu sześciu lat przez jego życie przewinęło się wiele innych dziewczyn - pruderyjnych, rozpustnych, miłych, okrutnych, szczęśliwych i smutnych. W stosunku do niektórych starał się sobie wmówić, że darzy je miłością, z innymi po prostu się kochał i miał nadzieję, że przyjemność, jaką im daje, wynagrodzi brak oddania. Ale nieuchronnie zawsze zostawał z poczuciem niedosytu i rozczarowania.

585

Beth zawsze pozostała jego gwiazdą przewodnią, nawet kiedy wiedział, że nie widzi nikogo innego poza Theo. Gdyby nie ona, ciągle tkwiłby w Nowym Jorku; nigdy nie wyruszyłby do Montrealu, nie podróżował po Kanadzie, ani nie znalazł się tutaj. Stał się jej samozwań-czym obrońcą tylko po to, żeby być przy niej. Zrobiłby dla niej wszystko, nawet gdyby nigdy nie dostrzegła w nim kogoś więcej, niż tylko przyjaciela.

A teraz była tutaj; jej smukłe ciało tuliło się do niego pogrążone w głębokim śnie z dziecięco łagodnym wyrazem twarzy. Pamiętał jak wyglądała, kiedy uwolnili ją z piwnicy, przemarzniętą do kości i z twarzą napiętnowaną okrucieństwem jej uwięzienia. Pamiętał też jej oburzenie, kiedy odkryła, że dom Pearl w Filadelfii jest burdelem. Noc w szpitalu w Montrealu również wyrła się w jego pamięci; Beth rozpaczliwie wzywała Theo, ale musiała zadowolić się pocieszeniem od niego.

Jej odwaga na przełęczy Chilkoot i niewiarygodna wytrzymałość na szlaku sprawiły go w zdumienie. Potem w Dawson, tak krótko po utracie Sama, straciła też Molly A mimo to zacisnęła zęby i noc w noc grała z głębi serca w Golden Nugget. Wielu poszukiwaczy mówiło mu, że gdy nie mieli pieniędzy na drinki, zbierali się na zewnątrz lokalu, żeby posłuchać jej gry. Mówili, że to pomagało im znieść głód, pragnienie i napelniało nadzieją, że w końcu los się do nich uśmiechnie i znajdą upragnioną fortunę. Jack doskonale rozumiał, co czuli, bo padł ofiarą czaru tej muzyki podczas pierwszej nocy, gdy usłyszał ją na statku.

Wyślizgnął się z łóżka, dołożył drewno do piecyka, żeby grzał do rana i zdmuchnął płomień lampy Za kilka

586

tygodni ruszą lody na rzece i przyplyną tysiące nowych ludzi poszukujących złota.

Uśmiechnął się, ponieważ wiedział, że w swojej małej chatce ma już coś cenniejszego od tego kruszcu. Oz wydał głośny ryk podniecenia, który doleciał aż na szczyt wzgórza do zajętych przemywaniem żwiru i kamyków w swojej płucze Jacka i Beth.

- Co go napadło? - zapytał Jack, wstając i przechodząc do miejsca, skąd mógł zobaczyć, co się dzieje na dole.

- Najpewniej znalazł butelkę gorzality, o której zapomniał - zażartowała Beth.

Była połowa czerwca. Przed dwoma tygodniami na strumieniu popękały lody i działka Oza zmieniła się w plac pełen grząskiego błota. Stale grzejące słońce wysuszyło je niemal całkowicie, wszystko wokół pokryła zieloniutka, poprządkana kwiatami trawa, a powietrze wokół chatki pełne było śpiewu ptaków.

Beth nigdy przedtem nie zaznała tak intensywnego szczęścia. Od otwarcia oczu rankiem, kiedy pierwsze jej spojrzenie padało na śpiącego obok Jacka, po późny wieczór, kiedy oboje zasypiali, przepelniało ją poczucie słuszności podjętej decyzji. Dobrze zrobiła, że tu przyjechała.

Nie rozmawiali o miłości ani nawet o przyszłości - oboje wiedzieli, że od początku byli sobie przeznaczeni. Beth pracowała na równi z Ozem i Jackiem, radośnie szuflując błoto i muł. Nie miało znaczenia, że była to ciężka, wyczerpująca praca, ani że niekiedy wydawała się bezowocna. Dość jej było, że przebywa z Jackiem, mogą razem się śmiać i wymieniać żarciki, ona zaś czuła się absolutnie bezpiecznie.

587

W niektóre popołudnia zabierał ją na ryby; łowili w strumieniu z małej wiosłowej łódki Oza. Ona leżała na dnie łodzi, kąpiąc się w słońcu i z chęcią oddawała się miłości, gdy wracali do chatki. Niekiedy wędrowali po lasach porastających górną część działki, ona zbierała kwiaty, gdy Jack rąbał drwa do piecyka. Podczas tych spacerów często ogarniała ich żądza; było coś rozkosznie przewrotnego w oddawaniu się jej na otwartej przestrzeni, gdzie mógł ich zaskoczyć niedźwiedź albo i człowiek.

- Zejdźmy i zobaczymy, czemu Oz tak ryczy - zaproponował Jack. - I tak zresztą pora już coś przekąsić. A potem moglibyśmy, się trochę popieścić.

Ręka w rękę zbiegli ze wzgórza. Na dole znaleźli Oza, który w swej spłowiałej koszuli i podwiązanych sznurkiem portkach pochylał się nad swoją płuczką.

Gdy podeszli bliżej, podniósł głowę i uśmiechnął się szeroko, odsłaniając pocerniałe resztki zębów.

- Zobaczcie, co tu znalazłem! - rzekł, podając im starą cynową patelnię.

Na dnie zobaczyli mnóstwo drobnych bryłek złota. Jack wytrząsnął je na dłoń.

-Jezu Chryste! - zawołał. - Znalazłeś je wszystkie w jednej patelni?

- Jassne! - stwierdził Oz. - Przeplukałem od rana pięć kopców i nie znalazłem niczego, ale w szóstym było to!

- Cieszę się razem z tobą, Oz! - Beth podeszła do starego i serdecznie go uściskała. - Wspaniała nowina!

- Z której dziury to zebrałeś? - zapytał Jack, rozglądając się dookoła. Cały teren wokół chatki był pełen dziur i kopców ziemi obok nich.

588

- Z tamtej. - Oz wskazał dziurę położoną najbliżej jego chatki. - To była ostatnia, którą wykopaliśmy razem. Pamiętasz? Bałeś się, że w nią wpadnę, gdy wyjdę nocą z chaty.

Jack uśmiechnął się i odwrócił do Beth.

- To było tuż przed twoim przyjazdem. Kiedy poprosił mnie o pomoc, namawiałem, by zrezygnował z kopania w tym miejscu.

- Przypuszczam, że teraz zechcesz przenieść chatę, żeby wkopać się głębiej - stwierdziła Beth, patrząc na Oza.

Stary uśmiechnął się szeroko.

- Może i tak. Ale przedtem zamierzam się ogarnąć, ruszyć do miasta i powiadomić wszystkich, że stary Struś znów się wzbogacił! Jest tam kupa ludzi, którzy od dawna się ze mnie śmiali. Ta wiadomość zatka im gęby!

- Znajdzie się tam kilku chętnych, którzy zechcą odkupić od ciebie tę działkę - zauważył Jack.

-Jak któryś ofiaruje przyzwoitą cenę, mogę się zastanowić - padła odpowiedź.

Zaniepokojona Beth spojrzała na Jacka, zastanawiając się, w jakiej sytuacji postawi to jego prawa do wykopanych przezeń kopców, ale ku swemu zdziwieniu zobaczyła, że Jack przyjął to z uśmiechem.

- Jedź do miasta - powiedział. - My tu jeszcze trochę pokopamy i zobaczymy, czy nie znajdziemy dla ciebie więcej złota. Ale uważaj, bo jak dotąd było różnie. To, co jest w tej patelni, może być wszystkim, co ci zostanie.

W godzinę później Jack i Beth pomachali Ozowi na pożegnanie. „Ogarnięcie się” starego ograniczyło się

589

do przycięcia brody i włożenia nieco mniej wyświechtanych portek. Beth włożyła samorodki do skórzanej sakiewki, którą Oz zawiesił sobie na szyi i wetknął pod koszulę. Jack poradził mu, by złożył je w banku, zanim pójdzie się urżnąć lub pograć karty

- A co zrobisz, jak on sprzeda swoją działkę? - zapytała Beth, gdy stary zniknął im z oczu. Psy Oza, Silver i Flash, siedziały obok nich na brzegu potoku wpatrzone w stronę, w którą odszedł ich pan.

- Mam nadzieję, że to zrobi - stwierdził Jack. - On nie przetrzyma kolejnej zimy w tym miejscu.

- Ale co będzie z tobą? Nowy właściciel może cię tu nie chcieć!

Jack wzruszył ramionami.

- No to co? Gdybyś się tu nie pojawiła, i tak byłbym już teraz w drodze, żeby poszukać innego miejsca.

- Naprawdę?

Parsknął śmiechem i pogładził ją po policzku.

- Nie przyjechałem tu szukać złota, chciałem po prostu uciec z Dawson. Ale teraz, gdy jesteś ze mną, wszędzie mogę być szczęśliwy.

Ona czuła dokładnie to samo, ale jakże cudownie było usłyszeć to z ust ukochanego!

- Więc co zrobimy - zapytała - gdy wypadniemy z gry?

- Cokolwiek zechcesz - odparł, ujmując ją pod ramię. - Mój sen o szczęściu już się ziścił.

Ujęła jego twarz w dłonie.

- Kocham cię, panie Jacku Child - powiedziała.

- Naprawdę? - Zrobił zdziwioną minę.

- Oczywiście. Na sto procent. Ale spodziewam się, że masz jakieś plany. Jeżeli nie, zacznę cię naciskać.

590

- Nikomu innemu bym na to nie pozwolił - zaśmiał się.

- Czyś ty czasem o czymś nie zapomniał? - Pieszczotliwie ugryzła go w koniuszek nosa.

- Niby o czym?

- Powiedziałam, że cię kocham. Czy nie powinieneś jakoś na to zareagować?

- Jak? - zapytał.

Wiedziała, że żartuje i dała mu prztyczka w ucho.

- Powiedz to! - zażądała. Objął ją wpół i okręcił dookoła.

- Kocham cię, despotyczna panno Bolton. Od sześciu długich lat - powiedział, nadal wirując z nią jak w tańcu.

Gdy ją puścił, poczuła zawrót głowy.

- Niezbyt to romantyczny sposób powiedzenia dziewczynie czegoś takiego - stwierdziła z udaną urazą w głosie.

- Praktyczny ze mnie jegomość. - Jack uśmiechnął się szeroko. - Zamierzam popisać się jeszcze większym romantyzmem i zaproponować, żebyśmy poszli i spróbowali przeplukać ten kopiec Oza.

Zobaczmy, co możemy dla niego znaleźć.

Tego popołudnia znaleźli jeszcze pięć małych bryłek złota. Jack położył je na patelni Oza.

- Muszą być warte kilkaset dolarów - stwierdził z namysłem. - Był czas, kiedy mógłbym je podwędzić.

Gdy cię poznałem, zmieniłem się.

- Naprawdę?

- Owszem. - Kiwnął głową. - Byłaś tak czysta i uczciwa, że pomyślałem sobie, iż nie będę miał u ciebie

294

żadnej szansy, dopóki nie stanę się taki, jak ty. Wiele ci zawdzięczam.

Wyznanie to dogłębnie Beth wzruszyło.

- Byłam głupia, że od razu nie pojęłam, iż jesteś mi przeznaczony.

- Do licha, Beth. Gdybyśmy oboje zeszedli się w Nowym Jorku i zostali małżeństwem, od dawna już prawdopodobnie mielibyśmy siebie dość. Zobacz, jakie przeżyliśmy przygody!

Wiedziała, że Jack mówi to, żeby dać jej do zrozumienia, iż nie czuje żalu o Theo - i pokochała go za to jeszcze bardziej.

Oz nie wrócił po kilku dniach, tak jak to obiecywał. Jack i Beth przepłukiwali zimowy urobek i zebrali znaczną ilość złota z dna dziury obok chaty. Przez cały niemal czas była wspaniała pogoda, choć moskity zaczynały im nieźle doskwierać, ale gdy nieobecność Oza przeciągnęła się do tygodnia, a potem do dwu, Jack zaczął się martwić o starego. Oz nigdy przedtem nie zostawiał swoich psów na tak długo; zwierzęta całymi dniami siedziały na brzegu rzeki i wypatrywały pana. Jack bał się jednak porzucić działkę i ruszyć na poszukiwania.

Nawet do najdalszych strumieni wciąż szybko napływały nowe wieści z Dawson, bo każdy przechodzień miał coś nowego do opowiedzenia. Usłyszeli więc, że miasto zostało niemal całkowicie odbudowane po pożarze, założono elektryczność, wykopano kanalizację, położono rury parowego ogrzewania i postawiono linie telefoniczne. Gdy po Jukonie spłynęły lody, do miasta przybyły tysiące nowych ludzi, bogaci morzem, biedniejsi górskimi szlakami i mówiono, że bardzo wielu z nich, popadłszy w biedę, włóczyło się dookoła,

295

szukając jakiegokolwiek pracy. Ludzi, którzy jak Jack kopali dla właścicieli działek, był taki nadmiar, że ich zarobki spadły do poziomu nędznego utrzymania i posiadacze działek zaczęli się obawiać, że biedacy zaczną kopać na dziko albo po prostu zabiorą się do rabowania.

Czwartego lipca usłyszeli dobiegający od strony Dawson huk i syk fajerwerków, co przypomniało Beth, że minął rok od chwili, w której otrzymała wiadomość o śmierci Molly. Oz jednak nadal nie wracał.

Pewnego popołudnia w połowie lipca Silver i Flash zanosły się radosnym szczekaniem i Jack zobaczył wreszcie łódź Oza, który zaciekle wiosłując, posuwał się w górę strumienia.

Wszyscy powitali go z ogromną radością, ale gdy Oz chwiejnym krokiem dobrnął do brzegu, przekonali się, że śmierdzi jak dno beczki. Widać było, że podczas kilku minionych dni pił na umór, przygotowali się więc na najgorsze.

- Straciłeś wszystko? - zapytał Jack, pomagając staremu przejść do jego chatki.

- Owszem, chyba tak - wystękał Oz. Zaraz potem padł na swoje łóżko i zapadł w sen.

Podczas tego wieczoru Jack dwa razy zaglądał do chatki Oza, żeby sprawdzić, czy ze starym wszystko jest w porządku, ale ten się nie obudził.

- Przegrał prawo własności - stwierdził Jack ze smutkiem, wróciwszy do Beth. - Nie przywiózł ze sobą niczego, oprócz kilku butelek gorzality. Żadnych zapasów, nic. Myślę, że trzeba nam będzie się przygotować do ruszenia w dalszą drogę szybciej, niż planowaliśmy.

- To doskonale - stwierdziła Beth. - Wróćmy łodzią do Vancouver. Ja będę grała na skrzypcach w Globe, a ty

593

łatwo znajdziesz tam jakąś pracę. Mam trochę oszczędności na początek.

- A może chciałabyś wrócić do domu? - zapytał Jack.

- Do Anglii? Skinął głową.

- Nie myślę już o Anglii jak o domu - powiedziała po chwili namysłu. - Nie ma tam nic, do czego chciałabym wrócić.

-Ja też tak to widzę - przyznał Jack. - Mój dom jest tam, gdzie ty. Sądzę, że musimy znaleźć miejsce, gdzie oboje będziemy się czuli jak u siebie.

Gdy kochali się tej nocy, oboje odczuli nikły cień smutku, bo wiedzieli, że kończy się ważny okres w ich życiu. Od kilku tygodni cieszyli się absolutną prywatnością i wiedzieli, że nigdzie indziej nie zaznąją czegoś podobnego - tu mogli robić wszystko, na co mieli ochotę. Wystawili nawet wannę na zewnątrz i kąpali się w blasku słońca, wiedząc, że nikt ich nie zobaczy i nie usłyszy. W mieście mogli się spodziewać tylko kilku pokojów ze wszystkimi hałasami i woniami, jakie towarzyszą miejscom, gdzie gromadzi się wielu ludzi.

Następnego ranka Beth zrobiła kilka naleśników i zanosła je Ozowi; Jack siedł obok niej z dzbankiem gorącej kawy. Ku swemu zaskoczeniu znaleźli starego siedzącego już przed chatą, w czystym ubraniu, z ogoloną brodą i schnącymi na słońcu włosami.

Beth zawsze uważała go za człowieka mającego ponad sześćdziesiąt lat, ale ogolona broda odjęła mu przynajmniej dwadzieścia.

- Ha! - stwierdziła, postawiwszy talerz z naleśnikami na ławie obok niego i wsparłszy się pod boki. -

296

Sądziłem że jeszcze śpisz. A może ty jesteś młodszym bratem Oza?

Uśmiechnął się z lekkim zakłopotaniem.

- Wpadłem do strumienia - powiedział. - Szok zimnej wody był tak okropny, że zgolilem brode.

Przykro mi, że kazałem wam tak długo opiekować się Silverem i Flashem, ale sprawy się trochę skomplikowały.

- Wsuwaj naleśniki, póki są gorące - powiedział Jack, nalewając wszystkim po kubku kawy. - To kiedy mamy się stąd wynosić?

- Olsen zjawi się tu jeszcze dzisiaj, tylko trochę później - stwierdził Oz.

Jack kiwnął głową. Olsen Szwed dorobił się już fortuny na swojej działce w Eldorado i miał w Dawson wiele posiadłości. Był to człek ogromnego wzrostu, doskonale grał w pokera i wziął pewnie Oza na cel, gdy ten tylko zjawił się w mieście.

- Dawson już nie jest takie, jak dawniej - stwierdził Oz ze smutkiem w głosie. - Pewnie, odbudowali je, ale całe miejsce przypomina przekłuty balonik. Przyjeżdżają tam nawet damy!

- Ale to chyba dobrze, prawda? - zapytała Beth, która przysiadła na jakimś pniaczku. - Do tej pory nie było ich tam za wiele.

- Ale to nie są rozrywkowe panienki! - Oz potrząsnął głową, jakby to go smuciło. - To prawdziwe damy, żony bankierów, panny z towarzystwa, nauczycielki i takie tam... z parasolami i tymi śmiesznymi kapeluszami. Przyjechały się tam osiedlić, z mężami i dziećmi. Jest tam nawet sklep z modnymi sukniemi, prowadzi go jakaś Francuzeczka i mówi, że możesz tam dostać suknię prosto z Paryża!

595

Beth i Jack spojrzeli na siebie, zastanawiając się, czy Oz mówi prawdę, czy fantazjuje.

- A co z Monte Carlo?

- Odmalowali je jakby nigdy nie było pożaru. Fallon wyniósł się z miasta - podobno niedługo po tym, jak wyjechałaś.

- A Jednooki? - zapytał Jack.

- A, ten został i ma się nie najgorzej. Mówią, że ma saloon w Louse Town i trzyma tam kilka dziwek.

- No to dokąd dziś wyruszasz? - zapytał Jack.

- To zależy.

- Od tego, ile tu zebraliśmy? - zapytał Jack. - Dobrze się składa, że nie przestałem szuflować, gdy pojechałeś. - Sięgnąwszy do kieszeni, wyjął skórzany woreczek z wypłukanymi przez siebie bryłkami złota i podał go Ozowi. - Zrób mi przynajmniej łaskę i nie przegraj choć tego. Nie chcemy oboje myśleć, że marzniesz tu i umierasz zimą.

Oz rozwiązał rzemień i wysypał na dłoń urobek, a potem ze zdumieniem w oczach spojrzął na Jacka.

- Zostało jeszcze trochę złota w proszku - dodał Jack. - Nie przyniosłem go tutaj, ale też jest twoje.

- Zatrzymałeś to dla mnie, choć wiedziałeś, że będziesz się musiał wynieść? - zapytał Oz, patrząc na Jacka spod zmrużonych powiek.

- No jasne, przecież to nie moje.

- Niewielu byłoby tak uczciwych - stwierdził Oz z namysłem w głosie. - I tak myślę, że w końcu postąpiłem słusznie.

- Jasne, Oz - powiedział Jack, sądząc, że Oz mówi o pozwoleniu mu na zbudowanie chatki na jego dział

297

ce. - Dobrze mi tu było, a jak przyjechała Beth, to już naprawdę poczułem się szczęśliwy

- Więc wy dwoje zamierzacie się spiknąć? Beth zachichotała.

- Oz, on jeszcze nie poprosił mnie o rękę. Nie zawstydzaj go.

- Dziewczyna, która potrafi robić takie naleśniki i grać na skrzypkach tak pięknie jak ona, jest warta swojej wagi w złocie - powiedział Oz, wpychając sobie kolejny kawałek naleśnika do ust. - Jack, jeżeli nie weźmiesz się do tego poważnie, sam to zrobię.

- Nie poproszę jej o rękę w twojej obecności - odparował Jack i wyszczerzył zęby w uśmiechu. - Ale planujemy udać się do Vancouver. Lepiej zejść nad strumień i zobaczę, czy ktoś będzie mógł potem podrzucić nas do Dawson. Nie zmieścimy się wszyscy w twojej łodzi, jeżeli weźmiemy pod uwagę psy

- Możecie wziąć moją łódź. Mam zamiar przejść się z psami, może po drodze zajrzeć tu i tam do paru przyjaciół. Ale najpierw mamy interes do zrobienia.

- Pójdę po złoty proszek - powiedział Jack.

- Synu, nie to miałem na myśli - powiedział Oz, wstając i kierując się w stronę swojej chaty.

- Będzie chciał, żebym podpisał coś dotyczącego zrzeczenia się praw wynajmu - wyszeptał do Beth Jack-

Oz wrócił, niosąc w ręce kawałek papieru.

- Masz, synu - powiedział. - Twoje dziesięć procent. Spojrzawszy na papier Jack zrobił zdumioną minę-

Beth podeszła bliżej i zobaczyła, że to przekaz bankowy opiewający na kwotę dwudziestu tysięcy dolarów, płatnych niejakiemu Jackowi Childowi.

597

Gwałtownie wciągnęła powietrze.

- Sprzedałeś działkę za dwieście tysięcy dolarów? - wykrzyknęła.

- Nie przegrałeś jej w pokera do Olsena? - zapytał Jack.

- Oczywiście, że nie. Widziałem już zbyt wielu, którzy podążyli tą ścieżką - zachichotał Oz. - Trochę wygrałem, trochę przegrałem i urzynałem się bardziej niż myślałem, że to możliwe. Ale w kwestii praw do działki nie zamierzałem ryzykować. Sprzedałem je Olsenowi.

- Ale dlaczego dajesz mi dziesięć procent? - zapytał Jack drżącym z emocji głosem.

- Bo opiekowałeś się mną przez całą zimę. Byłeś dla mnie jak syn. Poza tym, gdybyś nie wykopał tych dziur, nigdy nie znalazłbym więcej złota. W Dawson zaczęły krążyć plotki, że jestem kompletnie splukany. Olsen nie dałby mi za działkę dziesięciu centów, gdyby nie zobaczył tego złota.

- Nie mogę tego przyjąć - powiedział Jack z oczami lśnącymi od łez. - To za dużo!

- Wynająłeś tu kawałek ziemi. Równie dobrze to ty mogłeś trafić na złoto w każdej chwili. Nie byłoby w porządku, gdybyś nie dostał swojej części udziału. Byliśmy partnerami, prawda?

Jack wciąż miał oszłamioną minę. Jego wzrok ciągle wędrował pomiędzy przekazem bankowym a Ozem.

- Przekonałeś mnie do tego, kiedy dałeś mi te samorodki - powiedział Oz. - Rozpuszczę plotkę, że Uczciwy Jack poślubia Gypsy Queen. Potraktuj to jako prezent weselny.

Rozdział trzydziesty szósty

Dziś wieczór zatrzymamy się w hotelu Fairview - powiedział Jack, kiedy przywiązał łódź na brzegu Dawson. - Załóż swoją najładniejszą sukienkę i potem przejdziemy się tam i z powrotem Front Street.

- Będę musiała odebrać swoje porządne ubrania z restauracji - odpowiedziała roztargnionym głosem, gdyż jej uwagę przykuły wszystkie nowe budynki wzniesione od czasu pożaru. Wyglądało to tak, jakby nigdy nie wydarzyła się tu żadna katastrofa; odtworzone sklepy, saloony i tancbudy były bardziej solidne i wspaniałe.

Dookoła kręcili się też tysiące ludzi. Wielu z nich było wciąż równie marnie ubranych jak kiedyś i wyglądało na tak samo zmęczonych, jak nowo przybyli zeszłego roku, ale zadziwiająca była liczba modnie ubranych ludzi, jakby trafili prosto z miasta. Jak powiedział Oz, było też bardzo wiele przyzwoicie wyglądających kobiet z dziećmi.

Beth słyszała, że wybudowano kolej przewożącą pasażerów ze Skagway do White Pass, ale wątpiła, żeby którykolwiek z tych elegancików przybył tą drogą, gdyż żaden z nich nie wyglądał na takiego, który potrafiłby zbudować łódź albo spłynąć nią w dół Jukonu.

Jakiś mężczyzna we fraku, prążkowanych spodniach i cylindrze szedł ramię w ramię z kobietą mającą na sobie

suknię z białego muślinu i różowy kapelusz o szerokim rondzie ozdobionym różami; dama najwyraźniej nie zdawała sobie sprawy z tego, że jej suknia wlecze się za nią w kurzu. Inna dama w bardzo eleganckim brokatowym żakiecie i stonowanej spódnicy siedziała na dużej skórzanej skrzyni, jaką Beth widziała tylko raz w życiu, tragarze wynosili ją z kabiny pierwszej klasy statku, który przywiózł ich do Ameryki.

Podobnie ubrani ludzie kręcili się wszędzie i nie mogli wyobrazić sobie, po co przybyli. Co spodziewali się znaleźć w tym małym górniczym miasteczku, które było odcięte od świata przez osiem miesięcy w roku?

Kiedy Beth niosąca swoje skrzypki w małej walizeczce i Jack dźwigający resztę ich dobytku rozpoczęli spacer po Front Street, dziewczyna czuła się niczym podczas jednego z tych dziwnych snów, kiedy człowiek znajduje się w niby znajomym miejscu, ale wszystko jest nie takie, jak powinno.

Czuła się tak od momentu, kiedy niedawno obudzili się gotowi do kupienia najtańszych biletów na wyjazd stąd i rozpoczęcia wszystkiego od nowa w Vancouver. A potem bez żadnego ostrzeżenia stali się bogaci. Choć była to wspaniała niespodzianka, wiązał się też z nią smutek pożegnania z miejscem, gdzie spotkało ich tyle szczęścia. Potem, po bardzo wzruszającym pożegnaniu z Ozem przyплыли tu łodzią wiosłową, co było upiornym wspomnieniem wcześniejszej o rok podróży, bo ciągle dręczył ich żal z powodu utraty Sama.

Rok temu, kiedy kroczyli tą samą ulicą w głębokim błocie, byli cheechako, którym to mianem miejscowi określali nowo przybyłych żółtodziobów, podekscytowanych, przerażonych, zmęczonych, żywiących liczne

299

nadzieje i kompletnie zagubionych. Dawson City zmieniło ich. Nie mogło być inaczej, gdyż przypominało wielki mikser, w którym awanturnicy, trwające od zmierzchu do świtu hulanki, surowe warunki życia, zetknięcie się z masą różnych ludzi, luźne zasady moralne i wizje bogactwa zostały przemieszane i nieco pozmieniane.

Beth zastanawiała się, czy kiedykolwiek będzie potrafiła wpasować się ponownie w ramy klasycznego społeczeństwa. Ciągle rozmyślała nad tym, gdy płynęli łódką i ledwie się odzywała; milczenie Jacka nasunęło jej wniosek, że jego myśli również przepełniają podobne obawy

- Mamy siebie i jakoś sobie poradzimy - powiedział nagle Jack, tak jakby czytał w jej myślach. - Jeżeli chcemy, możemy wykupić bilety na następną wypływającą łódź.

Beth uśmiechnęła się do niego z wdzięcznością. Nadzwyczajne było to, że zawsze zdawał się wiedzieć, o czym w danej chwili myśli.

O ósmej wieczorem byli prawie gotowi do spaceru po mieście. W Fairview dostali jeden z najlepszych pokoi. Był elegancki, z grubym dywanem i wymyślnymi francuskimi meblami, puchowym materacem i aksamitnymi zasłonami w oknach. Beth cynicznie pomyślała, że szkoda, iż ci sami właściciele nie poczynili żadnych wysiłków, żeby uczynić wewnętrzne ściany bardziej solidnymi - można było usłyszeć każde słowo ludzi rozmawiających w pokoju obok.

Zabrali rzeczy Beth z restauracji, zrealizowali przekaz bankowy, a Jack sprawił sobie elegancki nowy garnitur, ostrzygł włosy i wypolerował najlepsze buty.

Beth starała się zawiązać mu krawat, kiedy od drzwi dobiegło pukanie. Jack poszedł otworzyć i zastał przed

601

nimi młodego gońca w hotelowym uniformie. Chłopak miał w ręku list.

- Przyszedł do pani Bolton - powiedział. - Nadawca kazał mi poczekać na państwa odpowiedź. Zdziwiona i zaskoczona Beth otworzyła kopertę, żeby przekonać się, iż autorem pisma jest Percy Turnball, aktualny właściciel Monte Carla Zaczęła czytać:

Droga Pani Bolton!

Byłem wielce uradowany, kiedy doszły mnie wieści, że wraz z panem Childem wróciliście do miasta. Poczytałbym sobie za ogromny honor, gdybyście przyjęli Państwo moje zaproszenie do Monte Carlo na dzisiejszy wieczór i gdyby rozważyła Pani możliwość zagrania tym Pani wielbicielom, którym Jej tak bardzo brakowało. Pokorny sługa, P. Turnball.

Podala list Jackowi.

- Co o tym sądzisz?

- Czy to nie ten Szkot, którego nazywali „Wielkie Jaja”? - zapytał Jack. - Wielki jegomość z diamentową szpilką w krawacie, który przychodził do Golden Nugget?

Betty zachichotała. Dolores nazywała go „Wieprz-kiem”, bo miał małe, ciemne oczka i łatwo się rumienił. Jak Jednooki, lubił się ubierać w kraciaste garnitury, był jednak przyzwoitym, uprzejmym człowiekiem i bardzo go lubiła.

- Owszem. Zabawne jest to, że w końcu został właścicielem Monte. Pójdziemy?

-Jeżeli chcesz... Może miło ci będzie zagrać tam ostatni raz.

602

Beth odwróciła się do posłańca.

- Powiedz temu panu, że z chęcią przyjdziemy.

Dotarli do Monte Carlo o dziewiątej wieczorem. Grał już tam jakiś pianista, ale z powodu hałasu ledwo go było słyhać. Gdy Beth i Jack weszli do środka, ludzie zaczęli odwracać głowy w ich kierunku i po całej sali rozszedł się lekki szmerek podniecenia.

- To ona! - usłyszała Beth głos jednego z mężczyzn. - Jest nawet ładniejsza, niż mówili!

Percy Turnball musiał zauważyć poruszenie, bo natychmiast, przeciskając się przez tłum, ruszył ich powitać.

-Witajcie, witajcie! - Na jego rumianej twarzy pojawił się szeroki uśmiech. - Gdy dziś rano rozeszły się wieści, że widziano was oboje na przystani, wszyscy się bardzo ucieszyli. Jest pani jedną z dawsońskich legend, panno Bolton, słyszeli o pani nawet wszyscy cheecha-ko i byli rozczarowani, że nie usłyszą pani gry. O tobie, Jack, słyszałem, że zaatakował cię niedźwiedź, którego załatwiłeś gołymi rękami, i potajemnie poślubiłeś naszą Gypsy Queen. Czy to prawda?

Jack parsknął śmiechem.

- Czego to ludzie nie gadają! Jeżeli poślubię Gypsy, to na pewno nie potajemnie!

Turnball klepnął go w plecy.

- Masz rację! Zawsze myślałem, że wy dwoje jesteście dla siebie stworzeni. Napijmy się szampana, żeby uczcić wasz powrót!

Turnball zaprowadził ich do stolika, do którego barman osobiście przyniósł butelkę szampana w srebrnym

300

koszyczku. Wino było znacznie lepsze od tego, jakim poił Beth Fallon, a kieliszki z prawdziwego kryształu.

Do stołu podchodziły dziesiątki ludzi, których nigdy przedtem nie widziała i wszyscy mówili, jak bardzo są wzruszeni, mogąc ją zobaczyć. Było to bardzo miłe uczucie; Jack trzymał pod stołem jej dłoń i niepokój, który czuła jeszcze rankiem, rozplynął się w nicość.

W tłumie widziała wielu znajomych ludzi, których już można było nazwać kwaśniakami, ponieważ spędzili tu zimę. Wielu z nich w Skagway było niewiniątkami, które porzuciły swe miasteczka w pościgu za marzeniem

O bogactwie. Teraz byli twardymi, zahartowanymi mężczyznami zdolnymi podolać wszelkim trudnościom

I każdej pracy. Ale pozostali tutaj, co oznaczało, że nawet jeżeli nie znaleźli złota, zdolali się jakoś urządzić.

Tu i ówdzie przez ciżbę przemykały fordanserki i dziewczyny z saloonów w krzykliwych sukienkach i z wymyślnymi fryzurami. Mogły wyglądać na milutkie, przyjazne i serdeczne, były jednak wyrachowane, twarde i do wynajęcia. Dodawały jednak miastu swoistego uroku i bez wątpienia pocieszały wielu górników, nawet jeżeli akurat opuściło ich szczęście.

Inni ludzie, których Beth również знаła, pozakładali tu swoje interesy. Niektórych spotkała na szlaku, inni przybyli odmiennymi drogami, wszyscy jednak byli przedsiębiorcami. Wielu z nich straciło wszystko w ogniu, bo przecież oprócz tego wielkiego kwietniowego wcześniej zdarzały się inne pożary. Ale w naturze tych ludzi nie leżało poddawanie się przeciwnościom losu, gdy powalało ich niepowodzenie jednego przedsięwzięcia, szukali szczęścia w innym. Zdeterminowani i niezłomni potrafili prawdopodobnie dać sobie radę w każdych

301

okolicznościach i znieść wszystkie pociski zawistnego losu.

A jednak większości z tłoczących się wokół mężczyzn Beth nie znała. Byli pomiędzy nimi niedawno przybyli cheechako: żyłaści, w mizernych płaszczach i wysokich podróżnych butach; wielu jednak miało gładkie policzki, byli dobrze ubrani i wyglądali na ludzi, którym dobrze się wiedzie.

- To turyści - stwierdził Turnball pogardliwie, spostrzegłszy jej zaciekawione spojrzenie. - Nie dla nich trudności i niektórzy szlaku, przyjechali z obitymi skórą skrzyniami, niektórzy nawet ze służbą, tylko po to, żeby móc się pochwalić, że widzieli Dawson. Nikt z nas nie wiedział, że podczas minionego roku gazety na całym świecie opisywały wszystko, co się tu dzieje. Niektórzy z nich wiedzą o nas więcej, niż my sami! Oczywiście, wciąż przyjeżdżają tacy, co chcą znaleźć złoto, ale bardzo wielu chce się tylko przekonać, jak tu jest.

O dziesiątej Turnball wszedł na niewielkie podwyższenie i uderzył w gong, żeby zwrócić na siebie uwagę.

- Panie i panowie! - zaczął, gdy zapadła cisza. -Wszyscy z was słyszeli o niektórych legendach Klondike. Nawet jeżeli przyplynieście tu bez trudu statkiem, wiecie o tych zuchwalcach, którzy rzucali wyzwanie śmierci na cieszącej się złą sławą przełęczy Chilkoot lub White Pass, niosąc swoje bagaże na własnych grzbietach. Mała dama, którą dziś tu gościimy, pokonała Chilkoot w lutym ubiegłego roku. Straciła brata w bystrzynach Squaw Rapids. Wbrew trudnościom dotarła jednak tutaj ze swoimi słynnymi skrzypkami, a potem czarowała nas swoją muzyką. Pamiętam, kiedy pierwszy raz

605

usłyszałem jej grę, w tej samej sali, kilka dni po jej przyjeździe. Jej sława zdążyła ją wyprzedzić, ale nigdy nie pomyślałbym, że angielska skrzypaczka, która chwytала wszystkich za serca swoją grą w Skagway jest tak gładką dziewczyną. Tamtej nocy sprawiła, że w moich oczach pojawiły się łzy. Wybijałem stopami rytm, moje serce śpiewało i jak wszyscy mężczyźni w tym mieście dałem się porwać jej urokowi, talentowi i urodzie.

Odwrócił się ku Beth, zapraszając ją gestem na scenę.

A potem, unosząc szeroko rozwarł ramiona w górę, zagrział:

- Oto uwielbiana przez wszystkich, słynna na całym świecie Beth Bolton, Gypsy Queen z Klondike! Z towarzyszeniem huraganowych braw Beth wskoczyła na scenę ze skrzypkami w rękę i dygnęła, nisko kłaniając się publiczności. Ze względu na dawne czasy zaczęła od „Kitty O'Neill” i po kilku sekundach wszyscy tupali i rzewnie się uśmiechali. Potem zagrała „Days of '49”, starego jiga „California Gord Rush”, a na koniec „The Lass of Glenhsee”.

Gdy przerwała, zagrzmiwały huczne oklaski. Beth skinęła smykkiem, prosząc o ciszę, a potem zwróciła się do słuchaczy.

- Utwór, który chcę teraz zagrać, skomponowałam sama - powiedziała. - Mam nadzieję, że usłyszycie w nim wycie wichru dmącego mi w twarz na przełęczy Chilkoot, jęk pil budowniczych łodzi nad Jeziorem Bennetta i naszą radość, gdy wypływaliśmy po ruszeniu lodów. Spróbuję oddać mój smutek po utracie brata i wiosenny urok doliny Jukonu, a potem radość z przybycia do leżącego na końcu szlaku Dawson.

606

Jack wiele razy słyszał, jak pięknie grała, gdy on pracował na działce Oza i wielu fragmentów nie słyszał nigdy wcześniej. Myślał, że to klasyczne kawalki i zawsze pragnął ją poprosić, żeby któregoś wieczoru zagrała tak dla niego.

I oto teraz, gdy zagrała w pełnej ludzi sali, zdał sobie sprawę z tego, że już to słyszał. Pierwsze, boleśnie piękne, przeszywające do szpiku kości tony przeniosły go na przełęcz Chilkoot. Przypomniał sobie, jak zgięty wpół pod ciężarem plecaka ciągnął za sobą sanie i brnąc po kolana w śniegu, wspinał się uparcie wyżej i wyżej. Beth udało się jakoś oddać desperację, wyczerpanie i strach, które były udziałem wszystkich wędrowców. On jednak pamiętał, że ilekroć wtedy na nią spojrział, widział na jej twarzy radosny uśmiech.

Potem skrzypce odtworzyły wesole pojękiwania pil nad Jeziorem Bennetta i Jack spostrzegł, że wielu kwaśniaków, spoglądając jeden na drugiego, uśmiecha się, wspominając dawne swary.

Wszyscy obecni na sali, czy byli nad Jeziorem Bennetta, czy nie, mogli poczuć radość stawiania żagli, ponieważ Beth udało się oddać smykkiem beczenie marynarskich rożków, łopot wiatru w żaglach i nawet ciepło słonecznych promieni grzejących wszystkim plecy.

Szybkie, przeszywające dreszczem tony wyrażały podniecenie i grozę towarzyszące bystrzynom kanionu Milesa, przeszły jednak szybko w smutne wspomnienie o Samie. Jack przypomniał sobie twarz przyjaciela, gdy wyciągnęli go z wody i smugę czerwonej krwi z rany na głowie na jasnych włosach. Wyobrazził sobie kłęczącą obok ciała brata Beth i wspomnienie jej lkań przeszło

302

go zimnym ostrzem. Potem złożyli go w grobie na brzegu rzeki i po modlitwie odśpiewali „Rock of Ages”.

Wzruszenie odebrało mu głos, bo wszystko to było w tej muzyce. Rozejrzawszy się po sali, spostrzegł, że nawet ci, co nie znali Sama i niczego nie wiedzieli o kanionie Milesa, potrafili zrozumieć rozpacz i żal Beth.

We fragmencie mówiącym o spływie Jukonem oddała rozpacz złamanego serca i unicestwienie wszystkich nadziei, zdołała jednak odmalować dźwiękami piękno krętej rzeki, otaczających ją gór, wiosennych kwiatów i losi pijących rzeczną wodę.

I nagle zjawili się w Dawson. Beth zilustrowała to nagłą zmianą tempa. Szybkimi, wesółymi i skoczными tonami przypomniała Jackowi nabrzeżne targowisko, gęste blocko i tysiące zgromadzonych tam ludzi. Usłyszał najętych krzykaczy, którzy okrzykami wzywali do odwiedzenia ich najlepszego w mieście saloonu, restauracji czy tancbudy. Beth oddała urok „Long Juicy Waltz”, tak nachalnie promowanego przez właścicieli sal tanecznych. Ludzie dość szybko odkrywali, że za swoje dolary mogą jedynie przez chwilę potrzymać dziewczynę w ramionach, choć niektórzy wydawali setki za całonocny przywilej.

Teatrzyk Monte był burleską, soczystą, nieco pikantną, choć nie nieprzyzwoitą, bo konni natychmiast by go zamknęli. Stoły do gry w faraona, dziewczęta z Paradise Alley wycie psów i pijackie wrzaski, zwycięskie okrzyki wygrywających i przekleństwa przegrywających -wszystko to było w muzyce Beth i Jack nigdy nie czuł większej dumy niż podczas tego koncertu.

Popatrzył na swoją dziewczynę pochyloną nad skrzypkami, na jej krucze kędziory spływające na plecy

303

bujną falą i smukle ciało poruszające się w rytm muzyki. Zrozumiał, że niepostrzeżenie dla niego samego podczas kilku minionych lat z ładnej dziewczyny przeistoczyła się w piękną kobietę.

Gdy Beth skończyła grać i pochyliła się w niskim ukłonie, słuchacze oszaleli. Nawet siedzący zerwali się na nogi, tupiąc, klaszcząc i wydając dzikie okrzyki aplauzu. Trwało to i trwało, bo wszyscy domagali się dalszej gry. Beth jednak uśmiechała się i potrząsała głową, dziękując słuchaczom, choć z powodu dzikiej wrzawy nikt nie zdołał jej usłyszeć. Potem odwróciła się, by zejść ze sceny.

Jack doskonale ją rozumiał. Ten utwór był jej kompozycją i kompletnie ją wyczerpał. Włożyła weń cały ból, trudy, radości i uciechy, które stały się jej udziałem. Nie mogła już zagrać niczego lepszego - i nawet nie chciała próbować.

Nie mogli wyjechać z Dawson następnego dnia, jak planowali, bo miejsca na wszystkich statkach były wykupione, Jack jednak zdołał wykupić dla nich kabinę pierwszej klasy na „Maybelline” na trzeciego sierpnia, czyli za pięć dni.

Następnego dnia, gdy wybrała się na zakupy, by znaleźć kilka potrzebnych jej drobiazgów, Beth spostrzegła wychodzącą z jakiegoś sklepu Dolores, dziewczynę pracującą kiedyś w Golden Nugget. Była w zaawansowanej ciąży.

Spostrzegłszy Beth, podbiegła niemal, a radość ujrzenia starej przyjaciółki zaparła jej dech w piersiach. - Ognie się martwiłam, gdy zniknęłaś. Nikt nie miał pojęcia, gdzie przepadałaś! - wypaliła pośpiesznie.

609

- Ruszyłam nad Bonanzę, żeby zostać z Jackiem - wyjaśniła Beth. - Miałam dość Dawson. Ale co z tobą? Gdzieś ty się podziała, gdy spłonął Golden Nugget?

Dolores parsknęła śmiechem.

- Ten pożar był szczęśliwą odmianą w moim życiu. Tamtej nocy spotkałam Sola; był jednym ze strażaków. Zabrał mnie do siebie i od tamtej pory jesteśmy razem.

Przez pewien czas wymieniały nowiny Beth powiedziała Dolores, że oboje z Jackiem zamierzają wrócić do Vancouver. Dolores wyjaśniła, że pracuje w pralni, a Sol buduje dodatkowy pokój w ich chacie - dla dziecka.

- A kiedy ono przyjdzie na świat? - zapytała Beth rada, że dawna przyjaciółka znalazła wreszcie swoją przystań.

- Doktor powiada, że w październiku - stwierdziła Dolores. - Ale nie jestem pewna, bo nie pamiętam, kiedy po raz ostatni miałam te dni.

Beth skwitowała uśmiechem eufemizm, jakiego Dolores użyła, zamiast po prostu rzec o menstruacji. Upewniwszy się, że Sol jest uszczęśliwiony perspektywą zostania ojcem, a Dolores też jest szczęśliwa, pożegnała się i wróciła do Fairview.

Wspominając rozmowę z Dolores, stwierdziła, że od pewnego czasu też nie miała tych dni. Pamiętała tylko, że miała okres wkrótce po przyjeździe do Jacka i drugi w miesiąc później na początku czerwca, ale potem... już nic.

W Montrealu powiedziano jej, że nie będzie mogła mieć już dzieci, więc nie miała powodów skłaniać żadnego mężczyzny do ostrożności i z pewnością nigdy nie przyszło jej do głowy, iż lekarz mógł się pomylić.

Wróciwszy do Fairview, obejrzała się uważnie w lustrze. Nie dostrzegła żadnej różnicy w wyglądzie i nie

610

czuła się inaczej niż zwykle, ale okres spóźniał się już

0 miesiąc. A jeśli była w ciąży?

Zamknawszy oczy, pomacała się po brzuchu. Całym sercem pragnęła, żeby myśl o ciąży okazała się prawdziwą. Urodzenie Jackowi dziecka wydało jej się nagle najlepszą rzeczą, jaka mogła ją spotkać na tym świecie.

Niczego mu jednak nie powiedziała, gdy wrócił. Musiała się najpierw upewnić, a ponieważ Jack po południu spotkał wielu starych przyjaciół i wrzał z niecierpliwości, żeby podzielić się z nią nowinami, łatwo jej było ukryć własne podniecenie.

Następnego dnia Jack poszedł pomóc komuś w budowie chaty, a Beth postarała się nie myśleć o dziecku

I wybrała się w odwiedziny do dawnych znajomych. Z niemyślenia nic jednak nie wyszło; sprawiła to moc wyobraźni, czy też tak było w istocie, ale czuła, że nabrzmiewają jej piersi, a nad ranem miała nawet lekkie mdłości. Odwiedzając ludzi, śmiała się i wymieniała ploteczkami, cały czas jednak myślała o tym, jak szczęśliwy będzie Jack, gdy wszystko się potwierdzi.

Wieczorem trzydziestego pierwszego po całym Dawson rozeszły się plotki, że znaleziono złoto w Nome nad brzegiem morza Beringa na Alasce.

Beth i Jack dowiedzieli się o tym od jakiegoś hotelowego gościa, który dostał telegram od mieszkającego w pobliżu przyjaciela. Nie przejęli się tym, bo już w styczniu rozeszły się pogłoski o nowej gorączce złota i wielu ludzi puściło się w drogę; niektórzy kiepsko się przygotowali do trudów podróży i padli ofiarą srogich mrozów.

Ale gdy wyszli na Front Steet, usłyszeli, że wszyscy wokół mówią o tym samym. W saloonie, do którego

zajrzeli, wrzała dyskusja - ludzie mówili, że złoto leży tam wprost na plaży i można je zgarnąć łopatami. Wszyscy szykowali się do wyjazdu, gdy tylko zorganizują sobie jakiś środek transportu. Plotki rozprzestrzeniały się jak ogień i nagle w oczach wszystkich pałających się bez celu po ulicach miasta mężczyzn pojawił się znany już Beth i Jackowi ogień.

Jack uznał to za ogromnie zabawne. Wybuchami śmiechu kwitował pytania starych kwaśniaków, którzy zatrzymywali go na Front Street i chcieli się dowiedzieć, czy zamierza ruszyć w drogę.

- Nie - odpowiadał. - Przeżyłem już gorączkę złota i to doświadczenie wystarczy mi do końca życia. Chcę tylko wrócić do domu z moją panią.

Następnego dnia całe miasto wrzało z podniecenia. Ludzie bili się, żeby wejść na statki, a gdy nie mogli już dostać biletów, dopadali żaglówek lub łodzi wiosłowych i wyruszali w drogę.

Jacka chyba to wszystko mocno irytowało i stwierdził, że zamierza się przejść po wzgórzach. Zanim wyszedł, wziął pięćset dolarów z ich pieniężnego zapasu i poradził Beth, żeby udała się do Madame Aubrey i kupiła coś ładnego i modnego, w czym będzie się mogła pokazać w Vancouver.

Francuzka była świetną krawczynią, miała jednak też w sklepie gotowe najmodniejsze suknie sprowadzane wprost z Paryża.

- Nie mogę tam nic kupić - stwierdziła nieco przestraszona Beth. - U niej jest okropnie drogo.

Jack parsknął śmiechem.

- Jesteśmy teraz majętnymi ludźmi, a wszystko, co możesz teraz na siebie włożyć, w Vancouver kiepsko **612**

będzie wyglądało. Zresztą, do Nome wyjeżdża dziś tak wielu ludzi, że idę o zakład, iż będziesz ją mogła nakłonić do obniżenia ceny.

Beth chętnie włożyłaby nową sukienkę, ale stwierdziła, że pięćset dolarów dla niej to za wiele.

- Zatrzymaj te pieniądze - odparł. - Będziesz też potrzebowała bucików i innych rzeczy.

Tego wieczoru przy kolacji Jack był jakby nieobecny duchem. Beth znalazła u Madame Aubrey piękny kostium, luźny żakiet w kremowo-ciemnozielone paski z odpowiednią zieloną sukienką oraz mały zielony kapelusik z woalką. Kupno i ploteczki, którymi poczęstowała ją Francuzka, bardzo ją podnieciły i czuła lekkie rozczarowanie, gdy Jack słuchał wszystkiego bez należytego entuzjazmu.

Po kolacji wypiła kilka szklaneczek whisky i poszła prosto do łóżka. Ledwo trzymała się na nogach i Jack musiał jej pomóc.

- Myślę, że trochę się przejdę i zobaczę, co się tam dzieje - stwierdził. - Nie mam ochoty jeszcze się kłaść. Słodkich snów.

Rankiem obudziły Beth jakieś nagle hałasy na ulicy. Ku swemu zaskoczeniu stwierdziła, że w łóżku jest sama. Wstała i podeszła do okna, żeby zobaczyć, jaki jest powód wrzawy i ujrzała setki ludzi z workami na plecach biegnących ku przystani.

Dokładnie tak samo było dwa lata temu w Vancouver i pomyślała, że Jack poszedł popatrzeć na całe widowisko. Kiedy spojrzała jednak na łóżko, stwierdziła, że chyba w ogóle się nie kładł. Na poduszce nie było

śladów jego głowy, a koldra i koce po jego stronie wciąż były nietknięte.

Jeszcze bardziej interesujący był widok jego garnituru zwisającego na oparciu krzesła i najlepszych butów ustawionych obok. Musiał wrócić w nocy, gdy spała i wdziać stare ubranie.

Zajrzawszy do szafki, stwierdziła, że zniknął też jego podróżny worek. Jack zawsze był czuły na opowieści

O cudzych kłopotach i jeżeli ktoś wczoraj wieczorem poprosił go o pomoc, nielato byłoby mu odmówić. Nie mogła jednak zrozumieć, dlaczego, skoro przyszedł tu się przebrać, nie obudził jej i nie powiedział, co zamierza zrobić, ani nie zostawił liściku.

Ponownie poczuła mdłości, ale przypisała je głodowi

I zeszła na dół, żeby coś zjeść. Liczyła też na to, że w recepcji będzie na nią czekał jakiś list od Jacka. Niestety, nie było żadnych wieści, ona zaś musiała wybiec z jadalni, bo zemdlili ją sam zapach kawy. Wróciwszy do pokoju, usiadła przy oknie. W pewnej chwili, gdy patrzyła na mijających hotel

mężczyzn, jej serce ścisnęła nagle straszna myśl. Czyżby Jack wyruszył do Nome? Myśl ta w pierwszej chwili wydała jej się absurdalna, ponieważ wybuch nowej gorączki złota tylko go rozbawił. Powiedział nawet, że perspektywy znalezienia tam kruszcu są kiepskie, ponieważ Nome leży niemal na kręgu polarnym.

A jednak poczuła zimny dreszcz na plecach, ponieważ siedziała w pokoju hotelowym w mieście, które w ogóle by nie zaistniało, gdyby nie szaleństwo i chciwość, jakie w mężczyznach budziło złoto. Nie mogła nawet powiedzieć, że ofiarą gorączki złota padają tylko

306

niektórzy bo z jej własnych życiowych doświadczeń wynikało, że uczciwi i dobrzy mężczyźni ulegają jej równie łatwo, jak lotrzykowie i oszuści.

Wiedziała również, że ilość posiadanych przez mężczyznę pieniędzy nie ma znaczenia, ponieważ widywała takich, którzy tracili fortuny w jednym rozdaniu kart. Theo ziścił swoje marzenia, zbudowawszy Golden Nugget, a jednak sprzedał go za jej plecami i zniknął z pieniędzmi. Dlaczego myślała, że Jack postąpi inaczej?

Odwróciwszy się od okna, spojrziała na łóżko. Po odebraniu pieniędzy z banku włożyli je w płócienny woreczek i wsunęli pod materac. Jack zatrzymał sobie tylko tysiąc dolarów, a pięćset dał jej. Jeżeli woreczek zniknął, zniknął i Jack - tak samo, jak Theo.

Roztrzęsiona podeszła do łóżka i podniosła materac. Wsunąwszy pod niego rękę, nie znalazła niczego. Mimowolnie wydała głuchy okrzyk rozpacz. Przesuwała dłoń pod całym materacem, aż w końcu zrzuciła go na podłogę. Pod nim nie znalazła niczego poza cienką wykładziną z końskiego włosia nad sprężynami.

Wstrząs sprawił, że zachwiała się na nogach, bo choć rozum jej mówił, że Jack nie jest inny od reszty mężczyzn, w głębi serca nigdy go nie podejrzewała o taką podłość.

Twierdził, że nie przybył tu, szukając złota, a tylko żeby być blisko niej - a ona mu uwierzyła.

Ta zdrada była cięższa do zniesienia, niż wszystko, co jej zrobił Theo, ponieważ zawsze wiedziała, że Cadogan jest nieprzewidywalny. Ale Uczciwy Jack, człowiek, któremu od wielu lat przywykła bezgranicznie ufać, pocieszyciel i przyjaciel... jak mógł jej coś takiego zrobić?

Łkając rozpaczliwie, rzuciła się na łóżko. Przypomniała sobie, jak wciskał jej w dłoń te pięćset dolarów

615

i mówił, że nie może się pokazać w Vancouver w kiepskich sukniach. Ten szczur już wtedy musiał planować ucieczkę i dał jej pieniądze jedynie dlatego, że chciał ulżyć swemu sumieniu, wmawiając sobie, iż nie pozostawił jej zupełnie bez środków do życia. Jak on mógł jej zrobić coś takiego?

Rozdział trzydziesty siódmy

Przez kilka godzin płakała w zmiętej pościeli. Ponieważ na bocznym stoliku wciąż jeszcze leżały bilety na statek, wydało jej się oczywiste, że Jack chciał, żeby rankiem odpłynęła. W ten sposób będzie mógł spokojnie przyłączyć się do bractwa obłąkanych mężczyzn, którzy woleli spędzać życie w jakichś śmierdzących dziurach na poszukiwaniu złota, niż mieszkać z żonami i kochającymi ich dziećmi. Odtwarzała w pamięci kilka minionych tygodni, usiłując znaleźć coś, co mogłoby jej podpowiedzieć, że Jack nie kochał jej tak głęboko, jak wierzyła. Przypomniała sobie, że gdy mu powiedziała, iż go kocha, on przez chwilę zwlekał z odpowiedzią. Wtedy myślała, że się tylko z nią droczy. Wiedziała, że był z nią szczęśliwy nad Bonanzą, ale może posunęła się za daleko w przypuszczeniach, że będzie nadal szczęśliwy, gdy oboje wrócą na łono cywilizacji? Przyszło jej teraz na myśl, że nigdy nie rozmawiał z nią o tym, z czego zamierza żyć po wyjeździe z Dawson. Jego milczenie podczas powrotnej podróży do Dawson wydało jej się teraz podejrzane. Myślała, że był po prostu oszołomiony darem Oza, ale może poczuł się wciągany przez nią w pułapkę?

Mogło się to wydawać śmieszne, ale może człowiekowi, który przywykł do prostego, surowego życia z dala od innych perspektywa zamieszkania w prawdziwym domu i w otoczeniu innych godnych szacunku ludzi wydała się zamknięciem za życia w grobie?

Ale przecież wiedział, że może się z nią podzielić tymi obawami! Więc może się rozmyślił, usłyszawszy jej grę w Monte Carlo? Gdy Percy Turnbull powiedział o niej, że stała się żywą legendą, może Jack doszedł do wniosku, że zawsze już będzie musiał pozostawać w jej cieniu? Może sądził, że zawsze już będzie musiał dostosowywać się do jej gry na skrzypcach i straci szansę, że kiedykolwiek zrobi to, na co miałby ochotę?

Dlaczegoż jednak miałby tak myśleć? Sądziła, że jasno dała mu do zrozumienia, że nie dba o nic i nikogo poza nim. Nawet gra na skrzypkach była na drugim miejscu; była szczęśliwa, grając tylko dla niego i nie zależało jej na innych słuchaczach.

Czy byłby oszedł, gdyby mu powiedziała, że być może nosi w łonie jego dziecko?

Wczesnym rankiem duma Beth kazała jej się pozbierać.

-Jeżeli on woli grzebać się w Arktyce z bandą półgłówków, niż odpłynąć ze mną do Vancouver, to pogrzebiemy jego pamięć - powiedziała sobie.

Ponownie ułożyła materac na łóżku, przykryła wszystko pościelą, umyła twarz w misce i skrzywiła się, ujrawszy swoje podpuchnięte oczy.

- Nie będziesz już płakać - powiedziała swemu odbiciu w lustrze. - Zejdiesz do jadalni, zjesz solidny posiłek, a potem wrócisz tu i spakujesz się do jutrzejszej

618

podróży. Nie dasz nikomu poznać, że przejęłaś się jego zniknięciem.

- Chciałabym, żeby ktoś mi pomógł przenieść bagaże na statek - powiedziała Beth rządcy hotelu, płacąc rachunek następnego ranka.

Hol pełen był ludzi ruszających do Nome i choć niewielu z nich wyglądało na dość wytrzymałych, żeby znieść niedole arktycznego klimatu, Beth pomyślała, że są jak stado owiec idących tam, dokąd kierują się wszystkie.

- Oczywiście, panno Bolton - odparł rządca, oblepiając ją uśmiechem. - Pan Child spotka się z panią na przystani?

- Owszem. Odwołały go interesy - stwierdziła, bo lasi-cowaty człowieczek okazał dość sprytu, nazywając ją panną Bolton, by podkreślić, że wie, iż nie jest żoną Jacka.

Zapakowała nowe ubrania Jacka, bo gdyby zostawiła je w pokoju, stałoby się jasne, że ją porzucił. Była jednak pewna, że zarządca już o tym wie i napawa się jej nieszczęściem.

Goniec hotelowy odprowadził ją po Front Street, ciągnąc jej bagaż na małym wózek. Ulica pełna była ludzi opuszczających Dawson i pomyślała, że na statku będzie tłok, ponieważ wszyscy kapitanowie, jak inni, nie mieli nic przeciwko zarobieniu kilku dodatkowych dolarów. Ale wiedziała, że ponadplanowi pasażerowie popłyną tylko do St. Michel, gdzie zejdą z pokładu i poszukają innego sposobu na dotarcie do celu.

Idąc ulicą, dumnie unosiła głowę. Mogła mieć złamane serce, wiedziała jednak, że dobrze się prezentuje w nowej sukni i z włosami upiętymi pod kapeluszem. Z drugiej strony obawiała się spotkać kogoś znajomego,

619

bo wiedziała, że nie uniknie wtedy pytań o to, gdzie po-dziewa się Jack.

„Maybelline” była niewielkim, ale solidnie zbudowanym parowcem i względnie nowym - w odróżnieniu od wielu innych spuszczone ją na wodę w zeszłym roku. Jeden z członków załogi wziął bagaż Beth i zaniósł go do jej kabiny na górnym pokładzie. Była to mała kajuta, w której koje od przeciwległej ściany dzieliła tylko stopa wolnej przestrzeni. Beth widziała jednak, jak ciasno było na dwu niższych pokładach, więc wcale się tym nie przejęła. Położyła bagaż na dolnej koi i wspiawszy się na górę, wyciągnęła się na niej i zajęła obserwacją ruchu na przystani, korzystając z małego bulaju. Gdyby nie była tak przygnębiona, z pewnością zdrowo by się uśmieła, widząc, jak ludzie przeciskają się na początek kolejki po bilety, a potem usiłują przekupić członków załogi, żeby dostać się na pokład. Nie pojmowała ich desperacji. Warto było walczyć jedynie o tych, których się kochało. Z pewnością walczyłaby zębami i pazurami o uratowanie Sama i odwróciłaby się plecami od fortuny, gdyby dzięki temu mogła żywić Molly.

Stateczek drżał od loskotu podkutych buciorów dudniących o deski pokładu. Usłyszała, że obok jej kajuty jakiś mężczyzna grzącym głosem skarży się, iż jego kabina jest za mała, a członek załogi odpowiada mu propozycją, żeby zszedł na ląd i odsprzedał komuś bilet, jeżeli nie odpowiadają mu warunki.

Jakaś kobieta wysokim głosem skarżyła się, iż hańbą jest takie przepelnienie statku. Odpowiedziano jej podobnie jak narzekającemu na ciasnotę mężczyźnie.

Gdy usłyszała jęk parowego gwizdka, który poganiał ostatnich spóźnialskich, położyła się na koi.

Poczuła,

309

że musi po raz ostatni spojrzeć na miejsce, do którego przybyła przed dwoma laty pełna emocji i nadziei.

Powierzchnia okna wyносиła może kwadratową stopę, więc mogła widzieć tylko to, co znajdowało się naprzeciwko: grupę odzianych w ciężkie płaszcze młodych mężczyzn z workami, objuczonych lopatami i kilofami, wciąż liczących na to, że w ostatniej chwili zostaną wpuszczeni na pokład. Za nimi był saloon, którego bogato zdobiony fronton sugerował, iż wewnątrz goście znajdą podobne luksusy. Było to jednak złudzenie; wewnątrz było niewiele lepiej, niż z zwyczajnej szopie i Beth zakręciły się lzy w oczach, ponieważ uzmysłowilo jej to, jak dała się nabrać na szczerość w twarzy Jacka. Uwierzyła, że jest prawdziwa, że nie ma w nim cienia zwodniczości czy podstęp. Uczciwy Jack, człowiek, na którym mogła polegać, który mógł być jej przyjacielem, kochankiem i całym światem.

Była już pewna, że nosi w sobie jego dziecko, ponieważ zapach porannej kawy znów wywołał u niej mdłości. Wiedziała, iż pokocha dziecko niezależnie od zdrady Jacka. Być może z czasem zdoła mu nawet przebaczyć. Wiedziała jednak, że póki żyje, nigdy już nie zaufa żadnemu mężczyźnie.

Widok rozmazał się nieco, ponieważ jej oczy napelniły się łzami. Zobaczyła jakiegoś biegnącego mężczyznę za plecami innych stojących w kolejce i choć mignął jej tylko przez chwilę, wydało jej się, że jest wysoki i ma ciemne włosy. Serce drgnęło jej nagle, ale odwróciła się od okna zirytowana tym, że przez chwilę wydało jej się, iż widzi Jacka.

Potem usłyszała krzyki i nadstawiła ucha, ponieważ mężczyzna krzyczący, że bilety ma jego żona, wołał głosem Jacka.

621

Jak gnana wichrem wypadła z kabiny i pognąła schodkami w dół na zatłoczony dolny pokład. Każdy cal przestrzeni był zajęty przez pasażerów i ich bagaże, a za nimi zobaczyła członków załogi wciągających trap i rzucających cumy - a na przystani, od której stateczek powoli już odpływał, stał Jack z twarzą czerwoną od furii.

-To mój mąż! — krzyknęła, przeskakując ponad walizkami, workami i odpychając łokciami stojących przed nią ludzi. - Błagam, weźcie go na pokład!

Jack zrobił kilka kroków w tył, po czym biegiem ruszył w kierunku statku i odbił się od końca mola. Wszyscy pasażerowie jak jeden westchnęli, ponieważ odległość pomiędzy burtą statku a krawędzią przystani szybko się powiększała.

Beth podniosła dłoń do ust, bo wydało jej się, że Jack zawisnął w powietrzu i na pewno wpadnie do wody. On jednak wylądował na pokładzie - choć z calowym zaledwie zapasem - i z rozpedu padł na kolana.

By brudny i nieogolony, Beth jednak wydał się cudowny. Podbiegła doń z wyciągniętymi ramionami. - Dzięki Bogu, zdążyłem! - wycharczał, gdy porwała go w objęcia. - Byłabyś pomyślała, że od ciebie uciekłem!

W dziesięć minut później, gdy siedział już na koi w kajucie, wciąż jeszcze łapał oddech.

- Musiałem ratować Oza - sapnął. - Został napadnięty, a Willy Gwizdek nie mógł zataszczyć go do łodzi.

Dopiero gdy w pełni odzyskał oddech, wyjaśnił, co się stało. Wracał do hotelu po nocnym spacerze, kiedy usłyszał wołanie Willy'ego Gwizdka (nazywanego tak z powodu zamiłowania do gry na pensowej fujarce). Stary wyga, który od wielu lat przed wybuchem gorączki

622

złota brodził w strumieniach wokół Dawson i szukał kruszcu, zawołał, żeby Jack się zatrzymał.

Wczesnym wieczorem Willy siedział w swojej chatce odległej może o pięć mil od działki Oza, kiedy usłyszał szczekanie psów, a potem drapanie pazurów w drzwi. Poznał natychmiast szczekanie Silvera i Flasha i przypuszczając, że przybiegły po pomoc, pognął za nimi przez las. Mniej więcej milę dalej znalazł leżącego w krzakach Oza, ciężko pobitego i broczącego krwią z zadanej nożem rany w piersi. Willy był drobny mężczyzną i choć udało mu się zmajstrować prymitywne włóki i z pomocą ciągnących je psów przewieźć Oza do swojej chatki, wiedział jednak, że nie starczy mu sił, żeby zataszczyć przyjaciela do łodzi. Przyłożył więc mu stary ręcznik do rany, poczęstował niewielką ilością gorzali i zostawiwszy na straży psy, pognął o wiosłach po pomoc do Dawson.

Jack wyjaśnił, że wpadł do hotelu, żeby się przebrać w stare ubranie, było mu jednak spieszą, zresztą spodziewał się wrócić do rana i nie uznał za konieczne zostawianie listu ani tym bardziej budzenie Beth.

Gdy wespół z Willym dotarli do jego chaty, było jeszcze ciemno, ale po zbadaniu Oza Jack uznał, że przewożenie do miasta może go zabić. Opatrzył więc rany, jak umiał i posłał Willy'ego ponownie do miasta po doktora, sam zaś został przy rannym.

- Powiedziałem mu, żeby poszedł do ciebie i powiadomił cię, gdzie jestem - mówił Jack. - Ale ten bałwan po drodze wytrąbił ponad połowę butelki gorzali, zasnął w łodzi i przepłynął obok Dawson. A ja utknąłem w jego chatce, bez łodzi, nie mogłem zresztą zostawić Oza. Kiedy Willy się ocknął, powiosłował z powrotem

310

do Dawson pod prąd, i niewiele brakło, a byłby wykorkował z wysiłku. Gdy znalazł doktora, było już dobrze po północy. Doktor przybył w swojej łodzi z drugim wiosłarzem dopiero o świcie. Wróciłem z nimi. Gdy Oz trafił wreszcie do szpitala, pogałem do Fairview, gdzie mi powiedziano, że już się wyniosłaś.

- Pomyślałam, że mnie porzuciles i ruszyles do Nome - wypaliła. Teraz było jej wstyd, że weń zwątpiła, bo krew i błoto na jego ubraniu były wyraźnymi dowodami, że mówił prawdę.

-Jak mogłaś tak pomyśleć? - jęknął z bólem w oczach. - Czy nie wiesz, że jesteś dla mnie najważniejszą istotą na świecie? Nie zamieniłbym cię na tonę złota! Kocham cię, Beth!

- Ale zabrales swój podróżny worek i pieniądze - broniła się słabo. - Co miałam sobie pomyśleć?

- Zabrałem narzędzia na wszelki wypadek - stwierdził. - Ale nie wziąłem pieniędzy. Zostawiłem je w sejfie w Fairview.

Wsunawszy dłoń za pazuchę, wyciągnął woreczek z pieniędzmi.

- Po tym, jak dałem ci pieniądze na suknie, umieściłem go w hotelowym sejfie. Rozeszły się pogłoski o pieniądzach, które dał mi Oz. Bałem się, że ktoś nas okradnie.

- Rządca nic mi nie powiedział - stwierdziła. Jack potrząsnął głową z niedowierzaniem.

- A to dupek! - syknął. - Założę się, iż liczył, że nie wrócę i będzie mógł je sobie zatrzymać! Kiedy mnie zobaczył, był mocno zdziwiony. Wybiegłem z hotelu, jakby mnie diabeł gonił, nawet się nie umyłem. A teraz nie mogę cię uściskać, bo ubrudzę ci to piękne wdzianko.

311

- Znajdę ci wodę do umycia. Zabrałam twoje ubranie, bo nie chciałam, żeby ktokolwiek pomyślał, że ode mnie uciekłeś.

Jack uśmiechnął się szeroko.

- Uciec od ciebie? Gdybym musiał, popłynąłbym za tobą o wiosłach!

Beth poczuła, że w fali radości rozplywa się jej napięcie i obawy.

- Co z Ozem?

- Wyjdzie z tego. Ranę na piersi trzeba było zaszyć, a konni ruszyli w pościg za draniami, którzy mu to zrobili. Na swoje szczęście zostawił forszę w dawsońskim banku i zdołał nawet ukryć złoto, które dla niego znalazłem, przywiązał woreczek do obroży Flasha.

- Ale czemu nie obroniły go psy? - zapytała.

- To samo pytanie zadawaliśmy sobie z Willym. Ale w szpitalu Oz doszedł do siebie na tyle, że powiedział nam, iż przyjął poczęstunek dwu gości, których uważał za przyjaciół. Pili w ich chacie, stojącej o milę od chatki Willyego. Uwiązał psy na zewnątrz. Ci ludzie myśleli chyba, że Oz ma forszę przy sobie i chciwość popchnęła ich do próby rabunku. Ale gdy niczego przy nim nie znaleźli, uciekli, a Oz jakoś się wyczolgał i uwolnił psy

- Co za ludzie! - westchnęła Beth. - Gdyby te psy me były tak mądre, Oz mógłby tam umrzeć!

Beth znalazła Jackowi wiadro wody, a gdy się umył, serdecznie ją wyściskał.

- Chciałbym ci pokazać, jak bardzo cię kocham - powiedział miękko. - Ale po dwu bezsennych nocach nie sędzę, bym mógł się dobrze spisać.

625

Zostawiwszy go śpiącego, Beth wyszła na pokład, żeby popatrzeć na rzekę. Powiedziano jej kiedyś, że nazwa Jukon w mowie miejscowych Indian oznaczała „największą” i pomyślała, że jest trafnie dobrana, ponieważ rzeka miała ponad dwa tysiące mil długości i przepływała przez wąskie, ciasne wąwozy krętą drogą aż na równiny, gdzie mogła szeroko rozlewać swoje nurty. Spływająca z lodowców woda na bystrzynach była tak zimna, że człowiek, który w nie wpadł, ginął od chłodu albo umierał po kilku minutach wciągnięty w głębie przez silne, zdradzieckie prądy i wiry.

Rzeka była jednak też piękna - jej wody miejscami były szmaragdowe, gdzie indziej przybierały barwę turkusów. Na pływaczach brodziły karibu i losie, tam gdzie wody były spokojniejsze pływały stada dzikich kaczek i gęsi, a na brzegach wily sobie gniazda chyże jaskółki. Zimą rzeka też jej się podobała - lód miał cztery stopy grubości i wespół z Jackiem jeździli po nierównej powierzchni saniami, które ciągnęły Flash i Silver.

Rozejrzawszy się dookoła, spojrzała na innych pasażerów siedzących na swoich bagażach i poczuła smutek, bo nie dostrzegali piękna kraju, tylko w myślach liczyli bogactwa, które mogą z niego wyciągnąć.

Przyjazd na Alaskę był doskonałym doświadczeniem i nauką. Życie w Anglii czy nawet w Nowym Jorku nie stawiało jej przed tak ciężkimi wyzwaniami, nie hartowało tak mocno jak ostatnie dwa spędzone tu lata. Teraz potrafiła obywać się bez wygód, ugotować zupę na gwoździu i wiedziała, że ludzkie ciało może znieść więcej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać.

Najważniejsze jednak i największe z doświadczeń stało się jej udziałem dopiero dzisiaj - wiedziała, kim

312
jest i była świadoma swojej niezależności. Myśl, że Jack ją porzucił, była ogromnie zasmucająca i przerażająca, a jednak nie załamała jej perspektywa stawiania życiu czoła w pojedynkę.

Podczas ostatniej nocy, gdy się pakowała w hotelu, poczuła, że jest to tylko smutne zakończenie jednego z rozdziałów jej życia i stać ją na to, żeby rozpocząć nowy. Wiedziała, że po przybyciu do Vancouver znajdzie jakieś mieszkanie i pracę. Nie załamała się tylko z powodu samotności.

Nie przerażała jej nawet perspektywa samotnego wychowywania dziecka. Ze względu na konwenanse mogła się nazywać panią i kobietą zamężną, nie dlatego jednak, że się wstydziła samotności. Była dobrą skrzypaczką, która zawsze i wszędzie znajdzie jakąś pracę.

Oczywiście, gdy Jack powrócił, przepelnili ją radość i wzruszenie. Była jednak zadowolona, że jego nieobecność pozwoliła jej odkryć, że wyrosła na silną, pełną godności i zaradną kobietę.

- Kiedy powinnam mu powiedzieć o dziecku? - zapytała samą siebie, wsuwając dłoń pod żakiet i dotykając brzucha. Była pewna, iż jest w ciąży, postanowiła jednak, że lepiej będzie poczekać, aż potwierdzi to lekarz.

Jack obudził się dopiero o zmierzchu. Gdy Beth weszła do kajuty, otworzył oczy i uśmiechnął się.

- Lepiej się już czujesz? - zapytała, pochyliwszy się i pogladziwszy go po policzku.

- Owszem, teraz, gdy jestem z tobą - odpowiedział, ujmując jej dłoń i całując ją. - Przeraziła mnie myśl, że mogłabyś odjechać beze mnie. Przez kilka następnych

627

dni nie znalazłbym statku i nie miałbym możliwości powiadomienia cię o powodzie mojej nieobecności.

- A ja oczywiście nie wychodziłabym na spotkanie każdego statku, żeby sprawdzić, czy cię na nim nie ma -zażartowała.

Uśmiechnął się, patrząc badawczo na jej twarz.

- I tak bym cię w końcu znalazł. Całe Vancouver obwiesiłbym plakatami: „Poszukuje się skrzypaczki - Gypsy Queen. Sowita nagroda za informację!”.

- Co będziemy robić, gdy już tam dotrzemy? - zapytała, odpychając go lekko, żeby móc usiąść obok na koi.

- Cokolwiek zechcesz - odpowiedział. - Możemy następnym statkiem popłynąć do Kalifornii, gdzie wszystkie zimy są ciepłe. Potem udamy się do Nowego Jorku, Filadelfii, Konstantynopola, Paryża czy Rzymu, dokądkolwiek ci się spodoba. Co chcesz robić?

- Być z tobą - odparła. - W ciepłym, cichym domku z porządną kuchnią i łazienką. I chcę, żebyś każdego wieczoru był przy mnie.

Spojrzał na nią zagadkowo.

- Nie masz żadnych wielkich planów dotyczących następnego saloonu? Sklepu, hotelu?

Potrząsnęła głową.

- Ale masz coś w rękawie! Czuję to przez skórę. -Może... - odpowiedziała, kładąc się obok niego i mocno się doń przytulając. - Na razie jednak jest nas dwoje na tej ciasnej koi i powinniśmy to jak najlepiej wykorzystać.

Koniec